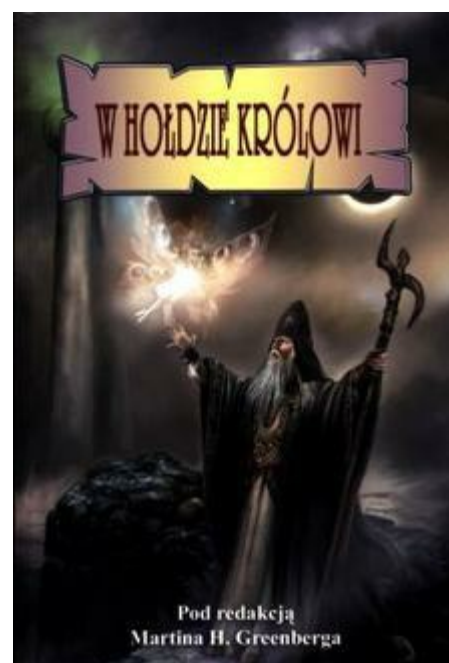


# W HOŁDZIE KRÓLOWI

Pod redakcją  
Martina H. Greenberga



## OPOWIEŚCI POŚWIĘCONE J.R.R. TOLKIENOWI

POD REDAKCJĄ MARTINA H. GREENBERGA

## W HOŁDZIE KRÓLOWI

TYTUŁ ORYGINAŁU AFTER THE KING. STORIES IN HONOUR OF J.R.R. TOLKIEN

*Stephen R. Donaldson*

### (After the King)

Czasami zapomina się, że fantasy pisano, zanim jeszcze wybuchł talent Tolkiena. Wcześniej także istniały książki ważne, opowieści dzieciństwa, takie jak *O czym szumią wierzby* lub *Księga dżungli*. Powstały również powieści dla dorosłych pełniące funkcję swoistego mitu, jak *Studnia na końcu świata*, powieści gotyckie, na przykład *Dracula* lub cudowne anachronizmy *Jankesa na dworze króla Artura*. Przy kominku czytano wspólnie fantastyczne książki rodzinne znanych pisarzy, jak Karol Dickens, lub nieznanym matematyków, jak Charles Dogson.

Historia literatury to pole książek fantasy.

Jednakże to, co przy swej maszynie do pisania, w gabinecie urządzonym w garażu, stworzył

John Ronald Reuel Tolkien — ów „wielki, lecz niesystematyczny i leniwy człowiek”, jak go określił przyjaciel, C.S. Lewis — stało się fenomenem fantasy w dziedzinie literatury.

Autor twierdził, że wymyślił świat, zaludnił go, spisał jego dzieje i prawa. Zawsze podkreślał

stanowczo, że Śródziemie to nie alegoria. Nie znosił alegorii. Chociaż był krytykiem i profesorem, nienawidził tropienia alegorii w swych książkach. Dla niego ważne było tylko opowiadanie historii. Zapomniał jednak, że choć stworzył świat jak Bóg, świat ten będzie dalej istniał bez niego.

Urodziłam się zbyt wcześnie, by czytać Tolkiena w dzieciństwie, jednak pierwszy raz usłyszałam o jego powieściach od dobrego przyjaciela. Potem przeczytałam o nich we wspaniałej książce Petera Beagle'a *I see by my Outfit* opisującej jego podróż po Ameryce na motorze. Kiedy w latach 1964–65 razem z mężem zdecydowaliśmy się przejechać wzdłuż i wszerz Europę i Bliski Wschód, zdobyłam egzemplarz *Władcy Pierścieni* i przeczytałam go, płynąc do Anglii na

„Castel Felice”. Podczas gdy inni pasażerowie tańczyli przy muzyce „Anastasio E Sui Happy Booos”, ja pochłaniałam powieść. Dziesięć dni później, kiedy zawinęliśmy do Southampton, nie byłam w najmniejszym stopniu zaskoczona, że domy przypominały hobbicie norki, i z trudem powstrzymałam się od poproszenia jednego z miejscowych o zdjęcie butów, żebym mogła sprawdzić, czy nie ma owłosionych stóp.

Wszelkie zmiany, jakie zaszły we mnie po przeczytaniu Tolkiena, były jedynie słabym odbiciem wpływu, jaki wywarł on' na pisarzach w ogóle, a na pisarzach fantasy w szczególności.

Po sukcesie *Władcy Pierścieni* zaczęła się pogoń za zyskiem. Wydawcy i księgarze wykorzystali popularność nowego gatunku. Pisarze fantasy, chcąc nie chcąc — a trzeba przyznać, że niektórzy z nich gardzili Tolkienem i stanowczo odcinali się od jego wpływu — stali się bractwem potolkienowskim. Pisaliśmy książki z samej natury tolkienowskie: opowieści o wyraźnie mitycznym charakterze, których sceneria, najczęściej wiejska i/lub pseudośredniowieczna, opierała się na motywach rodem z sag i folkloru, a w głębi kryło się przekonanie, iż magia zawsze pociąga za sobą określone konsekwencje — i jest to tak pewne jak fakt, że pierścień niesiony do ciemnej góry powoli niszczy tego, kto go niesie. I nawet jeśli wpływy te sięgały daleko poza Tolkiena, w głąb mrocznych początków legend, mitów i ludowych opowieści, to wszystkie te książki głosiły hasło — wydrukowane lub wyczuwalne: „w stylu Tolkiena”.

Oczywiście wkrótce to, co zaczęło się na wyżynach mocy i piękna, szybko zeszło na poziom mitycznego bajania: elfy w futrzanych płaszczach, pastelowo malowane jednorożce, podrabiane mówiące miecze i rysowane grubą kreską niby-średniowieczne krajobrazy z ogromną liczbą brudnych zajazdów, złymi czarodziejami i subtelnymi magicznymi istotami najprzeróżniejszych orientacji seksualnych. Tolkien nie byłby zachwycony.

Zachwycony? Byłby przerażony.

Jednak pośród zalewu potolkienowskiej fantastyki lat sześćdziesiątych wybiło się kilku autorów, piszących historie, które spodobałyby się może nawet samemu Tolkienowi. Pisarze tacy jak Andre Norton, królowa przygodowej fantasy, Poul Anderson, który odcisnął swe piętno na mitycznej północy, Robert Silverberg, bazarz zmienny jak kameleon, czy Peter S. Beagle, którego dług wobec Tolkiena widać wyraźnie w jego książce i niewielu — zbyt niewielu powieściach, które po niej powstały. Tych i innych doskonałych autorów poproszono o napisanie opowiadania w stylu Tolkiena; nie chodziło o naśladownictwo mistrza — nikt z nas nie jest naśladowcą lecz o złożenie hołdu jego dziełu. Tak powstał tom urodzinowy, prezent na sto pierwszą rocznicę urodzin pisarza dla jego niezliczonych rzesz czytelników.

Mamy nadzieję, że czytelnicy przyjmą te opowiadania tak, jak pewien elektryk w Oksfordzie, którego wezwano do naprawienia przewodów w bibliotece instytutu filologii angielskiej.

Zauważywszy tam popiersie Tolkiena, odłożył narzędzia, podszedł do niego, poklepał po brązowym ramieniu i przemówił bez skrępowania, jak do dobrego znajomego: „Dobra robota, profesorze! Napisał pan naprawdę niezły kawałek”.

*Jane Yolen,*

*Phoenix Farm*

*kwiecień 1991*

*Stephen R. Donaldson*

## **Reave Sprawiedliwy**

### **(Reave the just)**

Spośród osobliwych, pełnych okrucieństwa opowieści dotyczących Reave’a Sprawiedliwego, żadna nie opisuje jego wyjątkowego charakteru lepiej niż ta, która mówi o jego kuzynie, Jillecie z Forebridge.

Jej niezwykłość wynika między innymi z tego, że Reave i Jillet byli tak do siebie niepodobni, iż trudno uwierzyć, że mogą być kuzynami.

Bez zbytniej złośliwości można stwierdzić, że Jillet był po prostu sympatycznym głupcem.

Ostrożni mieszkańcy Forebridge nie pokochaliby nikogo, kto nie byłby sympatyczny, a nie ulega wątpliwości, że Jilleta kochali. W przeciwnym razie nigdy nie naraziliby się na nieprzewidywalne i często dramatyczne skutki wizyty Reave’a, po to tylko, by zawiadomić go o zniknięciu Jilleta. Nikt zaś, kto nie byłby głupcem, nie zadarłby z Kelvenem Divestulata, doprowadzając do tego, że ten ostatni poczułby się zmuszony pozbyć intruza.

Z drugiej strony ani wrogowie Reave’a — a jego czyny przysporzyły mu wielu nieprzyjaciół

— ani jego przyjaciele nigdy nie nazwaliby go sympatycznym.

W Północnych Hrabstwach z pewnością istniały wioski, być może też miasteczka albo nawet jedno czy dwa miasta, w których Reave’a Sprawiedliwego darzono podziwem, a nawet czcią.

Forebridge jednak do nich nie należało. Decyzje Reave’a były zbyt szalone, a jego nieustępliwość nazbyt wielka, by mógł zyskać aprobatę nieufnych rolników, kowali, młynarzy i murarzy, którzy znali Jilleta od urodzenia.

Reave był jak moc natury, wykraczał poza granice pojmowania tak daleko, że ludzie zaprzestali prób zrozumienia go. Zamiast zastanawiać się, dlaczego uczynił to, co uczynił — czy też jak mu to uszło na sucho — mieszkańcy Forebridge zadawali sobie pytanie, jak równie niewiarygodny osobnik mógł być kuzynem Jilleta, którego jedyną nieprawdopodobną cechą było połączenie miłego charakteru z całkowitym brakiem rozsądku.

W gruncie rzeczy nikt nie miał pewności, czy Reave i Jillet faktycznie są spokrewnieni.

Mówiąc niedawno o Reavie, Jillet użył kilkakrotnie słów: „Reave Sprawiedliwy, mój kuzyn”. To było wszystko, co wiedzano w Forebridge. Jillet nie zdradził nic więcej. Lukę tę próbowano wypełnić plotkami i pogłoskami sugerującymi, że siostra matki Jilleta, kobieta, która pochodziła z innego miasteczka, pozwoliła się uwieść klownowi z wędrownej trupy, który cierpiał na manię wielkości — bądź też podróżującemu incognito błędnemu rycerzowi — i powiła bękarta imieniem Reave pod jakimś nędznym żywopełtem albo gdzieś w nie znanym z nazwy klasztorze, czy też, być może, w prywatnej sypialni któregoś z możnowładców. Ani plotki, ani pogłoski nie potrafiły jednak wyjaśnić, jak to się stało, że cechy, które otrzymał z krwią Reave, u Jilleta nie ujawniły się w ogóle.

Niemniej obu tych ludzi w istocie musiały łączyć więzy krwi, gdy bowiem Reave’a wezwano w imię Jilleta, zjawił się bez zwłoki.

Kiedy jednak przybył na miejsce, Jillet nie mógł wiedzieć, czy komuś w miasteczku zależało na nim na tyle, by powiadomić kuzyna o jego losie.

Nikt właściwie nie wiedział, jak udało mu się zasłużyć na wrogość Kelvena. To prawda, był głupi, wszyscy p tym wiedzieli, jak jednak zdołał się wplątać w szaleństwo na tak wielką skalę?

Kilka kiepskich interesów z lichwiarzami byłoby do pojęcia, podobnie jak parę wizyt u magów i alchemików, którzy prowadzili swą podejrzaną działalność we wszystkich miasteczkach Północnych Hrabstw, takich jak Forebridge. Właściwie nie byłoby w tym nic dziwnego, jako że Jillet osiągnął bolesny wiek — był już wystarczająco dorosły, by pragnąć miłości kobiety, lecz jeszcze za młody, by wiedzieć, jak ją zdobyć. Kilka mało ważnych i łatwych do załagodzenia sporów, zrodzonych z rywalizacji zawodowej lub miłosnej — to byłoby nie tylko zrozumiałe, lecz również całkowicie naturalne. Wszak mężczyźni i kobiety zawsze oddawali się takim drobnym, nieszkodliwym głupstwom. Mieszkańcy Forebridge potrafili bez końca debatować o podobnych sprawach, próbując przekonać samych siebie, że mają zbyt wiele rozumu, by mogło się to przytrafić im samym. Któż z nich jednak zaryzykowałby starcie z Kelvenem Divestulata?

Któż chwilami nie podejrzewał, że Kelven jest samym szatanem, a jego smagłe ciało, wydatne mięśnie i nastroszona broda stanowią jedynie maskę?

Co, na wszystkich świętych, opętało Jilleta, że rzucił się na tak głębokie wody?

Prawda — której nikt w Forebridge nigdy nie odgadł — wyglądała tak, że Jillet ściągnął sobie ten los na głowę przez prosty fakt, że podał się za kuzyna Reave’a.

Było to tak. Osiągnąwszy wczesny wiek męski, Jillet padł ofiarą sympatycznej, głupiej i w pełni zrozumiałej namiętności do wdowy Huchette. Przed śmiercią Rudolph Huchette sprowadził

nową żonę — młodą, apetyczną cudzoziemkę — do rezydencji, którą obecnie zajmował Kelven Divestulata. Sądził, że trzymając ją z dala od wielkomiejskiego zepsucia i wyrafinowania, zdoła ocalić jej czystość. Niestety po tym, jak zamieszkał w Forebridge, nie żył wystarczająco długo, by się

przekonać, że jego żona jest cnotliwa z natury i nie potrzebuje żadnej ochrony. Rzecz jasna, młodzi mężczyźni z miasteczka byli zupełnie nieświadomi jej czystości. Wiedzieli tylko, że jest młodą, niedawno owdowiałą, niezmiernie powabną cudzoziemką. Namiętność Jilleta była tylko jedną z wielu podobnych — żarliwych i skazanych na klęskę. Wdowa Huchette prosiła Boga, który czuwał nad jej niewinnością, jedynie o to, by zostawiono ją w spokoju.

Nie ma potrzeby dodawać, że tak się nie stało.

Patrząc na sprawę realistycznie, jedynym z wielbicieli, który miał czelność zakłócić ów spokój, był ponury Kelven. Gdy odtrąciła jego awanse, przystąpił do oblężenia, wykorzystując całą niczemność i spryt swej natury. Po wielu miesiącach zdołał wprowadzić się do rezydencji, która — zgodnie z planami Rudolpha — miała być jej domem aż do śmierci, a następnie pozbawić ją wszelkich możliwości ucieczki, wskutek czego musiała się zgodzić na wykonywanie uciążliwych obowiązków gospodyni, jako że stanowczo odmawiała przyjęcia wątpliwego zaszczytu zostania jego żoną. Zapewne zresztą i tak ją wykorzystał, był bowiem zdolny spętać ją i zgwałcić, by dać wyraz swemu podziwowi.

Jillet i inni mężczyźni zakochani we wdowie nie patrzyli realistycznie na jej sytuację —

podobnie zresztą jak na własną. Jak to zwykle dzieje się z ludźmi, którymi zawładnęła namiętność, woleli sądzić, że sami stanowią najpoważniejszą groźbę dla jej samotności. Jillet —

jak inni podobni mu głupcy — był ślepy na zamiary Kelvena i pogrążał się we mgle spisków, marząc o odkryciu sposobów, które przekonają ją, by wyznała pociąg, jaki z pewnością musiała do niego czuć.

Jillet jednak posunął się w swych działaniach dalej niż większość jego konkurentów, choć bynajmniej nie wszyscy z nich.

Na ogół nie odnosił sukcesów w rywalizacji o kobiety, być może dlatego, że był sympatyczny, a być może dlatego, że był głupi. Twarz i figurę miał nie najgorszą, a jego brązowe oczy wyrażały sympatię z równą łatwością, jak oczy każdego mężczyzny. Jego miły charakter i radosne usposobienie sprawiały, że lubiano go w całym Forebridge. Brakowało mu jednak bezpośredniości i pewności siebie, cech — które budzą pożądanie. Tak samo jak wszędzie, kobiety w Forebridge ceniły i lubiły dobroć, lecz nie oddawały cnoty dobrym ludziom. Wolały bohaterów albo łotrzyków.

Dlatego gdy w Jillecie zrodziła się pasja do wdowy Huchette, był już przyzwyczajony do myśli, że może mu się nie udać.

Przystąpił do oblężenia jakiś rok po śmierci jej męża, podobnie jak Kelven Divestulata, choć o poczynaniach tego ostatniego nikt w Forebridge nie wiedział. Nie był na tyle mądry, by zadać sobie pytania: Dlaczego nie udaje mi się dostać do łóża kobiet? Czego muszę się nauczyć, by mnie pragnęły? Jak mogę pokonać ograniczenia, które nałożyła na mnie natura? Zamiast tego zapytał tylko: Kto może mi pomóc w zdobyciu tej kobiety?

To samo rozwiązanie przyszło już do głowy kilku jego bardziej inteligentnym, lecz równie

nierozsądnym kolegom. Wskutek tego Jillet był chyba piątym czy szóstym mężczyzną z Forebridge, który zwrócił się do najslawniejszego z prowincjonalnych alchemików w hrabstwie z prośbą o eliksir miłosny.

Według niektórych autorytetów najważniejsza różnica między alchemikami a magami polegała na tym, że ci pierwsi mieli więcej okazji, by parać się szarlatanerią, a do tego było to dla nich mniej ryzykowne. Dziedzice i hrabiowie radzili się magów; oracze i dzierżawcy alchemików. Człowiek, do którego zwrócił się Jillet, z pewnością był szarlatanem. Przyznawał

się do tego bez żenady przy ludziach, którzy byli na tyle mądrzy, by niczego od niego nie chcieć, nigdy jednak nie wyznałby prawdy o sobie komuś takiemu jak Jillet.

Bez względu jednak na swą nieuczciwość, miał już serdecznie dosyć nie kończącego się korowodu mężczyzn domagających się od niego eliksiru miłosnego, który podziałałby na wdowę Huchette. Jednego nieszczęśliwego zalotnika można co jakieś sześć miesięcy korzystnie oskubać.

Pięciu czy sześciu w ciągu jednej pory roku wywołuje znużenie. A także niepokój, jako że nawet w Forebridge ludzie mogą rozpoznać szarlatana, jeśli pięć albo sześć eliksirów miłosnych nie przyniesie pożądanego skutku.

— Wracaj do domu — warknął alchemik, usłyszawszy, czego chce Jillet. — Ingrediencje niezbędne do sporządzenia takiego magicznego napoju są drogie i trudno je zdobyć. Nie mogę spełnić twojej prośby.

— Nie dbam o cenę — zaprotestował Jillet, który w owej chwili nie miał w kieszeni złamanego grosza. — Zapłacę tyle, ile będzie trzeba.

Nie poświęcił dotąd kwestii ceny ani jednej myśli, był jednak pewien, że da się ją rozwiązać.

Ostatecznie wdowa Huchette miała złota pod dostatkiem.

Swą pewnością siebie postawił alchemika przed dylematem zupełnie innego rodzaju.

Ostatecznie rezygnacja z okazji zarobku nie leży w naturze szarlatanów. Z drugiej strony, sporządził już zbyt wiele eliksirów miłosnych. Jeśli opatrność nie skłoni wdowy do obdarzenia swymi łaskami kogoś z czterech czy pięciu młodych ludzi, którzy już go odwiedzili, może to zagrozić jego reputacji, a co za tym idzie, również dochodom. Być może nawet jego osobie.

Chcąc się zabezpieczyć, alchemik wymienił sumę, która powinna wprawić w osłupienie każdego syna dzierżawcy.

Ale nie Jilleta. Każda cena byłaby dla niego do przyjęcia, gdyż i tak nie miał zamiaru zapłacić jej z własnej kieszeni.

— Zgoda — rzucił beztrąsko. — Ale jeśli eliksir nie zadziała, zwrócisz mi pieniądze z procentami — dorzucił, chcąc utwierdzić się w wierze we własną bystrość.

Och, oczywiście — zgodził się alchemik, przekonawszy się, że mimo wszystko nie potrafi zrezygnować z okazji zarobku. — Moja magia zawsze działa, a jeśli stałoby się inaczej, będę znał powód. Wróc jutro ze złotem.

Zatrzasnął drzwi, by nie dać Jilletowi szansy na zmianę zdania.

Młodzieniec ruszył do domu, pogrążony w myślach. Miał teraz czas rozważyć spokojnie całą kwestię i zdał sobie sprawę, że sam postawił się w niezręcznej sytuacji. Co prawda, miłość wdowy Huchette z pewnością okaże się korzystną inwestycją, była to jednak tylko inwestycja, a nie gotówka, a alchemik niewątpliwie zażąda tej drugiej. W gruncie rzeczy potrzebował gotówki, by dokonać inwestycji, a nie miał jej, bynajmniej nie na skalę, o której wspomniał alchemik.

Prawda wyglądała tak, że jego śmiertelne oczy nigdy nie oglądały takiego mnóstwa pieniędzy.

Nie miał też skąd ich zdobyć, nie dysponował umiejętnościami, które pozwoliłyby mu je zarobić, ani nie posiadał nic, co mógłby sprzedać za podobną sumę.

Gdzie człowiek, taki jak Jillet z Forebridge, mógł znaleźć tak wielką sumę?

Jak to gdzie?

Gratulując sobie bystrego rozumu, Jillet udał się do lichwiarzy.

Nigdy dotąd nie miał z nimi do czynienia, słyszał jednak różne plotki. Niektórzy z owych

„kupców” uchodzili za bardziej wyrozumiałych od innych, mniej nieprzejednanych w swych żądaniach. Jillet co prawda nie potrzebował niczyjej wyrozumiałości, z zasady jednak wolał

ludzi, których dawało się lubić. Opuściwszy uczciwego alchemika, udał się na poszukiwania sympatycznego lichwiarza.

Niestety, sympatyczni, wyrozumiali lichwiarze okazywali tak wiele dobroci dlatego, że mogli sobie na to pozwolić, fakt ten zaś zawdzięczali temu, iż ich inwestycje rzadko bywały ryzykowne. Nim pożyczili pieniądze, żądali gwarancji. Zbiło to Jilleta z tropu. Był w stanie zrozumieć pojęcie gwarancji — choć z trudem — nie mogło jednak do niego dotrzeć, dlaczego nie może nią być wdowa Huchette. Za pożyczone pieniądze opłaci alchemika, od niego otrzyma eliksir, który pozwoli mu zdobyć wdowę, a z jej majątku opłaci lichwiarza. Na czym polegał

błąd?

Lichwiarz dostrzegł go bez trudu. Odesłał Jilleta, raczej ze smutkiem niż wzgardą.

Inni „kupcy” reagowali podobnie. Choć różnili się stopniem okazywanej litości, odmawiali wszyscy.

No cóż, pomyślał Jillet. Bez pomocy nie mam szans zdobyć wdowy. Muszę mieć ten eliksir.

Zrezygnował więc z poszukiwań sympatycznego lichwiarza i niczym zbłąkana ryba wyruszył



na bardziej mętne wody. Postanowił dobić targu z lichwiarzem, który gardził całym światem, ponieważ się go bał. Przyczyną owego strachu był fakt, że jego zasoby zawsze były zagrożone, to zaś z kolei brało się stąd, że nigdy nie żądał gwarancji, zadowolając się morderczą stopą zysku.

— Jedna piąta! — zaprotestował Jillet. Procent nawet jemu wydawał się wysoki. — Żaden inny kupiec w Forebridge tyle nie żąda.

— Żaden inny kupiec w Forebridge nie ryzykuje tak wiele — wycharczał osobnik, którego pieniądze były zagrożone.

To prawda, pomyślał Jillet, oddając mu sprawiedliwość. Ostatecznie jedna piąta to tylko cyfra, która nie będzie znaczyła wiele, jeśli uda mu się szybko zdobyć wdowę.

— Proszę bardzo — odparł spokojnie. — Jak już mówiłeś, nie domagasz się gwarancji, a mój plan nie może zawieść. Jedna piąta rocznie to niewysoki procent, zwłaszcza... — odchrząknął

dystyngowanie, chcąc podkreślić swe słowa — ...że twoje pieniądze będą mi potrzebne najwyżej na dwa tygodnie.

— Rocznie? — Lichwiarzowiomal nie pękła żyła. — Przy takim ryzyku musisz mi zapłacić jedną piątą tygodniowo albo idź błagać o pieniądze innych głupców podobnych do ciebie, bo ode mnie z pewnością nic nie dostaniesz!

Jedna piąta tygodniowo. Być może Jillet faktycznie poczuł się na moment oszołomiony. Być może posunął się nawet do tego, że zastanowił się nad swym postępowaniem. Jedna piąta tygodniowo, tydzień po tygodniu. A co, jeśli eliksir zawiedzie? Albo zadziała powoli? Nie będzie miał szans zapłacić nawet pierwszej raty, nie wspominając już o drugiej i trzeciej, a co dopiero zwrócić samej pożyczki. Będzie zrujnowany.

Wtem jednak przyszło mu do głowy, że jedna piąta, dwie piąte czy nawet dwadzieścia piątych nie będą miały znaczenia w porównaniu z bogactwem wdowy Huchette, a ponadto będzie żył

szczęśliwie, napawając się świadomością, że w cnotliwy sposób zaspokoił swą namiętność.

Przyjąwszy to wygodne założenie, zgodził się na warunki stawiane przez lichwiarza.

Nazajutrz, dźwigając sakiewkę, w której miał więcej złota, niż widział go przez całe życie, Jillet z Forebridge wrócił do alchemika, który tym razem był przygotowany na jego przybycie.

Podstawą szarlatanerii jest spryt, a alchemik był typowym szarlatanem. Poddał ocenie swego klienta oraz własną sytuację i skrupulatnie zaplanował kolejne działania. Najpierw oczywiście odliczył złoto, sprawdzając każdą monetę oszukańczymi proszkami i autentycznymi zębami.

Sprokował też kilka drobnych pożarów i wybuchów, tylko na pokaz. Jak wszyscy mu podobni, gdy tylko zechciał, potrafił robić wrażenie. Potem zaczął mówić.

— Młody człowieku, nie jesteś pierwszym, który zwraca się do mnie z prośbą o podobny eliksir, ale

pierwszym... — podrzucił w rękę sakiewkę — ...któremu zależy na nim aż tak bardzo. W związku z tym muszę przygotować dla ciebie magię zdolną przewyciężyć wpływ poprzednich zaklęć, nie tylko osiągnąć cel, lecz uczynić to mimo oporu kilku innych czarów. To trudne i niebezpieczne przedsięwzięcie. Żeby się udało, konieczne jest nie tylko twoje bezwarunkowe zaufanie, lecz również śmiałość. Spójrz!

Alchemik zamachał rękami, by wywołać dodatkowe pożary i eksplozje. Gdy wyjątkowo gryzące opary wreszcie się rozwiały, trzymał w ręku skórzany woreczek, zwisający na rzemieniu.

— Będę mówił jasno — ciągnął alchemik — jako że byłbym bardzo niezadowolony, gdyby magia tak czysta i kosztowna zawiodła tylko dlatego, że nie wykonałeś tego, co do ciebie należy.

Musisz nosić ten amulet na szyi, ukryty pod... — miał zamiar powiedzieć „płótnem”, było jednak jasne, że skóra Jilleta nigdy nie zetknęła się z równie szlachetnym materiałem — ...

kaftanem. W razie potrzeby należy z niego skorzystać w taki oto sekretny, lecz niezawodny sposób. — Spojrzał na Jilleta spode łba, jeżąc brwi. — Musisz użyć słów: „Mój kuzyn, Reave Sprawiedliwy”. Jeśli chcesz osiągnąć cel, winienesz też okazać brak skrupułów, tak jak Reave.

Nie wolno ci się cofnąć przed niczym.

Oto było natchnienie alchemika, owoc jego sprytu. Rzecz jasna, woreczek zawierał jedynie cuchnący pył. Magia kryła się w słowach „mój kuzyn, Reave Sprawiedliwy”. Każdy, kto był

skłonny przyznać się do czegoś równie zdumiewającego, mógł być pewien jednego: stanie w obliczu szans, które dotąd pozostawały poza jego zasięgiem. Wszędzie w Północnych Hrabstwach otworzą się przed nim drzwi, wszyscy udzielą mu posłuchania i zwrócą na niego uwagę, bez względu na jego pochodzenie czy brak płóciennych strojów. Można powiedzieć, że alchemik sprzedał mu zaklęcie skuteczniejsze niż wszystkie eliksiry, jakie dotąd wyprodukował.

Otworzy ono przed nim drzwi wielu domów. Niewykluczone również, że — jeśli zaimponuje wdowie Huchette — otworzy drzwi jej serca, któraż bowiem niewinna, bujająca w obłokach kobieta mogłaby się oprzeć czarowi sławy Reave'a?

Jillet rzecz jasna protestował. Ponieważ miał zbyt mało rozumu, by przejrzeć podstęp alchemika, nie rozumiał też jego użyteczności.

— Ależ Reave Sprawiedliwy nie jest moim kuzynem — sprzeciwił się, spoglądając na swego dobroczyńcę. — Wszyscy w Forebridge znają moją rodzinę. Nikt mi nie uwierzy.

Prostak, pomyślał alchemik. Idiota.

— Uwierzą ci — zapewnił z ledwie skrywaną irytacją, biorącą się z obawy, że Jillet zażąda zwrotu złota — jeśli będziesz wystarczająco śmiały i pewny siebie. Słowa nie muszą być prawdą.

To tylko twoja prywatna inkantacja, sposób, który pozwoli ci przywołać moc amuletu, nie zdradzając, co robisz. Magia zadziała, jeśli tylko jej zaufasz.

Jillet nadal się wahał. Mimo siły, z jaką zawładnęła nim myśl o wdowie Huchette, nie zdawał

sobie sprawy z potęgi umysłu, nie rozumiał, jakie korzyści może mu przynieść stwierdzenie, że jest spokrewniony z Reave'em.

— Jak to możliwe? — zapytał, zwracając się raczej do powietrza niż do alchemika. Ten ostatni — z pewnością celowo — podważył jego wyobrażenie o świecie i to świat powinien mu odpowiedzieć na to pytanie. — Chcę, by eliksir miłosny sprawił, że wdowa spojrzy na mnie przychylniej — ciągnął, usiłując ubrać w słowa swe wątpliwości. — Co osiągnę, mijając się z prawdą albo udając?

Być może jego niewinność tłumaczyła częściowo fakt, że lubiano go w Forebridge, nie wzbudziła ona jednak sympatii alchemika.

— Wysłuchaj mnie — prostaku, pajacu, przygłupie. — To bardzo cenne zaklęcie i jeśli go nie potrzebujesz, zaoferuję je komuś innemu — mówił szarlatan. — Obiekt twych pragnień nie czuje do ciebie pożądania. Jeśli chcesz, by było inaczej, coś musi się zmienić. Trzeba albo zmusić wdowę, by — stłumiła naturalną odrazę, jaką budzi w niej taki głąb — poczuła do ciebie żądzę, albo uczynić cię atrakcyjnym w jej oczach. Oferuję ci obie te rzeczy. Amulet, jeśli zrobisz z niego właściwy użytek, wzbudzi w niej pożądanie, a śmiałe czyny i sława kuzyna Reave'a Sprawiedliwego uczynią cię atrakcyjnym. Czegóż chcesz więcej?

Jillet miał w głowie zamęt. Nie był przyzwyczajony do podobnie abstrakcyjnych rozważań.

Na szczęście dla sakiewki alchemika głowę młodzieńca wypełniała jednak nie myśl, lecz wizja

— wizja lichwiarza, który domagał się procentów w wysokości jednej piątej tygodniowo i sprawiał wrażenie zdolnego zjeść na obiad podroby z Jilleta, jeśli ten nie spełni jego żądań.

Spojrząwszy na swą sytuację pod kątem nie myśli, lecz obrazu, Jillet przekonał się, że może się posuwać tylko naprzód. Za jego plecami czaiły się groźby zbyt przerażające, by odważył się stawić im czoło, przed sobą zaś widział wdowę Huchette i namiętność.

— Proszę bardzo — zgodził się, po raz pierwszy próbując naśladować osławione zdecydowanie Reave'a. — Daj mi ten woreczek.

Alchemik wręczył mu go z poważną miną.

Jillet z równą powagą zawiesił sobie rzemień na szyi, ukrywając amulet pod kaftanem.

Następnie ruszył do Forebridge, uzbrojony w magię i spryt, lecz nie mający pojęcia, co począć z owym orężem.

W jego umyśle wciąż rozbrzmiewały słowa „zaufanie”, „śmiałość” i „brak skrupułów”. Jakie jednak było ich znaczenie? Zaufanie było dla niego czymś naturalnym, śmiałości nie pojmował, w pojęciu „brak skrupułów” pobrzmiwała zaś nuta nieuczciwości. Razem tworzyły połączenie równie osobliwe, jak świnia z głową kury. Albo sympatyczny lichwiarz. Jillet był kompletnie oszołomiony.

I w takim stanie napotkał jednego ze swych konkurentów do łoża wdowy Huchette — tęgiego, kudłatego i często pijanego producenta strzał imieniem Słup. Nie dalej niż przed kilkoma dniami uważał on Jilleta za rywala, być może nawet wroga, i odnosił się do niego po grubiańsku, co zbijało z tropu miłego dla wszystkich młodzieńca. Od tamtej pory jednak Siup zdążył odwiedzić alchemika i zaopatrzyć się w eliksir, a świeżo zdobyta pewność siebie pozwoliła mu odzyskać typową dla niego dobroduszość. Pozdrowił głośno Jilleta, pytając, gdzie też jego stary przyjaciel ukrywał się cały dzień.

Zaufanie — pomyślał Jillet. Śmiałość. Brak skrupułów. To z pewnością naturalne, że zwykłym ludziom magia wydaje się pozbawiona sensu. Dlatego, jeśli taki człowiek chciał skorzystać z pomocy magii, musiał postępować bezsensownie. Zebrał się na odwagę.

— Musiałem pogadać z moim kuzynem, Reave'em Sprawiedliwym — odparł, po czym wyminął Słupa, nie udzielając dalszych wyjaśnień.

Choć, rzecz jasna, o tym nie wiedział, uczynił już wystarczająco wiele. Tymi kilkoma słowami wezwał moc. Nie moc amuletu, lecz myśli. Siup powtórzył to, co usłyszał, innym ludziom, którzy z kolei przekazali tę informację następnym. Po kilku godzinach rozprawiła już o tym cała wieś. Brak wyjaśnienia: — Skąd Jillet wziął takiego kuzyna? Dlaczego nigdy dotąd o nim nie wspominał? Jak to możliwe, by sam Reave Sprawiedliwy zdołał odwiedzić Forebridge, nie przyciągając niczyjej uwagi? — nie był bynajmniej utrudnieniem. Wręcz przeciwnie, zwiększał

tylko oddziaływanie rewelacji Jilleta. Gdy młodzieniec wybrał się wieczorem do swej ulubionej gospody w nadziei, że spotka tam jakiegoś serdecznego przyjaciela, który postawi mu kufel ale, przekonał się, że we wszystkich jego znajomych — albo w nim samym — zaszła radykalna zmiana.

Wchodząc do karczmy, czuł się — w miarę swych możliwości — poważnie zaniepokojony.

Im więcej się nad tym zastanawiał, tym dobitniej zdawał sobie sprawę, że nie rozumie ryzyka, które podjął, udzielając Słupowi podobnej informacji. Ostatecznie, jakie miał doświadczenie w sprawach alchemii? Jak miał zdobyć pewność, że okaże się ona skuteczna? Znał takie sprawy tylko ze słyszenia, z opowieści o alchemikach i magach, czarownicach i czarnoksiężnikach.

Okres, który upłynął między rozmową ze Słupem a wizytą w karczmie, nauczył go o zwątpieniu więcej niż bardziej praktyczna kwestia długu zaciągniętego u lichwiarza. Wchodząc do gospody, obawiał się, że przywita go ryk śmiechu.

Przywołał jednak moc myśli, a jej magia brała się częściowo stąd, iż żaden człowiek na świecie nie odważyłby się zapytać go prosto z mostu o pokrewieństwo z Reave'em Sprawiedliwym. Nikt nie zawołał do Jilleta: „Co ty za bzdury wygadujesz!” Gdyby słowa młodzieńca okazały się prawdą, konsekwencje mogłyby być zbyt poważne. O Reavie Sprawiedliwym opowiadano wiele różnych historii, a niektóre z nich brzmiały złowieszczo.

Podobno patroszył wrogów jak ryby, poddawał eksterminacji całe rodziny, obalał prawa i sędziów. Nikt nie uwierzył w przechwałkę Jilleta, lecz nikt też nie odważył się jej kwestionować.

Gdy młodzieniec wszedł do karczmy, nie przywitał go śmiech. Wewnątrz zapadła nagle cisza, zupełnie jakby zjawił się sam Reave. Wszyscy zwrócili oczy na Jilleta: niektórzy zamyśleni, całkiem liczni zaś podekscytowani. Wtem ktoś przywitał go głośno i pomieszczenie wypełniło się wrzaskiem, który wydawał się nienaturalnie hałaśliwy po ciszy, która panowała tu przedtem.

Jillem zawładnął biesiadny nastrój przyjaciół i znajomych.

Ale lało się szczerze, choć nie miał gotówki, by za nie zapłacić. Jego żarty wywoływały głośny śmiech i serdeczne poklepywanie po plecach, mimo faktu, że był raczej przyzwyczajony do słuchania kawałów opowiadanych przez innych niż do opowiadania ich samemu. Mężczyźni tłoczyli się wokół niego, ciekawi jego zdania, i Jillet przekonał się z zaskoczeniem, że ma zdanie na bardzo wiele tematów. Twarze otaczających go ludzi zrobiły się czerwone od ale, blasku ognia i zadowolenia. Nigdy jeszcze nie czuł się tak serdecznie kochany.

Rozgrzała go owa bezprecedensowa wesołość, mógł jednak sobie pogratulować, bo powstrzymał się od wszelkich wzmianek o alchemikach czy wdowach. Zachował choć tyle zdrowego rozsądku. Z drugiej strony, nie potrafił się oprzeć pokusie i w kilku strategicznych momentach napomknął o „moim kuzynie, Reavie Sprawiedliwym”. Były to jedynie eksperymenty, pozwalające mu zapoznać się z potęgą myśli.

Z uwagi na owe wzmianki dziewczka służebna, która była dorodna i gorąca, lecz — choć zawsze go lubiła — nie chciała się z nim przespać, zatrzymywała się trochę dłużej przy jego łokciu za każdym razem, gdy napełniała mu kufel. Dłońmi raz po raz muskała jego ramię, a tłum napierał na nią tak, że przyciskała ciało do jego boku. Gdy spoglądała na niego, jej oczy lśniły.

Jillet ze zdumieniem przekonał się, że kiedy położył rękę na jej ramieniu, dziewczyna jej nie strąciła, lecz wyprowadziła go powoli z tłumu i powiodła korytarzem do swego pokoju.

Był to najbardziej udany wieczór w całym życiu Jilleta z Forebridge. Jej łoże i ciało pomogły mu odnaleźć w sobie mężczyznę, jakim zawsze pragnął zostać. Rankiem wątpliwości opuściły go na dobre, a to, co służyło mu za zdrowy rozsądek, zatopiły mętne wody magii, sprytu i konieczności.

Nie zważając na pulsujący w głowie ból i obrzmiały język, Jillet z Forebridge ochoczo przystąpił do obłożenia rezydencji, majątku oraz cnoty wdowy Huchette.

Zabrał się do tego w bezpośredni, pozbawiony wyobraźni sposób. Podeszedł do bramy domu i oznajmił, że chce porozmawiać z jego właścicielką.

W tej samej chwili natknął się jednak na nieoczekiwaną przeszkodę. Tak jak prawie wszyscy mieszkańcy miasteczka — z wyjątkiem, być może, niektórych spośród jego najnowszych znajomych, lichwiarzy, którzy jednak nic mu o tym nie powiedzieli — nie zdawał sobie sprawy, że pretensje do wdowy po Rudolphie jako pierwszy zgłosił Kelven Divestulata. Nie miał pojęcia, że stał się on niedawno panem dziedzictwa wdowy Huchette, jej majątku oraz osoby. Zapewne nie potrafiłby sobie nawet wyobrazić, że ktokolwiek mógłby tak postąpić.

Jillet z Forebridge nie miał pojęcia o ludziach podobnych do Kelvena Divestulaty.

Na przykład, nie wiedział nic, co nasunęłoby mu myśl, że Kelven nawet nie próbował zalecać się do wdowy. Z pewnością zaloty były naturalnym wyrazem namiętności. Być może u innych mężczyzn, ale nie w przypadku Kelvena. Od chwili, w której zrodziło się w nim pożądanie, aż po moment, gdy znalazł się w sytuacji, która pozwoliła mu je zaspokoić, rozmawiał z obiektem swych pragnień tylko raz.

Stanął przed wdową — bez żadnych podarunków czy uprzejmości — i zażądał prosto z mostu:

— Zostań moją żoną.

Ledwie odważyła się na niego spojrzeć, nim ukryła twarz.

— Mój mąż nie żyje — odparła ledwie słyszalnym głosem. — Nigdy już nikogo nie poślubię.

Prawda wyglądała tak, że kochała Rudolpha tak mocno, jak tylko pozwalała na to jej niewinność oraz brak doświadczenia, i nie miała zamiaru nikim go zastępować.

Gdyby jednak odważyła się spojrzeć na Kelvena, zauważyłaby, że jej gość zaciska szczęki, a żyła na skroni pulsuje mu nieubłaganie.

— Nie toleruję odmowy — oznajmił głosem brzmiącym jak zapowiedź zguby. — I nigdy o nic nie proszę dwa razy.

Co smutne, wdowa była zbyt niewinna — czy może za bardzo nieświadoma — żeby obawiać się zguby.

— W takim razie musisz być najniezwyklejszym z ludzi — odparła z powagą w głosie.

Tak oto zaczęła się i zakończyła jedyna rozmowa, jaką odbyła ze swym jedynym wrogiem.

Podobnie jak tej konwersacji, Jillet nigdy nie potrafiłby sobie wyobrazić reakcji Divestulaty.

W pewnym sensie prawdą byłoby stwierdzenie, że w Forebridge więcej wiedziano o Reavie Sprawiedliwym, który nigdy nie postawił nogi w osadzie, niż o Kelvenie Divestulacie, którego rodzinny dom znajdował się niecałą godzinę jazdy od niej. Reave zawsze był wdzięcznym tematem do powieści i plotek, o Kelvenie zaś nie mieli ochoty rozmawiać ani mędracy, ani głupcy.

Dlatego tylko nieliczni — a już na pewno nie Jillet — wiedzieli o pełnym brutalności i pasji małżeństwie rodziców Kelvena, o śmierci jego ojca, który padł trupem w ataku szału, rażony apopleksją, czy o okrutnej goryczy, którą matka skierowała na chłopca, gdy zabrakło jej głównego przeciwnika. Jeszcze mniej liczni znali okoliczności jej gwałtownego, przedwczesnego zgonu. Nikt zaś nie był świadomy faktu, że to Kelven skrycie zaaranżował śmierć obojga rodziców, nie z powodu tego, jak go traktowali — to rozumiał i do pewnego stopnia aprobował

— lecz dlatego, że uznał, iż opłaci się mu, jeśli się ich pozbędzie, najlepiej w sposób, który przysporzy im jak najwięcej cierpień.

Można by oczekiwać, że służący i czeladź będą znali prawdę lub się jej domyśla i że przynajmniej jeden z nich coś komuś o tej sprawie napomknie, ale w kilka miesięcy po zgonie matki Kelven zdołał odprawić całą służbę rodziców, zastępując ją kucharzami, posługaczkami i stajennymi, którzy nie wiedzieli nic, a mówili jeszcze mniej, zabezpieczając się w ten sposób —

na ile to tylko możliwe — przed plotkami.

W rezultacie nieliczne historie, które o nim opowiadano, przypominały nieco legendy, zupełnie jakby mówiły o jakimś innym Divestulacie, który żył dawno temu. Na ogół dotyczyły one albo znacznych sum pieniędzy, albo młodych kobiet, które przyciągnęły jego uwagę, a potem zniknęły. Wszyscy zapewniali, że prawdą jest, jakoby chyba ze trzech lichwiarzy musiało uciekać z Forebridge, przeklinając imię Kelvena. Nie można też było zaprzeczyć, że od czasu do czasu znikła jakaś młoda kobieta. Niestety świat pełen był niebezpieczeństw, zwłaszcza dla młodych kobiet, i ich losu nigdy nie poznano. Jedyne sędzia z Forebridge, który posunął się do tego, iż przesłuchał w tej sprawie Divestulatę, popadł następnie w takie przygnębienie, że odebrał

sobie życie.

Nie ulegało wątpliwości, że stylowi życia Kelvena nic nie mogło zagrozić.

Mimo to, z sobie tylko znanych powodów, Divestulata zapragnął mieć żonę. Był przy tym przyzwyczajony zawsze zdobywać to, czego pragnął. Gdy wdowa Huchette go odtrąciła, nie zniechęcił się, lecz postanowił osiągnąć cel określną drogą.

Zaczął od przejmowania inwestycji, które miały zabezpieczyć przyszłość wdowy. Ponieważ ich nie potrzebował, pozwolił, by popadły w ruinę. Następnie wykupił weksle jej zmarłego męża od lichwiarza, który był ich posiadaczem. Nie była to wielka suma, lecz pozwoliła mu wejść do kompanii importowej, której Rudolph Huchette zawdzięczał swe bogactwo. Nawiązał kontakt z jej księgowymi, pośrednikami i wspólnikami, a zdobyta w ten sposób wiedza pozwoliła mu wywrzeć nacisk na dostawców sprowadzanych przez kompanię towarów i po względnie krótkim czasie stać się jej właścicielem.

Mógł wówczas z dziecinną łatwością ujawnić — rzecz jasna, w obecności sędziego — fakt, że Rudolph Huchette zdobył majątek drogą defraudacji pieniędzy kompanii. Z biegiem czasu cała owa fortuna przeszła w ręce Kelvena, który stał się właścicielem domu wdowy Huchette, posiadaczem wszystkich zasobów i gotówki, od których była zależna wskutek małżeństwa.

Oczywiście nie wygnał jej z domu, który do tej pory należał do niej. Dokąd miałyby pójść?

Zatrzymał ją u siebie, zamykając drzwi rezydencji. Jeśli nawet się sprzeciwiała, jej głos zagłuszyły grube mury.

Gdy Jillet zapukał do drzwi stróżówki rezydencji, domagając się rozmowy z wdową, nic o tym wszystkim nie wiedział. W rezultacie spotkało go niemiłe zaskoczenie, gdy zaprowadzono go nie do salonu wdowy, lecz do gabinetu jej nowego pana, Divestulaty.

Pomieszczenie to musiało zaimponować komuś takiemu jak Jillet, który nigdy nie widział tak wielkiej ilości polerowanego dębu i mahoni, takiego mnóstwa mosiądzu i pięknej skóry. Gdyby nie jego bezprecedensowe sukcesy poprzedniego wieczoru, ból głowy, który stępił reakcje, oraz nowo zdobyty patent na śmiałość, już ten zwykły pokój wystarczyłby, żeby go zastraszyć.

Wyrecytował jednak litanię, której nauczył go alchemik, a słowa „zaufanie”, „śmiałość” oraz

„brak skrupułów” pozwoliły mu znieść wypełniającą to miejsce aurę na tyle dobrze, że zauważył, iż sam Kelven wywiera jeszcze bardziej imponujące wrażenie, nie z uwagi na wzrost czy tuszę, lecz z powodu złośliwego, uporczywego spojrzenia, które wlepił we wszystko, co miał przed sobą. Gabinet był słabo oświetlony, a czerwone odbicie blasku świec w jego oczach budziło myśl o szatanie i ogniach piekielnych.

Na szczęście Kelven nie zwrócił od razu uwagi na Jilleta, ale przez pewien czas przeglądał

jeszcze dokument, który trzymał w masywnych dłoniach. Niewykluczone, że chciał w ten sposób okazać gościowi pogardę, lecz dał mu tylko czas potrzebny na to, by zacisnąć dłoń na ukrytym magicznym woreczku, przypomnieć sobie rady alchemika i odzyskać pewność siebie.

Wreszcie Kelven przestał studiować dokument, czy też udawać, że to robi.

— Jaki masz interes do mojej żony? — zapytał bez żadnych wstępów, uniósłszy złowrogo głowę.

Jeszcze niedawno na takie dictum Jillet zapomniałby języka w gębie. Żony? Wdowa zdążyła już zostać żoną Kelvena Divestulaty? Teraz jednak magiczny woreczek i inkantacja skłaniały go do lekkomyślności. To niemożliwe, by Kelven poślubił wdowę. A dlaczego? Dlatego, że podobne rozczarowanie nie mogło spotkać człowieka, który dzięki uczciwie zdobytemu złotu i odwadze uzyskał prawo, by zwać się kuzynem Reave'a Sprawiedliwego. Myśl, że wdowa Huchette mogłaby być żoną Kelvena, zakrawała na kpinę zarówno ze sprawiedliwości, jak i z alchemii.

— Panie — zaczął Jillet. Uzbrojony w swą cnotę i magię, mógł sobie pozwolić na uprzejmość.

— „Interes” mam do wdowy. Jeśli rzeczywiście jest twą żoną, powie mi o tym sama. Pozwól jednak, bym wyznał ci szczerze, że nie rozumiem, czemu niżasz się do wygłaszania kłamstw.

Bez kapłańskiego błogosławieństwa małżeństwo nie może być ważne, a błogosławieństwa nie sposób otrzymać, dopóki nie da się na zapowiedzi, czego wszak nie uczyniłeś.

Jillet przerwał, chcąc sobie pogratulować. Magia alchemika z całą pewnością była skuteczna.

Już w tej chwili miał więcej śmiałości niż kiedykolwiek w życiu.

W gruncie rzeczy, zrobił się tak śmiały, że nie zauważył, iż Kelven przymrużył oczy i zacisnął

dłonie. Nie zważał na niebezpieczeństwo. Uśmiechnął się uprzejmie do Divestulaty, który wstał z krzesła, by mu odpowiedzieć.



— Jest moją żoną — oznajmił z naciskiem Kelven — ponieważ ja tak mówię. Niepotrzebna mi niczyja aprobata.

Jillet zamrugał raz czy dwa.

— Czy dobrze cię pojmuję, panie? Zwiesz ją swą żoną, mimo że przyznajesz, iż nie wzięliście ślubu?

Kelven przyglądał się bez słowa swemu gościowi.

— W takim razie tą sprawą muszą się zająć sędziowie. — Można powiedzieć, że Jillet nie słyszał własnych słów. Z pewnością nie tracił czasu na rozważania, czy przypadną one do gustu Divestulacie. Myślał tylko o alchemii i inkantacjach. Radował się swą nowo zdobytą śmiałością, zastanawiając się, jak daleko zdoła się posunąć, nim poczuje potrzebę napomknięcia o swym kuzynie. — Sakrament małżeństwa ma na celu ochronę kobiet przed tymi, którzy są silniejsi, by nie musiały wiązać się z żadnym mężczyzną wbrew swej woli. — Owej pięknej tezy nie wymyślił sam. Niemal dosłownie powtórzył to, co niegdyś usłyszał w szkole od kapłanów. —

Jeśli nie poślubiłeś wdowy Huchette, muszę uznać, że nie chciała za ciebie wyjść. A w takim razie... — Jilletowi wręcz zakręciło się w głowie — ... nie jest twą żoną, a niewolnicą. Radzę ci, byś pozwolił mi z nią pomówić.

Wypowiedziawszy te słowa, Jillet pokłonił się Divestulacie, nie z uprzejmości, lecz ze skrywanego zachwytu. Kelven był jedynym widzem jego występu, i jak aktor, który wie, że wypadł dobrze, młodzieniec wykonał ukłon przed publicznością. Szczerze mówiąc, niewykluczone, że wciąż pozostawał pod wpływem wypitego wczoraj ale.

Rzecz jasna, Kelven patrzył na to nieco inaczej. Gdy skierował wzrok na Jilleta, jego twarz nie wyrażała nic poza typową dla niego złością.

— Wspominałeś o sędziach — stwierdził po chwili. Nie sprawiał wrażenia człowieka, który się czegoś boi, lecz raczej takiego, który wyrzeka się odpowiedzialności za to, co stanie się później. Podjąwszy decyzję, uderzył w dzwonek, stojący na biurku. — Możesz pomówić z moją żoną — dodał.

Pojawił się sługa, który przedtem przyprowadził Jilleta do gabinetu Divestulaty.

— Powiadom moją żonę, że ma nas przyjąć — polecił mu Kelven.

Służący pokłonił się i wyszedł.

Jillet rozpromienił się w duchu. To dopiero był triumf! Nawet taki człowiek jak Kelven Divestulata nie potrafił się oprzeć działaniu alchemii. A jeszcze nawet nie wspomniał o Reavie Sprawiedliwym. Z pewnością osiągnie swój cel. Wdowa ulegnie jego magii, a Kelven wycofa się przed groźbą sądu i wszystko będzie tak, jak Jillet sobie wymarzył. Uśmiechnął się uszczęśliwiony do swego gospodarza i nie opierał się, gdy Kelven ujął go za ramię.

Mogło to jednak okazać się błędem, jako że uścisk Divestulaty był mocny, a wręcz brutalny.

Dotyk palców wpijających się w ciało młodzieńca szybko przegnał uśmiech z jego warg. Choć Jillet również był krzepki, albowiem całe życie ciężko pracował, pobladł na myśl o sile Kelvena.

Tylko duma i zaskoczenie pozwoliły mu stłumić sprzeciw.

Bez słowa — i bez pośpiechu — Kelven zaprowadził Jilleta do pomieszczenia, w którym nakazał żonie czekać na gości.

W przeciwieństwie do gabinetu Divestulaty salon wdowy był jasno oświetlony, nie przez lampy czy świece, lecz przez blask słońca. Ona sama kąpała się w jego świetle — być może dlatego, że kochała słońce, a być może dlatego, że chciała, by ją wyraźnie widziano. Dzięki temu natychmiast dało się zauważyć, że nadal ma na sobie żałobne szaty, bez względu na to, że została

„żoną” Divestulaty. Nie sposób też było przeoczyć bladości jej pociągłej twarzy, zapadniętych policzków i mrocznego wyrazu bólu w oczach. Gdy tylko Kelven na nią spojrzał, wzdrygnęła się bez ogródek.

Divestulata nadal nie puszczał ramienia Jilleta.

— Ten bezczelny skurwiel — oznajmił wdowie, jakby młodzieńca wcale tu nie było — uważa, że nie jesteśmy małżeństwem.

Wdowa mogła cierpieć, a nawet czuć przerażenie, wciąż jednak była prawdomówna.

— Me ciało i życie należy do Rudolpha Huchette — rzekła cichym, słabym głosem, nie odrywając spojrzenia od dłoni, które splotła na kolanach. — Nigdy już nikogo nie poślubię.

Jillet ledwie ją słyszał. Musiał zacisnąć zęby, by stłumić jęk bólu wywołany uściskiem Kelvena.

— Uważa — ciągnął Divestulata, nadal zwracając się tylko do wdowy — że należy powiadomić sędziów o tym fakcie.

Na te słowa wdowa uniosła głowę. Słońce rozświetliło iskierki nadziei, które rozbłysły w jej oczach, lecz natychmiast zgasły, gdy uważniej przyjrzała się Jilletowi.

Pokonana, ponownie zwiesiła głowę.

Kelvena to nie usatysfakcjonowało.

— Jak brzmi twoja odpowiedź? — zapytał.

Z brzmienia głosu wdowy jasno wynikało, że nie miała jeszcze czasu przyzwycząić się do myśli o porażce.

— Mam nadzieję, że to uczyni — rzekła — ale sądzę, iż okazał się głupcem, zdradzając ci swe zamiary.

— Pani — wystękał Jillet, wciągając mimo woli powietrze. Opuściło go poczucie triumfu, a nawet nadzieja. Uścisk DWestulaty wprost miażdżył mu ramię. — Każ mu mnie puścić.

Phi! — Nieznacznym ruchem dłoni Kelven obalił Jilleta na podłogę. — To zniewaga, że taki prostak jak ty próbuje mnie straszyć. — Zwrócił się ku wdowie. — Jak twoim zdaniem powiniennem postąpić, jeśli z twojego powodu spotykam się z podobnymi pogrozkami?

Choć wdowa po Rudolphie wiele wycierpiała, nadal potrafiła litować się nad głupcami. Jej głos stał się jeszcze cichszy i słabszy, zachował jednak wyrazistość.

— Puść go. Niech sobie idzie do sędziów. Kto mu uwierzy? Kto postawi słowo zwykłego parobka wyżej niż słowo Kelvena Divestulaty? Niewykluczone, że będzie się wstydził

komukolwiek o tym opowiedzieć.

— A jeśli nie będzie? — odparł natychmiast Kelven. — Jeśli sędzia go wysłucha i potraktuje na tyle poważnie, by poddać cię przesłuchaniu? Co mu powiesz?

Wdowa nie unosiła spojrzenia. Nie musiała już patrzeć na swego „męża”.

— Powiem, że jestem więźniem twojej złej woli i igraszką twojej żądz, i dziękowałabym Bogu za Jego łaskę, gdyby pozwolił mi umrzeć.

— Dlatego właśnie nie mogę go wypuścić. — W głosie Kelvena pobrzmiwała dziwna satysfakcja, jakby mógł teraz zaspokoić jakieś niejasne pragnienie. — Być może złożę władzę nad jego życiem w twe ręce. Chciałbym zobaczyć, jak z nim cudzołożysz. Jeśli uczynisz to dla mojej rozrywki, pozwolę mu żyć.

Jillet nie usłyszał odpowiedzi, której udzieliła wdowa na tę sugestię. Być może nie słyszał

zbyt dokładnie żadnego ze słów, które Divestulata wymienił ze swą „żoną”. Wstyd palił go dotkliwie, a bólowi w ramieniu towarzyszyło gwałtowne pulsowanie w głowie. Szczerze mówiąc, był zbyt zajęty przeklinaniem siebie za to, że nie skorzystał wcześniej z mocy alchemii, by słuchać tego, co o nim mówiono. Wiedział, że zachował się jak głupiec, sądząc choćby przez chwilę, że o własnych siłach potrafi odnieść triumf, który mogła mu zapewnić jedynie magia.

Dlatego podniósł się z podłogi i stanął między Kelvenem a wdową.

— Nie zniosę tego — wydyszał, przyciskając rękę do ciała. — Gdy mój kuzyn, Reave Sprawiedliwy, o tym usłyszy, będzie wściekły.

Choć Kelvena Divestulaty i wdowę Huchette dzieliło wiele różnic, ich reakcja była identyczna. Oboje znieruchomieli, jakby magia imienia „Reave Sprawiedliwy” obróciła ich w kamień.

— Mój kuzyn nie jest wyrozumiały — ciągnął Jillet, kierowany wstydem, bólem i świeżo zdobytym zrozumieniem potęgi myśli. — Cały świat o tym wie. Nie ma cierpliwości dla krzywdy, tyranii i znęcania się nad bezbronnymi, a gdy wpadnie we wściekłość, nie pozwala, by cokolwiek stało mu

na drodze. — Być może to głupota pozwalała mu mówić z pełnym przekonaniem. Każdy, kto nie był głupi, zrozumiałby, że powiedział już zbyt wiele. — Jeśli jesteś rozsądny, sam pójdziesz ze mną do sędziego i przyznasz się do wszystkiego, co uczyniłeś tej kobiecie. On potraktuje cię łagodniej niż Reave Sprawiedliwy.

— Ty głupcze. Sam wydałeś na siebie wyrok — powiedzieli chórem wdowa i Kelven, nadal zjednoczeni potęgą owego imienia.

— Teraz z pewnością cię zabije — rzekła ona.

— Teraz z pewnością zostawię cię przy życiu — brzmiały jego słowa.

Gdy Jillet to usłyszał, przez chwilę czuł się dezorientowany, bezpodstawnie sądząc, że mu się udało, że ocalił wdowę i siebie, że pokonał Divestulatę. Potem Kelven obalił młodzieńca na podłogę, wyprowadzając go z błędu.

Kiedy Jillet się ocknął, dręczyły go ból głowy, słabość w kościach i pragnienie, silniejsze niż kiedykolwiek w życiu. Był uwięziony w pomieszczeniu, z którego nigdy nie wyszedł nikt poza Kelvenem i jego robotnikami. Podobny pokój znajdował się w rodzinnym domu Divestulaty, który cenił jego przydatność, i wkrótce po tym, jak został właścicielem rezydencji, kazał wykuć taką samą celę w skale poniżej fundamentów. Nikt w Forebridge nie wiedział o jej istnieniu.

Wykopaną ziemię i resztki skał ukryto, wykorzystując je potem do innych prac budowlanych, zwłaszcza do wzniesienia psiarni, w których Kelven trzymał mastify hodowane do polowania i podobnych celów. Następnie odesłał robotników do innych hrabstw, daleko od Forebridge. Gdy Jillet odzyskał przytomność, znajdował się w lochu, w którym nie tylko nikt nie mógł usłyszeć jego krzyku, lecz również nikt nie miał go szukać.

Zresztą czuł się zbyt słaby i nieszczęśliwy, by krzyczeć. Cios Kelvena omal nie rozbił mu czaszki, a związane w nadgarstkach ręce przykuto mu do ściany tak, że musiał je trzymać uniesione, co groziło wyrwaniem ich ze stawów. Nie zdziwiła go obecność światła. Na ławie, w odległości kilku stóp, stała zatknięta w ściekającym łożu świeca. Był zanadto oszołomiony i cierpiał zbyt wielkie niewygody, by pozwolić sobie na luksus zastanawiania się nad obecnością światła lub jego brakiem.

Na ławie, obok świecy, siedział Kelven Divestulata — zgęstnienie ciemności majaczące w półmroku niby demon.

— Ach — wydyszał cicho — otwierasz oczy. Unosisz głowę. Zaczyna się ból. Opowiedz mi o pokrewieństwie, które łączy cię z Reave'em Sprawiedliwym.

No cóż, Jillet był głupi. Alchemia go zawiodła, a potęga myśli okazała się drobiazgiem w porównaniu z potęgą pięści Kelvena. Szczerze mówiąc, całe życie był zdany na łaskę losu bądź

też decyzji, potrzeb czy nawet kaprysów innych ludzi. Nie był godnym przeciwnikiem dla kogoś takiego jak Divestulata.

Niemniej jednak kochano go w Forebridge nie bez powodu. Ów powód zwano zwykle

„dobroduszną”, lecz równie dobrze można by mu nadać nazwę „dobroci” lub „serdeczności”.

Nie odpowiedział na pytanie Kelvena.

— To niesprawiedliwe — rzekł, nie zważając na ból. — Ona na to nie zasługuje.

— Ona? Mówisz o mojej żonie? — Kelven był nieco zaskoczony. — Nie rozmawiamy o niej, a o twoim kuzynie, Reavie Sprawiedliwym.

— Ona jest słaba, a ty jesteś silny — nie ustępował Jillet. — Nie godzi się, byś się nad nią znęcał tylko dlatego, że nie może ci się sprzeciwić. Takim postępowaniem skazujesz się na potępienie. Ale ty pewnie nie dbasz o duszę. — To była dla Jilleta zaskakująca myśl. — Powinno cię jednak obchodzić, że ponizas się, wykorzystując swą siłę przeciw kobiecie, która nie może się bronić.

— On słynie z tego, że wścibia nos w cudze sprawy — ciągnął Kelven, jakby Jillet nic w ogóle nie powiedział. — Jego sława dociera bardzo daleko. Mam ochotę położyć temu kres. Z

pewnością są to jedynie plotki, ale takie gadanie jest dla mnie zniewagą. Zdecydowanie położę temu kres.

— Nic dziwnego, że nie chce za ciebie wyjść. — Głos Jilleta zaczynał się załamywać.

Młodzieniec tylko z wysiłkiem powstrzymywał łzy. — Dziwne jest raczej to, że nie odebrała sobie życia, żeby nie musieć znosić twego dotyku.

— Ty prostaku! — warknął Kelven, wyprowadzony na chwilę z równowagi. — Nie odbierze sobie życia, bo ja jej na to nie pozwolę. — Natychmiast jednak odzyskał spokój. — Powiedziałeś jednak coś, co nie jest głupie. Silny człowiek, który używa swej siły tylko przeciw słabym, z czasem sam staje się słaby. Postanowiłem zająć się czymś bardziej pożytecznym. Uwolnię świat od tego całego „Reave’a Sprawiedliwego”. Powiedz mi, jak zamierzasz skłonić tego swojego kuzyna, żeby zainteresował się moimi sprawami. Być może pozwolę ci go wezwać... —

Divestulata zarechotał ochryple — ...żeby uratował ciebie i moją żonę.

Jillet w końcu się załamał. Zalał się łzami, zrozpaczony swą bezradnością i szaleństwem. Nie pojmował, dlaczego Kelven zamierza zachować go przy życiu, choć wdowa Huchette przewidywała, że go zabije. Belkocząc, płacząc, czyniąc sobie wyrzuty i błagając o litość, wyznał

Divestulacie prawdę.

— Wcale nie jestem spokrewniony z Reave’em Sprawiedliwym. To jest niemożliwe.

Podawałem się tylko za jego kuzyna, bo tak mi poradził alchemik. Chciałem jedynie dostać eliksir miłosny, który pozwoli mi zdobyć serce wdowy, lecz on przekonał mnie, że potrzebne mi coś innego.

Jillet nie był już w stanie zrozumieć, iż jeszcze żyje tylko dzięki temu, że Kelven mu nie uwierzył.

A ponieważ mu nie uwierzył, ich rozmowa stawała się coraz bardziej monotonna. Kelven zadawał pytania; Jillet mu nie odpowiadał. Kelven nalegał; Jillet protestował. Kelven bił; Jillet krzyczał. Wreszcie młodzieniec stracił przytomność i Divestulata sobie poszedł.

Świecę zostawił zapaloną.

Zastąpiła ją druga, potem trzecia, a później następne. Jillet nie przebywał w ciemności, lecz nigdy nie widział, jak stare świece gasną, a nowe są zapalane. Z jakiegoś powodu zawsze był

wówczas nieprzytomny. Wypalonych ogarków nie zdejmowano z ławy, mógł więc mniej więcej ocenić, od jak dawna jest już uwięziony. Ponieważ jednak nie wiedział, jak długo palą się świece, potrafił z ich rosnącego szeregu wywnioskować tylko tyle, że siedzi tu już długo. Czasami karmił

go Kelven. Czasami robiła to wdowa. Czasami zdejmowała swe szaty i z twarzą zalaną łzami pieściła jego chłodne ciało. Czasami się zanieczyszczała. Miarę jego życia wyznaczały jednak tylko świece, a ich nie potrafił zinterpretować.

Jakie pokrewieństwo łączy cię z Reave'em?

Jak nawiązujesz z nim kontakt?

Dlaczego wtrąca się w cudze sprawy?

Jakie jest źródło jego mocy?

Kim właściwie jest?

Biedny Jillet nie znał odpowiedzi na żadne z tych pytań.

Niewiedza stała się dla niego źródłem udręki i bezpośrednim zagrożeniem życia, niewykluczone jednak, że również go ocaliła, jako że Kelven skupił uwagę na nim i na perwersyjnych przyjemnościach, których dostarczali mu z wdową, co uczyniło go ślepym na potęgę myśli. Fakt, że Jillet nie wiedział nic pożytecznego na temat Reave'a Sprawiedliwego, nie pozwolił Divestulacie zauważyć, że mieszkańcy Forebridge, jak zwykle ostrożni i powściągliwi, wezwali już Reave'a w imię Jilleta.

Szczerze mówiąc, większość z nich nie mogłaby powiedzieć, że wie o tym, iż go wezwano, czy też w jaki sposób to się stało. Reave nie był sędzią, do którego można skierować publiczną apelację; nie był urzędnikiem hrabstwa, do którego można napisać list; nie był parem królestwa, od którego można się domagać sprawiedliwości. Dla mieszkańców Forebridge właściwie w ogóle nie był człowiekiem, a jedynie opowieścią z odległych stron, uporczywie powtarzaną legendą, którą osobliwy wiatr roznosił na całe Północne Hrabstwa. Czy można wezwać wiatr? Nie. A Reave'a Sprawiedliwego?

Prawda zaś wyglądała tak, że przywołało go coś tak zwykłego i niemal bezimiennego, jak pogłoska. Każdy — mężczyzna czy kobieta, pasterz czy minstrel, kupiec czy żołnierz, żebrak czy szarlatan — kto przejeżdżał przez Forebridge, prędzej czy później musiał od kogoś usłyszeć, że

„Reave Sprawiedliwy ma tu kuzyna, który niedawno zniknął”. Wszyscy oni, opuściwszy miasteczko, przy okazji wspominali o tym innym i w ten sposób wiadomość się szerzyła.

Podobnemu wezwaniu nie sposób się oprzeć. Pogłoski musiały w końcu dotrzeć do Reave’a Sprawiedliwego, który wreszcie przybył do Forebridge.

Niby wiatr albo opowieść, pojawił się znikąd. Pewnego dnia, nie tak znowu długo po zniknięciu Jilleta, był po prostu na miejscu. Niby wiatr albo opowieść, nie otaczał się tajemnicą.

Nie zakradł się do miasta, nie wysłał szpiegów ani nie podróżował incognito. Choć jest prawdą, że zjawił się zupełnie bez zapowiedzi, większość ludzi, którzy go zobaczyli, natychmiast go poznała i pojęła, dlaczego tu przybył.

Rzecz jasna, z pewnej odległości nie wyróżniał się niczym szczególnym. Miał na sobie tylko zwykłą, brązową koszulę podróżną narzuconą na skórzane, mocno już wytarte spodnie, buciory zaś ciężkie i zakurzone. Obsypane pyłem włosy miał przycięte na wygodną długość, a kroki zamaszyste i zdecydowane, nie bardziej jednak niż inni ludzie, którzy wiedzą, dokąd i po co idą.

Jedynym szczegółem, który odróżniał go od farmerów, dzierżawców i furmanów, był fakt, że nie nosił chroniącego przed słońcem kapelusza. Dopiero gdy się zbliżył, można w nim było zauważyć coś niezwykłego.

Kurz świadczył, że pokonał długą drogę, on sam nie okazywał jednak zmęczenia, głodu ani pragnienia. Choć jego szaty znacznie ucierpiały pod wpływem żywiołów, nie miał tobołka ani worka, w którym przechowywałby żywność, ubranie na zmianę czy inne niezbędne dla wędrowca rzeczy. Mógł mrużyć powieki lub pochylać głowę pod nieustannym naporem słońca, lecz brodę trzymał wysoko, a oczy miał otwarte i pełne życia niczym skrawki czystego nieba. Nie miał też noża za pasem, drąga w ręku ani kołczanu na plecach — niczego, czym mógłby się bronić przed wędrownymi rabusiami, głodnymi zwierzętami albo rozgniewanymi przeciwnikami.

Jedyną bronią, jaką dostrzegali u niego miejscowi, był fakt, że wydawał się wyraźniejszy niż otoczenie, ostrzej zarysowany, zupełnie jakby patrzącym na niego ludziom poprawiał się wzrok.

Ci, którzy na niego spojrzeli, niemal nie mogli oderwać od niego oczu.

Ludzie, którzy jako pierwsi zobaczyli go z bliska i zdołali rozpoznać, nie zdziwili się, gdy zaczął pytać o „swego kuzyna, Jilleta z Forebridge”. Zaskoczył ich jedynie łagodnym, cichym brzmieniem głosu — zwłaszcza że przecież sływał z bezlitosnych decyzji i drastycznych czynów

— oraz tym, że potwierdził niewiarygodną opowieść o łączącym go z Jillem pokrewieństwie, którą ten ostatni zaczął powtarzać zaledwie przed tygodniem.

Niestety nikt z ludzi przepytanych przez Reave’a Sprawiedliwego nie miał pojęcia, co się stało z Jillem.

Mieszkańców Forebridge zawsze cechowało to, że unikali publicznej ostentacji, wpływ Reave’a sprawił jednak, że zapomnieli o swej zwykłej nieufności, dzięki czemu nie musiał

szukać ludzi, których chciał wypytać. Sami do niego przychodzili. Stał na szerokim trakcie, który służył w Forebridge jako miejsce zgromadzeń i placu licytacji, zadał stosowne pytania raz albo dwa, po czym czekał bez słowa, aż narastający powoli wokół niego tłum przyciągnie nowych ludzi i gapie powtórzą spóźnialskim jego słowa. Wreszcie z cizby wystąpił tęgi mężczyzna, tak siłą, jak i rozumem dorównujący drzewu, który zapytał: — A jak on wygląda, ten Jillet?

Odpowiedzi, które usłyszał, z początku były niejasne, lecz dzięki wpływowi Reave'a opis wkrótce stał się zrozumiały.

— Hmm — mruknął pytający. — Ktoś podobny parę dni temu odwiedził mojego pana.

Ludzie, którzy go znali, szybko wyjaśnili, że służy jako strażnik u jednego z mniej znienawidzonych lichwiarzy w Forebridge. Wy tłumaczyli też, gdzie można znaleźć owego lichwiarza.

Reave Sprawiedliwy skinął z powagą głową, tylko raz.

Uśmiechając się, jakby byli pewni, że jest im wdzięczny, i wiedząc, że na to zasłużyli, zgromadzeni ludzie zaczęli się rozchodzić. Reave szedł z nimi. Po krótkiej chwili zaprowadzono go do pomieszczenia, w którym lichwiarz prowadził interesy, by tam mógł porozmawiać z właścicielem.

Ten zdradził mu nazwisko wdowy Huchette. Ostatecznie Jillet, próbując zdobyć złoto, zaoferował jako gwarancję jej majątek. Choć jednak Reave przyznawał się do pokrewieństwa z Jillem, nie zadowolili go informacje, których udzielił mu lichwiarz. Po rozmowie z nim udał

się na poszukiwania alchemików i w końcu odnalazł tego, o którego mu chodziło.

Alchemika, który wymyślił fortel mający pomóc Jilletowi zdobyć wdowę, bynajmniej nie uspokoiły wyrazistość postaci i opanowanie Reave'a. Wprost przeciwnie, ledwie zdołał

powstrzymać impuls nakazujący mu buchnąć przybyszowi w twarz dymem i spróbować ucieczki przez okno. Nawet w najczarniejszych snach nie przyszło mu do głowy, że Reave Sprawiedliwy może go osobiście pociągnąć do odpowiedzialności za radę, którą sprzedał Jilletowi. Niemniej jednak coś w otwartym, żywym spojrzeniu, którym przeszył szarlatana niespodziewany gość, przekonało go, że nie ma co marzyć o ucieczce. Tego człowieka dym nie oślepi, a gdyby nawet alchemik zdołał wyskoczyć przez okno, Reave z pewnością czekałby już na niego na zewnątrz.

Mamrocząc jak zawstydzone dziecko — i przeklinając w duszy Reave'a za to, że działa na niego w ten sposób — alchemik wyjawiał naturę transakcji, którą zawarł z Jillem. Potem, w spazmie obronnego samozaparciu, próbując uchronić się przed gwałtowną reakcją, z których słychać Reave, wydobył złoto, które dostał od Jilleta, i wręczył je jego „kuzynowi”, a ten po krótkim zastanowieniu przystał na ofertę.

— Jillet musi ponieść odpowiedzialność za swe szaleństwo — oznajmił cicho, lecz bardzo wyraźnie. — Niemniej jednak nie zasłużyłeś na zysk, który ci ono przyniosło.

Gdy tylko opuścił domostwo alchemika, cisnął monety między żywopłoty, tak daleko, że ten nie miał



już szans ich odnaleźć.

Szarlatan zawył w głębi duszy jak człowiek dotknięty najgłębszą żalobą, lecz dopóki Reave Sprawiedliwy nie odszedł na bezpieczną odległość, nie wypowiedział ani jednego słowa, czy to wyrażającego żal, czy też sprzeciw.

Sam, bez zapowiedzi, bez żadnej dostrzegalnej broni czy środków obrony, Reave Sprawiedliwy ruszył do rezydencji zmarłego Rudolpha Huchette.

Rzecz jasna, źródłem jego mocy był między innymi fakt, że nigdy nikomu nie zdradzał, w jaki sposób dokonuje niezwykłych czynów, z których słynął. Z krążących po świecie opowieści można się było dowiedzieć tylko tyle, że robi to, co robi. Dlatego ani Jillet, ani wdowa — a już z pewnością nie Kelven Divestulata — nie byli w stanie wyjaśnić wydarzeń, do których doszło w rezydencji po zjawieniu się tam Reave'a. Wszystkie z nich, poczynając od jego przybycia, spowijała nieprzenikniona tajemnica.

Pierwsza zagadka polegała na tym, że mastify strzegące murów rezydencji nie zaszczekały.

Nic nie zaniepokoiło sług Divestulaty, nikt nie domagał się wpuszczenia do środka pod stróżówką ani u żadnych z drzwi domu. Ponadto cela, w której był uwięziony Jillet, była strzeżona nie tylko przez psy, ludzi i zaryglowane drzwi, lecz również przez niewiedzę. Nikt w Forebridge nie zdawał sobie sprawy z jej istnienia. Mimo to gdy czas uwięzienia Jilleta odmierzało już dwanaście czy może piętnaście grubych świec i młodzieniec zrozumiał swą sytuację, przechodząc od zwykłego oszołomienia i bólu do świadomości nieuniknionej zagłady

— tak wyrazistej, że śmierć wydawała mu się wręcz upragniona — więzień rozchylił powieki i zobaczył przed sobą w półmroku mężczyznę, który nie był Kelvenem Divestulata. Mężczyznę, którego w ogóle nie znał.

Nieznajomy uśmiechnął się z powagą i uniósł do warg Jilleta naczynie z wodą. Gdy młodzieniec napił się już do syta, mężczyzna włożył mu do ust parę kawałków plastra miodu.

A potem czekał, aż Jillet się odezwie.

Woda i miód dodały więźniowi trochę siły. Zapomniał już, że kiedyś w ogóle ją miał.

Spróbował skupić wzrok na niezwyklej postaci, która stała przed nim ze smutnym uśmiechem na twarzy.

— Przyszedłeś mnie zabić? — zapytał. — Myślałem, że on takie rzeczy robi sam. Bo to lubi.

Dla Jilleta słowo „on” zawsze oznaczało Divestulata. Nieznajomy potrząsnął głową.

— Jestem Reave. — Jego głos, choć cichy, brzmiał stanowczo. — Chcę się dowiedzieć, dlaczego podawałeś się za mojego kuzyna.

W innej sytuacji Jillet przestraszyłby się na widok Reave'a Sprawiedliwego. Ponieważ sam był

dobroduszny, wierzył w dobroć innych i nie przyjąłby od razu założenia, że Reave życzy mu źle. Miał jednak powód do obaw. Nie lubił kłamać z kilku przyczyn, a jedną z nich był fakt, że nie chciał, by ludzie go na tym przyłapali, co zawsze udawało im się z wielką łatwością. Czuł się w takich chwilach podenerwowany i zawstydzony.

Obecnie jednak podobne kwestie wydawały mu się zbyt błahe, by mógł się nimi przejmować.

Zresztą Kelven dawno już odarł go z wszelkiej skrytości, jaka mogła go kiedyś cechować.

— Chciałem zdobyć wdowę — odpowiedział na pytanie Reave'a tak bezpośrednio, jak tylko pozwalała mu na to świadomość niechybnej zguby.

— Dla jej majątku? — zainteresował się Reave.

Jillet potrząsnął głową.

— Nieźle byłoby mieć majątek, ale ja nie znam się na takich sprawach. — Z pewnością bogactwo nie uszczęśliwiło zbyt wielu ani Kelvena, ani wdowy. — Pragnąłem jej samej.

— Dlaczego?

To pytanie było trudniejsze. Jillet mógłby wspomnieć o jej urodzie i młodości lub o fakcie, że była cudzoziemką, albo o tragedii, która ją spotkała. Bystre spojrzenie Reave'a przeniknęłoby jednak te odpowiedzi.

— To by coś znaczyło — odparł wreszcie Jillet. — Gdyby mnie pokochała.

Reave skinął głową.

— Chciałeś, by pokochała cię kobieta, której miłość jest cenna. Ale dlaczego sądziłeś, że podobną miłość może ci dać alchemia? — zapytał. — Uczucia, które jest cenne, nie godzi się zdobywać oszustwem. Gdybyś rozbudził jej miłość podstępem, nigdy nie pokochałaby cię naprawdę.

Jillet pomyślał, że to łatwe pytanie. Przed wieloma świeczkami — prawie na początku — ból w ramieniu wywołał w nim wrażenie, że rozerwano mu pierś, odsłaniając wszystko, co kryło się w środku.

— Nie pokochałaby mnie — odparł. — Nawet by na mnie nie spojrzała. Nie znam sztuczek, które pozwalają wzbudzić miłość kobiet.

— „Sztuczek” — powtórzył Reave z zamyśleniem w głosie. — To nie wystarczy, Jillecie.

Musisz powiedzieć mi prawdę.

Więzień odzyskał na chwilę siły dzięki miodowi albo desperacji.

— Mówię tylko prawdę, odkąd „on” mnie tu zamknął. To na pewno piekło, a ja już umarłem.

Gdyby tak nie było, skąd byś się tu wziął? Nie jesteś moim kuzynem, Reave Sprawiedliwy.

Niektórzy mężczyźni są tacy jak ta wdowa. Ich miłość warto zdobyć. Nie rozumiem tego, ale widzę, że kobiety ich zauważają. Oddają się im. Ja do nich nie należę. Nie mam nic do dania żadnej kobiecie. Jeśli pragnę czyjejs miłości, potrzebna mi alchemia. Bez pomocy magii nigdy nie zaznam uczucia.

Reave uniósł do warg Jilleta naczynie z czystą wodą i włożył mu do ust kilka kawałków plastra miodu. A potem się odwrócił.

— W jednej sprawie się mylisz, Jillecie z Forebridge — powiedział, stojąc w drzwiach. —

Jesteśmy kuzynami, albowiem w żyłach wszystkich ludzi płynie ta sama krew, a mnie łączą więzy z każdym, kto dobrowolnie powołuje się na moje imię. Uwięziło cię tu własne szaleństwo

— dodał, wychodząc. — Sam musisz się uwolnić.

Zamknął drzwi za sobą i oddalił się.

Wrota były grube, a cela ukryta głęboko pod ziemią, nikt więc nie słyszał wrzasku opuszczonego Jilleta.

Z pewnością nie usłyszała go wdowa. Szczerze mówiąc, nie miała ochoty słuchać podobnych rzeczy. Sprowadzały one koszmary, a jej życie i tak już było koszmarem. Reave znalazł ją w sypialni. Leżała na łożu, łkając bezsilnie. Ramiona okrywały jej strzępy koszuli nocnej, a wargi i piersi poczerwieniały w wyniku działań wyrażających podziw Kelvena.

— Pani — odezwał się uprzejmie Reave. Spoglądał na jej nagość tak samo, jak na udrękę Jilleta. — Czy jesteś wdową Huchette?

Wbiła w niego wzrok, zbyt sparaliżowana grozą, by się odezwać. Mówiąc jednak zupełnie szczerze, owa groza nie miała nic wspólnego z Reave'em, lecz była naturalnym skutkiem karesów Divestulaty. Teraz, gdy już się nią nasycił, zapewne przysłał któregoś ze swych stajennych, służących albo współników, żeby i on sobie użył.

— Nie musisz się mnie obawiać — poinformował ją gość łagodnym głosem. — Jestem Reave.

Ludzie zwać mnie „Reave'em Sprawiedliwym”.

Wdowa była młoda, pochodziła z daleka i nie znała życia, lecz żaden z tych faktów nie przeszkodził jej zapoznać się z opowieściami dotyczącymi Reave'a. Był on największą z legend Północnych Hrabstw i odkąd Rudolph przywiózł ją do Forebridge, słyszała o nim wiele. Z tego powodu, gdy spotkała Jilleta, zrozumiała natychmiast, na jakie niebezpieczeństwo młodzieniec się naraża, podając się za jego kuzyna, i z tego też powodu wydała z siebie ciche westchnienie zaskoczenia. Potem owładnęła nią szalona nadzieja.

— Och, panie, dzięki niebiosom za twe przybycie! — zaczęła łkać, nim zdążył się odezwać.

— Musisz mi pomóc, musisz! Moje życie to udręka i nie zniosę już więcej! On ciągle mnie gwałci i zmusza do najohydniejszych postępów, nie jesteśmy małżeństwem, nie wierz mu, jeśli ci powie, że jestem jego żoną, mój mąż nie żyje i nie pragnę już nikogo innego, och, panie, musisz mi pomóc!

— Rozważę twe słowa, pani — odrzekł Reave, jakby nic go to wszystko nie obeszło. — Ty jednak musisz wziąć pod uwagę fakt, że istnieją różne rodzaje pomocy. Dlaczego nie pomogłaś sobie sama?

Wdowa otwierała już usta, chcąc wydobyć z nich potok sprzeciwów, zamarła jednak nagle ze śmiertelnie pobladłą twarzą.

— Sama? — wyszeptała. — Sama?

Reave wbił w nią wyraziste spojrzenie, czekając na odpowiedź.

— Czy jesteś szalony? — zapytała, nadal szepcząc.

— Być może. — Wzruszył ramionami. — Ale to nie mnie zgwałcił Kelven Divestulata. Nie ja błagam o ratunek. Dlaczego nie pomogłaś sobie sama?

— Dlatego, że jestem kobietą! — zawołała, nie z pogardą, lecz z rozpaczą w głosie. — Jestem bezradna. Nie jestem silna, nie umiem władać bronią, nie znam świata, nie mam przyjaciół.

Uczył się panem wszystkiego, co mogłoby mi pomóc. Łatwiej byłoby mi rozwalić te mury gołymi rękami, niż obronić się przed nim.

Reave raz jeszcze wzruszył ramionami.

— Jednakowoż jest gwałcicielem, a zapewne i mordercą. A nie widzę na tobie siniaków. Pani, dlaczego mu się nie opierasz? Dlaczego nie poderzniesz mu gardła, kiedy śpi? Dlaczego nie poderzniesz go sobie, jeśli jego dotyk budzi w tobie aż taki wstręt?

Tym razem przyczyną widocznej w jej oczach grozy z pewnością był Reave. Zrodziły ją jego pytania. On jednak tym się nie przejął. Zbliżył się o krok.

— Obrażam cię, pani. Jestem jednak Reave Sprawiedliwy i nie dbam o to, kto poczuje się urażony. Zapytam cię jeszcze o coś. — Jego oczy odpowiedziały na jej przerażenie ogniem, którego wcześniej w nich nie widziała, płomieniem czystego gniewu. — Dlaczego nie uczyniłaś nic, by pomóc Jilletowi? Sprowadziły go tu niewinność i nieświadomość równie wielkie jak twoje. Cierpi tak samo jak ty. A mimo to leżysz sobie na miękkim łóżu i błagasz o ratunek przed prześladowcą, któremu wcale się nie opierasz, i nic cię nie obchodzi los tego nieszczęśnika.

Wdowa obawiała się, że podejdzie bliżej i ją uderzy, nie zrobił tego jednak. Odwrócił się.

— Jak już wspominałem, istnieją różne rodzaje pomocy — zauważył, stając w drzwiach. —

Na jaką pomoc zasłużyłaś, pani?

Opuścił sypialnię wdowy tak samo cicho, jak do niej wszedł, zostawiając kobietę samą.

Dzień chylił się już ku końcowi, a ani Kelven, ani jego psy i służący nie wiedzieli, że Reave Sprawiedliwy porusza się swobodnie po rezydencji. Nie mogli tego wiedzieć, gdyż do nikogo się nie zbliżał, z nikim nie rozmawiał i nikt go nie widział. Czekał aż nastanie noc, aż Forebridge spowije mrok, aż stajenni, psiarczykowie, kucharze, podkuchenni, posługacze i sekretarze udadzą się do swych pokojów, a za murami będą czuwały tylko głodne mastify, albowiem strażnicy stracą zainteresowanie swymi obowiązkami. Czekał, aż Kelven, który siedział sam w gabinecie, skończy układać plany doprowadzenia do ruiny sojusznika, który pomagał mu lojalnie podczas niedawnej wojny handlowej, i naleje sobie kieliszek znakomitej brandy, by mieć się czym pokrzepić, podczas gdy będzie się zabawiał z Jillem. Dopiero wówczas Reave podszedł do biurka Divestulaty i przyjrzał się mu w słabym świetle lamp.

Kelvena niełatwo było przestraszyć, lecz Reave zjawił się tak niespodziewanie, że przyprawił go o szok.

— Na jaja szatana! — warknął bezwstydnie Divestulata. — Kim, u diabła, jesteś?

Gość zareagował uśmiechem, który nie był bynajmniej wyrozumiały.

— Zasmuca mnie, że nie wierzyłeś w moje przybycie — przyznał. — Chyba nie jestem tak dobrze znany, jak mi się zdawało, albo też ludzie podobni tobie nie chcą uwierzyć w moją sławę.

Jestem Reave Sprawiedliwy.

Jeśli spodziewał się, że Kelven zareaguje na jego słowa szokiem, niepokojem lub strachem, spotkało go rozczarowanie. Divestulata poświęcił chwilę na rozważenie sytuacji, jakby chciał się upewnić, że dobrze słyszał. Potem odchylił się na krześle i ryknął śmiechem, przypominającym szczekanie jego mastifów.

— A więc mówił prawdę. To faktycznie zdumiewające. Spóźniłeś się, Reave Sprawiedliwy.

Ten twój tak zwany kuzyn nie żyje już od wielu dni. Wątpię, byś zdołał odnaleźć jego grób.

— Szczerze mówiąc — odpowiedział Reave z całkowitym spokojem w głosie — wcale nie jesteśmy spokrewnieni. Przybyłem do Forebridge po to, by się przekonać, dlaczego ktoś bezpodstawnie podaje się za mojego kuzyna. Czy rzeczywiście nie żyje? W takim razie nie dowiem się prawdy od niego. Byłbym bardzo z tego niezadowolony, Kelvenie Divestulata. —

Oczy Reave'a lśniły w blasku lampy niczym okruchy miki. — W jaki sposób umarł? — zapytał, nim Kelven zdążył cokolwiek powiedzieć.

— W jaki sposób? — Divestulata zamyślił się nad tą kwestią. — Tak jak zwykle umierają ludzie. Dotarł do kresu żywota. — Zacisnął mięśnie szczęk. — Ciebie też prędzej czy później czeka ten sam los. Właściwie to trudno mi zrozumieć, dlaczego jeszcze żyjesz. Otaczająca cię sława... — wyduł wargi — ...powinna już dawno przywieść cię do zguby.

Reave zignorował jego słowa.

— Jesteś obłudny, Kelvenie. Nie chodziło mi o filozoficzne rozważania. W jaki sposób zginął Jillet? Czy ty go zabiłeś?

— Ja? W żadnym wypadku! — oburzył się szczerze Divestulata. — Nie wątpię, że sam ściągnął na siebie ten los. Jest głupcem i zabiło go złamane serce.

— Z pewnością złamała mu je wdowa Huchette — podpowiedział Reave.

W oczach Kelvena pojawił się błysk zwątpienia.

— Z pewnością.

— Którą rzekomo poślubiłeś, a która w rzeczywistości jest twym więźniem i ofiarą we własnym domu.

— Jest moją żoną! — warknął Kelven, nim zdążył się powstrzymać. — Dlatego, że ja tak twierdzę. By zaspokoić swe pożądanie, nie potrzebuję publicznej aprobaty ani nędznych prawnych formalności. Wziąłem ją sobie za żonę i należy do mnie.

Zarys ust Reave'a i groźny wyraz jego oczu sugerował różne odpowiedzi, których jednak nie wypowiedział na głos.

— Widzę, że nie próbujesz podważyć twierdzenia, że ten dom jest jej własnością — zauważył łagodnym tonem.

— Phi! — prychnął Kelven. — Czy zważysz cię „Reave'em Sprawiedliwym” ze względu na twą uczciwość, czy też dlatego, że jesteś po prostu głupi? Ten dom oficjalnie przyznał mi sędzia jako rekompensatę za straty, na które naraził mnie ten nieżyjący złodziej, Rudolph Huchette.

Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że Divestulata — tak jak wyznał to Jilletowi — żywi złe zamiary wobec Reave'a. Już od kilku lat najczarniejszą nocą, w najgłębszej skrytości serca, nachodziła go niekiedy myśl, że jest naturalnym wrogiem ludzi takich jak Reave

— wścibskich obłudników, których wizja cnoty nic nie kosztowała ich samych, a za to wszystko ich nieprzyjaciół. Ten pogląd częściowo brał się z wrodzonej mu złośliwości, częściowo zaś ze świadomości, że większość zwycięstw, które odnosił nad słabszymi przeciwnikami, takimi jak Jillet, przychodziła mu zbyt łatwo, i żeby poprawić sobie samopoczucie musi stawić czoło poważniejszym wyzwaniom.

Niemniej jednak rozmowa z jego naturalnym przeciwnikiem nie toczyła się tak, jak tego oczekiwał. W skład jego planów nie wchodziły próby obrony. Zamierzał atakować.

— Zresztą moje prawa do tego domu i do wdowy po Rudolphie to nie twój interes —

zauważył, usiłując przejąć inicjatywę. — Jeśli coś tutaj powinno cię obchodzić, to tylko Jiliet, nie ja. Jakim prawem zakradasz się do mojego domu tak późną nocą, by znieważać mnie pytaniami i insynuacjami?

Reave pozwolił sobie na złowieszczy uśmiech.

— Mój przydomek „Sprawiedliwy” pochodzi od monet — wyjaśnił, ignorując to, co przed chwilą powiedział Kelven. — Nawiązuje on zarówno do ilości, jak i do czystości złota. Jeśli moneta zawiera tyle złota, ile powinna, i jest ono należycie czyste, mówi się, że jest

„sprawiedliwa”. Być może nie jesteś tego świadom Kelvenie Divestulata, ale uczciwość człowieka mierzy się monetą, jaką spłaca swe długi.

— Długi? — Kelven zerwał się mimo woli na równe nogi.

Siedząc, nie był w stanie zapanować nad gniewem. — Przyszedłeś tu zawracać mi głowę gadaniem o długach?

— Czyż nie zabiłeś Jilleta? — zapytał Reave.

Nie! Wyrządziłem liczne krzywdy wielu ludziom, ale nie zabiłem tego nieznośnego prostaka.

Dość już mam twoich obelg — zaczął krzyczeć, by Reave nie mógł mu przerwać. — Wyjaśnisz mi teraz, dlaczego tu przybyłeś i jak usprawiedliwiasz swoje poczynania, albo wyrzucę cię przez okno, żeby zeżarły cię moje psy, i nikt nie odważy się mnie skrytykować za to, że tak potraktowałem intruza, który wtargnął do mojego gabinetu w środku nocy!

— Nie musisz obrzucać mnie groźbami. — Spokój Reave’a był bardzo irytujący. — Uczciwi ludzie nie muszą się mnie obawiać, a sam jesteś wystarczająco groźny. Powiem ci, po co tu przybyłem. Jestem Reave Sprawiedliwy i zawsze udaję się tam, gdzie wzywa mnie krew. Krew więzów rodzinnych i krew odpłaty. To ona jest monetą, w której zwykłem płacić długi i wynagradzać straty. Przyszedłem po twoją krew, Kelvenie Divestulata.

Reave wzbudził w Kelvenie swą pewnością siebie uczucie, któremu ten nie potrafił nadać nazwy. Owa nieumiejętność doprowadziła go do szału.

— Za co? — ryczał na gościa. — Co takiego uczyniłem? Czemu żądasz mojej krwi? Mówię ci, że nie zabiłem twojego przeklętego Jilleta!

— Potrafisz tego dowieść?

— Tak!

— W jaki sposób?

— On żyje! — wrzasnął Kelven, targany strachem, którego nie umiał rozpoznać.

W oczach Reave'a nie odbijał się już blask lampy. Były ciemne i głębokie jak studnie.

— Co więc mu uczyniłeś? — zapytał cicho.

Kelven był zbity z tropu. Jedna część jego jaźni miała wrażenie, że odniósł zwycięstwo, druga jednak wiedziała, że czeka go porażka.

— On mnie bawi — odparł ochryplym tonem Divestulata. — Zrobiłem sobie z niego zabawkę. Zamierzam go przetrzymywać dopóty, dopóki będzie mi dostarczał rozrywki.

Usłyszawszy te słowa, Reave cofnął się od biurka.

— Przyznałeś się, że bezprawnie więzisz i torturujesz niewinnego człowieka — oznajmił

głosem nieubłaganym jak wyrok śmierci. — Pójdę teraz wezwać sędziego. Powtórzysz swe wyznanie przed nim. Być może ów akt prawdomówności skłoni cię również do wyznania zbrodni, których dopuściłeś się na osobie wdowy Huchette. Nie próbuj uciekać, Kelvenie Divestulata. Jeśli mnie do tego zmusisz, będę cię ścigał od kopuły niebios aż po otchłań piekieł.

Przelałeś krew i zapłacisz za to krwią.

Reave Sprawiedliwy jeszcze przez chwilę przeszywał Kelvena spojrzeniem swych bezdennych oczu, po czym odwrócił się i ruszył ku drzwiom.

W gardle Divestulaty wezbrało nieartykułowane wycie. Złapał za pierwszy ciężki przedmiot jaki mu wpadł w ręce — mosiężny przycisk do papieru, wystarczająco masywny, by rozbić ludzką czaszkę — i cisnął nim w Reave'a.

Przycisk uderzył w kark z takim impetem, że Reave padł na kolana.

Kelven natychmiast wyskoczył zza biurka i rzucił się na gościa. Jedną ręką chwycił go za włosy, drugą zaś zadał mu cios, który kogoś słabszego mógłby zabić.

Z ust Reave'a trysnęła krew. Chwiał się na nogach, jakby były z gąbki, zbyt słabe, żeby go utrzymać. Ręce zwisały mu, jak gdyby nie miał mięśni ani ścięgien, które pozwoliłyby mu się bronić.

W porywie triumfu, wściekłości i czystego przerażenia Divestulata runął do ataku.

Na głowę jego ofiary padał cios za ciosem. Oparty o jeden z wielkich regałów, w które Rudolph Huchette wyposażył swój ukochany gabinet, Reave miotał się i zataczał przy każdym uderzeniu, nie mógł jednak uciec. Nie próbował walczyć ani osłaniać się przed Kelvenem. Po paru chwilach jego twarz przerodziła się w krwawą masę, żebra popękały, a serce z pewnością zaczęło odmawiać posłuszeństwa.

A mimo to nie upadł.

Nieprzenikniona ciemność w jego oczach nie rozviała się ani na chwilę. Owo spojrzenie przyciągało



Kelvena swą nieustępliwością.

Nie znający bólu ni strachu wzrok Reave'a sprawił wreszcie, że Kelven przeszedł z gniewu w obłęd. Pograżony w ekstazie lub delirium, nie usłyszał, że drzwi gabinetu otworzyły się z trzaskiem.

Jego ofiary nie dbały o zachowanie ciszy. W gruncie rzeczy, ani wdowa Huchette, ani Jillet nie zdołaliby otworzyć drzwi cicho. Byli na to zbyt słabi. Kobieta całą swą wolę i siłę zużywała na to, by podtrzymywać młodzieńca, ciągnąć go naprzód, jako że z pewnością nie był w stanie chodzić ani nawet stać samodzielnie, on zaś całą determinację i pożądanie, które mu pozostały, wykorzystywał na to, by dźwigać ozdobną halabardę, jedyną broń, jaką znaleźli w korytarzach rezydencji.

Słabi niczym kaleki, bliscy śmierci z wysiłku, ruszyli w stronę Kelvena.

Szli powoli, lecz nieustępliwie, chwiejąc się na nogach. Reave jednak stał cierpliwie, pozwalając, by przeciwnik okładał go razami, aż do chwili, gdy halabarda rozplątała czaszkę Kelvena Divestulaty, zabijając go od razu.

Reave Sprawiedliwy uśmiechnął się przez krew, która spływała mu z tuzina ran na twarzy.

Jillet i wdowa osunęli się w jednej chwili na podłogę.

Reave pochylił się, by wydobyć chusteczkę z rękawa Kelvena. Otarł sobie twarz i podszedł do biurka, na którym znalazł kieliszek i karafkę brandy. Odszukawszy drugi kieliszek, napełnił go również, po czym zaniósł oba mężczyźnie i kobiecie, którzy go uratowali. Uniósł kolejno ich głowy i pomógł wypić trunek. Po chwili byli już w stanie usiąść i przełknąć resztę płynu bez jego wsparcia.

Następnie znalazł sznurek dzwonka i wezwał rządcę Divestulaty.

Gdy ten wreszcie się zjawiał — poirytowany późnym wezwaniem i zdumiony sceną, którą zastał w gabinecie — Reave oznajmił:

— Jestem Reave Sprawiedliwy. Tuż przed śmiercią Kelven Divestulata wyznał przede mną swe zbrodnie. Przyznał się, że oszustwem zdobył prawa do tego domu, że w brutalny i bezprawny sposób zaspokajał swą żądzę na osobie wdowy Huchette i że bez powodu uwięził i torturował mojego kuzyna, Jilleta z Forebridge. Zeznam w obecności sędziów, że słyszałem wyznanie Divestulaty i że zabito go, by uratować mi życie, którego usiłował mnie pozbawić. Od tej chwili wdowa znowu jest panią swego domu, wszystkich jego ruchomości oraz sług. Jeśli ty i ludzie, którzy ci podlegają, nie będziecie jej służyć uczciwie, odpowiecie przed sędziami i przede mną. Zrozumiałeś mnie?

Rządca zrozumiał. Służący Kelvena byli cisi i sprytni. Niektórzy z nich mogli być nikczemni, lecz żaden z pewnością nie był głupi. Gdy Reave zostawił wdowę i Jilleta w gabinecie, nic im nie groziło.

Nigdy już go nie zobaczyli.

Spełnił jednak obietnicę i rozmówił się z sędziami. Gdy ci przybyli po świcie do rezydencji, wsparci przez pluton pikinierów i całą masę nakazów, oznajmili, że wysłuchali zeznania Reave'a.

Zajrzawszy do ksiąg Kelvena, znaleźli tam potwierdzenie części oskarżeń. Resztę potwierdzili Jillet i wdowa. Sam Reave nie odwiedził już jednak Forebridge. Zniknął, tak samo jak opowieść, która go tu sprowadziła. Jego miejsce zajęła nowa legenda.

To też było bardzo typowe.

Gdy sędziowie zakończyli już dochodzenia i przesłuchania, wdowa Huchette również zniknęła z życia Jilleta. Uwolniła go z okowów i z celi, w której był uwięziony, po czym powlokła go ku jedynemu zdecydowanemu czynowi, jakiego w życiu dokonał. Po Rudolphie Huchette nie pragnęła już jednak drugiego męża, a po Kelvenie Divestulacie nie pożałała żadnego mężczyzny.

Odwdzięczyła się Jilletowi tylko jednym: spłaciła dług, jaki zaciągnął u lichwiarza. Potem zatrzasnęła przed nim drzwi, podobnie jak przed innymi konkurentami z ich miłosnymi eliksirami i aspiracjami wobec niej. Z czasem rezydencja przerodziła się w coś w rodzaju klasztoru, w którym zbłąkane lub skrzywdzone kobiety mogły szukać pociechy, gdyż nie wpuszczano tam nikogo innego.

Jillet, który zapewne sądził, że będzie kochał wdowę Huchette aż po kres swych dni, przekonał się, iż wcale mu jej nie brakuje. Szczerze mówiąc, nie tęsknił też za Reave'em.

Ostatecznie nie miał z nimi nic wspólnego. Ona była zbyt bogata, on zaś zanadto surowy. Nie, Jillet mógł się świetnie obejść bez takich znajomych. Zyskał też coś, co cenił wyżej: opowieść i myśl.

Opowieść, że to on zadał cios, który powalił Kelvena Divestulację.

Myśl, że jest kuzynem Reave'a Sprawiedliwego.

*Przełożył Michał Jakuszewski*

*Terry Pratchett*

## **Trollowy most**

### **(Troll Bridge)**

Wiatr dmuchał od gór, unosząc w powietrze drobniutkie kryształki lodu.

Było zbyt zimno na śnieg. Przy takiej pogodzie wilki zbliżają się do wiosek, a zamarzające drzewa w sercu lasu pękają z hukiem.

Przy takiej pogodzie ludzie siedzą w domach, przy kominkach, i opowiadają historie o bohaterach.

To był stary koń. I stary jeździec. Koń wyglądał jak owinięta w folię suszarka do naczyń.

Jeździec wyglądał, jakby nie spadał z siodła tylko dlatego, że brakowało mu energii. Mimo kąsającego mroźnego wiatru miał na sobie jedynie skromny skórzany kilt i bandaż na kolanie.

Wyjął z ust wilgotne resztki papierosa i zgasił go na dłoni.

— No dobrze — powiedział. — Bierzmy się do dzieła.

— Łatwo ci mówić — odparł koń. — A co będzie, jeśli nagle dostaniesz zawrotu głowy?

Grzbiet też odmawia ci posłuszeństwa. Jakbym się czuł, gdybym został zjedzony tylko dlatego, że w nieodpowiednim momencie coś ci strzeli w krzyżu?

— Tak się nie stanie — zapewnił jeździec.

Zsunął się na zimne kamienie i chuchnął w palce. Potem z juków wyciągnął miecz z klingą przypominającą zaniedbany brzeszczot piły. Bez przekonania kilka razy ciął na próbę powietrze.

— Potrafię jeszcze to i owo — mruknął z satysfakcją. Skrzywił się i oparł o drzewo. —

Mógłbym przysiąc, że ten przeklęty miecz codziennie robi się cięższy.

— Powinieneś go zapakować z powrotem — stwierdził koń. — Na dzisiaj wystarczy. Takie rzeczy w twoim wieku... To nie uchodzi.

Jeździec wzniosł oczy w górę.

— Niech licho porwie tę wyprzedaż. Tak to się kończy, kiedy kupuje się coś, co należało do maga — zwrócił się ze skargą do całego świata. — Obejrzałem twoje zęby, sprawdziłem kopyta, ale nie przyszło mi do głowy, żeby cię posłuchać.

— A jak myślisz, kto przeciw tobie licytował? — zapytał koń. Cohen Barbarzyńca nadal opierał się o drzewo. Nie był pewien, czy potrafi się wyprostować o własnych siłach.

— Na pewno masz gdzieś ukryte wielkie skarby — domyślił się koń. — Może wyruszymy do Krawędzi? Co ty na to? Przyjemnie i ciepło... Znajdziemy sobie jakieś miłe miejsce na plaży...

Co?

— Żadnych skarbów — burknął Cohen. — Wydałem wszystko. Przepiłem wszystko.

Wszystko rozdałem. Zgubiłem.

— Powinieneś zaoszczędzić coś na starość.

— Nigdy nie przypuszczałem, że czeka mnie jakaś starość.

— Pewnego dnia umrzesz — stwierdził koń. — To może być nawet dzisiaj.

— Wiem. Jak ci się wydaje, po co tu przyjechałem?

Zwierzę odwróciło się i spojrzało w stronę wąwozu. Droga była nierówna i pełna dziur, młode pędy przebijały się między kamieniami, a z obu stron wyrastała puszcza. Za kilka lat nikt już nie będzie

pamiętał, że w ogóle była tu jakaś droga. Sądząc po wyglądzie, już teraz nikt o tym nie wiedział.

— Przyjechałeś tu, żeby umrzeć?

— Nie. Ale jest coś, co zawsze chciałem zrobić. Jeszcze jako młody chłopak.

— Co takiego?

Cohen spróbował się wyprostować. Ściągną posłały wzdłuż nóg swój bolesny, gorący jak rozpalone żelazo sprzeciwi.

— Mój tato... — wychrypiał. Z trudem odzyskał równowagę. — Mój tato — powtórzył — powiedział mi kiedyś...

Zasapał się.

— Synu — podpowiedział uprzejmie koń.

— Co?

— Synu. Żaden ojciec nie zwraca się do swojego chłopaka „synu”, jeśli nie ma zamiaru podzielić się swoją życiową mądrością. To powszechnie znany fakt.

— Nie wtrącaj się do moich wspomnień!

— Przepraszam.

— Powiedział: Synu... Tak, zgadza się... Synu, jeśli w samotnej walce potrafisz stawić czoło trollowi, wtedy potrafisz dokonać wszystkiego.

Koń zamrugał nerwowo. Potem odwrócił się znowu i ponad atakowaną przez drzewa drogą spojrział w mrok wąwozu. Był tam kamienny most.

Ogarnęło go straszliwe przeczucie.

Kopyta zastukały nerwowo o zrujnowaną nawierzchnię.

— Krawędź — powiedział niepewnie. — Miło i ciepło.

— Nie.

— Co komu przyjdzie z zabicia trolla? Co osiągniesz, zabijając trolla?

— Martwego trolla. W tym cała rzecz. Zresztą wcale nie muszę zabijać. Wystarczy, że go pokonam. Jeden na jednego. *Mano a...* troll. Gdybym nie spróbował, ojciec przewróciłby się w grobie.

— Sam mi mówiłeś, że przepędził cię z plemienia, kiedy miałeś jedenaście lat.

— To jego najlepszy pomysł w życiu. Nauczył mnie stać mocno na cudzych nogach. Podejść tu, dobrze?

Koń zbliżył się. Cohen chwycił za siodło, podciągnął się i wyprostował.

— I ty chcesz dzisiaj walczyć z trollem... — mruknęło zwierzę.

Cohen pogrzebał w jukach i wyciągnął kapciuch z tytoniem. Wiatr rozwiewał okruchy, gdy osłaniając je dłońmi, zwijał kolejnego cienkiego papierosa.

— Tak — stwierdził.

— I przyjechałeś tu z daleka specjalnie w tym celu?

— Musiałem — wyjaśnił Cohen. — Kiedy ostatnio widziałeś most z trollem pod spodem?

Kiedy byłem młodym chłopakiem, stały ich setki. Teraz więcej trolli żyje w miastach niż w górach. Większość z nich tłusta jak masło. I po co nam były te wszystkie wojny? A teraz...

Przejdź przez ten most.

Był to samotny most ponad płytką, spienioną i zdradziecką rzeką w głębokiej kotlinie. Takie miejsce, gdzie człowiek...

Szary kształt przeskoczył przez krawędź i wylądował na płaskich stopach tuż przed koniem.

W ręku trzymał maczugę.

— No dobra — warknął.

— Och... — stęknął koń.

Troll zamrugał. Nawet mroźne i zachmurzone zimowe niebo poważnie redukowało przewodnictwo jego krzemowego mózgu. Dlatego tak długo trwało, nim uświadomił sobie, że w siodle nie ma pasażera.

Mrugnął jeszcze raz, ponieważ nagle poczuł oparte o kark ostrze miecza.

— Witam — odezwał się głos przy jego uchu.

Troll przełknął ślinę. Ale bardzo ostrożnie.

— Słuchaj — zaczął rozpaczliwym tonem. — To przecież taka tradycja, nie? Na takim moście ludzie powinni spodziewać się trolla. Ee... — dodał, gdy kolejna myśl przeczołgała mu się przez głowę. — A dlaczego właściwie nie słyszałem, jak się do mnie podkradasz?

— Bo jestem dobry w podkradaniu — odparł starzec.

— To się zgadza — wtrącił koń. — Podkraść się do większej liczby ludzi, niż ty w życiu przestraszyłeś obiadów.

Troll zaryzykował zerknięcie z ukosa.

— Niech to diabli — szepnął. — Myślisz, że jesteś Cohenem Barbarzyńcą, co?

— A jak ci się wydaje?

— Posłuchaj — doradził koń. — Gdyby nie miał kolana owiniętego workiem, poznałbyś, jak stuka o drugie.

Troll zastanawiał się przez dłuższą chwilę.

— O rany! — jęknął. — Na moim moście! Ale numer!

— Co? — spytał Cohen.

Troll wyrwał mu się i gorączkowo zamachał rękami.

— W porządku! Zgoda! — krzyknął, gdy Cohen ruszył do przodu. — Masz mnie! Masz mnie!

Nie będę się sprzeczał! Chcę tylko zawiadomić rodzinę, dobrze? Inaczej nikt nie uwierzy. Cohen Barbarzyńca! Na moim moście!

Potężna kamienna pierś wypięła się dumnie.

— Ten mój przeklęty szwagier cały czas przechwala się swoim przeklętym wielkim, drewnianym mostem. Żona o niczym innym nie mówi. Ha! Chciałbym teraz zobaczyć jego minę... No nie! Co sobie o mnie pomyślisz?

— Dobrze pytanie — przyznał Cohen.

Troll rzucił maczugę i chwycił jego dłoń.

— Jestem Mika — przedstawił się. — Nie masz pojęcia, jaki to dla mnie zaszczyt.

Wychylił się przez parapet.

— Beryl! Chodź tu szybko! Przyrowadź dzieciaki! Odwrócił się do Cohena. Oczy błyszczały mu dumą i wzruszeniem.

— Beryl zawsze powtarza, że powinniśmy się przeprowadzić, poszukać czegoś lepszego...

Ale ja jej tłumaczę, że ten most jest w naszej rodzinie od pokoleń, że zawsze mieszkał jakiś troll pod Mostem Śmierci. To tradycja.

Na brzeg wdrapała się ogromna samica trolla z dwójką maluchów na rękach. W ślad za nią

maszerował rząddek mniejszych trolli. Ustawili się szeregiem za ojcem, wpatrzeni w Cohena niczym sowy.

— To Beryl. — Troll wskazał żonę. Spojrzała na Barbarzyńcę z niechęcią. — A to... —

Wypchnął do przodu mniejsze wydanie samego siebie, ściskające młodzieżową wersję maczugi.

— To mój chłopak, Piarg. Prawdziwy odprysk starego kamienia. Kiedy odejdę, przejmie po mnie ten most. Prawda, Piarg? Patrz, mój chłopcze, to jest Cohen Barbarzyńca! Co ty na to? Na naszym moście! Nie tacy zwykli bogaci, tłuści kupcy, jakich spotyka twój wujek Piryt. — Troll zwracał się do syna, ale nad jego ramieniem zerkał na żonę. — U nas bywają prawdziwi bohaterowie, jak za dawnych czasów.

Żona trolla zmierzyła Cohena wzrokiem.

— Bogaty jest? — spytała.

— Bogactwo nie ma tu nic do rzeczy — odparł troll.

— Zabije pan naszego tatę? — rzucił podejrzliwie Piarg.

— Oczywiście, że tak — zapewnił syna Mika. — To jego zawód. A potem będę sławiony w pieśniach i opowieściach. To przecież Cohen Barbarzyńca, nie jakiś wiejski głupek z widłami.

Słynny bohater! Przyszedł do nas z daleka, więc okażcie mu nieco szacunku. Przepraszam za to, sir — zwrócił się do Cohena. — Ta dzisiejsza młodzież... Wie pan, jak to jest.

Koń zaczął parskać.

— Posłuchaj... — odezwał się Cohen.

— Pamiętam, jak tato opowiadał mi o panu, kiedy byłem jeszcze kamykiem — westchnął

Mika. — Stoi ponad światem niczym kloss. Tak mówił.

Zapadło milczenie. Cohen zastanawiał się, czym może być kloss. I nagle poczuł na sobie kamienne spojrzenie Beryl.

— To zwyczajny mały staruszek — oznajmiła. — Nie wydaje się szczególnie bohaterski.

Skoro jest taki dobry, to czemu nie jest bogaty?

— Posłuchaj, kobieto... — zaczął Mika.

— I na to czekaliśmy całe życie? — przerwała mu żona. — Przez tyle lat siedząc pod ciekącym mostem? Wypatrując ludzi, którzy nigdy nie przyszli? Czekaliśmy na tego krzywonogiego staruszka? Dlaczego nie posłuchałam matki? Chcesz, żeby nasz syn siedział pod mostem i czekał, aż jego też

zabije jakiś staruszek? To ma być przyszłość dla trolla? Nie, na to nie pozwolę!

— Uspokój się...

— Ha! Piryt nie spotyka małych staruszków. Do niego przychodzą grubi kupcy. Jest kimś!

Powinieneś z nim jechać, kiedy miałeś okazję!

— Wolałbym jeść robaki!

— Robaki? Odkąd to stać nas na robaki?

— Możemy chwilę pogadać? — wtrącił Cohen.

Machając od niechcienia mieczem, przeszedł na drugi koniec mostu. Troll poczłapał za nim.

Cohen sięgnął po kapciuch z tytoniem. Spojrzał na trolla i wyciągnął rękę.

— Zapalisz?

— Można od tego umrzeć — zauważył troll.

— Owszem. Ale nie dzisiaj.

— Tylko nie stój tam za długo z tym twoim podejrzanym kolegą — huknęła Beryl ze swojego końca mostu. — Dzisiaj miałeś iść do tartaku! Czert mówił, że nie może wciąż trzymać dla ciebie tej posady, jeśli nie wezmiesz się poważnie do pracy!

Mika uśmiechnął się przepaszająco.

— Można na niej polegać — powiedział.

— I nie będę włąził do rzeki, żeby cię znowu wyciągać! — ryczała Beryl. — A opowiedz mu o starych capach, panie Ważny Trollu!

— Capach? — zdziwił się Cohen.

— Nic nie wiem o capach — zapewnił Mika. — Ona zawsze o nich wspomina. Ale ja nie mam pojęcia o żadnych capach. — Skrzywił się.

Razem patrzyli, jak Beryl sprowadza młode trolle z brzegu w mrok pod mostem.

— Rzecz w tym — odezwał się Cohen, kiedy zostali sami — że nie planowałem cię zabić.

Twarz trolla wyrażała rozczarowanie.

— Nie?



— Najwyżej zrzucić cię z mostu i ukraść twoje skarby.

— Naprawdę?

Cohen poklepał go po ramieniu.

— Poza tym — dodał — lubię spotykać ludzi, którzy mają... dobrą pamięć. Tego trzeba tej krainie: pamięci. I tradycji.

Troll stanął na baczność.

— Staram się jak mogę, proszę pana — zapewnił. — Mój chłopak chce iść szukać pracy w mieście. Powtarzam mu, żetrolle mieszkają pod tym mostem już prawie pięćset lat...

— Więc gdybyś oddał mi skarby — dokończył Cohen — mógłbym już ruszać dalej.

Nagła panika wywołała zmarszczki na obliczu trolla.

— Skarby? Nie mam żadnych skarbów...

— Daj spokój. Na takim dobrze położonym moście?

— Tak, ale nikt już nie jeździ tą drogą — wyjaśnił Mika. — Pan jest pierwszy od miesiący.

Naprawdę. Beryl mówi, że powinienem się przenieść do jej brata, kiedy zbudowali nową drogę do jego mostu. Ale... — podniósł głos — powiadam jej: pod tym mostemtrolle...

— No tak... — mruknął Cohen.

— Problem w tym, że kamienie ciągle wypadają — wyznał troll.

— A nie uwierzy pan, ile żądają ci murarze. Przeklęte krasnoludy. Nie można im ufać. —

Pochylił się do Cohena. — Przyznam się panu, że trzy dni w tygodniu muszę pracować w tartaku szwagra, żeby jakoś związać koniec z końcem.

— Zdawało mi się, że twój szwagier ma most — zdziwił się Cohen.

— Jeden z nich tak. Ale moja żona ma tylu braci, ile psy pcheł.

— Mika wpatrzył się ponuro w fale rzeki. — Jeden handluje drewnem nad Kwaśną Wodą, jeden prowadzi most, a ten wielki i gruby jest kupcem przy Gorzkiej Grani. Czy to właściwy fach dla trolla?

— Ale przynajmniej jeden jest w mostowym interesie — pocieszył go Cohen.

— Mostowy interes? Cały dzień siedzieć w budce i brać od ludzi po sztuce srebra za przejście? Pół dnia w ogóle go tam nie ma. Wynajął sobie krasnoluda do kasowania pieniędzy. I on nazywa siebie

trollem! Dopóki nie podejdziesz się blisko, nie można go odróżnić od człowieka.

Cohen pokiwał głową ze zrozumieniem.

— I wie pan co? Co tydzień muszę chodzić do nich z wizytą i jeść u nich obiad. Z całą trójką.

I słuchać, jak ciągle gadają, że trzeba iść z duchem czasu...

Zwrócił do Cohena swą wielką, smutną twarz.

— Co jest złego w byciu trollem pod mostem? — zapytał. — Wychowałem się, żeby być trollem pod mostem. Chcę, żeby młody Piarg został trollem pod mostem, kiedy mnie już nie będzie. Co w tym złego? Muszą przecież istniećtrolle pod mostami. Inaczej po co to wszystko?

Jaki to ma sens?

Oparli się smętnie o parapet, zapatrzeni w spienioną wodę.

— Wiesz — odezwał się wolno Cohen. — Pamiętam czasy, kiedy człowiek mógł przejechać stąd aż po Klingowe Góry i nie zobaczyć żywego stworzenia. — Przesunął palcami po ostrzu miecza. — W każdym razie nie na długo.

Rzucił w wodę niedopałek papierosa.

— Teraz są tam same farmy. Małe farmy małych ludzi. I wszędzie płoty. Gdziekolwiek spojrzysz, farmy, płoty i mali ludzie.

— Ona ma rację, oczywiście — stwierdził troll, kontynuując jakąś wewnętrzną dyskusję. —

Takie wyskakiwanie spod mostu nie ma przyszłości.

— Rozumiesz — mówił Cohen — nie mam nic przeciwko farmom. Albo farmerom. Też są potrzebni. Tyle że kiedyś żyli daleko od siebie, na brzegach. A teraz tutaj jest brzeg.

— Spychani przez cały czas — mruknął troll. — Cały czas się zmieniamy. Jak mój szwagier Czert. Tartak! Troll prowadzący tar tak! A gdyby pan zobaczył, co on wyprawia z Ostrocienistym Lasem!

Zaskoczony Cohen podniósł głowę.

— Co? Tym, w którym żyły gigantyczne pająki?

— Pająki? Teraz nie ma tam żadnych pająków. Tylko pnie.

— Pnie? Pnie? Lubiłem kiedyś ten las. Był... no, był mroczny. Teraz nie można już znaleźć porządnej mroczności. W takim lesie człowiek pojmował, co to znaczy strach.

— Podobała się panu mroczność? On teraz sadi tam jodły. Równiutkie i czyste.

— Jodły?

— To nie był jego pomysł. On nie odróżnia jednego drzewa od drugiego. Wszystko przez Glinę.

Cohen poczuł, że kręci mu się w głowie.

— Kto to jest Glina?

— Mówiłem przecież, że mam trzech szwagrów, prawda? Glina to ten kupiec — wyjaśnił

Mika. — Powiedział, że jeśli zasadzi się młode drzewa, łatwiej będzie sprzedać ziemię.

Przez długą chwilę Cohen przetrawiał informację.

— Nie można sprzedać Ostrocienistego Lasu — stwierdził w końcu. — Nie należy do nikogo.

— No tak. On mówi, że właśnie dlatego można go sprzedać.

Cohen uderzył pięścią o parapet. Niewielki kamień oderwał się i runął w głąb wąwozu.

— Przepraszam...

— Nic nie szkodzi. Tak jak mówiłem: bez przerwy odpadają jakieś kawałki.

Cohen odwrócił się.

— Co się dzieje? Pamiętam wszystkie te wielkie, dawne wojny. A ty? Musiałeś przecież walczyć.

— Tak. Niosłem maczugę.

— Mieliśmy walczyć o nową, piękną przyszłość. O prawo i w ogóle. Tak mówili ludzie.

— Ja walczyłem, bo kazał mi wielki troll z batem — wyjaśnił ostrożnie Mika. — Ale rozumiem, o co panu chodzi.

— Chodzi o to, że nie o farmy i nie o jodły. Prawda?

Mika zwiesił głowę.

— A teraz siedzę tu z tą nędzną imitacją mostu. Naprawdę głupio się czuję. Jechał pan taki kawał drogi...

— Mieliśmy wtedy takiego czy innego króla — ciągnął Cohen, wpatrując się w wodę. — I chyba jakichś magów. Ale króla na pewno. Jestem przekonany, że był król. Nigdy go nie widziałem. I wiesz? — Uśmiechnął się do trolla. — Nie pamiętam, jak miał na imię. Nie sądzę, żeby nam to powiedzieli.

Mniej więcej pół godziny później koń Cohena wynurzył się z posępnej puszczy na omiatane wiatrem,

nagie wrzosowiska. Przez chwilę człapał w milczeniu, nim w końcu się odezwał.

— No dobrze... Ile mu dałeś?

— Dwanaście sztuk złota — odparł Cohen.

— Dlaczego dałeś mu dwanaście sztuk złota?

— Bo nie miałem więcej.

— Chyba oszalałeś.

— Kiedy zaczynałem karierę barbarzyńskiego herosa — rzekł Cohen — każdy most miał pod spodem trolla. I człowiek nie mógł przejechać przez puszcę, tak jak my właśnie przejechaliśmy, żeby z tuzin goblinów nie próbowało odrąbać mu głowy. — Westchnął. Zastanawiam się czasem, co im się przytrafiło.

— Ty — stwierdził koń.

— No tak... Ale myślałem, że jeszcze trochę zostanie. Myślałem, że będzie więcej brzegów.

— Ile masz lat? — spytał koń.

— Nie wiem.

— Czyli dość, żeby zrozumieć.

— Tak... No tak. — Cohen zapalił papierosa i kaszłał, aż oczy zaszyły mu łzami.

— Robisz się miękki!

— Tak.

— Ostatniego dolara oddałeś trollowi!

— Tak. — Cohen dmuchnął dymem w kierunku zachodzącego słońca.

— Dlaczego?

Cohen popatrzył w niebo. Czerwony blask był zimny jak zbocza piekieł. Lodowaty wicher dmuchał przez stepy, szarpiąc to, co pozostało z włosów bohatera.

— W imię tego, jakimi rzeczy być powinny — rzekł.

— Ha!

— W imię rzeczy, które minęły.

— Ha!

Cohen spojrział w dół. Uśmiechnął się.

— I żeby podać trzeci powód: pewnego dnia umrę — stwierdził. — Ale chyba jeszcze nie dzisiaj.

Wiatr dmuchał od gór, unosząc w powietrzu, drobnutkie kryształki lodu.

Było zbyt zimno na śnieg. Przy takiej pogodzie wilki zbliżają się do wiosek, a zamarzające drzewa w sercu lasu pękają z hukiem. Tyle że w tych dniach wilki spotykało się coraz rzadziej i rzadziej, coraz mniej i mniej było lasów.

Przy takiej pogodzie rozsądnie myślący ludzie siedzą w domach, przy kominkach.

Opowiadają historie o bohaterach.

*Przełożył Piotr W. Cholewa*

*Robert Silverberg*

## **Nocne czuwanie w świątyni**

### **(A Long Night's Vigil at the Temple)**

Jeszcze chwila i zapadną ciemności. Strażnik Diriente wkroczył do przedsionka świątyni —

podobnie czynił każdego wieczoru od trzydziestu lat — aby z nadejściem zmierzchu wygłosić inwokację. Miał na sobie zwykłą szkarłatną sutannę i wysoki kapelusz z dwoma czubami, będący oznaką jego profesji, który dawno temu wydawał mu się śmieszny na głowie ojca, a który teraz uważał, jeśli w ogóle o nim myślał, za zwyczajną część stroju. W lewej ręce trzymał kadzielnicę z brązu, w prawej natomiast zielone, zwężające się z jednego końca naczynie, lśniące i miłe w dotyku, jeden z tych pięknych wyrobów z celadonu, jakie tylko rzemieślnicy z wyspy Murrha umieją jeszcze wytwarzać.

Letnią noc, jasną i spokojną, mąciło jedynie przenikliwe kumkanie rzekotek. Tu i ówdzie robaczki świętojańskie błyskały złotymi promykami, a daleko poniżej, w dolinie, gdzie rozłożyło się majestatyczne miasto Citherione, zapalały się niezliczone światełka dzielnic mieszkaniowych

— one również przypominały migoczące lampki świetlików. Olbrzymia odległość pogłębiała iluzję.

Pół godziny trwała podróż kolejką naziemną ze świątyni do najbliższych dzielnic miasta.

Strażnik nie odwiedzał ich już od miesięcy. Kiedyś bywał tam częściej, ale z wiekiem czuł się w mieście coraz bardziej obco, nieswojo, gdyż było brudne i nieprzyjemnie pachniało. Masywna, kamienna świątynia, pewnie osadzona w niszy na stoku wzgórza, ocieniona wielką, stromą górską ścianą, wystarczała mu w zupełności; codzienne misterium modlitwy, obrzędu i medytacji, towarzystwo sprawdzonych przyjaciół, odrobina pracy w ogrodzie, przyzwoita butelka wina do

obiadu, a czasem, późną nocą, kilka fraz kojącej muzyki. Wiódł przyjemne życie, ciesząc się samotnością nie zakłócaną filozoficznymi dywagacjami ani bezwzględną walką o utrzymanie posady.

Przyszłość Diriente określono jeszcze przed jego narodzinami, ponieważ stanowisko strażnika świątyni przechodziło z ojca na syna. Od dwunastu pokoleń piastowali je członkowie tej samej rodziny. Był najstarszym synem. Nieuchronność losu zaważyła na jego dzieciństwie, wypełnionym przygotowaniem do objęcia funkcji. I zdarzyło się to, co nieuchronne: pewnego razu stracił wiarę w dogmaty, którym służył. Początkowo przysparzało mu to kłopotów, lecz później się z tym oswoił.

Zachodnią fasadę portyku świątyni, tę zwróconą na miasto, wyłożono szerokimi, marmurowymi płytami. Poniżej wysmukłego zwieńczenia, sterczącego na kształt wachlarza, rozciągał się trawnik, gęsty niczym zielony aksamit, okolony kwiecistymi krzewami — w ciągu stu wieków wyborowi ogrodnicy pielęgnowali go z miłością. Wzdłuż ogrodów do miasta w dolinie spływał potok, którego źródło biło wysoko na stoku góry. Na obrzeżach świątyni znajdowały się obszary wydzielone pod cmentarzyk, niewielkie wysypisko śmieci oraz domki dla służących. Dalej za nimi dzika gmatwanina chaszczy tworzyła strefę przejściową pomiędzy otwartym stokiem góry, na którym wzniesiono świątynię, a ścianą skalną wznoszącą się stromo do nieba.

Od strażników wymagano, by uświęcała ich łaska pozwalająca chłonąć nieskończoność, którą neofici po odmówieniu inwokacji określali lekceważącym mianem „kosmicznego ogniwa”.

Diriente wiedział, że nie osiągnął pełni poznania, wątpił nawet, czy jest ona możliwa. Ale zdołał

wypracować pewien stopień koncentracji uwagi i to mu wystarczało. Technika pozwalająca na jej osiągnięcie nakazywała mu wpatrywać się w starożytne, poznaczone bliznami oblicze księżyca, a jeśli był on niewidoczny — na Gwiazdę Biegunową. Nie wyróżniał księżyca czy gwiazd, najważniejsze, aby skierować swego ducha w stronę królestwa, gdzie przebywają potęgi Górnego Świata. Zwykle wystarczało kilka chwil, by się przygotował do odprawienia rytuału. Miał w tym przecież długą praktykę.

Tej bezksiężycowej nocy, kiedy patrzył na gwiazdy, nawiązując łączność, doznał znajomego uczucia mrowienia i ogarnęło go niesamowite wrażenie, jakby wspinał się wzdłuż własnego kręgosłupa, by na koniec wypłynąć przez czoło w otaczającą przestrzeń. Przerwano mu jednak, wbrew utartym zwyczajom. Z ogrodu wybiegł rosły człowiek i w podskokach skierował się ku świątyni, stając tuż przy nim na skraju portyku.

— Diriente! — zawołał. — Posłuchaj, Diriente, musisz rzucić okiem na moje znalezisko.

Był to Mercialis, kustosz świątyni. Strażnik zdumiał się i rozżłościł, gdy rozproszono jego uwagę. Mercialis powinien wykazać się większym taktem.

Strażnik z rozdrażnieniem wskazał na kadzielnicę i celadonowe naczynie.

— Och! — W głosie Mercialisa nie było skruchy. — To ty jeszcze nie skończyłeś?

— Jeszcze nie. Tak naprawdę dopiero co zaczynałem. Nie powinieneś przerywać mi w takiej chwili.

— Tak, tak, wiem. Ale to ważne. W porządku, przepraszam, że ci przerwałem, jednak miałem do tego cholernie słuszny powód. Uporaj się szybko z ceremonią. A potem chcę, żebyś ze mną poszedł. Od razu.

Mericalis nie udzielił dokładniejszych wyjaśnień, strażnik też żadnych nie żądał, nie chcąc dodatkowo rozpraszać swej uwagi. Udało mu się częściowo odzyskać spokój ducha.

— Jeśli mi pozwolisz, to skończę szybko — odparł kustoszowi poirytowanym głosem.

— Więc kończ, poczekam na dole.

Strażnik kiwnął głową z dezaprobatą. Mericalis pogрузzył się w cieniu u podnóża portyku.

Wszystko trzeba zacząć od nowa. Strażnik odetchnął głęboko i zamknął oczy, usiłując dojść do siebie po tym nieoczekiwanym najściu. Już po chwili brzęczenie w głowie ustało, więc podjął

swoje dzieło, wprawnym okiem wyszukując na niebie Gwiazdę Biegunową i skupiając na niej wzrok. To właśnie stamtąd dziesięć tysięcy lat temu trójka Gości przybyła na Ziemię, aby uchronić ludzkość od kataklizmu; tak przynajmniej podawały Pisma. Możliwe, że się nie myliły.

Żadna przesłanka nie przeczyła, natomiast kilka potwierdzało słowa zawarte w Księgach.

Wszystkie myśli skupił na Górnym Świecie, wypuszczając ducha ku niebu, ku straszonym, mrocznym, międzygalaktycznym otchłaniom. Wielkim wysiłkiem woli zawładnął umysłem; zachowując świadomość rzeczywistości, wyobraził sobie, że oto od gwiazdy do gwiazdy szybuje jego bezcielesna, skurczona inteligencja, ślizgając się — niczym roziskrzona igła — poprzez czarne, bezwietrzne czeluście.

Strażnik czuł nieraz, że były takie czasy, gdy ów przeskok nie wymagał wysiłku woli, że we wczesnym stadium swego kapłaństwa wystarczyło zrobić krok, spojrzeć do góry i nie martwić się o resztę. Światło Gwiazdy Biegunowej wnikało wówczas w jego duszę, wyciągając ją sprawnie, bez wysiłku, prosto ku Gwieździe Trzech. Czy tak było naprawdę? Sam już nie pamiętał. Zbyt długo pełnił funkcję strażnika. Wieczorną inwokację wygłosił przynajmniej dziesięć tysięcy razy.

Obecnie wszystko sprowadzało się do utartych słów, mechanicznego powtarzania formułek. Jak przez mgłę wspominał czasy, kiedy jednym radosnym skokiem mógł wzbić się do płonących otchłani nieskończonych nocy; sądził wówczas, że spoglądanie w gwiazdy i wlewanie dobrego wina do kamiennego korytka może mieć jakąś rzeczywistą i niepodważalną moc zbawczą. Teraz, kiedy stawał pod niebem promieniejącym w chwale, mógł tylko mieć nadzieję na jakiś przebłysk

— może lekkie ukłucie — niegdysiejszej euforii. I nawet ten przebłysk, to ukłucie, było podejrzone, najprawdopodobniej udawane, niczym świadomie wywołany miraż.

W każdym razie gwiazdy błyszczały pięknie. Jakże był wdzięczny za to jedno błogosławieństwo. Zniknąć mogła jego wiara w rzeczywiste istnienie Gości, w ich pobyt na ziemi, lecz świadomość ogromu wszechświata, przeświadczenie o znikomości człowieka i majestacie wspaniałego sklepienia nocy — przetrwało.

Stojąc pewnie, z głową odchyloną do tyłu, obliczem skierowanym ku gwiazdom, zaczął

kołysać kadzielnicą, aż chmura gryzącego dymu uniosła się, wirując, ku niebu. Wzniósł mieniące się zielenią porcelanowe naczynie, ofiarując jego zawartość trzem głównym stronom świata, którymi były wschód, zachód i zenit. Strzęp dawnych umiejętności pozwolił mu teraz pogрузić się w rytuale, na tyle głęboko, na ile pozwalał na to jego sceptycyzm. Lecz w owej chwili nie dopuszczał do siebie żadnych wątpliwości. Pojawią się wkrótce. Z namaszczeniem wypowiedział

trzy święte imiona: — Oberith... Aulimiath... Vonubius... Niemal uwierzył, że nawiązał łączność.

Przywołał wizję Trójki, patykowatych sylwetek obcych, migoczących spektralnym światłem.

Wyraził, podobnie jak to czynił wiele razy, wdzięczność Ziemi za to, co uczynili przybysze dla jej mieszkańców dawno, dawno temu, zapewniając o tęsknocie Ziemian, oczekujących ich rychłego powrotu z tymczasowej wizyty na odległych światach.

Na chwilę umysł strażnika uwolnił się od wszelkich kwestii wiary i niewiary. Czy Trójka naprawdę istniała? Czy przybyła na Ziemię, gdy groził jej upadek? Czy po ukończeniu dzieła uniosła się do nieba w ognistym rydwanie, przyrzekając powrócić kiedyś i w swej wielkiej łaskawości zjednoczyć wszystkie ludy? Strażnik nie umiał na to odpowiedzieć. Za młodu wierzył

w każde słowo zapisane w Księgach, podobnie jak inni. Teraz nie pamiętał już, kiedy przestał

wierzyć. Lecz fakt ten nie wpłynął w zasadniczy sposób na bieg jego życia. Był strażnikiem najwyższej świątyni, sprawował wyznaczone funkcje, służył ludziom. Tylko to się liczyło.

Każdego dnia ceremonia przebiegała tak samo. Zgodnie z powszechnym mniemaniem, nie zmieniła się od tysięcy lat, od nocy, podczas której Goście opuścili Ziemię, lecz strażnik podchodził do tego ze sceptycyzmem, podobnie jak do wielu innych spraw. Czas przynosi zmiany. Każdy system wiary ulega zniekształceniom — co do tego miał pewność. Mimo to publicznie manifestował niezmiennosc wszystkich aspektów liturgii, wiedząc, że tego właśnie ludzie oczekują. Ludzie są bardzo konserwatywni w swym postępowaniu, a on miał im służyć. W

rodzinie mówiło się zawsze: „To my jesteśmy strażnikami, a zatem musimy służyć”.

Nastąpił punkt kulminacyjny inwokacji: ofiarowanie. Strażnik cichym głosem wygłaszał

modlitwę powtórnego przyjścia, będącą istotą całego rytuału, zawierającą nadzieję, że Trójka nie będzie długo zwlekać z powrotem na Ziemię. Słowa płynęły szybko, niedbale, jakby wypowiedane sylaby należały do jednego z zapomnianych języków, w których nie umiał

doszukać się znaczeń. Potem przywołał imiona po raz drugi, z tym samym co uprzednio teatralnym namaszczeniem. Wysoko uniosł porcelanowe naczynie i, odwróciwszy je, pozwolił, aby złociste wino wlało się do kamiennego korytka, które biegło w dół wzgórza, w kierunku świątynnego stawu. I



to był koniec, finał ceremonii. Szczupły mężczyzna o ostrych rysach twarzy, mistrz gry na hydraulosie, siedzący cierpliwie w ciemności na brzegu strumyka, wydał ze swego instrumentu trzy potężne akordy, wieńcząc ceremonię.

Na ten sygnał wszyscy wierni, pozostający w świątyni o tak późnej porze, upadliby na kolana, płacząc z radości i żegnając się znakiem powtórnego przyjścia. Lecz tego wieczoru nie było nikogo, nie licząc kilku członków personelu świątyni, którzy — podobnie jak strażnik —

zajmowali się uprzątnięciem pomieszczenia na noc. Gdy łączność została zerwana, strażnik stał osamotniony, świadom pustki otaczającej jego ducha i daremności swoich poczynań. Znowu czuł, jak zalewa go druzgocząca fala zwątpienia. Ból trwał tylko sekundę, a potem Diriente doszedł do siebie.

Wtedy spośród cieni wynurzył się Merialis, barczysty, natarczywy mężczyzna, unosząc się nad strażnikiem niby widmo, które ten sam przywołał.

— Już po robocie? Możemy iść? Strażnik wlepił w niego wzrok.

— Skąd ten pośpiech? Chyba mogę najpierw odłożyć swoje święte przybory?

— Jasne — odparł kustosz, wruszając ramionami. — Nie spiesz się, Diriente. — W jego głosie dawało się wyczuć pewne zniecierpliwienie.

Strażnik postanowił je zignorować. Wrócił do świątyni, by złożyć w niszy tuż przy drzwiach kadzielnicę i porcelanowe naczynie. Zatrzasnął i zamknął na klucz kutą kratkę zabezpieczającą, szybko odmówił modlitwę, kończąc tym samym codzienne obowiązki. Odłożył wysoki kapelusz, a sutannę powiesił na kołku. Pod spodem nosił prostą, lnianą komżę, spiętą wysłużonym rzemieniem.

Znowu wyszedł na zewnątrz. Członkowie personelu świątyni znikali w ciemnościach, przyświecając sobie latarniami w drodze do domków położonych po północnej stronie budynku.

Ich śmiechy rozchodziły się w nocy. Strażnik zazdrościł im młodości, wesołości i przekonania, że świat jest taki, jakim go widzą.

Merialis, czekając na niego przy krzewie obsypanym barwnym kwieciami, obok marmurowego stopnia portyku, skinął dłonią.

— Dokąd idziemy? — zapytał strażnik, kiedy ruszyli żwawo trawnikiem.

— Sam zobaczysz.

— Jesteś cholernie tajemniczy.

— Chyba masz rację.

Merialis poprowadził go wokół północno-zachodniego narożnika budynku, gdzie zaczynała się wyboista dróżka, serpentynami wspinająca się na ścianę wzgórz, na której wzniesiono świątynię.

Niby różdżkę ze szmaragdowym światłem dzierzył niewielką latarkę. W tę bezksiężycową noc zdawała się ona emanować zwielokrotnionym blaskiem.

— Naprawdę jest mi przykro, że przerwałem ci przed samą inwokacją — odezwał się Merialis, gdy mijali śmietnik. — Sądziłem, że masz to już za sobą.

— Teraz to już bez różnicy.

— Tak czy inaczej, czułem się podle. Wiem, jak ważny jest dla ciebie ten rytuał.

— Czyżby? — Strażnik zastanawiał się, jak potraktować uwagę kustosza.

Nigdy dotąd nie rozmawiał na temat utraty wiary, nawet z Merialisem, który z biegiem lat został jego najlepszym przyjacielem, bliższym mu niż którykolwiek z pozostałych kapłanów. Ale wątpił, by wszyscy byli ślepi. Wiara łśni na twarzy niczym księżyc w pełni, wyglądający zza chmur zimową nocą. Tę szczególną poświatę strażnik potrafił dostrzec u innych. Podejrzywał, że inni nie zauważyli jej u niego.

Kustosz był laikiem. Miał za zadanie zapewniać strukturalną integralność świątyni, która, jakkolwiek by na to patrzeć, od dziesięciu tysięcy lat nieustannie wykorzystywana, stanowiła jedną wielką usterkę pomimo całej swej masywności i trwałości. Merialis znał wszystkie słabe miejsca murów, subtelne pęknięcia w przyporach, luźne płytki w posadzkach, defekty kanalizacji. Miał w sobie coś z archeologa, mógł ze znanstwem opowiadać o skomplikowanej historii tego starożytnego budynku, o szczegółach wielokrotnych przeróbek, o stratygraficznych granicach wyznaczających poszczególne układy świątyni, pokazujących, jak ewoluowała przez te wszystkie stulecia. Religia była dla niego czymś obcym: tylko świątynię kochał, nie zaś wiarę, której ona służyła.

Śmietnik został daleko w tyle, podążali wąską, nie brukowaną drogą, która pięła się na sam szczyt góry. Strażnik zaczął tracić oddech, w miarę jak stok stawał się coraz bardziej stromy.

Nieczęsto miał sposobność korzystać z tej drogi. W wyższych partiach góry znajdowały się stare ołtarze, opustoszałe wiele stuleci temu, podczas bezkrólewia samtarydzkiego. One go jednak nie interesowały. Strażnik przypuszczał, że Merialis, pogrążony w swych studiach antykwarycznych, musiał się tam często wspinać, a teraz między osmalonymi starożytnymi kamieniami dokonał jakiegoś doniosłego odkrycia, którego drażliwa natura tłumaczyła przerwanie inwokacji. Może znalazł miejsce, gdzie składano ofiary z ludzi? Grobowiec prehistorycznego króla? Ta góra była miejscem świętym od bardzo dawna, powiadano nawet, że jeszcze zanim upadła stara cywilizacja maszyn i czarodziejskich sztuczek. Na cóż takiego osobliwego natknął się Merialis?

Tymczasem cel ich wędrówki nie leżał zbyt wysoko. Zamiast wspinać się dalej, kustosz zszedł

nagle z drogi, w miejscu niezbyt odległym od świątyni, po czym zaczął przeciskać się przez splątane zarośla. Strażnik podążył za nim z grymasem na twarzy. Rozsądek nakazywał mu powstrzymać się od zadawania pytań, aby oszczędzić oddech. Brnął więc naprzód, cały wysiłek poświęcając na utrzymanie równowagi. W nieprzeniknionej ciemności nocy, rozświetlonej jedynie latarką Merialisa, cudem tylko unikał potknięć o niewidoczne korzenie bądź pnącza.

Po jakichś dwudziestu krokach zmuśnej wędrówki dotarli do miejsca, gdzie druga droga — a raczej wąska przecinka — ukazała się ich oczom. Ta ku zdumieniu strażnika wiła się w dół stoku w kierunku świątyni, wiodąc ich nie na północne zbocze, ale ku przeciwległemu krańcowi budowli. Strażnik sądził, że wstępu do tej strefy od dawna skutecznie broniła bujna roślinność.

Okrążyli południowo-wschodni narożnik świątyni w odległości stu kroków od jej murów.

Strażnik jeszcze nie oglądał świątyni z tego miejsca. Zwalista, owalna sylwetka strzelała ku niebu, czarniejsza od czerni nocy, tworząc strefę bezgwiezdnej ciemności na atramentowym tle upstrzonego gwiazdami nieba.

W gąszczu zarośli natknęli się na polankę. Pośrodku zauważyli okrągłą jamę, szeroką na wyciągnięcie ramienia. Sądząc po wyglądzie świeżo usypanej ziemi, wykopano ją niedawno.

Mercialis podszedł do dziury i poświecił latarką. Strażnik zbliżył się, spoglądając do środka.

Mimo słabego światła stwierdził, że jama stanowi wlot podziemnego korytarza schodzącego pod ostrym kątem w kierunku świątyni.

— Co to ma znaczyć? — zapytał.

— Ktoś tu kopał bez zezwolenia. Zapewne poszukiwacze skarbów.

Strażnik otworzył szeroko oczy.

— Próbowali dostać się do świątyni?

— Na to wygląda — odparł Mercialis. — Szukali wejścia do podziemi. — Zagłębił się w otworze, niecierpliwie kiwając na strażnika. — Pośpiesz się, Diriente. Musisz to zobaczyć.

Strażnik stał nieruchomo.

— Naprawdę chcesz, żebym tam zszedł? Mamy we dwójkę pełznąć w ciemnym tunelu?

— Dokładnie.

— Nie jestem już młody, Mercialisie.

— I nie taki znowu stary. Ten tunel to solidna robota. Dasz sobie radę.

Mimo tych zapewnień strażnik nie mógł pozbyć się wątpliwości.

— A jeśli ci, którzy go zbudowali, przyłapią nas w środku?

— Nie przyłapią — odpowiedział Mercialis. — Tyle mogę obiecać.

— Skąd ta pewność?

— Zaufaj mi, Diriente.

— Poczulbym się lepiej, gdyby towarzyszyło nam kilku młodszych kapłanów.

Kustosz potrząsnął głową.

— Po obejrzeniu wszystkiego, co pragnę ci pokazać, będziesz zadowolony, że nie było świadków.

Strażnik niechętnie zszedł do tunelu. Poczul, jak sandały grzęzną mu w rozmokłej ziemi.

Odurzał go jej intensywny zapach. Mericalis wyprzedzał go o kilka kroków, nie oglądał się wstecz. Strażnik musiał się schylać i ostrożnie badać drogę, by nie uderzyć głową o niskie sklepienie korytarza. Kustosz nie mylił się, mówiąc, że tunel został solidnie wykonany. Schodził

w dół pod ostrym kątem, dopóki nie znalazł się pod ziemią na głębokości dwa razy większej niż wzrost człowieka, a potem zaczął biec poziomo. Ściany pieczołowicie wyrównano, a sklepienie co dziesięć kroków podparto belkami. Taka praca musiała trwać miesiącami. Strażnika ogarnęło nieprzyjemne przeczucie, iż mogło dojść do profanacji. Pomyśleć, że rabusie działali tu bezkarnie przez tak długi czas! Czy znaleźli grobowce? W rzeczywistości świątynia nie stanowiła pojedynczej budowli, ale zlepek wielu, wznoszonych w różnych epokach, każda na fundamencie swej poprzedniczki. Nakładające się warstwy niedostępnych komór, liczących niejednokrotnie tysiące lat, miały wypełniać przestrzeń pod główną nawą obecnej świątyni. Zebrano w niej spory stos skarbów, drogocenne klejnoty, sztabki rzadkich metali, wyroby artystyczne — wszystko stanowiło dary zapomnianych władców, ukryte w zamierzchłych czasach głęboko w grobowcach; dary te niewielu oglądało na oczy. Krążyła pogłoska, że w podziemiach świątyni zachowały się katakumby, gdzie chowano starożytnych królów, kapłanów i bohaterów, lecz nikt nie śmiał badać tych skrytych głęboko piwnic. Gruz zawalonych sklepień skutecznie blokował schody wiodące w dół i sam Mericalis nie potrafił stwierdzić, co niegdyś było zejściem do podziemi, a co jest fundamentem świątyni. Przebijanie się do niżej położonych warstw musiałoby pociągnąć za sobą niszczenie posadzek i drażnienie szerokich szybów poprzez górne kondygnacje piwnic. Nikt się na to nie odważył; budowla, której struktura zostałaby w ten sposób nadwerężona, mogła się rozsypać. Co się tyczy kopania tuneli z zewnątrz — cóż, strażnik nie pamiętał, by ktoś wysunął

podobną propozycję, i wątpił, by Wielka Rada Świątyni wyraziła na nią zgodę. W

rozgrzebywaniu fundamentów świętej budowli trudno było doszukać się jakichś korzyści duchowych czy też wartości naukowych, zważając na wielką liczbę relikwów starszych cywilizacji ziemskich, wciąż oczekujących na wykopanie. Ich ogólna dostępność nie pozwalała się nudzić archeologom.

Ale jeżeli tunel wykopali rabusie, nie archeolodzy...

Nic dziwnego, że Mericalis przerwał mu w połowie ceremonii!

— Cóż za przypadek zaprowadził cię tutaj? — zapytał strażnik, nie zatrzymując się.

Powietrze było wilgotne i zatęchłe, musieli zwolnić kroku.

— Tak naprawdę zawdzięczamy wszystko jednemu z kapłanów. Jednemu z tych młodszych, nie wyjawię jego imienia. Przyszedł tu kilka dni temu z pewną młodą kapłanką, żeby nacieszyć się chwilą prywatności, i niemal wpadł do środka. Razem zbadali tunel mniej więcej do miejsca, gdzie teraz jesteśmy, dochodząc w końcu do wniosku, że cała ta sprawa śmierdzi. Wtedy przyszli do mnie i wszystko opowiedzieli.

— Ale ty mi nic nie powiedziałaś.

— Rzeczywiście, nie — przyznał Merialis. — Z początku myślałem, że to typowa sprawa dla kustosza. Nie widziałem potrzeby, by mieszać w to ciebie. Ktoś kopał przy świątyni, to prawda.

Bardzo możliwe, że od dłuższego czasu. Przychodził w nocy, pracował cierpliwie, rozsypywał

ziemię w lesie, coraz bardziej zbliżał się do murów świątyni. Bez wątpienia zamierzał przebić się do jednej z położonych głębiej komór, by wykraść stertę bogactw, jakie się tam niewątpliwie znajdowały. Zaplanowałem osobiście zbadać tunel, dowiedzieć się wszystkiego, a potem sprowadzić policję miejską, by przejęła sprawę w swoje ręce. Oczywiście, na tym etapie zostałbyś o wszystkim powiadomiony.

— Więc policja jeszcze o niczym nie wie?

— Nie.

— Dlaczego?

— Bo wątpię, czy miałyby kogo aresztować. Popatrz sam, Diriente.

Chwycił strażnika za ramię i pociągnął go przed siebie. Potem wysunął rękę z latarką i oświetlił nią korytarz.

Strażnik westchnął.

Na wpół zagrzebani w ziemi, która osunęła im się na głowy, leżeli dwaj mężczyźni w roboczych kombinezonach. Strażnik zauważył trzonki łopat i kilofów, sterczące z usypiska.

Trzeci mężczyzna — nie, to była kobieta — leżała w niewielkiej odległości od pozostałych.

Nozdrza drażnił przyprawiający o mdłości odór rozkładu.

— Wszyscy nie żyją? — cicho spytał strażnik.

— Potrzebujesz dowodów?

— Sądysz, że zginęli pod zawalonym stropem?

— Na to wygląda, no nie? Ci dwaj to kopacze. Podejrzewam, że dziewczyna stała na czatach u wejścia do tunelu. Ma broń, widzisz? Dwa pistolety i sztylet. Musieli ją zawołać, chcąc pokazać jej

coś niezwykłego, i właśnie wtedy nie wytrzymał sufit. — Mericalis przestąpił ponad szczupłą sylwetką, zagłębiając się dalej w tunel. — Chodź tu, a pokażę ci, co się wydarzyło.

— A jeśli strop znowu się zapadnie?

— Mało prawdopodobne — odparł Mericalis.

— Jeśli zawalił się raz, może zawalić się powtórnie, i to prosto na nasze głowy — powiedział strażnik, wstrząsany dreszczem, na przekór zatykającej płuca duchocie korytarza. — Może wycofajmy się lepiej, póki nie jest za późno?

Kustosz zignorował tę propozycję.

— Popatrz tutaj. Co o tym myślisz? — Mericalis skierował latarkę w bok. Strażnik spojrzał z ukosa w ciemności. Ujrzał coś, co przypominało masywne, kamienne nadproże, które oderwało się od sklepienia i leżało na sztorc. Wygrawerowano na nim runami jakieś archaiczne inskrypcje.

Dalej ział owalny otwór, ciemniejszy niż otaczająca go ciemność, wyglądający jak wejście do kolejnego tunelu, biegnącego poprzecznie w stosunku do tego, którym przybyli. Mericalis przechylił się nad leżącym nadprożem i skierował snop światła w mroczną czeluść. Tak, korytarz. Ale zbudowany zupełnie inaczej niż ten, w którym się znajdowali. Ściany jego wyłożono wąskimi, kamiennymi blokami, precyzyjnie dopasowanymi; kamienne sklepienie podtrzymywały spiczaste arkady, mistrzowsko wykonane. Spoiny miały archaiczny wygląd.

— Ile to ma lat? — zapytał strażnik.

— Mnóstwo. Czy rozpoznałeś runy na nadprożu? Prehistoria. Możliwe, że ten korytarz nie jest młodszy od samej świątyni. Mógł stanowić element pierwszych podwalin. Złodzieje nie mogli przypuszczać, że natkną się tu na niego. Napotkali go zupełnie przypadkowo, drążąc przejście w stronę świątyni. Krzyknęli na dziewczynę, żeby przyszła popatrzeć — a może chcieli, by pomogła im przesunąć nadproże. Zabrali się do dzieła, a słaby punkt, gdzie spotkały się dwa korytarze, okazał się ich zgubą. Sufit ich własnego tunelu zawalił im się na głowę. Muszę przyznać, że osobiście nie odczuwam z tego powodu smutku.

— Możesz w przybliżeniu określić, dokąd prowadzi ten drugi korytarz?

— Do świątyni — odparł Mericalis. — A raczej pod nią, między wcześniejsze fundamenty.

Prowadzi wprost ku najgłębszym komorom.

— Jesteś tego pewien?

— Byłem tam, chodź.

Powrót nie wchodził już w rachubę. Strażnik, podążając w bliskiej odległości za Mericalisem, ze zdumieniem przyglądał się pięknie wykonanemu korytarzowi. Od czasu do czasu spostrzegał

runiczne napisy, nieczytelne, tajemnicze, wyryte na kamiennych płytach posadzki. Po przebyciu dwudziestu kroków napotkali rozgałęzienie: w lewo odchodził kolejny sklepiony łukowo korytarz. Kustosz minął go bez wahania.

— Można tu spotkać przeróżne tunele — powiedział — ale ten jest dla nas najważniejszy. Na ile zdążyłem się zorientować, tylko on prowadzi do świątyni.

Strażnik zauważył, że Merialis namalował znak, który mienił się w świetle latarki wysoko na murze tunelu. Przypuszczał, że dalej napotkają więcej takich drogowskazów.

— Tędy maszerowały procesje — wyjaśnił kustosz. — Możliwe, że dziesięć tysięcy lat temu korytarz ten znajdował się tuż pod powierzchnią ziemi, ale z czasem utonął pod zwałami gruzu z kolejnych świątyń i pod innymi śmieciami. Niegdyś istniał tu cały labirynt kamiennych korytarzy prowadzących do miejsc, gdzie składano ofiary, albo do znajdujących się na powierzchni ołtarzy.

Takie zadanie spełniał tunel, który właśnie minęliśmy. Niedaleko od wejścia jest zablokowany.

Dwa dni spędziłem na bezowocnym wypróbowywaniu różnych tuneli. Aż w końcu natrafiłem na ten i... Spójrz tylko, Diriente!

Merialis potrząsał dostojnie latarką. W jej słabym świetle strażnik zobaczył, że ściany rozbiegają się tu w lewo i w prawo, tworząc wielką, wyniosłą ścianę, przepięknie zdobioną.

Nisko z lewej strony widniał czarny otwór. Dotarli od tyłu do świątyni. Strażnik zadrżał.

Przytłaczał go ciężar spiętrzonych nad nim ziemi i niezmiernych warstw świątyni. Dotarł do fundamentu fundamentów. Był czas, kiedy to miejsce znajdowało się na powierzchni: dziesięć tysięcy lat temu, gdy Goście bawili na Ziemi.

— Wchodziłeś do środka? — zapytał strażnik ochrypłym głosem.

— Oczywiście — odparł Merialis. — Z początku trzeba się czołgać. Uważaj, żeby oddychać płytko, bo jest tam mnóstwo kurzu.

Powietrze było teraz gorące, suche i stęchłe. Starożytne powietrze. Martwe powietrze. Dławiło strażnika. Na czworakach, z pochyloną głową, brnął on w ślad za Merialisem. Nie wiedzieć czemu, raz po raz zamykał oczy, czekając, aż miną mdłości.

— Możesz już wstać — oznajmił kustosz.

Znajdowali się w obszernej, kamiennej komorze. Ściany obciosano pobieżnie, nie dodając żadnych ornamentów. Z wyjątkiem trzech smukłych sarkofagów z surowego, białego marmuru, spoczywających obok siebie po przeciwnej stronie, panowała tu pustka.

— Przyjacielu, weź się w garść — rzekł Merialis. — A potem zerknij, kogo my tu mamy.

Podeszli pod przeciwległą ścianę. Sarkofagi przykryto grubą płachtą z jakiegoś przezroczystego,

żółtawego materiału, podobnego do szkła, lecz w rzeczywistości nie znanego strażnikowi.

Strażnik wzdrygnął się, spoglądając do wewnątrz.

W każdym sarkofagu spoczywał szkielet ze zwróconą do góry twarzą. Nagi błyszczący szkielet jakiegoś dziwnego stworzenia o długich kończynach wielkością i ogólnymi zarysami przypominał człowieka, lecz różnił się od niego w szczegółach. Czaszka zaopatrzona była w kościsty grzebień, podobnie jak ramiona. Przy kostkach sterczały kolce, kolana były podwójne.

Żebra, miednica, palce wszystko obce, wszystko nieznanne. Ciała przybyszów z kosmosu.

— Podejrzewam, że ten wysoki pośrodku to Vonubius — po wiedział Mericalis. — Ten po prawej stronie to Aulimiath, a zatem ten po lewej to chyba Oberith.

Strażnik spiorunował go spojrzeniem.

— O czym ty mówisz?

— Znajdujemy się bez wątpienia w komorze grobowej. To są sarkofagi. Przed nami leżą szkielety obcych istot. Zakonserwowano je z wielką pieczołowitością i pochowano w obszernej i z pewnością ważnej komnacie na najgłębszym, a co za tym idzie najstarszym poziomie Świątyni Gości, w pomieszczeniu, do którego dawniej zdążyły procesje wspaniałym korytarzem. Kto inny mógłby tu twoim zdaniem spoczywać?



— Po dokonaniu dzieła na Ziemi Goście powrócili do nieba — odparł głucho strażnik. —

Unieśli się na ognistym statku, by wrócić na swoją gwiazdę.

— I ty w to wierzysz? — zapytał Mericalis, chichocząc.

— Tak mówią Pisma.

— Wiem. Wierzysz im?

— A czy to ważne, w co wierzę? — Strażnik zapatrzył się i ponownie na wydłużone szkielety obcych. — Nikt nie kwestionuje uwarunkowań historycznych. Świat dotknął kryzys, skłaniał się ku upadkowi. Nękały go wojny. I wówczas przybyli trzej przybysze z odległego Układu Słonecznego, a widząc, co się dzieje, użyli swych nadzwyczajnych zdolności, aby przywrócić ład. A kiedy zapanował nowy porządek, powrócili do gwiazd. To podanie pojawia się w przybliżonej formie w legendach i przekazach wszystkich narodów na całej ziemi. Musi więc zawierać prawdę.

— Nie przeczę — powiedział Mericalis. — I oto są, trzej mędrcy z oddali. Pisma najwidoczniej wypaczyły historię. Zamiast wracać na rodzimą planetę z obietnicą powrotu w chwili zagrożenia, umarli na Ziemi i zostali pochowani w świątyni, gdzie czczono ich imię. Nie będzie powtórnego przyjścia, co skłonny byłbym przypuszczać. A jeśli do niego dojdzie, może nie być pokojowe. Zechciej zauważyć, że nie umarli śmiercią naturalną. Przy uważniejszych oględzinach dostrzeżesz, że ścięto im głowy.

— Co?

— Przypatrz się — zachęcił Mericalis.

— Zgadza się, kręgi są oddzielone. Ale równie dobrze...

— W każdym z trzech przypadków wygląda to podobnie. Diriente, widziałem już szkielety straconych ludzi. U podnóża wzgórza, przy szubienicy, wykopaliśmy dziesiątki podobnych szkieletów. Głowy tych trzech zostały ścięte. Uwierz mi.

— Nie.

— Zostali męczennikami. Zgładzili ich kochający wyznawcy i oddani czciciele, obywatele Ziemi.

— Nie, nie, nie, nie!

— Czemu jesteś taki oszołomiony, Diriente? Czy to cię szokuje, że na naszej ukochanej zielonej planecie mogło dojść do takiej makabry? Czy tak długo kryjesz się w swym gnieździe na wzgórzu, że zapomniałeś, jaka jest ludzka natura? A może gnębi cię ten nieszczęsny dowód na to, że Pisma mówią nieprawdę? Przecież ty i tak nie wierzysz w powtórne przyjście?

— Skąd wiesz?

— Diriente, proszę.

Strażnik milczał. W głowie miał mętlik. Po chwili powiedział:

— To obcy, zgoda, ale nie ma tu ich imion.

— Prawda. Ale znamy jedynie trzy istoty z kosmosu, przybyłe na naszą planetę: nazywamy ich Gośćmi. Znajdujemy się w świątyni, gdzie czczono ich imiona. Ktoś się sporo napracował, żeby ich tu pochować. Nie wierzę, by mogły to być jakieś inne trzy obce istoty.

— Skąd pewność, że to oryginalne szkielety? — wykrztusił strażnik. — Mogą być swego rodzaju podobiznami.

— Podobiznami w kształcie szkieletów? Szkieletów z odciętymi głowami? — Merialis zaśmiał się. — Sądzę, że można by je przebadać chemicznie i w ten sposób potwierdzić ich autentyczność, jeśli masz takie życzenie. Ale dla mnie wyglądają wystarczająco autentycznie.

— Goście byli niczym bogowie. Byli bogami, w porównaniu do nas. Z pewnością przydawano im boskich cech, uważając przynajmniej za ministrów bądź ambasadorów Istoty Boskiej. Kto by chciał ich śmierci? Kto ośmieliłby się podnieść na nich rękę?

— Nie wiadomo. Może w tamtych czasach, gdy spacerowali po Ziemi, nie wydawali się tacy boscy? Może stosowali groźby, byli niebezpieczni, rządili autokratycznie? Stanowili zagrożenie wolności, odwiecznego prawa człowieka do przysparzania sobie kłopotów? Pamiętaj, że panowała wówczas anarchia. Może niektórzy nie chcieli, by powrócił porządek? Nie wiem.

Nawet jeśli postrzegano w nich bogów, pamiętasz zapewne, że na tej planecie tradycja nakazuje, by ich zabijać. Tradycja ta sięga w mrok dziejów. Wystarczy przestudiować rozwój prehistorycznych wierzeń, wystarczy pogrzebać głębiej i od razu natrafia się na zamordowanego boga.

Strażnik znów zamilkł. Nie potrafił odwrócić wzroku od tych czaszek zwieńczonych kostnymi grzebieniami, od tych dziwnie przekrzywionych oczodołów.

— No cóż — rzekł Merialis. — Masz je tu w komplecie. Trzy szkielety należące prawdopodobnie do istot z innego świata, które ktoś pochował pod twoją świątynią bardzo dawno temu. Pomyślałem, że powinieneś się o nich dowiedzieć.

— Tak, dziękuję.

— Teraz musisz zdecydować, co z nimi zrobić.

— Tak — odparł strażnik. — Wiem.

— Zawsze możemy zamaskować wejście do tunelu, nikomu nic nie mówiąc. Oszczędziłoby to wielu komplikacji, nieprawdaż? Dręczyłoby mnie po tym sumienie, bo to zbrodnia przeciwko wiedzy, ale jeśli dojdiesz do wniosku, że powinniśmy...

— Kto o tym wie?

— Ty i ja. Nikt więcej.

— A co z kapłanem i kapłanką, którzy odkryli wejście do tunelu?

— Przyszli bezpośrednio do mnie, by wszystko mi opowiedzieć. Nie zeszli głęboko, nie głębiej niż pięć, sześć kroków. Dlaczego mieliby schodzić głębiej?

— Może i zeszli.

— Nie. Nie mieli latarki, a głowy ich zaprzętały inne myśli. Rozejrzeli się tylko pobieżnie i stwierdzili, że coś jest nie tak. Nawet nie znaleźli złodziei. Nic nie powiedzieli o przysypanych zwłokach. Gdyby je zauważyli, nie tailiby tego. I ręce by się im trzęsły.

— Więc złodzieje tutaj nie dotarli?

— Raczej nie. Wątpię, czy posunęli się dalej po próbie ruszenia tego nadproża. Tak czy owak, są martwi.

— A jeśli tu dotarli? Może był ktoś z nimi, kto zdołał zbiec, gdy zawalił się strop? Może ten ktoś opowiada teraz swoim przyjaciółom, co zobaczył w tym pomieszczeniu?

Mericalis potrząsnął głową.

— Nie ma powodu, by tak myśleć. Schodząc tu po raz pierwszy, zorientowałem się, że ostatnio przechodził ktoś tędy tak dawno, że nie możemy sobie nawet tego wyobrazić. Musiałyby zostać ślady w kurzu, a żadnych nie zauważyłem. W tym miejscu od wieków panował

niezmacony spokój. Wystarczająco długo, by zapomniano, jak Goście zmarli, kamuflując całą historię zgrabnym mitem o wstąpieniu do nieba w kolumnie ognia. Strażnik rozważał te słowa.

— W porządku — rzekł ostatecznie. — Teraz wyjdź na zewnątrz.

— Zostawiając cię tutaj?

— Tak, zostaw mnie tutaj.

— Co zamierzasz? — zapytał Mericalis z niepokojem w głosie.

— Chcę posiedzieć w samotności, modląc się i myśląc. To wszystko.

— Czy mam w to wierzyć?

— Musisz.

— Jeśli zaczniesz tu spacerować, utkniesz w którymś z niezbadanych tuneli i najprawdopodobniej

nigdy cię nie znajdziemy.

— Nie myślę włóczyć się po korytarzach. Powiedziałem przecież, co zamierzam robić. Będę siedział tu, w tym pomieszczeniu. Zapoznałeś mnie ze zwłokami bogów religii, której mam służyć, muszę więc przemyśleć, co to oznacza. To wszystko. Odejdź, Merialisie. To zajęcie tylko dla mnie. Ty byś tylko odwracał moją uwagę. Przybądź po mnie o świcie, a obiecuję, że zastaniesz mnie dokładnie w tym samym miejscu.

— Jest tylko jedna latarka. Będzie mi potrzebna, inaczej nie znajdę powrotnej drogi. A to oznacza, że pozostaniesz w ciemnościach.

— Zdaję sobie z tego sprawę, Merialisie.

— Ależ...

— Idź — ponaglił go strażnik. — O mnie się nie martw. Nie zaszkodzi mi kilka godzin w ciemności. Nie jestem dzieckiem. Idź już. No dalej, idź.

Bał się, nie mógł temu zaprzeczyć. Miał już sporo lat na karku, poza tym lubił wygodne życie.

Wbrew swej naturze spędzał noc w tym podziemnym miejscu, gdzie powietrze było równocześnie lepkie od wilgoci i suche, zakurzone; gdzie ostra, gryząca woń niezmierzonej starożytności drażniła jego nozdrza. Jakże odmienne miejsce od pokoiku z książkami, znajomymi meblami i butlą wina! Ciemność w jego wyobraźni zaczęły wypełniać wszelkie stwory odrażających kształtów, wypływające z odmętów mroku, białe bezokie ropuchy, bezcielesne szczebioczące jaszczurki oraz powolne, zamyślane pająki, opuszczające się w ciszy na bawełnianych linach z niewidocznych głębin kamiennego stropu. Stał pośrodku grobowca i zdawało mu się, że dostrzega, jak oślizgły, tłusty wąż, błyszczący mdłym światłem, ze ślepyimi, mieniącymi się szafirowo oczyma wynurza się ze szczeliny w posadzce, sycząc, kołysząc się, gotując do natarcia. Ale strażnik wiedział, że to sztuczki ciemności. Nie było szczeliny i nie było węża.

Pot z niego spływał. Lekka tunika przesiąkła wilgocią, lgnąc do ciała niczym całun. Z każdym oddechem wydawało mu się, że wciąga do płuc kiść pajęczyn. Ciemność była tak przejmująca, że piekły go przelęknione oczy, aż w końcu je zamknął. Zewsząd, od ścian, docierały do niego nie zidentyfikowane odgłosy, jakieś buczenia, miarowe tykania i szумы, jakby piasek przesypywał

się gdzieś w ukrytych przestrzeniach. Rozchodziły się złowieszcze wibracje i drżenia, dziwne chroboty, tak że obawiał się, iż sama świątynia, rozgniewana obecnością intruza w swych wnętrznościach, przygotowuje się, by na niego runąć. „Słyszę jedynie odgłos kroków Merialisa

— wmawiał sobie. — Podąża korytarzem w stronę wyjścia”.

Po pewnym czasie powstał i po omacku zbliżył się do sarkofagów, dotykając szorstkich kamieni ścian, które go prowadziły. Najwyraźniej zmylił kierunek, gdyż w rogu nie znalazł

niczego, a gdy kontynuował poszukiwanie, jego wyczulone palce napotkały na krawędź wylotu korytarza. Stał przez chwilę pogrążony w ciemności, próbując przypomnieć sobie rozkład komory

grobowej, upewniając się, że sarkofagi powinny znajdować się dokładnie w miejscu, do którego dotarł. Nie rozumiał, dlaczego ich tam nie ma. Zastanawiał się, czy by nie ruszyć z powrotem i nie poszukać uważniej. Ale może stracił orientację? Może obrał dokładnie przeciwny od zamierzonego kierunek? Podjął wędrówkę, minął otwór korytarza, potem sunął przy ścianie.

Do drugiego rogu. Wciąż ani śladu sarkofagów. Skręcił w prawo, ciągle przy murze. Każdy krok odmierzał z rozwagą, wyobrażając sobie jamy ziejące pod nogami. Uderzył o coś kolanem.

Nareszcie znalazł sarkofagi.

Uklęknął. Zacisnął dłoń na skraju pierwszego z nich, pochylił się i spojrzał do wewnątrz. Z

zaskoczeniem stwierdził, że widzi co nieco, rozróżniając odpychające, patykowate obrysy szkieletu. Czy to możliwe? Czyżby jego oczy przywykły do ciemności? Nie, chyba nie. Sarkofag zdawała się otaczać aureola. Słaba, czerwona poświata zaczęła unosić się z wnętrza i dzięki tej nieoczekiwanej iluminacji strażnik zobaczył kontury wydłużonego kształtu.

Iluzja? Możliwe. Może nawet halucynacja. To był najdziwniejszy moment w jego życiu i wszystkiego należało się spodziewać, wszystkiego bez wyjątku. „Tu działa magia”. Strażnik przyłapał się na tej myśli zdziwiony, że tak szybko zapada się w otchłań irracjonalizmu. Był

człowiekiem mocno stąpającym po ziemi. Nie wierzył w magię. A jednak...

Poświata nabierała mocy. Szkielet błyszczał w mroku. Z przedziwną wyrazistością ukazał mu się obcy kręgosłup i kostne grzebienie, zdeformowane kręgi. Wszystko emanowało niespotykanym, szkarłatnym światłem, aby umożliwić mu rozróżnienie szczegółów. Puste oczodoły ożywały niejako płomieniem inteligencji.

— Kim jesteście? — zapytał strażnik, niemal buńczucznie. — Skąd przybyliście? Dlaczego wścibialiście nos w nasze sprawy? Czy w ogóle mieliście nosy? — Poczul się obco, niepewnie.

Może spowodował to zaduch. Niewielka ilość tlenu. Zaśmiał się za głośno, za długo. — Oberith, nim właśnie jesteś? Aulimiath? A w środkowej skrzyni leży Vonubius? Najwyższy — dowódca wyprawy.

Potrząsnął głową w przypiływie bólu. Opanowały go strach i zmieszanie. Przeraził go własny ordynarny żart. Zaczął szlochać. Opanował się jednak wielkim wysiłkiem woli. — Nie — rzekł

surowo. — To niemożliwe. Wy to nie oni. Wierzę, że macie jakieś inne imiona. Sarkofagi milczały.

— Jesteście jakimiś innymi przybyszami, którzy przypadkiem odwiedzili Ziemię — podjął z przekonaniem strażnik. — Spadliście pewnego popołudnia, by sprawdzić, jak tu jest. Później tego żalowaliście. Mam rację?

Nic nie przerwało ciszy. Strażnik, kuląc się przy najbliższym sarkofagu, dotykając policzkiem suchego, chłodnego kamienia, drżał.

— Przemówcie — błagał. — Cóż mam uczynić, byście mi odpowiedzieli? Chcecie, bym się modlił? W porządku, będę się modlił, jeśli tego żądacie.

Charakterystycznym głosem, jakim zwykle rozpoczynał swoje inwokacje, zaintonował:

— Oberith... Aulimiath... Vonubius... Nie słysząc odzewu, rzekł z goryczą:

— Nie znacie waszych imion, prawda? A może to upór po wstrzymuje was przed odpowiedzią?

Zapatrzył się ponuro w ciemność.

— Dlaczego tu jesteście? — zapytał w furii. — Dlaczego Merialis musiał was odnaleźć?

Niech będzie przeklęty, że mi o was powiedział!

I znów bez odpowiedzi. Ale tym razem poczuł, że dzieje się coś dziwnego. Wężowe kolumny światła uniosły się znad trzech sarkofagów. Tańczyły przed nim i migotały niczym języki zimnego ognia, każąc mu się uspokoić i słuchać. Strażnik przyłożył dłonie do czoła, chyląc głowę i oczyszczając umysł, zamieniając się w pustą muszlę, skuloną w ciemnościach krypty. A gdy tak klęczał, wokół niego zachodziły zmiany — ściany komory, topiąc się, znikły, a on sam przeniósł się na zewnątrz i do góry, na powierzchnię, gdzie muskały go promienie złotego słońca.

Dzień był piękny, ciepły, wiosenny. Wspaniały dzień — dzień, jakich mało. Lecz nagle wkradły się ohydne dysonanse. Strażnik posłyszał krzyki wokół siebie, mnóstwo ostrych głosów i wściekłych wrzasków.

— Tam są! Brać ich! Brać ich!

Trzy wiotkie, groteskowe sylwetki pojawiły się w jego polu widzenia, o dwa razy mniejszym wzroście od ludzkiego, wielkich oczach, długich kończynach, dziwnym kształcie. Poruszały się szybko, ale z godnością, jakby frunęły, a nie kroczyły, utrzymując pogoń o włos za sobą.

Strażnik zrozumiał, że wybiła dla nich ostatnia godzina i tego ślicznego dnia pośród pachnących łąk żyznej doliny łowcy pochwyca zbiegów. Nadeszła chwila, kiedy zostali osaczeni i przyparci do zbocza góry, a wroga armia zamknęła się wokół nich, odcinając drogi ucieczki.

Strażnik usłyszał dzikie okrzyki triumfu. Ujrzał twarze: nabrzmiałe, czerwone od gniewu. Las maczet, wideł, kijów i pałek wyrósł jak spod ziemi. Dzikie oczy, wydęte usta, zaciśnięte pięści. A na niewielkim wzgórku zatrzymała się Trójka, stojąc blisko siebie, nie myśląc o obronie, wykazując obojętność wobec prześladowców. Zdają się zmieszani ostatnimi wypadkami, a może nie? Strażnik nie był pewien. Wyraz twarzy obcych — coż on oznacza? Z pewnością nie ma w nich złości. Złość to uczucie, które jest im obce. Coś w ich postawie każe przypuszczać, że przewidzieli ten scenariusz. „Wybacz im, bo nie wiedzą, co czynią”. Chwila rozterki; podczas tej ostatniej rozgrywki tłum czuje się nieswojo, boi się, niepewny konsekwencji. I nagle niepewność pryska, motłoch naciera niby jakiś krwiożerczy stwór, stal odbija promienie słońca...

Wizja znikła raptownie, a on znów siedział w kamiennej komorze. Światło zgasło. Powietrze było

suche i zatechłe, słodki zapach przepadł. W grobowcu panowały ciemność i pustka.

Strażnik był wstrząśnięty i zawstydzony zarazem. Czuł wyrzuty sumienia, jakby popełnił

samobójstwo. Błąkał się po grobowcu w przypiływie szaleństwa, wpadając na niewidoczne ściany. Zmęczył się i przystanął dla zaczerpnięcia oddechu, wpatrując się w zakryte ciemnością miejsce, gdzie, jak sądził, powinny znajdować się sarkofagi. Pomyślał, że rozedrze przezroczyście nakrycia, porwie trzy dziwne czaszki, by wynieść je na światło dzienne. Potem zbierze ludzi i ukaże im, co wydobył z trzewi ziemi, i krzyknie, wymachując czaszkami: „Oto wasi bogowie!

Oto co im zrobiliście! Wasza wiara wspiera się na kłamstwie”.

A potem rzuci się w przepaść.

Nie.

Nie robi tego. Nie może w ten sposób zniszczyć ich nadziei. Z jego śmierci nie wynikłoby nic dobrego.

Mimo to... Pozwolić, by to kłamstwo trwało...?

— Co mam z wami zrobić? — zwrócił się z pytaniem do szkieletów w sarkofagach. — Co mam powiedzieć ludziom? — Jego głos zmienił się w dziki wrzask, który odbijał się echem od ścian pomieszczenia, a także pulsował mu w głowie. Ludziom! Ludziom! Ludziom!

— Przemówcie! — krzyczał. — Poradźcie, co mam teraz czynić? Cisza. Cisza. Cisza. Nie raczą odpowiedzieć.

Roześmiał się, zdając sobie sprawę z własnej bezsilności. Potem płakał przez chwilę, póki nie zapiekły go oczy i nie zabołało gardło. Padł na kolana, podobnie jak przedtem, przy jednym z sarkofagów.

— Kim jesteś? — zapytał ledwie dosłyszalnym szeptem. — Naprawdę Vonubiusem?

Tym razem wyobraził sobie, że słyszy szyderczą odpowiedź: „Jestem, który jestem. Odejdź w pokoju, mój synu”.

Pokój? Gdzie? Jak?

Ostatecznie, po dłuższej chwili, zaczął dochodzić do siebie, mając nadzieję utrzymać swe emocje w ryzach. Zrozumiał, że zachowywał się jak błazen: stary strażnik, który biega tam i z powrotem po podziemnej komnacie, wrzeszcząc opętańczo, modląc się do bogów, w których nie wierzy, dyskutując ze szkieletami. Stopniowo turbulencje opuściły jego skołataną duszę, minęło szaleństwo i dziecinna złość. Nie było nigdy czerwonej poświaty. To tylko przemęczony umysł

skrzesał dla niego tę fantasmagorię. Tą komnatą władała ciemność. Nie potrafił rozróżnić żadnego konturu. Wiedział, że przed nim znajdują się trzy starożytne kamienne skrzynie, zawierające

wyschnięte kości — ziemskie szczątki nieziemskich przybyszów, z dawna pochowanych.

No tak, teraz był opanowany. Ale nie pomagało mu to uciec od rozpacz. Wiedział bowiem, że owe relikty stawiają pod znakiem zapytania jego dotychczasowe życie. Cała ohydna prawda ukazała swoje oblicze. Służył fałszywej wierze, oferując ludziom bezpodstawne nadzieje na zbawienie za sprawą łaski bogów, stojąc każdej nocy w przedsionku świątyni, zwracając się do Trójki, modląc się o ich szybki powrót na tę umęczoną planetę. Gdy tymczasem oni jej nigdy nie opuścili. Zginęli z rąk tych samych ludzi, których chcieli — tak sądził — wyzwolić.

I co teraz będzie? Mam odkryć nagą prawdę? Ukazać przerażonym i wstrząśniętym wyznawcom ciała trzech przybyszów? Przecież jeszcze przed chwilą to właśnie chciałem zrobić.

Czy się na to zdobędę? Czy jestem w stanie? Fundamentem waszej wiary było kłamstwo. Jak im to powiedzieć? Ale to prawda. Nic dziwnego, że już dawno przestałem wierzyć. Poznałem prawdę, nie zdając sobie z tego sprawy. Przysięgałem służyć prawdzie, jej przede wszystkim.

Czyż nie? Ale tylu rzeczy nie rozumiałem — a może nie mogłem zrozumieć?

Strażnik spojrział w stronę szkieletów, nękało go coraz więcej pytań.

— Co was skłoniło, byście do nas przybyli? — zapytał, bez gniewu tym razem, ale w spokoju ducha. — Dlaczego zdecydowaliście się służyć nam w ten sposób? Dlaczego pozwoliliście nam was zniszczyć, choć mieliście dość siły, by się przeciwstawić?

Trudne pytania. Strażnik nie znał na nie odpowiedzi. Ale kto wie, jakie cuda się zdarzą, kiedy je zadamy? Tak, tak. Cuda! Prawdziwe wiary wyrastają na szczątkach starych, fałszywych, czyż tak nie jest?

Czuł się wyczerpany. Noc trwała tak długo.

Z wolna osuwał się na ziemię, aż w końcu leżał z twarzą w ramionach. Zdało mu się, że delikatne światło jutrenki wkrada się do grobowca, że długie, nocne czuwanie dobiegło wreszcie końca. Czy to możliwe, by światło dostało się pod ziemię? Wolał o tym nie myśleć. Leżał bez ruchu, czekając. A potem usłyszał kroki. Wracał Mericalis. Zaprawdę — noc się skończyła.

— Diriente, Diriente, wszystko w porządku?

Pomóż mi wstać — odparł strażnik. — Nie zwykłem spędzać nocy na kamiennych posadzkach.

Kustosz omiół snopem latarki wszystkie kąty, jakby spodziewał się, że wewnątrz komory zmieniło się od jego ostatniej wizyty.

— No i? — zapytał w końcu.

— Może najpierw stąd wyjdźmy.

— Dobrze się czujesz?



— Tak, nic mi nie jest.

— Martwiłem się. Wiem, że powiedziałaś, iż chcesz zostać sam, ale nie mogłem odpędzić myśli...

— Myślenie może być niebezpieczne — odpowiedział strażnik oschle. — Nie polecam tego.

— Chciałem ci coś powiedzieć, Diriente. Doszedłem do wniosku, że to, co sugerowałem tej nocy, jest najlepszym rozwiązaniem. — Dowody znajdujące się w tym pomieszczeniu mogłyby położyć Kościół na łopatki. Lepiej zasypmy wylot tunelu i zapomnijmy, żeśmy tu kiedykolwiek byli.

— Nie — sprzeciwił się strażnik.

— Nikt od nas nie wymaga, byśmy przed kimś odkrywali nasz sekret. Moje zadanie polega tylko na utrzymaniu świątyni w jak najlepszym stanie. Ty natomiast musisz odprawiać związane z wiarą rytuały.

— A jeśli wiara jest fałszywa, Mericalisie?

— Tego nie wiemy.

— Ale jesteśmy trochę podejrzliwi, no nie?

— Mówienie o tym, że Trójka nie powróciła bezpiecznie na rodzimą gwiazdę, to głoszenie herezji, czyż nie tak, Diriente? Czy chcesz być odpowiedzialny za rozpowszechnianie herezji?

— Ja odpowiadam za odsłanianie prawdy — odparł strażnik. — Zawsze tak było.

— Nieszczęsny Diriente, cóżem ci uczynił?

— Oszczędź mi współczucia, Mericalisie. Nie potrzebuję go. Tylko mnie stąd wyprowadź, w porządku?

— Zgoda — odpowiedział kustosz. — Co każesz.

W drodze powrotnej korytarze wydają się o wiele krótsze i mniej splątane. Nie pada ani jedno słowo. Mericalis kroczy żwawo naprzód, nie patrząc za siebie. Strażnik depcze mu po piętach, poruszając się z werwą, jakiej nie czuł od lat. Umysł jego pracuje na najwyższych obrotach: zastanawia się, co opowie po powrocie, najpierw personelowi świątyni, potem przybyłym na ceremonię wyznawcom, a w końcu, być może, na cesarskim dworze w wielkim mieście u podnóża góry. Jego słowa zabrzmiały w ich uszach niczym uderzenie pioruna w górski szczyt. A później niech się dzieje, co chce. „Bracia i siostry, pragnę objawić wam radosną nowinę — tak ma zamiar zacząć. — Jesteśmy świadkami powtórnego przyjścia. Bo spojrzcie tylko — ukażę wam całą Trójkę. Są bowiem z nami, nie opuścili nas nigdy...”

*Przełożył Dariusz Kopociński*

*Elizabeth Ann Scarborough*

# Smok z Tollin

## (The Dragon of Tollin)

Emisariusz leciał przez wiele dni, zanim znalazł miejsce wystarczająco zimne, by wylądować i nie oparzyć sobie stóp. Jej Wysokość miała wysłać ifryda zamiast jednego z Latających Wizjonerów, pomyślał. Ifrydzi latali dzięki magii, mogli więc w mgnieniu oka przybrać dowolną postać, podczas gdy skrzydła Latających Wizjonerów umożliwiały im ledwie lot z prędkością osiąganą przez ptaki o podobnej wielkości. Niestety, prędkość lotu to jedyna zaleta ifrydów jako emisariuszy. Pod każdym innym względem ich nieprzewidywalne usposobienie sprawiało, że byli beznadziejnymi posłańcami. W przypadku tej misji istotna była tylko prędkość lotu, jako że nigdzie na tych przeklętych terenach goniec nie znalazł absolutnie nikogo, z kim mógłby zamienić chociaż słowo.

Pierwszą zapowiedzią zniszczenia, którą zobaczył emisariusz, był całun czarnoszarego, kotłującego się dymu, wiszący nad linią brzegu najdalej na południe wysuniętej części Lądu Północnego. Gdzieś na niebie widać było pasma wściekle pomarańczowej barwy lub rozkwitające kolorem ognia chmury. Wstrętny odór wdarł się do nozdrzy emisariusza, tak więc lecąc dalej, musiał zakrywać je połą płaszczą, filtrując w ten sposób powietrze.

Z miejsc, w których kiedyś były miasta portowe, pełzła w stronę morza bulgocząca i wrząca magma, żłobiąc głębokie rynny w górach, które przez wiele lat chroniły te dostatnie ziemie przed inwazją. Tam, gdzie warowne zamki broniły wybrzeża, dymiły teraz sterty stopionych rumowisk.

W przeklętych przystaniach nie było żadnego statku ani nawet wraku. Na lądzie nie można było dostrzec ani jednego mężczyzny, kobiety czy innej istoty jakiegokolwiek gatunku. Na morzu, wiele mil od brzegu, nie było widać ani jednego stworzenia, które unosząc się na falach, mogłoby przywitać emisariusza. Jedynie zwierzęta morskie opuszczające w popłochu ten obszar wód świadczyły, że wydarzył się tam kataklizm. Od kilku miesięcy nie spostrzeżono okrętów handlowych, które kursowały kiedyś regularnie między tą częścią świata i krajem emisariusza. W

końcu pewna kobieta powiedziała jakiemuś rybakowi, że martwi się o krewnych, którzy w tym roku nie wrócili z mórzu Północnego Świata na morza południowe. Rybak przekazał tę wiadomość swojemu panu, a ten z kolei powiadomił króla, na którym spoczywał obowiązek składania relacji z takich spraw królowej. Karawana dotarła więc z tą wieścią na najwyższej położoną przełęcz górską w Południowym Świecie, na której w lodowym zamku (co, jak mówią, miało wpływ na jej chłodny osąd) Jej Wysokość przewodniczyła dyskusjom dotyczącym lądów i ludów znajdujących się pod jej rządami.

To ona wysłała emisariusza. Jako młodzieniec podróżował kiedyś wraz z ojcem do Świata Północnego w sprawach państwowych. Przyglądając się teraz linii brzegowej znajdującego się pod jego skrzydłami lądu i jego ukształtowaniu, emisariusz doszedł do wniosku, że jest to rzeczywiście kontynent nazywany Światem Północnym, jednak nie przypominał sobie nic więcej.

Tam, gdzie kiedyś kłębił się ogromny, zielony las, były teraz roztrzaskane, osmalone kikuty, wyglądające jak spróchniałe zęby sterczące z czaszki dawno zmarłej wiedźmy. Emisariusz pomyślał, że odpowiedź może znaleźć w Tollin, największym mieście całego Północnego Świata, będącym

dawniej dużym, niepodległym krajem.

Wysłannik planował zatrzymać się po drodze, aby dać odpocząć skrzydłom, zjeść coś, chciał

też trochę pospać, ponieważ miał jeszcze przekroczyć granice sześciu innych krajów i przelecieć nad Wielkim Morzem Śródziemnym, Pustynią Głodu oraz ogromnym i łańcuchem górskim Kości Ogrów, żeby w końcu dolecieć do Bellgarten, kraju, którego stolicą był Tollin.

W morzach śródładowych, od brzegu do brzegu bulgotała czarna maź, stękając jak konający człowiek. Góry natomiast były straszliwie rozorane z południowej strony i nieznacznie tylko po stronie północnej. Promień nadziei pojawił się w sercu emisariusza, kiedy zobaczył, że Pustynia Głodu, mimo pojawiających się w niektórych miejscach stert niezupełnie jeszcze zbieleńszych kości, zaczynała przypominać tę, którą pamiętał, chociaż roślinność, której dawniej i tak prawie nie było, teraz zniknęła całkowicie. Za pustynią jednak, w miejscu gdzie północny fragment Kości Ogrów strzegł żyznych pól i ludnych miast Bellgarten, zmiany, choć bardziej subtelne, były ciągle łatwo dostrzegalne. Bellgarten, jak wszystkim wiadomo, było krajem pilnującym porządku Północnego Świata, tak samo jak Jej Wysokość sprawowała pieczę nad Światem Południowym. Bellgarten zyskał tę przewagę i godny pozazdrosczenia dobrobyt, dlatego iż posiadał smoka, którego względy sprawiały, że kraj rósł w siłę i gromadził bogactwa.

Teraz jednak można było dostrzec jedynie ruiny domostw mieszkańców Bellgarten, łypiące ponuro ciemnymi, pozbawionymi drzwi wejściami i straszące kawałkami szkła sterczącymi z ram okiennych. Można było również odnieść wrażenie, że jakieś ogromne pazury ogołociły pola z plonów. Po ziemi nie stąpał ani jeden człowiek i nie biegало żadne zwierzę. Emisariusz chciał

zatrzymać się tutaj na spoczynek, lecz kiedy zajrzał do kilku domów i nie znalazł w nich najmniejszych oznak życia, poleciał dalej do miasta, w którym zniszczenia, chociaż nie tak dramatyczne jak na otaczających je terenach, były również bardzo poważne.

Na tle nieba nie można teraz już było dostrzec zarysu wież i iglic pałaców, które pamiętał z dzieciństwa. Tam, gdzie kiedyś targowiska kipiały od natłoku zwierząt i pojazdów wszelakiego rodzaju, gdzie brzęczały monety, pyszniły się rozpięte między budynkami pasma świeżo farbowanej przędzy, suszyła się na balkonach różnokolorowa pościel, gdzie chodzili zadbani i syci ludzie, którzy poznali dobrodziejstwo przemyślnie zbudowanego systemu kanalizacyjnego, teraz była pustka. A raczej ogromna masa wszystkiego, tak straszliwie wymiętoszona przez jakiś kataklizm, który przetoczył się przez Świat Północny, że nie sposób było w niej wyróżnić tkaniny, drewna, metalu ani jakiegokolwiek innego materiału czy żywej istoty. Piękne, wonne zapachy zastąpił teraz smród śmierci i zgnilizny, a niebo i słońce szczelnie zakrywał duszący dym.

Emisariusz wylądował w miejscu, które kiedyś musiało być posadzką pałacu, a gdzie obecnie leżał tylko gruz smagany przez wiatr. Złożył skrzydła, usiadł na pozostałościach ściany i płacząc z żalu, zasnął.

Chwilę później obudził się, trzęsąc z zimna, z powodu dźwięku dochodzącego jakby z odłamków drżących pod jego stopami, przypominającego dzwonienie lub grzechotanie, różniące się od wiatru tym, że był rytmiczny.

Mimo że z powodu zimna panującego w tym pozbawionym słońca miejscu skostniały mu ręce, a spod piór wychodził puch, zaczął grzebać w gruzie. Miał nadzieję, że być może uda mu się odnaleźć kogoś, kto przetrwał, kto się uratował i mógłby wyjaśnić, co stało się z połową świata.

Najpierw dotarło do niego ciepło, wibrujące ciepło, a kiedy usuwał kolejne warstwy śmieci, również światło. Miękkie, złote światło dyszące żarem jak piaszczysta plaża latem.

Kiedy odsłonił opalizujący wierzch przedmiotu, zaczął on wydawać jeszcze silniejsze wibracje, gramoląc się w górę, przez popiół i brud w jego stronę, jak kwiat rozchylający płatki w świetle poranka.

Było to coś gładkiego, okrągłego, mieniło się perłowo i miało złotawy odcień, rozogniony językami czerwieni, błękitu i zieleni. Pomyślał, że musi to być jakiś niezwykły, drogocenny przedmiot z królewskiego skarbcza. Być może jest to bezcenny podarunek od jakiegoś znakomitego rzemieślnika. To na pewno jajo, przyszło mu na myśl. Bardzo duże jajo, wielkie jak tarcza, wygrzewające się w otaczających je ruinach, wibrujące z oczekiwania.

Z pewnością jajo. Jajo smoka. Smok zginął, broniąc je przed... czym? Przed atakiem jakiegoś potwora? Smok wraz z całym miastem i wszystkie okoliczne ziemie zostały zniszczone w czasie bitwy i tylko to jajo się uchowało.

Emisariusz przyłożył policzek do żarzącej się światłem skorupy i powiedział cicho: — Nic ci nie grozi, mała sierotko, nie bój się. Zabiorę cię ze sobą do Jej Wysokości i tam się tobą zaopiekują, żebyś mógł się wygrażać i chronić nasze ziemie tak jak kiedyś.

— Za... czekaj — rozległ się głos piszczący jak nie naoliwiony łańcuch. Nie wypuszczając z rąk jaja, emisariusz podniósł wzrok i zobaczył, że gruz w odległości kilku kroków, w miejscu gdzie odłamki wysypywały się z wylomu w ścianie, również się poruszył. Była więc szansa, że ocalał ktoś jeszcze.

Przytrzymując jajo, emisariusz zaczął odgarniać z wierzchu kawałki tkaniny, metalu, kości i wióry drewna, aż dokopał się do miejsca, w którym coś się poruszało, a następnie zaczął grzebać dalej, aby sprawdzić, co to jest.

Nagle coś mocno złapało go za rękę, jakby stalowy pazur, cała sterta odłamków posypała się w dół, kiedy w miejscu oddalonym od niego o łokieć góra gruzu podniosła się i z otworu, który się w niej pojawił, padła błagalna prośba:

— Chcę pić!

Wibracje stawały się coraz głośniejsze, aż jajo przechyliło się raptownie. Emisariusz zatrzepotał skrzydłami i zanurkował po jajo, kiedy to zaczęło się staczać, złapał je i zniósł na dół.

Ostrożnie położył jajo na ziemi, a następnie wrócił do stworzenia, które ciągle wygrzebywało się z ziemi. Świadomość, że jajo jest bezpieczne, uspokoiła go, otworzył więc tobolek i wyciągnął

bukłak, aby stworzenie mogło zaspokoić pragnienie.

— Powoli, przyjacielu — powiedział, kiedy ocalały opróżnił łąpczywie połowę naczynia. —

To musi nam wystarczyć, zanim nie znajdziemy nieskażonego atolu z wodą pitną, a to może trochę potrwać.

Ocalała istota pokręciła głową i wychrypiła:

— Nie mogę stąd odejść. Jajo, muszę odnaleźć jajo.

— Nie martw się, przyjacielu. Jest całe i nienaruszone — zapewnił go emisariusz i usłyszał, jak jajo zamruczało za jego plecami.

— Aha — powiedział ocalały, wycierając usta dłonią. Emisariusz zauważył, że miał tylko jedną dłoń osadzoną na jednym, bardzo długim ramieniu i bardzo krótkie nogi. Czyżby to był

karzeł?

— A... pozostali?

— Obawiam się, że nikogo więcej tu nie ma. Ja nazywam się Dolhal, Emisariusz Jej Królewskiej Mości Południowego Świata. Muszę trochę odpocząć, a potem, jeżeli zgodzisz się usiąść między moimi skrzydłami, żebym mógł trzymać jajo w rękach, wrócimy bezpiecznie do Jej Wysokości.

— Do Południowego Świata? — zapytał karzeł.

— Powinienem chyba dodać, że być może jedyne światło — odpowiedział Dolhal. —

Obawiam się, że nigdzie na północy nie ma już życia.

Karzeł skinął głową i pomagając sobie łokciem, dopełznął na kolanach do jaja, przytulił się do niego i zasnął. Być może miał do niego większe prawo, pomyślał Dolhal, ale to on, Dolhal, znalazł je pierwszy. Kiedy wyobraził sobie, że mógłby się położyć w tym brudzie obok tak szpetnej kreatury, poczuł nie znany mu wcześniej spazm odrazy. Ale tam było również jajo, piękne i ciepłe, mimo że spoczywało pogrzebane, zakopane, pomimo brudu, który był wszędzie wokół niego i pod nim, obiecujące w jakiś niezrozumiały sposób bezpieczeństwo i ukojenie, jeżeli tylko Dolhal się nim zaopiekuje i zatroszczy się o to, żeby nie zostało uszkodzone, aż coś się z niego nie wylęgnie.

Zanim zasnął, zauważył, że kikut karła był przypalony i że biegła od niego płaska, czerwona blizna. Siegała aż do twarzy i zakrywała ją tak, że ucho, szyja i szczeka zlewały się w jedną plamę, pozbawioną czarnych potarganych kudłów.

Dolhal obudził się nagle, czujny, jak gdyby znalazł się w strasznym niebezpieczeństwie.

Podniósł się i zobaczył, że karzeł trzyma wielki kamień. Ta kreatura chyba nie chciała zrobić mu krzywdy? Tylko skrzydła emisariusza mogły umożliwić wydostanie się z tego miejsca.

Oszpeconą blizną twarz karła wykrzywił ból. Położył rękę na kolanie. Był jakby czystszy i wyglądał lepiej niż przed zaśnięciem. Dolhal czuł się zupełnie wypoczęty, powiedział więc głośno:

— Czuję się całkiem dobrze i ty też nieźle wyglądasz. Czy masz siłę, żeby wyruszyć w podróż? Zapasy nie wystarczą nam na długo.

Melodyjny głos stworzenia wypłynął z wykrzywionych ze znużenia ust jak źródłana woda ze skały:

— Pozwól, aż zadziałają smocze czary, wtedy obaj będziemy tańczyć całą noc.

— Nie sędzę — powiedział Dolhal. Wiał zimny wiatr, a po niebie przetaczały się chmury. —

Po tym, co tu zobaczyłem, nigdy nie będę już chciał tańczyć.

— No cóż. Myślę, że mógłbyś tego nie wytrzymać, gdybyś nie potrafił przyzwycząić się do takich widoków. Ja jednak, widząc to wszystko, mam ochotę tańczyć z radości.

— Kim jesteś i jak udało ci się przeżyć? — zapytał Dolhal.

— Ktoś musiał być ostatni — odpowiedział karzeł, wykrzywając się ponownie. — A skoro byłem pierwszy, jeżeli mogę się tak wyrazić, wypada mi również przypuszczać, że jestem ostatni.

Nie licząc jaja, oczywiście. Nazywałem się Sulinin Harfiarz Karzeł aż do chwili, kiedy znalazłem pierwsze jajo, stałem się wtedy Sulininem Opiekunem Smoka. Kiedy tylko z jaja wykluło się smoczątko i zaczęło ujawniać swoją moc, pośpieszyłem do króla, aby opowiedzieć mu o moim odkryciu. Król nie był na tyle wdzięczny za pokazanie smoczątko, żeby oddać mi swoją córkę za żonę, połowę swego królestwa lub tron. Zdarza się to tylko w bajkach. Ale dał mi dożywotnią posadę, nie musiałem się więc już dalej wałęsać. Kiedy smok był jeszcze mały, zabawiałem go swoimi piosenkami i śpiewałem do snu kołysanki.

— Współczuję ci — odezwał się emisariusz. — Naprawdę ci współczuję.

— To bardzo miło z twojej strony, dziękuję — odpowiedział Sulinin.

— Kiedy z jaja wykluje się następny smok, być może Jej Królewska Mość przywróci ci twoją dawną pozycję — wyraził głośno swoje życzenie Dolhal, chociaż nie chciał, żeby się spełniło. To przecież on, Dolhal, odnalazł jajo.

— Naprawdę myślisz, że mogłaby to zrobić? To by mi bardzo odpowiadało. Chyba naprawdę powinniśmy jak najszybciej wyruszyć w drogę, prawda? Jeżeli smoczątko wykluje się teraz, będziemy musieli czekać, aż jego skrzydła staną się wystarczająco silne, aby mógł latać, a do tego czasu... wtedy będziemy już tak związani z tym miejscem, że zostaniemy tu na zawsze.

Dolhal miał wrażenie, że w tych wyjaśnieniach kryje się kłamstwo, ale istota ta, podobnie jak małe smoki, była mu na tyle nie znana, że nie mógł wiedzieć, na czym ono polega. — Czy matka... smok... nie żyje? Jesteś pewien?

— Zupełnie — odrzekł Sulinin. — Ja... ty nawet nie wiesz, jak cierpiałem, kiedy rozerwało ją na kawałki.

— To musiała być dla ciebie tragedia.

— Przyjacielu — powiedział Sulinin — nawet nie wiesz jaka.

Tym razem Dolhal był pewien, że karzeł nie kłamie, ponieważ widział, jak na jego twarzy pojawił się ponury grymas, a w oczach łzy niewysłowionego cierpienia.

— Może gdybyś zechciał o tym porozmawiać, poczułbyś się lepiej — zaproponował Dolhal.

Emisariuszy uczono umiejętności wysłuchiwania innych i odczytywania ukrytych znaczeń tego, co słyszeli. Nie czuł się już zmęczony, głodny ani spragniony, ale nie miał teraz ochoty opuszczać tego miejsca. Odnosił wrażenie, że lepiej będzie, jeżeli jajo również jeszcze tu zostanie. — Słyszałem o smoku z Tollin, kiedy byłem jeszcze bardzo młody. Mówiono wtedy, że w niczym nie przypominał żadnego innego smoka w historii świata i że to właśnie jemu Bellgarten zawdzięczało swój dostatek, i że dzięki niemu uzyskało hegemonię nad Światem Północnym.

— To prawda, wszystko to prawda — powiedział były harfiarz. — Smoki ze starych legend są brzydkie i przerażające, zachłanne i przebiegłe...

— Nic takiego nie mogłoby wykluczyć się z tego jaja — przerwał Dolhal, głaszcząc skorupę.

— Masz rację... hmm, no cóż, wtedy też tak pomyślałem, kiedy pierwszy raz ujrzałem jajo.

Znalazłem je w Kościach Ogrów tego lata, kiedy nastąpiła erupcja Siejącego Grozę. Czy na południu też są wulkany?

— O tak.

— Więc wiesz zapewne, że kiedy wybuchają, zmienia się nie tylko wulkan, ale również cały okoliczny krajobraz... nawet bardzo odległe jeziora wypełniają się popiołem wulkanicznym, a rzeki zmieniają bieg. Nigdy wcześniej czegoś takiego nie widziałem, udałem się więc do Kości Ogrów z moją harfą, aby tworzyć pieśni o wybuchu wulkanu i ludziach, którzy przeżyli lub zginęli. Można było odnieść wrażenie, że zapowiada to rychły koniec Bellgarten. Było tak gorąco, że spaliły się plony, a popiół, podobnie jak teraz, zasłonił słońce tak, że zima nadeszła wcześniej, a ludzie chorowali i umierali od wdychania zanieczyszczonego powietrza. Wtedy jednak byłem młody, zdrowy i spragniony nowych wrażeń. Między innymi dlatego zabrałem ze sobą harfę i stałem się wędrownym minstrelem. Muszę przyznać, że wcześniej nie przyszłoby mi to do głowy. Miałem nadzieję, że dzięki moim piosenkom uda mi się gdzieś wygodnie, w zdrowiu i o pełnym żołądku przezimować. Droga, prowadząca kiedyś do najbezpieczniejszej przełęczy w górach, urywała się teraz. Wkroczyłem na tereny tak zmienione, jak gdyby na nowo je stworzono, zupełnie nie przypominające Bellgar ten z czasów mojej młodości. Miałem wrażenie, że jestem na po wierzchni księżycu. Myślałem beztrąsko, że odnajdę po prostu rzekę Bellgard i będę szedł wzdłuż niej w stronę gór, aż dojdę do jej ujścia. Kiedy jednak dotarłem do miejsca, w którym kiedyś znajdowało się koryto rzeki, zdumiałem się,

widząc, że ten bezmiar wody, głęboki i rozlewający się w niektórych miejscach tak szeroko, że mógł się wydawać morzem, zniknął zupełnie. Stopione skały zastygły w wyschniętym korycie i ku mojemu zaskoczeniu zobaczyłem struktury wykonane z pociętego kamienia, przypominające zwieńczenia wież i rozsypaną bramę wjazdową. Zaraz usiadłem, aby napisać pieśń o zniszczonym mieście, zagubionym w toniach Bellgard, ale kiedy debatowałem nad „dawała” i „ciała”, szukając rymu do wyrazów „rzeka cała”, do głowy przyszedł mi zupełnie inny rym: „zadrzała”, który pasował

nawet lepiej, ponieważ to właśnie stało się z ziemią pod moimi stopami.

— Czy to jajo próbowało się wykopać, aby dostać się do ciebie? — zapytał Dolhal, nie spodziewając się odpowiedzi. — Cóż za niezwykle stworzenie! Już w skorupie było tak inteligentne!

— Można tak powiedzieć — wycedził karzeł przez zepsute zęby.

— Czy skorupa matki była równie piękna jak ta? — zapytał Dolhal.

— Tak. Byłem urzeczony, podobnie jak ty jesteś teraz. Kiedy trzasnęła skorupa, myślałem, że pęknie mi serce, lecz wtedy mała smoczyca przebiła swoją cudowną główkę przez skorupę, a jej słodkie, pulchniutkie ciało było urocze jak ciało noworodka. Musiałem ją nieść prawie przez całą drogę do Tollin, ponieważ jej skrzydła nie były jeszcze wystarczająco silne, żeby mogła latać, a jej chód był chwiejny. Co więcej, kiedy się urodziła, jej apetyt był większy niż jakiegokolwiek innej istoty, którą wcześniej widziałem, tak więc cały czas musiałem dla niej polować, żeby była najedzona i żebyśmy mogli iść dalej. Mimo że przez to stała się niewyobrażalnie ciężka, kiedy się nasyciła, nie była już później głodna i wystarczała jej trawa i pączki kwiatów. Co było jeszcze wspanialsze, to jej oddech, który, gdziekolwiek szliśmy, ogrzewał okoliczne pola tak, że stawały się znowu żyzne. Wtedy prawie tego nie zauważałem, tak byłem zauroczony swoją nową towarzyszką, ale niezależnie od pogody zawsze spaliśmy w ciepłym i suchym miejscu, pomyślałem więc, że moja muzyka robiła się coraz lepsza. Było mi...

dobrze.

— Tak, chyba rozumiem. Właśnie tak czuję się teraz. Zauważ, że chociaż droga na dwór Jej Królewskiej Mości będzie długa, jajo jest, jeżeli cię dobrze rozumiem, uspokajające. — Dolhal zatrzęsł się aż po czubki skrzydeł. — Jaka to musiała być dla ciebie straszna tragedia, że ją straciłeś — dodał, zastanawiając się, dlaczego o wiele bardziej przeżywał utratę smoka niż unicestwienie całego kontynentu i wszystkich zamieszkujących go istot.

— Podczas podróży jej apetyt rósł coraz bardziej, aż w końcu zjadała plony z całych pól, patrząc też z pożądaniem na stada pasących się owiec i krów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie uda mi się jej nakarmić tylko moim własnym wysiłkiem. Zmusiło mnie to do podjęcia trudnej decyzji przedstawienia jej królowi Horhejowi. Był zauroczony, nawet kiedy pożarła cały bankiet złożony z pięć dziesięciu dań, który przygotował na dziewiąte urodziny swojej córki. Był bogaty, tak więc zamówił następny. Smoczyca czuła się cały czas trochę zawstydzona swoim apetytem, ale pożerała wszystkie zwierzęta, które udało się jej złapać. Później, na rozkaz króla, przyznano nam miejsce w królewskim zoo. Tam śpiewałem jej do snu kołysanki, aż do chwili, kiedy jej oddech się wyrównywał i zasypiała. W miarę jak rosła, jej apetyt ciągle się zwiększał, ale udało mi się



namówić króla, żeby oddał jej swoje pola i trzodę, by mogła szybko rosnąć. Aby było to możliwe, nałożył on na poddanych niewielki podatek. W zamian mógł z nami latać, a ona ogrzewała swoim oddechem pola tak, że przynosiły więcej plonów niż kiedykolwiek, oraz zdmuchiwała z nich popiół. Zimą ogrzewała pałac, a w końcu poprowadzono rurociąg od jej jaskini pod wszystkimi domami w mieście, żeby je również mogła ogrzewać. Wreszcie odkryto, że jej oddech może rozpalić gliniane piece, które następnie paliły się przez wiele dni, bez konieczności podsycania ognia. Jej apetyt ciągle rósł i mimo że koszt jej utrzymania ciągle zwracał się z nawiązką, ludzie zaczęli się bać. Niektórzy zaczęli przypominać sobie stare opowieści o smokach, które regularnie pożerały dziewice, chociaż nasz smok nie wykazywał

najmniejszych oznak takich zapędów. Byli tacy, w rzeczy samej, którzy pragnęli ją uśmiercić, ponieważ nie chcieli już dłużej łożyć na jej utrzymanie. Najazd armii Orbdona na Bellgarten sprawił, że zmienili zdanie.

— Co się stało?

A jak myślisz? Moja piękność przepędziła wojska najeźdźców za granice królestwa i wskutek jednego, krótkiego wypadu do ich najbliższej położonego miasta, jednego ryknięcia i jęzora ognia, nieprzyjaciel został zdziesiątkowany, zniszczony, a następnie poszedł z nami, żeby złożyć dary naszemu królowi. Większą ich część przeznaczył król w swej mądrości na pokrycie kosztów utrzymania smoczycy, której chyba było trochę żal Orbdończyków, ponieważ sprawiedliwie użyczając im swojej siły i ognia, pomogła odbudować miasto i przyczyniła się do ich dobrobytu, tak jak wcześniej do naszego.

— Cóż za cudowna istota! — rzekł Dolhal, myśląc, że panowanie Jej Królewskiej Mości stanie się dużo łatwiejsze, jeżeli będzie miała taką osobę do pomocy: silną, lecz łagodną, drogą w utrzymaniu, lecz w pewnym sensie płacącą za siebie.

— Tak — odpowiedział Sulinin. — Ale ona osiągnęła dopiero połowę swojej normalnej wielkości!

— Jakich cudów musiała dokonać, kiedy dorosła — mruknął cicho Dolhal.

— Żebyś wiedział, jaki miała apetyt! — powiedział Sulinin. — Ludzie ją uwielbiali, również mnie i króla kochali, bez wątpienia dzięki niej, ponieważ zapewniała im wygody i obfite plony

— przez to, że ziemia była tak ciepła, rodziła plony trzy razy w ciągu roku, a odchody smoczycy były najlepszym nawozem, jaki można sobie wyobrazić. Tak, to ona zapewniła królestwu dostatek. Ze strachu przed nią wszystkie okoliczne królestwa składały daniny dla Bellgarten, a my w zamian rozstrzygaliśmy ich spory. Działo to bardzo dobrze aż do chwili, kiedy smok urósł tak bardzo, a jego apetyt stał się tak niewyobrażalnie wielki, że wszystkie zapasy żywności i cała trzoda chlewna w sąsiednim królestwie zostały do tego stopnia uszczuplone, iż pojawiła się groźba głodu. Król niechętnie odnosił się do podwyższenia podatków swoim poddanym, mimo że z czasem musiał to zrobić. Zamiast rozgniewać się na smoka, ludzie zaczęli szemrać przeciwko królowi, co w końcu doprowadziło do rebelii, wywołanej również wskutek intryg podporządkowanych królestw. Ma się rozumieć, że moja mała i ja szybko ją stłumiliśmy, ale wtedy król zdecydował, że nie będzie płacić na egzekutora. Zrozum, nie podobał mi się widok mojej dziewczynki zjadającej ludzi... w cało ści,

jeżeli mogą się tak wyrazić. Połykała ich po prostu. Jednak król nie miał nastroju do słuchania moich sugestii i najprawdopodobniej szukał

sposobu, żeby się mnie pozbyć.

— Mogłeś wtedy skierować smoka przeciwko królowi — zaproponował emisariusz, zaskoczony, że Sulinin, który spędził na dworze królewskim przynajmniej tyle czasu, co emisariusz, sam na to nie wpadł.

Sulinin spojrzał na swoją zaciśniętą pięść.

— Mogłem, ale znała króla prawie tak dobrze jak mnie, poza tym to on sprawował władzę, a gdybym poprosił ją, żeby go zamordowała, aby uchronić ją przed koniecznością mordowania tych, którzy bezprawnie szykanowali króla, jaki byłby w tym sens? Skutek byłby dla smoczyca taki sam. Tak więc zachowałem spokój. I to był błąd. Rozprzestrzenienie się wieści o tych, którzy zginęli, spowodowało następne powstania i kolejne wojny nadgraniczne z pokonanymi krajami oraz kolejne egzekucje. Kiedy na dobre wybuchła wojna, król nie wystawił żołnierzy. Zamiast nich wysłał po prostu smoka, zamierzając najwidoczniej zaoszczędzić na żołdzie. Okazało się, że nie wszystko poszło po jego myśli. Kiedy smoczyca latała, siejąc zniszczenie, jadła, stając się jeszcze większa, musiała więc jeść coraz więcej, żeby móc latać. Wkrótce zniknęły wszystkie zapasy żywności i trzoda chlewna w Bellgarten, a wtedy zaczęło się: pobór.

Sulinin zamilkł. Jajo drżało coraz bardziej i Dolhal pomyślał, że słyszy bicie serca przez skorupę, która połyka wała jak gdyby z oczekiwania.

— Mów dalej — poprosił Sulinina, chociaż już domyślał się zakończenia tej historii — w rzeczy samej, wiedział, jak skończy się Ta opowieść i nie było to szczęśliwe zakończenie. Cóż za straszne marnotrawstwo zasobów i energii.

— Jak już się pewnie domyślasz, zaciąg nie dotyczył żołnierzy, którzy mieliby walczyć w otwartym polu. Poborowi przechodzili przez drzwi, które prowadziły prosto do niewyobrażalnie wielkiej gardzieli mojej małej. Wtedy była już tak ogromna, że zdarzyło się, o dziwo, coś ciekawego. Nie wszyscy mężczyźni, którzy przechodzili przez jej wnętrze, zostali strawieni na śmierć. Niektórzy stracili tylko kończyny, byli trochę poparzeni lub odnieśli inne obrażenia, lecz udało im się wyjść z jej wnętrza cało, co ciekawsze, ratując życie. Ci, których zjadała tuż przed zaśnieciem, często wychodzili bez szwanku na ciele, ale postradali zmysły z powodu przeżyć, jakich dostarczyło im przechodzenie przez żołądek smoczyca. Jednak większość mężczyzn, którymi nakarmiono smoczycę, zanim ta wyleciała do walki, została całkowicie pożarta i nikt już ich więcej nie widział. Pomagałem tym, którzy wyszli z jej brzucha żywi, uciec z powrotem do miasta, ale po jakimś czasie ponownie ich łapano i więziono, tak samo jak w następnej kolejności starców, kobiety i dzieci. Później jednak, kiedy w pokonanych krajach nie został już żaden człowiek, którego mogłaby pożreć, a ona ciągle była głodna, król zaczął jej oddawać swoich poddanych na pożarcie. Wydaje mi się, że już wcześniej był niespełna rozumu.

W przeciwnym razie jak mógłby wepchnąć własną córkę do gardła smoczyca? Słyszałem, jak królewna krzyczy do ojca, i poznałem jej głos, ponieważ kiedy była mała, często przychodziła do

mnie, żeby posłuchać, jak śpiewam smoczycy kołysanki. Smok zatrzasnął paszczę, ale udało mi się ją rozewrzeć i próbowałem wyciągnąć z niej królowną. Smoczyca nigdy wcześniej nie mogłaby zrobić mi krzywdy, lecz wtedy była rozochociona swoim obżarstwem, rozżłościła się więc na mnie, zatrzasnęła szczęki i odpędziła mnie niewielkim płomieniem z paszczy... właśnie stąd, widzisz, mam te rany. — Wskazał kikut ręki i twarz. — Przekuśtykałem przez drzwi, a warczenie smoczycy i przeraźliwy wrzask księżniczki razem z krzykami pozostałych ofiar, odbijały się echem w moich uszach.

— Dziwię się, że król również tobą jej nie nakarmił.

— Próbował. W ten sposób sprowadził na siebie zgubę. Mimo że wtedy była już zbyt ciężka, żeby latać, i nie zostało już nic, co mogłaby pożreć, wciąż była głodna. Zaczęła wszystko roztrzaskiwać, rozwalając w furii zamek na kawałki. Zniszczyła Tollin swoim wijącym się, pełzającym cielskiem i płomieniami, które z niej buchały, świadcząc o jej wściekłości oraz, o czym przekonałem się później, bólu.

— Biedactwo! — rzekł emisariusz. — Domyślam się, że wtedy właśnie zaczynała składać to jajo. Nie wiedziałem, że smokom przychodzi to z takim wysiłkiem.

— Ja też nie. Zdawałem sobie tylko sprawę z tego, że nie było już niczego, co mogłaby pożreć, oprócz mnie, oraz że kiedy odejdę, zdechnie z głodu, tak więc przygotowałem jej pakunek wypełniony prochem, schowałem się, a kiedy na moje zawołanie przypełzła, żeby go zeżreć, zapaliłem lont. Pałący się koniec zniknął w jej mordzie, kiedy zobaczyłem jajo.

Emisariusz zmierzył go chłodnym spojrzeniem i burknął:

— Domyślam się, że próbowałeś ratować swoją skórę.

— Tak naprawdę nie chciałem, żeby zdechła z głodu. Widziałem, jak eksploduje... nie wiem, co się działo później, aż do chwili, kiedy mnie znalazłeś.

Jajo się wydłużyło, a na jego czubku pojawiło się niewielkie pęknięcie.

— Czy nie powiedziałeś, że muszę zabrać stąd jajo, zanim smoczątko się wykluje, jeżeli chcę wychowywać je w innym miejscu? — zdenerwował się Dolhal, głaszcząc skorupę i mrużąc do niej.

— Lepiej pozwól, że rozbiję skorupę i zabiję smoczątko, kiedy jest jeszcze małe i bezbronne

— powiedział Sulinin, podnosząc swoją ocaloną, silną ręką kamień, który upuścił wcześniej.

— Nigdy! Już i tak zdradziłeś i zabiłeś jego matkę. Tego maleństwa nie pozwolę ci tknąć.

— Czy nie dotarło do ciebie nic z tego, co ci powiedziałem? W miarę jak smok rośnie, staje się strasznie żarłoczny i wszystko niszczy.

— Pozwoliłeś na to, żeby stała się zła. W sprawiedliwym i dobrym kraju stanie się orędownikiem pokoju i sprawiedliwości. — Dolhal przytulił jajo do piersi, mówiąc do niego łagodnie, jak gdyby

miał nadzieję, że w ten sposób uspokoi je i opóźni wyklucie się smoczątka.

Następnie, zanim poprzedni opiekun smoka zdołał się wyprostować, emisariusz był już w powietrzu, trzymając jajo mocno w ramionach.

— Zaczekaj. Nie możesz mnie tutaj zostawić! — krzyknął Sulinin do niego. — Zabierz mnie na swoim grzbiecie, tak jak obiecałeś.

Muszę zanieść smoczątko Jej Królewskiej Mości, zanim będzie mogło latać — krzyczał z góry Dolhal. — Może wrócimy po ciebie później. Może. — Następnie trzema potężnymi uderzeniami skrzydeł uniósł się w powietrze i zniknął Sulininowi z oczu, odlatując w stronę Kości Ogrów.

Sulinin westchnął i schował się ponownie w gruzach, aby się ogrzać, odpocząć i odzyskać siły. Następnego dnia będzie musiał pozbierać zjełczałe ochłapy smoczego tłuszczu i pójść pieszo w kierunku, w którym poleciał emisariusz. Biedny Dolhal. Emisariusz nie usłyszy już nigdzie w tym umarłym kraju żadnych ptaków, takich jak te, które mały smok Sulinina pożerał w ogromnych ilościach, kiedy się wyklął z jaja. Sulinin będzie podróżował tak daleko, jak tylko będzie mógł, szukając jakichkolwiek śladów emisariusza i jego podopiecznego: kawałków skorupy oraz, jak ogromnie życzył sobie tego dawny opiekun smoka, dla dobra Jej Królewskiej Mości i całego Południowego Świata, kilku zgubionych piór.

*Przełożył Wojciech Lis*

*Poul i Karen Anderson*

## **Czas miary**

### **(Faith)**

Aeland, leżące daleko na północny wschód poza górami Burzowego Konia, było najbiedniejszym hrabstwem, skąpo zaludnionym i tak rzadko odwiedzanym, że mogło uchodzić za odrębne królestwo. Mimo to żyło się tu całkiem szczęśliwie. Wzdłuż rzeki Luta rozkwiwały gospodarstwa. Miejscami, tworząc sioła, powstawały solidne gliniane domostwa kryte strzechą.

Drwale i węglarze pracowali w lesie Isung na południe od siedzib ludzkich, górnicy zaś wydobywali metale na wzgórzach Nar, na północnym zachodzie. W miejscu, gdzie Karumkill wpadał do Luty, powstało miasto Yorun. W większości krajów uznano by je za wioskę, lecz posiadało ono własną świątynię, salę zebrań, rynek oraz niewielkie, lecz wydajne zakłady rzemieślnicze. Trzy gospody — to wcale nie było za dużo.

Na północy i wschodzie żyzne grunty ustępowały miejsca pustkowiu, niemal bezdrzewnemu, porośniętemu wrzosem, ciernistymi krzewami, rzadką trawą i trzcina okalającą ciemne sadzawki.

Klucze dzikiego ptactwa szybowały na wietrze, sarny pasły się wśród traw, często stając się łupem wilków, poza tym żyły tu tylko zające, lisy i inna drobna zwierzyna. Jeśli chodzi o ludzi, to kilku pasterzy wypasało tu swoje trzody, a nieliczni myśliwi, opuszczając lasy i wzgórza, polowali w tych

stronach. Żaden nie zapuszczał się dalej jak na odległość dwóch, trzech dni drogi od doliny rzeki, bo za nią rozciągało się pogranicze Strefy Zmierzchu.

Aeland, zbyt odległe i mizerne, by przyciągać bandytów czy zostały wykradzione ze swoich kołysek. Wyglądało na to, że chociaż okiennice i odrzwia były zaryglowane od wewnątrz, intruz, który widział w ciemności, podniósł zasuwę i wpełził do środka. Na miękkim podłożu widoczne były ślady małych, wąskich stóp z długimi palcami podobnymi do szponów. Żaden pies nie podjął tych tropów, które choć prowadziły w kierunku zamku, to rychło urywały się na wrzosowisku.

Kapłan spędzał dni i oświetlone świecami noce pośród swoich ksiąg.

— Myślę, że to siedziba goblinów — obwieścił w końcu. — Lepiej nie wiedzieć, na co potrzebne im dzieci.

Przez następne miesiące i lata w tumanie kurzu czy świetle księżyca lud przelotnie widywał te dziwaczne stworzenia. Jeszcze rzadziej słyszał ich szwargotanie lub złowrogi śmiech.

Wizerunek, który stopniowo dopasowywali kawałek po kawałku, przedstawiał postać wyprostowaną, o chudych członkach, wysoką na mniej niż pięć stóp. Na wielkiej, bezwłosej głowie widniały postrzępione uszy, monstualny nos i oczy jak rozjarzone latarnie. Ciśnięty kamień, rzucona włócznia czy wypuszczona strzała nigdy weń nie trafiały.

Gobliny nie atakowały dorosłych istot ludzkich. Przeważnie kradły ziarno z pól, owoce z sadów, inwentarz z pastwisk, lecz takie straty, nie większe niż zadane przez kruka czy wilka, można było zdzierżyć. Najokropniejsze jednak było znikanie niemowląt. Rodzice nie byli w stanie czuwać na zmiany każdej nocy, jeśli ciężko pracowali za dnia. Starsze dzieci zazwyczaj też zasypiały bądź pierzchały z krzykiem, gdy okiennice otwierały się bezszelestnie, a w oknie ukazywała się straszliwie wykrzywiona twarz. Psy rzadko ośmielały się szczekać. Jedynie bardziej posażne rodziny mogły opłacać strażników, lecz goblinom wystarczała ledwie minuta, by porwać dziecko i zbiec.

W pierwszym roku mieszkańcy Aelandu starali się jakoś walczyć. Dwukrotnie budowali tarany i usiłowali przebić wejście do zamku, ale skończyło się jedynie na potrzaskaniu wszystkich belek. Przekopując okolicę, szukali tuneli, którymi gobliny musiały wchodzić i wychodzić ze swojej siedziby. Nigdy jednak nie znaleziono nic poza norami borsuków, za sprawą których żaden pies nie mógł wy wąchać tropu goblina, a na mokradłach zacierał się każdy widoczny ślad. Rozgłaszano wszem wobec obietnice złota, wspaniałych ubrań lub innych równie drogocennych dóbr, jeśli ktoś zdoła sprawić, że złodzieje zaniechają swego procederu — jazgot szyderstw stanowił jedyną odpowiedź. Żadna pułapka czy zasadzka nie schwytała goblina, nie dopędził go żaden koń, zanim ten nie zniknął z oczu.

Przez góry wysyłano wieści do króla. Drugiego roku, po trzeciej już skardze poddanych, wyprawił on swego barona na czele ciężkozbrojnych rycerzy. Baron wraz z wieśniakami zbudował ogromną katapultę i zgromadził koło zamku wielkie kamienie. Pociski te zdołały jedynie spowodować nieliczne uszczerbki w murze, a nocą, niewidoczne poza kręgiem światła bijącego od ogniska, gobliny szydziły z napastników.

— Ludzie nie zdołają zaradzić temu utrapieniu, tak jak nie mogą zwalczyć zarazy —

zawyrokował baron i zawrócił ze swoimi ludźmi. Król zarządził w hrabstwie nowy podatek na obronę.

Gobliny stawały się coraz bardziej bezczelne i ciągle ich przybywało. Co jakiś czas widywano je nawet na ulicach samego Yorum w żółtawym świetle padającym z oświetlonych domów.

Również z miasta porywały one dzieci, tak jak z innych miejsc całej krainy Aeland.

Choć straty ponosili wszyscy i wszędzie, to żaden z sąsiadów nie doświadczył uprowadzenia noworodka częściej niż raz na rok, a nawet raz na trzy lata. I tak więcej dzieci traciło życie z powodu chorób. Skoro godziny między zachodem a wschodem słońca były najbardziej niebezpieczne, ludzie starali się wędrować w grupach, kołysząc latarniami i głośno rozmawiając, a rozgwieżdżone letnie noce teraz zbytnio nie zachęcały młodych do nader nierozważnej miłości.

Zamiast rozpalać sobótkowe ognie i płaszać przy nich do świtu, religijne obrzędy wypełniano w świątyni w sposób godny i bezpieczniejszy. Myśliwi, pasterze i inni pracujący pod gołym niebem mogli teraz udawać chojraków. Reszta uczyła się tłumić każdą gorycz w sobie, z wyjątkiem chwili, gdy mąż i żona stali samotni nad pustą kołyską.

Najlepiej było w ogóle nie rozmawiać na nieprzyjemne tematy. Najlepiej usunąć z myśli ów okropny, niewielki zamek na wrzosowisku Mimring. Należało wieść życie rozważnie.

W ten sposób minęły trzydzieści i trzy lata.

— Znowu nabroiłeś — powiedział Hork.

Uniósł swój sześciocalowy palec wskazujący. Pazur na jego końcu zalśnił blaskiem płomieni w tym samym migotliwym odcieniu ochry, jak i jego oczy.

— Tylko nie próbuj zaprzeczać.

Był to jeden z nielicznych goblinów posługujących się płynnie ludzką mową; lubił też popisywać się znajomością co trudniejszych wyrazów. Pewnie wierzył, że w ten sposób zagłuszy swój zabawny akcent, chociaż dzieci i tak nie miały nikogo innego do porównania.

— Tym razem naprawdę musisz wziąć sobie lekcję do serca. Inaczej trzeba będzie szukać dla ciebie innego zajęcia, nieprawdaż?

Runt zeszywniał, zacisnął pięści i zwrócił się ku mistrzowi. Podniósł głowę, odrzucając w tył złocistą czuprynę, która nadawała mu nastroszony wygląd.

— Buntujesz się? — syknął Hork.

Runt stłumił w sobie uczucie lęku. Miał już w tym praktykę. Jego ziemistoszare ciało stało się

wilgotne i chłodne, pokryte potem, lecz zdołał odpowiedzieć spokojnie.

— Nie, panie, jedynie jestem ciekaw, cóż ja takiego zrobiłem. — Był pewien, że jego ostatni najazd na spiżarnię pozostał niezauważony.

Hork siadł sztywno na swoim krześle zrobionym z kości. Ponury i zimny, zdawał się krążyć myślami wokół chłopca, by później go osaczyć.

— Za dużo paplałeś w waszych kwaterach — powiedział goblin. — Wygadałeś coś, o czym w żaden sposób nie powinienesz być wiedzieć. Ile wyniuchałeś? Jakie jeszcze tajemnice wykradłeś z Wiedzy?

— Nikt mi nie powiedział, że Serce Zamku to tajemnica — krzyknął Runt. — Gdybym wiedział o tym od ciebie, dalej trzymałbym wszystko w sekrecie.

Szarawa twarz Horka ożyła rumieńcem.

— Skoro nikt ci niczego nie wyjawiał ani nie pokazywał — rzekł — to powinno być dla ciebie jasne, że jest to wiedza zakazana. Jak doszło do tego, że w ogóle usłyszałeś o Sercu Zamku?

Odwaga Runta osłabła. Szczerze mówiąc, nie przypuszczał, że to ma takie znaczenie.

— Lordowie Brumm i Ululu rozmawiali w Komnacie Wtajemniczenia. Widzieli mnie, ale nigdy niczego nie zakazali ani nie ostrzegli.

— Ach — ton głosu Horka złagodniał. — Powiedz lepiej, co wywnioskowałeś z tej rozmowy?

Z nieśmiałą nadzieją Runt wyznał:

— Panie, to nie było tylko to. Po prostu nie mogłem nie słyszeć, jak lord Drongg przeklina:

„Niech szlag trafi to Serce Zamku”, gdy jest wściekły. Albo o czym Brumm — lordowie Brumm i Ululu rozmawiają, gdy... — Coś ścisnęło mu gardło.

— Mów dalej, dalej — warknął Hork. — No i czym według ciebie jest to Serce?

— To jest na dole, w kryptach, i to jest... życie zamku.

— Wychlapałeś tę informację gdzieś dalej?

— Proszę, panie, jaka szkoda, że nie wiedziałem...

— Ja też nie wiedziałem, że tak dobrze opanowałeś język swoich mistrzów, ty kanalio.

Runt nie śmiał sprostować, że to przyszło samo z siebie i zaczęło się w czasie, którego nie ogarnia pamięcią. Każde z dzieci łapało garść przypadkowych goblinich słów, mimo że uczono je ich ojczystego języka i zawsze go między sobą używały. Charakter pracy Runta ułatwiał mu to najbardziej. Bystrość umysłu, dzięki której wysłano go do Komnaty Wtajemniczenia, też robiła

swoje.

— Gdy nadejdzie twój czas — ciągnął Hork — czy możemy wypuścić cię do Kraju Zielonego Liścia? Zastanawiam się nad tym.

Runt stał oszołomiony z przerażenia. Dojrzał kły Horka, zrazu nieznacznie, po chwili szerzej odsłonięte w uśmiechu.

— Będę tęsknił za tobą, kiedy już osiągniesz miarę. Często bywasz krnąbrny, o czym świadczą twoje blizny, ale i tak jesteś najlepszym pomocnikiem, jakiego kiedykolwiek mieliśmy we Wtajemniczeniach. — Głos z przenikliwego stał się bardziej melancholijny. — Może dlatego, że usługujesz najdłużej? Wydaje mi się, że masz...

Runt nie wiedział, ile lat sobie liczy. Jeżeli gobliny nie mierzyły upływu czasu, dlaczego on miałby to robić?

— Dobrze. Bez wątpienia to by cię podłamało, gdybyś był pozbawiony nadziei — powiedział

Hork. — Zobaczymy, jak będziesz się zachowywał po otrzymaniu kolejnej nauki.

Uniósł się. Zadźwięczały bransolety stanowiące część jego stroju.

— Możemy zaczynać?

Prawie z zadowoleniem Runt zrzucił tunikę, jaką noszą dzieci. Na moment, gdy Hork zlustrował jego nagą postać, rogowe powieki uniosły się nad wylupiaste oczy goblina. Potem wzruszył obojętnie ramionami i podszedł do stelaża z narzędziami. Runt leżał na stole do ćwiczeń. Zacisnął zęby na kołku, żeby nie krzyzczeć, a równocześnie dłońmi mocno złapał za pomocnicze uchwyty, stopy wsunął w pęta.

Na koniec sesji Hork, jak zwykle, wytarł krew, zaaplikował balsam zamykający rany, by przyspieszyć leczenie, i dał podopiecznemu wzmacniający napój.

— Teraz wracaj do siebie i śpij — rzekł goblin. — A na przyszłość bądź dyskretny — zachichotał. — I należycie wdzięczny, mam nadzieję.

— Wielce dziękuję, mój panie — odparł Runt drżącym głosem. Pocałował wielki palec lewej stopy swego mistrza. Podnosząc się, zebrał garderobę i kulejąc, wyszedł z pokoju.

Korytarze zakręcały i krzyżowały się. Kinkiety rzucały przyćmione i migotliwe światło na ściany pozbawione innych ozdób. Dźwięki przenikały przez cienie, odgłosy kroków, szepty i inne nieokreślone hałasy. Jeśli przechodził goblin, Runt stawał z boku, z ugiętymi kolanami i pochyloną głową.

Zdarzało się to rzadko. Wieczne i bezdzietne gobliny są nacją kochającą przyjemności.



Urozmaicali sobie żywot polowaniami, kradzieżami, rozrywkę stanowiły też niewyszukane tortury zadawane ludziom oraz przestawanie z pozostałymi mieszkańcami Strefy Zmierzchu, których towarzystwo ich bawiło. W domu biesiadowali, swawolili, obmyślali pracochłonne rozrywki, a prawdziwej pracy unikali jak ognia. Poza paroma niezbędnymi procedurami wyuczonymi na pamięć od wiedźm i demonów, nie znali żadnych magicznych zaklęć. Kiedy ich grupa zdecydowała się osiedlić w krainie ludzi, Baubo wzniósł dla nich warownię. Jego zapłata całkowicie poszła w niepamięć.

Mijając Komnatę Wtajemniczenia, Runt przystanął, by spojrzeć przez jej łukowate wejście.

Fosforyzująca mgielka unosząca się nad piecami — czajniki, beczułki, alembiki, różdżki, miotły, kości, zapleśniałe księgi, relikwie. Bulgoczące kadzie, wolno warzące nowego goblina, aby zastąpił tego, który zirytował trolla. Teraz jednak nie było widać nikogo. Ululu, który uważał się za czarnoksiężnika, od czasu do czasu rzucał czar, tak dla porządku. Jego pomocnikiem był

Brumm. Pod ich nadzorem Slef i Khreeh próbowali eksperymentować, lecz czynili to raczej dla rozrywki. Chłopiec zaś nosił rzeczy, dźwigał ciężary, wycierał, mył i robił wszystko, co mu kazano, a co nierzadko wymagało cierpliwości i precyzji. Gdy dla Krzywonogie — go nadszedł

czas miary i ich opuścił, wtedy Runt dostał tę posadę. Jego pamięć o Krzywonogim z wolna zacierał czas.

Ciekawość odżyła w nim na nowo: „Po co była ta srebrna nić pajęcza? Skąd się wzięły suszone zioła i szczypiące proszki? Jak powstały takie wielkie i rozgałęzione rogi? Czym naprawdę są księżyc i gwiazdy przedstawiane w księgach i przywoływane w zaklęciach?” Na ile pozwalała mu śmiałość, szczególnie gdy zostawał tu sam, Runt szperał, wścibiał nos, podpatrywał, zamyślał się. Tajemnice i zawilosci przepelniały jego umysł, nie pozwalając oddać się rozpacz, tłumiąc jego cierpienie.

Ból nadal przeszywał go na wylot. Tym niemniej jego krzepkie ciało, wzmocnione ziołowym wywarem, nabierało już zwykłego wigoru po zadanej karze. Kiedy tak stał, poczuł się bardzo głodny. Jakże często głodował! Porcje w jadalni przestały mu wystarczać i musiał podkraść, co tylko się dało.

Nieudacznik, nie osiągnął miary. Po jednorazowym zrywie, który przyniósł mu może cał więcej, jego wzrost ustał niemal zupełnie. Zamiast tego, jakby na przekór, kości mu zgrubiały, a mięśnie się rozrosły. Inne, dziwniejsze zmiany tak go poruszyły i zawstydziły, że zaczął myć się odwrócony plecami do towarzyszy z pokoju. Na twarzy i ciele pojawiło się owłosienie. Głos stał

się niższy, ale potrafił śmiesznie zapać akurat wtedy, gdy Runt chciał być całkowicie poważny.

Sny miewał teraz inne niż dawniej, a czujne oczy błędziły, jakby same, w stronę dziewcząt.

Chłopak wstrzymał oddech i przyspieszył kroku. Nie chciał, aby go ujrano bezczynnym.

Najgorszą rzeczą, jaką mógł sobie wyobrazić, była utrata pracy przy Wtajemniczeniu, zanim zwolnią go do Krainy Zielonego Liścia — jeśli kiedykolwiek to nastąpi. Prawda, warsztat stolarski czy

kuźnia nie byłyby takie złe. Tkanie, szycie i temu podobne zajęcia przeznaczono dla dziewczyn. W kuchni też dałoby się wytrzymać i nawet można by zwędzić coś do jedzenia.

Zwykłą harówkę, szorowanie, czerpanie wody, ładowanie węgla jeszcze mógłby ścierpieć, przynajmniej do chwili, gdy szarzyzna tej pracy pokonałaby fantazję, będącą dla niego jak dotąd jedyną drogą ucieczki. Myśl o osobistej służbie u jakiegoś goblina ścisnęła mu gardło, zwłaszcza po tym, jak słyszał o rozrywkach wymyślanych przez nich dla kaprysu. Albo, co najgorsze, mógłby zostać skierowany do opieki nad obrzydliwymi robalami w ich podziemnych zagrodach.

W tym przypadku nie miałby szans, żeby przeżyć i osiągnąć czas miary. Nie, pomyślał, za wszelką cenę musi utrzymać swą obecną pozycję.,

A swoją drogą, ciekawe, kto go tak zrobił, paplając na jego temat. Wściekłość w jego piersi tliła się i wygasła jak głównie w zamkowym kominku. Ten donos jej nie rozniecił. Kiedy dziecko informowało gobliny o złamaniu reguł, dostawało nagrodę: słodycze, zabawkę lub trochę wolnego czasu. Kiedy jednak wychodziło na jaw, że dziecko dowiedziało się o czymś przewinieniu, ale o tym nie zameldowało, było karane. W ten sposób człowiek wcześniej uczył się ukrywać swoje zamiary, a drobne grzeszki i kradzieże przeprowadzać niedostrzegalnie. Runt często obrywał za różne wykroczenia, zanim nie zaczął się kontrolować. Akceptował to jako naturalny porządek rzeczy. Czasami sam donosił swoim mistrzom o zauważonych cudzych wykroczeniach.

To jednak było... było... brakowało mu słowa — „niesprawiedliwe”, ale czuł niegodziwość takiego postępowania niczym dodatkowy ból. Całkiem niewinnie wypaplał na kwaterach ową zadziwiającą rzecz, jaką odkrył, że zamek posiada serce. Nigdy nie miał zakazu opowiadania swoim kolegom o tym, co robił i widział w pracy. Takie zwierzenia dodawały ich życiu nieco blasku, pomagały w wypełnianiu ciężkich powinności.

Jego najskrytszym marzeniem było wyrzucić odpowiednie wrażenie na Squeaky. Nie był

pewien dlaczego, ale zaczęło się dla niego liczyć każde jej spojrzenie. Teraz cieszył się, że nie odciągnął dziewczyny na stronę, by opowiedzieć jej o wszystkim, w sekrecie przed innymi.

Pewnie zrobiłby tak, gdyby łatwiej przyszło mu znaleźć jakieś ustronne miejsce. Wtedy i ją poddałoby bolesnej karze. Takiej męki by nie zniósł.

Ktoś złośliwie musiał pójść do goblinów, wykorzystując to, że Runt złamał zasadę. Tu nie chodziło o czyjąś nieświadomość — chłopak miał swoje podejrzenia. Apples od dawna był jego wrogiem. Obaj równo ponosili kary za bijatyki, dopóki Apples nie uczynił oręża z języka: swobodniejszego i bardziej ciętego od słów Runta. Ostatnio rywal również jakby wystrzelił w górę i zaczął szukać towarzystwa Squeaky. Prowadziło to do coraz częstszych utarczek między młodzieńcami o sprawy, które niewarte były funta kłaków.

Myśląc o tym podczas wędrówki po korytarzach zamczyska, Runt czuł nabrzmiewającą w nim gorycz. Aby nieco się uspokoić, przystanął na rozwidleniu drogi.

Dzieci często tak robiły. Jego wzrok wędrował tęsknie w dół, do końca sklepionego odcinka.

Tam dojrzał masywne drzwi z drewna okutego żelazem, wysokie na trzysta stóp. One prowadziły na zewnątrz.

Tak mu mówiono. Żadne z dzieci nie widziało, by którekolwiek z wyjść było otwarte. Zawsze i wszędzie, we śnie i na jawie, Runt marzył, by je przekroczyć. Jednak sztaba na górze trzymała je mocno. Po lewej stronie ze ściany wystawała półka. Goblin bez trudu mógł na nią wskoczyć i przykucnąć, kiedy wysuwał rygiel z zapadki. Dziecko nie byłoby w stanie tego dokonać, a w całym zamku darmo by szukać czegoś, co umożliwiłoby wspinaczkę.

Runt westchnął i z ociąganiem ruszył dalej. Po chwili przyspieszył kroku. Squeaky powinna być teraz na kwaterach.

Wszedł i aż go oślepiło. Tylko te trzy komnaty oświetlały promienie słoneczne przepuszczone przez wywietrzniki poddasza i rozprowadzane dalej za pomocą zwierciadeł. Chociaż teraz szybko zapadała noc, było tu jaśniej niż gdziekolwiek indziej. Gobliny zachodziły w to miejsce tylko, kiedy musiały, najchętniej po ciemku lub otulone szczelnie płaszczem z naciągniętym kapturem.

Nie było tu nic specjalnego. Jedna z komnat z ledwo wygospodarowanym kawałkiem wolnej podłogi mieściła w podwójnych rzędach dziesiątki wąskich koi. Drugie pomieszczenie przeznaczono na mycie, pranie, przechowywanie rzeczy i tego typu domowe sprawy. Największe służyło jako jadalnia i świetlica, tu wchodziło się najpierw. Brakowało drzwi, podłogi były drewniane, trzeszczące pod stopami, usiane śladami starego tłuszczu, plamami krwi i łez. Nie malowany gips pokrywał ściany. Tu i ówdzie rysy zrobione węglem świadczyły o tym, że ktoś usiłował zaznaczać upływające dni, lecz zawsze dawał sobie spokój po kilku setkach.

Nieliczne kolorowe drobiazgi ożywiały jadalnię. Gdzieś tam leżały gry i zabawki podarowane w nagrodę przez gobliny lub zrobione własnoręcznie przez dzieci. Kartki jakiegoś rękopisu do strony siódmej, dawno temu wydarte z książki, wisiały na ścianie przybite gwoździem. Dzieciaki kawałek po kawałku rozszyfrowywały pisane atramentem słowa. Chociaż głównie pasjonowały je ilustracje. Te drobne sceny — ludzie, zwierzęta, pola, drzewa, błękit powyżej ze złotym dyskiem pośrodku, cuda niemalże nie do pojęcia — pokazywały Świat Zielonego Liścia. Do niego właśnie chciały się udać, kiedy osiągną miarę, pod warunkiem jednak, że będą służyć dobrotliwym goblinom, które wybawiły ich z Terroru i dały schronienie oraz wychowanie. Co więcej, dzieci słyszały, że obrazy i te wspaniałe przedmioty do zabawy zostały stworzone przez same gobliny. Runt, który nigdy nie widział goblina zadającego sobie trud wykonania czegokolwiek, zatrzymał swoje wątpliwości dla siebie. Kiedy dotarł na miejsce, usłyszał głos Squeaky.

— Nie, moja droga, musisz zacerować swoją tunikę zanim rozdarcie się powiększy. Och, i trzeba ją również wyprać. Chodź, pokażę ci jak.

— Nie chcę — odparła buntowniczo mała dziewczynka. — Dlaczego mam to robić?

Mistrzowie nie zwracają na to uwagi.

— Ale zaczną, jeśli cię wybiorą, abys im towarzyszyła — odpowiedziała Squeaky. — Wtedy będziesz musiała być elegancka. Odtąd dzięki przyjaciom, a zwłaszcza dzięki sobie samej, staniesz

się schludna i czysta. Nie jesteś karaluchem ani muszyskiem, ale dzieckiem. Pewnego dnia odejdiesz stąd, by żyć w Kraju Zielonego Liścia, gdzie wszystko jest piękne.

W miarę jak dorastała, nie tylko warkocze sięgnęły jej pasa, a biodra i piersi nabrały krągłości, ale także głos Squeaky stał się miękki i łagodny. Lecz imiona, którymi malcy nawzajem obdarzali się w dzieciństwie, pozostawały na zawsze, bez zmiany\*[1](#).

Siadła na ławie przy stole, dając łyżeczkę kleiku nowo przybyłemu dziecku, które trzymała na kolanach. Widząc, jak dobrze radzi sobie z najmłodszymi, gobliny ustanowiły ją niańką i wychowawczynią, po tym jak Snubnose osiągnęła miarę. To było zajęcie, które kochała, może nawet bardziej, niż Runt lubił swoje.

— No dobrze, zrobię to, jeśli mi pomożesz — powiedziała mała dziewczynka, Tummy. — I...

opowiesz nam bajkę na dobranoc?

— O ptaaskach — dodał Me Too, który był jeszcze mniejszy.

— I o kwiaaatakach.

— Co to są ptaszki i kwiatki? — zapytała Tummy.

1\* Squeaky (ang.) — piskliwy (przyp. tłum).

Nie wiedziała, bo ilekroć dzieciaki rozprawiły na ten temat, ją odsyłano do różnych drobnych zajęć.

— Nie — powiedział Cockeye. — Ja chcę o koniach!

Rudy, piegowaty i szczerbaty, nawet nie sięgał do ramienia Runta czy Squeaky. Gobliny karały go najczęściej, pod byle pretekstem, ale uśmiech od ucha do ucha wkrótce powracał na jego buzię.

Squeaky uśmiechnęła się.

— Pozwól mi najpierw pomyśleć — odparła.

Nie wiedziała nic na pewno, tak jak żadne z dzieci. Czasami, gdy któryś goblin był w dobrym nastroju, opowiadał to i owo o Krainie Zielonego Liścia. Poza tym niektórzy, jak Runt, rozumieli co nieco z zasłyszanych rozmów. Wzmianki takie, podobnie jak obrazki na ścianie, stanowiły podstawę nie kończących się domysłów i fantazji. W miarę jak dorastały kolejne pokolenia dzieci, tak narastał pośród nich cały zbiór legend ukazujących wymyślony wszechświat, którym wielu z nich żyło bardziej niż rzeczywistością w zamku. Lecz historie te były zazwyczaj niejasne, pełne niedomówień i sprzeczności. Jedynym wspólnym tematem była wspaniałość i szczęście, pokój i miłość czekające poza murami, w świecie — czego nikt nie mówił głośno — gdzie nie było goblinów.

— Kiedy będę duży, będę jeździł na koniu — powiedział Cockeye. — Będę powalał smoki i... — Zobaczył, kto wszedł. — Runt, wróciłeś!

Zapadła cisza. Wiedzieli, że Runt był wezwany do komnaty tortur. Nawet to najmłodsze instynktownie wyczuwało nieszczęście i gapiło się wielkimi oczyma. Squeaky wstała, położyła je do kołyski i ruszyła ku nowo przybyłemu. Reszta trzymała się z tyłu. Wielu nie wróciło jeszcze z pracy. Każdy, kto dostrzegł krwawe ślady na rękach i nogach, czuł się zupełnie bezradny.

Runt się zatrzymał. Zmusił się do uśmiechu.

— Wróciłem? — spytał ironicznie. — Co za niespodzianka. Powiedz jeszcze coś.

Squeaky podeszła do niego.

— Bardzo cię zranili? — spytała cicho.

— Nie, czuję się nieźle — odparł zawadiacko. — Jestem głodny jak wilk. Nie mogę się już doczekać kolacji.

Cockeye przysunął się bliżej. W jego błękitnych oczach błysnęło uwielbienie.

— Oni nigdy nie zmuszą cię do płaczu — powiedział.

Jednakże to właśnie Cockeye ostatnio naskarżył goblinom, że Runt stłukł Applesa.

Oczywiście, jest jeszcze berbeciem.

Runt nie zwrócił na niego uwagi, gdyż Squeaky podała mu dłonie. Powstrzymał falę emocji i ujął je. Jakże były ciepłe i zarazem delikatne, jak szklane naczynia w Komnacie Tajemnic.

Otoczyła go fala gorąca i dotarła aż do twarzy.

— Chciałabym, abyśmy mogli zrobić coś dla ciebie — szepnęła drżącym głosem.

Nie znał sposobu, by powiedzieć jej, co właśnie uczyniła. Strach dźwięczał w głosie Tummy.

— Dlaczego oni tak ciebie poranili?

Runt zagryzł wargę.

— Nie wolno mi o tym mówić.

— Ale ja nie wiem, czego mnie nie wolno — zaprotestowała Tummy.

Squeaky puściła dłonie Runta i nachyliła się, aby utulić dziewczynkę. Oburzenie nadal wrzało w nim mocno.

— Wiem — odparł Cockeye. — Będę siedział cicho.

— Poczynając od zaraz, ty gaduło — warknął Runt.

Cockeye'owi zapało dech, odpowiedział groźnym spojrzeniem na takie samo i odszedł

chyłkiem. Runt zastanawiał się desperacko, co ma czynić. Stanie, jak teraz, było głupie. Chciałby mieć pod ręką kogoś, kogo mógłby uderzyć. Kogoś, kto by na to zasłużył.

W pokoju zapadał mrok. Wkrótce trzeba będzie wziąć spróchniały patyk, podpalić go od płomienia w holu na zewnątrz i przynieść z powrotem, aby zapalić tutaj łojowe świece. Było to przyjemne zajęcie, lecz dziś nie wypadała jego kolej.

Nagły hałas zwrócił uwagę wszystkich ku czemuś innemu. Do środka wszedł Apples. Był

najwyższy z dzieci, a jego praca w kuchni dawała mu też sposobność, by się zaokrąglić. Porcje zazwyczaj składały się z owoców, ziaren i korzonków, ale zdarzały się też kawałeczki mięsa i ryb. W istocie Apples nigdy nie został przyłapany na wykradaniu z garnka czegoś dla siebie, dlatego gobliny nie wykazywały zainteresowania jego puciołowatością.

— Jesteś wcześniej — wykrzyknął Cockeye. — Co się stało?

— Nie ma dzisiaj jedzenia? — zajączał zawiedziony Me Too.

Apples rozpromienił się. Zatarł ręce. Jego policzki były zarumienione bardziej niż kiedykolwiek.

— Nie trapiecie się, maluchy — powiedział. — Pomocnicy przy niosą, gdy będzie gotowe. A pojutrze odbędzie się uroczystość.

Dzieci wytrzeszczyły oczy. Trzymał ich w niepewności, dopóki nie wyjaśnił:

— Wiecie, że gdy mistrzowie uczują, my dostajemy ich resztki. Nie mięso, ono jest dla nich, ale orzechy i słodczyce, pamiętacie? A oni świętują, wyprawiając bankiet, zawsze gdy ktoś z nas odchodzi do Krainy Zielonego Liścia. Takie już mają dobre serca.

— Ty odchodzisz? — Squeaky aż zapało dech.

Apples przytaknął z ożywieniem.

— Odchodzę, odchodzę — zapiszczał z radości. — Osiągnąłem miarę.

Runtowi pociemniało w oczach.

— Kłamiesz! — zawył. — To nie może być prawda! Nie jesteś wyższy ode mnie więcej niż o cal i...

To był swoisty rytuał, kiedy gobliny zabierały najstarsze dziecko do swojej sali narad. Serce wali ci w piersiach, wstępujesz na podium, stajesz wyprostowany pod trzymaną w łapie różdżką, a lord Hork z namaszczeniem opuszcza ramię, aż nie spocznie ona na twojej głowie. Jeżeli jej wskaźnik przekroczy karmazynową linię, możesz śmiać się, płakać z radości i tańczyć przy bezsilnej zazdrości twoich kolegów.

Apples uśmiechał się bez przerwy.

— To było niezwykle — powiedział. — Zrobiłem dobry uczynek i kiedy poszedłem po moją nagrodę, spytałem, czy nie mogłoby nią być odczytanie mego wzrostu, gdyż zauważyłem, że jestem już tak wysoki jak on, i właśnie wtedy... No więc, zrobił to i jestem wystarczająco duży, i odchodzę!

Runt doskonale wiedział, co było tym dobrym uczynkiem. Zacisnął skrycie pięści, aby nie skoczyć koledze do gardła.

— Och, Apples — powiedziała Squeaky śpiewnie. — Tak bardzo się cieszę.

Skoczyła ku niemu, zarzuciła ramiona na jego szyję i pocałowała go.

Przytulił ją do siebie.

— Będę na ciebie czekał w Krainie Zielonego Liścia — obiecał i spojrzał ponad jej głową na Runta. — A ty, kurduplu, nie masz szans, by się do nas przyłączyć.

Runt zawył. Na sztywnych nogach uczynił krok, potem następny i następny. Apples uwolnił

Squeaky i cofnął się.

— Muszę iść — powiedział szybko. — Mistrzowie mają się ze mną spotkać. Chciałem tylko wam o tym powiedzieć. Do widzenia, bywajcie.

Odwrócił się i kołyszącym krokiem ruszył w dół korytarza.

— Ty szumowino! — pisnął Runt. — Ja go zabiję...

Squeaky chwyciła jego ramię.

— Nie, daj spokój — powiedziała błagalnie. — Jeśli teraz wdasz się w bójkę... proszę.

Szarpnięciem uwolnił się od niej.

— Zostawcie mnie! — krzyknął z furją. — Wszyscy.

Jej płacz ścigał go jeszcze za drzwiami.

Majacząca wokół ciemność otrzeźwiła go nieco swoim chłodem. To prawda, nie mógł

pozwolić sobie na to, aby tak szybko znowu popaść w tarapaty. Ale jednak, mimo wszystko...

Apples był teraz białawą plamką daleko przed nim. To było tak, jakby świat zewnętrzny na stałe zagościł w jego głowie. Podążał naprzód. Kiedy w końcu będzie musiał się wycofać, to przynajmniej splunie na ślady Applesa.

Posuwał się w cieniu, najpierw przy ścianie, wykorzystując każdy filar, niszę czy załamanie, a potem

biegiem do następnej kryjówki. Skradanie się i ucieczki były sztuką, którą opanował do perfekcji, gdyż nie kończący się głód zmuszał go do tego. W myślach układał jednocześnie historyjkę na wypadek, gdyby jakiś goblin go wypatrzył. „Przykro mu, jeśli zabłądził, nie zważał

dokąd idzie, gdyż medytował nad zbawienną lekcją, której udzielił mu lord Hork, i utwierdzał się w swoim postanowieniu, aby stać się lepszym chłopcem”.

Apples skręcił w przejście prowadzące ku komnacie narad. Nagle cała odwaga Runta gdzieś wyparowała. Usłyszał piskliwe krzyki i odgłos ślizgających się szponiastych stóp. Rozpłaszczony na kamieniu, usłyszał głos Horka:

— Ach, jesteś mój zuchu. Nie, nie przepraszaaj. Zebraliśmy się, aby cię wysłać w drogę, jak na to zasłużyłeś.

— Co za przystojny, śmiały kolega — powiedział Khreek, jak większość goblinów znający nieco ludzką mowę. — Dokładnie taki, jakich lubimy.

— Dziękuję, dziękuję, mistrzowie. — Apples pochlipywał. — Będę was wysławiał wśród ludzi w Krainie Zielonego Liścia.

— Rozumiemy, co czujesz — zapewnił go Brumm. — Będziemy myśleć o tobie, jakbyś był obecny na uczcie, którą wyprawimy na twoją cześć.

— Chodź — powiedział Drongg. — Pozwól, że cię przynaglimy do wzięcia nagrody.

Znowu gorycz zapiekła Runta w gardle. Nie mógł się powstrzymać, musiał zaryzykować spojrzenie za róg, aby rzucić ostateczne ciche przekleństwo.

Płomienie pochodni zamigotały. Dwudziestu goblinów, albo i więcej, roiło się wokół Applesa.

Ich ozdoby dźwięczały, gdy brykali, świergotali i gdakali. Chłopiec szedł jak zauroczony.

Runta ogarnęło zdziwienie. Dokąd podążali? Dobrze znał zamek. Ze zleceniami wysyłano go w każde miejsce na parterze i w liczne miejsca na wyższych poziomach, nawet do dzwonnicy z Przywołującymi Upiora Dzwonami. W tej części budowli nie było żadnych drzwi z założoną u góry sztabą.

W takim razie tamte drzwi nie mogły naprawdę prowadzić na wolność, zdecydował. Kierując się ostrożnością, gobliny oszukiwały dzieci. Runt lekko wzruszył ramionami. Kłamstwa były częścią życia.

Podniecenie wybuchło w nim gwałtownym płomieniem. Mógł oto poznać prawdziwą drogę na zewnątrz! Skulony, z sercem walącym jak młotem, przesuwał się do przodu. Wcześniej nie byłby taki nierozważny, ale tego dnia prawie tracił zmysły z bólu, oburzenia, zazdrości i z powodu złamanego serca — Squeaky pocałowała Applesa. Przez głowę przemknęła mu myśl o czekających go konsekwencjach, gdyby go zauważono. Nie przejął się tym zbytnio. Możliwość, że on również



mógłby użyć tych prawdziwych drzwi na wolność, wydawała się warta podjęcia każdego ryzyka.

Mimo to jego zmysły były napięte niczym struny i poruszał się bezszelestnie jak dym z pochodni.

Hol mieścił się między pokojami, które stały otworem, opuszczone przez mieszkańców tłoczących się wokół radosnego Applesa. Kończył się ślepa ścianą i całkiem zwyczajnymi drzwiami. Runt nigdy nie zaryzykował, by spojrzeć poza nie. Dotychczas w tym skrzydle gobliny zawsze miały na niego oko. On sam mógł jedynie mgliście przypuszczać, co znajduje się po drugiej stronie. Czyżby Kraina Zielonego Liścia?

Przemknął się do komnaty i przyczał wśród dziwacznych, wysokich wazonów. Spoglądając zza framugi, zobaczył, jak Hork otwiera drzwi zdecydowanym, pełnym gracji ruchem.

Apples nagle się zatrzymał.

— Ale — wyjąkał. — Ale...

— Wiesz, że nie lubimy jasnego światła — powiedział Hork. — Będziemy cię eskortować przez ten przedpokój do miejsca, gdzie obdarzymy cię czułym pożegnaniem.

— Rozumiem. Dziękuję ci, panie. — Apples ochoczo ruszył naprzód.

Chmara goblinów podążała za nim. Ostatni zatrzasnął drzwi.

Runt czekał. Miał wrażenie, że słyszy hałasy, lecz nie był pewien z powodu pulsowania w skroniach i szczękania zębami.

Trwało to niemal wieczność, a równocześnie niby mgnienie oka, dopóki gobliny nie wróciły.

Runt skulił się, aby stać się tak mały, jak tylko się dało w jego kryjówce. Gdyby go teraz tu znaleźli, pewnie by zginął. Może najpierw musiałby doglądać ohydnych robali. Z pewnością nigdy nie odzyskałby wolności.

Gobliny minęły go, idąc gromadą. Naśmiewały się i trajkotały. Runt nieco z tego rozumiał.

— Ciemne piwo dla nas, najlepszej Matki Zgnilizny napitek. — Drongg triumfował. — Potem krzepki sen, a później Smaga przygotowuje biesiadę, no nie?

— O taaak! — wrzasnęli.

Ich ostatni ryk jeszcze dźwięczał w uszach, kiedy Runt śmignął do przodu. Dziwne, jak pewne były jego dłonie, kiedy zaciskał je na klamce. Uchylił drzwi na tyle, aby móc się precyzyjnie i natychmiast zamknąć je za sobą. Błędnym wzrokiem szukał drugiego wyjścia.

Nie było żadnego. Stał w komnacie o nagich, ceglanych ścianach, oświetlanej przez kandelabr o dziewięciu ramionach poskręcanych jak wygięte w konwulsjach kończyny. Kapiący z nich łój cuchnął nieprzyjemnie. Pomiędzy kamieniami połyskującej od wilgoci posadzki biegła rynna.

Pod ścianą stały narzędzia kuchenne. Pośrodku znajdował się wielki, chropowaty, drewniany stół pokryty ciemnymi zaciekami. Leżały na nim noże i topory. One również lśniły jak świeżo umyte.

Runt wrzasnął.

Kiedy doszedł do siebie, leżał na podłodze w kałuży własnych wymiocin. Zimno kąsało go aż do szpiku kości, zęby szczękały o siebie. Otworzył oczy. Były wycelowane prosto na Applesa, który nagi, sparzony zwiślał nad stołem zawieszony na haku spuszczonego z sufitu. Z otwartych ust chłopca wystawał siny język. Oczy miał suche i matowe. Brzuch także otwarty, wypatroszony. Gobliny ułożyły jego wnętrzności w wiadrze. Skrzętnie zebrały większość krwi do drugiego kubła.

— Nie o to mi chodziło, Apples — załkał w głos. — Nie chciałem tego. Naprawdę.

Runt pobierał się i stanął na nogi. Czuł się odrętwiały i pusty jak to ciało. Z wolna zbierał

myśli. Tu następował koniec służby dla każdego dziecka, które kiedykolwiek przebywało w zamku. Jutro gobliny poćwiartują mięso i zaniosą je do kuchni. Smaga, ich kucharski mistrz, będzie nadzorował dzieci ze swego personelu w czasie przyprawiania i gotowania, polewania sosem i podawania. Jakże to naturalne, gdy dziecięcy kelnerzy mówią swoim kolegom, jaką nie lada okazją są fety z okazji odejścia.

Gdyby gobliny zorientowały się, że Runt już wie o wszystkim, czy zgotowałyby od razu drugi bankiet? Mogłyby go zamarynować jako dodatek do przekąsek albo — co za świetny dowcip —

przeznaczyć do jadalni dla wszystkich.

No dobrze, nie zrobią tego. Wiadro z wodą nadal było pełne. Runt starannie wyczyścił swoją tunikę, ciało i podłogę. Mycie podrażniło jego skaleczenia. Przypomniało mu to o cenie, jaką się płaci za swobodne rozmowy. Tym razem zachowa milczenie. Będzie pracował, nie sprawi kłopotów i...

I co?

Dlaczego ma to robić, skoro nie oczekuje na niego żadna Kraina Zielonego Liścia?

— Żegnaj, Apples — mruknął i opuścił komnatę.

Szedł oszołomiony, nie dbając o ostrożność. Jednak goblinów nigdzie nie było, a jego droga przez labirynt omijała ich salę uciech. Do uszu dobiegały nikłe odgłosy hulanki. Niewielu biesiadników jeszcze balowało. Musiał spędzić w rzeźnickim pokoju sporo czasu.

Wchodząc na znajome terytorium, przyspieszył kroku. Przynajmniej jego koja była bliżutko.

Teraz będzie mógł wczłgać się do niej, naciągnąć koc na głowę i być sam. Jutro, kiedy poranne trąbki zbudzą dzieci do ich zajęć, w obecności goblinów będzie uważał, aby odwracać wzrok od ich ust.

Światła płonęły na korytarzu, lecz w kwaterze było już ciemno. Wejście zionęło czernią. Runt zatrzymał się. Skulił się na wspomnienie tego, co przeszedł.

— Nie — jęknął. — Proszę, nie.

Zajaśniało nikłe światło. Cofnął się odruchowo. Serce mu załomotało.

To Squeaky wyszła ze świetlicy. Miała na sobie tunikę z delikatnej, gęsto drapowanej tkaniny.

Jej nogi, ramiona i twarz bieleły w ciemności. To blade ciało przynajmniej żyje — zakołatała szaleńcza myśl. Krew pulsowała w cienkiej niebieskiej żyłce na jej szyi. Szeroko otwarte oczy ujrzwały go wreszcie. Poruszyły się w nich brylanty.

— Runt — odetchnęła. — Gdzie byłeś? Nie mogłam spać, martwiłam się o ciebie. Wszystko w porządku?

Stał otępiały.

Podeszła i ujęła jego dłonie.

— Jesteś zimny — stwierdziła — lodowato zimny. Co się stało, Runt?

— Kogóż to obchodzi? — odparł chrapliwie. — Jakie ma to znaczenie?

— Mnie to obchodzi — odpowiedziała.

Pulsowanie krwi zarumieniło jej policzki aż po skronie. Z całego ciała biło ogarniające go ciepło. Dygotała.

— Stało się coś straszego — odgadła.

Walczył z sobą, lecz w końcu powiedział:

— Tak — wydusił. — Coś straszego jeszcze się wydarzy.

— Co takiego?

Czuł, jakby rany rozrywały ciało na strzępy.

— Powiedziałem ci — wcześniej.

— Boisz się?

Przytuliła się. Opuściła głowę. Światło błąkało się po jej rozpuszczonych włosach.

— Rozumiem. Nic nie mów. Ja nie... — Łzy zamigotały na końcach rzęs. — Ja nie chcę, aby zrobili ci krzywdę.

— Ale mogą skrzywdzić ciebie! — Coś w nim krzyczało.

Puściła go.

— Runt, dobrze się czujesz? — spytała pełna niepokoju. — Chodź tutaj. Schowałam całą twoją porcję i część mojej. Poczujesz się lepiej, kiedy coś zjesz.

— Jeść? Squeaky, Squeaky! Ten hak, te noże, te wiadra!

Spojrzała za siebie. To zakwiliło na wpół obudzone dziecko. Uniosła dłoń, aby zakryć mu usta.

— Cicho, Runt. Chodź, tu możemy rozmawiać spokojnie. No, chodź. Pociągnęła go za sobą.

Podążył za nią chwiejnym krokiem. Znaleźli niszę. Usiedli w ciemnościach, obejmując się nawzajem i drżąc. Po chwili jego głowa opadła na piersi dziewczyny. Łkał. Tuliła go, głaszcząc po włosach i nucąc.

— Nie — powiedział w końcu. — Oni ci tego nie robią. Nie pozwolę im.

I opowiedział o wszystkim. Teraz ona przylgnęła do Runta w poszukiwaniu jego siły. Nie wiedział, skąd wzięć w sobie moc, ale znalazł ją.

— I co my teraz zrobimy, co my zrobimy? — rozległ się w ciemności jej szept.

Tylko najśłabszy, niespokojnie drgający płomycek rozjaśniał kamienny narożnik.

Czuł, jak Squeaky drży, jak pulsuje w niej krew. Jego nozdrza wchłaniały zapach słonecznego światła, tymianku i rzeczy, dla których nie miał nazwy. Początkowe oszołomienie ustąpiło miejsca zmieszaniu, lecz po chwili zakolatała w nim jasna i stanowcza myśl.

— Uciekniemy — powiedział. — Tamte drzwi, które według goblinów prowadzą do Krainy Zielonego Liścia, rzeczywiście dokądś wiodą.

— Nie — lamentowała. — Nie zniósłabym widoku... biedny Apples...

— Bez względu na to, co znajdziemy, nie mamy nic do stracenia — odparł Runt nieustępliwie. — Zróbmy to tej nocy. Inaczej mistrzowie z pewnością zauważą, że coś w nas się zmieniło — to postanowione. — I wiesz co? Te drzwi naprawdę mogą prowadzić na zewnątrz.

Wiemy, że mistrzowie wychodzą i wracają. Wiemy, że przynoszą do zamku żywność, ubranie, złoto, zabawki, gry i... i niemowlęta, Squeaky. No bo skąd my możemy pochodzić, jak nie z zewnątrz?

Jego głos przechodził mutację, znów zmieniał się w śmieszny skrzek. Wściekłość z tego powodu przytłumiła poprzednie uczucie słabości i zmęczenia, aż zupełnie o nich zapomniał.

Squeaky kurczowo ścisnęła jego ramię.

— Nie możemy się tam przedostać. Jej głos się załamywał. — Terror...

— Przed którym mistrzowie nas chronią? — zadrwił Runt. — Wierzysz w to nadal? Ja ci mówię, że oni ukradli nas z Krainy Zielonego Liścia, tak samo jak kradną wszystko.

— Nie potrafimy otworzyć tamtych drzwi. Nie sięgniemy do rygli.

Jego umysł zdobył się na wysiłek.

— Wiem, jak to zrobić. Troje razem może tego dokonać. Ty, ja i... — stracił pewność. — I...

— Kto? — Była ciekawa, a zarazem stroskana. — Malcy nie są silni i sprytni. Starsi...

dlaczego mieliby ci uwierzyć? Dlaczego nie mają pobiec i powiedzieć mistrzom? — Przez moment zamarła. — Sama nie wiem, dlaczego ci wierzę, Runt. Naprawdę, nie wiem dlaczego.

To wyznanie prawie go załamało; co za okropny, głupi traf, że zwierzył się właśnie jej. Nie ma nic łatwiejszego niż zdradzić go, a zapłata powinna być wyjątkowo hojna. Czy wyciągała z niego wiadomości, żeby potem donieść? Błysnęła myśl: jeżeli ją zabije, nikt nie będzie wiedział, kto to zrobił. Miał silne ręce. Obejmie jej szyję...

— Może tak jest, dlatego że ty wierzysz mnie — powiedziała Squeaky.

Jego ramiona opadły. Otarł kłykcie o podłogę. Przeszyło go przerażenie. Usłyszał.

— Albo może tak jest, gdyż ty to ty, Runt. Zawsze byłeś dla mnie taki dobry.

Czyżby zapomniała dokuczanie z dzieciństwa? A może teraz nie pomyślała o tym albo nawet inaczej to sobie tłumaczyła? Zdusił w sobie łkanie.

Przytrzymała go ponownie.

— O co chodzi, Runt? Powiedz mi.

— Trzeba uciekać — jęknął. — Uciekać od czegoś gorszego niż śmierć. Ale kto nam pomoże? Kogo możemy zabrać?

W ciszy słyhać było tylko łomotanie ich serc, dopóki ona, teraz zadziwiająco spokojna, nie zaproponowała:

— A co myślisz o Cockeye'u?

— Cockeye? Ten utrapieniec? — zachnął się Runt.

— On wpatrywałby się w ciebie jak w słońce, gdybyś mu na to pozwolił — powiedziała Squeaky.

— Nie, jest zbyt głośny i kapryśny i nie usiedzi spokojnie nawet minuty. Sprowadziłby gobliny prosto

na nas.

— Runt — westchnęła — jak powiedziałeś, musi nas być troje, aby otworzyć drzwi. Choć nie wiem, dlaczego tak uważasz, ale ci wierzę. Ty też musisz mi wierzyć i oboje musimy zaufać Cocke — ye'owi, bo nigdy nam się nie uda, prawda?

Wsparł się plecami o ścianę, przytłoczony zupełnie nowymi myślami. Dziewczyna uniosła się z miejsca.

— Poczekaj tutaj — powiedziała i ruszyła na powrót do sypialni. Samotny Runt siedział

całkiem skołowany. Jego pięść tłukław kamienną podłogę. Co robić, co robić? Mógłby uciec, zanim Squeaky wróci z Cockeye'em. Ta dwójka może czuć strach przed narażeniem się goblinom. On, Runt, mógłby się tu zaciąć, unikając schwytania, ukraść w nocy jedzenie i wodę i czekać, aż gobliny otworzą drzwi. Wtedy spróbuje błyskawicznie przebiec, tak szybko, aby go nie złapały. Nie, gobliny poruszają się szybciej. Ale po prawdzie nie są zbyt silne. Mógłby zabić jednego i zbiec, zanim przybędą inne.

Mógłby, mógłby, mógłby!

I opuścić Squeaky.

Runt został na miejscu.

Pozbierał się na nogi, kiedy ciemne postacie wyłoniły się zza rogu. Serce mu zamarło. Znow wróciła przytomność umysłu. Teraz po prostu nie było czasu na strach czy wątpliwości.

— Idziemy — powiedział i wskazał drogę.

— Po co, po co? — Cockeye domagał się odpowiedzi.

— Sza! — Squeaky mocniej zacisnęła dłoń na jego rękę. — Obiecałeś, kiedy cię budziłam, że jeżeli weźmiemy cię z sobą na tę przygodę, zrobisz to, co ci się powie, i będziesz cicho. Runt i ja ufamy ci. Proszę, nie zawieź nas.

Cockeye wciągnął powietrze i trzymał tak długo, jak tylko mógł. Squeaky szarpnęła za tunikę Runta. W świetle płomienia ujrzał łzy na jej policzkach.

— A inne dzieci — powiedziała. — Co z nimi? Zostawiłam je śpiące. Nie możemy ich tak po prostu opuścić.

— Nie da się zaradzić wszystkiemu — odparł. — Może później, kiedy będziemy wolni, przyjdziemy im z pomocą. Spróbujemy.

— Naprawdę? Słowo?

— Nie wiem, nie mogę obiecać. Dobrze, Squeaky, wrócimy po nie na pewno.

Najbliższe z wysokich drzwi zarysowały się przed nimi. Słyszeli ostatnie przenikliwe odgłosy gobliniej uczyty, niosące się echem przez ciemność. Squeaky z przerażeniem spoglądała wysoko w górę.

— Co mamy złościć? — spytał Cockeye. — Och!

Zakrył usta dłonią i rzucił Runtowi skruszone spojrzenie.

— Słuchaj, Squeaky — powiedział Runt. — Jeżeli stanę tutaj na progu i oprę ramiona o ścianę, czy potrafisz wspiąć się i stanąć na moim karku? Możesz się chwycić mojej tuniki. A ty, Cockeye, dasz wtedy radę wdrapać się na nią? A potem wskoczyć na tamtą półkę i zwolnić rygiel.

— Po co? — Chłopiec, zaintrygowany, przezornie mówił nieco ciszej.

— Nie mogę teraz wam wyjaśniać. Poradzicie sobie? — Lepiej, aby dali radę, pomyślał Runt.

Poradzili sobie, ale z trudem. Gdy Cockeye wdrapał się na plecy Squeaky, ona, niezbyt pewnie stojąca pośrodku, zaczęła odchyłać się na bok. Runt wyczuł przesunięcie jej ciężaru, usłyszał sapnięcie i zrobił krok dla odzyskania równowagi. Poczłł piekielny ból w plecach.

Trzymał się mocno i milczał. Minutę później usłyszał głuchy odgłos ruszającego się rygla.

Na jego ciało wystąpił zimny pot.

— Złaż na dół, migiem — wysapał.

Cockeye opuszczał się w dół, by z bezpiecznej wysokości zeskoczyć na ziemię. Plecy Runta nie były w stanie wytrzymać ani chwili dłużej. Razem ze Squeaky runęli na ziemię.

Zacisnął zęby i wygramolił się spod niej. Squeaky zauważyła, że kuleje.

— Oprzyj się o mnie — powiedziała.

Lewym ramieniem objęła go w pasie, a prawą ręką złapała za żelazną gałkę u drzwi i pociągnęła.

Drzwi otworzyły się, skrzypiąc — wystarczająco głośno, aby zbudzić nawet Applesa, pomyślał Runt poprzez mgłę bólu.

Za drzwiami czekał nieznan świat: bez słonecznego światła, bez kwiatów, bez księżyca czy gwiazd. Z mroku płynęło chłodne tchnienie. Pachniało wilgocią i pleśnią. Cockeye cofnął się.

— Boję się — powiedział.

— Nie bój się. — Runt zazgrzytał zębami.

Squeaky pomogła mu przekuśtykać przez próg. Cockeye przełknął łzy i podążył za nimi.

Zorientowali się, że stoją na podeście schodów, które prowadziły w dół prosto w mrok.

Niebieskie płomienie pochodni rozmieszczonych wzdłuż szorstkich kamiennych ścian dawały potrzebne światło.

— To musi dokądś prowadzić — wyszeptał Runt. — Chyba nie myślisz, że Kraina Zielonego Liścia będzie zaraz za murami. Chodźmy.

Squeaky zamknęła drzwi. Nie mogli opuścić zbyt dokładnie rygła, który był z tej strony, ale może gobliny nie usłyszały niczego, może nie zauważą tak prędko, że wewnętrzne zamknięcie jest obluzowane.

Schody prowadziły głęboko w dół, potem kończyły się tunelem, który sięgał dalej niż wzrok.

Każdy krok Runta sprawiał ból, jakby wbijano mu nóż w plecy. Szedł chwiejnie, z trudem łapiąc oddech. Jaką rozkoszą byłoby ułożyć się na wilgotnym kamieniu, owinać ciasno kocem i zasnąć na zawsze. Ale oni zdążyli do Krainy Zielonego Liścia, nieprawdaż? I jego przyjaciele mogli go jeszcze potrzebować.

Słyszał, jak Squeaky wyjaśnia Cockeye'owi powód ich ucieczki.

Chłopiec lamentował.

— Nie, to nie może być, to oklopne! Ja ci nie wierzę!

— Dobra — powiedziała znużonym głosem — jeżeli chcesz, możesz obrócić się na pięcie i wracać do mistrzów. Może kiedy nas złapią, dadzą ci trochę słodkiego mięsa.

Cockeye ciężko przełknął ślinę, po czym znów kurczowo złapał jej rękę.

— Idę dalej — powiedział i pospieszył naprzód.

Chociaż trudny do przebycia dla dzieci, tunel nie miał więcej niż trzy mile. Na końcu —

wreszcie! — znaleźli pochyłe drzwi. Runt już zapomniał o ostrożności, nadziei, o wszystkim z wyjątkiem bólu. Gmerał przy klamce. Drzwi ani drgnęły pod jego naciskiem. Spróbowała Squeaky. Uchyliły się ciężko na hałaśliwych zawiasach. Powietrze, które wionęło w ich twarze, było świeże, ale niemal tak zimne jak w podziemiu. Światło również było przyćmione, szare światło z niewidocznego źródła, nie rzucające cienia, zawoalowane przez niezliczone białe płatki.

Opadały w ciszy na ziemię już dość grubo nimi usianą, a pod tą otuliną krzewy tworzyły bezkształtne, bezbarwne formy, wewnątrz których czaiły się ciernie i ostre gałązki. Droga zaczęła się wznosić stromo, dzieci znalazły się na zboczu wzgórza, ale widziały jedynie na kilka jardów, dalej wszystko przesłaniał biały тумan.

— Co to jest? Nie ma Klainy Zielonego Liścia? — pytał Cockeye tonem dziecka uderzonego bez żadnej przyczyny.



— Nie wiem. — Runt szczękał zębami. — Musimy iść dalej, to wszystko.

Squeaky zamknęła drzwi. Ich zewnętrzną stronę stanowiła skrzynia z ziemią, w której gęsto rosły wrzosi, tak że kiedy były zamknięte, stawały się niewidoczne. Zanotowała w pamięci smukły, liszajowaty kamień tkwiący obok — menhir starożytnych, chociaż tego nie wiedziała.

To musiał być punkt orientacyjny dla goblinów. Nie miała jednak zamiaru powrócić, cokolwiek kryło się przed nimi. Dygocząc, pośpieszyła Runtowi z pomocą. Jego krok był chwiejny.

Cała trójka poszła w dół zbocza, gdyż była to najłatwiejsza droga. Ich nagie stopy wkrótce zaczęły zostawiać krwawe plamy. Jednak padająca biała substancja szybko zakrywała każdy ślad.

Gobliny nie będą mogły pójść ich tropem, ale to i tak może już nie mieć znaczenia. Nawet jeśli nie zginą z rąk tych upiorów, to pewnie przyjdzie im tu przyplącić życiem. Głodni, pokaleczeni, u kresu sił, przebyli szmat drogi. Zataczając się, przebrnęli jeszcze trochę dalej wspomagani nadzieją, zanim i ona ich nie opuściła.

— To bez sensu. — Runt zakaszłał. — Nie mogę zrobić ani kroku dalej. Zostawcie mnie.

— Nnigdy — odpowiedziała Squeaky.

Wlokła go naprzód, podczas gdy jej spojrzenie wędrowało z lewa na prawo, lustrując okolicę.

Tak, tutaj, zagłębienie w zboczu, wokół kępa krzaków, coś jak schronienie.

— Tędy. Proszę. Zaufaj mi.

Osunął się na ziemię. Przyklękła obok niego i poczuła, jak jest wyziębiony; zobaczyła też, jak powieki opadają na zachodzące mgłą oczy.

— Musisz się rozgrzać, Runt — powiedziała, zastanawiając się, czy w ogóle ją słyszy. —

Tutaj, Cockeye, siądź z jego lewej strony, a ja będę z prawej.

— Ale ja tes jestem zmarznięty i zmęcony — zaprotestował młodszy chłopiec.

— On dał nam z siebie wszystko — powiedziała Squeaky. — Teraz nasza kolej.

Cockeye potrząsnął głową nad tym zaskakującym, nowym stwierdzeniem, ale usłuchał. Po jakimś czasie zauważył, że płatki topią się na jego skórze. Zgarnął ich nieco, ostrożnie polizał, w końcu włożył do ust.

— Hej — pisnął — to zamienia się w wodę! Przynajmniej będziemy mieć co pić.

— Może znajdziemy coś więcej, jak się lepiej rozejrzemy — rzekła Squeaky.

Światła przybywało. Opad śnieżny osłabł, aż w końcu już całkowicie ustał. Runt spał, wciśnięty

pomiędzy swoich przyjaciół, a oni spoglądali na falisty biały krajobraz pod ołowianym niebem, gdzie jeden punkt nisko ponad horyzontem był nieco jaśniejszy. Tego, co widzieli, nie potrafili ogarnąć myślą ani słowem. Kiedy nad ich głowami załopotwały czarne skrzydła i usłyszeli chrapliwe krakanie, przypadli do ziemi. Odległość i nierówności terenu skryły zamek, którego i tak nie byłoby w stanie dostrzec w tym śniegu. Poza tym czuli się bardzo daleko, nieskończenie oddaleni od Krainy Zielonego Liścia.

Nagle Cockeye wyprostował się i wskazał palcem.

— Tam, tam — zapiszczał. — Widzicie?

Dziewczyna zmrużyła oczy przed wszechobecną bielą. Na grzbiecie wzgórza sto jardów dalej poruszał się jakiś kształt, wysoki i smukły jak kamień znacznik. Cztery mniejsze stworzenia podążały za nim, z głowami nisko nad ziemią, jak gdyby szukały czegoś do jedzenia.

— Goblin? — zastanawiała się. — Nie, ale...

— To ludź! — wrzasnął Cockeye.

Podskoczył w górę. Runt osunął się w tył. Teraz oddychał coraz bardziej chrapliwie.

— Ludź, jak na obrazkach!

— Schyl się! — nakazała zdenerwowana Squeaky. — Skąd wiesz? Słyszeliśmy o demonach i trollach i tych wszystkich okropnościach.

Cockeye stał dalej. Spojrzeniem rzucił jej wyzwanie.

— Myślę, że to ludź — powiedział — y jeżeli go nie przyplowadzimy, on pójdzie sobie, y my umzemy. Ja... tak myślę.

Przez moment Squeaky siedziała w milczeniu. Znów jak drwina zabrzmiało krakanie.

— Możesz mieć rację — rzekła. — Przypuszczam, że muszę w to uwierzyć. Cóż zrobić? Czy dasz radę podbiec do tego... cokolwiek to jest?

— Jasne! — zawył Cockeye.

Squeaky mocniej objęła Runta i obserwowała niewielką postać sunącą przez śnieg.

Pomimo swego wieku myśliwy Oric nadal zapuszczał się daleko. Mając w pogardzie strachy, które prześladowały siedziby ludzkie, udał się w pogoń za jeleniem na wrzosowisko Mimring, sam, ze swoimi psami myśliwskimi. Wtedy to ujrzał zdyszanego chłopca brnącego przez śnieżne pustkowie wprost ku niemu.

— Stój, Grip — rozkazał. — Siad, Greedy. A wy, Loll i Noll, spokój.

Psy ucieły ujadanie i stanęły przy jego włóczni.

Czerwone włosy chłopca stanowiły pojedynczą plamkę koloru w zimowym krajobrazie. Kiedy upadł u stóp Orica, myśliwy dojrzał liczne stłuczenia i szramy na jego ciele, a także gęsią skórę, gdyż jedynym odzieniem dzieciaka była zgrzebnie tkana tunika, podła i zbyt licha na taką drogę.

— No, no — rzekł Oric. — Co my tu mamy? Odłożył broń i przykucnął, aby pomóc dziecku wstać. Chłopiec się szarpnął. Wykręcił się w bok i opadł na czworaka, a potem czmychnął w bok jak zwierzątko. Jego oczy błyszczały nienaturalnie na tle kredowobladej twarzy upstrzonej piegami.

— Przestraszyłeś się? — Oric przeciągał zgłoski. — Pędziłeś do mnie, lecz kiedy znalazłeś się blisko, okazałem się zbyt dziwny, nie? Czy to chodzi o psy? One nie gryzą, młodzieńcze.

Uśmiechając się, wyjął z kieszeni kawałek sera i rzucił małemu. Chłopiec cofnął się. Oric wstał.

— Wrócę po twoich śladach, powolutku — powiedział.

Chłopiec zabelkotał pod nosem.

— Przepraszam, ale nie rozumiem.

Oric przyłożył zwiniętą dłoń do ucha.

— Powtórzysz?

— Ty człowiek? — usłyszał.

Akcent był tak osobliwy, że musiał pomyśleć, zanim zrozumiał, o co chodzi.

— Ty... nie zjes mnie?

Domysły zaświtały w głowie Orica. Jego spojrzenie złagodniało.

— Nie, dzieciaku — odpowiedział jak najcieplej. — Nie zrobię tego. Wezmę cię do domu.

Ruszył po śladach na śniegu. Spojrzał za siebie i zobaczył, że chłopiec przysiadł tam, gdzie upadł ser, pochłaniając go żarłocznie, a potem zaczął się za nim skradać.

Gdy Oric zbliżył się do pozostałej dwójki, zatknął swój oszczep w ziemi, rozkazał psom siedzieć i postąpił parę kroków z wyciągniętymi rękoma. Wystraszona dziewczyna podniosła na niego wzrok, ale nie opuściła wpół przytomnego chłopca, którego trzymała w objęciach.

— Zgaduję, że nie mogłabyś go porzucić — zamruczał Oric. — I ja też nie. Lepiej dowiodę, że nie zrobię wam krzywdy.

Pod uważnym spojrzeniem trzech par oczu, odmiótł ze śniegu kawałek czystego miejsca, zebrał drewno, za pomocą krzemienia i hubki rozpałił ogień. W końcu młodszy chłopiec odważył

się zbliżyć i kucnąć przy ogniu. Potem dziewczyna, na wpół wspierając, a wpół wlokąc, przywiodła tam starszego chłopca. Oric zostawił dla nich żywność. Usadowił się kawałek dalej, z pakunków wyjął swój flet i grał najpiękniejsze melodie, jakie znał.

Po jakimś czasie podszedł do większego z zuchów. Chociaż jego towarzysze cofnęli się, to nie czmychnęli. Położył na ziemi swój płaszcz i koc.

— Owińcie się tym — powiedział do nich. — To najlepsze, co przychodzi mi do głowy.

Podniósł zdrętwiałe ciało chłopca.

— Idziemy do domu — odezwał się do dziewczyny. — Zechcesz nieść mój oszczep. Tę rzecz z drzewcem — wskazał głową. — Uważaj na grot. Dobrze wiedzieć, że ma się coś do obrony, to podnosi na duchu.

Zrobiła, jak radził. Z początku Oric poruszał się ostrożnie, aby nie wpadła w panikę i nie zaatakowała go. Kiedy stwierdził, że jest spokojniejsza, wydłużył swój krok.

To była wolna podróż z częstymi przystankami. Siły Orica z czasów młodości były mocno nadwątlone i Runt — dziewczyna wreszcie wypowiedziała jego imię — stawał się znacznym ciężarem. Gdy dotarli na miejsce pierwszego noclegu, zdobył się już tylko na to, by rozpaść ogień i ugotować kolację.

— Ty i Runt weźcie moją matę do spania — powiedział dziewczynie.

Wyszczерzył zęby w wymuszonym uśmiechu.

— Nie przypuszczam, aby mogło się zdarzyć coś niewłaściwego. Och, Cockeye, ty i ja zawiniemy się w mój płaszcz, aby się ogrzać, o ile to możliwe.

Chłopiec ociągał się.

— Rób, jak uważasz — rzekł Oric. — Kiedy tylko zechcesz, to jesteś mile widziany.

Niebo przejaśniło się. Rozbłyły gwiazdy. Dzieci wykrzyknęły z zachwytem. Zrobiło się przejmująco zimno. Cockeye podkradł się, aby położyć się koło Orica między psami.

Rankiem Runt mógł chodzić, aczkolwiek za cenę bólu, i dzięki temu postęp w marszu był

większy. Około południa dotarli na tereny zabudowane, a do Yorun przybyli krótko po zachodzie słońca. Dzieci okrzykami zdumienia witały wszystko, co zobaczyły po drodze. Trzymały się z boku, razem. Często czymś wystraszone podrywały się do ucieczki. Ale w końcu wracały, podążając potulnie za swoim przewodnikiem.

Niebieski półmrok zawisł nad miastem. Przykryte śniegiem dachy zdawały się sięgać do wczesnie dziś rozbłytych gwiazd. Żółte światło sączyło się przez szyby w oknach. Oric zaprowadził dzieci do domu kowala Guthlacha.

Zapukali. Drzwi otworzył mężczyzna. Postać rysująca się na tle świecącej lampy była czarna i wielka i zaskoczyła ich jak nagłe uderzenie młota. Cockeye wrzasnął i pognał w tył. Runt zasłonił sobą Squeaky i stanął w rozkroku z palcami zakrzywionymi jak szpony, obnażonymi zębami, gotowy do walki.

— Spokojnie, spokojnie, przyjacielu — zalecił Oric kowalowi. — Przyprowadziłem towarzystwo, które łatwo wystraszyć. Myślę, że oni byli z goblinami.

— Co? — rozległ się głos z wnętrza domu. Żona Guthlacha odsunęła go na bok i pośpieszyła naprzód. — Nasz Westmar wrócił!

— Obawiam się, że nigdy nie będziemy tego pewni — powie dział Oric. — Trzyście lat minęło, odkąd go straciłaś, mam rację? Ale myślę, że to jest dom, który ich przygarnie.

— Z radością, z radością — zapłakała, uklękła w śniegu i trzy mała swe ramiona otwarte ku ledwie widocznym dzieciakom.

— Uciekli? — zadudnił głos Guthlacha. — Ciekawe, co nam opowiedzą? — Uderzył pięścią w ścianę, aż zagrzmiało. — Jakże ja o tym marzyłem! — zaryczał.

— Wolniej i spokojniej teraz — ostrzegł myśliwy. — Oni przeżyli okropne rzeczy, nietrudno to zauważyć.

Żona czekała na kolanach, cierpliwa jak wschodzący księżyc. Runt uczynił krok ku niej, a potem następny. Squeaky podążała za nim, trzymając Cockeye'a za rękę. Stali, drżąc, ale się nie cofnęli, gdy żona kowala wstała, aby wziąć ich w objęcia.

— Tak, pozwólmymy im się wykurować — powiedziała poprzez łyzy. — Zaczekajmy, aż opowiedzą nam, kiedy będą gotowi, kiedy liście znowu się zazielenią.

Nadstawcie uszu, ludzie poczciwi,

I posłuchajcie tej pieśni.

Będę wam mówił o czynach tak wielkich,

jakich nikt nawet nie śnił.

Pewnego razu myśliwy Oric

Guthlach — chłop wielkiej krzepy,

Wiodąc tłum ludzi o mężnych sercach,

Zdobyli zamek przeklęty.

Niósł ich gniew słuszny w ten czas odwetu

Przez wrzasy Mimring i ciemność.

Ratując swoje córki i synów,

Starli goblinią nikczemność.

Zszedł dzielny Guthlach w mrok jaskini

Nie dla zapłaty sowitej,

Uderzył młotem w Zamczyska Serce.

Runął w proch świat złem okryty,

Szatański pomiot wyzionął ducha,

Wolność swój sztandar zatknęła.

Przez pokolenia niech trwa to szczęście,

Które się wtedy poczęło.

Tymi słowami rozpoczyna się *Gniew ojców*, epos krainy Aeland.

*Przełożyły Ewa Drzewińska i Barbara Stachnik*

*John Brunner*

## **W porze majenia studni**

### **(In the Season of the Dressing of the Wells)**

Ogłuchły od grzmotu wybuchających pocisków, z piekącymi oczyma i gardłem spalonym trującym gazem, Ernest Peake zmusił się do odszukania po omacku dzwonka przy swoim łóżku.

Zbudził się z zaciśniętymi pięściami i rozkołatym sercem, czuł się tak wyczerpany, jakby w ogóle nie spał.

„Być może byłoby lepiej, gdybym nie zasnął...”

Otworzyły się drzwi. Tinkler, jego ordynans z Francji i Flandrii, wszedł do środka i rozsunął zasłony. Gdy do pokoju wdarł się słoneczny blask, powiedział:

— Kolejna ciężka noc, sir.

Nie było to pytanie. Skotłowana pościel stanowiła wystarczający dowód.

Między pudełkami na pigułki na nocnym stoliku stały butelka z walerianą, szklanka i dzbanek z wodą. Odmierzywszy przepisaną przez lekarza dawkę, rozcieńczył ją, zamieszał i podał mu.

Ernest wypił zrezygowany. Waleriana chyba rzeczywiście pomagała, a doktor Castle pokazał

mu kiedyś artykuł opisujący uwieńczone sukcesem kuracje identycznych przypadków frontowego szoku.

„Każdy z nich równie samotny jak ja, w celi własnej czaszki”.

— Czy chce pan teraz herbatę, sir? — zapytał Tinkler.

— Tak, napełnij też wannę. Śniadanie także zjem na gorze.

— Jak pan sobie życzy, sir. Jakie rzeczy mam przygotować?

Podnosząc się z trudem i przeklinając strzaskaną pociskiem rzepekę, która całkowicie usztywniła mu lewą nogę, Ernest spojrział w bezchmurne niebo i wzruszył ramionami.

— Dzień wydaje się odpowiedni na blezer i sportowe ubranie.

— Z całym szacunkiem, sir, jest niedziela i...

— Nie obchodzi mnie, jaki mamy dzisiaj dzień! — ryknął Ernest i zaraz poczuł skruchę. —

Przepraszam. Znowu jestem rozdrażniony. Koszmary senne. Ty możesz iść do kościoła, jeśli chcesz.

— Tak jest, sir — wymruczał Tinkler. — Dziękuję, sir.

Czekając na herbatę, Ernest spoglądał posępnie na słoneczny krajobraz za swym oknem.

Tereny należące do Welstock Hall — jak tyle innych posiadłości — podczas wojny zamienione zostały w warzywniaki, a te ich fragmenty, których nawet jego patriotycznie nastawiony wuj, sir Roderick, nie pozwolił rozkopać i zryć grządkami, pozostawiono chwastom. Widoczne już jednak były pierwsze oznaki powrotu do normalności. Oczywiście najęcie służby wciąż graniczyło z niemożliwością, mimo to pracujący tu starszy mężczyzna i dwóch piętnastoletnich chłopców starali się ze wszystkich sił. Kort tenisowy nadal nie został odtworzony, lecz trawniki starannie przystrzyżono i zastawiono bramkami do krokieta, a ponad połowa okolicznych klombów pyszniła się kwiatami. Z okna widoczna była kościelna wieża, choć drzewa i krzewy o gęstym listowiu zasłaniały nawę, podobnie jak i większość przylegającej do kościoła plebanii, z wyjątkiem jednego jej narożnika.

Był to zwyczajny sielankowy obrazek, często skłaniający go do zastanawiania się, jak wyglądałoby jego dzieciństwo spędzone w tym miejscu, a nie w Indiach, pod opieką guwernerów. Wuj Roderick i ciotka Aglaia, sami bezdzietni, wielokrotnie proponowali, by pobierał nauki w domu, a na wakacje przyjeżdżał do Welstock. Jednak rodzice zawsze odpowiadali odmownie, i w głębi serca był im za to wdzięczny. W Anglii dokonały się daleko idące zmiany, jakie byłyby nie do pomyślenia w tamtej

dalekiej, starożytnej, żyjącej powolnym życiem krainie, odległej o ćwierć świata. Teraz przynajmniej miał znacznie mniej do żałowania.

Dziś wszakże pogrążył się w otchłani powracającego ze świeżymi siłami koszmaru tak, że nawet sam pałac uciech Kubli–Khana nie rozproszyłby chmur zacieńających jego umysł, równie boleśnie okaleczony przez wojnę co sztywna noga.

Tinkler przyniósł tacę z herbatą. Zanim skierował się do łazienki, zapytał:

— Ma pan już jakieś plany na dzisiaj, sir?

Ernest z westchnieniem odwrócił się od okna. Jego spojrzenie zatrzymało się na drewnianych sztalugach opartych o stół, na którym spoczywały wielka teka sztywnego papieru, pudełko z akwarelami i pozostałe akcesoria prawdziwego artysty.

„Czy kiedykolwiek nim zostanę? Choćby i kiepskim? Mówią, że mam trochę talentu... Ale jakbym nagle przestał widzieć. Nie widzę rzeczywistości, jedynie to, co czai się pod jej powierzchnią. Wszystkie ukryte okropieństwa świata...”

— Chyba pójdę zrobić parę szkiców — odparł bez zastanowienia.

— Mam poprosić kucharkę, by przygotowała koszyk z kanapkami?

— Nie wiem! — Ernest z trudem powstrzymał się przed kolejnym wybuchem. — Postanowię po śniadaniu.

— Jak pan sobie życzy, sir — odparł Tinkler i zniknął.

Wykąpany, ogolony i ubrany, lecz ledwie co tknąwszy śniadanie, Ernest powlókł się przez hali. Ostatnio najdrobniejsza czynność wymagała od niego potężnego wysiłku psychicznego, a co się tyczyło poważnych decyzji... Z myślami zaprzątniętymi swym nieuprzejmym zachowaniem wobec Tinklera, który trwał przy nim wiernie niczym prawdziwy przyjaciel, doszedł już na wyciągnięcie ręki do drzwi wiodących na taras i do ogrodu, gdy przywitał go ostry, przykry głoś.

Odwróciwszy się, po drugiej stronie pokoju ujrzał ciotkę Aglaię, odzianą w żałobną czerń, którą przywdziała, gdy jej mąż zmarł na zapalenie płuc. Stało się to trzy lata temu, a więc zwyczajowy okres żałoby dawno już upłynął, lecz ona najwyraźniej postanowiła nosić ją równie długo, jak królowa Wiktoria po Albercie. Na tym jednak kończyło się wszelkie podobieństwo: niewielka monarchini ledwie sięgałaby jej do obfitego i skutecznie wbitego w gorset biustu.

Co gorsza, jej maniery stały się nie mniej usztywnione od bielizny. Odwiedziwszy ją kilkakrotnie na przepustce, jeszcze za życia wuja Rodericka, Ernest uznał ją za znośnie sympatyczną, choć jego zdaniem trochę za poważnie traktowała swój status małżonki pana na włościach. Teraz wszakże zaczęła określać się mianem kasztelanowej na Welstock, co czyniło ją prawnym strażnikiem nie tylko majątku, lecz i życia oraz moralności dzierżawców i osób pozostających pod jej opieką. Wśród których, całkowicie wbrew swej woli, znalazł się Ernest.



Zanim zdążył odpowiedzieć na jej powitanie, ciotka ciągnęła dalej:

— To niezbyt odpowiedni strój na mszę świętą! Chorobliwa religijność należała do nowych cech jej charakteru.

Przywróciła zwyczaj „rodzinnej” modlitwy, w którym Ernest uczestniczył z rezygnacją, jako że „nie wypadało” ujawniać przed służbą wewnętrznymi sporów w rodzinie. Jego zdaniem jednak była to całkowita hipokryzja.

Przez otwarte drzwi jadalni widział służącą sprzątającą ze stołu. Ścisząc głos, na wypadek gdyby dziewczyna mogła go usłyszeć, odparł tak uprzejmie, jak tylko potrafił:

— Nie idę do kościoła, ciotko Aglaio.

— Młody człowieku — powiedziała, ruszając w jego stronę zdecydowanym krokiem —

znosiłam wiele twoich fanaberii, mając na względzie twe rzekomo słabe zdrowie! Lecz moja cierpliwość zaczyna się wyczerpywać. Przebywasz tu od miesiąca i doktor Castle zapewnia mnie, że robisz wielkie postępy. Może któregoś dnia zaczniesz mieć wzgląd na gościnność, którą ci okazuję, a nawet, co jest moją najszczerzą nadzieją, na swą powinność względem twego Stwórcy!

Krew odpłynęła z twarzy Ernesta; wręcz czuł błądność swych policzków. Splotając palce w obawie, by nie uderzyć tej obłudnej starej suki, wycodził przez zęby:

— Nie jestem nic winien Bogu, który pozwolił na taką podłość, jaką była wojna!

I zanim zdążyła napiętnować go jako bluźniercę, szarpnięciem otworzył drzwi i bez kapelusza i laski wykuśtykał na oślepiające słońce.

W kościele bił samotny dzwon. Jego spaczony słuch odbierał to niczym wezwanie na żałobną mszę.

— Panie Peake! Panie Peake!

Miękki, dociekliwy głos. Ernest aż podskoczył, wyrwany nagle z zamyślenia. Opierał się o mur oddzielający majątek Welstock Hall od terenów plebanii. Dzwon umilkł. Przed nim stała szczupła dziewczyna o twarzy zacienionej kapeluszem z szerokim rondem, ubrana w prostą sukienkę w odcieniu ciemnoszarym jak jej duże, zatroskane oczy.

Podczas gdy zastanawiał się rozpaczliwie, czy aby nie płakał na głos — wiedział, że czasami to robił — jego ręka uniosła się automatycznie, sięgając do nie istniejącego kapelusza.

— Dzień dobry, panno Pollock — wydukał. — Przepraszam, jeśli pani przeszkodziłem.

— W żadnym wypadku. Spaceruję sobie po ogrodzie, podczas gdy dziadek kończy przygotowywać kazanie.

Rozpaczliwie pragnąc zatrzeć niekorzystne wrażenie, jakie mógł wywrzeć, odparł:

— Cóż, jak pani niewątpliwie zgadła, obawiam się, że nie będę miał okazji go wysłuchać.

Widzi pani, jak już usiłowałem wytłumaczyć mojej ciotce, straciłem wiarę, gdy ujrzałem, do czego tam dopuszczono. Nie byłem w stanie dłużej wierzyć w kochającego, miłosiernego, wszechwiedzącego... — Uświadomiwszy sobie, że niemal bełkocze, urwał w pół słowa.

Ku swemu zdumieniu i uldze nie zauważył, by panna Pollock poczuła się urażona. Wręcz przeciwnie, mówiła właśnie:

— Tak, potrafię to zrozumieć. Gerald — mój narzeczony — mówił coś bardzo podobnego, kiedy ostatni raz przyjechał do domu na przepustkę.

„Och, tak. Słyszałem o Geraldzie, prawda? Poszedł do piachu... chyba pod Cambrai. Czołgi”.

Podczas gdy on wciąż jeszcze nieudolnie starał się coś powiedzieć, od strony domu dobiegł

zgrzyt kół powozu na żwirze, co oznaczało, że lady Peake wyruszała właśnie do kościoła. Na piechotę byłaby tam dwa razy szybciej, ale coś takiego byłoby naturalnie nie do pomyślenia.

Oczywiście mogła pozwolić sobie na automobil, zresztą przez jakiś czas wuj Roderick posiadał taki pojazd, lecz ona nigdy nie została jego zwolenniczką. Wielokrotnie wspominała też, jak bardzo ucieszyła ją wiadomość o tym, że szofer zaciągnął się do wojska, a jej mąż polecił mu pojechać do Londynu automobilem i tam przekazać go armii.

Panna Pollock rzuciła szybkie spojrzenie ponad ramieniem Ernesta.

— Aha, oto i pańska ciotka. Lepiej wróć już i popędzę dziadka. Ostatnio zdarza mu się zapominać, która jest godzina. A przy okazji, kiedy sprzyja pogoda, lubimy wychodzić na naszą popołudniową herbatę do ogrodu. Może miałby pan ochotę do nas dołączyć?

— Ależ... ależ, to bardzo uprzejme z pani strony — wyjąkał Ernest.

— Nie ma potrzeby ustalać terminu z góry. Kiedy będzie pan miał trochę wolnego czasu, proszę tylko wysłać którąś z pokojówek, by pana zapowiedziała. A teraz muszę już pędzić. Do widzenia!

I już jej nie było. Ernest zaczął się na powrót zastanawiać, czy mówił do siebie na głos, kiedy go zauważyła, a jeśli tak, to o czym.

Jak zawsze urocze otoczenie, lśniące blaskiem pierwszych dni lata, wydawało się przesycone groźbą, niczym zarazki w żyznej glebie, które potrafiły sprawić, by ludzkie ciało napuchło i nabrzmiało.

„Zgorzel gazowa. Ale w moim przypadku zaatakowała umysł...”

Welstock, plebanię i kościół zbudowano na szczycie niskiego wzgórza, podczas gdy reszta zabudowań wioski wznosiła się na zboczu wzgórza po drugiej stronie doliny i na równym terenie pomiędzy nimi. W dawnych czasach chętnych do wzięcia udziału w nabożeństwie czekała męcząca i uciążliwa wspinaczka, szczególnie trudna dla dzieci i starców, tak więc wielu ludzi zatrzymywało

się przy źródle, które niegdyś biło u stóp wzgórza, jako że jego wody uważano za przesycone oczyszczającą i rozgrzewającą mocą.

Na początku ostatniego stulecia ówczesny właściciel majątku polecił przykryć źródło i nad nim poprowadzić stromą, brukowaną ścieżkę prowadzącą dalej niż szlak, wciąż jeszcze nazywany starą studzienną drogą, która znacznie ułatwiała dojście do kościoła. Posadził także po obu stronach cmentarnej bramy okazałe kasztanowce. W ich cieniu, pocąc się w ciemnych niedzielnych ubraniach, zgromadziła się większość mieszkańców Welstock, u których mimo pięknej pogody trudno było zauważyć uśmiechy na twarzach. W zeszłym tygodniu tragedia ponownie dotknęła tę niewielką społeczność. Młody George Gibson, zagazowany i wzięty do niewoli we Francji, który wrócił do domu z nieuleczalnym kaszlem, umarł niedawno, pozostawiając żonę z trójką dzieci.

Jak zawsze wieśniacy podzielili się na dwie grupy. Po lewej kobiety i młodsze dzieci, kłębiące się wokół nauczycielki, panny Hicks. Poza żalem na wieść o śmierci George'a Gibsona, ich rozmowy obracały się wokół drożyzny, chorób — najmniejszy objaw gorączki mógł zapowiadać kolejny atak strasznej grypy hiszpanki — podupadłych domostw i zbliżających się zaślubin, choć z niewielkim optymizmem zapatrywano się na przyszłość młodych. Wszyscy zgadzali się, że pora nie była odpowiednia na sprowadzanie na świat kolejnych dzieci.

Po prawej stali ojcowie i dziadkowie, w towarzystwie młodych kawalerów — tych ostatnich było niewielu, gdyż coraz więcej ich rówieśników odpływało do miast w pogoni za blichtrzem i lepiej płatną pracą. Za nimi wałęsali się chłopcy wystarczająco dorośli, by pracować, lecz wciąż jeszcze niewiele dbający o sprawy, które zaprzętały starszych.

W środku tej grupy stali kowal Hiram Stoddard — podpora wioskowej drużyny krykietowej — oraz jego brat, Jabez, właściciel gospody „Pod Pługiem”, wymieniając nowiny i opinie z miejscowymi rolnikami. W grupie stał też niezależny, najlepiej z nich prosperujący, Henry Ames. Przeprowadził się tu z sąsiedniego hrabstwa. Mieszkając w okolicy zaledwie od dziesięciu lat, wciąż uważany był za obcego i chociaż ludzie odnosili się uprzejmie do niego i jego rodziny, trzymali się na dystans. Był jedynym wśród nich, do którego zawsze zwracano się przez pan.

Mężczyźni stali z równie pośępnymi minami. Początkowo rozmowy dotyczyły, jak w przypadku kobiet, George'a Gibsona i jego pogrążonej w żałobie rodziny. Wkrótce jednak przeszli do bardziej zajmujących tematów. Mówili o braku siły roboczej — George był

parobkiem mieszkającym na terenach majątku Peake'ów — zbywając tych, którzy dowodzili, że rolnictwo niebawem stanie się całkowicie zmechanizowane, gdyż żaden z nich (oczywiście z wyjątkiem pana Amesa) nie mógł pozwolić sobie na nowy, drogi sprzęt. Ponadto, tak wiele koni zostało zabitych podczas wojny, że teraz trudno było odnowić ich pogłowie. Odnosiło się to także do innych zwierząt domowych, których hodowla zmarniała z braku rąk do pracy... Bez dwóch zdań nadeszły ciężkie czasy, może nawet cięższe niż podczas wojny. Ktoś wspomniał o powtarzanej przez polityków obietnicy „domów godnych bohaterów” i uwaga ta skwitowana została szyderczym śmiechem, w którym brakowało prawdziwej wesołości.

Próbując skierować rozmowę na inne tory, Hiram wspomniał o wczesnym nadejściu lata i nadziejach

na udane sianokosy. Od tematu trawy w naturalny sposób przeszli do strzyżenia trawników, dalej do przygotowywania boiska do krykieta i wtedy na powrót zapadła ponura cisza, gdy przypomnieli sobie wszystkich tych zawodników, którzy mieli już nigdy nie zagrać w drużynie.

W końcu Hiram powiedział z udaną serdecznością:

— Cóż, pora złożyć uszanowanie jaśnie pani i poprosić ją o wypożyczenie kosiarki. Pójdę po nabożeństwie. Kto ze mną?

Rozległo się cztery czy pięć niechętnych mruknięć. Za czasów sir Rodericka byłaby to miła perspektywa — zgodziłby się bez wahania i najpewniej jeszcze postawiłby każdemu po kuflu piwa na drogę. Stosunki z jaśnie panią natomiast...

Jakby czytając w ich myślach, stary Tatton odezwał się skrzypiącym głosem:

— Złe dni, he? Złe dni!

Mężczyźni rozstąpili się, by wpuścić go do środka grupy, a on, zasapany po wspinaczce na wzgórze, przekuśtykał wsparty na dębowej lasce, którą wyciął sobie, zanim reumatyzm wysssał

siły z jego kończyn i wykrzywił mu plecy. Niegdyś był cieślą i kołodziejem, a także uzdolnionym rzeźbiarzem. Lecz było to dawno temu i teraz jego umiejętności nie były już nikomu potrzebne.

Często powtarzał, że skoro podczas wojny wszystko można było robić w fabrykach, to w czasie pokoju na pewno nic się nie zmieni i nie będzie już miejsca dla rzemieślników jego pokroju. Jego posępne przewidywania jak na razie się sprawdzały i chociaż część młodzieży podśmiewała się z niego po kątach, inni zaczęli doceniać jego starczą mądrość. Zatrzymując się, popatrzył

dookoła zamglonymi oczyma.

— Te dni przyszły na nas jako próba, he? I nie dziwota. To ten rok. A ostatnim razem o tym zapomnieliśmy. A więc to już dwa.

Starsi mężczyźni poruszyli się niespokojnie i choć zrozumieli słowa starca, woleli nie drażnić tego tematu. Gdy jeden z chłopców z zewnętrznego kręgu, zdezorientowany, poprosił o objaśnienie, pan Ames zrobił minę zdradzającą ulgę, że nie on jeden zadaje sobie to pytanie, a do nerwowego przestępywania z nogi na nogę dołączyły jeszcze rzucane z ukosa spojrzenia. Stary jednak nie zamierzał dać się uciszyć.

— Trzeba było w piętnastym — podkreślił. — Pewnie, wojna i tak dalej... Wybaczyłaby nam.

Ale nie tym razem. Czyż to nie są ostrzeżenia? Sir Roderick odszedł! A na prawego dziedzica rzucono klątwę!

Niektórzy słuchacze skrzywili się nieznacznie. Nawet w ich opinii była to nader naciągana interpretacja opisu stanu pana Ernesta, jaki wyciągnęli od jego człowieka, pana Tinklera. W

wolne wieczory zwykł teraz zaglądać do „Pługa” i chociaż w opinii miejscowych zaliczał się do

„ludzisk ze stulicy”, okazał się równym gościem, niewyczerpaną kopalnią anegdot i nie nasyconym pochłaniaczem tutejszego jabłecznika.

Niemniej jednak minęło już tyle czasu od wojny, a on wciąż w tak żalnym stanie...!

— Delikatny — stwierdził pewnego razu pan Tinkler i zaraz powtórzył to słowo z aprobatą.

— Delikatny. To ma coś wspólnego z „artystycznym usposobieniem”, wiecie. Jak się je ma, jest to zarówno błogosławieństwo, jak i klątwa.

To słowo rzeczywiście padło z jego ust, choć nie w znaczeniu, jakie miał na myśli stary Tatton...

Lecz staruch zdążył już się rozpędzić. Teraz, założywszy, że wszyscy obecni zgromadzili się w oczekiwaniu na pastora, mówił:

— I słusznie! Już niezadługo święto Wniebowstąpienia! Jeśli nie pobłogosławi studni...

Hiram przerwał mu głośnym kasznięciem.

— Mówiliśmy o pożyczeniu kosiarki z majątku i przystrzyżeniu boiska do krykieta. Po nabożeństwie pójdziemy do dziedziczki...

Policzki starego okryły się purpurą.

— A ja myślałem, że rozmawiacie o majeniu! Czyż ona nie jest jednym z naszych nieszczęść?

I ostrzeżeniem?

Niejednemu ze słuchających go mężczyzn przyszło do głowy, by przyznać, jak dalece się z nim zgadzają, lecz nie mieli po temu okazji, gdyż właśnie w tej chwili zajechał jej powóz.

Wyłoniła się z niego przy wtórze chóralnego „Dzień dobry pani!”, skinięciem głowy odpowiadając na uniesione kapelusze i dotykane czapki, po czym pomaszerowała wyniośle ścieżką między nagrobkami.

Posłusznie podążyli za nią.

I nie zwracali większej uwagi na nabożeństwo.

„Trochę późno na strzyżenie boiska do krykieta.

Ta myśl nieoczekiwanie pojawiła się w umyśle Ernesta podczas spaceru po terenach majątku, w którym przez cały czas towarzyszyły mu upiory. Zarzuciwszy wszelkie próby malowania, szedł, dokąd go nogi poniosą. Fragmenty wspomnień z przepustki podczas wojennego lata trafiły na swe miejsca, gdy spoglądał na równinę, którą bez trudu można było wziąć za najzwyczajniejszą łąkę. W

rzeczy samej niedawno skoszono na niej trawę i młode źdźbła nie były wyższe od pszenicznego rżyska. Nadal jednak zbyt długie, by solidnym wybiciem posłać piłkę za boisko.

Nieoczekiwanie widok przesłoniły obrazy z przeszłości. Z całą pewnością pawilon musi stać gdzieś z lewej strony Tak, właśnie tam się znajdował, jego zielone deski na gwałt potrzebowały świeżej farby. Tablica wyników wisiała przekrzywiona zimowymi wiatrami.

W jego wnętrzu zbudził się potworny ból. Brakowało im wybijającego, ponieważ ktoś właśnie dostał powołanie, i poprosili go, by zagrał w wioskowej drużynie, a on się zgodził i zdobył

czterdzieści punktów — fakt, że po kiepskim miotaniu, ale wystarczyło to, by rozstrzygnąć wynik spotkania, dzięki czemu Welstock wygrało dwiema bramkami.

„Wtedy grałem po raz ostatni”.

Odwrócił się i pokuśtykał do domu, starając się nie rozplakać.

Po drodze minął altanę, gdzie w wodoszczelnej skrzyni przechowywano sprzęt do krokiet.

Jak przez mgłę przypomniał sobie, jak zauważył kiedyś: „Krokiet będzie teraz najbardziej wyczerpującą grą, do której będę się w ogóle nadawał!” Tinkler, jak zawsze uważny na nie wypowiedziane polecenia, wystawił bramki i iglice.

Nie mając nic lepszego do roboty przed lunchem, otworzył skrzynię, na chybił trafił wyjął z niej drewniany młotek i piłkę i zaczął apatycznie pobijać nią po trawniku. Przez cały czas jednak zajmowały go wspomnienia obrazów i dźwięków. Choć raz, na szczęście, nie wszystkie dotyczyły piekła okopów. Lecz świadomość odbywającego się w kościele nabożeństwa skojarzyła mu się z hinduistycznymi procesjami za posągami, które wysmarowane były masłem i obwieszane girlandami. To z kolei przywiodło na myśl ojcowskiego służącego Gul Khana, szatańskiego miotacza i jakże cierpliwego trenera. W czasie pory suchej w Simli...

— Psiakrew, jaki jest cholerny cel tego wszystkiego? — wyszeptał i zamachnął się młotkiem tak, jakby to był kij do golfa. Celnie uderzona piłka trafiła w jedną z bramek i przewróciła ją na ścieżkę. Ernest rzucił młotek w ślad za nią i zawrócił do domu.

I natychmiast ogarnął go całkowity spokój.

Oto przez wysypany zwiem podjazd kroczyło sześciu mężczyzn w czarnych garniturach i kapeluszach. Rozpoznał ich, choć tylko jednego z nich potrafił skojarzyć z nazwiskiem. Na ich czele szedł krzepki i flegmatyczny Stoddard, kapitan i bramkarz ostatniej drużyny, w której dane mu było zagrać...

Raz jeszcze najwidoczniej odezwał się nieświadomie, gdyż cichy głos za jego plecami odpowiedział:

— Tak, proszę pana. Zgadza się, to pan Hiram Stoddard. Jest też pan Jabez Stoddard, ale on zarządza gospodą „Pod Pługiem” i musiał pójść ją otworzyć. — I dodał przeproszającym tonem:

— Zauważywszy pana po wyjściu z kościoła, przeprosiłem jaśnie panią i po szedłem na skrót.

— Dziękuję, Tinkler. — Przez chwilę Ernest miał wrażenie, że w pełni kontroluje swe poczynania.

— Wiesz może, co ich tu sprowadza?

— Nie, proszę pana.

— Moja ciotka wraca prosto do domu?

— Nie, proszę pana. Zamierza odwiedzić rodzinę pana Gibsona.

— Tego biedaka, który niedawno zmarł? Hmm! Nie sądziłem, że jest w niej odrobina miłosierdzia, chyba że uważa to za swój obowiązek... Tinkler, czy coś jest nie w porządku?

— Nie mnie to oceniać, proszę pana.

— Gadaj zaraz! — Ernest zorientował się, że ciężko dyszy. Dlaczego?

— Skoro pan nalega — odparł Tinkler po chwili wahania. — Nie jestem całkowicie przekonany, czy powoduje nią wyłącznie miłosierdzie. Ja... — dyskretne odkaszlnięcie —

dostrzegłem w oczach jaśnie pani coś, co można by nazwać błyskiem.

Ernest zatrzymał się jak wryty i odwrócił do służącego.

— Też to zauważyłeś? — wybuchnął.

Patrząc mu prosto w oczy, Tinkler powiedział:

— Gdzie ostatnio widziałeś coś podobnego? — Tym razem zabrakło nawet echa „sir”.

— W... w obłąkanych oczach generała, który posłał nas na to wzgórze pod...

— Proszę to powiedzieć! — Teraz on tu rozkazywał. — Pragnąłbym o tym zapomnieć nie mniej niż pan. Tamtym rozkazem zabił dziesięć tysięcy naszych ludzi, prawda? A my przeżyliśmy cudem... Ale proszę to powiedzieć!

— Mal... — Język Ernesta stał się monstrualną gąbką, usiłującą pochłonąć tę nazwę.

Przełknął ślinę, zawahał się i ostatecznie wydusił to z siebie: — Malenchines!

— Zgadza się. Właśnie tam. I ja także miałem nadzieję, że nigdy go już nie zobaczę. Ale tak się nie stało... Teraz, proszę pana, pójdę i dowiem się, czego chcą.

— Nie, Tinkler. Pójdziemy razem.

Jak gdyby wypowiedzenie tej straszliwej nazwy zdjęło mu ciężar z duszy, Ernest bez większego niepokoju zdołał przywitać się z panem Stoddardem i jego towarzyszami, a nawet wspomnieć o ich

ostatnim spotkaniu. Kiedy przedłożyli mu swoją prośbę, natychmiast odparł, że na pewno nie będzie to stanowiło problemu, choć w głębi serca wcale nie był o tym przekonany, po czym zaczął wypytywać ich o nadzieje związane ze zbliżającym się sezonem.

Wieśniacy wymienili ukradkowe spojrzenia. W końcu pan Stoddard wzruszył ramionami.

— Od końca wojny idzie nam kiepsko. Jednak pojawiło się paru dobrych graczy. Choć przydałoby im się więcej praktyki i treningu.

„Czy była to sugestia?”

Zakładając, że tak, Ernest zmusił się do uśmiechu.

— Cóż, mógłbym trochę przy tym pomóc — powiedział. Całkiem mimowolnie do jego głosu zakradła się odrobina goryczy, gdy dodał: — Ale ja już sobie nie pogram. Krokiet stanowi teraz szczyt moich możliwości, a i do niego nie mogę znaleźć odpowiedniego partnera...

Tknięty nagłą myślą rozejrzał się dookoła.

— A może któryś z was gra w krokiet, co?

Przez twarz Tinklera przemknęło zaniepokojenie, lecz Ernest nie zwrócił na to uwagi.

— To może być całkiem dobra rozrywka. Nie męczy, ale wymaga precyzji. Jeżeli macie parę minut, pokażę wam. Tinkler, mógłbyś ustawić tamtą bramkę i przynieść mi młotek oraz parę piłek.

Pierwszy raz od lat dziwnie podekscytowany, wtajemniczał ich kolejno w sekrety zaliczenia bramki, uderzenia w iglicę i krokietowania z takim entuzjazmem, że oziębłość gości stajała i najmłodszy z nich powiedział wreszcie:

— Wie pan co, panie Erneście, kiedyś z chęcią bym spróbował!

— Dobry człowieku! — wykrzyknął Ernest. — Ja ci też coś powiem. Właśnie mi się to przypomniało. Spacerowałem sobie kiedyś na przepustce i w jednym z budynków gospodarczych na tknąłem się na siatki. Może nadal jeszcze tam są. Macie dość siatek do ćwiczeń?

— Nie, proszę pana! — odparł natychmiast Hiram Stoddard.

— W takim razie chodźmy i...

Przerwało mu delikatne pokasywanie Tinklera. Powóz jaśnie pani toczył się w stronę domu.

— O, świetnie! Zaraz załatwimy sprawę kosiarki. Ciotko! Ciotko Aglaio!

Wysiadając przy pomocy swego stajennego i woźnicy Rogera, zbyt młodego, by trafić do wojska, lady Peake poczęstowała bratankę kamiennym spojrzeniem.



— Profanujesz dzień święty! — warknęła.

— Co? A, to masz na myśli? — Ernest zamachał młotkiem do krokieta. — Żadną miarą.

Wyjaśniałem tylko tym ludziom podstawowe zasady, w nadziei, że któregoś dnia zechcą ze mną zagrać.

Równie dobrze mógł rozmawiać z powietrzem. Mówiła dalej, tak jakby w ogóle się nie odezwał.

— A co ci... panowie tu robią?

— Przyszli pożyczyć kosiarkę. Do przyszczyżenia boiska. Wuj Roderick zawsze...

— Twój wuj już nas opuścił! A kiedyż to owo urządzenie miałyby zostać użyte?

Hiram zdjął kapelusz i teraz gniótł go swymi wielkimi spracowanymi dłońmi, mamrocząc:

— Zamyślaliśmy zacząć po południu, jaśnie pani.

Lady Peake zrobiła triumfalną minę.

— A więc podobnie jak mój bratanek jesteś gwałcicielem przykazań. „Siódmego dnia jest uroczysty szabat, jest zwołanie święte, nie będziecie wykonywać żadnej pracy”! Nie wolno wam pożyczać mojej kosiarki ani dzisiaj, ani kiedykolwiek. Wracajcie na łona swych rodzin i błagajcie o wybaczenie.

Kołysząc się w biodrach, pomaszerowała do domu.

— Przepraszam, panie Stoddard — odezwał się młody Roger. — Ale sam pan wie, jaka ona jest. Rzecz jasna, nie odnosi się to do ludzi, którzy pracują dla niej, nie? Chciałbym zobaczyć wyraz jej twarzy, gdybym odpowiedział tak samo: „Nie, jaśnie pani, nie mogę zawieźć pani do kościoła, nie? To by była praca w dzień święty!”

Przez sekundę Hiram wyglądał tak, jakby miał zamiar zganić go za zbytnią śmiałość, jednak zmienił zdanie.

— Bardzo mi przykro — wymamrotał Ernest. — Nigdy bym się nie spodziewał, że tak zareaguje... Co teraz zrobicie?

— Wrócimy do starych sposobów, proszę pana. Ludzie z kosami będą musieli nam wystarczyć. Tyle że nie ma już wielu takich, którzy potrafiliby przygotować porządne pole zewnętrzne, a co tu w ogóle mówić o samym boisku. Jedna z wymierających umiejętności, o których ciągle gada stary Tatton. Proszę nam wybaczyć, ale musimy pospieszyć do gospody, zanim reszta pójdzie do domu na obiad, i spróbować namówić kogoś do pomocy.

Poczekajcie! Pójdę z wami! Tylko wezmę kapelusz i laskę! Roger, uprzedź kucharkę, że się spóźnię na lunch.

Gdy pokuśtykał w stronę domu, ich pytające spojrzenia skierowały się ku Tinklerowi. Ten się

zawahał. W końcu powiedział:

— Wiem, nie jest całkiem komilfo. Ale jego serce jest na właściwym miejscu. Tylko rozum mu się pomieszał. I okazja, by postawić się jaśnie pani, być może jest właśnie tym, czego mu trzeba. Będę miał na niego oko.

Po tych słowach odprężyli się. Ale tylko trochę.

Pełne przerażenia milczenie zapadło pod niskim, drewnianym sklepieniem jedynej sali

„Pługa”, gdy spostrzeżono, kto dołączył do kompanii, i rozmowy z trudem nawiązywały się ponownie. Jedyne stary Tatton, usadowiony na swym stałym miejscu przy ścianie kominowej, gadał nieprzerwanie, jak gdyby nie wydarzyło się nic niezwykłego.

Ani przynajmniej tak trywialnego jak obecność posiadacza ziemskiego.

Przestał wreszcie narzekać na brak ognia, który rozgrzałby jego bolące kości, i przeszedł do drugiego tematu zajmującego jego myśli — i, prawdę powiedziawszy, nie tylko jego — a mianowicie do zarzucenia starodawnej ceremonii, czemu przypisywał ich obecne nieszczęścia.

W bohaterskiej próbie zajęcia uwagi gościa czymś innym, Hiram zaprowadził go do baru, ponownie przedstawił mu swego brata Jabeza, właściciela lokalu, oraz kilku innych, włączając w ich grono nawet pana Amesa.

Zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, Jabez powiedział z serdecznością w głosie:

— Cóż, proszę pana, jako że pierwszy raz zaszczyca pan me podwoje, pozwolę sobie pana poczęstować. Co ma być?

Ernest spojrział na niego niepewnie. Przez ostatnie kilka minut nie bardzo panował nad sobą, powodował nim gniew na ciotkę. Teraz, w nie znanym pomieszczeniu, wśród ludzi wyraźnie zakłopotanych jego obecnością, pogubił się całkowicie. Zerknął na Tinklera, który rzekł

uprzejmie:

— Mogę zarekomendować jabłecznik pana Stoddarda, sir. Sam go produkuje.

— Doskonale — zgodził się Ernest.

— Piękne dzięki, panie Tinkler — odparł gospodarz, sięgając po kufle. — Proszę także przyjąć ode mnie poczęstunek.

Gdy odkręcił kurek beczki, wszyscy jednocześnie spróbowali podjąć przerwane rozmowy.

Jednakże kiedy rozniosła się zła nowina o kosiarce, nastroje w sali natychmiast sosenpniały i na powrót zapadła cisza.

Hiram zaproponował gościom, by zajęli miejsca przy jedynym częściowo wolnym stole.

Spostrzegając ich z opóźnieniem i najwyraźniej sądząc, że byli u pastora, stary zażądał informacji.

— Nie da nam kosiarki — powiedział Hiram głośno i wyraźnie. — Musimy użyć kos!

Zdezorientowany staruszek natychmiast się sprzeciwił:

— A na co komu kosy przy majeniu studni? Wolno używać tylko rzeczy naturalnych!

— Nie bardzo rozumiem — powiedział niepewnie Ernest.

— Ach, proszę się tym nie przejmować, sir — odparł Hiram. — Stary ma lekkiego bzika i tyle.

— Wygląda na bardzo zdenerwowanego — nie ustępował Ernest. I tak też było, choć ktoś pospiesznie postawił przed starym pełen kufel. Jego głos nabrał piskliwości nawiedzonego kaznodziei, i chociaż ludzie starali się go uciszyć, w końcu jednak postanowili wszystko wyjaśnić.

— Chodzi o to, sir — westchnął Hiram — że przed wojną, na święto Wniebowstąpienia, mieliśmy taki miejscowy... eee...

— Zwyczaj? — podpowiedział ktoś z tyłu.

— Tak, zwyczaj, to bardzo dobre określenie. Dziękuję... — obejrzał się i dokończył

zaskoczonym tonem: — ...panie Ames! Robiliśmy różne takie ozdoby, obrazy z kwiatów, liści i olchowych szyszek, i umieszczaliśmy je na studniach.

— I na murze pod kościołem — wtrącił ktoś inny.

— Tak, przy starej studziennej drodze także. W trzech miejscach. — Hiram wsunął palec za kołnierz, jakby ten nagle zaczął go uciskać. — Potem przychodził pastor i wypowiadał nad nimi błogosławieństwo.

Uwaga starego była teraz całkowicie skupiona na słowach Stoddarda. Pochylając się, objął kufel obiema dłońmi i pokiwał z zapalem głową.

— Aha, a co siedem lat...

— Tak, co siedem lat — przerwał mu głośno Hiram — urządzaliśmy takie jakby przyjęcie.

Piekliśmy owcę albo świnię i dzieliliśmy ją między wszystkich, kawałki zanosiliśmy nawet starcom i chorym.

— Brzmi fascynująco — stwierdził Ernest, nie odrywając od niego wzroku. — Już tego nie robicie?

— Przestaliśmy podczas wojny.

— Ale dlaczego?

Na chwilę zapadła niezręczna cisza. W końcu Hiram, widząc, że nikt inny nie zamierza udzielić odpowiedzi, zrozumiał, że sam musi to zrobić.

— Pastor mawiał, że to przerobiony pogański obyczaj. Nie jestem tego taki pewien. Ale powiedziałbym, że nie jest z tego powodu nieszczęśliwy.

— A co by na to powiedziała jaśnie pani? — zawołał Jabez zza kontuaru, zapominając się na moment.

Brat spiorunował go wzrokiem, lecz jabłecznik krążył już w żyłach Ernesta. Od początku choroby rzadko miał do czynienia z alkoholem. Poza tym prawie nie tknął śniadania.

Opróżniając kufel, powiedział:

— Masz rację, Tinkler. To dobry towar. Przynieś mi jeszcze. I dla pana Stoddarda, i dla pana... A tam, kolejka dla wszystkich, czemu nie? Proszę! — Wyciągnął z portfela kilka banknotów.

Tinkler usłuchał go z pewnym ociąganiem. Tymczasem Ernest odwrócił się do Hiram i pytał

dalej:

— Doprawdy nie wiem, co moja ciotka może mieć z tym wspólnego. A co myślał o tym sir Roderick?

— Był przychylny — mruknął Hiram.

— To prawda! — włączył się ktoś z tyłu. — Pamiętacie, jeśli akurat miał gości, przyprowadzał ich do nas. Albo przychodził z nimi później, z aparatami fotograficznymi i w ogóle.

Starsi mężczyźni przytaknęli chóralnie.

Wróciwszy z pełnymi kufłami, Tinkler powiedział cicho:

— Proszę bardzo, sir.

Ernest pociągnął łyk jabłecznika i odstawił kufel na bok. Teraz jego ciekawość była już w pełni rozbudzona.

— Jeżeli waszym głównym problemem jest pastor, mogę przy najmniej wstawić się za wami.

Panna Pollock zaprosiła mnie na herbatę na plebanię, na pewno więc znajdę okazję, by o tym wspomnieć. Mielibyście coś przeciwko temu?

Z ich twarzy wyraźnie można było poznać, że byliby zachwyceni, Hiram zaś dodał:

— To bardzo wielkodusznie z pańskiej strony. Hej — zawołał — myślę, że powinniśmy wypić zdrowie pana Ernesta!

— Słusznie, słusznie!

Pijąc wraz z nimi, Ernest w zamyśleniu otarł usta i poruszył kolejną szczególnie go interesującą kwestię.

— A jakie to były te... ozdoby i obrazy?

— Zawsze z Biblii — odparł Hiram.

— Związane z wodą? Jezus kroczący po wodzie, Jonasz i wieloryb, tego typu?

Kręcenie głowami. Wszyscy obecni w barze stłoczyli się już wokół stołu, tak że stary Tatton zaczął narzekać, że nic nie widzi. Zignorowano go zupełnie.

— Nie, co tylko przyszło do głowy. Oczywiście...

— Tak?

— Głównie robił je ten, którego już nie ma.

— Czyli że jedna osoba wykonywała dla was wszystkie wzory?

— Zgadza się, sir. To był pan Faber. Odszedł tak samo jak pański biedny wuj, tyle że rok wcześniej.

— Nie został już nikt, kto by miał jego talent i wprawę — zabrzmiał posępny głos.

Ernest zawahał się. Zerknął na Tinklera, szukając porady, jak to już weszło mu w krew. O

dziwo, tym razem jego twarz nie wyrażała absolutnie niczego — Tinkler udawał wręcz, że go nie zauważa. Nagle zirytowany Ernest opróżnił do połowy zawartość swego kufła i podjął decyzję.

— Jeżeli nie uznacie tego za niestosowne — powiedział — wiedźcie... Tinkler!

— Tak, sir?

— Opowiadałeś tu o mnie, co?

— Eee, sir — odrzekł ze zbolałą miną — nie więcej, niż wymagała tego zwykła uprzejmość, zaręczam.

— Nie bój się, człowieku! Chciałem się tylko dowiedzieć, czy wiedzą, że param się nieco malowaniem i rysowaniem.

— To tak, sir.

— W takim razie... — Ernest wziął głęboki oddech. — Mielibyście coś przeciwko temu, gdybym zaproponował parę pomysłów?

Na wszystkich twarzach pojawiła się niepewność przemieszana z podnieceniem. Stary Tatton po raz kolejny zaczął się uskarżać, że nie wie, co się dzieje, i ktoś pochylił się nad nim, by mu wyjaśnić. Zanim prowadzona szeptem debata doprowadziła do jakichkolwiek konkluzji, przerwał

ją, podnosząc się z trudem.

— Nie odmawiajcie! Pamiętajcie, że to siódmy rok, a jeśli nie zrobimy tego jak należy, ona...

Tuzin głosów zagłuszył resztę jego słów.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony, sir — oznajmił Hiram, zamykając dyskusję.

Ponownie czując przyływ podniecenia, jakie ogarnęło go wcześniej, Ernest powiedział:

— Świetnie! Wspominaliście, że niekiedy robiono zdjęcia podczas... tego majenia studni?

— Zgadza się, sir.

— Gdybym mógł obejrzeć parę z nich, ogólnie się zorientować... Tinkler, czy coś jest nie w porządku?

— Sir, zauważyłem, że ludzie zaczynają spoglądać na zegar. Może powinniśmy zapytać, czy nie muszą iść do domu na obiad?

Rozległ się szmer ulgi, więc Ernest podniósł się zakłopotany.

— Przepraszam, nie zwróciłem uwagi na upływ czasu!

— To nic, sir, to nic — zaprzeczył Hiram. — Choć... cóż, niektórych z nas rzeczywiście żony już wyglądają. Co się zaś tyczy zdjęć... Jabez!

Gospodarz obejrzał się w ich kierunku.

— Nie miałeś tu gdzieś albumu ze zdjęciami?

— Ależ tak, w rzeczy samej. Zaraz go poszukam!

— Doskonale! — wykrzyknął Ernest. — A ja porozmawiam z pastorem, tak jak obiecałem.

Tinkler, gdzie to ja położyłem mój kapelusz?... A, dzięki. Do widzenia, panowie!

Gdy drzwi zatrzasnęły się za nimi, przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił. W końcu Jabez wyraził uczucia wszystkich.

— To prawdziwy dżentelmen. Nazwał nas panami! Tak jak sir Roderick.

— Nie to co jaśnie pani — odparł jego brat.

Po czym, wśród cynicznych chichotów, towarzystwo zaczęło zbierać się do rozejścia, gdy rozległ się donośny głos pana Amesa:

— Jedną chwilkę!

Wszystkie głowy odwróciły się ku niemu. Z rozchyłonymi połami marynarki, wciskając kciuki w pachy kamizelki i przybrawszy minę niemal wyzywającą, powiedział:

— Jeżeli przyjmiecie pomoc od pana Ernesta, mam nadzieję, że i mojej nie odmówicie. Mam prosiaka, którego tuczyłem na festiwal w Mankley. Mieszkając tak długo w tej okolicy i wiedząc

— szybkie spojrzenie na starego Tattona — jak wielką wagę przy wiążujecie do uczyty majenia studni, ufam, że pozwolicie mi podarować go na święto Wniebowstąpienia.

Przez moment wszyscy spoglądali niepewnie po sobie. Hiram szybko rozstrzygnął sprawę.

Podchodząc do Amesa, podał mu rękę.

— Oferta równie hojna, co pana Ernesta! — wykrzyknął. — Jabez! Zanim pójdziemy, napełnij jeszcze jeden kufel — dla Henry'ego!

— O czym oni gadają? — zapytał zirytowany staruszek. Opowiedziano mu pokrótce o ofercie Amesa i o tym, że przyjmując ją, Hiram zwrócił się do Henry'ego po imieniu.

Stary rozpromienił się.

— Zawsze to mówię — oznajmił. — Bądźcie dla niej dobrzy, a ona będzie dobra dla was.

Czyż już się nie zaczęło?

Wróciwszy do Welstock, Tinkler nalegał, by jego pan zjadł choć trochę, przyniósł mu więc do altany nieco zimnego mięsa, chleba i pikli. Lady Peake odbywała swą zwyczajową poobiednią drzemkę, toteż oszczędzono im narzekań na brak bratanka przy stole.

Mówiąc gorączkowo z pełnymi ustami, Ernest najpierw zachwycił się faktem odkrycia przedchrześcijańskiej ceremonii we współczesnej angielskiej wiosce, a potem zdecydowanie polecił Tinklerowi udać się na plebanię i poinformować pannę Pollock, że zamierza skorzystać z jej zaproszenia jeszcze tego popołudnia. Powolutku jedzenie zmieszane z jabłecznikiem sprawiło, że poczuł się senny i koniec końców wymruczał coś o ucięciu sobie krótkiej drzemki.

Upewniwszy się, że zasnął, Tinkler odniósł nakrycia do kuchni i wyruszył zanieść wiadomość na plebanię.



Kiedy powrócił niecałe pół godziny później, ujrzał, że jego pan nie śpi i na powrót zmaga się z dawnymi wątpliwościami. Gdy dowiedział się, że jest umówiony na herbatę na czwartą, pogrążył się w typowym dla niego przygnębieniu.

— To na nic, Tinkler — mrucał. — Nie czuję się na siłach. Będziesz musiał tam wrócić i przeprosić w moim imieniu. Jak mógłbym spojrzeć pastorowi w oczy? Jego wiara jest mi obca!

Jeśli nie będę uważać, na pewno go obrażę, prawda?

— Nie, sir.

— Co takiego? — Ernest spojrział na niego, mrugając. — Przecież cholernie dobrze wiesz, że ani trochę nie dbam o te jego czary–mary.

— Owszem, sir. Ale po tym, co dzisiaj zaszło, wiem także, że bardzo interesuje się pan przetrwaniem dawnych obyczajów. Podobnie jak pan Pollock.

— Ale pan Stoddard powiedział...

— Najwyraźniej jest w błędzie. Gdy byłem na plebanii, pozwoliłem sobie wspomnieć o tym pani Kail, gospodyni. Ona pochodzi stąd. I jest niezwykle miłą osobą, śmiem stwierdzić. Jej zdaniem, gdyby zależało to wyłącznie od pastora, z jego strony nie byłoby żadnych sprzeciwów wobec wznowienia ceremonii.

Powoli, ociężale Ernest przetrawił jego słowa. W końcu powiedział:

— Twierdzisz, że kolejny raz to moja ciotka stanowi łyżkę dziegciu w tej beczce miodu?

— Na to wygląda, sir.

— Hmm... — Zerknął w stronę domu na zaciągnięte zasłony w pokoju ciotki. — W takim wypadku... Zgoda, Tinkler. Postaram się być stanowczy. Ale ty też pójdiesz. Popracujesz nad panią — mówiłeś, że nazywa się Kail? — a jeśli ja wszystko zepsuję, może następnym razem wymyślisz lepszy sposób.

Zwrócił wzrok w kierunku kilku widocznych z tego miejsca chat.

— Robią wrażenie przyzwoitych ludzi — mruknął ledwie słyszalnie. — Nie chcę ich zawieść...

— Dzień dobry, panie Peake — powiedział pastor, spoglądając na niego zza okularów. Miał mocno pobrużdżoną twarz, artretyzm usztywnił jego członki, lecz głos pozostał pewny i dźwięczny. — Tak się cieszę, że mógł pan przyjść. Proszę usiąść.

Ernest niezgrabnie zajął miejsce za stołem ustawionym w cienistym sadzie. Panna Pollock uśmiechnęła się do niego i zapytała, czy woli herbatę indyjską czy chińską, potem zaś podała mu tacę

z ciastkami i wykwintnymi kanapkami z pastą rybną.

Jej uśmiech jednak wydał się Ernestowi wymuszony i kolejny raz zaczął się zastanawiać, czy postępuje słusznie. Odwaga opuściła go w ostatniej chwili i był już na wpół zdecydowany zawrócić, lecz Tinkler nawet nie zwolnił kroku i zmusił go do niezgrabnego truchtu, którym musiał utrzymać tempo.

— Cieszę się szczególnie z pańskiej wizyty — kontynuował pastor, dużą białą serwetką ocierając krople herbaty z górnej wargi — gdyż... eee... miałem nadzieję na małą pogawędkę z panem.

O czym? Ernest zjeżył się w jednej chwili. Czyżby jednak czekała go reprimenda za nieobecność w kościele? W takim wypadku najlepszą formą obrony był niewątpliwie atak.

Skontrował więc:

— Prawdę powiedziawszy, ojczulku — wojskowe potoczne określenie kapelana wymknęło mu się bezwiednie — jest też coś, o czym i ja chciałbym z panem porozmawiać. Najwyraźniej ludzie z wioski...

Jego słowa jednak uciekły w pustkę. Panna Pollock pochyliła się z zaniepokojoną miną.

— Jeżeli nie sprawi to panu różnicy, panie Peake, dziadek pierwszy zaczął rozmowę. A jego problem dotyczy pańskiej ciotki.

— Jakże by inaczej — mruknął Ernest.

— Przepraszam? — rzekł pastor, przykładając zwiniętą dłoń do ucha. — Obawiam się, że zaczynam trochę gorzej słyszeć.

Ignorując go, wnuczka powiedziała ostro:

— Słyszał pan, co teraz postanowiła zrobić?

To zabrzmiało niepokojąco. Ernest pokręcił głową.

— Obawiam się, że nie. Mówiąc otwarcie, obecnie staram się jej unikać.

— To rzecz haniebna i skandaliczna! — Tupnęła drobną stopą w ziemię. Dziadek położył jej dłoń na ramieniu uspokajającym gestem, lecz odsunęła ją.

— Przykro mi dziadku, ale nie dam się uciszyć! To, co ona zamierza zrobić, to całkowicie niechrześcijański postępek!

Stary człowiek westchnął.

— Co najmniej niezyczliwy, to muszę przyznać... Ale pan Peake jeszcze nie wie, o czym rozmawiamy, prawda?

Dziewczyna odwróciła się do gościa.

— Słyszał pan o śmierci George’a Gibsona?

— Tak, oczywiście.

— Wie pan, że był robotnikiem w majątku pańskiej ciotki, chociaż na niewiele mógł się przydać po zagazowaniu?

Tym razem jedynie kiwnął głową.

— I że osierocił żonę i trójkę dzieci?

Kolejne skinienie.

— Otóż sir Roderick w testamencie zezwolił mu mieszkać w jego domu do końca życia, jako że odniósł ranę na wojnie. Teraz, skoro umarł, pańska ciotka zamierza wyrzucić całą rodzinę.

Dzisiaj powiedziała o tym pani Gibson. Mają tydzień na wyprowadzenie się.

— Ależ to haniebne! — wykrzyknął Ernest. — Dlaczego?

Pastor zakaszłał delikatnie. Zignorowała go.

— Najmłodsze dziecko pani Gibson urodziło się w marcu tysiąc dziewięćset dziewiętnastego roku.

Przez moment Ernest nie rozumiał, jaki to ma związek z omawianą przez nich kwestią. Potem pojął, co oznacza ta data.

— Zakładam, że chce pani przez to powiedzieć, iż najmłodsze dziecko nie jest jej męża?

— A niby jak? Od tysiąc dziewięćset siedemnastego roku przebywał w niewoli! — Pochyliła się ku niemu, patrząc na niego błagalnie. — Ale wybaczył jej! Traktował to dziecko jak swoje własne — sama widziałam. Dlaczego pańska ciotka nie może postąpić podobnie? Co daje jej prawo do dokonywania takich osądów „moralnych”? Dała nieszczęsnej jeden tydzień na znalezienie nowego domu, w przeciwnym razie czekają wizyta szeryfów i eksmisja!

Oddychała ciężko, zmęczona swoją tyradą. Ernest mimowolnie zachwycił się tym, jak uroczo wygląda. Uprzednio miał ją za osobę raczej bezbarwną, potulnie akceptującą życie w cieniu swego dziadka, lecz teraz spostrzegł, że na jej policzkach pojawiły się rumieńce, w głosie zaś sprawiedliwy gniew.

W końcu powiedział:

— Lecz kto by skrzywdził jednego z tych małych... Z nieoczekiwaną kordialnością pastor zawołał:

— Dowiedziałem się od Alice, że jest pan jednym z tych nieszczęśników, którzy stracili wiarę

wskutek wojny, lecz muszę przyznać, że dokładnie te same słowa i mnie nasuwały się na myśl.

Postawa pańskiej ciotki należy do starego przymierza, które nasz Pan przybył zastąpić ewangelią miłości. Już nie uważamy za właściwe, by grzechy przodków odciskały się piętnem na dzieciach, a to onecierpią najokrutniej.

„Czyż wojna nie była karą za grzechy naszych przodków wymierzoną nam, młodemu mięsu armatniemu?”

Lecz Ernest zdusił w sobie ten zjadliwy komentarz. Po krótkim milczeniu powiedział:

— Obawiam się, że mam niewielki wpływ na ciotkę. Niemniej jednak uczynię to, co będzie w mojej mocy.

— Dziękuję panu — rzekła Alice, pochylając się i kładąc swą smukłą dłoń na jego ręce. —

Bardzo panu dziękuję. Może jeszcze herbaty? A zatem o czym chciał pan z nami rozmawiać?

— No, widzi pani... — I niezdarnie wyłożył swoją sprawę. Kiedy skończył, pastor uporał się już z herbatą i siedział wygodnie, w zamyśleniu polerując serwetką okulary.

— A, tak. Bardzo poważnie traktują to swoje majenie studni, prawda? I rzeczywiście sam nie dostrzegam w tym niczego szkodliwego. Oczywiście zaczęło się to jako obyczaj pogański, ale to samo wszak dotyczy Bożego Narodzenia, tak wyznaczonego, by przypadało w okresie rzymskich Saturnaliów.

— Więc tradycja ta sięga rzeczywiście tak głęboko w przeszłość?

— O, tak. I niegdyś była bardzo rozpowszechniona, choć Welstock pozostaje jedynym miejscem na całym zachodzie, gdzie się ją kontynuuje, albo raczej kontynuowało. Najwięcej obyczajów przetrwało w Derbyshire, w zaledwie kilku wioskach. Naturalnie, praktykuje się je w znacznie odmienionej postaci. „Przyjęcie”, o którym pan wspomniał, niegdyś stanowiło ofiarę, a konkretnie ofiarę z człowieka składaną żeńskiemu duchowi opiekuńczemu wody. Rzymianie znali je pod imieniem Sabelli, lecz i ono było jedynie zniekształconą formą jeszcze starszej nazwy. Stanowiła też uosobienie wiosny, kojarzone, jak należało się spodziewać, z płodnością roślin i zwierząt. Włącznie ze zwierzętami gatunku... eee... ludzkiego.

— A jednak nie widział pan przeszkód dla kontynuowania tego obrzędu? — Ernest nie potrafił ukryć swego zdumienia.

— Został skutecznie dezynfekowany, że się tak wyrażę — odparł pastor z bladym uśmiechem. — Wieśniacy nawet nie wiedzą już, że z tą ceremonią wiązał się pogański duch albo bogini. Przy najmniej nigdy nie słyszałem, by wymieniali jej imię. To prawda, że nadal wspominają o „onej”, lecz w miejscowym dialekcie zaimki uległy niejakiemu wymieszaniu. W

najgorszym wypadku identyfikują ją z Dziewicą Maryją. To oczywiście zalatuje kultem maryjnym, czego nie mogą oficjalnie usankcjonować, ale przynajmniej brakuje tu jakichkolwiek pogańskich

odniesień.

— Ja zaś myślę, że to przyjemna zabawa — stwierdziła Alice.

— Pamiętam, że kiedy byłam małą dziewczynką, biegałam za procesją od studni do studni. A obrazy pana Fabera były takie zmysłne! I wykonane z tak prostego tworzywa! Dziadku! —

Odwróciła się do pastora. — Uważam, że pan Peake ma cudowny pomysł! Zróbmy wszystko, by odrodził się zwyczaj majenia studni w tym roku!

— Jestem całkowicie po pani stronie — rzekł z zapalem Ernest.

— Proszę mi wybaczyć, ale mimo zewnętrznej pobożności nie potrafię uważać mojej ciotki za...

— Za dobrą reklamę dla religii? — rozwinął uprzejmie pastor.

— Niestety ja również nie. Moim zdaniem owe proste dusze pragnące uczcić cud wody, choćby i goręcej niż chleb, źródło życia, mają głębszą wiarę, niż jej kiedykolwiek będzie dana —

chyba że, ma się rozumieć — dodał, jakby ganiąc samego siebie za brak miłosierdzia — dzięki łasce Bożej, która, jak ufam, ukáže jej belkę we własnym oku... Panie Peake, przekonał mnie pan!

Uderzył w stół otwartą dłonią tak, że filiżanki aż zagrzechotały, i skrzywił się, jakby pożałował tego odruchu.

— Zawrzyjmy umowę, co pan na to? Obaj sprzeciwimy się woli lady Peake! Ja obwieszczę, że ceremonia majenia studni zostanie wznowiona. Pan zaś ze swojej strony uczyni wszystko, by uchronić rodzinę Gibsonów przed eksmisją.

„To nie będzie łatwe.

Jednak ta myśl jedynie przez ułamek sekundy przemknęła Ernestowi przez głowę.

Natychmiast wyciągnął rękę do pastora.

— Zgoda, ojczulku! Umowa stoi!

Po herbacie Alice zaproponowała, że odprowadzi go do furtki. Miał już zaprotestować, że jest to niepotrzebne, gdy zrozumiał, że dziewczyna chce powiedzieć coś jeszcze tak, by dziadek tego nie usłyszał.

A kiedy to powiedziała, ogarnęło go bezbrzeżne zdumienie. Na moment przed rozstaniem chwyciła go za ramię.

— Panie Peake... czy mogę mówić panu po imieniu? Ja jestem Alice, jak pan wie.

— Proszę bardzo — wyjąkał.

— Erneście, zrób wszystko co w twojej mocy dla pani Gibson, dobrze? To, co się jej przydarzyło, jest takie... takie łatwe do zrozumienia. W czasie wojny mogło się to przydarzyć każdemu. Mogło...

— Cofnęła się o krok, wyprostowała jak struna i spojrzała mu prosto w oczy.

— Mogło się przydarzyć i mnie.

— To znaczy

— Tak. Byłam kochanką Geralda. I zanim zapytasz, ani trochę nie czuję się jak kobieta upadła! Cieszę się, że mógł stać się w pełni mężczyzną, nim jego życie skończyło się przedwcześnie... Zaszokowałam cię? Jeśli tak, przepraszam.

Ernest spojrzał na nią, jakby widział ją pierwszy raz w życiu. Odczytał wyzywający upór w jej twarzy, spostrzegł zaciśnięte drobne dłonie, przypominał sobie, jak zadrżał jej głos, gdy uczyniła to wyznanie. Ku swemu zdumieniu usłyszał, jak mówi:

— Nie, Alice. Wcale mnie nie zaszokowałaś, ani trochę. Myślę jedynie, że ten twój Gerald był wielkim szczęściarzem.

— Dziękuję — szepnęła, podbiegła do niego i pocałowała go szybko w policzek, po czym pospieszyła z powrotem.

— Poczekaj! — zawołał Ernest.

— Nie mogę!

— Ale ja zapomniałem powiadomić Tinklera — mojego służącego! Powiedz mu, że wracam do domu!

— Dobrze! Oczywiście! Do widzenia!

W drodze do domu głowa Ernesta kręciła się niczym porwana wirem nieuporządkowanych wrażeń. Lecz najsilniejsze z nich było to, że po raz pierwszy w życiu (i w jakże nieoczekiwanych okolicznościach!) poznał kobietę odważniejszą od mężczyzny.

Przy kolacji jedynie siłą woli zmusił się do uprzejmości w stosunku do ciotki, rozmawiając —

tak długo, jak służąca była w tym samym pomieszczeniu — o swej wizycie na plebanii (co odrobinę ją udobruchało), o pięknie okolicy i swych niesprecyzowanych planach namalowania kilku pejzaży. Nie zdołał się powstrzymać przed uczynieniem paru zawołanych uwag o losie wiejskich społeczności w dzisiejszych czasach, lecz udało mu się uniknąć stwierdzeń bezpośrednio dotyczących dzieci Gibsonów czy jej odmowy pożyczania kosiarki drużynie krykietowej. Dopiero gdy podano kawę do salonu i zostali sami, skierował rozmowę na pierwszy z tych dwóch tematów.

Wtedy, przemawiając najbardziej zdroworoządkowym tonem, na jaki potrafił się zdobyć, zauważył, że pastor, a zwłaszcza panna Pollock, wydawali się bardzo niepokoić o los pani Gibson, a

szczególnie jej dzieci.

Jednak na sam dźwięk tego nazwiska twarz lady Peake zamarła, jakby była wy rzeźbiona z marmuru.

— Wyświadczyć mi uprzejmość i nie poruszaj więcej tej sprawy. Jest grzesznicą i musi zostać ukarana za swój grzech.

— Ależ ciotko, nie jest winą dzieci...

— Zamilcz, sir! Obowiązkiem osób obdarzonych władzą jest dbałość o przestrzeganie wartości chrześcijańskich. To właśnie czynię.

„Och, i po co to wszystko. Ale przynajmniej spróbowałem...”

— Pojmuję — powiedział po chwili milczenia. — Cóż, musisz mi wybaczyć, ciotko. Mam trochę pracy.

— Pracy?

— Tak — rzekł, odstawiając pustą filiżankę. — Dowiedziałem się dzisiaj między innymi o ceremonii majenia studni. W tym roku ma zostać przywrócona, a ja zaoferowałem, że przygotuję na nią kilka projektów dekoracji. — Wstał, kłaniając się lekko.

— Nie zrobisz niczego podobnego! — zagrzmiała ciotka. — To jawne pogaństwo!

— Tak sądzisz? — Ernest był w pełni świadom swego rozkołatanego serca, lecz nadal panował nad głosem. — Pastor jest przeciwnego zdania. Powiedział wręcz, że obyczaj ten z biegiem czasu uległ całkowitej chrystianizacji. A projekty, o których myślę, mają nie podważalny związek z Biblią. Miłego wieczoru, ciotko, a jeśli nie zobaczę cię przed pójściem spać, dobranoc.

Zamknął drzwi, zanim zdążyła ponownie wybuchnąć.

Gdy wrócił do swego pokoju i zatopił wzrok w kartce papieru, którą wyjął ze swej teczki, nagle stwierdził, że jego umysł jest równie pusty jak ta kartka. Ciągle wyobrażał sobie, w jak fatalnym nastroju musi teraz być pani Gibson, sama w swej położonej na uboczu chacie, być może otoczona zapłakаныmi dziećmi, nie wiedząc, czy za tydzień będą jeszcze mieli dach nad głową. Nadal tak siedział z ołówkiem w dłoni, gdy zjawił się Tinkler, by posłać łóżko, rozłożyć piżamę i przygotować ostatnią porcję waleriany. Ruszając, by zaciągnąć zasłony, zapytał ze współczuciem:

— Brak natchnienia, sir?

Odrzuciwszy ze złością ołówek, Ernest wstał i zaczął krążyć po pokoju.

— Tak — wymruczał. — Myślałem, że mam mnóstwo pomysłów. Myślałem na przykład, że mógłbym wykorzystać motyw trzech mędrców i ukazać sceny z różnych części Imperium, z których mogliby pochodzić. Moi ludzie zabrali mnie raz do kościoła w Goa w Indiach, gdzie mieszkańcy utrzymują, że nawrócił ich apostoł Tomasz. Widziałem też nabożeństwa w Singapurze i Hongkongu.

Byłem wtedy bardzo młody, ale nadal pamiętam wiele szczegółów. Ale to wszystko wydaje się — w jakiś sposób — nie na miejscu! — Opadając ciężko na krzesło, dokończył: — Rozmawiałeś z miejscowymi ludźmi znacznie częściej ode mnie. Jakieś sugestie?

Tinkler wahał się przez moment. W końcu odparł:

— Mam nadzieję, że nie pozwalam sobie zbyt wiele, sir...

— Wykrztuś to wreszcie!

— Sir, czy w Nowym Testamencie nie znajdują się opowieści bardziej pasujące do obecnej sytuacji? Na przykład ta o jawnogrzesznicy?

Przez chwilę Ernest siedział jak rażony piorunem. Potem klasnął w dłonie.

— Oczywiście! I Maria Magdalena, i ta kobieta, która spotkała Jezusa przy studni! To ci dopiero trafne! Pod nocnym stolikiem leży Biblia, zgadza się? Podaj mi ją, bądź tak miły.

Wykonując polecenie, Tinkler powiedział:

— Będzie pan miał jeszcze jakieś życzenia?

— He? Och, nie, nie dzisiaj. Możesz iść do łóżka.

— Dziękuję, sir. Dobranoc.

I już go nie było, choć, co niezwykle, zapomniał zasłonić kotary.

Gdy kościelny zegar wybił wpół do dwunastej, Ernesta otaczał tuzin schematycznych szkiców. Nie mając okazji obejrzeć obiecanych zdjęć dzieła pana Fabera, nie wiedział, czy te rysunki będą odpowiednie, lecz miał niejasne przeczucie, że przypadną wszystkim do gustu, gdyż w tle każdego z nich udało mu się umieścić wyniosłą, obłudną postać wzorowaną na ciotce.

Początkowo zamierzał sportretować ją *en face*, lecz potem przyszły mu na myśl trudności związane z ukazaniem drobnych szczegółów w mozaice wykonanej z naturalnych materiałów osadzonych w glinie. Pozostał więc przy przedstawieniu jej odwróconej plecami do ludzi potrzebujących pomocy. Czyż tak nie było bardziej trafnie?

Ziewając i przeciągając się, odsunął rysunki i wstał. Odwróciwszy się do okna z zamiarem zaciągnięcia zasłon, zamarł w pół ruchu.

Za drzewami otaczającymi ogród z lewej strony majaczył złowieszczy, czerwony blask.

Przez chwilę myślał, że wzrok płata mu figle. Potem gwizdnął cicho.

— Tam pali się jakiś dom, niech mnie dunder świśnie, jeśli się mylę... Tinkler! Tinkler! —



zawołał i jedną ręką chwyciwszy blezer przewieszony przez oparcie krzesła, drugą gwałtownie pociągnął za sznur dzwonka.

Na podeście wpadł na swego ordynansa w nocnej koszuli. Tinkler wyglądał na zaspanego i zdezorientowanego, więc wytłumaczył mu pośpiesznie, co się dzieje.

— Załóż coś na siebie! Wyrzuć woźnicę z łóżka i każ mu budzić kogo się tylko da! W

Welstock nie ma wozu strażackiego, prawda?

— Chyba musi przyjechać z sąsiedniej wioski, sir.

— W takim razie niech wezmą wiadra i drabiny. Lepiej też obudzić doktora Castle'a, mogą być ranni.

— Gdzie się pali, sir? — zapytał Tinkler.

— Gdzieś w tamtej stronie, ale traficie bez trudu. Ja pobiegnę przez plebanię i każę bić w dzwony... Coś nie tak?

Z tamtej strony majątku jest tylko jeden dom, sir. I należy do pani Gibson.

— Co to za piekielny harmider? — zapytał nagle srogimi głosem. Zza uchylonych drzwi sypialni wyglądała ciotka.

— Pali się, a Tinkler twierdzi, że to u Gibsonów!

— Nie widział miny ciotki, lecz potrafił ją sobie wyobrazić. Głównie dlatego, że usłyszał, jak mówi:

— W takim razie to dopust Boży.

— Co takiego? — Ogarnięty niepokonowaną wściekłością, postąpił krok w jej stronę. Tinkler jednak złapał go za ramię.

— Alarm, sir — dzwony! To jest teraz ważne.

— Tak. Tak, masz słuszność. Reszta może zaczekać. Ale nie na długo...

Pokuśtykał po schodach i wybiegł w wiosenną noc, przez ogród i do plebanii. Tam dym gryzł już w oczy, słyhać też było odległe krzyki.

Krzycząc i waląc w dębowe drzwi, zdołał obudzić uzbrojoną w pogrzebacz kobietę w średnim wieku, która musiała być panią Kail. Wyrzucił polecenia, jak gdyby ponownie instruował swych ludzi przed atakiem wroga: teraz zróbcie to, potem to, potem przyjdźcie tu i pomóżcie. Następnie pośpieszył dalej, przedzierając się przez krzaki prosto ku płonącej chacie. Zanim tam dotarł, z dzwonnicy dobiegał już nierówny dźwięk.

Pożar najwyraźniej zaczął się w źle wyremontowanym kominie, jako że stamtąd wciąż jeszcze wydobywała się większość dymu. Lecz teraz paliła się też strzecha wokół niego. Na dworze stała przerażona i zapłakana trójka skąpo odzianych dzieci. Gdzie ich matka?... Dostrzegł ją przez otwarte drzwi, jak usiłowała uratować nędzny dobytek. Po chwili wybiegła, trzymając w ramionach kłęb drobiazgów, kaszląc, dławiąc się i roniąc łzy z zaczerwienionych oczu. Miała na sobie jedynie ubrudzoną lnianą koszulę.

Kuśtykając, krzyknął, by nie wchodziła ponownie do środka, lecz najwyraźniej go nie usłyszała i musiał odciągnąć ją siłą od domu. Walczyła, by wyrwać się z jego uchwytu, lamentując.

— Zaalarmowałem wszystkich! Pomoc zaraz tu będzie! Zajmij się dziećmi!

Z tyłu rozległ się trzask łamanych patyków, z ulgą więc odwrócił się ku pierwszemu z zapowiedzianych ratowników, którego w mroku uznał za młodego mężczyznę.

— Zobacz, czy uda ci się znaleźć drabinę. Zanim nie przyjedzie wóz strażacki, musimy utworzyć łańcuch ludzi z wiadrami. Skąd możemy czerpać wodę... Alice?!

Ku jego zdumieniu była to właśnie ona. Włożyła, całkiem praktycznie, buty, spodnie i stary sweter. Kobiety w spodniach czy bryczesach stanowiły dosyć zwyczajny widok podczas wojny, lecz od jej zakończenia nie widział ani jednej w takim stroju, a już na pewno nie spodziewał się, że zobaczy jakąś w Welstock. Wciąż stał zdezorientowany, gdy nadbiegły kolejne niewyraźne postaci z wiadrami i bezcenną drabiną.

— Ja zaopiekuję się nią i dziećmi — powiedziała Alice. — Zabiorę je na plebanię i uspokoję.

Ty zajmij się organizacją. Z tyłu domu jest pompa.

Jej opanowanie ostudziło jego rozszalałe myśli. Wydał szybkie rozkazy. Gdy wóz strażacki pokonał wyboistą ścieżkę będącą jedyną drogą dostępu do zabudowań, ocalałą część strzechy zlano obficie wodą, a mimo dymu zmieszanego z parą woźnica Roger, pierwszy na szczycie drabiny, zaczął polewać płonące krokwie.

Widząc, że ludzie z węzami strażackimi już zajęli się dachem, Ernest poczuł nagle, iż ma oczy pełne łez. Częściowo niewątpliwie było to wywołane dymem, lecz znacznie więcej łez płynęło z powodu tej małej tragedii, kolejnego ciosu spadającego na niewinną ofiarę.

— Możesz już iść — odezwał się cichy głos u jego boku. — Dokonałeś cudu. Bez ciebie to miejsce byłoby jedną wielką ruiną.

Zapuchniętymi oczyma spojrzął na Alice. Zresztą nie on jeden. Teraz kiedy już nadeszła pomoc, ochotnicy także się na nią gapili, a na paru twarzach malowała się dezaprobatą, jakby mówili: „Ona, w spodniach? Oburzające!”

Wyobraził sobie te słowa wypowiedziane głosem ciotki i wspomniał, co o błysku w jej oczach powiedział Tinkler... A gdzie on właściwie jest? A, tam, rozmawia z jednym ze Stoddardów.

— Nie chcę wracać pod dach tej kobiety — powiedział, zanim zdążył się zastanowić. —

Wiesz, co powiedziała, kiedy usłyszała, że pali się dom pani Gibson. Powiedziała, że spadł na nią dopust boży!

— Nie musisz — odparła Alice. — Nie dzisiaj. Przygotuję ci łóżko na plebani. I kąpiel.

Przyda ci się.

Dopiero teraz Ernest spostrzegł, że jest umorusany od stóp do głów.

I kompletnie wyczerpany.

— Dobrze — mruknął. — Dzięki. Daj znać Tinklerowi.

\*

O dziwo, przez resztę nocy, pierwszy raz od lat, spał bez przerażających snów.

Na dworze było jasno. Po otwarciu oczu ujrzał, że leży na wąskim łóżku, w małym pokoiku na poddaszu, ubrany — wielkie nieba — zupełnie nagi. Nagle powróciły wspomnienia. Alice przeprosiła go, gdyż dziadek już się z powrotem położył, a ona nie chciała mu przeszkadzać, zakradając się do jego pokoju w poszukiwaniu zapasowej koszuli nocnej. Zamiast tego wręczyła mu duży ręcznik, który powinien mu wystarczyć do zakrycia się po drodze z łazienki.

Ktoś wszakże wślizgnął się do pokoju, kiedy on spał. Na krześle znalazł własne, starannie ułożone ubranie, a pod nim czekała na niego para butów.

„Niech ci Bóg wynagrodzi, Tinkler!”

Nagle stwierdził, że umiera z głodu. Podniósł się i pospiesznie ubrał, po czym zszedł na dół, kierując się intuicją. Dom był stary i dość chaotycznie rozplanowany, było w nim wiele mylących przejść i klatek schodowych, lecz w końcu natrafił na hali z drzwiami wejściowymi —

oraz na pana Pollocka.

— Dzień dobry, młodzieńcze! Alice opowiedziała mi, jaką wspaniałą robotę wykonałeś ostatniej nocy!

Ernest wzruszył ramionami z zażenowaniem.

— Po prostu najwyraźniej jako jedyny jeszcze nie spałem. Dostrzegłem pożar zupełnie przypadkowo.

— Z racji mego zawodu — mruknął pastor — zwykłem nie rozumować w kategoriach

„przypadku”... Zapewne ucieszy pana wiadomość, że Gibsonowie mają się dziś nie najgorzej; pani Kail się nimi zajmuje. Ale o tym porozmawiamy później. A tymczasem co by pan powiedział na

śniadanie?

— Ja mu je podam — powiedziała Alice, pojawiając się w jednych z wielu drzwi hallu.

Wyglądała zadziwiająco świeżo, wzięwszy pod uwagę przeżycia minionej nocy. Spoglądając na nią — tego ranka miała na sobie brązową suknię, równie prostego kroju co poprzednio szara —

Ernest zdziwił się, jakim cudem, choćby przez chwilę i mimo spodni, mógł wziąć ją za chłopca.

— Nie ma takiej potrzeby — zaproponował. — Tinkler może...

— Tinkler poszedł po resztę twoich rzeczy.

Spojrzał na nią nie rozumiejącym wzrokiem. Pastor wyjaśnił:

— Mam nadzieję, że się pan nie zdenerwuje, panie Peake, ale... pamiętam, że powiedział pan, iż nie zamierza spędzić kolejnej nocy w domu pańskiej ciotki?

— Ja... No, tak, rzeczywiście.

— Wygląda na to, że pańskie uczucia są odwzajemnione. Z samego rana otrzymałem list od jaśnie pani mówiący, że jeśli będę się starał zrealizować zamiar wznowienia majenia studni, doniesie na mnie do mojego biskupa, by ten mnie zdyscyplinował. Najwyraźniej wplątuję pana, duszę już zagrożoną potępieniem, w pogańskie rytuały, które nieodwołalnie pošlą pana do piekła.

Na szczęście... — zwyczajowy, blady uśmiech — tak się składa, że wiem, iż mój biskup jest, tak jak ja, swego rodzaju antykwariuszem, i zapobiegawczo powiadomiłem go o moich zamiarach.

Mogę więc z całą pewnością przewidywać, że odda swój głos za mną.

— Musisz nam wybaczyć, Erneście — powiedziała Alice. — Ale pozwoliliśmy sobie na jakiś czas zaplanować za ciebie twoje życie. Skonsultowaliśmy się z panem Tinklerem, a on zgodził

się z naszą opinią, że łatwiej będzie ci skoncentrować się na projektach dekoracji studziennych tutaj niż w Welstock Hall. Czy bardzo ci to przeszkadza?

— Czy to mi przeszkadza? — wybełkotał Ernest. — Oddałbym wszystko, żeby wydostać się z tamtego... tamtego gniazda gorgony! Nie potrafię wyrazić mojej wdzięczności!

— Wielu jest — powiedział pastor sentencjonalnie — ludzi w Welstock tego ranka, którzy są równie wdzięczni panu... Alice, kochanie, czy nie obiecywałaś panu Peake'owi jakiegoś śniadania?

— Oczywiście. Zaraz. Proszę ze mną!

Ernest nie mógł uwierzyć w transformację, jakiej uległo jego życie. Około południa złożyła mu wizytę deputacja z wioski — musiał użyć takiego określenia, gdyż bardzo zależało im na uczynieniu tego w jak najbardziej oficjalny sposób — a przewodził jej Hiram Stoddard, który od razu przeprosił

w imieniu swego brata prowadzącego pub, Henry Ames, który niemal z dnia na dzień został zaakceptowany jako pełnoprawny członek lokalnej społeczności, i wreszcie stary Tatton, który wielokrotnie podkreślał, że trzeba by czegoś więcej niż zwykły reumatyzm, aby zmusić go do pozostania w domu. Najwyraźniej był jakimś dalekim kuzynem Gibsonów; pewnie tak jak wszyscy, pomyślał zgryźliwie Ernest.

W salonie złożyli mu formalne podziękowania zakończone trzykrotnym uroczystym okrzykiem, co wyglądało dosyć śmieszne, jako że było ich tylko ośmiu, lecz intencje mieli szczerze. Starając się nie wyjść na niewdzięcznika, zdołał w końcu skierować rozmowę na bardziej interesujące go tory i posłał Tinklera po swoje szkice.

— Oczywiście nadal nie widziałem jeszcze zdjęć pańskiego brata, panie Stoddard —

powiedział, nieśmiało wyciągając z teczki rysunki. — Ale czy coś takiego by się nadało?

Zauważcie — przy pomniął sobie i świadomie powtórzył uwagę Tinklera — że w pewien sposób bardziej pasują do niedawnych wydarzeń w tej okolicy.

Przez chwilę najwyraźniej nie pojmowali aluzji. Wtedy, niespodziewanie stary Tatton załomotał laską o podłogę.

— To jest to! — wykrzyknął. — Czyż to nie na jej cześć mamy studnie? Będzie zadowolona.

Czyż one wszystkie nie ukazują dam?

Ernest miał właśnie skomentować niefrasobliwie — lekkomyślnie? — że „dama” nie jest najtrafniejszym określeniem dla kogoś pokroju Marii Magdaleny, gdy zorientował się, że zabrzmiałoby to fałszywie. Z całkowitą powagą wszyscy kiwali potakująco głowami.

— Sir, podkłady będziemy mieli przycięte do końca tygodnia — oznajmił Hiram. — I urobimy glinę. Czy zechciałby pan nam powiedzieć, jakie kolory pan sobie zaplanował, tak byśmy mogli posłać młodych na zbieranie odpowiednich materiałów?

— Jeszcze nie skończyłem nad tym pracować — przyznał Ernest. — Ale mogę wam to powiedzieć w ogólnych zarysach. Na przykład...

I spędził dobry kwadrans na objaśnieniach. Dopiero kiedy wyszli, uzmysłowił sobie coś dziwnego i niepokojącego.

Na każdym z trzech projektów centralna postać kobieca była niezwykle podobna —

przynajmniej w jego wyobraźni — do Alice Pollock.

Co powiedział stary Tatton? Że „ona” na pewno będzie zadowolona. Lecz z całą pewnością musiał mieć na myśli inną „oną”...

Ponownie opadły go znajome wątpliwości. Tym razem wszakże przegnał je, będąc święcie

przekonany, że nareszcie znalazł wartościowe zajęcie.

— Zapewne ucieszy pana wiadomość — powiedział pastor pod czas lunchu kilka dni później

— że eksmisja Gibsonów może okazać się trudniejsza, niż sądziła lady Peake.

Ernest, który już niemal wcale nie myślał o ciotce, za to wiele o studniach, otrząsnął się z zamyślenia.

— To znaczy? — zapytał.

— Dowódca strażaków gaszących pożar sporządził raport, którego jeden egzemplarz miałem sposobność widzieć dziś rano. Twierdzi, że komin domu Gibsonów od dawna nie był

naprawiany, co było obowiązkiem nie lokatora, a właściciela. Znaczna część dobytku Gibsonów uległa uszkodzeniu, nawet i nieodwracalnie. Jeden z moich siostrzeńców jest prawnikiem i poinformował mnie, że to może stanowić podstawę do wniosku o odszkodowanie.

— Czyli że Gibsonowie być może uzyskają jakieś pieniądze od mojej ciotki?

— Pogorzelnicy rozlokowali się w jednej ze stajni przy plebanii, ale chociaż w cieplejsze dni było to rozwiązanie zadowalające, ich pobyt tam nie mógł trwać w nieskończoność.

— Krew z kamienia — westchnęła Alice. — Ale spróbować warto.

— Chciałem jeszcze o coś zapytać — zawołał Ernest. — Przepraszam, że zmienię temat, ale co powiedział biskup?

W oczach pana Pollocka zamigotała złośliwa iskierka.

— Ryzykując, że przemawia przeze mnie próżność, śmiem stwierdzić, że znam moich przełożonych o tyle lepiej niż jaśnie pani, o ile lepiej niż ona orientuję się w twierdzeniach doktryny wiary. Posunął się aż do zapytania mnie, dlaczego dopuściłem do zaniku tak interesującego obyczaju.

— Będzie zadowolona — wymruczał Ernest.

— Przepraszam?

— Nie... nic. Cytuję jednego z wieśniaków, jednego z ludzi, którzy doradzali mi przy moich projektach dekoracji. A tak nawiasem mówiąc, nie podzielam pańskiego przekonania, że w Welstock zapomniano o opiekuńczym duchu wody. Ale o tym możemy porozmawiać kiedy indziej. Teraz proszę przypomnieć mi, kiedy przypada święto Wniebowstąpienia. Odkąd się tu przeprowadziłem, mam problemy ze śledzeniem upływu czasu.

— W przyszły czwartek — podsunęła Alice.

— Naprawdę! W takim razie lepiej powiem im, żeby się wzięli do galopu!

— Nie.

— Przepraszam...?

— Powiedziałam nie — odrzekła z uśmiechem. — Tak bardzo im na tym zależy, że z pewnością nie dopuszczą do opóźnienia. Wszystko, czego ci trzeba, będzie gotowe na czas, mogę to obiecać.

Tego wieczoru podczas poobiedniego spaceru w ogrodzie odważył się pocałować ją pierwszy raz. A w niedzielę poszedł do kościoła i usiadł obok niej, czerpiąc satysfakcję ze wściekłych spojrzeń ciotki.

W jej oczach znów pojawił się ten blask, i jego wspomnienie sprawiało, że przebiegały go dreszcze.

Studnie, które przyciągnęły pierwszych osadników na miejsce, gdzie teraz stała wioska, powinny raczej być nazywane źródłami. Pierwsza, którą odwiedził, najbardziej przypominała studnię, miała kamienną cembrowinę i prowizoryczne przykrycie z blachy falistej, lecz nigdzie nie dostrzegł ani żurawia, ani wiadra na łańcuchu. Druga stanowiła jeszcze większe rozczarowanie, gdy z jej woda skierowana została do pompy na głównym placu, dalej do publicznych ujęć w okolicy i wreszcie do poszczególnych domów. Obecnie tylko odizolowane domostwa — takie jak chata Gibsonów — nie miały w kuchni przynajmniej zimnej wody. Co się tyczy trzeciej studni dostarczającej wodę do tej części wioski, która była położona najbliżej Welstock Hall, to całkowicie przykryto ją kamiennym oblicowaniem szlaku wiodącego do kościoła. (Znajdowały się jeszcze dwie, na terenach Welstock Hall i plebanii, lecz nie były one łatwo dostępne do powszechnego użytku... ani majone na święto Wniebowstąpienia.) Wspierając się na lasce, jakby naśladował swego przewodnika, starego Tattona, którego czasami ciężko mu było zrozumieć, odezwał się ostrożnie:

— Trudno sobie wyobrazić, że tu w głębi bije źródło, co?

— Ależ ono tam jest! — padła szybka odpowiedź. — Proszę nie podchodzić za blisko, sir.

Dobrze pamiętam, kiedy ostatni raz naprawiano pokrywę — teraz jest cała przegniła i porośnięta trawą. — Wskazał laską miejsce u podstawy cembrowiny. — Była najgłębsza ze wszystkich. Po wielokroć ją rozkopywaliśmy i poprawialiśmy dachówki.

— Dachówki?

— Nie widać ich, ale one tam są. Pamiętam, jak pomagałem je naprawiać. Widziałem, co tam jest. Jeno kilka dachówek. Ach, ale co za zaprawa! Najlepsza! Pan murarz Howard ją mieszał.

Ale tak to już jest. Nic nie trwa wiecznie, prawda? Wielokrotnie ją jeszcze potem naprawialiśmy.

Ona nie lubi, gdy się ją zaniedbuje, o nie.

Dość odważnie Ernest wtrącił:

— Ona?...

— Ach, to stare opowieści, sir. Snute czasami przy kominku. Nie warto marnować takiego ładnego dnia na gadaninę... I co pan myśli o zmianach, jakie zrobiono, by dopasować pańskie rysunki do podkładów?

— Uważam, że w tej wiosce mieszka więcej utalentowanych ludzi, niż się przypuszcza —

odparł szczerze Ernest. — Równie dobrze mogli sami coś przygotować. Nie sędzę, by mnie potrzebowali.

— Ach, sir! — Stary Tatton ponownie oparł się mocno na lasce, patrząc towarzyszowi prosto w oczy. — Tu się pan myli. Za pozwoleniem. To właśnie pan był nam potrzebny.

I zanim Ernest zdążył zapytać, co chciał przez to powiedzieć, spojrzał na stary kieszonkowy zegarek.

Czas ucieka, sir. I nie czeka na nikogo, jak powiadają.

Jedną chwilkę! — wykrzyknął Ernest. — Kiedy powiedziałaś „ona”, miałaś na myśli...

Nic więcej nie powiem, sir — mruknął stary. — Jedni wierzą, inni nie. Choć kiedy mieszka się w Welstock tak długo jak ja...

— Ja nie musiałem... — zaczął Ernest.

Tym razem to Tatton oniemiał.

— Czy dobrze pana rozumiem, sir? — zapytał.

— Mam nadzieję. — Cofnął się o krok czy dwa i spojrzał na Welstock Hall, rysujący się wyraźnie na tle jasnego nieba. — Ona bywa łagodna, lecz potrafi też być okrutna. Zgadza się?

— Stary Tatton nie mógł znaleźć słów. W końcu się przełamał.

— Wiedziałem! — wybuchnął. — Nie mógłby pan narysować tych obrazów bez...

— No? Mów dalej — zawołał niecierpliwie.

— Reszta nie do mnie należy, sir, musi ją pan sam odkryć. Tak jak my wszyscy. Ale powiem panu jedno: jest pan na właściwym tropie. Do widzenia!

— Co też chciał przez to powiedzieć? — zapytał z irytacją Ernest po obiedzie tego samego dnia.

— Może mówił o naturze? — podsunęła Alice.

— To możliwe, ale...

— Uosobienie natury? Sugerowałaś, że nie wierzysz w zapewnienia dziadka, że całkowicie zapomnieli, skąd się wziął zwyczaj majenia studni.



To by pasowało — przyznał. — Ludzie zawsze mówią „matka” natura, nie? Chociaż...

— Co takiego? Wziął głęboki oddech.

— Mieszkając tutaj, z dala od Welstock Hall, choć pamiętam, co robiła i mówiła moja ciotka, niezwykle trudno mi uwierzyć w okrutną stronę jej natury.

— Nie mówisz o swojej ciotce — stwierdziła spostrzegawczo Alice.

— Nie.

— Ale ona także jest jednym z aspektów kobiecości.

— Nie potrafię tak o niej myśleć!

— A jak w takim razie wytłumaczysz Kali — Kali Durga? Zaskoczony zapytał: Skąd o niej wiesz?

— Z biblioteki dziadka, ma się rozumieć. Wychowałeś się w Indiach, w miejscu, gdzie nigdy nie byłam i najprawdopodobniej nigdy nie będę, a nie ukrywam, że chcę poznać cię lepiej. Od czegoś musiałam zacząć. Dziadek ma dużo książek o pracy misjonarskiej za granicą... Byłeś kiedyś świadkiem którejs z poświęconych jej ceremonii?

— Nie, i raczej jestem z tego zadowolony!

— Myślę, że mnie by to interesowało — pod warunkiem, oczy wiście, że mogłabym jedynie przyglądać się z daleka... Ale czy przyznajesz mi słuszność? Tyle milionów ludzi, wiodących znacznie bardziej prymitywne życie od nas — a przynajmniej my tak uważamy — wie, że natura potrafi być zarówno okrutna, jak i łagodna.

— Tak, oczywiście. Ale jeśli myślisz o majeniu studni...

— Co siedem lat składano ofiarę z człowieka, tak powiedział dziadek. W tym roku pan Ames zaoferował prosiaka. Słyszałeś kiedyś kwik szlachtowanej świni...? Och, to chyba uwaga nie na miejscu. Ciągle zapominam, bo jesteś takim sympatycznym człowiekiem. Ty słyszałeś jęki konających ludzi, prawda?

— Czy... — Nagle zaschło mu w ustach, jak gdyby musiał stawić czoło niespodziewanemu rywalowi. — Czy Gerald ci o tym opowiadał?

— Komuś musiał.

— Tak. Tak, oczywiście. — Ernest zwilżył wargi czubkiem języka.

— Ty nikomu nie opowiadałeś? Może Tinklerowi?

— Jemu nie muszę. Przeszliśmy przez to razem.

„Błysk w oczach ciotki, jak u tamtego generała — i on też go rozpoznał...”

— To może doktorowi?

— Lekarze, z którymi rozmawiałem, nie doświadczyli tego. Może potrafią to sobie wyobrazić, ale nigdy tego nie widzieli.

— Ale przecież lekarze na pewno widują umierających ludzi. Czasami w straszny sposób. W wypadkach kolejowych, na przykład — albo w pożarze domu. A co gorsza, po nieudanych operacjach.

— Wypadkowi nie można zapobiec. Wojna to działanie celowe.

— Tak, oczywiście... A więc nie znalazłeś nikogo, komu mógł byś o tym opowiedzieć?

Pokręcił głową.

— To może ja? — Chwyliła go za rękę i, nie napotykając oporu, posadziła w fotelu. —

Wiem, że uważasz Indie za kraj, w którym nic się nie zmienia, ale i w Anglii nie zmieniło się o wiele więcej, niż ludzie gotowi są przyznać. Pod otoczką „tradycji” i „dawnych zwyczajów” kryją się przesady niegdyś będące częścią wierzeń religijnych. Czy centralna tajemnica chrześcijaństwa nie odnosi się do ofiary z człowieka? A skoro już o tym mowa, to komunia oznacza symboliczny kanibalizm.

— Co by powiedział twój dziadek, gdyby...?

— Gdyby usłyszał coś takiego z moich ust? Oskarżyłby mnie o plagiat.

— Chcesz powiedzieć, że to on...

— Jest człowiekiem o bardzo szerokich horyzontach. Nie zauważyłeś? Jak myślisz, dlaczego mogę spędzać tak wiele czasu bez przyzwoitki?

W spojrzeniu Ernesta załśniło rozpaczliwe pytanie, którego nie śmiał ubrać w słowa.

— Potrafię odczytać myśli z wyrazu twojej twarzy — wyszeptała Alice. — Czy wiedział o mnie i Geraldzie? Nie wiem. Nigdy nie pytałam. Nigdy nie zapytam. Zapewne się domyślił, ale zawsze traktował mnie tak samo, a gdy nadeszła smutna nowina — drzenie w jej głosie — był

wspaniały... Jesteś zazdrosny o Geralda?

— Nie. Czasami aż mnie to dziwi. Ale nie potrafię. Czasami żałuję, że go nie znałem. Myślę, że zostalibyśmy przyjaciółmi.

— Ja też tak myślę. — Ścisnęła jego dłoń. — Teraz opowiedz mi to wszystko, czego nie umiałeś

nikomu opowiedzieć.

— Spróbuję — wyszeptał. — Spróbuję...

I słowa potoczyły się rwącym strumieniem, jak ropa z przeciętego wrzodu: zapamiętane i wyobrażone potworności, obrazy z pogranicza zbudzonych do życia koszmarów i rzeczywistości stającej się koszmarem; jak to było wiedzieć, że wykonuje się rozkazy szaleńca i że nie ma od tego ucieczki; wyrzygiwać flaki w chmurze trującego gazu; widzieć ciała towarzyszy rozkładające się w zgniliznie przesiąkniętych wodą okopów; ścisnąć czyjąś dłoń, wiedząc, że to ostatni raz, gdyż bezlitosny rachunek prawdopodobieństwa przewidywał, że jeden z was zginie przed zachodem słońca; celować do nieprzyjacielskiego snajpera usadowionego na drzewie albo dzwonnicy równie beznamytnie, jakby to był siedzący królik, i nie pamiętać, że cel jest takim samym człowiekiem jak ty, dopóki z celownika nie znikną trzepoczące bezwładnie ramiona...

I nie kończące się wycie i huk pocisków armatnich, grzechot karabinów maszynowych, zgiełk, piekielny zgiełk zagłuszający nawet ptaki w spustoszonej przez człowieka krainie.

Siedziała cicho, bez słów, pobladła w słabnącym świetle dnia, ani na moment nie puszczając jego dłoni, choć chwilami ścisnął jej palce jak w imadle. Kiedy skończył, płakał, a łzy zbiegały mu po policzkach niczym owady.

Jednak czuł się oczyszczony. A ona przytuliła go mocno i scałowała jego łzy, po czym powiedziała:

— W tysiąc dziewięćset siedemnastym poznałam pewną kobietę, która przyjechała do Welstock Hall. Odwiedziła nas i chwaliła się swoim „wkładem w wysiłek wojenny”. Polegał na wręczaniu białych piórek mężczyznom w cywilnych ubraniach. Pamiętam, że bardzo chciałam ją porwać i posłać na front jako sanitariuszkę.

Zupełnie nieoczekiwanie powiedział:

— Kocham cię.

— Wiem — odpowiedziała. — Cieszę się.

— Ty... wiedziałaś?

— Och, mój kochany! — Puściła wreszcie jego dłoń i wyprostowała się, zanosząc się śmiechem. — Tego nigdy nie nauczyłeś się ukrywać! Przez cały tydzień w izbie służebnej nie rozprawiano o niczym innym, w całej wiosce zresztą też, jak sądzę. Podobno twoja ciotka jest dogłębnie zgorszona, lecz po klęsce u biskupa...

— Przestań, na litość boską! W głowie mi się od tego kręci! Natychmiast przybrała skruszoną minę.

— Oczywiście. To musiało być dla ciebie ciężkie przeżycie tak się otworzyć. Powinnam była zaraz zostawić cię w spokoju. Ale... — podniosła się i ruszyła do drzwi — jeśli komuś przyśni się koszmarny sen tej nocy, lepiej bym była to ja, choć żałuję, że tam nie byłam i nie mogłam pomóc.

I zniknęła równie nagle jak uosobienie...

„Teraz wiem, kim jest ta, o której mówił stary Tatton”. Ta myśl nieproszona przebiegła mu przez głowę. Wydawała się odbijać echem od wód zalegających pod wzgórzem, słowa z dzieciństwa zadźwięczały w jego umyśle: *wody pod ziemią*...

Wtedy przypomniał sobie Kali, w girlandach z ludzkich czaszek, i nie zdołał opanować drżenia rąk.

— I co, panie Erneście? — zapytał Hiram Stoddard. — Co pan sądzi o tym, co zrobiliśmy z pańskimi szkicami? Obeszliśmy się z nimi jak należy?

Ernest spojrział na trzy wielkie tablice, na których odtworzono jego projekty, wciskając w białą, miękką glinę najprzeróżniejsze naturalne drobiazgi. Jedna część jego umysłu pragnęła powiedzieć, że nie tak sobie wyobrażał tę transformację w kości, liście, szyszki i pióra — lecz druga, zapewne dojrzała i mądrzejsza, natychmiast zaaprobowała ją. Na przykład to, jak pomysłowo pojęli implikacje starszej kobiecej postaci, pogardliwie odwróconej od centralnej figury i nazywającej ją grzesznicą zasługującą na karę. W gruncie rzeczy uzyskano znacznie więcej przez odjęcie części elementów.

Uświadomił sobie nagle, iż żywiona wobec ciotki niechęć sprawiła, że zbyt wielkie znaczenie nadał odwzorowaniu jej postaci. Teraz, oglądając rozstawione przed nim obrazy, spostrzegł, że wieśniacy pozostawili ją jako znaczący element na tym, który jutro pobłogosławiony zostanie jako pierwszy, pomniejszili na drugim i umieścili osamotnioną w rogu trzeciego, który miał

stać na studziennej drodze.

„Może to i prymitywne — pomyślał — ale wielu najznakomitszych francuskich artystów, jak i niejeden z naszych, w ostatnich latach zwróciło się ku sztuce ludów nie tyle prymitywnych, co wręcz dzikich. Może spowodowane to jest zdziwieniem, jakie zdołaliśmy wyzwolić w sobie my, którzy zwiemy się narodami cywilizowanymi... Tak, mają słuszość. Te zmiany były potrzebne”.

Na głos powiedział coś bardzo zbliżonego, a wtedy ci, którzy z niepokojem oczekiwali w pobliżu, odetchnęli z ulgą i ruszyli, by zamontować tablice we właściwych miejscach, tak by były gotowe na jutrzejszą ceremonię. Dopiero w ostatniej chwili stwierdził, że musi popatrzeć jeszcze raz.

Zatrzymawszy się z konsternacją, gdy przywołał ich z powrotem, wszyscy czekali na jego ostateczny werdykt.

Ale wszystko było jak należy. Już przedtem wiedział, że podobieństwo między centralną kobiecą postacią a Alice zostało skutecznie ukryte dzięki naturze samego tworzywa: kamykom zastępującym oczy, gałązkom i liściom w miejscu włosów. Przez chwilę wszakże niepokoił się, że zbyt wiele swych cech włożył w drugą centralną postać, Jezusa...

— Niech się pan nie martwi, sir — mruknął stary Tatton, stukaniem laski obwieszczając swe przybycie. — Pan to rozumie. Nie potrzebował pan moich wyjaśnień.

Po czym odszedł, zanim Ernest zdążył odpowiedzieć, a mężczyźni niosący obrazy, eskortowani przez

grupkę wiwatujących dzieci i pannę Hicks, nauczycielkę, która wykorzystała tę okazję do odbycia lekcji historii na świeżym powietrzu, wyruszyli w kierunku studni.

Tej nocy długo nie mógł zasnąć, niemal jak w przeddzień swej pierwszej samodzielnej wystawy, którą wyobrażał sobie w Indiach jako chłopiec, podziwiając obrazy wyczarowane z masła, liści i płatków podczas hinduistycznych festiwali. Dlaczego wcześniej nie dostrzegł tego związku? Może przesłoniła go stalowa kurtyna wojny. Teraz jednak wyczuwał pulsowanie samego krajobrazu, jak gdyby pierwotne siły wzbierały pod ziemią.

*Wody pod ziemią...*

Obudził się przerażony w ciemności, czując się tak, jakby stary solidny dom kołysał się niczym arka Noego, i po omacku zaczął szukać zapalek na nocnym stoliku. W Welstock Hall mieli generator, plebanię jednak nadal oświetlano lampami i świecami. Gdy mógł już widzieć otoczenie, wydusił z siebie słabym głosem:

— Alice!

Lekko trzasnęły za nią drzwi. W cienkiej koszuli nocnej i boso prześlizgnęła się przez pokój, jakby wiedziała, które deski mogą skrzypnąć, i starała się je ominąć.

— Nie zamierzałam przychodzić — powiedziała zamyślonym głosem, jakby dziwiąc się własnemu postępowaniu. — Przynajmniej jeszcze nie teraz. Dopiero jutro, gdy będzie po wszystkim. Ale nie mogłam się powstrzymać. Czy czujesz, jak coś się zmienia, Erneście?

Zapałka sparzyła mu palce. Dotykiem powstrzymała go przed zapaleniem następnej i odłożyła pudełko z powrotem na stolik. Upadło na podłogę, grzechocząc. Coś jeszcze upadło, szeleszcząc cicho, a potem nagle znalazła się obok niego, oplatając swe ręce i nogi wokół jego ciała.

— Czujesz, jak coś się zmienia? — nie ustępowała.

— Wydaje mi się, że cały świat się zmienia!

— Być może tak właśnie jest. Ale nie na gorsze. Przynajmniej nie teraz... Och, ukochany.

Byłeś w piekle, ale teraz witaj w domu!

Jej dłonie mocowały się z jego piżamą, a po chwili istniał już tylko smak i zapach miłości, jej napięcie i rozkosz.

— A jeśli... — powiedział później w ciemność. Natychmiast pojmując, do czego zmierza, przerwała mu.

— To co? Ożenisz się ze mną, mam nadzieję?

— Oczywiście. Ale mimo to... Zamknęła mu usta palcem.

— Nie zapominaj, że w tej części świata przetrwały stare zwyczaje. Na przykład, czy spotkałeś tu kogoś, kto potępiłby panią Gibson?

— Jedyne moją ciotkę.

— A czy ktoś powiedział ci, ile czasu po weselu pani Gibson urodziła swego pierworodnego?

— Och... nie!

— Musiał zostać poczęty na krótko przedtem, dokładnie siedem lat temu. Pobrali się dopiero wtedy, gdy dostał powołanie, choć zaręczeni byli od dawna. Drugie urodziło się po jednej z jego przepustek, a o trzecim wiesz. Ludzie traktują to jak coś naturalnego. Niektórzy być może pomyślą o nas nieżyczliwie. Ale nie ja. Oni zresztą też nie.

— Nigdy nie będę myślał o tobie nieżyczliwie! Przenigdy! — Przypieczętował tę obietnicę ognistym pocałunkiem.

— Nawet jeśli się teraz wymknę?

— Alice, kochanie...

— Nie mogą mnie tu zobaczyć rano, prawda? Choćby dziadek był nie wiem jak tolerancyjny!

Nie, musisz pozwolić mi odejść. — Od razu też zamieniła słowa w czyny, wyślizgując się z łóżka i przywdziewając nocną koszulę. — Przed nami całe życie. Nie roztrwońmy go przedwcześnie.

— Masz rację — westchnął. — Chciałbym mieć połowę twoje go zdrowego rozsądku.

— A ja chciałabym mieć połowę twojego opanowania, jakie pokazałeś, gdy wybuchł pożar u pani Gibson. Między nami mówiąc... — pochyliła się, by złożyć ostatni pocałunek na jego czole

— będzie z nas dobrana para... Co to było?

Powietrze rozdarł krzyk, cichy, odległy, lecz niewiarygodnie przenikliwy, niczym jęk przeklętej duszy.

Siadając na łóżku, Ernest znalazł racjonalne wytłumaczenie.

— To brzmiało jak szlachtowana świnia. Pan Ames podarował na jutro prosiaka — czy elementem tradycji jest składanie ofiary o północy?

— Nic mi o tym nie wiadomo! Ale połowa ludzi już nie śpi, cokolwiek by to było! Muszę uciekać!

I natychmiast zniknęła.

Przez chwilę Ernest był gotów ignorować ten dźwięk. Pragnął się położyć i wspominać cudowny dowód miłości, jaki mu ofiarowała. Ale na próżno. Po paru minutach usłyszał na dole hałas. Zbudziła

się reszta domowników. Po tym, co uczynił w noc pożaru, wypadało mu się ruszyć z łóżka. Już mocował się z ubraniem, gdy do drzwi zastukał Tinkler.

— Zaraz idę! — powiedział z rezygnacją.

Gdy wszedł do hallu, natknął się na Alice — ponownie ubraną w sweter i spodnie, wyglądającą niewypowiedzianie pięknie.

„Nie tylko wyglądającą. Będącą. Coś wstąpiło w tę dziewczynę... Nie. Dziewczyną była przedtem. Teraz jest kobietą”.

Z czego wypłynął nadzwyczajny wniosek.

„Ciekawe, czy ktoś jeszcze to zauważy”.

Zauważyli.

Tym razem podejmowanie decyzji nie należało do niego. Ona wszystkim się zajęła. Uciszyła panią Kail, posłała ją do dziadka, by powiadomiła go, że może położyć się z powrotem spać, znalazła latarnię i wyruszyła wraz z Ernestem w stronę studziennej drogi i miejsca trzeciego majenia.

Tam gromadzili się już inni, także z latarniami w dłoniach. Wśród nich był stary Tatton, kompletnie ubrany. Wyczuwając zdumienie Ernesta, Alice szepnęła:

— Mieszka w tym domu naprzeciwko. Sam jeden. Nie sądzę, by często zdejmował ubranie.

Ernest nie potrafił powstrzymać uśmiechu. To dużo wyjaśniało.

Ale skąd płynęła ta dziwna radość? Dlaczego tak jawnie trzymał dłoń swojej towarzyszki, gdy dołączyli do pozostałych? Nie potrafił tego sobie poukładać. Czuł się tak, jakby znajdował się we władaniu jakiejś zewnętrznej potęgi, i spoglądał na Alice w nadziei, że nim pokieruje.

Jednak nie uzyskał od niej żadnej wskazówki, jak i od nikogo innego, dopóki nie dotarli do podnóża zbocza i nie ujrzeli, w co wpatrują się pozostali.

Dekoracja była nienaruszona. Lecz tuż przed nią, tam gdzie według słów starego Tattona warstwa zgniłych liści porośnięta trawą pokrywała podłoże nie mocniejsze od związanych zaprawą dachówek, ziała dziura.

A na ziemi obok niej leżał drewniany młotek.

Powoli Ernest zaczynał rozumieć. Zapytał cicho:

— Czy to...?

— Tak myślimy, sir. — Hiram Stoddard wszedł w krąg światła latarni. — To młody Roger nas uprzedził. Hej, młodziaku, jesteś wystarczająco dorosły, by mówić za siebie.

I z tłumy wypchnięto Rogera woźnicę.

— Więc tak, sir — zaczął z zakłopotaniem. — Odkąd pan się wyprowadził, jaśnie pani zachowywała się coraz dziwniej. W środku nocy usłyszeliśmy, jak wstaje. Mnie obudziła May — to jej pokojówka, sir, śpi w sąsiednim pokoju. Powiedziała, że jej pani wyszła, mamrocząc do siebie, jakby... — Głośne przełknięcie. — Powiedziała, że pani — proszę o wybaczenie, sir — musiała postradać zmysły!

— No i?

Ernest chciałby być tym, który to powiedział. Jednak była to Alice. Bardzo opanowana, zupełnie nie dbająca o to, co otaczający ludzie mogliby pomyśleć o jej męskim odzieniu.

— Więc, sir... — Roger przestąpił niespokojnie z nogi na nogę. — Jak pan wie, w Welstock Hall jest młotek, którym uderza się w dzwon wzywający na obiad. Spostrzegłem, że zniknął. Nie przychodził mi do głowy nikt inny, kto mógłby go zabrać.

Ernest pochylił się, by podnieść młotek. Obracając go w palcach, powiedział:

— Tak, poznaję. Myślisz, że szła porozbijać dekoracje?

Wszyscy odprężyli się, a najbardziej zauważalnie stary Tatton, który kilkakrotnie szturchnął najbliższych sąsiadów.

— To by się zgadzało — powiedziała z napięciem w głosie Alice. — Tylko że nie wiedziała, jak słaba jest pokrywa. Przy jej i wadze...

— Ach — rzekł stary Tatton. — Wystarczy za dwóch, wystarczy.

Pozostali udali, że nie rozumieją, lecz nawet Ernest w końcu pojął. W końcu.

— Nikt nie mógł nic zrobić — oznajmił Hiram i odpowiedział mu zgodny pomruk.

Ernest popatrzył po ich twarzach. W tej chwili zrozumiał, że wydarzyło się dokładnie to, czego oczekiwali. Nie było sensu upierać się, że gdyby szybciej zareagowali na krzyk, być może uratowaliby jej życie. Tak czy owak, właściwie po co? On sam by tego nie chciał...

Ponownie poczuł obecność ukrytej pod ziemią mocy. Tutaj, w samotności późnej nocy pierwszy raz wyraźnie czuł poruszenie płynącej w głębi ziemi wody.

Oczywiście, teraz nie była już czysta...

— Przyniescie haki i liny — rozkazał posępnie. — Wyciągniemy ją. A ludzie czerpiący wodę z tej studni najlepiej niech na razie z niej nie korzystają.



— Już o tym pomyśleliśmy, sir — powiedział Hiram. — Nie będą zakręcać kurków przez całą noc.

— Wypluczemy ją — powiedział stary Tatton ze szczerbatym uśmiechem i poczłapał na drugą stronę drogi, do domu.

— Majenie nie będzie odwołane? — zapytał Ernest, zaczerwienionymi oczyma spoglądając na zastawiony do śniadania stół.

— Ależ oczywiście, że nie.

— Nie uważa pan, że w tych okolicznościach może to być niestosowne?

— Mój drogi panie Peake — a może wolno mi już mówić do pana Erneście, zważywszy na głębię uczuć, jakie okazuje pan względem mojej wnuczki?

„Stary lis z niego. I jaka zadowolona mina”.

— Oczywiście — odparł odruchowo.

— W takim razie, mój drogi Erneście, ty nie uważasz tego za niestosowne, prawda?

— Absolutnie nie!

— Wobec tego nie widzę żadnych przeszkód. W rzeczy samej — wyciągnął zegarek, który przywiódł Ernestowi na myśl starego Tattona — pora ruszać.

Niemal cała wioska wyległa, by wziąć udział w procesji, choć oficjalnie był to dzień roboczy.

Na jej czele szedł pastor, a obok niego woźnica Roger niosący kropielnicę wypełnioną wodą święconą oraz pęczek ziół związany na kształt miotełki, którym pastor spryskiwał ozdoby przy każdej studni przed wygłoszeniem błogosławieństwa. Dalej szedł kościelny chór, śpiewając tradycyjny hymn, potem zaś wieśniacy, ustawieni mniej więcej według wieku. Pochód zamykały dzieci ze szkoły pod surową opieką panny Hicks, z wyjątkiem jednego chłopca i jednej dziewczynki, którym przypadł w udziale szaczący obowiązek przewodzenia procesji z zielonymi gałęziami w dłoniach.

Słuchając śpiewów — najpierw cichych, potem pełnych wigoru — Ernest skonstatował nagle, że od dnia swego przyjazdu nigdy nie widział tylu uśmiechniętych twarzy w jednym miejscu.

Podczas błogosławienia drugiej studni poczuł nieśmiałe pociągnięcie za wolną rękę, gdyż drugą ścisnął dłoń Alice. Zerknął w bok i ujrzał kobiecą twarz, ściągniętą i pomarszczoną, okoloną przedwczesną siwizną. Była to pani Gibson.

— Ja i moje maluchy i tak już mamy za co panu dziękować — wyszeptwała. — A teraz wszyscy jesteśmy panu jeszcze wdzięczni za przywrócenie majenia studni... Niech pana Bóg błogosławi, panie Erneście.

Po czym wycofała się w tłum.

W tej samej chwili przechwycił skierowane w jego stronę spojrzenie starego Tattona, rozpromienione, jakby chciał powiedzieć: „I co, nie mówiłem panu?” Wreszcie nadeszła pora, by udać się w ostatnie miejsce, to przy starej drodze. Powietrze aż zgęstniało od oczekiwania. Ceremonia przebiegła identycznie jak poprzednio, te same modlitwy i cytaty o wodzie życia. Lecz wyraźnie oczekiwano czegoś więcej — i nagle to się stało.

Porzucając przygotowany tekst, pastor przyjrzał się swym parafianom i rzekł nagle:

— Przyjaciele! Gdyż ufam, że po tylu latach utrapień mogę się do was tak zwrócić!

Jeszcze więcej uśmiechów.

— Niektórzy uważali za coś niewłaściwego, wręcz złego, podtrzymywanie tradycji, którą dzisiaj odnowiliśmy. Nie należę do nich.

Ani my — padła bezgłośna odpowiedź.

— Wszyscy wiemy, że nasze życie jest cudem — to, że rodzimy się, myślimy i rozumujemy, uczymy się, by wychwalać naszego Stwórcę — tak, to jest cud!

Prawie rozległy się oklaski. Bracia Stoddard stłumili je ponurymi spojrzeniami.

— Za jedzenie, które spożywamy, za wodę, którą pijemy, czyż nie jesteśmy winni wdzięczność? I za to, że ziemia rodzi obfite plony, i za nasze bydło i inne zwierzęta? I, zaprawdę, za to, że możemy pozostawić po sobie dzieci, by kroczyły naszym śladem, gdy, co stać się musi nieodwołalnie, zawezwani zostaniemy, by dołączyć do zgromadzenia sprawiedliwych...

Spotkawszy się dziś tutaj, potwierdziliśmy nasz dług wdzięczności wobec Stwórcy wszechrzeczy. Dzisiaj w szczególny sposób poświęciliśmy dar wody. Przystoi nam wszystkim zawsze pamiętać, że jest ona jednym z wielu darów, a największym z nich jest miłość. Niech Bóg wam błogosławi!

Po czym odwrócił się ku dekoracji, w stworzenie której Ernest i jego pomocnicy włożyli tak wiele starań, i wyrecytował pełnym głosem doksologię. Wielu słuchaczy przyłączyło się do niego.

Nie było wszakże wśród nich starego Tattona. Wrócił do domu, być może gnany potrzebą, która ze względu na słaby pęcherz starego była szczególnie pilna. Jednak ledwie pastor skończył, Tatton ponownie wyskoczył za próg swej chaty.

— Jest słodka!

Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę.

— Woda jest słodka! Już nie smakuje plugastwem! Piłem ją przez całe życie i mimo tej, która odeszła, ona uczyniła ją na powrót czystą!

— Chce powiedzieć... — zaczęła Alice, szepcząc Ernestowi do ucha, lecz on jej przerwał.

— Wiem. Nieważne, jaka była okropna i jak długo leżała w studni, najważniejsze, że nie skaziła wody... Kiedy się pobierzemy, ukochana, moglibyśmy uczynić to dwukrotnie?

— A to jak? — Cofnęła się na wyciągnięcie ręki, przyglądając się mu wielkimi, zielonymi oczami.

— Raz dla mnie, mężczyzny, w imię Ojca i Syna. I raz dla ciebie, w imię... jej. Co ty na to?

— Ale nikt nie zna jej imienia!

— A czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Wiemy, że ona tam jest, prawda?

Zastanowiła się przez chwilę i w końcu skinęła głową.

— Tak, ja wiedziałam od lat, podobnie jak stary Tatton. Zaskoczyło mnie, że ty odkryłeś to tak szybko, ale bardzo się cieszę... Będziemy mieszkać w Welstock Hall?

— Przez większość czasu. W końcu jestem dziedzicem majątku. Ale na miodowy miesiąc pragnę zabrać cię do Indii. Nawet jeśli nie mogę ci obiecać prywatnej łoży na uroczystości ku czci Kali.

Uśmiechając się, ścisnęła jego dłoń.

— Chyba na jakiś czas dosyć się napatrzyliśmy złej strony kobiecości... — Przerwała zatrwożona.

— Erneście, to okropne! Ona ledwie zdążyła ostygnąć, a my już rozmawiamy o miodowym miesiącu! Powinniśmy planować jej pogrzeb!

— Przepraszam, panie Erneście.

Obrócili się i stanęli twarzą w twarz z braćmi Stoddard.

— Zanim pójdziemy, chcielibyśmy złożyć gratulacje i życzyć wam obojgu wiele szczęścia.

„Jakim cudem...?”

Potem przypomniał sobie to, co Alice opowiadała o rozmowach w pomieszczeniu dla służby i w całej wiosce. Rozluźnił napięte mięśnie twarzy i uśmiechnął się szeroko.

— Wielkie dzięki! O której zaczyna się przyjęcie! Tam się zobaczymy!

Znacznie później, gdy prosiak pana Amesa został już pokrojony na plastry i zadbano o to, by pani Gibson i jej dzieci otrzymały wystarczająco dużą porcję, powiedział do Alice w ciemności jej pokoju.

— Chyba jednak nie potrzebujemy drugiego ślubu.

— Hmm? — mruknęła, pieszcząc jego kark miękkimi, wilgotnymi wargami.

— Jeśli o nią chodzi, już jesteśmy małżeństwem, prawda?

— Mhm. To właśnie mnie zdziwiło, kiedy o tym wspomniałeś... Moglibyśmy jeszcze raz?

— Tak sędzę... tak! O, tak!

Jeszcze później, zanim po raz pierwszy zasnęli w swych ramionach, postanowiwszy nie przejmować się więcej ewentualnym skandalem czy zgorszeniem starego pana Pollocka — albo nawet i Tinklera — powiedział zadumany:

— A jednak to dziwne.

— Co takiego?

— Jak bliski jest związek między tym, co zobaczyć można w Indiach, a tym, co znaleźć można w domu.

— Dlaczego? — Podniosła się na ramieniu, jej piersi zarysowały się kusząco w bladym świetle wpadającym przez okno. — Czy tak samo nie jest z nauką?

— To znaczy?

— Nikt nie oczekuje, że nauka przestanie funkcjonować tylko dlatego, że jest się w innym kraju, prawda?

— Oczywiście, że nie!

— I o to mi chodzi. — Położyła się z powrotem. — Dlaczego by tak samo nie miało być z religią? W końcu wszyscy jesteśmy ludźmi.

— Czyli...

— Czyli — powiedziała stanowczo — kimkolwiek jest ta, która strzeże studni Welstock i tak efektownie złączyła nas ze sobą, musi być szczególnym aspektem tego, czym jesteś ty, ja i wszyscy inni. To samo dotyczy Indii i wszystkich niezliczonych światów, do których drogę odnajdujemy w naszych snach. Dokąd, za pozwoleniem mego pana, proponuję się teraz udać.

Dobranoc.

Leżał jeszcze przez chwilę, zastanawiając się nad jej słowami i wreszcie zapytał:

— Jak myślisz, jak wieśniacy zareagują na obecność w Welstock ludzi z poglądami takimi jak nasze?

— Tak długo, jak szanować będziemy panią wód — padła senna odpowiedź — dlaczego mieliby się martwić?

„Rzeczywiście. Dlaczego?”

Wyzbywszy się wątpliwości, nowy pan majątku Welstock zasnął zadowolony u boku swej pani.

## **Bractwo smoka**

### **(The Fellowship of the Dragon)**

Wielki krzyk podniósł się w całej krainie: królowa Chelidonia straciła harfiarza. Wezwała do siebie poddanych z północy, południa, wschodu i zachodu; pędziłyśmy konno wiele dni, przez błoto i deszcz, aby w piątkę móc spotkać się w Trillium. Stamtąd pojechaliśmy do Oranżerii.

Ludzie z całego świata zebrali się na jej przeogromnym dworze. Chociaż mieszkaliśmy zbyt daleko od niej, aby mieć kiedykolwiek okazję usłyszeć baśniową grę jej harfiarza, docierały do nas pogłoski, że w czasie każdej pełni księżyca obdarowywała go rękawiczkami ze złotej tkaniny, a do ust wkładała mu klejnoty. Kiedy stałyśmy w westybulu wśród jej lśniących dworzan, słuchając, jak błaga o pomoc, Justyna, która zawsze zadaje zagadki, wyszeptała: Co to jest — niewidzialne, ale jest wszędzie, jest szybkie jak wiatr, lecz nie ma stóp i ma wiele języków, które mówią, lecz nie ma twarzy?

To proste — szepnęłam. — Plotka.

Plotka, ta szczwana bestia, mówi, że Chelidonia ceniła jego dłonie za coś więcej niż tylko grę na harfie i że napełniała mu usta nie tylko klejnotami.

Byłam zaskoczona. Opowieści, które krążą o urodzie Chelidonii są prawdziwe. Zachowuje ona swą urodę już od wielu lat za pomocą czarów. Umiejętność posługiwania się magią odziedziczyła dzięki odrobinę niejasnym praktykom, w tajemniczy sposób, po kądzieli, a nie należy do kobiet, które marnują dary losu. Wyszła za mąż za poważanego człowieka, kochała go wiernie i dobrze wychowała swoich spadkobierców. Kiedy dziesięć lat temu jej mąż umarł, nosiła po nim żałobę z tą samą serdeczną pasją, którą wniosła do małżeństwa i na tron. Jej włosy wskazywały, z której strony wiał wiatr, oraz że srebro, popiół i złoto powstające na dworze były czarodziejskie. Kiedy jednak zbliżyłyśmy się wystarczająco, by móc przed nią klęknąć, zauważyłam, że harfiarz był nie tylko jej beztroską słabostką, lecz także wspiewał się jej w krew.

— Wam pięciu — powiedziała miękko — ufam bardziej niż całemu dworowi. Polegam na was.

Jej zielone oczy były ponure; dostrzegłam, że pod ustami pojawiły się ledwie zauważalne zmarszczki strachu i złości. — W tej sali znajdują się tacy, którzy, jedynie dlatego że nie byłam tak mądra czy taktowna, jak mogłam być, woleliby raczej zobaczyć harfiarza martwego, niż go uratować.

— Czy wiesz, pani, gdzie on jest?

Zniżyła głos; ledwie ją słyszałam, a zawistni rycerze stojący za mną na pewno uciszali bicie swoich serc, aby wyłowić odpowiedź.

— Patrzyłam w wodę, kryształ, zwierciadło: wszystkie obrazy są takie same. Ma go Czarny Oset.

— To pięknie.

Przyklęknęła, aby mnie pocałować: jesteśmy kuzynkami, chociaż ja czasami bywałam raczej krnąbrną córką, to jeszcze częściej ona — nieobliczalną matką.

— Znajdź go, Anno — powiedziała. Wstałyśmy i wszystkie jednocześnie opuściłyśmy dwór.

— Co powiedziała? — zapytała Dalia, kiedy wsiadałyśmy na konie. — Czy powiedziała, że to Czarny Oset?

— Szsz!

— To pewnie góra — oświadczyła Irys.

— Nie, to paskudny smok — stwierdziła ostro Dalia i dorzuciła szeptem: — Czy możecie powstrzymać się przed rozgłaszaniem celu naszej podróży całemu światu?

Dalia wbiła ze złością ostrogi w boki swojego wierzchowca; pawie, bardziej z pośpiechem niż z wdziękiem, uciekły z drogi, ciągnąc za sobą wspaniałe ogony. Justyna sprawiała wrażenie zaintrygowanej tą sprawą. Ochrypla z przeziębienia Chryzantema stwierdziła ze stoickim spokojem:

— Mogło być gorzej.

Nie wspomniała jednak, co mogło być gorsze od spalenia się na popiół za sprawą rozwścieczonego smoka. Irys, która uwielbiała grę na harfie, była poruszona.

— W takim razie musimy się pospieszyć. Biedak. — Szarpnęła wodze i pogalopowała za Dalią. Jadąc już spokojniej przez zatłoczony dziedziniec, spotkałyśmy je za bramą, kiedy spoglądały na wschód i zachód, na szare pochmurne niebo, wyglądające tak, jak gdyby wydobywało się z dymiących nozdrzy smoka.

— Którędy? — zapytała Irys. Justyna, która najlepiej się na tym znała, wskazała kierunek.

Chryzantema pociągnęła nosem. Popędziłyśmy galopem.

Oczywiście, ponownie zatoczyłyśmy koło przez miasto, aby zgubić rycerzy, którzy podążali naszym śladem. Spoglądałyśmy na nich przez okno tawerny, kiedy z wyrazem determinacji na twarzach popędzili na koniach w niewłaściwą stronę na skrzyżowaniu dróg. Dalia, której nastroje zmieniały się jak w kalejdoskopie, przypominając jesienny dzień, z zafascynowaniem słuchała, jak Irys opisywała obiekt naszych poszukiwań.

— Jest wspaniałym harfiarzem, nie powinniśmy więc szczeniść wysiłków, żeby go uratować, ponieważ nie ma takiego drugiego jak on na całym świecie i chociaż królowa Chelidonia może nas obsypać złotem i zaszczytami, to on nagrodi nas pieśnią, która przetrwa wieki.

Chryzantema wachlowała dłonią przed nosem, odganiając ostry, korzenny zapach wina stojącego przed nią.

— Czy któraś z was wie, jak ten harfiarz się nazywa?

— Kestral — powiedziała. — Kestral Myśliwy. Przybył na dwór rok temu, po śmierci starego Cyprysa.

— A gdzie — zapytała przezornie Chryzantema — jest Czarny Oset?

Spojrzałyśmy wszystkie na Justynę, która po raz pierwszy wyglądała na zmieszaną.

— Na północy — powiedziała. Justyna jest szczupłą, ciemnowłosą kobietą o łagodnym głosie oraz oczach podobnych do szalejącej na zewnątrz burzy. Potrafi sprawić, że wydarzenia układają się jak prosta droga lub łączą się, tworząc kamienną ścianę. Nie byłam pewna, którą z tych rzeczy budowała dla nas.

— Justyno?

— No cóż, na północy — powiedziała od niechcienia, jakby to było zrozumiałe samo przez się.

— Kraj za północną granicą jest bardzo tajemniczy. Dziwne rzeczy tam się dzieją. Musimy być ostrożne.

Ucichłyśmy. Właściciel tawerny przyniósł naszą kolację. Dalia, nalewając wino o jasnomiodowej barwie, takiej samej jak jej włosy, nie była już rozzłoszczona, lecz zamyślona z powodu ostrzeżenia.

— Jakie rzeczy?

— Z pewnością smoki porywają harfiarzy — powiedziała. — Smoki, które znają się trochę na muzyce.

— Czarny Oset nie interesuje się muzyką — stwierdziła stanowczo Justyna. — Ale poza tym wszystko może być prawdą. Krąży tak wiele historii, kto wie, która z nich jest prawdziwa? A my znamy harfiarza niewiele lepiej niż ziemie północne.

— Wiemy, jak się nazywa — rzekłam — oraz że dobrze gra.

— Gra przecudnie — westchnęła Irys. — Tak mówią.

— I wpadł królowej w oko — dodała Chryzantema, wgryzając się w udko kurczaka. — A zatem może wygląda znośnie. Chociaż jeżeli chodzi o dobrych muzyków, rzadko kiedy to ma znaczenie.

— I pojechał na północ. — Justyna wskazała ręką. — Po co?

— Aby odnaleźć pieśń — zasugerowała Irys; znając jej talent, należało wziąć pod uwagę to przypuszczenie.

— Albo harfę — powiedziała. — Czarodziejską harfę.

Justyna skinęła głową.

— Strzeżoną przez potężnego smoka. To możliwe, takie rzeczy zdarzają się na północy.

Irys odsunęła od siebie półmisek i pochyliła nad stołem, opierając się na pięściach. Jest szczupła jak słomka i ma apetyt kowala; domyśliłam się, że to miłość, ponieważ tylko to uczucie mogło sprawić, że zostawiła nie dojezdzonego pasternaka. Ma jasne, kręcone włosy przypominające owczą wełnę, i cudowny, pieszczotliwy głos; jej oczy są niewielkie, nos dosyć długi, zęby nieco krzywe; a namiętny, brzmiący jak muzyka głos sprawiał, że Chryzantema domyślała się więcej, niż powinien wiedzieć mąż Irys. Nie mogłam zrozumieć, w jaki sposób krzepka, praktyczna Chryzantema, która prawie nie zauważała ani mężczyzn, ani muzyki, zajmowała takie sprawy.

— Tak więc — powiedziałam — jedziemy na północ.

Wtedy właśnie zboczyliśmy z drogi i wjechaliśmy do kraju, który jako dzieci na dworze w Oranżerii i później, już w świątyni królewskiej, kiedy byliśmy jeżdżącymi konno ideałami pakującymi się w tarapaty, nazywałyśmy „Niezapominajką”. Teraz byliśmy wciąż zaufanymi i sprawdzonymi przyjaciółkami. Zauroczone wspomnieniami, późno poszliśmy spać i wstałyśmy o wiele za wcześnie, zastanawiając się, dlaczego zostawiłyśmy ciepło domowych pieleszy, męża, dziecko, kota i wygodne łóżko dla wzajemnego, zgryźliwego towarzystwa. Chryzantema prychała, Dalia odgryzała się, Irys coś paplała, a ja zbywałam je półsłówkami. Jak zwykle tylko Justyna była do zniesienia.

Podróżowałyśmy na północ.

Im dalej jechałyśmy, tym okolica stawała się dziksza. Poruszałyśmy się szybko, spałyśmy pod drzewami lub w podłych, rzadko odwiedzanych karczmach, ponieważ pięć uzbrojonych kobiet jadących razem na koniach trudno jest zapomnieć, a także dlatego, żeby rycerze zagrażający harfiarzowi w równym stopniu jak pożądający królowej, nie mogli wpaść na nasz ślad.

Stopniowo wielkie, ciemne skały znajdujące się na granicy ziem królowej zbliżały się coraz bardziej, wychodząc nam na spotkanie, aż pewnego słonecznego popołudnia wjechaliśmy w rzucany przez nie cień.

— Co teraz? — zapytała nerwowo Dalia. — Czy uda się nam je pokonać?

Były to przeogromne, jałowe góry kamieni, wystające z lasów jak kość ze skóry. Spojrzała na Justynę; wszystkie spojrzałyśmy. Jej twarz miała szczególny wyraz, jak gdyby ujrzała to, co wcześniej widziała tylko w snach.

— Zaraz powinniśmy znaleźć drogę — powiedziała łagodnie. Znajdowałyśmy się w gęstym lesie; długowieczne drzewa maszerowały przed nami, obok nas, wokół nas. Potrafiły dotrzeć nawet na szczyty.

— Którędy, Justyno? — zapytałam.

— Musimy poczekać do zachodu słońca.



W miejscu, gdzie droga, po której kłusowałyśmy, skręcała na zachód, biegnąc wzdłuż strumienia, znalazłyśmy polanę. Chryzantema i Dalia poszły na polowanie. Irys sprawdziła stan naszych zapasów i zaszyła swój rozdarty płaszcz. Ja cesałam zgrzeblęm końską sierść. Justyna, która poszła poszukać czegoś do jedzenia, przyniosła grzyby, orzechy i kilka dzikich jabłek.

Potem wzięła drugą szczotkę i pomogła mi.

— Czy jesteśmy daleko? — zapytałam, martwiąc się, czy uda się nam znaleźć zapasy na tym odludziu, niepokojąc się o konie, o uparcie przedłużające się przeziębienie Chryzantemy, a nawet, odrobinę, o harfiarza. Justyna wyplątała rzep z końskiej grzywy. Zmarszczyła brwi.

— Tuż za tymi szczytami — odpowiedziała. — To jest właśnie...

— Właśnie co?

— Musimy być bardzo ostrożne.

— Zawsze jesteśmy ostrożne. Chryzantema może trafić strzałą we wszystko, co się porusza, Dalia potrafi...

— Nie o to mi chodzi. Chciałam powiedzieć, że świat wygląda zupełnie inaczej za tymi górami. — Spojrzałam na nią zaintrygowana. Potrząsnęła głową i patrząc na góry, stała się nagle uważna i skoncentrowana. — Czasami są rzeczywiste, czasami nierzeczywiste...

— Harfiarz jest prawdziwy, smok jest prawdziwy — powiedziałam wesoło. — My też jesteśmy prawdziwe. Jeżeli potrafię to zapamiętać, nic się nam nie stanie.

Dotknęła mego ramienia, uśmiechając się.

— Myślę, że masz rację, Anno. To prozaiczne nastawienie twojego umysłu pomoże nam wrócić do domu.

Nie miała jednak racji.

Słońce, zachodząc za barierę posepnych chmur, pozostawiło po sobie wiadomość: ostatni promień światła uderzył w coś, co wyglądało jak lita skała znajdująca się przed nami, i rozszczępił to. Zobaczyłyśmy niewyraźną, białą drogę, która wznosiła się w ścianę lasu i w podstawę dwóch wielkich skalistych turni; mogłoby się wydawać, że światło odchyła na bok jedną ze skalnych ścian, jakby była ona skrzydłem bramy. Następnie światło zbladło i została jedynie czarna ściana, a my próbowałyśmy zapamiętać ukształtowanie terenu.

— To profil kobiety — powiedziała Irys. — Droga biegnie poniżej grzbietu jej nosa.

— To jednouchy kot — pomyślała głośno Chryzantema.

— Droga znajduje się na zachód od wyższej skały — stwierdziła zniecierpliwiona Dalia. —

Powinnyśmy po prostu jechać w tym kierunku.

— Góry będą ciągle zmieniać swój wygląd, zanim do nich dotrzemy — powiedziałam. —

Droga wiedzie z tego pojedynczego szczytu porośniętego drzewami. To najwyżej położone miejsce. Wystarczy, że będziemy jechać wzdłuż brzegu lasu.

— Wdowa — mruknęła Dalia — jest do góry nogami.

Wzruszyłam ramionami.

— Harfiarz potrafił wybrać właściwą drogę. To na pewno nic trudnego.

— A może — powiedziała Irys — szedł magiczną ścieżką.

— Rozszczepił kamień swą grą na harfie — stwierdziła sarka stycznie Chryzantema. — Jeżeli jest taki sprytny, to zdoła dzięki swojej grze wyrwać się z paszczy smoka, a każda z nas może zawrócić i zasnąć spokojnie we własnym łóżku.

— Och, Chryzantemo — lamentowała Irys, a jej głos brzmiał jak srebrny flet. — Siadaj.

Zrobię ci ziołową herbatę z miodem; tej nocy zaśniesz w chmurach.

Wszystkie wypiliśmy herbatę ziołową z brandy i miodem, który znalazła Irys, lecz tylko ona spała w czasie burzy. O świcie wstałyśmy z trudem, całe mokre, przebrnęłyśmy z mazołem przez nie kończący się, siąpiący deszczem las, aż nagle zniknęły wszystkie drzewa, przestał padać deszcz, a słońce niespodziewanie oświetliło znajdującą się przed nami białą jak kość drogę, prowadzącą w skaliste góry.

Wjechałyśmy na dotychczas nie znane nam tereny.

Nie wiem, gdzie spałyśmy tej nocy: myślę, że tam, gdzie spadłyśmy z koni. Rankiem ujrzałyśmy górę Czarnego Ostu, smoczy pałac stromych skał, poszarpanych, sterczących do góry kolumn i pionowych ścian sięgających chmur. W miarę jak zjeżdżałyśmy ze zbocza — w stronę góry, chmury zaczynały oplatać jej podnóże, ukrywając ją, przed naszym wzrokiem. Droga, która sprawiała wrażenie, jakby nie chciała mieć nic wspólnego ze smokiem, zawracała na brzegu lasu, i uciekała w innym kierunku. Wjechałyśmy między drzewa. Las po tej stronie był tak stary, drzewa tak wysokie, a ich zielone konary tak; mocno splecione, że ledwie widziałyśmy niebo, nie mówiąc już, jaskini smoka. Ponieważ jednak mam świetny zmysł orientacji zawsze wiem, w którym miejscu słońce wschodzi i zachodzi, nie zboczyłyśmy z drogi. Panowała śmiertelna cisza.

Irys i Chryzantema trzymały strzały na cięciwach łuków, chcąc zapolować na sarny lub, ptactwo, jednak nie dostrzegłyśmy żadnych dwunożnych ani czteronożnych stworzeń, tylko pająki, równie stare jak sam las, tkające sieci tak wielkie i misterne jak poszycie drzew, przypominające ozdobne arras.

— Tutaj jest tak cicho — westchnęła Irys. — Przypomina to trochę oczekiwanie na początek koncertu.

Chryzantema skierowała na nią swoje zamglone oczy i syknęła. Lecz Irys miała rację: cisza naprawdę wydawała się czarodziejska, jakby została umyślnie przygotowana. Kiedy nasłuchiwałyśmy, znowu zaczął padać deszcz. Zanim dotarł do nas, usłyszałyśmy w oddali jego szum w gałęziach drzew.

Noc zapadła tak niespodziewanie jak poprzedniego dnia: ześlizgując się powoli w dół z niewidzialnego nieba, zastając nas bez świeżej żywności i bez ognia, w deszczu. W ciszy jechałyśmy tak długo, aż przestałyśmy cokolwiek widzieć. W końcu się zatrzymałyśmy, domyślając się już tylko, gdzie znajdują się twarze pozostałych.

— Harfiarzowi udało się tędy przejechać — powiedziała miękko Dalia; to, czego mógł dokonać nieznośny kochanek bez twarzy, musi się udać również nam.

— Mamy jeszcze zioła, miód i dużo brandy — stwierdziła Chryzantema. Irys, której najbardziej doskwierał głód i której została już ledwie siła kolibra, nie odezwała się. Justyna gwałtownie uniosła głowę.

— Czuję dym.

Wtedy ujrzałam światło: dwoje kwadratowych oczu i jedno okrągłe pośród odległych drzew.

Westchnęłam z ulgą i nie poczułam ani krzty współczucia dla tego, kto ukrywał się w tej cichej chacie, kimkolwiek by był, a kto za chwilę miał ujrzeć nas na jej progu.

Niemniej jednak kobieta z chaty nie sprawiała wrażenia zaskoczonej, widząc pięć uzbrojonych, ociekających wodą, wygłodniałych podróżniczek, zamierzających przejąć we władanie jej dom.

— Wejdźcie — rzekła. — Wchodźcie.

Kiedy przeszłyśmy przez próg, zauważyłam wokół zwierzęta, za którymi rozglądałyśmy się wcześniej w lesie: jelenia, dzika, sowę, łosia, zającą i gruchającą gołębicę. Przymrużyłam oczy, ale one się nie poruszyły: były stworzeniami z nici, farby i drewna, wyhaftowanymi na zasłonach, wyrzeźbionymi na oparciach krzeseł, namalowanymi na krokwiach. Zanim zdążyłam się odezwać, dotarły do mnie przeróżne zapachy i poczułam, jak opiera się o mnie osłabiona Irys.

— Biedne dzieci. — Zważywszy na jej wiek, miała prawo tak powiedzieć. — Mokra, zmęczona i wygłodniała. — Sama miała nieco ptasi wygląd: była trochę jak sroka z powodu swych ciekawskich oczu, a jej nos przypominał odrobinę dziób jastrzębia. Włosy miała gęste i białe jak pajęczyna, a kłykcie — jak napęczniałe sęki drzew. Głos był równie przyjemny, jak palenisko w jej domu i do chodzące z kuchni zapachy. Nawet na spódnicy wyhaftowane były ptaki. — Siadajcie. Piekę chleb, a w piecu czeka prawie gotowy paszтет. — Odwróciła się, aby pomieszać jakąś potrawę kipiącą w garnku na ogniu. — Skąd jesteście i dokąd zmierzacie?

— Przyjechałyśmy z dworu królowej Chelidonii — powiedziałam. — Szukamy harfiarza. Czy nie przejeżdżał tędy?

— Aha — odpowiedziała i jej twarz się rozjaśniła. — Wysokiego mężczyzny o złotych włosach i głosie równie pięknym jak jego gra na harfie?

— Chyba tak — odezwała się Chryzantema.

— Grał dla mnie takie wspaniałe pieśni. Powiedział, że musi odnaleźć pewną harfę. Nic nie zjadł i odjechał przed wschodem słońca. — Ponownie zamieszała potrawę w garnku. — Czy coś mu się stało?

— Ma go Czarny Oset.

— O, to straszne. — Potrząsnęła głową. — Szczęściarz z niego, że ma takie wspaniałe przyjaciółki, które chcą go uratować.

— Jest dobrym przyjacielem królowej — odparłam, niemal nie słysząc własnych słów, gdyż do moich nozdrzy dochodził już zapach potrawy gotującej się w garnku — a my jesteśmy jej przyjaciółkami. Co pani tam gotuje?

— Małe co nieco dla mojego ptaszka.

— Znalazła pani ptaszka? — zapytała Irys jakby od niechcenia, próbując przybrać przyjazny ton. — My nie widziałyśmy żadnych... Czym pani go karmi? Pachnie całkiem apetycznie i pewnie jest bardzo smaczne.

— O nie, nie wolno wam tego tknąć; to tylko jedzenie dla ptaszka. Dla was mam rarytasy.

— Tak właściwie, jaki to ptaszek? — zapytała Justyna.

Kobieta stuknęła łyżką o brzeg garnka, kładąc ją następnie na nim.

— Ot, takie małe stworzenie. Małe głodne biedactwo, które przypadkiem znalazłam. Macie rację: w lesie jest mało ptaków. Właśnie dlatego wyszywam i maluję moje ptaki i zwierzęta, aby dotrzymały mi towarzystwa. Jest jeszcze wino — dodała. — Przyniosę je dla was.

Wyszła. Dalia przechadzała się tam i z powrotem; Chryzantema siedziała w pobliżu paleniska, nie zwracając najmniejszej uwagi na zapach potrawy bulgoczącej w garnku tuż przed jej nadąsanym nosem. Justyna podniosła małego, drewnianego dzika i przyglądała się mu bezmyślnie. Irys snuła się po chacie, blada jak duch; na wszelki wypadek patrzyłam, czy nie przewróci się i nie wpadnie do paleniska. Wyglądało na to, że staruszka nie może znaleźć kubków.

— Jakie to dziwne — westchnęła Justyna. — Każdy włoszek w jego szczecinie wygląda jak prawdziwy.

Irys podeszła do ognia, aby zajrzeć do garnka. Słyszałam, jak bulgotał w nim tłuszcz.

Spojrzała z nadzieją w stronę kuchni; wciąż jednak, oprócz obietnic, nie było tam nic do jedzenia. Nagle chwyciła w dłoń łyżkę, żeby zamieszać potrawę — tak przynajmniej pomyślałam.

— To musi być strasznie dziwny ptak, jeżeli je grzyby — zauważyła. — A to wygląda jak...

— Justyna odstawiła dzika tak gwałtownie, że aż podskoczyłam, a Irys podniosła łyżkę do ust. —

Baranina — powiedziała radośnie. I wtedy zniknęła: zamiast niej pojawił się oszalały skowronek, trzepoczący skrzydełkami między krokwiemi i wyśpiewujący precudne błagania o wolność.

Kobieta zjawiała się ponownie.

— Moja ptaszyna — wykrzyknęła. — Moje śliczności.

Poderwałam się z obnażonym mieczem, nie mogąc dobyć z siebie głosu. Zamachnęłam się, lecz stara wiedźma nie paliła się do walki. Jastrząb porwał skowronka w szpony; drzwi otworzyły się i obydwa ptaki zniknęły w ciemności.

Wybiegłyśmy na zewnątrz, przerażone i wstrząśnięte. Drzwi zamknęły się za nami jak wielka paszcza. Ogień zmienił się w dwa czerwone płomienie, gapiące się przez zaciemnione okna jak ślepie. Nie dawały one żadnego światła; nic nie widziałyśmy.

— Parszywa pajęczowłosa starucha — wyrzuciła wściekle Dalia. — Ohydna, śmierdząca wiedźma!

Usłyszałam głuchy łomot, kiedy uderzyła się o drzewo; zakłęła z bólu. Któraś z nas wymierzała potężne, regularne ciosy w drzwi i okna; pomyślałam, że to Chryzantema przeprowadza oblężenie. Nic to jednak nie pomogło. Jęczała z wściekłości. Poczułam dotknięcie i uniosłam miecz; Justyna rzuciła ostro:

— To ja.

Położyła dłoń na moim ramieniu; drżałam.

— Co teraz? — zapytałam lapidarnie. Prawie nie mogłam mówić; chciałam działać, ale w ciemności byliśmy ślepe i bezradne.

— Myślę, że ich nie zabija — odezwała się Justyna. — Zamienia je w coś. Posłuchajcie. W

końcu i tak sprowadzi Irys z powrotem do domu. Znajdziemy kogoś, kto powie nam, jak rzucić zakłęcie z Irys. Ktoś na tym odludziu pełnym magii na pewno to wie. A nie wszyscy są okrutnikami.

— Zaczekamy tu do powrotu wiedźmy.

— Wątpię, czy wróci, zanim nie odejdziemy. Nawet jeżeli uda się nam ją zabić, nie zdołamy odczarować Irys z haftu.

— Poczekamy.

— Anno — powiedziała, a ja osunęłam się na ziemię, pragnąc przeklinać, płakać, chcąc przynajmniej zedrzeć przylegającą do moich oczu pajęczynę ciemności.

— Biedna Irys — wyszeptałam drżącym głosem. — Przecie chciała tylko coś zjeść...

Mniejsza o harfiarza, uratujemy ją, kiedy tylko dowiemy się, jak to zrobić. Ona jest najważniejsza.

— Tak — przytaknęła i zamyślona dodała: — Harfiarz chyba uciekł wiedźmie, ale nie smokowi.

— Skąd wiedział? — zapytałam gorzko. — Za pomocą jakie czarów?

— Może przywitał wiedźmę pieśnią.

Ranek zastał nas leżące na korzeniach drzew, jak ciała leżące na polu bitwy. Przynajmniej znowu wszystko widziałyśmy. Dom odleciał; pozostało tylko kilka ogniście czerwonych piór.

Podniosłyśmy się bez słowa, czując pustą przestrzeń tam, gdzie powinna być Irys i jej poranny szczebiot. Nakarmiłyśmy konie, zjadłyśmy zeschnięty na kamień chleb z miodem, wypiliśmy resztę brandy. Następnie opuściłyśmy Irys i odjechałyśmy.

Nie kończący się las wreszcie się przerzedził, zastąpiły go złote dęby, które rozstępowały się tu i tam, wokół szerokich łąk, gdzie znowu mogłyśmy oglądać niebo i niedosiężny, ciemny szczyt. Przejechałyśmy przez wioskę, skrawek ziemi zabudowany domami, nieprzyjazny, ni to nieprzyjemny, ani też za bardzo ciekawy. Znalazłyśmy karczmę, zaopatrzyłyśmy się w zapasy, a kiedy opuściłyśmy wioskę, zobaczyłyśmy drogę prowadzącą do smoczej góry. Używano jej, jak się dowiedziałyśmy, zanim góra stała się legowiskiem smoka. Dowiedziałyśmy się również, że przejeżdżał tędy harfiarz... Wydawać się mogło, że nie zrobił na mieszkańcach wioski większego wrażenia, ale byli to twardzi ludzie, mieszkający w cieniu smoczej góry. On również pytał w wiosce o drogę i o Czarny Oset oraz słuchał opowieści o złocie, zaczarowanych harfach i innych ludowych legend. Nikt jednak nie korzystał z tej drogi od dziesięcioleci, ponieważ prowadziła prosto do paszczy smoka.

Zdecydowałyśmy się nią pojechać. Górę, majaczącą wysoko ponad drzewami, widać było coraz wyraźniej. Wypatrywałyśmy smoczych skrzydeł lub ognia ze smoczej paszczy, lecz Czarny Oset nie latał w ciągu dnia. Deszcz przestał padać; jadąc naszą ścieżką, czułyśmy zapach przypominający woń wędnących róż i wiekowych, nagranych w słońcu drzew. Rozłożyłyśmy obóz na rozległej, trawiastej polanie, obserwowałyśmy, jak wschodzący księżyc w pełni zalewa łąkę mleczną poświatą, uwidaczniając na niebie ostry zarys smoczego legowiska.

Z powodu tego, co spotkało Irys, ta noc była dla nas pełna czarów. Rozmawiałyśmy o niej, a następnie o domu; mówiłyśmy o niej i o dworskich plotkach, gawędziłyśmy o niej i o harfiarzu, a także o tym, co mogło go skusić, żeby odejść od Chelidonii prosto w paszczę smoka. I kiedy o nim rozmawiałyśmy, odniosłyśmy wrażenie, że brzmienie jego muzyki dociera do nas z gwiazd oraz że poświata księżycowa w gałęziach dębu zamienia się w złoto.

— Sza! — syknęła ostro Chryzantema; niechętnie uciszyłyśmy się, żeby posłuchać.

Dalia, ziewając, rzekła:

— To tylko gra na harfie. — Miała bardzo kiepski słuch: chociaż gra harfiarza nie zawsze była tego warta, Irys opowiadała o niej niezwykle przekonująco. — Po prostu ktoś w lesie gra na harfie.

— Ktoś śpiewa — powiedziała Chryzantema. Uniosłam brwi, czując, że takiej beztrudnej nocy pełnej słodkich zapachów wszystko może się zdarzyć.

— Czy to nasz zaginiony Kestral?

— Śpiewający na drzewie? — zgadywała Dalia.

Chryzantema siedziała wyprostowana.

— Bądźcie cicho — odezwała się stanowczo.

Justyna, leżąc na brzuchu i rzucając gałązki w ogień, spojrzała na nią ze zdziwieniem. Dalia i ja zaśmiałyśmy się tylko z rozzłoszczonej Chryzantemy.

— Nie macie serca — powiedziała, wydmuchując wściekle nos. — To takie piękne, a wszystko na co was stać to trajkotanie.

— W porządku — uspokajała Justyna. — Posłuchamy.

Byłyśmy jednak tak rozmarzone pod wpływem księżycowego światła, że nie mogłyśmy z Dalią usiedzieć cicho. Zachrypniętym głosem opowiadałyśmy sobie historie minionych miłości, podczas gdy Chryzantema nadstawiała uszu, próbując coś usłyszeć, a Justyna obserwowała ją z ciekawością. Wydawać się mogło, że Chryzantema jest w dziwny sposób poruszona, i rzeczywiście była; gorączka, pomyślałam, od tego nie przestającego padać deszczu.

W smugę światła księżycowego na skraju łąki wjechał konno jakiś mężczyzna. Miał

mlecznobiałe włosy, szerokie ramiona i złotą opończę przewieszoną przez koński grzbiet. Korona nad jego zacienioną twarzą była dosyć dziwna: zrobiona z powykrzywianych złotych kolców przypominających jelenie rogi. Nie był uzbrojony; grał na harfie.

To nie jest nasz harfiarz, chyba że smok sprawił, iż jego włosy stały się białe.

— To jakiś król — zasugerowałam. — Ale nie nasz.

Przez chwilę, bardzo krótką chwilę, słyszałam jego grę i od razu wiedziałam, że mógł kazać wodzie rozstać się albo sprawić, że ptaki zaczną mówić. Złapałam oddech; w kącikach moich oczu pojawiły się łzy. Wtedy Dalia powiedziała coś śmiesznego i zaśmiałam się.

Chryzantema wstała. Jej twarz w świetle księżyca była odmieniona. Zdjęła buty, rozpuściła włosy tak, że opadały jej swobodnie na plecy; my cały czas przyglądałyśmy się tylko i śmiałyśmy się, spoglądając niekiedy, obojętnie, na czekającego leśnego harfiarza.

— Jesteście beznadziejnymi prostaczkami — prychnęła pogardliwie Chryzantema. —

Porozmawiam z nim i poproszę, żeby przyszedł tu i usiadł razem z nami.

— Idź więc — odpowiedziała Dalia, żując żdźbło trawy. — Może uda się go nakłonić, żeby pojechał z nami do Chelidonii zamiast tamtego.

Nie mogłam powstrzymać się od śmiechu. Kiedy wytarłam załzawione oczy, zobaczyłam Chryzantemę idącą bosą w stronę harfiarza.

Justyna podniosła się. Lekki, ale niepokojący wiatr przebiegł przez moje myśli. Stałam obok niej, śmiejąc się wciąż, byłam jednak przygotowana na to, żeby ją powstrzymać, gdy tylko będzie chciała wyjść z kręgu światła rzucanego przez ognisko. Justyna patrzyła na Chryzantemę. Dalia uśmiechając się, z rozmarzeniem spoglądała w ogień. Chryzantema zatrzymała się przed harfiarzem. Ten zdjął swą dłoń ze strun i wyciągnął ją do niej.

W ciszy, która nagle zapadła, Justyna krzyknęła:

— Chryzantemo!

Złote światło zamigotało i zniknęło. Chmura wyglądająca jak smocze skrzydło zasłoniła księżyc; rozplywająca się w ciemności Chryzantema chwyciła dłoń harfiarza i wspięła się na konia; w ostatnich promieniach słońca zobaczyłam jej rudozłote, powiewające swobodnie włosy.

Następnie piegowata, zawsze powściągliwa, odważna, drażliwa Chryzantema objęła króla harfiarza i odjechała wraz z nim po zanikającej ścieżce światła do świata znajdującego się po drugiej stronie nocy.

Szukałyśmy jej aż do świtu.

O wschodzie słońca przyglądałyśmy się sobie nawzajem dzikim wzrokiem, bez słów.

Ogromny dąb połknął Chryzantemę; porwała ją muzyka harfiarza.

— Mogłybyśmy pójść do wioski po pomoc — odezwała się znużona Dalia.

— Na pewno nie mają oczu lepszych niż nasze — sprzeciwiłam się.

— Przejeżdżał tędy harfiarz królowej i włos nie spadł mu z głowy — zastanawiała się Justyna.

— Może on wie coś o kraju leśnego króla.

— Mam nadzieję, że jest tego wszystkiego wart — mamrotała wściekle Dalia.

— Żaden mężczyzna nie jest tego wart — stwierdziła zwyczajnie Justyna. — Cały nasz wysiłek pójdzie na marne, jeżeli Czarny Oset go uśmierci, nim zdążymy go odnaleźć. Jeżeli nie przyda się na nic więcej, może będzie mógł przynajmniej wyprowadzić nas bezpiecznie z kraju północnego.

— Nie zostawię Irys ani Chryzantemy na pastwę losu — powiedziałam stanowczo. — Nie ma mowy. Możecie odnaleźć harfiarza i zabrać go do Chelidonii. Ja zostanę tak długo, aż je odnajdę.



Justyna spojrzała na mnie; jej oczy były czerwone z niewyspania, ale sposób, w jaki patrzyła, jak zawsze potwierdzał, że rozumie sytuację, w której się znajdujemy.

— Nie zostawimy cię, Anno — powiedziała. — Jeżeli on nie będzie w stanie nam pomóc, wróci sam. Być może jednak będzie mógł się na coś przydać, musimy więc na razie zostawić Chryzantemę i uratować go.

— Niech tak będzie — rzekłam krótko i odwróciłam wzrok od dębu.

Łagodny wiatr szumiący wśród liści brzmiał jak śmiech.

Jechałyśmy długo i z móżdżem. Droga skręcała ponownie w las, biegła pod górę, aż wreszcie doprowadziła nas na zbocze wielkiej, ciemnej góry. Zatrzymałyśmy się w jej cieniu. Gniazdo smoka zmieniało się na naszych oczach; kamienne kolumny ukrywały przejścia, ich granitowe ściany rozstępowały się, tworząc puste przestrzenie, podobne do tych w plastrach miodu, jak gdyby był to jakiś pałac wiatrów, otwarty z każdej strony, w którym wszystkie przejścia prowadzą w ciemność, do ukrytego smoczego serca.

— Mamy tam wejść? — zapytała Dalia. W jej głosie nie było strachu, tylko zwykły u niej zapał do działania. — Będziemy pukać czy po prostu wejdziemy? — Między kamieniami zahuczał wiejący w naszą stronę, naginający drzewa wiatr. Usłyszałam odgłos spadających kamieni, podobny do brzmienia strun harfy; usłyszałam głos smoka. Zawróciłyśmy konie, przytuliłyśmy się do ich grzbietów, a nad nami przetoczył się rozszalały wiatr. Dalia, zniżając głos, zapytała ponownie: — Czy wejdziemy tam razem?

— Tak — odpowiedziałam, lecz następnie dodałam: — Nie. Pójdę pierwsza.

— Nie bądź głupia, Anno — oburzyła się Dalia. — Jeżeli pójdziemy wszystkie razem, przynajmniej dowiemy się, gdzie jesteście.

— I jednocześnie wyjdziemy na niemądre — powiedziałam ponuro — kiedy będziemy musiały czekać razem z harfiarzem, aż rycerze Chelidonii przybędą, żeby nas również uratować.

— Odwróciłam się w stronę Justyny. — Czy znasz jakiś sekret, jakąś zagadkę, którą trzeba znać, żeby ocalić życie, kiedy spotkamy smoka?

Pokiwała przecząco głową.

— To zależy od smoka. Nic nie wiem o Czarnym Oście, tylko tyle, że najprawdopodobniej nie uwięził harfiarza dla jego gry.

— Pójdziemy we dwie — rzekłam. — Jedna będzie czekać.

Nie protestowały; nie widziałyśmy lepszego rozwiązania, chyba żeby nie iść wcale.

Rzuciłyśmy monety; dwie z wizerunkiem pawia i jedną z portretem Chelidonii. Justyna, której przypadła królowa, nie wyglądała na szczęśliwą, ale los tak zdecydował. Dalia i ja zostawiłyśmy ją

z naszymi końmi, ukrytą wśród zielonych gałęzi drzew. Wspięliśmy się ostrożnie po zboczu, próbując nie trącać kamieni. Musiałyśmy patrzeć pod nogi i ostrożnie stawiać kroki, aby się nie poślizgnąć. Nagle Dalia, kierując swój wzrok na ziemię, zatrzymała się przede mną, chcąc coś podnieść.

— Spójrz — szepnęła.

Spojrzałam na ziemię, szukając wzrokiem zerwanej struny harfy albo guzika z kości słoniowej z wyrytym na nim profilem Chelidonii.

Zobaczyłam oszlifowany szmaragd wielkości paznokcia na moim kciuku. Przyglądałam się mu przez chwilę. Następnie odezwałam się:

— To tylko smoczy skarb. Przyjechałyśmy przecież, żeby odnaleźć harfiarza.

— Ale, Anno — jest jeszcze jeden. — Rozsunęła kamienie, żeby go podnieść. — Topaz. A tam jest jeszcze szafir...

— Dalio — błagałam. — Jeżeli zabijesz smoka, będziesz mogła zabrać do domu całą górę.

— Idę — powiedziała zadyszana, ale sunęła bokiem, jak krab, w stronę kolejnego źródła świetlnych refleksów. — Jeszcze tylko jeden. Są takie piękne, leżą tu i każdy może je wziąć za darmo, jak wodę.

— Dalia! Będą tak samo darmowe, kiedy będziemy schodzić z powrotem na dół.

— Już idę.

Odwróciłam się od niej, zrezygnowana z powodu jej nagłej sroczej pasji.

— Idę na górę.

— Jeszcze sekundka, nie idź sama. Patrz, Anno, to diament. Nigdy nie widziałam takiego ognistego blasku.

Wstrzymałam oddech, postanawiając dać jej jeszcze chwilę. Podróż była tak długa i męcząca, że nie mogłam jej odmówić tej nieprzewidzianej przyjemności. Uklękała na ziemi, obmacując głaz w poszukiwaniu źródła blasku czystego jak woda, oświetlana południowym słońcem.

— Już idę — zapewniała mnie ciągle, odwrócona plecami w moją stronę. — Idę, idę.

Wtedy skała podniosła się z ziemi. Jakaś istota, rozwidlona i węzłowata jak korzeń drzewa, ze świszczącym szeptem złapała ją za rękę i za miodowe włosy, wciągając do swojej jamy. Skała opadła z hukiem, a ziemia otuliła jej brzegi, jak gdyby skała nigdy się nie poruszyła.

Przyglądałam się temu przerażona. Nie pamiętam, kiedy przebiegłam przez zbocze góry.

Przypominam sobie tylko, że tłukłam w kamień rękami i rękojeścią miecza, wrzeszcząc wściekle,

kiedy w końcu moje stopy poślizgnęły się na skalnych odłamkach i pociągnęły mnie razem z nimi z powrotem w dół zbocza, między drzewa, w grzechoczącej lawinie boleśnie siniaczących mnie kamieni.

Justyna przybiegła, żeby mi pomóc. Byłam pokaleczona, krwawiłam, przeklinałam i płakałam; dopiero po jakimś czasie mogła mnie zrozumieć.

— Żeby dać się nabrać na taką naiwną sztuczkę! Klejnoty ułożone jeden za drugim! Pewnie nawet nie były prawdziwe, a Dalia pozwoliła się uwięzić wewnątrz góry za garść węgla czy smoczych kamieni.

— Zwykle nie poddaje się bez walki. — Justyna nie mogła uwierzyć w to, co się stało. Jej twarz była jak z wosku. — Co ją schwytało?

— Coś małego i powykrzywianego — jakiś diabeł czy chochlik. Justyno, ona jest tam na dole, bez nas, w ciemności pełnej szepczących dziwaków... Nie mogę uwierzyć, że byliśmy takie głupie!

— Anno, uspokój się, znajdziemy ją.

— Nie mogę się uspokoić! — Złapałam ją za ramiona i potrząsnęłam nią. — Ale ty nie waż mi się zniknąć, żebym i ciebie nie musiała szukać...

— Nie zniknę, obiecuję. Anno, posłuchaj. — Delikatnymi dłońmi mi pogładziła mnie po włosach i odsunęła je z twarzy. — Posłuchaj mnie. Odnajdziemy ją. Uratujemy też Chryzantemę i Irys, nie opuścimy tego miejsca, aż...

— W jaki sposób? — wykrzyknęłam. — Jak? Justyno, przykryła ją lita skała!

— Na pewno jest jakiś sposób. Ta kraina ciągle nas czymś zaskakuje, jednak każdą zagadkę można odgadnąć. Irys przestanie być ptakiem i stanie się ponownie kobietą, pomożemy też wrócić Chryzantemie z krainy króla lasu i odbierzemy Dalię górskim diabłom. Musi być na to jakiś sposób, trzeba go tylko znaleźć.

— Jaki sposób? — krzyknęłam ponownie, ponieważ pomyślałam, że w miarę jak oddalamy się od granicy, mamy coraz więcej kłopotów. — Kiedy tylko próbujemy się odwrócić, jedna z nas znika! Ty będziesz następna...

— Nie będę, przyrzekam...

— Albo ja.

— Znam kilka zagadek — powiedział ktoś niespodziewanie. — Może mogłabym pomóc.

Przestraszone, odsunęłyśmy się od siebie, jakby to drzewo przemówiło — niewykluczone, że na tym przerażającym odludziu drzewa potrafią mówić. Była to jednak kobieta. Miała na sobie czarny płaszcz ze srebrną lamówką; jej włosy koloru kości słoniowej, oczy jak irysy, poważna i spokojna twarz okolona kapturem, były wyjątkowo piękne. W ręku trzymała drewniany, sękaty, a zarazem

dziwaczny kij, ozdobiony klejnotem o takim samym bladofioletowym kolorze jak jej oczy. Miała spokojny głos i nie sprawiała wrażenia zaskoczonej naszą obecnością; chyba nic już nie było w stanie jej zdziwić. Ponieważ nie odzywałyśmy się, dodała:

— Mam na imię Jemioła. Grozi wam wielkie niebezpieczeństwo ze strony smoka; musicie to wiedzieć.

— Przyjechałyśmy, żeby uwolnić harfiarza — odpowiedziałam gorzko. — Było nas pięć, kiedy się tu pojawiłyśmy.

— Aha.

— Czy zna pani tego smoka?

Nie od razu odpowiedziała. Justyna, która stała obok mnie, była dziwnie spokojna. Kij poruszał się; klejnot błyskał od czasu do czasu, jak oko. Kobieta o imieniu Jemioła zaproponowała w końcu:

— Możecie mnie pytać, o co chcecie.

— Przed chwilą panią o coś zapytałam — odparłam zdezorientowana. Dłoń Justyny zacisnęła się kurczowo na mojej ręce; spojrzałam na nią. Jej twarz była blada, a oczy nabrały niezwykłego, intensywnego blasku, który od razu rozpoznałam; przeczuwała coś podejrzanego i próbowała złapać trop. W takich chwilach była nieprzewidywalna.

— Jemioło — odezwała się łagodnie. — Ja mam na imię Nasturecja.

Kobieta uśmiechnęła się.

— Co robisz? — wycedziłam przez zęby.

— To gra — szepnęła Justyna. — Pytanie za odpowiedź. Powie nam wszystko, co chcemy wiedzieć.

— Dlaczego to musi być gra? — sprzeciwiłam się. Patrzyły na siebie jak nieprzejednane wojowniczkę, mające za chwilę stoczyć pojedynek na zagadki. Sprawiały wrażenie zajętych sobą, zaciekawionych, głuchych na wszystko dookoła. Podniosłam głos: — Justyno!

— Przypuszczam, że będziecie chciały odzyskać harfiarza — powiedziała kobieta.

Przypomniałam sobie jej imię i zamknęłam oczy.

Justyna przytaknęła.

— Po to przyjechałyśmy. A jeżeli przegramy?

— Wezmę cię — powiedziała bez ogródek — na moją czeladniczkę. — Nie okazując złych zamiarów, uśmiechnęła się ponownie. — Na siedem lat.

Zaparło mi dech w piersiach.

— Nie — wydusiłam z siebie. Złapałam Justynę za rękę, potrząsnęłam nią. — Justyno.

Justyno, proszę!

Nie patrząc mi w oczy, odezwała się do mnie:

— Spokojnie, Anno — powiedziała łagodnie. — Odzyskamy harfiarza bez walki i uratujemy Irys, Chryzantemę i Dalię.

— Justyno! — krzyknęłam. Karnesy i ściany skalne nad nami powtarzały echem jej imię; ogromne ptaki o zakrzywionych skrzydłach nadleciały spośród drzew i zaczęły nad nami krążyć.

Justyna jednak nie słyszała ani ptaków, ani skał.

— Jesteś gościem w tym kraju — stwierdziła z wdziękiem kobieta. — Możesz pytać pierwsza.

— Gdzie jest droga do krainy leśnego króla?

— Biały jelen z lasu dębowego biegnie drogą prowadzącą do krainy króla harfiarza —

odpowiedziała Jemioła. — Musisz jechać od świtu do zmierzchu, bez broni i bez wytchnienia. Co to jest *Pieśń Tulipana* i na jakim instrumencie zagrano ją po raz pierwszy?

— *Pieśń Tulipana* przed śmiercią z rąk morderców skomponował poeta dla ukochanej, a dama jego serca usłyszała ją po raz pierwszy w wysokiej wieży, w której była uwięziona. Zagrano ją na instrumencie z piór, ponieważ wszystkie ptaki w lesie, które ją słyszały, śpiewały dla niej o jego rozpaczy — odpowiedziała jednym tchem Justyna. Trochę wtedy odetchnęłam; opowiadała nam takie rzeczy przez całe swoje życie. — Jak można uwięzić czarownicę z lasów nadgranicznych w jej prawdziwej postaci i jak można odebrać jej moc?

— Czarownicę z granicy można uwięzić w klatce z żelaza; jej czarodziejską różdżką jest łyżka, którą miesza swoje czary. Co to jest: zaczyna się ogniem i kończy się ogniem, a w środku jest czarno-białe?

— Noc — odpowiedziała Justyna. Nawet ja to wiedziałam. Z twarzy kobiety zniknął na chwilę rozpromieniony uśmiech. — Gdzie jest ścieżka prowadząca do wnętrza tej góry i czego najbardziej

boją się stworzenia, które tam mieszkają?

— Ścieżką jest ogień, który otwiera ich kamienie, a najbardziej boją się światła. Co to jest: zawsze nadchodzi, lecz nigdy tego nie ma, ma imię, ale nie istnieje, jest dłuższe niż dzień, ale krótsze niż dzień?

Justyna zawahała się przez chwilę.

— Jutro — powiedziała i dodała: — Zimową porą. — Kobieta uśmiechnęła się w swój przeuroczy sposób. Wstrzymałam oddech. — Co ochroni nas przed smokiem?

Kobieta spoglądała badawczo na Justynę, jak gdyby to ona odpowiadała na jej własną zagadkę.

— Grzeczność — powiedziała najzwyczajniej w świecie. — Gdzie ukryte jest prawdziwe imię Czarnego Ostu?

Justyna milczała; prawie poczułam jej myśli trzepoczące jak skrzydła ptaka, próbującego usiąść na gałęzi. Cisza przedłużała się; lodowaty dreszcz przebiegł po moich kościach.

— Nie wiem — powiedziała w końcu Justyna, a kobieta odpowiedziała:

— Imię smoka jest ukryte w zagadce.

Justyna odgadła moje myśli; jej dłoń zacisnęła się na moim nadgarstku.

— Nie próbuj walczyć — westchnęła.

To nie jest...

Odpowiedź jest właściwa.

Brwi kobiety poruszały się w zamyśleniu.

— Czy jeszcze chcecie coś wiedzieć? — Położyła delikatnie kij na ramieniu Justyny, obróciwszy klejnot w stronę jej bladej twarzy. Kamień rozblysnął nagle światłem koloru ametystu, jak gdyby ze zrozumieniem. — Jestem Czarodziejką i czarodziejska jest ścieżka, po której chodzę. Zostaniesz ze mną na siedem lat. Potem będziesz mogła wybrać, czy chcesz zostać czy odejść.

— Powiedz mi — błagałam rozpaczliwie — jak ją uratować. Zdradziłaś przecież wszystkie inne tajemnice.

Kobieta potrząsnęła odmownie głową, obdarzając mnie swoim przelotnym, księżycowym uśmiechem. Justyna spojrzała po raz ostatni; odpowiedź zobaczyłam w jej oczach.

Stałam tak, nie odzywając się, ze łzami napływającymi do oczu, patrząc, jak mnie opuszcza.

Nie mogłam ani błagać, ani prosić, ponieważ w ramach jednej gry rozegrano inną i jedynie ja

przegrałam. Justyna spojrzała tylko raz w moją stronę, ale tak naprawdę nie patrzyła na mnie wcale, widziała tylko ścieżkę, w stronę której zmierzała przez całe swoje życie.

W końcu odwróciłam się, gotowa stawić czoło smokowi.

Ponownie, tym razem sama, wdrapałam się na zbocze góry. Nie zauważyłam żadnych klejnotów, nikt nie wyszeptał mojego imienia. Smoka również nie spotkałam. Kiedy przemierzałam skalne przejścia, jaskinie i korytarze, słyszałam tylko wycie wiatru przenikającego gigantyczny szkielet góry. Wokół mnie było coraz więcej skał. Przejścia jarzyły się jaskrawymi kolorami smoczych odchodów. Tu i tam widziałam łuski zdarte na kamieniach; niektóre z nich błyskały niebiesko–zielono–czarno, inne ognście. Znalazłam też wiór ze smoczego pazura, twardy jak kość, dłuższy niż moja dłoń. W powietrzu unosiła się woń siarki, innym razem swąd dymu, a najczęściej smród zatęchłych kamieni, przynoszony przez smagający je ciągle wiatr. Usłyszałam grę na harfie.

Harfiarza znalazłam w cienistej pieczarze, siedzącego po kolana w klejnotach i złocie, szarpiącego dłonią ze znużeniem struny harfy. Drugą rękę miał zakutą w złoty łańcuch, przytwierdzony do ściany pieczary złotym ćwiekiem. Gdy się zjawiłam, spojrzał zdumiony w moją stronę. Zgodnie z tym, co głosiły plotki, był wysoki i złotowłosy, lecz teraz również brudny, zaniedbany, rozczochrany i wyglądał na zgorzkniałego z powodu niewoli. Mimo to nietrudno było się domyślić, dlaczego Chelidonia chce go odzyskać.

— Kim jesteś? — szepnął bezgłośnie, kiedy zbliżałam się do niego, a moje stopy chrzęściły w kosztownościach.

— Nazywam się Anna i jestem kuzynką Chelidonii. Posłała ona swoich dworzan, żeby cię uratowali.

— Szybko się uwijacie — zaczął narzekać i dodał: — Na pewno nie pokonałaś tak długiej drogi w pojedynkę.

— Za to tobie się udało — odburknęłam, badając wzrokiem łańcuch, którym był przykuty.

Nawet Irys wyrwałaby go ze ściany bez większego wysiłku. — Jest zrobiony z miękkiego złota.

Dlaczego nie...

— Próbowałem — zdenerwował się, pokazując swoje otarte do krwi ręce. — To smocze czary. — Wyszarpnął mi wściekle łańcuch z dłoni. — Nawet nie próbuj. Klucz leży pod tamtą ścianą. — Spojrzał zaintrygowany, szukając wzrokiem moich domniemanych towarzyszy. —

Czy jesteś sama? Czy nie wysłała rycerzy, aby uśmiercili potwora?

— Nie wierzyła, że będą pamiętać, kogo mają zabić — odparłam krótko. Zamilkł, a ja przemierzyłam jaskinię, aby wśród szpilek, filizanek i naszyjników poszukać klucza. Dorzuciłam jeszcze: — Nie przyjechałam z Oranżerii sama. Straciłam cztery towarzyszy, kiedy podążałyśmy twoim śladem.

— Straciłaś? — Przez krótką chwilę w jego głosie słychać było coś więcej niż ubolewanie nad samym sobą. — Zostały zabite?

— Myślę, że nie.

— Jak je straciłaś?

— Jedną zabrała wiedźma z lasu.

— To naprawdę była wiedźma? — wystraszył się. — Grałem dla niej, ale chociaż byłem piekielnie głodny, niczym mnie nie poczęstowała. Czuję jakiś zapach, ona jednak powiedziała, że potrawa jest przypalona i że nie wypadałoby nikogo nią poczęstować.

— Drugą — mówiłam dalej, grzebiąc w monetach i zastanawiając się, czy wiedźma ma choć odrobinę gustu — porwał król harfiarz z lasu.

— Widziałaś go? — wyszeptał. — Grałem całą noc, mając nadzieję, że usłyszę jego osławioną grę, ale nie odwdzieczył się nawet jedną nutą.

— Może nigdy nie próbowałaś słuchać. — Rozzłościła mnie beztroska niewiedza, z jaką przejechał przez tę krainę. — Trzecią schwytały diabły chowające się w środku góry.

— Jakie diabły?

— Ostatnią — mówiłam z uporem — zabrała czarodziejka z kijem ozdobionym klejnotem, kiedy przegrałyśmy grę w zagadki. Ty miałeś być nagrodą.

Zaczął się szarpać, brzęcząc łańcuchem i chrzęszcząc monetami.

— Powiedziała mi tylko, gdzie znaleźć to, czego szukałem, nie ostrzegła mnie przed niebezpieczeństwem. Przecież mogła mi po móc! Nie wspomniała ani słowem, że jest czarodziejką.

— Nie powiedziała ci, jak się nazywa?

— Nie pamiętam — jakie to ma teraz znaczenie? Znajdź szybko ten klucz, zanim smok cię tu wywęszy. Byłbym w dużo lepszej sytuacji, gdyby twoja przyjaciółka rozwiązała zagadkę.

Przestałam szukać, aby mu się przyjrzeć.

— Tak — powiedziałam w końcu — a dla nas wszystkich byłoby dużo lepiej, gdybyś tu w ogóle nie przyjeżdżał. Po co to zrobiłeś?

Wyciągnął rękę.

— Przyjechałem po to.

„To” było harfą wykonaną z kości. Struny błyszczały tymi samymi nieuchwytnymi refleksami kolorów, którymi poplamione były przejścia w skałach. Obok niej leżał złoty klucz. Mam słuch muzyczny niewiele lepszy niż ten klucz, ale kiedy ujrzałam dziwne, jarzące się struny i wyobraziłam sobie, jaką muzykę mogą stworzyć, wypełnił mnie zachwyt pomieszany ze zdziwieniem, tak że zanim



dotknęłam klucza, zatrzymałam się, aby usłyszeć jej brzmienie.

Wydawać się mogło, że to góra zagrziała.

— Nie! — wykrzyknął harfiarz, wstając gwałtownie w fali złota. Z jaskini wyleciał z sykiem wiatr, jak gdyby został wyssany jakimś gigantycznym skrzydłem. — Jakaś ty głupia i niezdarna.

Jak myślisz, w jaki sposób dałem się złapać? Rzuć mi klucz! Szybko!

Przez chwilę ważyłam klucz w dłoni, dotknięta do żywego jego brakiem dobrych manier.

Bądź co bądź, obiecałam Chelidonii, że go przywiozę, wyobraziłam sobie więc, że kiedy królowa umyje go i nakarmi w domowych pieleszach, znowu odzyska swój wdzięk. Rzuciłam klucz; upadł tuż przed jego wyciągniętą ręką.

— Idiotka! — wrzasnął. — Jesteś tak samo niezdarna jak królowa.

Zimna jak głaz, patrzyłam na niego, jak męczył się i wykręcał, szukając po omacku klucza.

Odwrociłam się nagle w stronę harfy i przebiegłam palcami po wszystkich strunach.

Zjawa, która pędziła przez kamienne przejścia, aby nas dopaść, wypuszczała dym, ziała ogniem i rzucała odłamkami skał. Harfiarz jęknął i zakrył głowę rękami. Dym się rozrzedził; ogniste ślepie wielkie jak księżyce gapiły się na nas niemal z wysokości sklepienia. Pazur długości mojej łydki opadł na ziemię tuż przy mojej stopie. Grzeczność, pomyślałam rozpaczliwie. Powiedziała „grzeczność”. Sprawiać to mogło, w pewnym sensie, wrażenie kurtuazyjnej rozmowy ze słońcem. Zanim odważyłam się cokolwiek powiedzieć, harfiarz krzyknął:

— To ona zagrała! Ona tu również przyjechała, żeby zabrać harfę, chociaż próbowałem ją powstrzymać...

Zrobiło mi się gorąco; poczułam jak złoty naszyjnik, który miałam na sobie, przypala mi szyję. Odezwałam się, czując również ogień w środku: — Bardzo przepraszam, jeżeli kogoś obraziłam. Przybywam na prośbę mojej królowej, aby uratować harfiarza. Wydaje mi się, że nie przepadasz za grą na harfie. Jeżeli tylko się zgodzisz, zabiorę to, co musi stanowić tylko niepotrzebny kłopot w twoim domu. — Przestałam mówić. Ogromne oczy zbliżyły się do mnie nieznacznie. Ponieważ pomyślałam, że w tej krainie takie rzeczy mają niesamowite znaczenie, dodałam: — Nazywam się Anna.

— Anna — wysyczał dym. Usłyszałam, jak harfiarz szarpie się na swoim łańcuchu. Pazur cofnął się odrobinę; potężny, jaszczurzy łeb zniżył się, aż mogłam zobaczyć łuski koloru ognia okopcone sadzą i jarzące się między zębiskami iskry. — Jak on się nazywa?

— Kestral — powiedział pospiesznie harfiarz. — Kestral Myśliwy.

— Masz rację — wydyszał piekielny oddech. — To tylko utrapienie. Czy jesteś pewna, że chcesz go zabrać z powrotem?

— Nie — odparłam i moje oczy wypełniły się łzami zdumienia i ulgi zarazem, że nareszcie znalazłam w tej niebezpiecznej krainie coś, czego nie muszę się obawiać. — Jest nad wyraz opryskliwy, niewdzięczny i gruboskórny. Mogę sobie wyobrazić, że królowa kocha go za jego włosy czy wprawne dłonie; nie musi słuchać tego, co mówi. Tak więc lepiej go zabiorę. Bardzo mi przykro z tego powodu, że zakradł się do twojego domu i próbował cię okraść.

— To z powodu harfy wykonanej ze smoczych kości i ścięgien — odparł smok. — Dlatego tak nie cierpię harfiarzy, że robią takie rzeczy, a następnie śpiewają pieśni o swojej wielkiej przebiegłości. Takich jak ten. — Jego szczęki rozwarły się i zaczął ziewać; ognisty język wystrzelił z paszczy, topiąc złoto obok ręki harfiarza. Ten uciekł, aby skulić się pod ścianą.

— Błagam o wybaczenie — rzekł pospiesznie. Ciemny, wykrzywiony uśmiech smoka zawisnął w rozrzedzającym się dymie; buchało z niego gorące powietrze.

— Może cię zatrzymam i zrobię harfę z twoich kości.

— Byłaby zawsze żałośnie rozstrojona — wyraziłam swoje zdanie. — Czy jest coś, co mogłabym dla ciebie zrobić w zamian za wolność harfiarza?

Oko zbliżyło się do mnie jeszcze bardziej, okrągłe jak księżyc, a w nim zmieniające się nieustannie odcienie barw.

— Powiedz mi, jak się nazywam — wyszeptał smok. Powoli zdałam sobie sprawę, że to nie podstęp, lecz błaganie. — Dawno temu, pewna kobieta odebrała mi moje imię w grze z zagadkami. Całymi latami próbowałam je sobie przypomnieć.

— Jemioła? — westchnęłam. To samo wysyczał smok, przypalając prawie moje włosy.

— Znasz ją.

— Mnie również coś zabrała: najukochańszą przyjaciółkę. O tobie powiedziała: imię smoka ukryte jest w zagadce.

— Gdzie ona jest?

— Chodzi po zaczarowanych ścieżkach tej krainy.

Pazury rozluźniły się na kamieniach, gładkie i czarne jak sadza.

— Znałem się kiedyś trochę na czarach. Wystarczająco dużo, żeby przybierać ludzką postać.

Czy pomożesz mi odzyskać imię?

— Czy pomożesz mi odnaleźć przyjaciółki? — poprosiłam w zamian. — Straciłam wszystkie cztery, kiedy szukałyśmy tego wstrętnego harfiarza. Być może jedna lub dwie nie potrzebują mojej pomocy, ale nie dowiem się tego, jeżeli ich nie odnajdę.

— Niech pomyślę... — odparł smok. Otoczyły mnie niespodziewanie kłęby białego jak popiół, gryzącego dymu. Zakrztusiłam się i zaczęłam kaszleć. Kiedy moje piekące oczy mogły już cokolwiek dostrzec, zobaczyłam stojącego przede mną, złotowłosego harfiarza. Miał oczy smoka.

Ze zdziwienia ponownie zakrztusiłam się dymem. Kaszląc, usłyszałam, jak za mną Kestral szarpie swój łańcuch i krzyczy.

— A co ze mną? — wrzasnął w furii. — Wysłano was, żeby mnie uratować! Co powiecie Chelidonii? To, że znalazłyście harfiarza i zostawiłyście go tutaj, żeby zgnił pośród tego złota?

— Jego własna twarz spojrzała na niego, odbierając mu na chwilę mowę. Desperacko szarpał łańcuch. — Ty nie potrafisz grać! Po tym pozna, że nie jesteś prawdziwy, nie mówiąc już o twoich starych oczach.

— Być może — odparłam, zauroczona jego sugestią. — Zupełnie nie zwróci na to uwagi.

— Jej rycerze mnie znajdują. Powiedziałaś, że szukają mnie i chcą zabić! To ty mnie zamordujesz.

— Ci, którzy chcą, żebyś zginął, na pewno podążą moim śladem — odrzekłam znużona. — I będą szukać złotowłosego harfiarza, ale on pojedzie ze mną. Od smoka zależy, czy odzyskasz wolność, a nie ode mnie. Jeżeli tak zdecyduje, wrócisz sam do Chelidonii, ale wcześniej obiecasz, że nie będziesz więcej mówić, tylko śpiewać.

Odwróciłam się od niego. Smok harfiarz podniósł swoją harfę z kości. Przemówił ochryłym, dymiącym głosem:

— Dobijmy więc targu. Klucz do twojej wolności jest ukryty w pieśni.

Zostawiliśmy harfiarza przykutego do jego harfy, wsłuchującego się ze zdziwieniem swoim głuchym uchem i rozstrojonym mózgiem w tę jedną pieśń spośród wszystkich, które dane mu było dotąd zagrać, ale których nigdy nie słuchał, mającą sprowadzić go z powrotem do Chelidonii. Na zewnątrz, w świetle dnia, poprowadziłam ognistego smoka do kamienia, który pochłonął Dalię, wyruszając tym samym w drogę powrotną do Jemioły.

*Przełożył Wojciech Lis*

*Harry Turtledove*

**Przynęta**

**(The Decoy Duck)**

Videssjańska Dromona poruszana wiosłami, jak wielka stonoga wpłynęła do Fiordu Lygra.

Coś w jej wyglądzie wyraźnie zaniepokoiło Skatvala Dziarskiego. Zastanawiał się, cóż to mogło być. Dłonią o stwardniałej skórze osłonił oczy od słońca, wpatrując się w morze.

Po namyśle uznał, że nie chodzi tu o banderę imperium — złote promienie słońca na błękitnym tle — powiewająca na szczycie masztu dromony. Wcześniej już widywał taki sztandar, częściej niż by chciał, spotykał się w walce z tymi, którzy go nosili.

Nie chodziło też o bliźniacze słońca namalowane na obu burtach statku, jakby miały pomóc w utrzymaniu właściwego kursu, choć jego ludzie zamiast nich z pewnością namalowałiby oczy.

Jednak Videssjanie, mieszkańcy dalekiego południa pokładali w słońcu więcej ufności niż Halogowie. W tych stronach panowały lody, ciemność i zimowy głód. Słońce wydawało się niekiedy jedynie odległym wyblakłym wspomnieniem. Nie po raz pierwszy Skatval zastanawiał

się, dlaczego Cesarstwo Videssos, które posiadało tak wiele, usiłowało połączyć jeszcze Halogaland wraz z jego nie kończącym się niedostatkami.

Jednak te myśli na chwilę oderwały go od celu, jaki sobie wyznaczył. Dalej wpatrywał się w statek, szukając czegoś dziwnego, czegoś małego, subtelnego...

— O bogowie — szepnął — toż to prawdziwy cień. — Człowiek północy, toczący walki ze wzburzonymi morzami i wściekłymi burzami w Cieśninie Haloga zawsze buduje swe łodzie w stylu klinkierów, jedna deska zachodzi na drugą, spodnią, i dla pewności mocuje się kołkami.

Deski na dromonie stykały się brzegami, tak że jej burty wydawały się nieprzyzwoicie gładkie — podobnie jak i Videssjanie — pomyślał Skatval, uśmiechając się z lekka.

Jego ludzie mogliby zapelnąć pół tuzina statków wojennych. Ta wyniosła dromona minęła właśnie zatoczki, w których cumowały cztery z nich. Gdyby tak dać ognia, a pochodnie zawsze są pod ręką, to ten zuchwały kapitan nigdy by już nie ujrzał swojej gorącej ojczyzny.

Wystarczyłoby, żeby Skatval powiedział jedno słowo.

Ale go nie wypowiedział. Po pierwsze, na dziobie statku stało drzewce włóczni, na której wywieszono pomalowaną na biało tarczę — videssjański znak zawieszenia broni. A po drugie, dromona przyplłynęła tu pojedynczo. Jeśli wytnie jej załogę i ją zatopi, to wkrótce przybędzie tu całe mrowie mścicieli. Pod tym względem Stavrakios, zasiadający na tronie Cesarstwa, bardzo przypominał Halogę.

Dromona zatrzymała się jakieś dwieście metrów przed końcem fiordu. Skatval przyglądał się żeglarzom odzianym w przepaski na biodrach (usta wykrzywiły mu się w pogardliwym uśmiechu, gdy wyobraził sobie, jak w takim stroju podróżuje się tutaj, do miejsca odległego o miesiąc drogi od gorącego słońca), którzy spuszczaali łódź na szaroniebieską wodę. Po linie opuściło się do niej czterech mężczyzn. Ich brak wprawy w wiosłowaniu, od razu powiedział mu, że nie byli żeglarzami. Teraz już przestał się uśmiechać. A więc kim byli? Gdy wynurzyli się z cienia rzucanego przez dromonę, w słońcu błysnęły ich ogolone głowy. Przez moment Skatval pogodził się z tym, co zobaczył, po chwili jednak zaczął kląć głośno, długo i siarczyście. A więc Videssjanie wysłali do Halogalandy następną grupę klechów. Czy jeszcze do nich nie dotarło, że ludzie z północy nie chcą

ich boga? A może chodzi o to, że ich Phaos czasem domaga się krwawej ofiary?

Przez chwilę Skatval zastanawiał się nad tym, gdyż to uczyniłoby boga wrogów podobnym do tych, których sam czcił. W końcu jednak odrzucił tę myśl. Widywał już Videssjan oddających cześć swemu zgrzybiałemu bogu: śpiewali mu hymny, ale nie składali krwawej ofiary.

Gdy łódź się oddaliła, dromona prawie w miejscu zawróciła (praca wiosła bez zarzutu) i ruszyła w kierunku wylotu z fiordu. Skatval znowu zmarszczył brwi. Nawet te videssjańskie mięczaki nie miały zwyczaju pozostawiania kapłanów na zatracenie.

Zamiast przybijać do brzegu, łódź zatrzymała się przed nim w odległości pół strzału z łuku.

Kapłani, odziani w błękitne szaty, zaintonowali hymn. Jeden z nich wstał, spojrzął w kierunku słońca i na wysokości lewej piersi zakreślił koło. Skatval wiedział, że ten gest jest wyrazem szacunku. Pozostali wzniesli ręce ku niebu. Nadal rozbrzmiewał ich śpiew. Stojący kapłan ponownie zakreślił okrąg — słońce, po czym kilkakrotnie wykonał parę szybkich ruchów ręką.

Nagle między łodzią a brzegiem pojawił się szeroki most ze światła słonecznego. Kapłani zarzucili plecaki na ramiona i przeszli po nim tak pewnie jak po suchym lądzie. Gdy ostatni z nich dotarł do brzegu, most zniknął. Na wodzie fiordu kołysała się porzucona samotna łódź.

A więc — pomyślał Skatval — oni są czarownikami. — Ta magia mogła budzić lęk w każdym zagrodniku i na nim też wywarła wrażenie, choć nie tak znaczne; byłoby ono silniejsze, gdyby magia sięgnęła na brzeg łódki. Halogowie również są znakomitymi czarownikami, mimo że ich magia jest bardziej prymitywna niż ta sztuczka ze światłem. Skatval zdusił w sobie lęk.

Nie miał wątpliwości, że przybyszom w niebieskich szatach chodziło właśnie o wywołanie go, w przeciwnym wypadku dopłynęliby łodzią do samego brzegu.

— Lubią się popisywać, tak — wymamrotał. — O bogowie, już ja wcisnę im tę całą fanfaronadę z powrotem w gardła. — Położył dłoń na rękojeści miecza i dużymi krokami podążył ku brzegowi. Zastanawiał się, czy już teraz powinien ich zabić i czy w ten sposób Stavrakios chce dać imperium pretekst do napaści na Halogaland swoich statków i żołnierzy.

Dyplomatyczne gry z Videssosem są bardzo ryzykowne. Może rozsądniej będzie pozwolić kapłanom na naruszenie prawa, co z pewnością uczynią, aby dzięki temu móc uzasadnić ich zgładzenie.

Nieproszeni goście ujrzeli go, gdy schodził ścieżką prowadzącą z chaty. Jak jeden mąż wszyscy obrócili się ku niemu. Rzeczywiście, jak jeden mąż — pomyślał. Videssjańscy kapłani byli liczni jak ziarna grochu w strąku. Zanim podszedł na tyle blisko, by rozróżnić twarze, był już pewien, co zobaczy. Będą wśród nich młodszy i starsi, ale w porównaniu z nim wszyscy okażą się mali, drobni i ciemni.

Trzech z czterech kapłanów pasowało do jego oczekiwań, nawet ich wiek byłby trudny do odgadnięcia, gdyby nie siwizna w nie strzyżonych brodach: identyczne szaty oraz łysiny na głowach sprawiały, że wszyscy wyglądali tak samo.

Może dlatego, że spodziewał się ich podobieństwa, nieco więcej czasu, niż powinno, zajęło mu zauważenie, że czwarty mężczyzna z łodzi odróżnia się od pozostałych. Ubrany był jak reszta jego towarzyszy, lecz jego broda okalająca policzki i podbródek nie była ani czarna, ani siwa, ale spływała na jego piersi jak złoty splot. Przybysz miał kwadratową twarz z krótkim nosem; jego oczy nie były ciemne o grubych powiekach i cwany spojrzeniu, ale otwarte i przyjacielskie, w kolorze takim samym jak wody Fiordu Lygra.

Skatval zatrzymał się. Szarpnął się za brodę, znacznie lepiej utrzymaną niż broda przybysza, ale o tym samym odcieniu. Tego się nie spodziewał. Jak Videssjanom udało się uczynić Halogę kapłanem Phaosa? A dokładnie rzecz ujmując, jaką broń on stanowił?

Przez cały czas, od chwili przejścia z „Bezlitosnego” na łódkę, wszyscy kapłani odmawiali modlitwę. Teraz jednak, Antilas, Nephon i Tzoumas stali w milczeniu, obserwując zbliżającego się barbarzyńcę. Wiedzieli, że już za chwilę może rozpocząć się ich męczeństwo, wiedzieli, że ich los spoczywa tylko w rękach Phaosa i że bóg może zrobić z nimi, co zechce.

Kveldulf wiedział o tym wszystkim równie dobrze, jak jego współwyznawcy. Mimo to jeszcze raz złożył wyznanie wiary.

— Wielbimy cię, Phaosie, Panie o wielkim i dobrym umyśle, który sprawiasz, że pomyślnie przechodzimy wielkie próby życia.

Twoja pobożność jak zawsze przynosi ci chlubę, Kveldulfie — powiedział Tzoumas.

Podobnie jak wszyscy mieszkańcy imperium, stary kapłan wymówił imię Kveldulfa w języku videssjańskim: Kveldouphios. Przywykł już do tej wymowy swojego imienia, prawie tak, jakby ją słyszał od urodzenia. Prawie.

Nie chcąc sprzeciwiać się przełożonemu, skromnie opuścił wzrok. Wyznanie wiary, które składał Phaosowi, nie było prośbą do dobrego boga o łaskę, ale o zakorzenienie, przypomnieniem samemu sobie, kim chciał być w tym świecie, w którym potrzebował korzeni, tak jak żeglarz na rozbitym statku potrzebuje masztu, by wesprzeć się na nim, gdy na morzu nagle zapanuje zamęt.

Choć od dwudziestu z górą lat jego noga nie postąpiła w Halogalandzie, uderzyło go to, że wszystko tu zdawało się znajome. Uczucie to było tym silniejsze, że niespodziewane: sposób, w jaki ziemia stromo schodziła ku morzu; ponura szarość nagich skał; zimny, słony posmak powietrza; ramiona wzgórz pokryte ciemnym płaszczem z prostych jak strzały jodeł i sosen; ściany domu wodza, pokryte darnią, pochylone wzajemnie ku sobie, tak by lepiej dopasować się do kształtu dachu, który w rzeczywistości nie był prawdziwym dachem, ale odwróconą do góry dnem łodzią nie nadającą się już do użytku. W takim właśnie domu spędził dzieciństwo. Teraz już nie jest dzieckiem. Wywieziony do imperium jako jeniec wojenny, tam w wielkich miastach, w złotej Skopentzanie i w stolicy potężnego mocarstwa mieście Videssos wyrósł na mężczyznę

— wyrósł na kapłana. Obecnie, oczami mężczyzny, który dobrze poznał inny świat, patrzył na to, co niegdyś, gdy był dzieckiem, wydawało mu się naturalne.

— Jacy oni są biedni — szepnął. Zielone pola, choć bujnie porośnięte jęczmieniem i fasolą, były żałośnie małe. A i plony w porównaniu z Videssosem były niewielkie. Tam, pod uśmiechem słońca na niebie, w niektórych prowincjach żniwa udawały się dwa razy w roku. Tutaj, na północy, nie można być pewnym zbiorów nawet jeden raz. Bydło tu małe, świnie wychudzone, tylko owce zdawały się takie dorodne, porośnięte gęstą wełną, jak pamiętał z dawnych lat.

Potrzebowali dobrej wełny, by uchronić się przed zimą.

Nawet chata pasowała do jego wspomnień, a jednocześnie spodziewał się czegoś więcej.

Wódz był człowiekiem bogatszym, niż jego ojciec mógłby marzyć; jego dom był większy i bardziej solidny niż ten, z którego Kveldulf uciekał z załzawionymi oczami i piekącym gardłem, gdy najeźdźcy z imperium podłożyli pod niego ogień. A jednak przy dziesiątkach domów, pałaców i świątyń w Skopentzanie, przy setkach w mieście Videssos, ten dom był jedynie norą, na dodatek — brudną norą.

Wódz nadal podążał w kierunku kapłanów. Był roslym mężczyzną o szerokich barach, płowych włosach, białej skórze i oczach jasnych jak u Kveldulfa. Duża złota brosza spinająca płaszcz mówiła jego wysokiej randze. Ale luźne wełniane spodnie nosiły ślady ziemi na kolanach, może od przykłękania w polu albo też w domu na klepisku. Przypomniawszy sobie ojca, który zwykł był trzymać nad głową łuczywo, Kveldulf zauważył zaczerwienione oczy wodza, sadzę, która na zawsze wniknęła w zmarszczki na jego czole: Halogowie znali kominy, ale zimą często z nich rezygnowali, by zatrzymać uciekające ciepło.

Wódz zatrzymał się jakieś pięć kroków przed kapłanami i przez całą minutę mierzył ich wzrokiem.

— Po coście przybyli tu, gdzie tacy jak wy nie są mile widziani?

Pod wpływem jego niskiego, spokojnego głosu i donośnie wypowiedzianych, pompatycznych słów, Kveldulfem wstrząsnęły dreszcze. Od dzieciństwa nie słyszał nikogo, kto oprócz niego mówiłby czystym językiem haloga; nauczył go swoich towarzyszy, ale ich wymowa nosiła ślady videssjańskiej intonacji brzmiącej jak muzyczne staccato.

Już na samo brzmienie głosu wodza serce Kveldulfa rwało się, by mu odpowiedzieć, wiedział

jednak, że byłby to nietakt. Pokornie opuścił wzrok ku ziemi, podczas gdy Tzoumas, najstarszy i najbardziej świątobliwy z całej czwórki, odpowiedział w języku północy:

— Przybyliśmy, by opowiedzieć wam o dobrym bogu Phaosie, panu o wielkim i dobrym umyśle, którego należy czcić przez wzgląd na wasze dusze.

— A to coś nowego — powiedział wódz, unosząc jasne jak słoma brwi i nagle przeszedł na videssjański. — Niewielu z nas zna wasz język, ale południowiec, który zadał sobie trud, by nauczyć się naszego, to prawdziwa rzadkość.

Nephton stojący za Kveldulfem trącił łokciem Antilasa i szepnął:

— Mało który Videssjanin traciłby czas na ten barbarzyński żargon. — Mruknięciem Antilas przyznał

mu rację. Wódz Halogów nie mógł tego słyszeć, ale Kveldulf zmarszczył brwi, chociaż Nephon mówił prawdę; tylko na wyraźny rozkaz patriarchy ta trójka nauczyła się języka północy i obyczajów ludu Haloga. Większość Videssjan uważa, że obcy, którzy nie chcą przyjąć ich zwyczajów, powinni zginąć.

Myszę, że ten, który robi tu za przynętę, nauczył was naszego języka — ciągnął wódz, nadal w języku videssjańskim. Jego wzrok spoczął na Kveldulfie, po czym przeszedł na ojczystą mowę.

— Kim jesteś i jakim sposobem znalazłeś się wśród południowców?

— Pozwolisz, wasza świątobliwość? — Kveldulf zwrócił się szeptem do Tzoumasa, który skinieniem głowy wyraził zgodę. Dopiero wtedy zwrócił się bezpośrednio do Halogi. — Jestem Kveldulf, kapłan Phaosa, taki jak inni.

— Na bogów, wcale nie taki jak inni — powiedział wódz. Kveldulf, i jak dalej? Czyś ty jest niewolnikiem albo kobietą, że nie masz przydomka ani też imienia ojca przy swoim imieniu? —

Wielką pięścią uderzył się w pierś. — Ja jestem Skatval Dziarski albo też Skatval, syn Rauda.

— Oddaję pokłon tobie, Skatvalu Dziarski, i twojemu ludowi — Kveldulf wypowiedział

właściwe powitanie. — Ja jestem Kveldulf, i tyle wystarczy. Jeśli chcesz, to jestem niewolnikiem, ale z własnej woli niewolnikiem dobrego boga, tak jak wszyscy kapłani. Nie mamy innych tytułów i wcale ich nie potrzebujemy.

— Jesteś niewolnikiem z własnej woli? — Skatval wyjął miecz z pochwy. — I wolny lud Halogalandu uczyniłbyś niewolnikami?

— Niewolnikami dobrego boga? Tak. — Kveldulf poczuł, że jego życie zawisło na włosku.

Halogowie nie uznawali niewolnictwa, w przeciwieństwie do Videssjan. Kveldulf był całkiem zwyczajnym niewolnikiem, dopóki jego żarliwa wiara w boga, którego poznał w imperium, nie sprawiła, że jego pan, człowiek bardzo pobożny, zwrócił mu wolność, by mógł służyć Phaosowi.

Nie drgnąwszy nawet, patrzył prosto w oczy Skatwała. — Zabij mnie, panie, jeśli taka twa wola.

Nie ucieknę, nie będę walczył, ale póki życia, poty będę głosił nauki.

Wódz Haloga uniósł w górę błyszczące ostrze. Nagle zatrzymał się, odrzucił w tył głowę i wybuchnął gromkim śmiechem, który echem zabrzmiał wśród wzgórz.

— Głoś swoje nauki, jak chcesz i gdzie chcesz, ty nędzny klecho. Zobaczymy, ilu ludzi północy da się dobrowolnie zakuć na zawsze w kajdany, obojętnie dla kogo, nawet dla boga.

Kveldulf poczuł, że ogień gniewu rozpala się w jego gardle i obejmuje całą głowę. Wiedział, że przy jasnej, prawie przezroczystej cerze jego wzburzenie jest bardzo widoczne, ale nie dbał o to. Jego ręce, niewprawne do walki, same zacisnęły się w pięści. Zrobił krok w kierunku Skatwała.



— Zatrzymaj się! — ostro powiedział Tzoumas.

Skatval wciąż zanosząc się śmiechem, odrzucił na bok miecz.

— Pozwól mu podejść, Videssjaninie. Może uda mi się wtłuc mu trochę rozumu w tę ogoloną głowę, skoro inne sposoby zawodzą.

— Zatrzymaj się, kapłanie. — Tzoumas powtórnie zwrócił się do Kveldulfa i poczekał, aż go usłyszy, zanim zwrócił się do Skatvala. — Podnieś swą broń, panie, bo do tej walki Kveldulf jest świetnie uzbrojony.

Świetnie uzbrojony? W co? — W głosie Skatvala zabrzmiało szyderstwo.

— W słowa — odpowiedział Tzoumas.

Uśmiech na twarzy Skatvala natychmiast zniknął.

Kveldulf wygłaszał kazanie, stojąc na pastwisku. Obok jego sandałów leżała kupa krowiego łajna. Skatval znał Videssjan na tyle, by wiedzieć, iż ciężko jest przeszkodzić im w tym, co postanowią. Kveldulf znaczył nie więcej niż którykolwiek z drobnych gospodarzy. I zbyt wielu z nich stało teraz w polu, słuchając kazania, by mogło to podobać się Skatvalowi.

Skatval przyglądał się im, stojąc na brzegu lasu, który graniczył z łąką. Z powodu braku przydomka, nazwał Kveldulfa kobietą. Teraz, jakby w odwecie za tę drwinę, nadciągnęła grupa kobiet, by słuchać Halogę, w niepojęty sposób przemienionego w videssjańskiego kapłana. Na samą myśl o tym, Skatval czuł niesmak. I choć gardził Kveldulfem, to nie mógł zaprzeczyć, że jego postać w niebieskiej szacie prezentuje się znakomicie, z wyjątkiem ogolonej głowy. Ale i ona, nawet przez osoby nieprzychylnie widessjańskim klechom, może być poczytana za egzotyczną odmienność osoby, która pod każdym innym względem jest typowym człowiekiem północy. Sądząc po reakcji kobiet, tak właśnie było, co jeszcze bardziej zaniepokoiło Skatvala.

Pośród nich była też jego własna córka, Skjaldvor; w drugim rzędzie w tłumie otaczającym Kveldulfa dostrzegł jej jasnozłote włosy. Z niezadowoleniem wymamrotał coś pod nosem. Jeśli Skjaldvor na poważnie zainteresuje się tym pajacem z południa, to ciężko będzie się go pozbyć, gdy już przyjdzie pora. Znów coś wymamrotał. Powinien był wydać córkę za mąż już dwa lata temu, albo nawet trzy czy cztery, ale zwlekał, bo pochlebiało mu, że dłużej chciała zostać w ojcowskiej chacie. Teraz zastanawiał się, jaką cenę przyjdzie mu zapłacić za swą uległość.

Wyobrażał sobie, jak jego surowi, żądni krwi bogowie naśmiewają się z niego. Oni wiedzą, że za słabość zawsze trzeba płacić. Zasepił się. Czy dobrowolnie pozwolą zastąpić się innym bogiem tylko po to, by dać mu lekcję, którą on już dobrze zna? Mogą to zrobić. Halogowie, którzy szukają zemsty, robią to dla samej idei, nie licząc się z kosztami i nie zastanawiając się, czy warto.

Letnia bryza, tak delikatna, że mogłaby oszukać obietnicą nie ustających pięknych dni, przywiała słowa Kveldulfa do uszu Skatvala. Kapłan, obdarzony czystym, aksamitnym męskim głosem był nie lada mówcą — bezpośredniość właściwą ludziom północy połączył z bardziej wyrafinowanym

stylem videssjańskim. Wydawało się, że trzyma w rękach idee i ogląda je ze wszystkich stron.

Przerwał. Jego słuchacze, którzy zamiast stać i wsłuchiwać się w te lukrowane bzdury, powinni uwijać się w polu, by zdążyć z pracami w trakcie krótkiego lata, zaczęli bić brawo.

Skatval ujrzał ręce Skjaldvor składające się do oklasków, jej błyszczące oczy wpatrzone wprost w Kveldulfa i usta rozciągnięte w szerokim uśmiechu.

Zaczął się poważnie martwić.

Po kilku dniach głoszenia kazań Kveldulf zaczął się poważnie martwić. Halogowie, niegdyś jego rodacy, nadal jego rodacy, w końcu wspólna krew jest nie mniej ważna, niż wspólne zamieszkiwanie, gromadzili się tłumnie, by go słuchać. Słuchali go z większą uwagą, niż robiliby to Videssjanie; każdy mieszkaniec imperium uważał się za teologa i chciał dyskutować nad najmniejszym nawet niuansiem w świętym piśmie Phaosa. Halogowie słuchali z szacunkiem, spokojnie potakiwali, ale nie nawracali się.

Nie to, że nie mieli do niego pytań; mieli ich wiele. Ale pytania owe nie wynikały z tego, co zawierała święta księga; nie wierzyli w jej prawdziwość i kwestionowali jej przesłanki i wywody.

Dla Halogów wszystko, co dotyczyło Phaosa, nawet problem jego istnienia, było tematem do dyskusji. Kveldulfa uprzedzono o tym, zanim przyплыł do ojczyzny. Jednak dopiero teraz odkrył, co to oznacza.

Na przykład żaden Videssjanin nie zadałby mu pytania, jakie padło z ust pasterza w butach z niewyprawionej skóry, oblepionych owczym łajnem.

— A niby skąd wiesz, że ten twój Phaos jest taki, jak mówisz?

— Na tym świecie wszystko działa dla dobra, a na innych dla zła — odpowiedział Kveldulf.

— Phaos jest architektem wszystkich dobrych rzeczy, a Skotos przez cały czas pracuje nad ich niszczeniem. — Splunął pod stopy na imię boga ciemności.

Pasterz też splunął.

— Takóż rzeczesz. A kto tobie o tym powiedział?

— Tak mówią święte słowa samego dobrego boga, zapisane dawno temu. — Kveldulf skinął

głową do Tzoumasa, który uniósł w górę księgę. Słowa w niej zawarte nic nie znaczyły dla patrzących Halogów, nie pisali w swoim języku, a cóż dopiero w videssjańskim. Ale oprawa z mosiądzu polerowanego tak, że lśnił jak złoto, ozdobiona drogimi kamieniami oraz emaliowany portret srogiego, majestatycznego oblicza Phaosa, tak, to obiecywało, że zawarte w księdze słowa są warte rozważenia. Jak powiada videssjańskie przysłowie: „Jaki obrąbek, taka cała szata”.

Jednak uparty pasterz zapytał:

— Czy twój bóg wypowiedział te słowa wprost do ciebie? — Kvedulf musiał potrząsnąć głową. — To czemu w nie wierzyć? — drażył dalej pasterz. — Gdy słyszę grzmot lub widzę, jak ziarno w ziemi kiełkuje, albo też dymam moją kobietę, to sam poznaję prawdziwość tych rzeczy i bez wstydu oddaję cześć bogom, którzy je stworzyli. Ale bóg, który przemówił dawno temu, jeśli w ogóle? Fju! — Znowu splunął.

— To bluźnierstwo! — Kvedulf usłyszał przyciszony głos jednego ze swych towarzyszy, chyba Nephona. Sam zaś poczuł, jak przez jego ciało przepływa fala żaru, zbyt gorąca, by mogło ją wywołać mdłe słońce nad Halogą. Na znak oddania dobremu bogu videssjańscy kapłani nie tylko gołą głowy, ale też rezygnują z życia cielesnego. Kvedulf żył już długo w celibacie i rzadko mu to dokuczalo. Ale też w imperium nie mówiło się o spółkowaniu w tak swobodny sposób, jak uczynił to ten pasterz. To bezpośrednie określenie sprawiło, że Kvedulf przez moment poczuł, co stracił.

— Jeśli święte słowa dobrego boga do ciebie nie przemawiają — powiedział — to pomyśl o dokonaniach tych, którzy go wyznają. Rządzą oni krajami od granic Makuranu daleko na południowym zachodzie, na ziemiach otaczających Morze Videssjańskie i Morze Żeglarzy, sięgających aż do Morza Północnego i graniczących z waszą ziemią. I to wszystko znajduje się we władzy jednego człowieka, wielkiego imperatora Stavrakiosa, Autokratora Videssosa, przy którym mały Halogaland jest jak kropla w morzu. Czyż to nie świadczy o potędze Phaosa?

— Ten argument nie jest oparty na piśmie — powiedział stojący za nim Nephon. — Ci barbarzyńcy muszą przyjść do Phaosa z powodu chwały jego, a nie tych, którzy są mu poddani.

— Nie nazywaj ich barbarzyńcami — powiedział cicho Antilas. — Zapomniałeś, że on jest jednym z nich?

Nephos zamruczał coś.

— To, w jaki sposób trafią do Phaosa, niewiele znaczy — rzekł Tzoumas. — Ważne jest, by go odnaleźli. Pozwólmy Kvedulfowi ciągnąć dalej, jeśli chce.

Cała rozmowa toczyła się w języku Videssjan. Halogowie, do których przemawiał Kvedulf nie zwrócili na nią uwagi. Teraz, po raz pierwszy, odkąd przybył do Halogalandu, miał

słuchaczy, którzy z namaszczeniem słuchali tego, co mówił. Nie wiedział, dlaczego, bo przecież Nephon miał rację: argument odwołujący się do efektów jest słabszy niż ten oparty na doktrynie.

Jednak ludzie północy czuli respekt wobec siły; być może nie zaszkodzi przypomnieć im o potędze Videssosu.

— Odrzućcie zło z waszego życia — zawołał. — Przyjmijcie Phaosa w wasze serca, wasze dusze. Zwróćcie się ku bogu, który jest w każdym z was. Powiedzcie mi, kto z was jest gotów przystać do wielkiego i dobrego pana i na zawsze odrzucić zło?

Pytanie takie zadawał na zakończenie każdego kazania. Odpowiedzią była zwykle martwa cisza albo szyderstwa. Halogom wystarczało słuchanie go; była to dla nich okazja, by w nieco odmienny i

interesujący sposób spędzić czas. Ale słuchać kogoś i posłuchać, to dwie różne rzeczy. Przy jego całym pełnym pasji nawoływaniu, nie udało mu się nikogo nawrócić, aż do dzisiaj. Teraz jakaś kobieta uniosła rękę, za nią druga, a potem jeszcze jeden mężczyzna.

Kveldulf uczynił znak słońca na sercu. Gdy spojrział w górę ku niebu, by podziękować Phaosowi za dar przekonywania, jego oczy napełniły się łzami wdzięczności. W końcu dobry bóg dał znak, że nie opuścił ludu północy.

Skatval poderzwał gardło konia. Gdy zwierzę ofiarne zaczęło się słaniać, podstawił czarę pod jego szyję, by zebrać tryskającą krew. Koń padł. Skatval przelał krew z czary do kropidła i, pryskając, pokrył drewniane ściany świątyni plamami lśniącej czerwieni. Pomazał też krwią ręce i policzki sobie i swoim ludziom, którzy zgromadzili się, by złożyć ofiarę. Gdy tak smarował

krwią mężczyzn i kobiety, jego kapłan, Grimke, syn Grankela, głosił:

— Niech dobroć spłynie na nas z boga tak, jak krew wypływa z ofiary.

— Niech tak się stanie — jak echo powtórzył Skatval oraz jego wojownicy i ich kobiety.

Wódz starał się najlepiej jak umiał, by ukryć swój niepokój, gdy zarzynał konia. Ta ofiara powinna była zgromadzić cały klan, by otrzymać błogosławieństwo boga i zasiąść do uczty, jedząc mięso konia i popijając je piwem. Większość z jego ludzi przyszła, ale jednak zbyt wielu brakowało.

Nie było też Skjaldvor. Brwi Skatvala złączyły się nad jego długim nosem. Dotychczas sądził, że spośród wszystkich ludzi chętnych do słuchania tej paplaniny południowców o Phaosie, jego córka byłaby na samym końcu.

Spojrzał na Ulvhild, swoją żonę. Jako że przez całe swe dorosłe życie mieszkali w tej chacie razem, nauczyła się czytać jego myśli tak, jakby je głośno wykrzykiwał. Teraz powoli, z rozmysłem wzruszyła ramionami, mówiąc mu tym gestem, że nic nie może na to poradzić: Skjaldvor jest już kobietą. W odpowiedzi coś wymruczał. Nic nie poradzisz, gdy dziewczyna stanie się kobietą. Ulvhild usłyszała to mruknięcie i spojrzała na niego — myślała o tym samym.

Pospiesznie obrócił się do pieczonego końskiego mięsa. Pierwsze kawałki były już gotowe do zjedzenia. Ktoś podsunął talerz z brzoźowego drewna. Skatval sięgnął po porcję mięsa i nałożył

ją na talerz. Obok niego Grimke zanurzył czerpak w piwie i napełnił nim kufel.

— Niech bogowie błogosławią nas swoją szczodrością — za intonował.

Jakiś czas potem Skatval z brzuchem napełnionym mięsem i głową wirującą od nadmiaru wypitego piwa wyszedł ze świątyni. Był jednym z ostatnich wychodzących, ale nie ostatni w wypełnianiu obowiązków wodza, które polegały na prześcignięciu w jedzeniu i picciu tych, nad którymi górował rangą. W ustach wciąż czuł tłusty smak mięsiwa.

Otwartą dłonią klepnął się po brzuchu. Życie nie jest takie złe. Pola dawały plony, tak jak zwykle. Żadna zaraza nie nawiedziła jego stad ani też choroba nie dotknęła jego ludzi. Żaden najeźdźca nie

zagroził krajowi. Zima będzie długa, ale zimy zawsze są długie. Jeśli bogowie pozwolą, to prawie cały jego klan dotrwa do wiosny. Żył już na tyle długo, że potrafił na wiele miesięcy naprzód dostrzec oznaki nadciągającego głodu i śmierci.

Nagle zadowolenie spłynęło z niego tak szybko, jak woda z rozbitego dzbanka. Brzegiem łąki szli Kveldulf i Skjaldvor, nie ramię przy ramieniu, ale jedno przy drugim, skłaniając głowy blisko siebie. Kveldulf wyjaśniał jej coś, przesadnie gestykulując — musiał się tego nauczyć od Videssjan, bo żaden Haloga nie zachowywałby się tak swobodnie. Skjaldvor śmiała się, klaskała i gorliwie potakiwała głową. Cokolwiek powiedział, wszystko akceptowała.

A może po prostu była to akceptacja dla Kveldulfa; pomyślał Skatval z ponurą uciechą. Wódz zastanawiał się, czy Skjaldvor dostrzegała różnicę pomiędzy doktrynami podawanymi przez kapłana w niebieskiej szacie, a nim samym. Wątpił w to, ale cóż mógł zrobić? Czy ktokolwiek może poradzić sobie z dziewczyną, która staje się kobietą?

Wcześniej w świątyni znalazł już odpowiedź na to pytanie. Nie podobało mu się rozwiązanie, które wymyślił, ale na razie nie wpadł na nic lepszego.

— Powiedz mi, Kveldulfie, jak to się stało, że zacząłeś oddawać cześć bogu Videssjan? —

Zatrzymała się i uniosła głowę, czekała na jego odpowiedź. Światło, które docierało przez leśny baldachim nad ich głowami, było jasne, przejrzyste, prawie pozbawione kolorów, jak białoszare pnie brzoź rosnących dookoła. Powietrze miało posmak mchu i rosy. Kveldulf także się zatrzymał i poczuł, jak cisza owija się wokół niego niczym płaszcz. Gdzieś z oddali dobiegały radosne trele sikorki czubutki. Poza tym wszędzie panowała cisza. Kveldulf słyszał, jak jego własny oddech unosi się i opada, a po chwili usłyszał także oddech Skjaldvor.

Spoglądała na niego, a i on się jej przyglądał. Była wysoka jak na kobietę, czubkiem głowy sięgała powyżej jego policzka. Luźno puszczone złociste włosy okalały jej twarz o silnie zarysowanym podbródku i wystających kościach policzkowych. Takie oblicze, obdarzone jeszcze szeroko rozstawionymi błękitnymi oczami, wiele mówiło o legendarnym uporze Halogów. W

rzeczywistości jej twarz była wierną kopią rysów ojca, choć jego szorstkość u niej przybrała formę świeżości i piękna. Ale Kveldulf, nie przyzwyczajony ani do rodzin, ani kobiet, jakoś tego nie dostrzegł.

Wiedział, że przy niej robi się niespokojny, a także, że spędza z nią zbyt wiele czasu. W końcu wszyscy ludzie Skatvala mieli dusze, które pragnęły zbawienia. Jednakże, Kveldulf przekonywał

sam siebie, nawrócenie córki wodza na wiarę w dobrego boga znacznie by wzmocniło tutaj pozycję Phaosa. I żadne inne jej pytanie nie sprawiłoby mu większej radości.

Cofnął się w przeszłość o wiele lat, spoglądając w głąb siebie.

Byłem wtedy chłopcem, jeszcze mi broda nawet nie kielkowała, gdy zostałem jeńcem Videssjan, sprzedany jako niewolnik domowy. Ku zadowoleniu mojego pana szybko nauczyłem się języka

imperium. Nie był on najgorszym z panów i choć kazał mi ciężko pracować, to karmił

mnie dobrze i bił nie bardziej, niż na to zasługiwałem. — Wąsy połaskotały go w usta, gdy wykrzywił je w wymuszonym uśmiechu. Wspominając niektóre ze swoich wybryków, uważał

teraz, że Zoilos był litościwym człowiekiem, choć wówczas wcale tak nie myślał.

— Jak mogłeś żyć jako niewolnik? — Skjaldvor wzruszyła ramionami. — Wywodziłeś się z wolnego narodu. Czyż nie wolałeś umrzeć, niż żyć zakuty w łańcuchy?

— Nie nosiłem żadnych łańcuchów — odparł Kveldulf.

— To może jeszcze gorzej — rzekła z pogardą w głosie. — Pozostałeś w niewoli, choć mogłeś — powinieneś być — uciec.

— Jak miałem uciec? — zapytał, starając się, by jego głos brzmiał raczej przekonująco niż gniewnie. — Skopentzana leży daleko od Halogalandu, a ja wtedy byłem jeszcze dzieckiem. A w niedługim czasie moja niewola, zamiast smutkiem, stała się dla mnie błogosławieństwem.

Skjaldvor podparła się pod boki rękami i spojrzała na niego.

— Błogosławieństwem? Czyś ty postradał rozum? Chodzić w kieracie, jak ktoś sobie tego zażyczy? Wolałabym umrzeć, niż to znosić.

— Możliwe — spokojnie odpowiedział Kveldulf. Niewolnicę, tak piękną jak Skjaldvor, prawdopodobnie pan zażyczyłby sobie do łóża. Na szczęście Zoilos nie kupił Kveldulfa w tym właśnie celu. Potrząsnął głową, by odrzucić przyziemną myśl, która go rozpraszała i ciągnął

dalej: — Ale pytałaś mnie, jak odnalazłem Phaosa. Myślę, że gdybym nie był niewolnikiem Zoilosa, to pewnie tak by się nie stało. Często z rana gdzieś wychodził i któregoś dnia zapytałem go o to. Powiedział mi, że chodzi modlić się do głównej świątyni w Skopentzanie, i z kolei on spytał, czy nie chciałbym z nim tam iść.

— I powiedziałaś, że tak?

Odpowiedziałem, że tak. — Kveldulf roześmiał się na to wspomnienie z młodości. —

Wydawało się to łatwiejsze niż moja zwykła poranna harówka. Tak więc pozwolił mi się wykapać, dał koszulę mniej zniszczoną niż pozostałe i poszedłem za nim do świątyni. Po raz pierwszy w życiu poczułem zapach kadzidła. Potem spojrzałem w górę, na sklepienie...

Jego głos zamarł. Nawet po upływie ćwierćwiecza pamiętał lęk, jaki poczuł, gdy spojrzał na złote sklepienie, na którym widniał Phaos wydający surowy wyrok i spoglądający nań z góry —

zdawało się, że jedynie na niego spośród tłumu wypełniającego świątynię — oceniając jego uczynki. A potem, zza ołtarza rozległ się śpiew chóru kapłanów, pełen zachwytu i pochwał dla boga o wielkim i dobrym umyśle, a potem... Kveldulf przypomniał sobie, że miał mówić:

— Nie wiedziałem, czy jeszcze jestem na ziemi czy też w górze, w niebiosach. Zobaczyłem świętych mężów w niebieskich szatach, którzy obcują z dobrym bogiem w każdej chwili każdego dnia każdego roku, i wiedziałem, że muszę stać się jednym z nich. Następnego ranka to ja zapytałem Zoilosa, czy mógłbym z nim iść, a kolejnego dnia jeszcze raz, a w następny dzień znowu. Z początku, gdy chodziło mi o wykręcenie się od pracy, on myślał, że jestem pobożny.

Potem, gdy naprawdę oddałem się wierze, uważał, że jestem bumelantem. Ale nie poddawałem się, cały upijałem się dobrym bogiem. Gdy odnalazłem Phaosa, nie pragnąłem już nic innego. To znaczy, pragnąłem już tylko jednej rzeczy.

— Cóż takiego? — Skjaldvor pochyliła się ku niemu. Srebrne łańcuszki łączące dwie duże brosze na jej piersiach cicho zabrzęczały (kształt tych broszy najbardziej przypominał

Kveldulfowi dwie bliźniacze żółwie skorupy). Nagle uzmysłowił sobie, jak blisko siebie stoją.

Odpowiedział jednak tak, jak zamierzał.

— Pragnąłem, by dobry bóg obdarzył mnie łaską wyprowadzenia moich ziomków z ciemności Skotosa do światła Phaosa. Bo ci, którzy umierają, nie poznawszy boga o wielkim i dobrym umyśle, skazani są na całą wieczność w lodowych otchłaniach Skotosa i nie życzą tego losu żadnemu mężczyźnie ani kobiecie, Videssjaninowi ani Halogowi, niewolnikowi ani też człowiekowi wolnemu.

— Och! — Skjaldvor wyprostowała się. Choć przed chwilą jej głos był niski, zmysłowy, teraz zabrzmiał dziwnie bezbarwnie. Przez chwilę przyglądała mu się z uwagą, jakby zastanawiała się, czy dążyć dalej. W końcu podjęła decyzję. — Sądziłam, że chodziło ci o to, by doświadczyć tych samych przyjemności, co inni mężczyźni.

Kveldulf poczuł, jak zalewa go fala gorąca. Wiedział, że rumieniec na jego jasnej skórze zdradził jego zawstydzenie. Spojrzał na Skjaldvor, by sprawdzić, czy też się zarumieniła. Choć miała jaśniejszą karnację, nie było widać ani śladu rumieńca. Czuli się wolni i mogli mówić i robić to, na co miała ochotę.

Jąkając się, odpowiedział:

— Nie mogę, bo złamałbym przysięgę, a tego nigdy nie uczynię.

— To jesteś głupcem i wielka szkoda, bo nie jesteś złym człowiekiem — powiedziała. —

Pozostali kapłani nie są tacy durni.

— Co masz na myśli? — zażądał wyjaśnień.

— Nie wiesz? Jak to możliwe, że nie wiesz, skoro nie jesteś ani ślepy, ani głuchy? Twój towarzysze nie spędzają nocy w samotności w swoich namiotach.

— Czy naprawdę? — zapytał, choć widział jej złośliwą satysfakcję i wiedział, że tak jest.

Ogarnął go smutek, ale nie zdziwienie. — Każdy może popełnić grzech. Będę się za nich modlił.

Wpatrywała się w niego.

— Czy to wszystko?

— A cóż według ciebie powinienem jeszcze zrobić? — zapytał wiedziony ciekawością.

— Gdyby nie twoja broda, to pomyślałabym, że odziewając cię w niebieską szatę, południowcy uczynili z ciebie eunucha. — Skjaldvor wciągnęła głęboko powietrze, po czym głośno wypuściła je przez rozszerzone nozdrza. — Chcesz wiedzieć, co według mnie powinieneś zrobić? Na początek to. — Zrobiła krok do przodu i przylgnęła doń swoim ciałem, mierząc go przy tym wzrokiem, jak wojownik mierzy wroga zza tarczy i miecza.

Poczuł przyciskające go złote brosze, a później bujną jędrność jej ciała. I choć jego ręce opuszczone były po bokach, nie miało to znaczenia, bo to ona przyciskała go do siebie. Pot, który wystąpił mu na czoło i ogoloną głowę, mógłby zamienić ten zimny las w tropikalne bagno.

Pocałowała go. Nawet mężczyzna z kamienia, jak statua na centralnym placu w Skopentzanie, nie mógł pozostać obojętny.

Cofnęła się nieco i spojrzała na niego, lecz nie na zaczerwienioną twarz, tylko poniżej pasa, by ocenić wrażenie, jakie wywarła. Wrażenie to było bardzo widoczne, co sprawiło, że Kveldulf zaczerwienił się jeszcze bardziej. Jednak gdy chciała odchylić jego szatę, odsunął na bok jej rękę.

— Dobry boże, nie — powiedział chrapliwie. Teraz jej twarz zaczerwieniła się z gniewu.

— Dlaczego nie? Videssjanie się nie oszczędzają, więc dlaczego ty to robisz, gdy nawet nie jesteś jednym z nich ani nie urodziłeś się w ich wierze?

— To, że czynią źle, wcale nie znaczy, że mam ich w tym naśladować. Gdyby zamiast cudzołóżyć mordowali, to też kazałabyś mi to robić?

— Jak coś, co sprawia tyle radości, może być złe? — Na tę myśl lekceważąco odrzuciła swe lśniące włosy.

— Dla kapłanów Phaosa jest to zakazane, a więc dla nich jest złe — oświadczył Kveldulf — i choć nie urodziłem się w tej wierze, to jestem przybranym synem wspaniałego ojca, Phaosa. I bez względu na to, kim się urodziłem, w Phaosie mam dom, w którym na zawsze chcę mieszkać.

Wszystko, co powiedział, było prawdą, choć zdawał sobie sprawę, że niekompletną. Jako przybranemu synowi, w domu Phaosa baczniej mu się przyglądano niż Videssjanom, którzy weszli do niego z racji urodzenia: za grzechy, które im się wybacza, jego by odrzucono, jako obcego, który lekceważy ich obyczaje. Kto inny mógłby mieć pretensję, że stosuje się podwójną miarę, ale dla Kveldulfa to był dodatkowy bodziec. Jeśli od niego wymaga się większego poświęcenia, on jest na nie gotów.



— Nie ulegniesz? — zapytała Skjalldvor.

— Nie ulegnę — brzmiała stanowcza odpowiedź. Od kiedy przywdział błękitną szatę, nigdy nie czuł takiej pokusy. Wiedział, że wspomnienie jej ciała przyciśniętego do niego, nie opuści go do końca życia. Nadal pulsowało w nim pożądanie, ale kapłanów uczy się, jak panować nad swoimi zmysłami. Raz po raz powtarzał sobie wyznanie wiary w Phaosa, koncentrując się na dobrym bogu, a nie na pragnieniach ciała i w końcu pragnienie to zaczęło wygasać.

Skjalldvor znowu przysunęła się do niego. Tym razem — pomyślał — będę odporny na jej uściski. Ale teraz nie objęła go. Szybkim ruchem wymierzyła mu policzek najpierw z jednej, a potem, grzbietem dłoni, z drugiej strony. Z radością przyjął ból, który uwolnił go od resztek pożądania.

— Niech bóg o wielkim i dobrym umyśle trzyma cię w swoim sercu, aż ty umieścisz go w swoim — powiedział. — Będę się modlić, by stało się to jak najprędzej, bo wydajesz się bardziej gotowa do przyjęcia tej wiary, niż twoi bracia.

Znowu odrzuciła głowę i zaśmiała się. Mimo słodczy jej głosu, ten śmiech brzmiał nieprzyjemnie. Potem splunęła wprost w jego twarz.

— To jest dla Phaosa i jego wiary — splunęła jeszcze raz — a to dla ciebie. — Obróciła się na pięcie i odeszła dumnym krokiem.

Kveldulf stał i patrzył za dziewczyną, a jej ciepła ślina spływała mu na brodę. Z rozmysłem pochylił głowę i splunął sobie pod nogi. Był to stary videssjański gest oznaczający odrzucenie Skotosa. Jeszcze raz powtórzył wyznanie wiary w Phaosa. Gdy skończył, powolnym krokiem ruszył w kierunku namiotów rozstawionych na nabrzeżu.

Skatval obserwował, jak mały tłumek zagrodników i pasterzy unosi ręce ku niebu. Dobiegał go cichy szmer ich modłów do Phaosa. Z wyjątkiem imienia videssjańskiego boga, cała modlitwa była w języku Haloga. Zdarzało mu się słyszeć gorszą poezję w wykonaniu bardów podróżujących ze swymi pieśniami od jednego plemienia do drugiego. Niewątpliwie to dzieło Kveldulfa — pomyślał. Okazało się, że kapłan o jasnej brodzie miał więcej talentów, niż można było się spodziewać.

Wśród zgromadzonych nawróconych nie było Skjalldvor i za to Skatval złożył modlitwę dziękczynną swojemu bogu. Nie pytał jej, co zaszło pomiędzy nią a Kveldulfem, ale tak jak przedtem biegała na nabożeństwa, wpatrywała się w niego maślanymi oczami, teraz na jego widok twarz jej tężała nienawiścią, a na dźwięk jego imienia rzucała przekleństwami. Z

pewnością już nie groziło jej nawrócenie na wiarę w Phaosa.

Jednak kapłani z imperium zdobyli dla swej wiary więcej ludzi, niż Skatval się spodziewał

(prawdę mówiąc, myślał, że jego ludzie śmiechem odprawią Kveldulfa i jego towarzyszy, w przeciwnym wypadku wymordowałyby ich, gdy tylko postawili nogę na jego ziemi). To go zmartwiło. Nawróceni na wiarę videssjańską — to oznacza w przyszłości obecność videssjańskich kapłanów na

jego ziemi, a to z kolei znaczy... Skatval westchnął bez słów. Ruszył

w kierunku modlącej się grupy. Już on pokaże swoim ludziom, co to oznacza.

Gdy wódz podszedł bliżej, Kveldulf z szacunkiem się uklonił.

— Niech bóg obdarzy cię pokojem, Skatvalu Dziarski. Czy mogę mieć nadzieję, że przyszedłeś tu, aby do nas dołączyć?

— Nie — odparł wódz, cedząc słowa. — Przyszedłem, by zadać ci kilka pytań.

Kveldulf uklonił się ponownie.

— Pytaj, o co chcesz. Wiedza jest drogą do wiary.

— Wiedza jest drogą wokół pułapki, którą zastawiasz na moich ludzi — odparował Skatval.

— Przypuśćmy, że niektórzy z nas przyjmą twoją wiarę, a następnie poróżnimy się między sobą co do tego, jak należy postępować. Kto będzie rozstrzygał o tym, który z nas ma rację?

— Kapłani wychowywani są od dziecka na sposób Phaosa — odpowiedział Kveldulf. — Czy nowo nawróceni mogą równać się w wiedzy z kapłanami?

Skatval skrzywił się. Ten halogański kapłan — nie, ten jasnowłosy Videssjanin, lepiej tak o nim myśleć — nie ułatwiał mu zadania. Wódz jednak parł do przodu.

— A przypuśćmy, że dojdzie do sporu między kapłanami, w końcu są tylko ludźmi. Jak wtedy zdecydować, który z nich kroczy po właściwej drodze?

— Nad nimi stoi biskup — odpowiedział Kveldulf, starając się zachować ostrożność. Skatval wypytywał go już wcześniej, ale prywatnie, nie w obecności swoich ludzi.

— A co dzieje się z kapłanem, któremu nie przyznano racji — spytał Skatval — jeśli nadal obstaje przy swoim, czy zostaje wtedy zniesiony?

— Tych, którzy przedkładają fałszywą doktrynę ponad to, co głoszą ich przełożeni, my nazywamy heretykami. — Kveldulf rozważył pytanie, i dorzucił: — Jednakże taki kapłan jeszcze nie jest wykluczony — właściwe słowo to ekskomunikowany — ma on prawo odwoływać się do patriarchy — najbardziej świątobliwego, najstarszego rangą kapłana — głowy wszystkich wierzących.

— Och, patriarcha! — wykrzyknął Skatval, jakby po raz pierwszy słyszał o istnieniu tego najwyższego rangą kapłana. — A gdzie mieszka ten książę pobożności?

— W mieście Videssos, przy Głównej Świątyni — odpowiedział Kveldulf.

— W mieście Videssos? To znaczy pod łapą Autokratora? — Skatval wyszczerzył zęby w uśmiechu, który przypominał grymas rysia zasadzającego się na ofiarę. — A więc chciałbyś, aby Stavrakios

rozstrzygał nasze spory, czy to miałeś na myśli? — Obrócił się ku nawróconym i zaczął okładać ich jak batem ostrymi słowami. — Sądziłem, że jesteście ludźmi wolnymi, a nie zniewolonymi poprzez wiarę w boga imperium. Wasz święty Kveldulf jest tylko ich zwiadowcą, ostrzegam was.

— To patriarcha kieruje Kościołem, a nie Autokrator — powtórzył z naciskiem Kveldulf.

Stojący z tyłu jego videssjańscy towarzysze energicznie pokiwali głowami. Skatval zignorował ich. Bez Kveldulfa nic tu nie znaczyli.

— A jeśli twój najdroższy patriarcha umrze, to co wtedy? — rzucił krótko do Kveldulfa.

— Wtedy kardynałowie zbierają się na konklawe, by wybrać jego następców — odpowiedział kapłan.

Teraz Skatval poczuł do niego prawie uwielbienie za to, że bez kłamstwa będzie mógł

wykorzystać prawdę do własnych celów. Pośród wielu Halogów, nawet wodzów, jego słowa mogły umocnić jego zamierzenie. Ale Skatval, bardziej nieufny wobec imperium niż większość z nich, zdobył też o nim więcej wiedzy.

— Na wierność swojemu bogu, Kveldulfie, powiedz nam, kto wyznacza tych trzech, spośród których kardynałowie wybierają patriarchę?

Przez moment widział nienawiść w tych niebieskich oczach, tak podobnych do jego własnych.

Tylko przez moment — a gdy już przeszła, to zniknęła zupełnie. Skatval dostrzegł także, że kapłani videssjańscy najwyraźniej chcieli, by Kveldulf skłamał. Jednak gdy w końcu odpowiedział, jego głos był pewny i spokojny.

— To Autokrator wybiera tych kandydatów.

— Widzicie więc? — Skatval zwrócił się ku nawróconym, którzy przysłuchiwali się jego dyskusji z Kveldulfem. — Widzicie? Przyjmijcie wiarę w Phaosa, jeśli chcecie, by Autokrator dyktował wam, co macie robić. Videssos nie ma wystarczającej siły, by pokonać nas mieczem, więc usiłuje zadusić nas jedwabną pajęczyną swego boga. A wy — wy wspieracie w tym imperium.

Miał nadzieję, że zmuszając Kveldulfa do przyznania, iż wiara w Phaosa była zdominowana przez Autokratora, odciągnie swych ludzi od videssjańskiego boga. I rzeczywiście, kilkoro mężczyzn i kobiet opuściło zgromadzenie, potrząsając głowami nad własną głupotą. Dla Halogów panowanie Videssos oznaczało jeden wielki kraj spętany łańcuchami.

Jednakże większa grupa, niż się spodziewał, została na miejscu, by usłyszeć odpowiedź

Kveldulfa. Kapłan, zbyt sprytny jak na gust Skatvala, także to dostrzegł, co dodało mu siły.

— Przyjaciele — odpowiedział śmiało. — Nieważne skąd pochodzi wiara, jej prawda jest niezmienna. Poznaliście tę prawdę w świętym piśmie Phaosa, usłyszeliście ją wypowiedzianą moimi marnymi słowami i przyjęliście z własnej, nieprzymuszonej woli. Pomijając to, czym wasze dusze zapłaciłyby w przyszłym życiu, to odwrócenie się teraz od wiary pod naciskiem waszego wodza byłoby równie niewolniczym poddaństwem, jak jego wymaginowane twierdzenie, że przyjmując dobrego boga, w jakiś sposób służycie imperium.

Skatval zacisnął zęby, gdy zobaczył wiele osób potakujących z przekonaniem. Ludzie przestali odchodzić z pola, na którym nawrócony Haloga odprawiał swoje nabożeństwo. Kveldulf nie okazał triumfu, który musiał odczuwać. Videssjanin uczyniłby to i straciłby ludzi, których szacunek udało mu się zdobyć. Kveldulf po prostu dalej odprawiał nabożeństwo, jakby nic się nie stało; w głębi serca był Halogą i wiedział, że cichy gest jest najszybszym zabójcą.

Wzburzony Skatval oddalił się. Przeciągając potyczkę, straciłby twarz. Gdy wchodził w las, prawie wpadł na Grimke, syna Grankela.

— Czy ty też przyszedłeś tu, by połączyć swój los z Phaosem? — warknął.

— Można obserwować wroga, nie przyłączając się do niego — odparł sługa bogów Halogi.

— Ty przynajmniej widzisz w nim wroga, bo te baranie łby nawet nie chcą o tym słyszeć —

powiedział Skatval. — On jest niebezpiecznym, śmiertelnym wrogiem. — Jego oczy się zwięziły, gdy obejrzał się do tyłu na Kveldulfa, który intonował swoim nawróconym jeszcze jeden przetłumaczony hymn.

— Więc czy nie zasłużył na śmierć? — Grimke spojrział na miecz przypięty do pasa wodza. —

Mógłbyś ją na niego zesłać.

— Chciałem, ale obawiam się, że jego zwolennicy już na zawsze pozostałoby mu wierni. Ale jeśli ty zabijesz południowców i Kveldulfa, ich czarnego konia, czarami, to wszyscy zobaczą, że nasi bogowie są silniejsi niż ten, o którym on bajdurzy.

Grimke, syn Grankela, wpatrywał się w niego, po czym powoli się uśmiechnął.

— To da się zrobić, wodzu.

— Więc zrób to. Zbyt długo toleruję obecność między nami tego zdrajcy, co pozwala, by zdrada zapuściła korzenie. Jeśli teraz każę zabić Kveldulfa i jego videssjańskich towarzyszy, to zamiast wyciszenia, tylko wzniecę niepokoję. Ale ty nie zabijesz ich tak po prostu, prawda?

— Nie, nie tak po prostu. — Na twarzy Grimke odbijało się jak w lustrze oczekiwanie i kalkulacja. — Hmm... najlepiej będzie poczekać do północy, gdy moc jego boga jest najsłabsza.

— Jak uważasz, ale wiesz, przy użyciu czarów... — Skatval przerwał, wpatrując się w swojego czarownika. — Czy ty też sądzisz, że Phaos jest prawdziwym bogiem?

— To jest dla Phaosa. — Grimke splunął koło swych stóp, tak jak robią to Videssjanie, odrzucając Skotosa. — Ale każdy bóg jest prawdziwy dla tego, kto w niego wierzy, i może ochronić przed czarami. Mając do wyboru czary, wybiorę najprostsze jakie można. A zatem najbardziej odpowiada mi północ.

— Niech będzie, jak chcesz — powiedział Skatval — byleby stało się to dzisiejszej nocy.

Nawet o północy niebo nie było całkiem ciemne. Posępna czerwień barwiła jego północną stronę, znacząc ślad słońca tuż nad horyzontem. Ten widok nasunął Skatvalowi myśl o krwi.

Zaledwie kilka najjaśniejszych gwiazd widać było w tym nie kończącym się letnim półmroku.

Rozległ się lekki trzask ognia. Kawałek po kawałku Grimke, syn Grankela, dokładał do niego drewno i inne, trudne do odgadnięcia substancje. Podmuch wiatru przywiał dym prosto w twarz Skatvala. Ten zakaszłał, omal się nie udusił; to nie był zapach prawdziwego ogniska. Niemal kazał Grimkowi stłumić ogień i odłożyć na bok czary. Niemal.

Grimke umieścił srebrną czarę nad płomieniami, których języki otoczyły ją ze wszystkich stron, aż wydawało się, że bogowie i dzikie bestie przedstawione na jej ścianach nabierają życia.

Skatval przetarł oczy. Widywał już blask gorąca, ale nigdy taki. W czarze znajdowała się gęsta, galaretowata substancja. Gdy zaczęła bulgotać i kipieć, Grimke z zadowoleniem kiwnął głową.

Ponad czarą trzymał dwa kielichy podobnie wykonane. Jeden napełniony był krwią (po części jego i Skatvala), a drugi gorzkim piwem. Powoli, powoli wlewał je dwiema bliźniaczymi strużkami do czary.

— Wypędź intruzów z naszej ziemi, napełnij ich strachem, ześlij na nich śmierć —

zaintonował. — Gdy płonie nasza krew, ześlij na nich los tak gorzki, jak to piwo. Niech zaznają żalości, niech zaznają wstydu, niech zapomną swego boga, niech ostanie się im tylko grób.

Monotonny śpiew pełen aliteracji i asonansów ciągnął się dalej. Skatvalowi włosy zjeżyły się na głowie, bo choć magia nie była skierowana przeciw niemu, to czuł jej moc, czuł ją i napełniała go strachem. Bogowie Halogi byli ponurzy i zimni, tak jak ziemia, którą rządzą. Gdy Grimke ponaglał ich, by użyli swojej mocy, Skatval przez moment zastanawiał się, czy Phaos nie byłby lepszym, bezpieczniejszym panem dla jego ludu. Odegnął tę myśl, żywiąc nadzieję, że jego bogowie jej nie dostrzegli.

Było już za późno, by się rozmyślić. Głos Grimke wzniósł się aż do krzyku. W odpowiedzi rozległy się inne, odległe krzyki, wprost z namiotów zajmowanych przez kapłanów. Słyszając w nich przerażenie, Skatvalowi znowu przemknęła myśl, że może jednak powinien był wybrać Phaosa. Potrząsnął głową. Może Phaos byłby dobrym panem dla jego ludzi, ale nie Autokrator Stavrakios, a nie można mieć jednego bez drugiego.

Grimke syn Grankela, odstawił srebrne kielichy. Migoczące płomienie oświetliły jego twarz, ukazując spływający pot i głębokie bruzdy biegnące od nosa do kącików ust. Ochryłym z wysiłku

głosem powoli powiedział:

— To, co było możliwe, magia uczyniła.

Kveldulf obudził się, przerywając sen pełen koszmarów. Na widok światła słonecznego wpadającego przez ścianę namiotu odetchnął z ulgą, jakby stracił prawo, by je oglądać.

Potrząsnął głową, czując, że zachowuje się niemądrze. Sny były tylko snami, nieważne jak straszne, gdy wstaje słońce, one znikają. Ale te nie chciały odejść.

Spał w swojej szacie. Teraz znów obwiązał ją pasem i wyszedł na zewnątrz, by ofiarować słońcu, które było symbolem jego boga, poranne modły. Tzoumas, Nephon i Antilas przebywali jeszcze w swoich namiotach. Śpiochy, pomyślał i wznosił ręce ku niebu.

— Błogosławię cię, Phaosie, boże o wielkim i dobrym umyśle! — Kątem oka zauważył

zbliżającego się Skatvala, ale nie zwrócił nań większej uwagi, dopóki nie zakończył modlitwy.

— Ty żyjesz! — zakrzyknął Skatval, jakby było to niewybaczalne przestępstwo.

— No, tak — odpowiedział Kveldulf z uśmiechem. — Dobry bóg przeprowadził mnie bezpiecznie przez kolejną noc. Czyżbym był tak sędziwy, że ta myśl napawa cię zdumieniem?

— Obejrzyj swoich towarzyszy — powiedział Skatval, nadal wpatrując się w niego.

— Wolałbym nie zakłócać ich wypoczynku — odpowiedział Kveldulf. Szczególnie Tzoumas potrafi się wściekać jak ranny niedźwiedź, gdy nie wyśpi się porządnie.

— Popatrz na nich! — powiedział Skatval tak gwałtownie, że Kveldulf musiał posłuchać.

Podszedł do namiotu Nephona, odchylił płótno zasłaniające wejście i wsunął głowę do środka.

Chwilę później wycofał się, blady na twarzy i z ciężkim żołądkiem. Jego palce same z siebie zakreśliły słoneczny krąg — znak Phaosa. Z nadzieją podszedł do namiotu Antilasa i Tzoumasa, ale w każdym z nich znalazł tylko śmiertelne przerażenie trwale wyryte na twarzach martwych kapłanów.

Odwrócił się do Skatvala.

— Dlaczego mnie oszczędziłeś? Wolałbym umrzeć razem z moimi towarzyszami. —

Wiedział, że wodzowi nie podoba się jego wiara, ale nie sądził, że jego nienawiść jest aż tak wielka, by w taki sposób postąpić z Videssjanami. Uważał Skatvala za rozsądnego człowieka, ale gdzie jest rozsądek w tym postępku?

Skatval wyjaśnił mu.

— Bogowie wiedzą, że liczyłem na to, iż czary Grimka pokonają także ciebie, przede wszystkim

ciebie. Oni sami nic by nie znaczyli; ale ty bez nich nadal pozostajesz śmiertelnym zagrożeniem dla wszystkiego, co jest mi drogie; teraz jesteś jeszcze bardziej niebezpieczny, bo przeżyłeś. Z twoim bogiem jakoś mógłbym żyć lub też zniósłbym to, że moi ludzie go wyznają.

Ale wraz z Phaosem wprowadzisz tu Stavrakiosa, a na to już nie mogę pozwolić. Jeśli ci życie miłe Kveldulfie, uciekaj, póki jeszcze żyjesz.

Kveldulf powoli potrząsnął głową. Wiedział, że Skatval mówi prawdę; do jego uszu dotarły wypowiedzi videssańskich hierarchów, które to potwierdzały. W pewnym sensie wiara w Phaosa była rękawicą, w której poruszała się ręka dyplomacji imperium. Jeśli Halogowie będą służyć Phaosowi, to któregoś dnia mogą zostać poddanymi Stavrakiosa lub jego następców.

Ale Kveldulf nie był powołany do takiego zadania. Całą duszą wierzył w boga o wielkim i dobrym umyśle, wierzył, że i inni potrzebują wiary, by zbawić swe dusze, wierzył, że większość jego ziomeków zbyt długo żyła w ciemności i że zbyt wielu było skazanych na wieczne lody Stokosa, gdyż nie dane im było poznać Phaosa. To, że dobry bóg mógł wyznaczyć jego, by poprowadził Halogów ku światłu, napełniało go taką radością, jakiej nie czuł od dnia, gdy w świątyni w Skopentzanie jego oczy ujrzały surowy sąd Phaosa.

Jeszcze raz więc potrząsnął głową.

— Nie ucieknę, Skatvalu. Powiedziałem ci to, gdy tylko tu przybyłem. Możesz mnie zabić, ale do ostatniego tchnienia, będę wychwalał Phaosa przed twoim ludem. Dobry bóg tego właśnie ode mnie wymaga. Jest moją tarczą, moją ochroną przed całym złem, jeśli tu umrę, on weźmie moją duszę.

Ku jego zdumieniu Skatval wybuchnął śmiechem.

— Możesz wyznawać boga południowców, ale masz duszę Halogi. Jesteśmy ludźmi hardymi, a nie krętaczami czy mięczakami jak Videssjanie. Ci trzej kapłani, którzy leżą teraz martwi w swoich namiotach, częstowaliby mnie różnymi kłamstwami, a potem wiliby się wokół nich. Tak Videssjanie postępują od wieków.

— Ale nie ja — prosto odpowiedział Kveldulf.

— Wiem o tym. — Skatval zmrużył oczy i wzrokiem jak błękitne ostrza przeszył Kveldulfa.

— I być może dlatego jeszcze żyjesz. Och, nie przeczę, że ci Videssjanie służyli swojemu bogu...

— Mojemu bogu — przerwał mu Kveldulf.

— Niech ci będzie. Służyli mu na swój sposób, ale służyli też Stavrakiosowi. Ale ty, ty jesteś tak cholernie wypełniony Phaosem, że nie ma w tobie miejsca na nic innego. Twoja wiara cię ocaliła, podczas gdy ich, słabsza, na nic się nie zdała.

— Może i masz rację. — Kveldulf przypomniał sobie drwiny Skjaldvor, gdy opowiadała, jak trzej kapłani łamią śluby celibatu. Myśl o Skjaldvor przywiodła też wspomnienie jej ciała przylegającego do jego ciała i jak jego męskość obudziła się z pożądania. — Ale wcale nie taki święty, by czcił

mnie przyszłe pokolenia. Mam w sobie tyle grzechu co każdy, ale walczę z nim, jak mogę.

— Któż może wiedzieć, jak ocenią to przyszłe pokolenia? — powiedział Skatval. —

Postępujemy tak, jak chcemy i na co pozwala dany nam czas. Ludziom to musi wystarczyć; jedynie bogowie mogą zobaczyć efekty naszych działań.

— W tym akurat, choć raz, jesteśmy zgodni. — Ku swemu zdziwieniu Kveldulf złożył

Skatvalowi ukłon, jak przełożonemu duchownemu. Wyraźniej niż kiedykolwiek widział, że wódz Halogów walczy o sposób życia, jaki uznał za słuszny. Zmartwiło to Kveldulfa, bo zawsze sądził, że ci, którzy odrzucają Phaosa, nie są ludźmi honoru. Pozostał jednak przekonany, że jego droga jest prawdziwa i najlepsza.

— Dlatego, wyznając każdy swoją wiarę, moglibyśmy być przyjaciółmi, ty i ja.

— Moglibyśmy, ale twoja niezachwiana uczciwość sprawia, że niebezpiecznie jest cię mieć u boku: jesteś jak ostry miecz bez pochwy. — Skatval z namysłem potarł policzek. — Ale mimo to mogłoby się tak stać. Co ty na to? Zamiast nawoływać, byśmy porzucili naszych bogów, zostaw Phaosa, zapuść włosy i spędź resztę swoich dni jako Haloga — jakim się urodziłeś.

Kveldulf potrząsnął głową, zaskoczony smutkiem, jaki go nappełnił.

— Powiedz memu sercu, by przestało bić, zanim każesz mi porzucić pana o wielkim i dobrym umyśle.

— Jeśli się nie zgodzisz, to twoje serce przestanie bić. — Skatval dotknął rękojeści swego miecza.

Kveldulf powtórnie się pokłonił.

— Jeśli ma tak być, to niech tak się stanie. Nie ucieknę ani nie porzucę wiary. Zrób ze mną, co chcesz. Mój los jest w rękach Phaosa.

— Nie chciałbym zabić człowieka, którego podziwiam, ale jeśli będę zmuszony, to tak zrobię.

— Skatval westchnął. — Jak powiedziałem, w twoich żyłach płynie nasza krew. Nasze pieśni mówią o wielu wojownikach, którzy wybrali śmierć, zamiast poddania.

— Pamiętam je z czasów dzieciństwa. — Kveldulf pokiwał głową. — Ale wiara w Phaosa też miała wielu męczenników, którzy wszystko oddali dla dobrego boga, i z radością zostaną jednym z nich. Czy dasz mi łopatę Skatwalu, bym mógł pogrzebać moich przyjaciół?

— Dam — powiedział Skatval. — I, Kveldulfie...

— Tak?

— Wykop też czwarty grób.



Skatval, w hełmie i kolczudze, dzierżąc w rękę jesionowy trzon włóczni, jakby gotował się do walki, dumnym krokiem szedł w kierunku zgromadzenia na polu. Za nim podążało pół tuzina wybranych mężów, podobnie odzianych i uzbrojonych. Jeden z nich niósł także kawał sznura.

Kveldulf musiał ich widzieć, ale nie przerwał kazania. Zachowywał się, jakby sądził, że chcą dołączyć do nawróconych.

Wkrótce, być może zaalarmowani szczękiem zbroi, niektórzy ze zgromadzonych obrócili się.

Żaden z nich nie miał kolczugi ani nie był uzbrojony do walki. Mimo to pierścieniem otoczyli Kveldulfa; ci, którzy mieli przy sobie noże, teraz je wyjęli. Skatval zacisnął szczęki. Zabić kapłana to jedno, ale walczyć z własnymi ludźmi, to było coś zupełnie innego.

— Odsuńcie się na bok — powiedział.

Żaden mężczyzna ani kobieta nawet się nie poruszyli.

— Czy jesteście wróblami, które bronią tego kukułczego jaja podrzuconego między was przez Stavrakiosa?

— On jest świętym człowiekiem, dobrym człowiekiem — po wiedział Kalmar, syn Swerra, dobry rolnik i poczciwiec.

— Nie przeczę temu — powiedział Skatval, co niejednego z obrońców Kveldulfa wprowadziło w osłupienie. — To czyni go jeszcze bardziej niebezpiecznym — ciągnął dalej. — Sami go spytajcie, jeśli mi nie wierzycie. — Jego głos stwardniał. — No dalej, pytajcie go.

Choć nawróceni nie odezwali się, to spojrzeli na Kveldulfa. Kapłan wpatrywał się w stojącego za nimi Skatvala. Bez lęku uczynił znak słońca, po czym złożył prawą pięść na sercu w formalnym videssjańskim wojskowym pozdrowieniu.

— Skatval mówi prawdę — powiedział. — Przyjmując w wasze serca pana o wielkim i dobrym umyśle, nie możecie pozostać tymi, kim byliście. Bo jego prawda stopi kłamstwo w waszych duszach tak, jak słońce topi śniegi Halogalandu.

— Własnymi słowami nazwał się naszym wrogiem — powiedział Skatval. — Czy pozwolicie, by uczynił z was ofermowatych południowców?

— Kveldulf nie jest ofermą — zdecydowanie zaprzeczył Kalmar. Nóż trzymał nisko, gotów do zadania pchnięcia, widać było, że wie, jak się nim posługiwać. Kilku ludzi jednak opuściło krąg i stanęło z boku, patrząc, co się dalej stanie.

— Nie chcę, by brat przelewał krew brata — odezwał się Kveldulf. — Stańcie z boku.

Powiedziałem Skatvalowi, że mu nie ucieknę. Phaos przyjmie mnie do siebie; świat, do którego teraz pójdę, jest lepszy niż ten, w którym teraz żyję. Jeśli wasz wódz tam mnie wysyła, to jestem gotów iść.

— Ależ, święty panie — zaprotestował Kalmar.

Kveldulf potrząsnął głową. Syn Sverra wymamrotał słowo, które obiegiło cały pierścień wiernych. Dotarło też do uszu Skatvala.

— Stracił rozum. On stracił rozum.

Kalmar jeszcze raz spojrział na Kveldulfa, ale ten znowu potrząsnął głową. Ze łzami w oczach Kalmar opuścił nóż i cofnął się. Jeden po drugim nawróceni rozstępowali się na lewo i prawo, aż pomiędzy Kveldulfem a Skatvalem nie było już nikogo.

— Zabierzemy go między tamte drzewa i zwiążemy.

— Nie ma potrzeby — powiedział Kveldulf. Jego twarz była blada, ale głos pozostał

spokojny. — Powiedziałem, że nie ucieknę, i tak będzie. Róbcie, co uważacie za stosowne i co musicie robić.

— Tak byłoby łatwiej, kapłanie — z wahaniem powiedział Skatval.

— Nie. Nie muszę być związany, by pokazać, że z chęcią oddam życie za boga o wielkim i dobrym umyśle. Taka jest moja wola. — Zrobił przerwę, by złapać oddech. — Prosiłbym cię jednak o spełnienie jednego życzenia, gdy już umrę.

— Jeśli będę mógł, bez krzywdy dla moich ludzi — powiedział Skatval.

— Zapakuj moją głowę w sól, jak makrele na zimę, i oddaj ją w ręce pierwszego videssańskiego kapitana, który zawinie do Fior du Lygra. Opowiedz mu całą historię i każ przekazać ją i moją głowę z powrotem do świątyni, tak aby kardynałowie dowiedzieli się o mojej pracy na rzecz dobrego boga.

Skatval w zadumie potarł brodę. Powrót takiej relikwii może być dla Stavrakiosa pretekstem do wojny, choć z drugiej strony, Stavrakios nigdy nie potrzebuje pretekstu, gdy chce walczyć.

Wódz pokiwał głową.

— Będzie tak, jak chcesz. Masz na to moje słowo.

— A zatem uderzaj. — Kveldulf uniósł ręce i oczy ku niebu. — Wielbimy cię, Phaosie, panie o wielkim i dobrym umyśle, który czuwasz nad...

Skatval uderzył z całych sił, by zapewnić Kveldulfowi szybką śmierć. Grot włóczni przebił go na wylot, rozrywając błękitną szatę na plecach. Modląc się, kapłan osunął się na ziemię. Ludzie Skatvala wbili włócznie w leżącego na zielonej trawie. Z kącika ust wypłynęła strużka krwi.

Kapłan szarpnął się, drgnął, po czym znieruchomiał.

Ze znużeniem Skatval zwrócił się w kierunku nawróconych, którzy obserwowali egzekucję.

— Już po wszystkim — powiedział. — Wracajcie do swoich domów, wracajcie do pracy.

Widzicie teraz, którzy bogowie są silniejsi. Czy będziecie oddawać; cześć temu, który pozwala zaszlachtować jak świnie tego, który go kochał? Ten Phaos jest odpowiedni dla Videssjan, którzy służą dostojnikom i Autokratorowi jak niewolnicy. Dajcie mi boga, który każe walczyć do samego końca, jak przystało Halodze. — Spojrzał w oczy Kalmara, syna Sverra. — A może uważasz, że jest inaczej?

Kalmar odpowiedział mu spojrzeniem bez drgnięcia, tak jak przedtem robił to Kveldulf. Po chwili jego wzrok powędrował na ciało Kveldulfa. Westchnął. — Nie, Skatvalu, jest jak mówisz.

Skatval też westchnął, smutny, ale usatysfakcjonowany. W grupie pozostałych nawróconych rozległ się cichy pomruk, gdy usłyszeli, jak Kalmar uznaje potęgę starych bogów. Oni też dobrze przyjrzeni się Kveldulfowi leżącemu w kałuży krwi. Kilka kobiet lęklawie zakreśliło znak słońca, ale większość już zaczęła opuszczać to miejsce, na którym zwykle odbywały się modły. Skatval nie uśmiechał się, przynajmniej tego nie pokazywał. W przyszłym roku o tej porze krótki epizod z Phaosem będzie tylko wspomnieniem, jak nowa piosenka, którą śpiewa się latem, by potem odsunąć na bok.

Zadowolony z tego, jak się wszystko skończyło, Skatval zwrócił się do dwójki swoich ludzi.

— Vasa, Hoel, złapcie go za pięty i zaciągnijcie do dołu, który wykopał. Ale zanim go tam wrzucicie, odetnijcie mu głowę; w końcu obietnica, to obietnica.

— Tak jest, Skatvalu — odpowiedzieli jednocześnie z takim szacunkiem, jak jeszcze nigdy dotąd; prawie jakby był Stavrakiosem z Videssos, jedynym Autokratoresem potężnego mocarstwa, a nie Skatvalem Dziarskim z Halogalandu, jednym z sześćdziesięciu skłóconych ze sobą wodzów. Poczucie władzy, silne i słodkie jak wino, rozsadzało jego pierś i dodawało dumy jego krokom, gdy podążał ścieżką do swego domu.

Skjaldvor wypatrzyła jaskrawą krew czerwieniejącą na jego włóczni i zanosząc się płaczem, pobiegła przez ogród wprost do lasu. Spoglądał za nią, drapiąc się po głowie. Potem kilkakrotnie wbił żelazne ostrze włóczni w ziemię, by ją oczyścić, i wytarł do sucha kawałkiem płótna, by nie zardzewiała.

— Spróbuj zrozumieć kobietę — mruknął. Oparł włócznię o ścianę chaty wyłożoną darnią, otworzył drzwi i na powitanie skinął głową swojej żonie Ulvhild. — No, wróciłem —

powiedział.

*Przełożyła Barbara Stachnik*

*Andre Norton*

**Dziewięć złotych nici**

**(Nine Threads of Gold)**

Droga do twierdzy biegnąca wzdłuż górnej krawędzi klifu zawsze miała drugorzędne znaczenie. Erozja pozostawiła jedynie wąską ścieżkę obrzeżoną lodem, który pochodził z uderzeń sztormowych fal.

Było bezsłoneczne, wczesne popołudnie, niebo pokrywały jednostajnie szare, ponure chmury, a pod stopami ścielił się spękany grunt. Wędrująca skalną ścieżką kobieta garbiła się pod uderzeniami lodowatego wiatru i mocno wbijała laskę podrózną w szczeliny podłoża, by znaleźć oparcie w razie silniejszego podmuchu.

Kobieta przystanęła, by spojrzeć w głąb łądu i przyjrzeć się wysokiej skalistej kolumnie, zakończonej ostrym odłamkiem mierzącym w niebo jak złamany pazur. Nagle laska uniosła się w górę i na sekundę koniec skały rozjarzył się niebieskawą poświatą, która natychmiast znikła, jak zdmuchnięta kolejnym podmuchiem wiatru.

Teraz ścieżka skręcała ostro w stronę łądu, stawała się bardziej gładka i szersza, jakby ziemia użyczała jej większej przestrzeni niż smagany wichrami klif. Przez jakiś czas biegła skrajem doliny, przy ujściu wąskiej jak czubek strzały, a rozszerzającej się w głąb łądu. Rozdzielający ją na dwoje strumień wpadał do morza, a przy nagłym przewężeniu doliny stał budynek zwieńczony wieżą, z wąskimi oknami, połączony z drugim poprzez most nad strumieniem.

W przeciwieństwie do szarej skały klifu kamienne bloki, z których wzniesiono ściany obu budynków, miały kolor przytłumionej zieleni, jakby pokrywał je mech rosnący bez przeszkód od wielu lat.

Kobieta zatrzymała się u szczytu stromych schodów wiodących z klifu w dół, przypatrując się badawczo okolicy. Nigdzie nie widać było śladów życia. Szczeliny okien pozbawione światła przypominały ślepe i czarne oczy. Pola w oddali leżały odłogiem, a teraz porastała je wysoka, ostra trawa.

— Hmm... — Podróżna rozważała to, co przed sobą zobaczyła. W jej umyśle tłoczyły się obrazy. Ziemia, której się przyglądała, o innej porze, w innym czasie. Pełna życia w najróżniejszych postaciach.

Kobieta szczerzej owinęła się płaszczem i zaczęła ostrożnie i schodzić po kamiennych schodach. Chmury w końcu się rozdzieliły, na co zanosilo się przez cały dzień. Spadł niewielki deszcz, pokrywając wąskie stopnie niebezpieczną warstewką wody.

Jednak kobieta nie stanęła, póki nie dotarła do miejsca, które kiedyś było szeroką i bardziej uczęszczaną drogą znad morza. Mimo deszczu znów się zatrzymała, przyglądając się badawczo budynkowi. Trzymając laskę nieco nad kamiennymi płytami drogi, kołysała nią w przód i w tył.

Tak, dobrze rozpoznała tę siłę. Jednak czasami ostrzeżenie bywa równie dobre jak zbroja.

Tyle czasu... Pory roku pędziły jedna za drugą przez jej myśli, ale żadnej nie poświęciła głębszego wspomnienia.

Droga została solidnie zbudowana, jednak teraz kamienne płyty rozpadały się z powodu

rozsadzających je korzeni krzewów, o tej porze szarych i bezlistnych. Wiodła prosto do sklepionego wejścia u końca mostu łączącego oba budynki. Pod nim posępnie pluskał strumień, a ponieważ ptaki mieszkające na klifie już odleciały, nie było słyhać żadnego innego dźwięku, oprócz odległego grzmotu od czasu do czasu. Kobieta weszła na most, wciąż trzymając laskę nad płytami chodnika, z końcem skierowanym lekko w przód. Jeśli nawet mała część jej podejrzeń była prawdą, to właśnie przed tym musiała mieć się na baczności.

Sklepione przejście na dziedziniec większego budynku było już tylko otwartą dziurą. Nagle laska poderwała się do wysokości kolan nieznajomej.

Kiedy kobieta zrobiła pierwszy krok, na dziedzińcu pojawił się niebieski płomień, który rozniecił na obie strony smugi iskier.

— Nie weszła tu nigdy ciemność — powiedziała kobieta na głos, jak gdyby wypowiadała zaklęcie lub hasło. Jednocześnie zsunęła z głowy kaptur zakrywający dotąd jej twarz, przypominającą posąg dawno zapomnianej królowej lub bogini. Mimo że ciasno upięte włosy były już całkiem siwe, na twarzy nie było widać śladu zmarszczek, jedynie spokój kogoś, kto dużo widział, wiele rozmyślał i zna ciężar obowiązku.

— Chodźcie! — Laska poruszyła się w lekkim geście wezwania. Dwoje pierwszych, którzy się pokazali, szło powoli i wyraźnie wbrew własnej woli. Był to chudy chłopiec ubrany w luźne, źle wyprawione skóry pozszywane razem; w dłoniach zaciskał kij tak mocno, że pobielaly mu kostki palców. Dziewczynka szła tuż za nim, w rękach trzymając kamień o ostrych brzegach, na tyle duży, by mógł stanowić narzędzie obrony.

Na ścianie z tyłu, z bramą, również coś się poruszyło, ale kobieta nie próbowała się odwrócić ani nawet spojrzeć przez ramię. Następny chłopiec, niemal tak szczupły, jak mocno naciągnięta cięciwa łuku służącego mu za broń, oraz dziewczynka ze sztyletem w dłoni zeskoczyli z występu w murze. Dołączył do nich drugi chłopiec, również z łukiem w dłoni. Cała trójka stanęła wokół

nieznajomej z bronią w gotowości, z wyrazem twarzy świadczącym, że poznali już strach oraz umieli użyć broni, którą nieśli.

Pięcioro...

— A reszta? — zapytała kobieta.

Wyszli z kryjówek, jakby przyciągnięci jej pytaniem. Dwóch chłopców, bliźniaków tak podobnych, że jeden mógł być cieniem drugiego, każdy uzbrojony we włócznię o ostrzu utwardzonym przez staranne opalenie w ogniu i nacieranie. Kolejna dziewczynka, bez broni, niosąca jednak na biodrze młodsze dziecko.

Dziewięcioro. Właściwie... ale nie tego oczekiwała. Przenosiła badawcze spojrzenie z twarzy na twarz, wszystkie jednakowo posępne. Nie, nie tego oczekiwała. Jednak jeśli zajdzie taka potrzeba, tkaczka musi jak najlepiej wykorzystać to, co uda jej się znaleźć.

Najstarszy chłopiec, ten, który na początku wyskoczył z kryjówki, przemówił pierwszy. Był w wieku, w którym zostaje się zwykle giermkim, i miał na sobie o wiele za dużą, zardzewiałą zbroję oraz podtrzymujący ją pas z pustą pochwą na miecz.

— Kim jesteś? — Jego pytanie brzmiało ostro, a w sposobie mówienia przebijały ślady starego języka dworu. — Skąd się tu wzięłaś?

— Przyszła ścieżką nad morzem — odezwała się dziewczynka, która ukrywała się razem z nim na górnej ścianie. Nadal trzymała w ręce sztylet. Wtedy młodsza dziewczynka z dzieckiem na ręce, mierząc kobietę czujnym spojrzeniem, odpowiedziała:

— Nie widzisz, Hurten, ona jest jedną z nich.

Stali półkolem wokół kobiety. Czują strach, owszem, ale i coś więcej — determinację, która przywiodła ich do tej starej kryjówki i utrzymała przy życiu, kiedy inni zginęli. Będą mocnymi wątkami w tkaninie — dziewięć nici wysnutych ze zniszczonej, spustoszonej ziemi.

— Jestem tą, która poszukuje — odparła nieznajoma. — Jeśli mam mieć imię, niech to będzie Lethe.

— Jedna z nich — powtórzyła z uporem opiekunka dziecka. Chłopiec o imieniu Hurten roześmiał się.

— Alana, oni już dawno odeszli. Widzisz wokół postacie z opowieści. Lethe... — zawahał się na moment, lecz mówił dalej z dworskim akcentem: — Pani, tu nic nie ma... — Wciąż trzymając łuk, rozłożył szeroko ręce, obejmując tym gestem całą okolicę. — Nie mamy złych zamiarów, ofiarujemy ci miejsce przy ogniu, posiłek i dach chroniący przed burzą. Niewiele więcej, gdyż sami od dawna jesteśmy podróżnymi.

Lethe podniosła głowę, tak że kaptur zsunął się jeszcze niżej.

— Za waszą gościnę, dach nad głową i ogień, dzięki. Za dobrą wolę, jaką mi okazaliście tą propozycją, niech los odpłaci wam stokrotnie.

Alana pozwoliła wiercącemu się w jej ramionach chłopczykowi stanąć na ziemi. Zanim zdołała go zatrzymać, chłopiec podreptał naprzód z wyciągniętą ręką, by złapać się fałd płaszcza Lethe. Wtedy stanął przed nią i spojrzał jej w twarz.

— Mama? — Jednak już kiedy pytał, skrzywił buzię i zaczął płakać. — Nie — mama, nie!

Alana rzuciła się, by go złapać, Lethe zaś odezwała się cicho:

— Czy to ktoś z twojej krwi?

Dziewczyna skinęła głową.

— Robar, mój brat. On... nie rozumie, pani. Szliśmy z grupą pielgrzymów, kiedy demony złapały nas przy moście. Mama kazała mi skoczyć i rzuciła mi Robara. Schowaliśmy się w trzcinach. On... już jej więcej nie widział.

— Ale ty tak?

Przez chwilę w oczach Alany pojawiło się najczystsze przerażenie. Złożyła usta do słowa, którego nie miała siły wypowiedzieć. Lethe podniosła swą laskę i delikatnie dotknęła nią splecionych włosów dziewczynki.

— Niech zginie — powiedziała. — Niech wspomnienie zblednie, dziecko. Z czasem przyjdzie równowaga. Teraz, młodzieńcze, — zwróciła się do Hurtena — jestem gotowa zasiąść pod dachem przy ogniu, który obiecałeś.

Ich podejrzliwość najwyraźniej osłabła. Nie trzymali już tak kurczowo broni, choć wciąż otaczali kobietę ciasno, kiedy szła przed siebie jak ktoś, kto dobrze zna drogę, przez drzwi wiodące do wielkiej sali.

Na zewnątrz zapadał zmierzch, w środku jednak płonęło niezwykle światło. Kule osadzone w ścianach jarzyły się słabą poświatą, jakby ich moc się kończyła. W ich nikłym świetle rozpościerał się obraz osnutego cieniem zniszczenia.

Niegdyś na ścianach wisiały gobeliny. Teraz zwisały tam jedynie strzępy i poszarpane nici, z których dawno temu znikły wszelkie wzory. Na podwyższeniu stały rzeźbione krzesła o wysokich oparciach, lecz większość z nich została odrąbana. Przechodząc, każde z dzieci brało naręczce drewna. Nawet mały Robar wziął kawałek, jakby to był obowiązek, którego przestrzegania bardzo pilnowali.

Przeszli przez kolejne drzwi za rzeźbioną osłoną i doszli korytarzem do komnaty służącej wyraźnie jako miejsce obozowania. Znajdował się w niej duży kominek z wiszącym kociołkiem, który niemal mógł pomieścić Robara, obok zaś leżały sprzęty kuchenne.

Zachował się tutaj długi stół i kilka stołków. Przed kominkiem leżały obok siebie posłania z resztek płaszczy i skrawków skór, wypchanych suchymi liśćmi lub trawą.

Na kominku płonął ogień, do którego jeden z bliźniaków dorzucił drewno z przyniesionego zapasu, zrzuconego obok na jeden stos. Drugi w tym czasie poruszył żar, by rozniecić płomień.

Pozbywszy się naręczca drewna, Hurten odwrócił się i po chwili wahania powiedział szorstko:

— Trzymamy tu strażę. Teraz moja kolej. — I poszedł.

— Byli inni — ci, na których czekacie? — zapytała Lethe.

— Nikt, odkąd przybyli Trusa i Tristy... — Najstarsza dziewczynka skinęła głową w kierunku bliźniaków. — Przyszli z gór trzy dziesiątki temu. Jednak demony wcześniej spustoszyły brzeg morza. Kiedyś była tam wieś.

— Tak — przytaknęła Lethe. — Kiedyś była tam wieś.

— To było dawno temu — włączył się chłopiec z kijem. — My wszyscy przyszliśmy z gór, Lusta i ja — jestem Tyffynsyn Hildera z Czwartego Zakrętu. Byliśmy na polu z wujkiem Stansalsem. Kiedy

wujek zobaczył dym z wioski za wzgórzem, kazał nam uciekać do lasu. Ale on sam... — chłopiec zacisnął pięści i szczeki w ponurym grymasie — już nie wrócił.

Słyszeliśmy o demonach i o tym, co robią we wsiach, ale czekaliśmy w ukryciu. Nikt nie przyszedł.

Lusta spojrzała na wysoki już teraz płomień w kominku.

— Chcieliśmy wracać, ale widzieliśmy demony i wiedzieliśmy, że nam się to nie uda.

Trusa, zajmujący się ogniem, obejrzał się przez ramię.

— Jesteśmy pasterzami, wtedy wyszliśmy szukać zagubionych zwierząt. Widzieli nas, ale my lepiej znaliśmy ścieżki pośród skał. Przynajmniej te diabły nie potrafią latać!

— Hurten nosił tarczę za lordem Verganem — odezwała się najstarsza dziewczynka. —

Został uderzony w głowę i zostawiony jako martwy na pobojuwisku. Ja jestem Marsila, a on —

wskazała na młodszego chłopca, poprzednio stojącego na murze — to mój brat Orffa. Nasz ojciec był marszałkiem na Najdalszej Wieży. Kiedy oni nadeszli, byliśmy na polowaniu; odcięli nas...

— Jak się spotkaliście? — zapytała Lethe.

Marsila rozejrzała się wokół, jakby po raz pierwszy spotkała się z takim pytaniem.

— Przez przypadek. Alana i Robar uciekli do Lasu Borsa, tam spotkali Lustę i Tyffyna. Orffa i ja znaleźliśmy Hurtena i zostaliśmy z nim, póki jego rana się nie zagoiła, a potem też poszliśmy do lasu. Mieliśmy nadzieję, że Skylan albo Varon zdołali się obronić. Dopie ro kiedy spotkaliśmy resztę, Alana powiedziała, że demony wślizgnęły się między nas, żeby nas odciąć od reszty...

— Wtedy zdecydowaliście się przejść przez góry? Dlaczego? — Lethe musiała to wiedzieć; już szukała początku wzoru, którego obecność wyczuwała. Musiał istnieć wzór, inaczej ona, tkaczka, nie zostałaby tutaj wezwana.

Tym razem odpowiedziała Lusta — cicho, ze spuszczoną głową, jakby przyznając się do winy.

— To te sny, pani. Zawsze ten sam sen, a za każdym razem widziałam wyraźniej.

— Babka Lusty była wiedzącą — wtrącił Tyffyn. — Wszyscy z Czwartego Zakrętu uważali, że ona także ma część tego daru. Lusta wyśniła naszą podróż tutaj.

Marsila uśmiechnęła się i otoczyła ramieniem młodszą dziewczynkę.

— Teraz niewielu posiada dar wiedzących, ale w Wieży zacho wały się wzmianki o takich ludziach. Zresztą nie mieliśmy dokąd pójść, więc... dlaczego nie zaufać snom?

Na jej twarz znów powrócił wyraz bezradności.



— Dobrze, że przynajmniej demony nie usiłowały wtedy prze dostać się przez góry. Kiedy znaleźliśmy to miejsce, pomyśleliśmy, że los okazał się choć trochę łaskawy. W dolinie żyją dziczące zwierzęta gospodarskie, uprawiamy spłachetek pola, mamy nawet! trochę owoców. I...

to miejsce wydawało się wprost przeznaczone, by się w nim schronić.

— Prowadzeni snami! — Lethe przysunęła się do Lusty i dotknęła jej głowy laską, tak jak to uczyniła poprzednio z Alaną. Pojawiła się błękitna poświata. Lethe uśmiechnęła się.

Dobrze wyśniłaś. Wyniknie z tego dobro, którego na razie jeszcze nie potraficie zrozumieć.

Cofnęła się, by zmierzyć wszystkich badawczym spojrzeniem, przyglądając się długo każdej twarzy. Zatem rzeczywiście to był początek.

— To prawda — odezwała się. — Tu jest miejsce dla takich jak wy.

Siewki pochodziły z bardzo różnych szczepów, ale korzenie miały wspólne. Zauważyła to od pierwszego spojrzenia. Ich włosy, rozczochrane i zaniedbane, miały ten sam srebrzysty odcień, oczy — identyczny szary kolor jak ostrze miecza. Tak, stara krew przetrwała, choć ziarna zawędrowały bardzo daleko.

Lethe położyła na stole torbę, którą niosła, rozwiązała sznurek, po czym wyjęła paczuszkę z suszonym mięsem i drugą z ziołami.

Z sagana już unosiła się para; najpewniej mieszkańcy nie stracili okazji do polowania. Lethe dodała swoje rzeczy do gotującego się: posiłku. Dzieci obserwowały ją uważnie.

— To żywność wędrowca, ale może wzbogaci waszą spizarnią,; jak to jest w zwyczaju — powiedziała.

Marsila przyglądała się jej badawczo cały czas. Teraz, mimo że miała na sobie połataną kawałkami skóry spodnie, dygnęła jak córka szlacheckiego rodu w formalnym podziękowaniu.

— Jeśli to dom twoich przodków, dziękujemy za schronienie — rzekła, jednak w jej oczach wciąż czaił się cień podejrzliwości.

Kiedy Alana przemówiła, w jej głosie zabrzmiało niemal oskarżenie.

— Jeśli to twój dom, to jesteś jedną z nich!

— A co ty o nich wiesz, dziecko? — Lethe zrzuciła z siebie płaszcz. Jej bryczesy i tunika miały kolor zgaszonej zieleni, podobny do ścian budynku.

— Mieli dziwną moc — odpowiedziała Alana, wysuwając rękę i przyciągając do siebie Robara. — Moc, która dawała im władzę. Nikt nie mógł się im oprzeć — jak demonom!

Lethe zdjęła chochlę wiszącą na haku obok kominka, potem spojrzała w oczy dziewczynce.

— Moc, która dawała im władzę jak demonom — to tak teraz o nas mówią?

Przez chwilę Alana milczała, po czym zarumieniła się.

— Oni... oni nie polowali na ludzi, nie... zabijali...

— To byli strażnicy! — wtrąciła Marsila. — Kiedy oni tu byli, nikt nie ginął!

— Dlaczego odeszli? — Jeden z bliźniaków przysiadł na piętach. — Skoro mieli twierdze takie jak ta, skoro rządzą tą ziemią, to dlaczego odeszli?

Lethe, nie patrząc na nich, mieszała w garnku.

— Ziemia jest stara, wyrosło z niej wiele rodów. Z upływem lat inna krew przejmuje władzę.

Po raz pierwszy odezwał się Orffa.

— Teraz jest czas władzy demonów, czy to właśnie chciałaś powiedzieć? — mówił wyzywającym tonem, z groźbą w oczach.

— Demony? — Lethe poświęciła całą uwagę ogniovi i zawartości parującego kociołka. —

Tak, dla tej ziemi i w tym czasie oni są demonami.

Marsila przysunęła się bliżej.

— Jak jeszcze możemy o nich myśleć? Powiedz nam, sama też byłaś strażniczką!

Lethe westchnęła.

— W żaden inny sposób. — Odwróciła się ku dzieciom. Dzieciom? Oprócz Robara, w twarzach stojących wokół niej osób nie było nic dziecięcego. Widzieli w swym życiu dużo, w większości zła. Ale tak właśnie działa Droga, jak nic w rękach tkaczki. Za każdym z nich stała w cieniu nikła obietnica tego, co mogło być.

— Dlaczego przyszłaś? Czy inni przyjdą za tobą? — naciskał Orffa.

— Przyszłam, ponieważ mnie wezwano. Jestem sama — wyznała im prawdę. — Mój ród przeszedł w inne miejsce, jedynie ja zostałam aż do dziś, związana z tym, co jest tutaj.

— To magia — Tyffyn wskazał na leżącą na stole laskę. — Ale jesteś jedna przeciwko wielu.

Ci jeźdźcy władają ziemią od Dalekiej Rzeki do morza, od podnóża góry Smore do Głębokiej Tęsknoty.

Lethe spojrzała na niego. Jego czupryna sięgała jej ledwie do ramienia, lecz chłopak butnie rozstawił swe krępe nogi, a dłonie zaciśnięte w pięści oparł na biodrach w pozie dumy i sprzeciwu.

— Mówisz jak ten, kto wie — zauważyła.

Ku jej lekkiemu zaskoczeniu Orffa uśmiechnął się.

— Nie roszczę pretensji do magii, pani. Chociaż znalazłaś nas tu razem, nie znaczy to, że spędzamy tutaj cały czas. Mamy sposoby, żeby się dowiedzieć o tym, co dzieje się za górami — i to nie poprzez sny.

Lethe zacisnęła usta. Patrząc na niego, wiedziała, co próbował dać jej do zrozumienia. Ten chłopiec twierdził, że urodził się na wsi I i że wieś go wychowała, a młodzi w razie potrzeby szybko się uczą.

— Zatem wykorzystałeś swoje oczy i uszy w dobrym celu. — Skinęła głową. — Dobrze. A czego dowiedziałeś się dzięki temu?

Orffa przysunął się do młodszego chłopca.

— Wystarczająco dużo — powiedział ostro.

— Demony nie niepokoiły was tutaj? — zapytała.

— Była grupa zwiadowcza — odparła Marsila. — Jechali drogą znad morza w stronę lądu, ale nagle osunęła się skała i zablokowała im przejazd. W nocy rozbili obóz obok niej...

Tyffyn uśmiechnął się szeroko, bliźniaki zrobiły to samo.

— Nie spodobało im się to, co się stało. Nam także, ale potem odgadliśmy, że okoliczności nam po prostu sprzyjają. Tamci uciekli, niektórzy wpadli do rzeki. Hurten ustrzelił jednego z łuku, jest mistrzem, a my zaatakowaliśmy kilku kamieniami. Chcieliśmy do stać się do ich broni, ale zabrała ją rzeka, a my nie odważyliśmy się szukać. Od tej pory nie pokazali się tutaj.

— To nie my, przynajmniej nie wszystko — odezwała się Marsila powoli. — Tam coś było, czuliśmy to, ale nie usiłowało zrobić krzywdy nam, tylko im. — Lusta trzymała się jej ramienia.

— Skały sprawiają, że cienie stają się żywe.

— Zatem stare straże jeszcze trwają — zauważyła Lethe. — Ale one stają na drodze tylko tym, którzy mają złe zamiary. Ta ziemia — zatoczyła ręką krąg — była kiedyś krajem pokoju pod znakiem ziemi, powietrza, płomienia i wody. A teraz — wskazała na garnek — może zaczniemy jeść? Ciało potrzebuje pożywienia tak samo, jak umysł wiedzy.

Jednak jej myśli zwróciły się w inną stronę. Znalazła tu grupę, którą mogło połączyć jedynie niebezpieczeństwo — dzieci chłopów, pasterzy, wojowników i krew lordów przez przypadek spotkały się i na pozór zjednoczyły. Przypadek? Nie, chyba już w to nie wierzyła.

Przynieśli miski i podeszli rżędem. Niektórzy trzymali wyszczerbione metalowe naczynia, poczerwiałe ze starości, które zapewne znaleźli tutaj, mieli też kubki zrobione z kory, połączonej drewnianymi kółeczkami. Lethe podała chochlę Marsili i patrzyła, jak dziewczynka starannie odmierza porcje. Jedną odłożyła na bok. Lethe wzięła miskę do ręki.

— Dla strażnika? Ja mu zaniosę.

Zanim ktokolwiek zdążył zaprotestować, wyszła z wielkiej kuchni. Mimo świetlistych kul ciemność była głębsza, jednak Lethe szła pewnym krokiem kogoś, kto dobrze zna drogę. Po wyjściu z budynku równie pewnie wspięła się na mur.

— W porządku... — Raczej usłyszała, niż zobaczyła wyciągnięcie noża z pochwy; mogła sobie z łatwością wyobrazić szczupłe go, na wpół schyłego chłopca. — Twoja kolacja, strażniku, a także zmiana warty.

Z cieni wysunął się jeden cień. Laska w lewej dłoni Lethe rozjarzyła się bladą poświatą. Choć Hurten sięgnął po miskę, nie schował sztyletu. Jednak Lethe nie zwróciła uwagi na jego nieufność. Przesunęła laską po zewnętrznej stronie parapetu osłaniającego ich przed wiatrem znad morza.

— Straże już stanęły, Hurten. Zapewniam cię, że dziś w nocy nie trzeba trzymać warty. A mamy wiele do omówienia...

Czuła jego rosnące oburzenie, zresztą słuszne. Wszelka wiedza na temat wojny i walki w tej grupie musiała pochodzić od niego, i to on był ich przywódcą.

— Mistrzu tarczy — Lethe z rozmysłem użyła starego języka. — Jest czas nurzania ostrza we krwi oraz czas układania planów, by lepiej naostrzyć miecze do następnego rozlewu krwi.

— Na dąb, na strumień, na burzę, na ogień. — Słowa pochodziły ze starego języka.

— Na miecz i laskę, na róg, na koronę. — Staroświeckie słowa wydawały się tu bardzo na miejscu, choć z powszechnego użycia wyszły dawno temu. — A więc, wojowniku, przeszedłeś przynajmniej kilka kroków tą ścieżką?

— Mój pan pochodził z domu Uye. Dostaliśmy miecze jak mężczyźni, których zaprzysiągł zgodnie z rytuałem.

„Miecze jak mężczyźni!” — pomyślała. Musiały nadejść naprawdę ciężkie dni, skoro chłopców uważano za mężczyzn. Jednak tylko ciężkie czasy mogły ją tutaj sprowadzić.

— Zatem wiesz, że jest to miejsce pokoju.

Usłyszała słaby odgłos sztyletu wsuwanego do pochwy.

— Pani, na tej ziemi już nie ma miejsca pokoju — jego słowa zabrzmiały szorstko i poważnie.

— Nad tym właśnie będziemy radzić. Chodź.

Hurten zawahał się, wciąż nie chcąc przyznać, że jego straż może już nie być potrzebna, ale Lethe już szła z powrotem, jakby nie oczekiwała sprzeciwu, ruszył więc za nią.

Znaleźli pozostałych przy kominku. Orffa i Marsila spojrzeli pytająco na wchodzącego Hurtena, ale Lethe wyjaśniła szybko:

— Na zewnątrz stoi straż, której nic nie umknie. Oto, o czym my musimy porozmawiać... —

Umyślnie włączyła siebie w grupę tych wybranych do zadania, którego nie mogła zakwestionować.  
— Czasy mogą się zmieniać, lecz nie pory roku. — Czekala, aż skończą jeść.

— Wiatr znad morza niesie złe nowiny. Niegdyś istniała komenda nad wiatrem i pogodą, ale było to dawno temu. Będziemy potrzebować tego w dzień i w nocy — wskazała ogień — oraz jedzenia...

— Gromadzimy je od dawna — wtrąciła ostro Marsila, jakby oskarżono ją o zaniedbanie obowiązku. — Mamy spiżarnię.

Lethe kiwnęła głową.

— Nie przeczę. Jednak gdyby zdarzył się długi sztorm, przyda się każdy okruch jedzenia i każda drzazga drewna. Również zioła, gdyż ze zmianami pogody nadchodzą choroby, niektóre z nich poważne.

Po przeciwnej stronie stołu ktoś się poruszył; Alana zaniósła niemal śpiącego Robara na posłanie przy kominku.

Hurten pochylił się do przodu.

— Kim dla ciebie jesteśmy? — zapytał lekko ochryłym głosem. — Nie jesteśmy jednej krwi z tobą. Nawet — spojrzął krótko po obecnych — nie jesteśmy spokrewnieni między sobą, nie pochodzimy też z jednego rodu. Nie rościmy żadnych pretensji do praw wasalnych...

— Dlaczego tu przyszłaś? — Marsila położyła łokieć na stole i oparła brodę na dłoni. — Nie słyszano żadnej opowieści o twoim rodzie, odkąd zmarła wielka królowa Fothuna i nie zostawiła córki, która przejęłaby rządy, a kraj rozpadł się wskutek kłótni lordów i dam wojny. A to było legendą już jakiś czas temu. Nie mamy ani śladu starej mocy...

— Lusta tak. Dwa razy jej sny ostrzegły nas przed niebezpieczeństwem — ale nasza rasa jest mądra jedynie na swój własny sposób. Dlatego pytamy: dlaczego przyszłaś tu i przemawiasz jak pani tego zamku?

— A ja pytam ponownie: czego od nas chcesz? — powtórzył Hurten.

Marszczył czoło, podobnie jak Orffa, który ponadto zmarszczył swe proste brwi. Psozny uśmiech, jaki zawsze zdawał się drzemać na ustach Tyffyna, znikł, a obaj bliźniacy mieli twarze bez wyrazu. Lusta

wysunęła różowy koniec języka, ale nic nie powiedziała, Alana zaś zacisnęła dłonie na stole przed sobą.

— W pewien sposób wy mnie wezwaliście. Nie... — Lethe potrząsnęła głową na widok sprzeciwu rysującego się na twarzy Hurtena. — Nie twierdzę, iż o mnie wiedzieliście. Jednak w dniach i z legendy, o których wspomniała Marsila, na tę ziemię nałożono wiele zaklęć, a to dotyczyło mnie: byłam przywiązana do Kar–nad–Rzeką, czyli tego właśnie zamku. Teraz jedynie wypełniam to zaklęcie. Dopóki nie dotarłam tutaj, nie wiedziałam, co znajdę. A co do tego, A

czym dla mnie jesteście — tego musimy się nawzajem nauczyć. Muszę wam od razu powiedzieć, że jesteście związani tak jak ja...

Hurten zacisnął pięść i poruszył się, jakby chciał wstać. Nie miał cierpliwości do słownych gier, Lethe to widziała, ale co więcej mogła mu powiedzieć?

Wtedy wstał Orffa i przesunął się za starszego chłopca, jak wasal chroniący w bitwie plecy swego pana. Jednak Hurten nie zwrócił na niego uwagi, kiedy przemówił:

— Pani, nie jesteśmy ludźmi z twojego zaklęcia.

Lethe westchnęła. Cierpliwość, zawsze cierpliwość. Tkaczka musi mieć pewność, iż żaden węzeł nie zepsuje jej tkaniny. Marsila zakończyła sprawę.

— Robi się późno. — Przyciągnęła do siebie Alanę, a dziewczynka oparła się ciężko o jej ramię. — Jutro będzie dość czasu na i pytania.

Wydawało się, że nawet Hurten jest gotów się poddać, zatem podsyłali ogień, by palił się jak najdłużej, i położyli się na posłaniach w zasięgu jego ciepła. Lethe spoczęła na swoim zwiniętym płaszczu. Mimo to nie zasnęła; ona i jej podobni nie potrzebowali wiele snu. Pod zamkniętymi powiekami odtwarzała to, co teraz ją otoczyło, tak jak widziała to przez ostatnie dni. Z

przeszłości wezwała innych, którzy przybyli jako cienie tu, gdzie kiedyś wiedli prawdziwe życie.

Przez jej półsen przedarł się dźwięk. Lethe otworzyła oczy. Jedna z leżących na posłaniach osób odrzuciła przykrycie ze skór. Ogień zamigotał i oświetlił twarz...

Lusta!

Bystremu wzrokowi Lethe nie przeszkadzała ciemność. Dziewczynka miała zamknięte oczy i nie otwierała ich, kiedy obróciła głowę, jakby odpowiadając na wezwanie. Na kolanach i rękach, wciąż z zamkniętymi oczami, wyczołgała się z kręgu ognia w ciemność, po czym wstała na nogi.

Lethe pozwoliła jej odejść kilka kroków i podążyła jej tropem.

Szły korytarzem do wielkiej sali audiencyjnej. Świetliste kule pogasły, zapanowała całkowita ciemność, ale Lusta szła pewnym krokiem jak ktoś, kto doskonale widzi drogę. Lethe szła za nią.

Czy przerwać trans dziewczynki? Nie, to niebezpieczny pomysł. Lethe musiała się dowiedzieć, co ciągnęło Lustę w ciemność, gdyż teraz wyszły z korytarza na dziedziniec.

Lusta bez wahania i bez potknięcia wchodziła po schodach. Spomiędzy chmur co chwila spozierał księżyc; Lethe wystarczało jego światło. Lusta odszukała ten sam mur, na którym poprzednio Hurten stał na straży.

Odwróciła się powoli twarzą na zewnątrz, położyła rękę na szczycie muru i zaczęła uderzać w niego palcami. Posypały się iskry, jakby używała żelaznej różdżki, a nie własnych palców.

Lethe odwróciła głowę; jej nozdrza rozszerzyły się, jakby chciała wychwycić słaby zapach.

Stała już na górze schodów, teraz podeszła bliżej, stanęła za plecami Lusty, wyciągnęła ręce i dotknęła lekko jej skroni.

Usta kobiety zacisnęły się w niepohamowanym grymasie gniewu. Nie przypuszczała, że nowi najeźdźcy wiedzą tak wiele. A może byli tylko oznaką starszego i większego zła?

Naciskała bezwolne ciało i przeciwstawiała wolę snom. Palce Lusty znieruchomiały, dziewczynka krzyknęła ostro i upadła bezwładnie, jakby w ciągu jednej chwili uciekło z niej całe życie.

Lethe nie uklękła przy niej od razu — całą uwagę zwróciła na bezpośrednie zagrożenie. Tam, gdzie Lusta rzuciła zaklęcie przerywające osłonę, Lethe ustawiła straż z powrotem, tym razem wzmacniając ją tak wielkim wysiłkiem woli, iż poczuła się wyczerpana niemal jak leżąca u jej stóp nieprzytomna dziewczynka.

Niedobrze, to, co robiła, obudzi czujność potęgi, która już uczyniła pierwszy ruch. Jednak poddana jej woli Lusta posiadająca dar, którego nie nauczono ją chronić, była zakazanym kluczem, którego nie wolno im było używać.

Lethe schyliła się, by wziąć dziewczynkę na ręce, i otuliła ją i siebie płaszczem. Twarz Lusty była tak zimna, jakby właśnie przyniesiono ją z długiego pobytu na zimnie, ale obie dłonie, które Lethe wzięła w swoje, niemal płonęły. To, czego dziewczynka nie dokończyła w rzucaniu zaklęcia, zwróciło się przeciwko niej. Lusta jęknęła i skręciła się w uścisku kobiety.

— Lusta! — dobiegł krzyk z dołu, a zaraz potem rozległo się skrzypienie butów na kamieniach.

Na górę wbiegł Tyffyn.

— Lusta! — Ukląkł przed nimi obiema. — Co...

— Jest bezpieczna... na razie. — Pod dotykiem Lethe dłonie dziewczynki stawały się chłodniejsze.

— Tyffyn, czy powiedziałaś, że to jej sny sprowadziły was tutaj?

— Co się jej stało? — Nie zwrócił uwagi na pytanie.

— Została poddana kontroli — Lethe wyjawiała mu prawdę. — Może nawet sny, które was tutaj

przywiodyły, miały służyć innemu celowi. Tej nocy to, co ją opanowało, użyło jej, by zaatakować strażę.

Tyffyn wpatrzył się w kobietę.

— Ale Lusta nie...

— Nie! — zapewniła go szybko Lethe. — Nigdy świadomie nie sprowadziłaby na was zagrożenia. Ale nie nauczono jej chronić swego daru, przez co była łatwym łupem...

— Demonów! Ale jak?

— Nie wiemy, kto ani dlaczego wysłał ją, by to zrobiła — powiedziała Lethe szybko. —

Jednak Lusta nadużyła swej siły i teraz musimy ją przenieść w ciepłe miejsce.

Hurten i Orffa spotkali ich w drzwiach wielkiej sali. Tyffyn wyjaśniał im chaotycznie, co się stało, podczas gdy Lethe prowadziła ledwo stojącą na nogach dziewczynkę do ciepłej kuchni.

Dopilnowała zaparzenia ziół i stała nad Lustą, aż ta wypła całą porcję naparu. Dziewczynka wydawała się półprzytomna, oszołomiona i nieświadoma tego, gdzie była i co się działo. Lethe zaprowadziła ją z powrotem na posłanie i odwróciła się do reszty.

— Zapytaliście mnie wcześniej, czego od was chcę — odezwała się, od razu przechodząc do rzeczy.

— Jeszcze do końca nie wiem. Ale niewykluczone, że inna potęga przyprowadziła was tutaj i chce was wykorzystać — i wyjaśniła, co zrobiła nieświadoma niczego Lusta.

— Lusta nie jest demonem! — niemal wrzasnął Tyffyn.

Odpowiedziała mu Marsila.

— Ona jest wiedząca. To moc. Lusta nigdy nie użyłaby jej w złym celu. Szczerze mówiąc —

teraz zwróciła się do Lethe — nie używała jej nigdy z własnej woli. Sny przychodziły do niej, choć o to nie prosiła ani ich nie szukała.

— Mówimy o mocy jak o darze — odparła Lethe — a może ona być także ciężarem, nawet przekleństwem, jeśli używa się jej w sposób niekontrolowany. Nie sądzę, by Lusta uzyskała jakąkolwiek pomoc w nauczaniu się tego, co może zrobić...

Tyffyn poruszył się.

— Ona... nie wiedziała, czy to ma jakieś znaczenie... — Spojrzał w stronę Lusty. — Jej mama umarła, kiedy Lusta była bardzo mała. Moja mama była ich najbliższą krewną i wzięła ją do nas. Ale od długiego czasu nie mieliśmy nikogo wiedzącego. Zaczęła śnić dopiero wtedy, kiedy nadeszły demony — a przynajmniej dopiero wtedy opowiedziała o swoich snach. Ale nie jest demonem. Spytaj Hurtena, Truse i Tristy — spotkaliśmy się dzięki jej snom!



— Demony — odparła Lethe. — Czy słyszeliście, że one również mają swego rodzaju wiedzących?

Dzieci spojrzały po sobie nawzajem, a Marsila potrząsnęła głową.

— Przyszły jak burzowe chmury i nic nie mogło się im oprzeć. Było ich tak wiele i pojawiały się bez żadnego ostrzeżenia. Mój ojciec powiedział, że powiodło nam się tak źle, gdyż lordowie i damy wojny zostali odcięci od swoich przywódców. Każdy walczył we własnej twierdzy i twierdze po kolei padały. Nie było wielkiej królowej; wydawało się, jakbyśmy wszyscy naraz oślepli...

Hurten skinął głową.

— Mój lord usiłował posłać po pomoc do twierdzy Iskaru, ale tamtejszy pan odmówił, gdyż bał się ludzi z zamku Eldana bardziej niż samych demonów. Powiedział posłańcowi, że plotki o demonach rozpuszczono umyślnie po to, by wystraszyć co bardziej strachliwych lordów. Stało się to na dwa dni przed upadkiem Iskaru, później zostały z niego tylko pokrwawione kamienie.

To... to prawda... — Teraz mówił z większym zastanowieniem, jakby przywoływał

wspomnienia i widział wyraźny wzór, w jaki się układały. — Lordowie nie połączyli sił. A jako powód podawali najczęściej lęk przed własnymi sąsiadami. Czy to... czy to też sprawka demonów?

Jego dłoń znów powędrowała ku rękojeści sztyletu, kiedy patrzył na Lethe, jakby chciał

uzyskać prawdę choćby ostrzem noża.

— Mogło tak być.

Alana podeszła krok bliżej i spojrzała w twarz Lethe.

— Pani, po co demony chciałyby się dostać do miejsca naszego schronienia, jeśli nie po to, by nas zabić, jak... — zawahała się na moment i w jej oświetlonych ogniem kominka oczach odbił

się strach z przeszłości — ...jak zabili innych? Lusta przyprowadziła nas tutaj przez swoje sny, ale nie czekały na nas żadne demony...

— Czekają to, a może wasze przyjście otworzyło drzwi także dla czegoś innego... — Lethe zaczęła szukać; jej zmysły objęły najpierw dzieci, potem ściany wokół. Nie, nie było śladów czyjejkolwiek działalności oprócz tego, co odkryła wcześniej w nocy. W tej grupie nie było skaży ciemności.

— Co w takim razie się tu kryje? — zapytał gwałtownie Hurten.

— Demony nadchodzą z północy, nie są podobne do nas. Może... jego oczy się zwęziły — ...

może przypominają cię, pani. — W tytule, którym się do niej zwrócił, zabrzmiało coś prowokacyjnego.

— Przed waszymi demonami — odparła Lethe — istniały inne moce. Niektóre z nich zawsze

należały do ciemności. Otwórz umysł, młody człowieku, czy takie miejsce jak to przyjęłoby ciemne cienie?

Przez jakiś czas panowała cisza. Hurten nie rozchmurzył się. Po chwili jego prawa dłoń wyciągnęła się do przodu, a palce poruszyły w geście, który sprawił, że Lethe westchnęła z ulgą.

— Kawalek żelaza, wojownika... — Wyciągnęła rękę. Hurten zawahał się, ale wysunął

sztylet. Z rozmysłem dotknęła ostrza, choć musiała przy tym znieść ukłucie bólu ostrego jak liźnięcie ognia. Kiedy odsunęła dłoń od żelaza, odwróciła ją do góry tak, by oświetlał ją płomień.

Na bladej skórze czerwieniła się smuga oparzelizny. Lethe przez chwilę znosiła ból, pozwalając pozostałym przyjrzeć się dokładnie, a potem wytrzymała wolę, by uzdrowić ranę.

— Zimne żelazo. — Hurten spojrzał na swoją broń, jakby miała w sobie nie znaną mu moc.

— Demony — wtrącił Orffa — można zabić tylko ostrzem. Jedyne Pierwsza Krew... —

wziął głęboki oddech.

— Jedyne ci ze Ścieżki Prawej Dłoni — przerwała bratu Marsila — nie mogą trzymać zimnego żelaza.

— A nasze strażę nadal tu stoją — przypomniała im Lethe. — Jednak zapewne to właśnie to zakończy tkanie, niszcząc krosna i tkaczkę...

— Mówisz o tkaniu — odezwała się Marsila. — Czy jesteś tkaczką?

— Takie zadanie mi wyznaczono.

— A zatem — Hurten wrócił do poprzedniego problemu — Lusta przyprowadziła nas tutaj, ale z czyjej woli?

— Któż może wiedzieć? — odparła Lethe ze zmęczeniem, gdyż prawda znów ją przygniotła.

— Czy... czy znów może zostać opętana? — Marsila zbliżyła się ostrożnie do Lusty. Młodsza dziewczynka wydawała się pogrążona w głębokim śnie, nieświadoma tego, co się działo wokół.

— Ustawiłam strażę — odpowiedziała Lethe. — Na razie wytrzymają.

Nikt nie sprzeciwił się jej słowom, jakby woleli nie wypowiadać na głos wątpliwości. Hurten usiadł obok ognia, jednak nie miał jeszcze zamiaru spać. Z torebki przy pasku wyjął osełkę i zaczął ostrzyć sztylet, jak ktoś, kto musi się zająć czymkolwiek, co pomoże mu przygotować się na nadchodzące kłopoty. Marsila przeciągnęła swoje posłanie obok Lusty, Tyffyn zaś ulokował

się z drugiej strony.

Pasek Hurtena z pustą pochwą, bez miecza...

Bez miecza — symbolu męczyzny dla jego ludu. Lethe jeszcze raz zamknęła oczy, jednak wiedziała, że nie zaśnie. Miecz... opierała się, gdyż czuła, że jest popychana do podjęcia zbyt pośpiesznych decyzji. Nie było jej zadaniem zajmowanie się bronią znaną w tym kraju, ale należy przyznać, iż ostrze zapewniało im ochronę. To jednak mogło poczekać do następnego dnia. Hurten przestał zgrzytać oselką, schował ją na powrót do torebki i przeciągnął się, gotów do snu.

Lethe wysłała myśl jak najdalej, jak dowódca wysła wyćwiczonego zwiadowcę. Straże stały, nic nie próbowało zmierzyć się z nimi. Lusta? Dziewczynka spała tak głęboko, iż żaden intruz nie mógłby jej dosięgnąć. Bezpieczna? Czy ktokolwiek był bezpieczny?

Lusta otworzyła przejście dla starej mocy — a co z innymi dziećmi? Lethe wzdrygnęła się przed tym, co musiała zrobić — mogło to być usprawiedliwione tylko śmiertelnym niebezpieczeństwem. Czy takie właśnie im zagrażało?

Podjęła decyzję i zaczęła poszukiwania.

Alana, z jednym ramieniem obejmującym brata w nieustannym opiekuńczym odruchu — nic.

Bliźniacy pasterze? Mglisty sen, częściowo wspólny, o słonecznym poranku gdzieś w górach.

Tyffyn — skradające się cienie ciemności, początek koszmaru, w którym usiłował się dostać do gospodarstwa, gdzie oczekiwała go Lusta. Ten sen Lethe mogła odpędzić i zrobiła to. Marsila —

kolorowe łąki, ciepły, słoneczny poranek, bogactwo i czułe wspomnienia. Jej brat — sen tak głęboki i niezakłócony, jak u Lusty. Hurten — straż na murze, paląca potrzeba odegnania groźby, która jeszcze się nie ujawniła — potrzeba tym silniejsza, że nie miał broni. Lethe miała rację, on potrzebował talizmanu ostrza.

Kobieta przebiegła myślą wspomnienia. Przejrzała dzieci, nie było w nich śladu skażenia.

Upewniwszy się, mogła już czekać nowego dnia.

Na śniadanie zjedli mieszankę ziaren zbóż okraszoną garścią suszonych jagód, dzięki czemu można ją było w ogóle przełknąć. Lethe zaczęła, aż wszyscy skończą, zanim zaczęła mówić.

— Macie dwa łuki i dwa sztylety — to nie wystarczy.

Hurten roześmiał się nieco złośliwie.

— Prawda, pani. Ale nie ma tu kuźni, a żadne z nas nie jest kowalem. Czy znajdzie się w pobliżu wróg, którego możemy złupić?

— Chodźcie.

Lethe poprowadziła ich z powrotem do sali zebrania i wszyscy, nawet Robar, udali się za nią.

Podeszła do ściany w niszy, na której wisiała jedna ze zniszczonych tkanin. Nie był to gobelin, lecz raczej resztki chorągwi.

Jak okrutnie czas obszedł się ze wszystkim, co tu zostało! Jednak Lethe nie smuciła się, lecz raczej śpieszyła, by wykonać zadanie. Krzesła stojące niegdyś pod ścianą zamieniły się w ruinę, ale długi stół pozostał nietknięty, choć jego blat pokrywał kurz i drewniane drzazgi.

Lethe przeciągnęła po nim laską, a śmieci podniosły się i odleciały, jak zdmuchnięte przez silny poryw wiatru. Teraz Lethe wskazała na zetlałą chorągiew. Laską dokładnie obrysowała to, co z niej zostało, jednocześnie nucąc cicho, a jej śpiew przypominał szum wiatru w lesie.

Chorągiew poruszyła się. Podniosły się z niej drobinki kurzu, jednakże nie odpadła ani jedna słaba nitka. Chorągiew odwiązała się od drzewca, podczas gdy Lethe poruszała laską do przodu i do tyłu, jak pasterz prowadzący i chroniący swoje stado. Stara tkanina spłynęła w dół i ułożyła się na stole.

— Nie dotykajcie jej! — rozkazała Lethe. — Jeszcze nie czas. Mamy pilniejsze sprawy.

Jej laska poruszyła się po raz kolejny, teraz wskazując bezpośrednio na ścianę, dotąd zakrytą przez chorągiew. Wymówiła głośno słowa rozkazu, nie wypowiedane od czasów legendy.

Pomiędzy kamieniami pojawiły się szczeliny; linie utworzyły zarys drzwi. Drzwi się otworzyły.

— Wchodźcie! — powiedziała Lethe, wskazując wejście.

Laska sama rozbłysła światłem, budząc odbłyski na przedmiotach leżących na półkach i stojakach zbrojowni. Była to broń. Uszu Lethe dobiegł okrzyk wciskającego się do wewnątrz Hurtena, który zaraz wyciągnął rękę ku rękojeści miecza. Stanął i przypatrywał mu się z radosnym zdziwieniem. Inni weszli dalej, oglądając broń, lecz nie odważyli się jej dotykać. W

końcu Orffa wziął miecz, po nim Tyffyn, rzucając spojrzenia na Lethe, jakby mogła im nawet teraz zabronić dotknięcia znaleziska, zacisnął dłoń na stylisku bojowego topora o podwójnym ostrzu.

Po chwili jednak Hurten odwrócił się ku kobiecie z oskarżeniem wypisanym na twarzy.

— Co to za oszustwo? To nie jest prawdziwa stal... — przesuwał dłonią po ostrzu wybranej broni.

Lethe zaśmiała się.

— Nie znajdziesz tu zimnego żelaza, młody wojowniku. To ostrze wykute z bitewnego srebra, nie mniej ostrego i mocnego.

Przez chwilę wyglądał, jakby chciał się sprzeciwić, lecz potem skinął głową.

— Każdy lud ma swoje sekrety. To przynajmniej jest dobrze wyważone. — Machnął mieczem w powietrzu, zadając próbny cios.

— Nie! Nie, Robar!

Alana zmagala się z bratem. Z zaczerwienioną od rosnącego gniewu twarzą chłopiec usiłował zawładnąć sztyletem na tyle długim, by mógł służyć jako krótki miecz.

— Chcę! Chcę teraz! Robar chce!

Alana nie mogła rozluźnić uścisku jego palców na rękojeści. Trusa złapał chłopca od tyłu za ramiona.

— Hej, młodziaku, to niebezpieczna zabawka. Oddaj ją Alanie i... — Odwrócił głowę, by spojrzeć na stojaki z bronią, lecz najwyraźniej nie wiedział, co można by zaoferować Robarowi w zamian.

— Chcę! — zawył Robar i wymierzył siostrze kopniaka. Sięgnął jej, zanim Trusa zdążył go odciągnąć.

— Robar, nie! — Na twarzy Alany pojawił się strach. — Daj to Alanie, proszę!

Kiedy chłopiec wywijał się z uścisku, Alana po jednym odginała jego palce z rękojeści sztyletu. Jego krzyk sprowadził resztę na miejsce bitwy. Kiedy siostra przemocą otworzyła mu dłoń, Robar nagłym rzutem ręki sięgnął jej policzka i przeciągnął po nim paznokciami. Alana krzyknęła i odskoczyła z szeroko otwartymi oczami, wpatrując się w brata, jakby widziała go po raz pierwszy.

Marsila odepchnęła ją na bok, ale to Hurten przejął komendę.

— Dajcie go tutaj! — rozkazał, a kiedy Trusa podał mu walczącego dziko chłopca, dodał: —

Odbierzcie mu to!

Mimo konieczności unikania kopniaków, które Lethe wydawały się zbyt dobrze wymierzone, by wywołała je wyłącznie ślepa furia, Trusa zdołał wydrzeć sztylet z dłoni Robara. Wtedy Hurten wyniósł wciąż wrywającego się chłopca na zewnątrz.

Alana drżała na całym ciele. Łzy rozmazały krew na jej policzkach.

— On... on nigdy dotąd nie zrobił nic takiego. Och, Robar! — Odepchnęła Marsilę i pobiegła za Hurtenem i za bratem.

Zapadła niezręczna cisza. Lethe schyliła się, by podnieść sztylet, o który wybuchła kłótnia.

Zarówno jej oczom, jak i wewnętrznemu instynktowi broń ukazała się dokładnie tym, czym była.

Przez moment zaniepokoiła ją pewna myśl. Jednak stwierdziła, że bunt chłopca mógł wynikać po prostu z tego, iż rozpieszczony i pilnowany — a troska Alany była aż nazbyt widoczna — chciał

postawić na swoim, jak to się zdarzało i innym. Robar wychodził z dzieciństwa, być może podświadomie już od pewnego czasu usiłował uwolnić się spod nadopiekuńczości siostry.

Inni szybko dokonali wyboru. Marsila wzięła cztery łuki i pasujące do nich kołczany strzał o

srebrnych ostrzach, zbierając je w niekształtny tobolek. Lusta i inni wybrali sztylety, próbując ostrzy na własnych palcach. Jednak z większej broni bliźniacy wzięli tylko krótkie oszczepy —

po trzy na każdego. Tyffyn został przy toporze, Orffa wybrał sobie miecz z paskiem i pochwą.

Lethe zainteresował rodzaj broni, jaki każdy z nich wziął ze zbrojowni. Najwyraźniej wybrali to, z czym najlepiej się czuli. Odłożyła na półkę sztylet, który usiłował zabrać Robar, po czym za resztą wyszła na zewnątrz. Drzwi zamknęły się za nią i znów znikły.

Marsila położyła łuki na stole, uważając, by nie poruszyć chorągwi. Skinęła na Lustę i Orffę, by wybrali każdy po jednym. Na końcu wzięła łuk dla siebie, ostatni zostawiając na stole.

— Dla Hurtena — kiwnęła głową w jego stronę. — O wiele lepszy niż ten, który ma, będzie mu dobrze służył.

Kiedy weszli do kuchni, zastali Alanę siedzącą przy posłaniu, na którym leżał skulony i chlipiący Robar. Kiedy podeszli, siostra trąciła go w ramię.

— Robar? — W jej głosie zabrzmiało zarówno upomnienie, jak i zachęta.

Chłopiec usiadł. Z jego oczu zniknął gniew, po policzkach zaś spływały łzy.

— Robarowi... jest przykro — powiedział niewiele głośniejszym od szeptu.

Alana uśmiechnęła się.

— Mówi prawdę. Naprawdę jest mu przykro.

Marsila podeszła bliżej.

— Dobrze, Robar. Ale przeprosiny nie zetrą zadrapań z twarzy twojej siostry, prawda?

Chłopiec rozmazał łzy po całej twarzy.

— Robar przeprasza — powtórzył żałośnie. Alana objęła go mocno.

— Oczywiście, Alana wie. Robarowi naprawdę jest przykro. Tyffyn, zajęty próbowaniem nowego ostrza, wydawał się nie zwracać na nich uwagi. W końcu odezwał się:

— Ładny dzień. Może uda się coś upolować na łące — z nowymi łukami powinno pójść łatwiej.

— Oczywiście! — Hurten pojawił się z łukiem, który zostawiła dla niego Marsila. — Może dopadniemy tego rocznego cielaka, którego widzieliśmy dwa dni temu.

Lethe patrzyła, jak rozbiegają się do zajęć, którymi zapewne podzielili się tuż po przybyciu do zamku. W świetle dnia nie bali się tego, co znajdowało się na zewnątrz.

Nawet Robar uczestniczył w zbieraniu pożywienia, kłócąc się z kilkoma rozzłoszczonymi wiewiórkami o leżące na ziemi orzechy, podczas gdy jego siostra i Tristy uderzały w gałęzie drzewa, by strząsnąć jeszcze więcej.

Lusta nowym sztyletem ścinała dziko rosnące zboże, wciąż mokre po wczorajszej burzy.

Wypłoszyła przy tym stado żerujących w zbożu ptaków, więc od razu sięgnęła po łuk. Choć nie strzelała najlepiej, zdarzało jej się trafić.

Lethe opuściła ich i z laską w dłoni poszła wzdłuż rzeki, zatrzymując się co jakiś czas, by zbadać wzgórze. Jednak jeśli nawet Lusta ostatniej nocy niemal otworzyła drzwi ciemnym mocom, teraz nie dało się niczego wyczuć.

Mimo że czujność Lethe nie osłabła ani na jotę, myśli zwróciły się w stronę spraw, dla których tu przyszła. Te dzieci, młode sadzonki... będzie to jej uprawa, jej tkanina. Zaciśnęła dłoń na lasce

— po tylu latach znów znaleźć cel!

Lethe wróciła do zamku w południe. Znów stanęła w wielkiej sali i popatrzyła na resztki chorągwi. Palce kobiety poruszały się jakby z nawyku. Powoli odwróciła się i rozejrzała po pomieszczeniu. Tam, gdzie teraz była ruina, powróci życie.

W kuchni zaś życie wrzało. Hurten rzeczywiście przyniósł cielaka, z grubsza go wypatroszył, a teraz położył zawiniętego w jego własną łaciatą skórę. Wokół stały pojemniczki z kory, a nawet dużych liści wypełnione jagodami, orzechami i jadalnymi korzonkami, które Lusta segregowała z pomocą Alany, podczas gdy Marsila wniosła upolowane kaczki.

Hurten powrócił z bliźniakami. Tym razem nie wykorzystali resztek mebli w sąsiednich komnatach, lecz przynieśli mnóstwo drewna — chrustu pozostałego po burzy. Należało go tylko wysuszyć.

Dzielili się pracą, jakby robili to wiele razy. Lethe pokiwała głową. Oni sami już się na swój sposób zwiążali, więc tym łatwiejsze będzie jej zadanie.

Przez jej uczucie zadowolenia przebił się okrzyk strachu. Alana odskoczyła od stołu.

— Robar, gdzie jest Robar? Tyffyn, czy nie szedł za tobą? Gdzie on jest?

— Nie widziałem go. — W głosie starszego chłopca zabrzmiała dziwna nuta. — Co masz na myśli, mówiąc: szedł za mną? — Był bardzo zły, jakby oskarżono go o przestępstwo.

Lethe zeszywniała. Teraz coś się budziło, coś, co zagrażało zgodzie, która uspiła jej czujność.

Orffa też się rozgniewał.

— Mały darmożjad, zawsze kręci się tam, gdzie nie powinien. Alana zwróciła się do Tyffyna.

W jej słowach brzmiał strach, ale i także gniew.

— Kiedy nas mijales, mowiles, ze idziesz nad staw. Wiesz, jak Robar lubil tam chodzic.

Tyffyn potrzasnal glową.

— Nie bylo go ze mna, mowie ci.

Alana zwrócila sie do Orffy.

— Ty polowales na wzgórzu. Musiales go widziec.

— Nie widzialem bachora. Zawsze pakuje sie w jakies klopoty. Najlepiej przywiazac go do ciebie, bedzie spokoj!

— Uwazaj, co mowisz! — warknela Marsila do brata. — Jesli Robar rzeczywiscie poszedl nad staw...

Alana krzyknela i rzucila sie do drzwi, Marsila pobiegla za nia. Znad stołu rozlegl sie brzek, to Lusta upuscila miske. Hurten zlapał Orffę za ramie i odwrócił go szarpnięciem.

— Ten staw jest glęboki, Orffa. I nie ma tu zadnych bachorów, trzymaj jezyk za zębami!

Orffa ze szkarlatną twarzą wyrwał sie z uścisku starszego chłopca.

— Nie widzialem go!

Lethe zadrzala. Byla strazniczka, wiec z pewnoscia wyczulaby rano zlo w dolinie, gdyby czekalo tam przyczajone. Panujaca jeszcze przed chwila atmosfera znikla, jakby rozwiala ja sama Lethe.

— Lusta? Jej dar — to zrozumiale; Robar — Lethe nie wyczula w nim zadnej mocy, lecz byl tak malý, ze nie mógł jeszcze miec silnej oslony. Robar!

— To nie staw. To nie Robar byl narażony na niebezpieczenstwo, lecz niebezpieczenstwo mialo przez niego zagrozic innym. A to cos musialo znajdowac sie w scianach zamku.

— Glupiec! — parsknal Hurten do Orffy. Mlodszy chłopiec siegnal do rekojeci miecza.

Teraz poruszyli sie bliźniacy, a Tyffyn okrazal stol, by do nich dolaczyc. Lusta stala z dlońmi przycisnietymi do zbielalych policzków.

— Uwazaj, co mowisz! — zawolal Orffa. — Nie probuj zgrywac przede mna lorda! Nie wiem, dokad pobiegł bachor...

— Przeszedl tutaj — powiedzial Trusa. — Widzialem go na moście.

Orffa wyszczerzył zęby.



— Dlaczego nie mówiłeś wcześniej, tępaku? A może tak cię zatkała brudna wełna, że nie mogłeś wykrztusić słowa?

— Uważaj — odparł za brata Tristy. Wciąż trzymał zakrwawiony nóż, którym oprawiał zdobycz Hurtena. — Co w ciebie wstąpiło, Orffa?

— Orffa? — Chłopak wypowiedział własne imię niemal jak groźbę. — Kim ty jesteś, żeby tak się ze mną spoufalać, pastuchu? Ja pochodzę z krwi Rurana, który był panem...

— Stójcie! — Lethe wsunęła swą laskę pomiędzy chłopców i mrużąc oczy, przesuwiała wzrokiem po nachmurzonych twarzach. — Widzieliście, jak Robar tu wchodził? Zatem poszukajmy go.

Ton jej głosu albo działanie laski przywołało ich do porządku — na krótki czas.

— Poszukamy go — zgodził się Hurten.

— Może nie trzeba iść tak daleko. — Lethe skinęła na Lustę i zapytała: — Które pudełko z orzechami zbierał Robar?

Lusta zadrżała i splotła ręce na plecach.

— Nie! Nie! — Kręciła głową, jak złapane w pułapkę, ogarnięte śmiertelnym strachem zwierzę.

— Tak! — Od tego rozkazu nie było odwołania.

Lusta wyciągnęła przed siebie prawe ramię z palcami zakrzywionymi jak pazury.

Zaokrąglonymi z przerażenia oczami wpatrywała się w plony porannej wycieczki. Jej głowa zakołysała się i pochyliła nad jednym z pojemników.

Lethe natychmiast podniosła laskę i dotknęła niezgrabnie wplecionego koszyka.

Znów skupili na niej całą uwagę, zapominając o kłótni. Trzymała laskę na tyle lekko, by pozwolić jej poruszać się swobodnie. Szła za jej wskazaniem, reszta zaraz za nią.

Weszli z powrotem do wielkiej sali i podeszli do ściany z ukrytymi drzwiami. Była głupia, nie doceniając tej potęgi. Wcześniejsza scena z Robarem... dlaczego była tak ślepa? Usiłowała uchwycić ślad, dowiedzieć się...

— Musicie tu być wszyscy. Znajdźcie Marsilę, Alanę... Lethe nie patrzyła za siebie, by sprawdzić, czy spełniają jej polecenia, ale usłyszała skrzypienie bardzo zniszczonych butów rozchodzących się po całej sali.

— Pani... — Lusta podeszła do jej boku. — Pani, boję się. Nie mogę... nie wiem, co mam robić.

— Ja również nie wiem, co trzeba robić, dziecko. Nie wiem, co mogę i czego nie mogę, lecz to

zaczeka, aż się nauczymy.

Walczyła, by odsunąć na bok otaczające ją życie i myśleć tylko w kategoriach broni; nie ostrza, nie topora, dzidy ani łuku, ale jej własnej broni. Skoro tkła wątek życia, teraz musi utkać inny rodzaj sieci — jednocześnie osłonę i pułapkę.

— Robar! Proszę — ktoś chwycił ją za ramię. — Czy on naprawdę tam jest? — Lethe szybko rozejrzała się wokoło: byli już wszyscy.

Zaczęła nucić, a słowa spływały z jej ust sztywno, jakby po długim czasie zapomnienia pokryły się rdzą jak nieużywana zbroja. Po raz kolejny Lethe otworzyła ukryte drzwi.

Świetliste kule wokół przygasły, jakby coś wyssało ich światło.

Lethe wyciągnęła rękę i złapała Alanę, która rzuciła się do przodu.

— Robar! — zawołała siostra, po czym odebrało jej głos, z czego Lethe przez chwilę się ucieszyła.

Laska rozjarzyła się blaskiem. Z mroku zbrojowni wychynał cień — światło rozbłysło na obnażonym ostrzu.

Broń Lethe wskoczyła pomiędzy nią samą a zamierzony cios. Robar przysiadł. W jego twarzy nie było nic dziecięcego. To, co w niego wstąpiło, wykrzywiło mu rysy i wyzierało z oczu.

Laska zaświstała i uderzyła. Błysnęły iskry, które ułożyły się w język światła, lecz zanim dotknęły dziecka, odbiły się i rozprysły.

— Dołączcie! — zawołała Lethe, wyciągając dłoń i przekrzykując szaleńcze wrzaski stojącej przed nią małej, plującej postaci, o oczach groteskowo przepełnionych podstępą, mroczną inteligencją.

— Dołączcie! — Ktoś złapał ją za rękę. Poczuła strumień energii, potem drugi i trzeci — to, co ich połączyło, nadal istniało.

Laska rozgrzała się. Nić światła wciąż nie mogła sięgnąć Robara, lecz coraz bardziej zbliżała się do niego.

— Ty jesteś Robar! — zawołała Lethe, przywołując moc kryjącą się w imionach. — Jesteś jedno z nimi. Jesteś Robar!

Drobne usta zacisnęły się w grymasie wściekłości.

— Fratch!

Lethe była przygotowana. Imię napastnika nie zaskoczyło jej. Pośród jej rodaków zdarzali się zarówno tkacze, jak i niszczyiele. Jednak minęło dużo czasu, a niszczyielska moc nigdy nie rośnie bez pokarmu. Czy najeźdźcy, którzy go karmili, znów się przebudzili?

— Jesteś Robar!

Usiłowała go dotknąć, by odnaleźć i oddzielić jedną osobowość od drugiej. Świetlista włócznia wisiała teraz zaledwie na palec od krzywiącego się dziecka.

— Robar! — Miał to być rozkaz, wezwanie; jednocześnie Lethe sięgnęła głębiej po energię przesyłaną jej przez resztę.

Światło dotknęło czoła dziecka. Robar wykrzywił twarz jeszcze bardziej i zawył — żaden człowiek nie potrafiłby wydać z siebie takiego głosu. Wydawało się, że usiłuje się z niego wydobyć coś, co uwięzione zostało na zbyt małej przestrzeni.

Robar upadł jak ciężki od ziarna kłos. Nad nim pojawiła się mgła, którą przebiła świetlista włócznia. Wtedy mgła skręciła się w spiralę i zapadła w siebie, po czym, przesyta błyskawicą niebieskiego światła, rozwiała się w nicość.

— Robar! — Alana rzuciła się na brata, przyciągnęła do siebie i otuliła ramionami, jakby chciała własnym ciałem osłonić go od wszelkiego zła.

— Co... co się stało, pani? — zapytał ochryple Tyffyn.

— To cień czegoś, co powinno umrzeć dawno temu — odparła Lethe, usiłując zrobić krok naprzód. Zachwiała się.

Natychmiast podtrzymały ją silne młode ramiona — to przysunęli się Hurten i Marsila.

— Cień woli. Najpierw usiłował zawładnąć Lustą, gdyż jej dar oferował moc. Potem zwrócił się ku Robarowi, ponieważ jest on zbyt młody, by stworzyć osłony, jakie powstają z czasem.

Fratc — Styreonie, który byłeś — zawołała w ciemność — zawsze pragnąłeś tego, co nie należy do ciebie i nigdy nie będzie twoje!

Wyszli ze zbrojowni. Orffa niósł Robara, leżącego mu bezwładnie w ramionach. Alana widocznie była z tego zadowolona. Marsila i Hurten nadal podtrzymywali Lethe. Koniec jej laski włókł się po posadzce, choć kobieta nadal trzymała ją w dłoni.

Doszli do stołu z rozłożoną chorągwią. Teraz wiadomo było, co należy zrobić, a im szybciej się to stanie, tym lepiej.

— To początek — odezwała się Lethe do Lusty. — Siostrze, weź swój sztylet, który pochodzi ze znamienitego warsztatu i nie został wykuty ze śmiercionośnego żelaza, i obetnij kosmyk włosów każdemu z twych towarzyszy.

Bez pytań poddali się ręką Lusty. Po raz pierwszy Lethe odłożyła laskę. Z torebki przy pasku wyjęła dużą igłę, błyszczącą w świetle złotem. Nawlekła na nią włosy i zaczęła wplatać je w chorągiew, jak naprawia się bardzo stare i cenne przedmioty. Kiedy skończyła jedno pasmo, powtórzyła to samo z drugim, potem z kolejnym. A za każdym razem głośno powtarzała imię osoby, do której należały włosy, tworząc niemal pieśń.

Lethe pracowała, a czas zdawał się odsuwać w zupełnie inny wymiar; nikt się nie poruszył ani nie odezwał — tylko obserwowali. Kiedy Lethe skończyła, spojrzeli na srebrno — złotą tkaninę, na której tańczyły delikatne błyski — mieniły się, przeskakiwały z miejsca na miejsce i formowały coraz wyraźniejszy wzór.

Lethe wyjęła igłę.

— Jedność składa się z wielu elementów, tak jak wy połączyliście się w ucieczce przed śmiercią, jak daliście mi siłę, by uwolnić Robara — naprawdę jesteście jednością. Z tego zespolenia powstanie wiele dobrego — czas powita to z radością, jak i was.

Podobno w dniach upadku, kiedy Kasati całkowicie spustoszył kraj a barbarzyńcy wznieśli świątynię Wiecznej Ciemności, z północnych wzgórz przybyła drużyna, nad którą powiewał

szandar z dziewięcioma złotymi nićmi. Ci, którzy go nieśli, mieli w sobie krew legend. Dokonali czynów ku chwale ziemi, nieba, wody i ognia — a ciemność została całkowicie oślepią ich światłem.

*Przełożyła Katarzyna Krawczyk*

*Charles de Lint*

**Czarodziej**

**(The Conjure Man)**

Nie sądzę, by miał przyjaciół lub bliskich,

którzy przywdziewają po nim żałobę, oprócz mnie i pary sów.

J.R.R. Tolkien, z przedmowy do *Drzewo i liść*

Dostrzeżasz tylko drzewo w blasku lampy. Ciekaw jestem,

czy kiedykolwiek dostrzeżesz lampę w blasku drzewa.

G.K. Chesterton, *Mężczyzna, który był Czwartkiem*

Czarodziej jechał na czerwonym, staromodnym rowerze o szerokich oponach i tylko jednej, stałej przerzutce. W wiklinowym koszyku umieszczonym przy kierownicy siedział mały kundelek, na pierwszy rzut oka przypominający teriera. Za siodełkiem, przywiązana do bagażnika, wisiała brązowa sakwa, skrywająca przed spojrzzeniami ciekawskich resztę jego ziemskiego dobytku.

Czarodziej nie miał wiele, ale też dużo nie potrzebował; był w końcu czarodziejem i to, czego mu brakowało, mógł sobie z łatwością wyczarować.

Sylwetkę miał raczej solidną niż smukłą, a jego długa, potargana broda i aureola siwych włosów wystawały spod ronda kapelusza jak bluszcz rozgęstwiony pod okapem. Za tasiemkę zatknął bukiet suchych polnych kwiatków i trzy piórka: jedno białe — łabędzie, jedno czarne —

krucze i jedno brązowe — sowie. Jego kurtka miała radosny odcień błękitu, niczym niebo w bezchmurny letni poranek. Pod nią nosił koszulę zieloną jak świeżo skoszony trawnik. Spodnie miał z brązowego sztruksu naszywanego łatami ze skóry i kraciastego koca, buty zaś w kolorze głębokiej żółci — takiej, w jaką stroją się przekwitające jaskry.

Jego wiek stanowił zagadkę, zawierając się gdzieś pomiędzy pięćdziesiątką i siedemdziesiątką. Większość ludzi milcząco zakładała, że był jednym z wielu bezdomnych; bardziej barwnym niż pozostali i z całą pewnością bardziej radosnym, ale tak czy inaczej —

wrakiem. Z tym większym zdumieniem odkrywali zapach jabłek, który zawsze zdawał się mu towarzyszyć, jego nieodmiennie dobry humor i głęboką inteligencję skrzącą się w błękitnych oczach. Kiedy podnosił głowę i jego oczy wyłaniały się spod ronda kapelusza, napotykając czyjeś spojrzenie, zawsze budziło to zdumienie — jak diament pośród żwiru.

Nazywał się John Windle; dla tych, którzy imionom zwykli przypisywać znaczenie, jego imię mogłoby oznaczać „ulubieniec bogów”, nazwisko zaś — według różnych interpretacji — „kosz”,

„drozd czerwonoskrzydły” bądź też „tracić wigor i siłę, usychać”. Każda z tych interpretacji mogła być prawdziwa, John prowadził bowiem zczarowane życie. Jego umysł był skarbcem przechowującym równe ilości doświadczenia, plotek i historii; głos miał wysoki, czysty i śpiewny, a choć on sam nie był zbyt wysoki — wszystkiego pięć stóp i dziesięć cali w butach —

oniś był dużo większym człowiekiem. Jak sam mawiał: — Niegdyś byłem olbrzymem. Kiedy świat był jeszcze młody. Czarowanie jednak ma swoją cenę. — Teraz John jest tylko mocno zużytym starcem. — Zupełnie jak ten świat — wzdychał, kiwając głową, a w jego jasnych oczach malował się smutek. — Zupełnie jak ten świat.

Są rzeczy, których i czarodziej nie naprawi.

Człowiek mieszkający w mieście przyzwyczajają się również do jego co bardziej dziwacznych mieszkańców, zauważając ich mimochodem, choć z sympatią. Była wśród nich pani od gołębi w swej spłowiałej sukience od Laury Ashley, pchająca wózek na zakupy wypełniony torebkami z karmą dla ptaków i okruchami chleba;

Paperjack, stary Murzyn z chińską wyrocznią i papierowymi rzeźbami origami; niemiecki kowboj ubrany jak statysta z tasiemcowego westernu, deklamujący długie kwestie w swym rodzinnym języku (których oczywiście nikt nie słuchał). No i czarodziej.

Wendy St James widywała go dziesiątki razy — mieszkała i pracowała w śródmieściu, dzielnicy szczególnie często przez niego odwiedzanej — ale nigdy z nim nie rozmawiała, aż do pewnego jesiennego dnia, kiedy drzewa zaczęły się przebierać w swoje radosne, kolorowe suknie.

Siedziała wtedy na ławce nad rzeką Kickaha, od strony Ferryside — drobna niczym osieroczone dziecko kobieta w dżinsach, białym podkoszulku, sztylpach i rozpiętej kurtce —

pilotce. Mały wytarty plecak zastępujący jej torebkę leżał na ławce obok niej, a ona sama pochylała się nad pamiętnikiem; szczerze mówiąc, więcej czasu pochłaniało jej wpatrywanie się weń, niż zapisywanie czegokolwiek. Włosy miała jasne i gęste, sięgające do ramion i ostrzyżone na pazia, z centymetrowymi ciemnymi odrostami. Właśnie ogryzała koniec długopisu, molestując twardego plastik w poszukiwaniu inspiracji.

To wiersz kazał jej zatrzymać się w pół kroku i usiąść na ławce. Zamigotał i zajaśniał w jej głowie, aż usiadła i wyjęła pamiętnik i długopis. Potem umknął równie nieuchronnie jak zanikający sen. Im bardziej starała się przypomnieć sobie impuls, który kazał jej przyłożyć pióro do papieru, tym bardziej wątpiła w to, czy w ogóle poczuła coś takiego. Denerwująca bliskość trzech nastolatków wygłupiających się na pobliskim trawniku odległym może z pięć metrów od jej ławki zdecydowanie nie ułatwiała jej zadania.

Gdy przyglądała się im spode łba, zauważyła, że jeden z chłopców podniósł z ziemi patyk i rzucił go w przednie koło roweru czarodzieja, który właśnie powoli nadjeżdżał ścieżką prowadzącą wzdłuż rzeki. Piesek siedzący w wiklinowym koszyku na kierownicy zdążył

wyskoczyć, ale jego pan przewrócił się na ziemię w płataninie kończyn oraz wirujących kół.

Chłopcy ze śmiechem rzucili się do ucieczki, a piesek ścigał ich przez kilka metrów, szczekając piskliwie, zanim zawrócił do miejsca wypadku. Wendy, która zdążyła już odłożyć pamiętnik i długopis, znalazła się przy leżącym mężczyźnie równo z kundelkiem.

— Nic się panu nie stało? — spytała z troską, pomagając mu wyplątać się z ramy roweru.

Sama podobnie upadła tego lata. Przednie koło jej dziesięciobiegowca trafiło na kamyk, rower zachybotał się niebezpiecznie i Wendy ostro nacisnęła na hamulce; zbyt ostro, i w dodatku najpierw na przednie. Tył roweru podniósł się gwałtownie i przeleciała nad kierownicą. Głowa bolała ją

jeszcze przez tydzień.

Czarodziej nie odpowiedział od razu. Jego spojrzenie podążyło za uciekającymi chłopcami.

— Kto sieje wiatr... — wymruczał pod nosem.

Wendy również spojrzała w tym kierunku i zobaczyła, jak sprawca wypadku potyka się i rozciąga w trawie jak długi. Zimny dreszcz przeszedł jej po plecach. Upadek chłopca nastąpił tak nagle, że przez moment wydało się jej, iż to słowa mężczyzny go spowodowały.

Kto sieje wiatr, ten zbiera burzę.

Ponownie zerknęła na nieznanego, ale ten siedział już na ziemi, przesuając palcami po dziurze, która pojawiła się w jego sztruksach. Uśmiechnął się do niej, a jego uśmiech powędrował w górę, aż do oczu, i w jakiś sposób przypominał Wendy Świętego Mikołaja. Piesek wcisnął swój wilgotny nos w jego dłoń, odpychając ją od dziury. Ta jednak zdążyła już zniknąć.

„To musiała być tylko fałda materiału”, pomyślała Wendy. „Tak, to było to”.

Pomogła czarodziejowi dokuśtykać do ławki, a potem wróciła po rower. Wyprostowała koło w widełkach, podprowadziła do oparcia i usiadła obok niego. Piesek wskoczył na kolana mężczyzny.

— Jaka ładna suczka — powiedziała, głaszcząc ją po głowie. — Jak się nazywa?

— Imbir — odparł mężczyzna tonem tak oczywistym, jakby nie rozumiał, dlaczego w ogóle pytała.

Wendy spojrzała na psa. Sierść Imbir była równie szara i splątana, jak broda jej właściciela, i nie miała zupełnie nic wspólnego z głębokim brązem orientalnej przyprawy.

— Ale wcale nie jest brązowa — powiedziała niemal wbrew sobie.

Czarodziej potrząsnął tylko głową.

— Ona z tego jest. To imbirowy pies. Proszę. — I wyrwał z grzbietu Imbir pojedynczy włos.

Suczka wzdrygnęła się i spojrzała nań z wyrzutem. Podał włos Wendy. — Spróbuj.

— Może lepiej nie — skrzywiła się.

— Jak sobie chcesz — odparł, wzruszył ramionami i włożył włos do ust, najwyraźniej delektując się jego smakiem. „O rany”, pomyślała Wendy. „To się dzieje naprawdę”.

— Jak ci się wydaje, skąd się bierze imbir? — spytał czarodziej.

— To znaczy ona?

— Nie, przyprawa.

Wendy wzruszyła ramionami.

— Nie wiem. Chyba z jakiejś rośliny.

— I tu się mylisz. Otóż goli się psy takie jak moja Imbir, a sierść miele tak długo, aż pozostanie tylko drobniutki proszek. Potem zostawia się go na słońcu na półtora dnia — i to właśnie słońcu zawdzięcza swój brunatny kolor.

Tylko siłą woli Wendy powstrzymała się od wywrócenia oczami. Chyba najwyższy czas się pożegnać, uznała. Właściwie należało to zrobić już dłuższą chwilę temu. Upewniła się, że wszystko było w porządku, a skoro czarodziej najwyraźniej nie ucierpiał zbytnio w czasie upadku...

— Hej! — powiedziała, gdy podniósł jej pamiętnik i zaczął go wertować. — To rzeczy osobiste.

Machnął ręką, jakby oganiając się przed nią, i przeglądał dalej.

— Poezja — powiedział wreszcie. — Całkiem ładne wiersze.

— Proszę...

— Wydałaś coś kiedyś?

Wendy pozwoliła swej ręce opaść i z westchnieniem oparła się wygodniej.

— Dwa zbiorki... i kilka razy dla magazynów literackich. „Szczerze mówiąc”, upomniała samą siebie, te «kilka razy» to zbyt górnolotne określenie; większość pism płaciła tylko egzemplarzami autorskimi”. I chociaż rzeczywiście wydała dwa zbiorki, to zostały one wydrukowane przez East Street Press, małą lokalną oficynę. To zaś oznaczało, że księgarnie w Newford były prawdopodobnie jedynym miejscem na świecie, gdzie można było znaleźć którąś z jej książek.

— Romantyczne, z bardzo optymistycznym wydźwiękiem — zauważył czarodziej, który wciąż przeglądał jej pamiętnik, a w nim wszystkie jej falstarty i nie dokończone szkice. —

Zupełne przeciwieństwo „Sturm und Drang” epoki minionej, bardziej zaś jak zmierzchy Yeatsa albo... jak to Chesterton nazywał? Mooreeffoc — ten zawrót głowy nachodzący człowieka, gdy rzeczy znane ogląda z nowej perspektywy.

Wendy nie mogła uwierzyć, że prowadzi taką rozmowę. Kim był ten człowiek?

Anarchistycznym profesorem uniwersytetu mieszkającym na ulicy niczym jakiś dawny opłotkowy filozof? Cała ta sytuacja — siedzenie tu i przysłuchiwanie się jego dyskursowi —

wydawała się absurdalna.

Czarodziej odwrócił się do niej z miłym uśmiechem.

— Bo na tym właśnie opieramy naszą nadzieję na przyszłość, prawda? Nadzieję, że wyobraźnia



sięgnie ponad teraźniejszość i pozwoli nam nie tyle zrozumieć sens tego, co nas otacza, ale w ogóle to zobaczyć.

— N—nie wiem, co mam powiedzieć — wymamrotała Wendy. Imbir zasnęła na kolanach mężczyzny. Ten zamknął pamiętnik i spod brzegu kapelusza długo wpatrywał się w jego właścicielkę swoimi niewiarygodnie błękitnymi, jasnymi oczami.

— John chciałby ci coś pokazać — powiedział wreszcie.

Wendy mrugnęła.

— John? — spytała, rozglądając się dokoła.

Czarodziej popukał się palcem w pierś. — Ci, którzy znają moje imię, nazywają mnie John Windle.

— Aha.

Wendy zdziwiło to nagłe przejście od języka człowieka uczonego do tak prostego słownictwa... do mówienia o sobie samym w trzeciej osobie. Chociaż, jeśli się głębiej zastanowić, to wszystko w nim było dziwne.

— A co takiego? — zapytała ostrożnie.

— To niedaleko.

Spojrzała na zegarek. Jej zmiana zaczynała się o czwartej, dopiero za kilka godzin, tak więc miała jeszcze mnóstwo czasu. Jednocześnie zaś była przekonana, że choć jej rozmówca był

niewątpliwie interesującym człowiekiem, to nie należał do osób, z którymi chciałaby nawiązywać kontakty bliższe niż te, które już zdążyła nawiązać. Rozdźwięk pomiędzy nonsensem i konkretem, od których roily się jego wypowiedzi, odbierał jej pewność siebie. Nie chodziło tu nawet o to, że mógł być niebezpieczny, a raczej o to, że czuła się, jakby stąpała po grząskim gruncie, który w każdej chwili mógł rozpuścić się jej pod nogami. Prawie go nie знаła, ale już była pewna, że dalsze słuchanie go tak właśnie mogło się skończyć.

— Przykro mi — odpowiedziała — ale nie mam czasu.

— To coś, co tylko ty możesz... jeśli nie zrozumieć, to przynajmniej docenić.

— No cóż, jestem pewna, że to fascynujące, czymkolwiek to jest, ale...

— W takim razie chodź — odparł.

Oddał jej pamiętnik i raptownie wstał, zrzucając z kolan Imbir, która zareagowała na takie potraktowanie ostrym szczenięciem. Schylił się, wziął suczkę na ręce i zapakował ją do koszyka zwisającego z kierownicy, po czym oprowadził rower wokół ławki i zatrzymał się, czekając na Wendy. Ta otworzyła usta, by zaprotestować, ale tylko wzruszyła ramionami. Właściwie czemu nie?

Tak naprawdę wcale nie wyglądał na niebezpiecznego, zresztą miała zamiar trzymać się tylko uczęszczanych ścieżek.

Wepchnęła pamiętnik do plecaka i ruszyła za mężczyzną, który poprowadził ją drogą na południe parku aż do punktu, w którym miejskie trawniki ustąpiły miejsca gruntom należącym do Uniwersytetu Butlera. Miała go zapytać, jak z jego nogą — gdyż wcześniej kulał — ale teraz kroczył żwawo i swobodnie, jak ktoś o połowę młodszy, uznała więc, iż upadek nie był jednak taki paskudny, na jaki w pierwszej chwili wyglądał.

Wspólnie przeszli przez błonia i zeszli ze ścieżki na trawnik rozciągający się przed biblioteką imienia G. Smithersa, wymijając po drodze grupki studentów zajętych rzeczami absolutnie nie mającymi związku z nauką. Po dojściu do porośniętego bluszczem budynku biblioteki skręcili za jego róg. Tu czarodziej się zatrzymał.

— Proszę bardzo — powiedział, wykonując ręką gest, obejmujący cały teren znajdujący się za biblioteką. — Co widzisz?

Przed nimi rozpościerał się rozległy obszar wolnej przestrzeni, otoczony zabudowaniami uczelni. Wendy, będąc absolwentką szkoły, nie miała najmniejszych kłopotów z rozpoznaniem wszystkich trzech budynków: Ośrodka Studenckiego, Wydziału Nauk Ścisłych i jednego z akademików, choć nie była pewna, którego. Pole otoczone ich przysadzistymi sylwetkami wyglądało tak, jakby ostatnimi czasy poddano je gruntownej przeróbce. Wszystkie bzy i głogi usunięto; krzewy i zarośla były teraz tylko nieregularnymi kępkami; przyzmy ziemi wznosiły się tu i ówdzie, a drzewa najwyraźniej zostały wycięte. Na środku placu tkwił ogromny pniak.

Co najmniej piętnaście lat minęło od chwili, gdy Wendy po raz ostatni pojawiła się na tym placu za biblioteką. Teraz jednak wyglądał on zupełnie inaczej. Przez chwilę rozglądała się zdezorientowana, zastanawiając się, co tu jest nie tak. Gdy chodziła do Butlera, rósł tutaj mały lasek; lasek inny niż równo przystrzyżone trawniki i żywopłoty, dzięki którym uniwersytet był

tak malowniczy. Pamiętała, że lubiła się wymykać tutaj z pamiętnikiem w rękę i siadać pod tym wielkim...

— Wszystko się tu zmieniło — powiedziała powoli. — Usunęli krzewy i ścięli ten dąb...

Ktoś kiedyś powiedział jej, że drzewo to — no tak — było rzadkością. Nie należało do gatunku charakterystycznego dla Ameryki Północnej. Był to *Quercus robur* lub po prostu pospolity dąb europejski. Słyszała, że miał ponad czterysta lat, co czyniło go starszym niż uniwersytet — ba, starszym niż całe Newford.

— Jak oni mogli go tak po prostu... ściąć?

Czarodziej wskazał kciukiem za siebie.

— Ten twój człowiek od książek kazał to zrobić. Nie podobał mu się cień, jaki rzucał na jego biuro. Nie podobało mu się, że wyglądając za okno, widział odrobinę dzikiej przyrody. Raziło to jego

poczucie porządku.

— Główny bibliotekarz? — spytała Wendy. Czarodziej wzruszył tylko ramionami. — Ale...

nikt nie protestował? Na pewno studenci...

Za jej czasów byłoby inaczej. Studenci utworzyliby żywy łańcuch wokół drzewa i nie dopuściliby do niego nikogo postronnego. Obozowaliby wokół niego, dzień i noc. Oni...

Ponownie spojrzała na drzewo i poczuła, że coś zaczyna zaciskać się wokół jej serca — tak jakby ubrano ją w mokry skórzany kaftan, który właśnie zaczął wysychać i kurczyć się.

— To drzewo było przyjacielem Johna — powiedział czaro dziej. — Ostatnim przyjacielem, jakiego miałem. Miało tysiąc lat, a oni po prostu je ścięli.

Wendy spojrzała na niego z niedowierzaniem. „Tysiąc lat? Więc teraz zaczęliśmy przesadzać, tak?”

— Jego śmierć jest symbolem — ciągnął czarodziej. — Świat nie ma już czasu na opowieści.

— Chyba nie nadażam — wyjąkała Wendy.

Czarodziej odwrócił się do niej, a jego oczy połyskiwały dziwnym światłem spod brzegu kapelusza.

— To było Drzewo Opowieści. Niewiele ich teraz zostało, podobnie jak niewiele jest takich jak ja. Przechowywało opowieści; wszystkie te historie przyniesione przez wiatr, które miały jakąkolwiek wartość. I dzięki każdej zasłyszanej opowieści mogło rosnać.

— Przecież zawsze będą jakieś opowieści — odparła Wendy, mimowolnie zapalając się do dyskusji, choć nie rozumiała jeszcze, co ma ona wspólnego z zaistniałą sytuacją. — Obecnie publikuje się więcej książek, niż kiedykolwiek indziej w historii świata.

Czarodziej skrzywił się i ponownie wskazał kciukiem za siebie.

— Teraz mówisz jak tamten.

— Ale...

— Są opowieści i opowieści — przerwał jej. — Te mające jakąkolwiek wartość na zawsze odmienią twoje życie, choćby w nie wielkim stopniu. Kiedy raz je usłyszysz, pozostaną już częścią ciebie. Pielęgnujesz je, przekazujesz dalej i akt dawania sprawia, że czujesz się lepiej.

Inne są tylko słowami zapisanymi na stronie papieru.

Wiem o tym — obruszyła się Wendy. I rzeczywiście, na jakimś poziomie wiedziała, choć nigdy się nad tym nie zastanawiała. Zupełnie tak, jakby wiedza ta miała charakter instynktowny i zawsze była obecna wewnątrz niej, choć dopiero teraz skryształizowała się w postać świadomości.

Być może wywołały to słowa czarodzieja?

Wszystko sprowadza się teraz do maszyn — ciągnął czaro dziej. — To — jak to się mówi? —

świat technologii. Z całą pewnością fascynujący, ale Johnowi wydaje się, że prowadzi do wyobcowania ludzi i spłylenia ich doświadczeń. Nie ma miejsca dla znaczących opowieści, a to źle, historie są bowiem częścią języka snów; nie wyrastają z pisarza, ale z ludzi. Stają się głosem narodu albo nawet rasy. Bez nich ludzie tracą kontakt ze sobą.

— Mówisz o mitach — skomentowała Wendy. Czarodziej potrząsnął głową.

— Nie do końca. Nie w klasycznym rozumieniu tego słowa. Takie mity są jedynie częścią zbiorowej historii zgromadzonej przez Drzewo Opowieści. W świecie tak pesymistycznym, jak nasz, zbiorowa historia jest wszystkim, co pomaga ludziom brnąć przez za padający zmrok.

Pozwala mieć poczucie możliwości dokonania wyboru, stworzenia czegoś stałego z nicości.

Wendy poczuła, że zaczyna się gubić.

— O czym właściwie mówisz? — zapytała.

— Drzewo Opowieści jest aktem magii, aktem wiary. Fakt jego istnienia staje się potwierdzeniem władzy, jaką ludzki duch ma nad własnym przeznaczeniem. Historie są tylko historiami; bawią, śmieszą, smucą — ale jeśli mają jakąś wartość, to niosą w sobie głębszy sens, który będzie trwał jeszcze długo po tym, jak odwróci się i ostatnią stronę lub gdy narrator zakończy swą opowieść. Historia potrzebuje obu tych czynników, by była wartościowa.

Na chwilę umilkł, po czym dodał:

— W przeciwnym razie po prostu trwa dalej, ale już bez ciebie. Wendy spojrzała na niego pytająco.

— Czy wiesz, co oznacza zwrot „i od tej pory”?

— Tak mi się wydaje.

— To jedno z zakończeń opowieści; tych, które zaczynają się słowami „dawno, dawno temu”.

To taki koniec historii, po którym wszyscy idą do domu. To właśnie powiedziano na zakończenie opowieści, w której John brał udział, ale John nie uważał i został sam jak palec.

— Chyba nie rozumiem, o czym właściwie mówisz — powie działa Wendy.

„Nie rozumiem”? Dobre sobie. Rozumiała doskonale. Wszystko to było takie... może niezupełnie bzdurne, ale dziwaczne. I całkowicie pozbawione związku ze światem, jaki znała.

Najdziwniejsze jednak było to, jak jego słowa budziły w niej pewien oddźwięk. Echo, które sprawiało, że choć nie rozumiała go świadomie, coś wewnątrz niej wiedziało. Coś. Część skryta za

osobą, która zajmowała się codziennym biegiem rzeczy. Być może ta sama, która wydobywała z niej słowa wiersza i kazała je przelewać na papier; słowa, które nie istniały do tej pory. Ta jej część, która była czarodziejką.

— John zaopiekował się Drzewem Opowieści — ciągnął czarodziej. — Jako że John został

sam w swej własnej opowieści, pragnął upewnić się, że chociaż historie będą żyły dalej. Któregoś dnia zawędrował jednak za daleko — tak jak wtedy, gdy dobiegała kresu jego własna opowieść

— a gdy wrócił, Drzewo już odeszło. Kiedy wrócił, oni mu to zrobili.

Wendy milczała. Chociaż wyglądał przezabawnie odziany w swe jaskrawe ciuchy i otoczony bożonarodzeniową atmosferą, to w nagłej udreće, która pojawiła się w jego głosie, nie było nic, choćby najmniej śmiesznego.

— Przykro mi — powiedziała. I rzeczywiście było jej przykro. Nie tylko dlatego, że mu współczuła, ale też dlatego, że ona sama w pewien sposób kochała to stare drzewo. I — jak przypuszczała — podobnie jak czarodziej, również ona zawędrowała zbyt daleko.

— No cóż — powiedział czarodziej, wycierając nos w rękaw i patrząc w drugą stronę. — John chciał tylko, żebyś to zobaczyła.

Wsiadł na rower i pochylił się do przodu, by potargać Imbir między uszami. Kiedy odwrócił się do Wendy, jego oczy migotały niczym dwa kobaltowe płomyki.

— Wiedziałem, że zrozumiesz.

Zanim Wendy zdążyła odpowiedzieć, stanął na pedałach i podskakując na nierównościach gruntu, pomknął w dal, zostawiając ją samą na środku trawnika — ongiś tak dzikiego, teraz zniechęcającego i psującego humor. Nagle zauważyła, że na środku płaskiego pnia coś migocze.

W pierwszej chwili było to jedynie lekkim falowaniem powietrza, zupełnie jak w upalny dzień. Wendy postąpiła krok naprzód i zatrzymała się, gdy migotanie przybrało kształt młodej szczepki. Przed jej oczami rozegrał się spektakl jakby w przyspieszonym tempie; młode drzewko okryło się pączkami, wypuściło liście i rosło, a jego wzrost przypominał muzyczne rondo —

wspólny temat spinający dwie różne melodie. Tutaj tematem był wzrost, a skrajnymi melodiami

— malutka szczepka i majestatyczny behemot dorównujący wielkością temu, który rósł tu jeszcze niedawno. Kiedy osiągnął pełną wysokość, z jego korony, pnia, korzeni i każdego ząbkowanego liścia wystrzeliło światło.

Wendy patrzyła na to szeroko otwartymi oczami. W końcu zrobiła krok naprzód, wyciągając rękę. Gdy jej palce dotknęły jaśniejącego drzewa, rozpląnęło się ono jak mgła i znowu wszystkim, co pozostało, był nisko ucięty pień.

Widzenie, którego właśnie doświadczyła, w połączeniu z uciskiem w piersi i smutkiem, jaki zostawił za sobą czarodziej, przyoblekło się w słowa i przetoczyło po jej umyśle. Nie zapisała ich jednak. Mogła tylko stać i patrzeć na kikut drzewa — bardzo, bardzo długo — aż w końcu odwróciła się i odeszła.

Kawiarnia Kathryn znajdowała się przy Battersfield Road w południowym Crowsea, niedaleko od uniwersytetu, ale na drugim brzegu rzeki i wystarczająco daleko, by Wendy musiała biec, jeśli chciała zdążyć do pracy. Wendy miała wrażenie, że dwie godziny oddzielające moment, w którym poznała czarodzieja i początek jej zmiany, zniknęły jak w czarnej dziurze.

Spóźniła się do pracy — niewiele wprawdzie, ale widziała, że Jilly zdążyła już przyjąć zamówienia z dwóch stolików będących właściwie pod jej pieczęcią.

Wbiegła do łazienki i przebrała się z dzinsów w krótką czarną spódniczkę. Upchnęła w nią koszulkę, związała włosy w luźną kitkę, schowała plecak i zdjęła notes do zbierania zamówień z półeczki ukrytej za wieszakiem na ubrania.

— Wyglądasz na zmarnowaną — zauważyła Jilly, gdy Wendy wreszcie wbiegła do części jadalnej.

Jilly Coppercorn i Wendy mogłyby być bliźniaczkami. Obie były drobne, szczupłe i dość atrakcyjne, chociaż Jilly miała kręcone, ciemnobrązowe włosy — taki zresztą był naturalny kolor włosów Wendy. Obie pracowały w wolnym czasie jako kelnerki, oszczędzając energię na bardziej twórcze zajęcia: Jilly na swą sztukę, Wendy na poezję. Nie znały się do momentu wspólnego rozpoczęcia pracy w restauracji, ale już od pierwszej zmiany zostały przyjaciółkami.

— Czuję się trochę niepewnie — odparła Wendy na uwagę Jilly.

— Niepewnie? Widzisz tego gościa przy piątym stoliku? Już trzy razy zdążył zmienić zdanie.

Chyba postoję tutaj i poczekam z pięć minut, zanim zaniosę Frankowi ostatnie zamówienie — to na wypadek, gdyby znowu się rozmyślił.

— A potem będzie się skarżył na ślamazarność obsługi i zostawi mikroskopijny napiwek — zaśmiała się Wendy.

— Jeżeli w ogóle jakiś zostawi.

Wendy położyła dłoń na ramieniu Jilly. — Masz dzisiaj wolny wieczór?

Jilly skinęła głową.

— Co jest grane?

— Muszę z kimś pogadać.

— Jestem na twoje rozkazy — odparła Jilly i dygnęła dwornie, co pobudziło Wendy do chichotu, a

potem znowu spojrzała na piąty stolik. — A niech go, znowu na mnie macha.

— Daj mi jego zamówienie — zaproponowała Wendy. — Zajmę się nim.

Wieczór był tak piękny, że po zakończeniu zmiany obie dziewczyny postanowiły przejść się nieopodal restauracji. Po krótkim spacerze alejką doszły do trawnika opadającego ku rzece. Tam usiadły na niskim kamiennym murku, machając nogami nad leniwie toczącymi się wodami. W

nocnym powietrzu wisiał wręcz namacalny spokój. Dzięki jakiemś trikowi prądów powietrznych ruch uliczny z pobliskiej Battersfield Road docierał do nich jedynie jako stłumiony pomruk — tak, jakby pomiędzy miejscem, gdzie siedziały i normalnie ruchliwą ulicą, istniał

ekran akustyczny, znacznie skuteczniejszy w tej roli niż budynek, w którym pracowały.

— Pamiętasz, jak wyjechałyśmy na kemping? — spytała Wendy po dłuższej chwili przesiedzianej w przyjaznym milczeniu. — Tylko ty, ja i LaDonna. Pierwszą noc spędziłyśmy, opowiadając sobie historie o duchach.

— Pewnie — odparła Jilly ze śmiechem. — Cytowałaś nam kawałki Roberta Aickmana i takie tam różne — wszystkie z książek.

— A ty i LaDonna upierałyście się, że wasze były prawdziwe. Niezależnie od tego, jak przyciskałam was do muru, nie chciałyście przyznać, że były zmyślane.

— Bo nie były.

Wendy wspomniała LaDonnę opowiadającą o tym, że widziała Wielką Stopę w grobowcach oraz opowieści Jilly o gemmin, czymś w rodzaju duszka ziemnego, którego napotkała w tej samej części miasta, i o goblinowatych stworkach zamieszkujących podziemne ruiny starego miasta, znajdujące się obecnie poniżej tuneli metra w Newford. Odwróciła głowę, by spojrzeć na przyjaciółkę.

— Czy rzeczywiście wierzysz w historie, które mi opowiadałaś?

— Oczywiście — skinęła głową Jilly. Są prawdziwe. — Urwała i pochyliła się do Wendy, jak gdyby chciała odczytać wyraz jej twarzy w zapadającym zmroku. — Czemu? Stało się coś?

— Chyba przeżyłam własne bliskie spotkanie dziwnego stopnia. Dzisiaj po południu.

Jilly nie powiedziała nic, więc Wendy zrelacjonowała jej swe spotkanie z czarodziejem.

— To znaczy, wiem, dlaczego nazywają go czarodziejem. Sama widziałam, jak wyciągał

ludziom kwiaty z uszu — i parę innych estradowych sztuczek z jego repertuaru — ale to było coś innego. Przez cały czas, gdy z nim byłam, miałam wrażenie, że w powietrzu wisi magia.

Prawdziwa magia. Coś w rodzaju brzęczenia w powietrzu. A potem zobaczyłam... chyba mogę to nazwać wizją drzewa...

— Nie wiem, co o tym myśleć.

Przez cały czas trwania swojej przemowy Wendy patrzyła w dal, na drugi brzeg rzeki, teraz jednak odwróciła się do Jilly. — Kim on jest? A może powinnam spytać, c z y m on jest?

— Zawsze myślałam o nim jako o swoistej animie — zaczęła Jilly z wahaniem. — O

swobodnym kawałku mitu, który się zgubił, gdy inne mity szły tam, gdzie zwykle idą, gdy już się w nie nie wierzy.

— On sam mówił coś w tym stylu. Ale co to znaczy? Kim on jest tak naprawdę?

— Być może to, kim jest, nie jest tak istotne jak to, że w ogóle jest — wzruszyła ramionami Jilly. Na widok uniesionych brwi przyjaciółki dodała: — Chodzi mi o to, że tak naprawdę nie jest ważne, czy jest tym, za kogo się podaje, czy nie. Ważne jest to, że to mówi. I że wierzy w to, co mówi.

— Ale dlaczego?

— Bo jest tak, jak ci powiedział. Ludzie tracą kontakt ze sobą nawzajem i z samymi sobą.

Potrzebują opowieści, ponieważ to one są tym, co ich łączy. Plotki, anegdoty, kawały, historyjki

— wszystko to są rzeczy, które zwykliśmy wymieniać. Pozwalały na utrzymywanie kanałów komunikacyjnych w stanie otwartym i na regularne kontaktowanie się. O to samo chodzi w sztuce. Moje obrazy, twoje wiersze, książki Christy, muzyka Geordie — wszystko to są kanały komunikacyjne. Ale teraz trudniej utrzymać je w stanie otwartym, bo dla większości ludzi kontaktowanie się z telewizorem jest łatwiejsze niż z innym człowiekiem. Faszcerują się wszystkimi tymi informacjami, ale nie wiedzą, co z nimi zrobić. Kiedy z kimś rozmawiają, wszystko sprowadza się do powierzchni: siema, jak leci, ładna dziś pogoda. Jedyne opinie, jakie mają, to opinie ludzi z telewizji. Myślą, że są dobrze poinformowani, ale tak naprawdę powtarzają tylko kwestie komentatorów dziennika i prowadzących talk show. Nie umieją już słuchać prawdziwych ludzi.

— Wiem o tym wszystkim — zniecierpliwiła się Wendy. — Ale jaki ma to związek z tym, co czarodziej pokazał mi dziś po południu?

— Właśnie staram się powiedzieć ci, że to może być próba przywrócenia ważności dawnego systemu wartości.

— W porządku, ale co to ma wspólnego ze mną?

Jilly milczała przez dłuższą chwilę. Wpatrzyła się w ciemność za rzeką; tę samą, która tak przyciągała wzrok Wendy, gdy ta opowiadała o swym popołudniowym spotkaniu. Już dwukrotnie Wendy próbowała spytać, o czym myśli, ale rezygnowała. W końcu Jilly odwróciła się do niej.

— Może chce, byś zasadziła nowe drzewo.

— Przecież to głupie. Nie wiedziałabym, jak się do tego zabrać — westchnęła Wendy. — Nie jestem



nawet pewna, czy wierzę w to całe Drzewo Opowieści.

Ale nagle przypomniała sobie uczucie, które obudziły w niej słowa czarodzieja; owo wrażenie, że przypominał jej tylko o czymś, co wiedziała, lecz o czym zapomniała. No i ta wizja drzewa... Ponownie westchnęła.

— Dlaczego właśnie ja?

Jej słowa wydawały się skierowane do słuchającej ich nocy, a nie do jej towarzyszki, ale to właśnie Jilly udzieliła na nie odpowiedzi. Noc zachowała swe rady dla siebie.

— Teraz cię o coś zapytam — powiedziała Jilly — i chcę, byś nie zastanawiała się nad odpowiedzią. Podaj po prostu pierwsze skojarzenie, jakie przyjdzie ci do głowy — OK?

Wendy skinęła niepewnie.

— W porządku...

— Gdybyś mogła zażyczyć sobie czegoś i miało się to spełnić — cokolwiek miałoby to być, bez ograniczeń — co by to było?

Uświadomiwszy sobie stan, w jakim znajdował się świat, Wendy odpowiedziała bez wahania:

— Pokoju na świecie.

— O tym właśnie mówię.

— Nie rozumiem.

— Pytałaś, dlaczego czarodziej wybrał właśnie ciebie — i to jest powód. Większość ludzi zaczęłaby myśleć o tym, co przydałoby się im samym. No wiesz, tony szmalu albo nieśmiertelność — tego typu rzeczy.

— Przecież on nawet mnie nie zna — potrząsnęła głową Wendy.

Jilly wstała i podniosła Wendy na równe nogi.

— Chodź. Pokażesz mi to drzewo.

— Ale to tylko pień.

— Mimo wszystko.

Wendy nie wiedziała, dlaczego poczuła niechęć do tego pomysłu, ale podobnie jak wcześniej tego dnia, dała się zaprowadzić na teren uniwersytetu.

Nic się nie zmieniło — poza tym, że panująca wokół ciemność, w opinii Wendy, czyniła scenerię

jeszcze bardziej samotną i opuszczoną.

Obok niej stała milcząca Jilly. Postąpiła krok naprzód i przykucnęła przy pniu, wodząc po nim dłonią.

— Zdążyłam już zapomnieć, jak tu jest.

„Racja”, pomyślała Wendy. Jilly też chodziła do Butlera, podobnie jak ona sama; chyba nawet w tym samym czasie, choć wtedy jeszcze się nie znały. Przykucnęła obok niej i wzdygnęła się, gdy Jilly ujęła jej rękę i położyła ją na pniu.

— Słuchaj — szepnęła Jilly. — Można niemal usłyszeć ostatnie zamierające echo opowieści...

Wendy zadrzała, choć noc była ciepła. Jilly odwróciła się do niej, a błękitny blask gwiazd w jej oczach przypomniał Wendy oczy czarodzieja.

— Musisz to zrobić — powiedziała Jilly. — Musisz zasadzić nowe drzewo. To nie tylko czarodziej cię wybrał; zdaje się, że drzewo też.

Wendy nie była już pewna, co jest czym. Wszystko to wydawało się trochę bardziej niż odrobinę stuknięte, ale słuchając Jilly niemal mogła w to uwierzyć. Z drugiej strony na tym też polegał jeden z darów Jilly: mogła sprawić, że najbardziej dziwaczne rzeczy wydawały się normalne. Wendy nie była co prawda pewna, czy można to było nazwać darem... ale czymkolwiek to było, Jilly to miała.

— Może powinniśmy przekonać do tego Christy — zasugerowała. — W końcu jest pisarzem.

— Christy jest kochany — odparła Jilly — ale czasami większą uwagę zwraca na to, w jaki sposób coś mówi, niż na samą historię.

— No, ja wcale nie jestem lepsza. Potrafię godzinami siedzieć nad jedną zwrotką — ba, nad jedną linijką.

— Żeby wydać się mądrzejszą? — uśmiechnęła się Jilly.

— Nie. Po to, by brzmiały właściwie.

Jilly przejechała palcami po krótkiej szczecinie, która uchodziła tutaj za trawnik, znalazła coś i wcisnęła to Wendy w dłoń. Nawet nie patrząc, Wendy wiedziała, że to żołędź.

— Musisz to zrobić — powtórzyła Jilly. — Zasadź nowe Drzewo Opowieści i dokarmiaj je historiami. Wszystko zależy od ciebie.

Wendy przeniosła wzrok z rozplómiennionych oczu przyjaciółki na pień, wspominając rozmowę z czarodziejem i własną wizję drzewa. Powoli zacisnęła palce wokół żołędzia, czując, jak jego wypukłości wbijają się w jej skórę. „Może rzeczywiście wszystko zależy ode mnie”, pomyślała.

Wiersz, który przyszedł do niej tej samej nocy, gdy pożegnała się już z Jilly i wróciła do swojego

mieszkanca na Ferryside, pojawił się nagle, w pełni uformowany i skończony. Akt przepisania go na papier był czystą formalnością.

Później przez długi czas siedziała przy oknie, z pamiętnikiem na kolanach i żołędziem w ręku, turlając go na dłoni w tę i z powrotem. W końcu odłożyła jedno i drugie na parapet i weszła do kuchni, gdzie przez jakiś czas szukała czegoś z hałasem w szafce pod zlewem, by wynurzyć się z niej ze starą doniczką w ręku. Wyszła do ogrodu i napełniła ją ziemią — żyznym iłem, równie ciemnym i tajemniczym, jak to nieokreślone miejsce wewnątrz niej samej, źródło słów jej wierszy i dziwnego uczucia, które obudziły w niej słowa czarodzieja.

Po powrocie do kuchni usiadła z doniczką między kolanami, wydarła stronę z wierszem z pamiętnika, owinęła weń żołędź i wcisnęła całość głęboko w ziemię. Potem postawiła doniczkę na parapecie i podlewała siewkę tak długo, aż powierzchnia ziemi zrobiła się śliska i lepka. W

końcu poszła spać.

Tej nocy śniła o gemminach Jilly — smukłych ziemnych duszkach, które pojawiły się na podwórzu jej budynku i wpatrywały się w doniczkę stojącą na oknie. Rankiem wstała i opowiedziała żołędziowi swój sen.

Jesień przeszła w zimę, a życie Wendy toczyło się mniej więcej utartym torem. Na zmianę pracowała w restauracji i nad swoimi wierszami, widywała się z przyjaciółmi, wreszcie związała się z facetem poznanym na przyjęciu na poddaszu u Jilly, ale związek rozpadł się po miesiącu.

Życie toczyło się dalej.

Jedyna zmiana ogniskowała się wokół zawartości doniczki wciąż stojącej na jej parapecie.

Codziennie opowiadała małej roślince przepychającej się przez ciemną glebę wszystko, co wydarzyło się jej samej i wokół niej, tak jakby była ona jej kochankiem. Czasami czytała jej ulubione opowiadania ze zbiorów i antologii albo wybrane artykuły z gazet i magazynów.

Zadręczała przyjaciół o historyjki, czasem przekazując je roślince cichym, choć żywym głosem, czasem zmuszając ich, by przyszli i opowiedzieli je sami. Za wyjątkiem Jilly, LaDonny i dwóch braci Ridell, Geordie i Christy, większość ludzi uważała ją za lekko stukniętą. Nic poważnego, rzecz jasna... ale sami rozumiecie.

Wendy o to nie dbała.

Gdzieś tam w świecie istniały inne Drzewa Opowieści, ale — jeśli wierzyć czarodziejowi —

było ich niewiele. Wendy mu wierzyła. Nie miała dowodu, a jedynie wiarę, ale w jakiś dziwny sposób to jej wystarczyło. Teraz jednak wiedziała, że musi dopilnować, by jej mały wychowanek rozwijał się w spokoju.

Z nadejściem zimy ludzie ulicy gdzieś się pochowali. Być może schronili się w domach, jeśli jakieś mieli, a może wymigrowali do cieplejszych krajów jak jaskółki. Wendy wciąż jednak widywała

większość starych znajomych w ich stałych rewirach. Paperjack zniknął, ale pani od gołębi wciąż codziennie karmiła swych podopiecznych, a niemiecki kowboj wygłaszał swe bombastyczne monologi — choć obecnie najczęściej na peronach metra. Widywała również czarodzieja, ale nigdy nie znalazła się na tyle blisko niego, by go zagadnąć.

W chwili przyjscia wiosny ciemnozielona roślinka w doniczce osiągnęła już blisko stopę wysokości. W cieplejsze dni Wendy wystawiała ją na tylne schody, gdzie mogła zakosztować świeżego powietrza i złapać ciepło popołudniowego słońca. Ciągle jednak nie była pewna, co z nią zrobi, gdy ta wyrośnie z doniczki.

Chociaż miała kilka pomysłów. W parku Fitzhenry'ego był zakątek zwany Silenus Garden, poświęcony pamięci poety Joshuy Stanholda. Być może to byłoby właściwe miejsce dla sadzonki.

Pewnego dnia pod koniec kwietnia, gdy stała oparta o kierownicę swego dziesięciobiegowego roweru przed budynkiem biblioteki publicznej w południowym Crowsea i podziwiała kontrast żółtej plamy żonkili i szarego betonu budynku, poczuła, że zatrzymał się za nią znajomy czerwony rower. Odwróciła się i zobaczyła wesoły uśmiech czarodzieja.

— Wiosna, nieprawdaż — zauważył czarodziej. — Najwyższy czas zapomnieć o chłodzie i przechwałkach i pomyśleć o lecie. John czuje już, jak listki ruszają się w pączkach, jak kwiaty rozkwitają. Wielka radość w powietrzu dla wszystkiego, co rośnie.

Wendy pogłaskała Imbir po głowie i dopiero teraz spojrzała w jego wściekle niebieskie oczy.

— A co z Drzewem Opowieści? Czy potrafisz poczuć, jak ono rośnie?

Czarodziej uśmiechnął się od ucha do ucha.

— Przede wszystkim ono. — Urwał, poprawił rondo kapelusza i spojrzał na nią chytrze. —

Ten twój Stanhold. Dobry był z niego poeta — i dobry opowiadacz.

Wendy nie trudziła się pytaniem, skąd wiedział o jej pomysle. Zamiast tego odpowiedziała mu uśmiechem i spytała:

— Czy masz dla mnie jakąś historię?

Czarodziej przetarł jeden z guzików swej jasnoblękitnej kurtki.

— No cóż, chyba mam — odparł. Poklepał brązową sakwę przyczepioną do bagażnika. —

John ma tutaj termos pełen najlepszej herbaty, w tej właśnie torbie. Może byśmy sobie znaleźli jakąś wygodną ławkę i przy filiżance opowie ci o tym, jak zdobył swój rower?

Nie czekając na jej odpowiedź, popedałował w dół ulicy. Wendy zagapiła się na niego, zauważając małego teriera siedzącego na baczność w koszyku i oglądającego się na nią.

Powietrze brzęczało i szumiało tak, że chciało się jej śpiewać. Wiatr powiał zniechęca, łapiąc ją za włosy i zasłaniając oczy. Odgarniając je do tyłu, pomyślała o sadzonce tkwiącej w doniczce na tylnych schodach, o wietrze i o tym, że historie zbierały się już same, bez jej udziału.

Ale i tak chciała je usłyszeć.

Wskoczyła na rower i popędziła za czarodziejem.

*Dla J.R.R. Tolkiena:*

*niech jego własna gałąź drzewa żyje wiecznie.*

*Przełożył Sergiusz Kalinowski*

*Dennis L. McKiernan*

## **Dom Halflingów**

### **(The Halfling House)**

Tynvyr jadącą na lisie wysłaliśmy przodem, a cała reszta brnęła przez oślizgłą maź  
pokrywającą ulicę.

Uważaj, Fiz! — syknął ktoś, myślę, że to Marley. — Trzymaj swoje brudne skrzydła przy sobie!  
Omal nie wydłubałaś mi oka.

Słuchaj, Gnomie! — odparowała Fiz, jej srebrzysty głos brzmiał teraz jak stal. — To ty powinieneś  
trzymać swoje kaprawe oko z dala od moich skrzydeł.

Świetnie, po prostu świetnie. Oto jesteśmy w środku nocy w trakcie tajnej misji ratunkowej, a Gnom  
i Pixie już skaczą sobie do gardła.

Humorów nie poprawiał nam ohydny, wiszący w powietrzu fetor ścieków i zgnilizny, od którego  
robiło się mdło i zapierało dech. Gdziekolwiek się stanęło, wszędzie sączyła się stróżka smrodliwej  
cieczy, a my niezdarnie prześlizgiwaliśmy się po błocie i śluzie, wyczyniając wygibasy to na lewo,  
to na prawo, byleby tylko uchronić się przed upadkiem.

— Bork — dobiegł mnie z tyłu głos Fiz — wytłumacz mi jeszcze raz, dlaczego musimy paskudzić się  
w tym gnoju, zamiast przelecieć górą.

Nim zdążyłem odpowiedzieć, odezwał się Rafferty.

— Fiz, drogie dziewczę, powiadają, że temu wcielonemu diabłu służą skrzydlate stworzenia.

Krwio pijące nietoperze, tak mówią. W ciemności krążą gdzieś tam w górze. Cosik mi się widzi, że  
chętnie zatopiłyby zęby w takiej kruchutkiej delicji jak ty.

Jeśli informacje Rafferty'ego były prawdziwe, to Khassan rzeczywiście wysyłał nocne stworzenia na latające patrole. Musimy mieć się przed nimi na baczności, szczególnie jeśli są to sowy. Wielkie sowy.

Wystarczająco duże, by unieść każdego z nas w swoich szponach.

A jeśli sowy i nietoperze nas nie dopadną, to na pewno zrobią to szczury uliczne, które zaciągną nas do jakiejś ciemnej nory.

— Ouuu! — mruknął Marley, wdeptując w rów napełniony (fuj!) cuchnącą cieczą. — Nic nie widzę.

W końcu był Gnomem, a Magiczny Wzrok Gnomów, wśród wszystkich Małych Narodów, był chyba najgorszy. Oczywiście mój też nie był powodem do dumy, nie tak jak u Tynvyr czy Fiz.

Gdyby tylko wiatr przegnał chmury okrywające nocne niebo, tak by dotarło tu choć trochę światła gwiazd, albo jeszcze lepiej, żeby była bezchmurna noc, a na niebie księżyc w pełni, wtedy nie mielibyśmy najmniejszych problemów.

Niestety, noc była ciemna, niebo zakryte, a w czarnej jak smoła uliczce my: Pixie, Gnom, Leprechaun, Brąziutek... a gdzieś przed nami Pysk jadąca na lisie — przemykamy pomiędzy ruinami budynków wyłaniających się z ciemności, usiłujemy ukryć się przed sowami, nietoperzami i szczurami, z których każdy mógłby rozerwać nas na strzępy. No wiecie, gdy ma się trzydzieści lub sześćdziesiąt centymetrów wzrostu, takie stworzenia są śmiertelnymi wrogami.

A ta cuchnąca alejka w tę cuchnącą noc wydawała się pełna takich cuchnących zagrożeń. My zaś nie widzieliśmy niczego i nie wiedzieliśmy, dokąd zmierzamy i co tam będziemy robić, ani też czy jesteśmy na dobrej drodze.

Do diabła, nie wiedziałem nawet, kogo mamy ratować. Wydawało się, że gorzej już być nie może.

I wtedy właśnie usłyszeliśmy pomruk ulicznego kota polującego na coś do zjedzenia.

Niech to wszyscy diabli!

Wszystko to zaczęło się chyba wczoraj. Skończyłem właśnie miesiąc solidnej pracy przy łątaniu butów i postanowiłem zrobić sobie wakacje, bo właśnie nadarzyła się okazja. Otóż, w dolinę zawitał Dom Halflingów i wiedziałem, że będzie tu dość krótko. Ponieważ słyszałem, że jest to najlepszy sposób odbywania podróży i zwiedzania nowych, cudownych miejsc, postanowiłem wynająć w nim pokój, zanim zniknie wraz z całą gospodą.

Tak więc za dnia, gdy w pobliżu nie było sów, udałem się do doliny i oto w miejscu, które jeszcze tydzień temu było puste, teraz wznosił się Dom Halflingów.

Nikt nie potrafił mi wyjaśnić, w jaki sposób on się pojawia. Rudd i Meech, para skrzatów Bwca z obory — można by rzec, moi kuzyni — powiadają, że materializuje się on wprost z powietrza. Niestety, byli wtedy po kielichu, a któż uwierzy w świadectwo pijanego Bwca?

Inni powiadają, że Dom Halflingów wyłania się spod ziemi... i rzeczywiście, jego dach jest pokryty darnią.

W każdym razie pewnej nocy pojawił się on znikąd i jeśli wierzyć temu, co wieść niesie, to którejs nocy także zniknie.

Przynajmniej na to liczyłem.

Jeżeli plotki okażą się prawdziwe.

Jednak bez względu na to, czy pojawił się tu w godzinach nocnych czy też nie, faktem jest, że teraz stał tu, w dolinie, gdzie przedtem nie było niczego.

Przyjrzałem mu się dokładnie. Niektórzy powiedzieliby, że wygląda dość ciekawie, a zarazem swojsko i że świetnie pasuje w tej okolicy. Sądząc po rozmieszczeniu okien, składał się z prawie trzech kondygnacji, a szczyt nisko pochylonego dachu pokrytego darnią sięgał pewnie ze cztery i pół metra nad ziemię. Wynika z tego, że pomieszczenia wewnątrz mają jakieś półtora metra wysokości. Przy moim wzroście, czterdziestu pięciu centymetrów, to bardzo wysokie pokoje.

Rzeczywiście, wielkość gospody musiała być odpowiednia dla Halflingów, choć mówiono mi, że wszystkie Małe Narody są w niej mile widziane.

Gdy zbliżyłem się do małej zadaszonej werandy, zauważyłem, że choć okna tkwiące w białych, pokrytych sztukaterią ścianach wyglądają zwyczajnie, to jednak światło odbijające się od szyb wydaje się dziwne i nieco jaskrawe. Gdy podszedłem do okna obok drzwi i próbowałem przez nie zajrzeć, obraz wnętrza okazał się osobliwie zniekształcony, tak jakby szyby były zdeformowane, choć każda z nich wydawała się przejrzysta i gładka w dotyku.

Do domu prowadziły grube, dębowe, okute żelazem drzwi, wysokie na metr dwadzieścia.

Klamki umieszczono w nich na różnych wysokościach, jakby dla wygody Małych Narodów o różnym wzroście. Tablica umieszczona na środku drzwi głosiła: DOM HALFLINGÓW

SERDECZNIE WITAMY

wszystkie Halflingi i Małe Narody

Właściciel: Dando Thistledown

Tak więc byłem na miejscu.

Chwyciłem za klamkę, uniosłem rączkę i pchnąłem, szykując się do większego wysiłku, ale drzwi otworzyły się lekko i wszedłem do karczmy.

Jak większość tego typu budynków, od środka wydawał się on większy niż z zewnątrz.

Nie zdążyłem się jeszcze dobrze rozejrzeć, gdy podszedł do mnie jegomość o szpiczastych uszach —

wysoki Halfling o skośnych jak u Elfa i lśniących niczym klejnoty oczach. Och, ten to był pewnie dwa razy wyższy ode mnie, miał chyba metr wzrostu — prawdziwy drańgal.

Spojrzał na mnie z góry z tej swojej niebotycznej wysokości.

— Witam w Domu Halflingów. Nazywam się Dando Thistledown i jestem tu gospodarzem.

Czy chcesz wynająć pokój?

— Hm... — Rozejrzałem się wokół i zauważyłem jeszcze kilku innych dryblasów. Ale tu i tam dało się też dostrzec stworzenia mojego wzrostu, a nawet mniejsze. — Tak, wasza olbrzymiość, proszę o pokój. Oczywiście, jeżeli nie trzyma pan tu sów, bo w takim przypadku wychodzę.

— Ależ nie — mrugnął swymi błyszczącymi oczyma — żadnych sów ani kotów, szcurów, psów, nietoperzy, jastrzębi, łasic, kobr, mangust, mangęsi, ani nic w tym rodzaju. Ostatnim razem mieliśmy tu coś niebezpiecznego, gdy poleciliśmy na Wyspę Szmaragdową, a ten głupek zagonił olbrzymie stado węży wprost na nas. Rozpełzły się one po całym domu, bo Rafferty, uciekając przed nimi, zapomniał zamknąć drzwi. Musieliśmy polecieć do Islandii, gdzie zamroziliśmy je na kamień, potem na zachód na pustynię, gdzie łopatami wygarnęliśmy je wprost na pole kaktusów tak szybko, jak się tylko dało, zanim w upale ocknęły się i znów zaczęły grzechotać. O rety! Jak dotąd obawiałem się tylko sów, a tu ten Rozciągnięty opowiada mi o kotach, szcurach, psach, nietoperzach, jastrzębiach, łasicach, kobrach, mangustach, mangęsiach (cokolwiek miałyby to być, choć mogę sobie wyobrazić) i węzach, które pełzają i grzechoczą.

Teraz będę się lękał całego nowego panteonu bestii, które mogą dopaść mnie w ciemności.

Uważnym spojrzeniem omiotłem podłogę i zerknąłem pod meble.

— Ale teraz nie ma tu żadnych gadzin, prawda?

Znów mrugnął tymi swoimi lśniącymi oczyma i odniosłem wrażenie, że zachowuje się jak dziecko, które nie chce być przyłapane na kłamstwie.

— Ależ nie. Wszystkie się wyniosły, przysięgam.

Prawdę mówiąc, to gdzieś w mojej głowie tliła się iskierka wątpliwości, ale naprawdę potrzebowałem wakacyjnego wypoczynku.

— A zatem, wasza olbrzymiość, poproszę o pokój, posiłek i mocne piwo... tak, duży dzban mocnego piwa.

— Proszę zająć miejsce — ręką wskazał w kierunku pozostałych gości zgromadzonych przy jednym z kominków — a ja zaraz o wszystko zadbam. Odwrócił się, a gdy odchodził, usłyszałem cichutki grzechot, jakby ktoś potrząsnął tykwą napełnioną suchymi nasionami. Dando odskoczył

od mijanego właśnie kredensu, po czym oddalił się w pośpiechu.



Podchodząc do pozostałych gości, rozejrzałem się wokół. Zasłony przy oknach rozsunięto na boki, by wpuścić nieco słońca, ale wiedziałem, że wieczorem ciepłe, bursztynowe światło lamp i świec wraz z czerwonym blaskiem trzaskającego ognia, gdy będzie wymagała tego pogoda, wystarczająco oświetli to wnętrze. Tak na oko to pomieszczenie miało wysokość jakieś metr dwadzieścia. Meble, dość duże według moich standardów, były odpowiednie dla Halflingów.

Za moimi plecami znajdował się kominek, który nazwałem wschodnim. Przed nim stał długi, solidny stół. Drugi, mniejszy znajdował się bliżej środka pomieszczenia. Niewątpliwie biesiadujący tu tłumek mógł liczyć na świetną atmosferę wesołej, hałaśliwej karczmy.

Przed kominkiem zachodnim, ku któremu zmierzałem, stała miękka kanapa, a po obu jej stronach umieszczono kilka, wyglądających na wygodne, krzesel. W pomieszczeniu było jeszcze parę innych stołów otoczonych krzesłami, a przy ścianie północnej wesoło rozgościł się bar, w którym, jak miałem nadzieję, nie brakowało znakomitego piwa. W południowo-wschodnim rogu zauważyłem spiralne schody prowadzące na piętro, gdzie, jak przypuszczałem, znajdowały się pokoje gościnne.

Dołączyłem do grupy pozostałych gości. Wśród nich rozpoznałem Wróżki Pixie i Pysk, był

też Gnom i Leprechauna — Zielonek. Poza tym spostrzegłem jeszcze jednego Halflinga, innego niż Gospodarz Dando, ale jednak Halflinga. Korpulentny i, jeśli mogłem dobrze ocenić siedzącego, mierzący ponad metr dziesięć wzrostu. W przeciwieństwie do Dando nie miał

elfowatych uszu ani diamentowo lśniących oczu, ale w zamian za to miał olbrzymie owłosione stopy. Bose! Oparł je na stojącym przed nim podnóżku. Rety, co za giczoły! To była para największych kajaków, jakie moje oczy kiedykolwiek widziały. A widziały ich wiele, w końcu jestem szewcem. Gdybym robił dla niego buty, psiajucha, musiałbym zużyć całą krowią skórę.

— Jestem Fiz — usłyszałem głos tuż obok siebie.

Gwałtownie oderwałem zdumiony wzrok od tych nieprawdopodobnych stóp i stwierdziłem, że to Pixie do mnie przemówiła. Była bardzo drobna, mierzyła może ze trzydzieści centymetrów, a jej głowa, pokryta włosami w kolorze pszenicy, zaledwie sięgała mi do piersi, choć górna krawędź jej skrzydeł wystawała ponad moją głowę.

— Cześć, Fiz, miło cię poznać — odpowiedziałem. — Na imię mam Bork, jestem szewcem.

— Och, a ja duszkiem domowym, przynoszę radość dzieciom w rodzinie, którą się opiekuję.

— Jej uśmiech rozjaśnił całe pomieszczenie. — Teraz mam przerwę: dzieci już dorosły, ale wkrótce będą miały swoje dzieci, a wtedy wrócę do rodziny.

Och, jaka ona śliczna, ta Pixi. Czuję, że wpatruję się w nią, ona też to zauważyła i zaczerwieniła się pod moim spojrzeniem.

Wreszcie oderwałem wzrok od jej prześlicznego uśmiechu i spojrzałem na Gnoma.

— Bork na imię mam, na kopycie szewskim gram.

Gnom był nieco niższy ode mnie, liczył może czterdzieści centymetrów. Miał spiczasty kapelusz, jasną karnację i czarną brodę sięgającą do pasa. Spojrzał na moją wyciągniętą rękę z obrzydzeniem, jakby była czymś odrażającym.

— Czy to tymi rękami dotykasz brudnych butów? Brudnych butów noszonych na śmierdzących stopach? Stopach wszystkich bez wyjątku stworzeń, nawet tych, które przenoszą różne choroby? I ty chcesz, żebym ja, j a dotknął twojej ręki, uścisnął ją? Fuij!

— Och — zaprotestowałem — powinieneś wiedzieć, że...

— Słuchaj no — przerwał mi — czy ty przypadkiem nie jesteś jednym z tych fetyszystów stóp?

Szczęka mi opadła. W spojrzeniu Fiz pojawiło się przerażenie, odsunęła się ode mnie i przyklękła na dużej poduszce, chowając stopy pod siebie.

— Oj, chłopcze — odezwał się Leprechaun — nie zwracaj na niego uwagi. Juści czas, by nieco odsapnął na tych wakacjach. Zapewne coś mu się w głowie porobiło od tego ciągłego walenia młotem w dzień i noc. Zwą go Marley, a na mnie wołają Rafferty. Podróżuję ino po to, by dotrzymać staremu Marleyowi towarzystwa.

Czarnowłosy Rafferty przewyższał mnie wzrostem może o dwa centymetry. Jego ubranie utrzymane było w odcieniach zieleni, tak jak moje w odcieniach brązu. Lśniące czarne buty i pas miał ozdobione srebrnymi klamrami. Mocno uścisnął moją wyciągniętą rękę. Wydawało mi się, że w jego czarnych, czarnych oczach dostrzegam iskierki rozbawienia, choć nie byłem tego pewien, biorąc pod uwagę ciemność w jego spojrzeniu i wokół nas.

Zauważyłem Gospodarza Dando niosącego tacę z moim posiłkiem i dzbanek z piwem.

W tym jednak momencie podeszła do mnie Pysk. Gdyby nie brak skrzydeł, to mogłaby być bliźniaczą siostrą Fiz.

— Jestem Tynvyr z dalekiego kraju na zachodzie, a to jestj Rufous. — Obróciła się i krzyknęła: — Rufous — a wtedy zza kanapy, na której siedział Wielka Stopa, wyszedł on.

— Aaaa!!! — wrzasnąłem, odskakując w tył i wpadając na Gospodarza Dando. Wytrąciłem mu z rąk tacę. Naczynia i sztuce, gulasz, chleb i piwo poszybowały w powietrze, po czym gruchnęły, stuknęły, chlapnęły, plasnęły i polały się, rozbryzgując po całej podłodze.

— Ratuj mnie! — krzyknąłem, patrząc w oczy Dando, który poi utracie równowagi padał właśnie na plecy, pociągając mnie za sobą.

Gdzieś z oddali usłyszałem Gnoma wykrzykującego coś o brudnej, skażonej chorobami stawie, którą został ochlapany.

Dando chwycił przód mojej tuniki, przyciągnął mnie do swojej twarzy i zgrzytając zębami warknął:

— Przed czym mam cię ratować?

— Przed psem, głupcze! — odkrzyknąłem. — Mówiłeś, że nie ma tu psów, a właśnie jeden mnie atakuje! Zaraz chwyci mnie za, gardło i rozerwie mi żyły!

Dando stanął na nogi i nadal dierzząc w garści moją tunikę, podniósł mnie w górę.

— Patrz!

Spojrzałem.

No dobrze, może to nie był pies. Może był to rudy lis. I co z tego, że nie warczał i nie atakował? I co z tego, że tylko siedział, czekając z wywieszonym językiem? Mimo wszystko mógł rozerwać mnie na strzępy, mógł też skoczyć mi do gardła i przegryźć żyły. A poza tym naprawdę oblizywał się, spoglądając na mnie.

Spojrzałem na Tynvyr. Z niepewnym uśmiechem stała obok siedzącego lisa i uniesioną ręką mocno trzymała go za obrożę.

— Oswojony? — spytałem.

Skinęła głową, nadal uśmiechając się niepewnie, ale silnie go trzymając.

— Niegroźny?

Z przekonaniem przytaknęła głową, pociągając przy tym obrożę do tyłu, gdy lis zaczynał się wysuwać naprzód.

— Rufous?

Na usta jej wrócił nieśmiały uśmiech i skinęła głową. Rufous oblizwał się, przetykając ślinę.

Tynvyr uniosła rękę i klepnęła go po nosie. Lis spojrzał na nią z niezadowoleniem, ale się uspokoił. Przynajmniej przestał się oblizywać.

Nieco uspokojony spojrzałem w górę na metrowego Dando.

— No to puść mnie pan, panie olbrzymie.

— Chwileczkę, panie... — Dando przerwał, spoglądając w dół prosto na mnie.

— Bork — podsunąłem mu.

— ...panie Bork — ciągnął dalej — myślę, że będzie pan musiał zapłacić za to wszystko —

wykonał nieokreślony ruch ręką, wskazując na ogólne spustoszenie — posiłek, potłuczone naczynia i rozlane piwo. W końcu to pan na mnie wpadł.

— Powinieneś być mnie uprzedzić, że jest tu pies — powiedziałem z wyższością.

— To jest lis — odrzekł.

— Lis czy psis, powinieneś być mi o nim wspomnieć.

— Panie Bork, mówiłem już, że w tej karczmie nie ma niebezpiecznych stworzeń —

ukradkiem spojrział na szafkę w holu, skąd poprzednio dobiegało grzechotanie — wyraźnie podkreślałem, że nie ma tu sów, kotów, szczurów, psów, nietoperzy, jastrzębi, łasic, kobr, mangust i mangęsi.

— Dobrze, a co z grzechoczącymi wężami? — Nie wiedziałem dokładnie, co to jest grzechoczący wąż, ale...

— Nie, wszystkich się pozbyliśmy. Naprawdę, proszę pana. Nie ma tu nawet myszy.

Przerwał na chwilę i dorzucił:

— Coś panu powiem, płaci pan połowę i ja połowę, po równo.

Zacząłem się zastanawiać, obserwując przy tym lisa. Zwierzę oblizalo się z uśmiechem.

Wzdrygnąłem się.

— No i widzi pan? — zakrakał Dando, widząc, jak reaguję na Rufousa.

— Dobrze, już dobrze, wasza olbrzymiość, przekonałeś mnie.

Dando uśmiechnął się, po czym ruszył po wiadro, ścierkę i miotłę, oraz aby przynieść mi nowy posiłek.

— Kim on jest? — spytałem Rafferty'ego, spoglądając za oddalającym się Dando. — Uszy ma spiczaste, oczy skośne lśniące jak diamenty i wzrost Halflingów. Gdyby nie jego oczy i wzrost, powiedziałbym, że jest Elfem.

— No wiesz, chłopcze — powiedział Rafferty, wpatrując się jednocześnie w Marleya, który z zapamiętaniem drapał wierzch swojej dłoni, zaplamiony kropelką mojego gulaszu. — Dando to jest, jak by tu rzec, Skrzat Wojownik lub cosik w tym rodzaju. Bida, coby takiemu na łodcisk nastąpić, dyc zwłaszcza, gdy zły jako wilk.

Z tyłu dobiegł mnie głos:

— Są bardziej skłonni do przemocy niż moi bracia.

Obróciłem się. To odezwał się Wielka Stopa.

— My mieszkamy w małych wioskach — dodał — podobnie jak oni, ale my zwykle jemy, śpimy i pracujemy w naszych ogrodach, oni zaś polują, wypasają bydło, uprawiają rolę, używają łuków i strzał, a nawet zajmują się walką. Można powiedzieć, że są gwałtowni i żywiołowi. Choć podobni do Elfów, to żyją tylko jakieś sto dwadzieścia lat, podczas gdy Elfy, jeśli wierzyć baśniom, żyją wiecznie. Nie jestem pewien, czy ja w to wierzę, ale w czasie wszystkich moich podróży, wielu różnych poszukiwań i wielkich przygód, które przeżyłem, na wszystkich lądach i oceanach, w miastach i wioskach, w lasach, w labiryntach podziemnych jaskiń, w dworach i...

Gadał tak dalej i dalej, nie mogąc przestać. Mój posiłek został podany, zjedzony, a jego opowieść nadal snuła się jak okrężna droga wijąca się w nieskończoność. Było to jak nie kończące się tortury. Co chwilę skrobał coś w swoim pamiętniku, myślę, że notował to, o czym właśnie opowiadał. Gadu, gadu, gadu. Skrabu, skrabu, skrabu. Gadu, skrabu, gadu. Nigdy nie dowiedziałem się, jak miał na imię, wystarczy mi Wielka Stopa.

Nie zauważył nawet, że wszyscy wstaliśmy z miejsc i wyszliśmy, po prostu gadał i pisał, pisał i gadał, nie przestając ani na chwilę.

Może zamiast o butach dla Wielkiej Stopy, powinienem był pomyśleć o kneblu ze skóry całego wołu. Zdecydowałem, że jeśli do jutra nie przestanie, a jestem pewien, że nie, to się nad tym zastanowię.

Gdy odprowadzany przez wysokiego Skrzata Wojownika, tym razem kobietę (zdaje się, że zwą ją dammany), wchodziłem po kręconych schodach, by udać się do mojego pokoju, zobaczyłem, jak Dando rozciągnięty na podłodze, trzymając w jednej ręce kij a w drugiej jutowy worek, ostrożnie zagląda pod kredens, wtykając kij w miejsce, skąd dochodził przedtem odgłos grzechotania.

Następnego ranka, gdy zszedłem na dół, okazało się, że gospoda była — jakby to określić — gospoda była gdzie indziej.

Gdzie?... Nie mam pojęcia, choć ktoś wspomniał, że byliśmy w pobliżu Shire.

Wielkiej Stopy już z nami nie było. Kilka godzin temu, powiedziała mi Tynvyr, swoim kaczym chodem podreptał przez pola do własnego domu, a teraz w naszą stronę nadjeżdża jakiś straszny czarny jeździec i Dando jest strasznie zaniepokojony, i mamy tu prawdziwe piekło.

Dando zatrzaskał drzwi tuż przed nosem jeźdźca, obrócił coś w lewej ręce, okna rozbłysły i zaczęły się skrzyć, po czym zapadła ciemność, choć gdy ostatnim razem spoglądałem przez okno, był jasny dzień.

Dammany (kilka Skrzatów Wojowników płci żeńskiej) zapaliło latarnie i świece. Ale ja podszedłem do okna i osłaniając oczy przed światłem, spojrzałem na zewnątrz. Oczy prawie wyszły mi z orbit.

Tuż za szybami ujrzałem dziwne stwory o cyklopowych kształtach, wijące się obscenicznie w otaczającej je srogiej, nieziemskiej, lodowej próżni, a zimna, fosforyzująca poświata za nimi była kosmiczną i osobliwie odrażającą mieszaniną kolorów, które...

Z trudem oderwałem przerażony wzrok od widoku za szybą, zakreśliło mi się w głowie, i zataczając się na ugiętych nogach, doszedłem do najbliższego stołu i ciężko opadłem na miejsce obok Gnoma Marleya. Właśnie uskarżał się jak brudne są śnieżnobiałe ręczniki w pokoju, który dzielił z Raffertym. Spoglądał przy tym na Leprechauna jak na kupę śmieci.

Poza tym Marley wydawał się pochłonięty problemem dokąd spływają ścieki z toalet i skąd pobierana jest świeża woda. Przypuszczał bowiem, że jest to to samo miejsce.

Hej, dobre pytanie, pomyślałem, obserwując Rufousa. Patrzył na mnie, oblizując się i sprawdzając, czy Tynvyr to widzi (widziała). Skąd pobieramy świeżą wodę i gdzie spływają ścieki z toalet? Przecież gospoda nie ma własnej studni ani zbiornika na ścieki, a cały ten budynek lata jak wieczny potępieniec, nie wiadomo już jak długo.

Rafferty znał odpowiedź.

— Marley, chłopie, nie wiesz? To są czarodziejskie pompy. Ciągną wodę z zimnych, górskich strumyków z dalekiej krainy na zachodzie. Pewnikiem ktoś tam kiedyś osiadł i będzie ważył

najlepsze piwo na świecie, mówię wam. A co do toalet, one też są splukiwane w magiczny sposób, a ścieki trafiają na bagniste tereny w tej samej krainie. Tak, chłopcze, Dom Halflingów to twór potężnej magii, który może przenosić się tu i tam i, jak słyszałem, także pomiędzy

„wymiarami”, cokolwiek oznacza to słowo, bo ja nie mam zielonego pojęcia, czym te „wymiarzy” są. Ale jakby na to nie patrzeć, wiem na pewno, że Dom Halflingów przenosi się z miejsca na miejsce. Jak jest sterowany i jakie siły maczają w tym palce, by przenieść go z miejsca na miejsce, no juści, mam ja swoje przypuszczenia, ale zachowam je dla siebie.

No tak, magia — magiczne pompy, magiczne wygodki, w cudownej, magicznej, latającej gospodzie — powinienem był to wiedzieć. W końcu moje zezujące oczy wróciły do normy i spojrzałem na Fiz. Odpowiedziała mi spojrzeniem i ciaśniej owinęła koc wokół stóp.

Nagle rozległ się głuchy dźwięk i skrząca jasność za oknem zgasła, a przez zdeformowane szyby ponownie wpadło blade światło dnia.

— Gdzie my jesteśmy? — zapytała starsza z dammen, chyba połowica Dando. Była to prawdziwa Amazonka, o wzroście jakies dziewięćdziesiąt centymetrów.

— Nie wiem, Molly — odpowiedział Dando — nie miałem czasu na wybranie celu.

Molly wybuchnęła płaczem.

— Wszystko wygląda tak jak wtedy, gdy straciliśmy Tipa i Perry’ego. I nikt nie wie, gdzie oni teraz są.

Dando zwiesił głowę.

— Juści, ale nie miałem wyboru. Ten czarny jeździec...

— Tym razem czarny jeździec — lamentowała Molly — poprzednio czarny smok, a jeszcze wcześniej...

— Już, już dobrze — przerwał jej Dando, obejmując spojrzeniem całą naszą gromadę — nie ma powodu, by niepokoić naszych gości.

— A niech morowa zaraza pochłonie naszych gości — rzuciła Molly, aż Marley cofnął się przerażony, oglądając swe ręce i obmacując twarz. — Słuchaj, Dando Thistledown — ciągnęła dalej — wiem tylko tyle, że gdy ostatnim razem lecieliśmy, to był smok, i wylądowaliśmy, i on podpalił gospodę, i trzeba było pomalować nadpalony ganek, a Tip i Perry wyszli na zewnątrz trochę pomyszkować, i więcej już ich nie zobaczyliśmy.

— Już dobrze, Molly, uspokój się. Któregoś dnia odnajdziemy ich. W końcu przypomnę sobie, jak wtedy obróciłem... — Spojrzał przy tym na pierścień, który nosił na ręce.

Tynvyr stojąca obok mnie trzepnęła w nos lisa.

— Nie — syknęła ostro i lis przestał wpatrywać się we mnie i szczyryć kły, za to z niezadowoleniem położył się na podłodze.

— Tynvyr — szepnąłem — kim są Tip i Perry i czy naprawdę są tacy mali, że mogą dosiadać grzbietu myszy?

Tynvyr uśmiechnęła się i pokręciła głową.

— Nie — odpowiedziała również szeptem. — Tip jest ich synem, a Perry jego kuzynem.

Duża Molly wstała, prezentując swoje dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu i w końcu powstrzymała łzy.

— Tak, Dando, nie wiesz dokładnie, gdzie jesteśmy, ale możesz wysłać kogoś na zewnątrz, żeby się rozejrzył.

— Ależ Molly, nie powinienem opuszczać gospody. — Wymownie spojrzął na swój pierścień, a Molly kiwnęła głową. — I żadna z twoich dammen też nie. Pomyśl, co się właśnie wydarzyło, czarny jeździec i w ogóle to wszystko. Pozostaje nam więc... — Dando rozejrzył się wokół, obejmując wzrokiem Fiz, Marleya, Tynvyr, Roufousa, Rafferty'ego i mnie.

Rafferty westchnął głośno.

— Dobra, Dando, chłopieją pójdę. Ale pomnij, co się zdarzyło w starym Eire z węzami i tak dalej. Jeśli będę tu pędem wracał, to ktoś musi szybko chybcikiem zamknąć drzwi, bo znów napytamy se bity i słono za to zapłacimy.

Jeśli dobrze pamiętam, Rafferty'ego nie było przez dwa dni, po czym wrócił kompletnie pijany. Ubrany w worek z papieru. Cały pokryty był brudem.

Marley tylko raz spojrział na wybrudzonego nieszcześnika i z wrzaskiem rzucił się ku schodom, wskoczył do wanny i zaczął szorować się jak oszalały.

Nie jestem nawet pewien, czy zdjął przedtem ubranie.

Cała nasza reszta ruszyła ku Rafferty'emu, który po przekroczeniu progu gospody zwałił się na ziemię. Przez cały czas podśpiewywał coś, a jego oddech cuchnął winem. Od czasu do czasu udawało mi się wyłapać jakieś słowo w jego śpiewce — mówiła ona o kręgach z grzybów i kimś, kto tam tańczył.

Nie można było dopatrzeć się w jego bełkocie żadnego sensu, więc Dando wysłał Molly, by nawarzyła specjalnego czarniawego napoju z małych brązowych ziaren fasoli. Następnie wlali go litrami w gardło Rafferty'ego, który po chwili zaczął śpiewać z całych sił: *Gdy Wróżki płasają,*

*Czasem majtki zrzucają.*

— Podglądałeś nas! — krzyknęła Fiz i zwróciła się do Tynvyr: — On nas podglądał!

Tynvyr z oburzeniem zadarła nos, gwałtownie odwróciła się od pijanego Leprechauna i naprędce ściągnęła zimny kompres, który wcześniej przyłożyła mi do czoła.

— Chodź, Fiz, Rafferty Podglądacz nie zasługuje na naszą pomoc. — Rozgniewane Wróżki opuściły salę.

Kurczę, gdy tylko Rafferty wytrzeźwieje, to zaraz wyduszę z niego, gdzie dokładnie znajduje się ten grzybowy krąg.

Marley zszedł na dół dokładnie w momencie, gdy Rafferty zaczął wymiotować. Gnom z wrzaskiem popędził z powrotem do łazienki i znów dobiegły nas stamtąd lamentsy i odgłosy zapamiętałego szorowania. Z kolei Rafferty jęknął, po czym zapadł w sen.

— Umyjmy go i połóżmy na sofie. Trzeba poczekać, aż dojdzie do siebie.

Zrobiliśmy tak, okrywając Rafferty'ego kocem.

Zmierzchało już, gdy Rafferty przyszedł do siebie, i wtedy usłyszeliśmy, gdzie był i czego się dowiedział.

Szkoda, że nie było mnie gdzie indziej.

Ale właśnie byliśmy obok Rafferty'ego: ja, Fiz, Tynvyr z Rufousem, a także Marley — czysty jak łąza, choć jego skóra była prawie zupełnie zszorowana — wiecie, jak wyglądają ręce długo moczone w wodzie, otóż tak wyglądało całe ciało Marleya. Także Dando i Molly byli obecni.

W każdym razie, gdy Rufous — tylko dla spróbowania — polizał mnie, a Tynvyr przyłożyła mu za to klapsa, Rafferty gwałtownie usiadł, z jękiem złapał się za głowę i błędnym wzrokiem rozejrzał się dookoła.



Ujrzawszy Dando, krzyknął:

— Znalazłem ich! — Skrzywił się pod wpływem hałasu i dopiero po chwili dotarło co niego, że sam jest jego przyczyną. — Znalazłem ich — powtórzył, ale tym razem znacznie ciszej. —

Tip i Perry. Wiem, gdzie oni są.

Dando skoczył do przodu, chwycił Leprechauna za ramiona i potrząsając nim raz po raz, krzyknął:

— Mów, Rafferty! Gdzie?

Rafferty tylko pisnął i rękami chwycił swą pękającą głowę. Molly odsunęła Dando na bok.

— Gdzie oni są! — wrzasnęła wprost do ucha Rafferty'ego, łapiąc go przy tym za ramiona tak, jak robił to Dando. Nagle jednak, jakby przytłoczona tą wiadomością, zemdlona padła wprost na Dando.

Odzyskawszy swobodę, mimo trzeszczącej głowy, Rafferty przerzucił się przez oparcie kanapy, chroniąc się za nim przed obojgiem Halflingów.

— Słuchajcie mnie — zawołał do Dando, któremu udało się już stanąć na nogi — i przestańcie już grzmocić mój mózg. Powiem wam, wszystko wam powiem. Tylko dajcie mi święty spokój.

Dando pomógł Molly położyć się na kanapie. Do jej czoła przyłożył mokry kompres, ten sam, którego używał Rafferty. Potem zwrócił się do Leprechauna:

— Mów.

Rafferty obszedł koniec kanapy i wtedy nagle zorientował się...

— Jestem goły jak święty turecki! — krzyknął, łapiąc za koc i okrywając się nim.

Zaczerwienił się i odwrócił wzrok od Tynvyr i Fiz, które z trudem powstrzymywały śmiech, rękami zatykając sobie usta. Rafferty położył palec na swoich wargach i mruknął:

— Juści, teraz to ja pamiętam.

Przykrywszy się przyzwoicie kocem, usiadł i rozpoczął swoją opowieść:

— Wiesz, Dando, chłopie, widzi mi się, że chcąc umknąć przed czarnym jeźdźcem, obróciłeś pierścień w taki sam sposób jak wtedy, gdy uciekaliśmy przed smokiem i wróciliśmy w to samo miejsce, gdzie zgubiliśmy Tipa i Perry'ego.

Pierścień! A więc w taki sposób Dando kieruje lotem gospody. Ten sam pierścień, który właśnie usiłuje ukryć, wkładając ręce do kieszeni. A więc to pierścień trzyma w kieszeni.

— W każdym razie — kontynuował Rafferty — zali przez przypadek, czy też jakoby w chwili paniki, jeszcze raz udało ci się trafić w to miejsce. Oni są tutaj, w tym świecie, w tym złym mieście. W

pułapce. Pojmani. Uwięzieni.

Molly z trudem łapała powietrze, a Dando zazgrzytał zębami, ale milczał, pozwalając Rafferty'emu mówić dalej.

— Trzymają ich gdzieś w palarni opium w narkomańskiej melinie Żółty Mak. Właścicielem jest niejaki Khassan, który na boku handluje też żywym towarem, i jeśli wierzyć temu co ludziska o nim powiadają, a ja w to wierzę, jest to najbardziej nikczemna gadzina, jaką ziemia nosiła. Mówią, że tacy też są jego strażnicy, jak wieść niesie, psiekrwie, to węszą także pod ziemią i filują w powietrzu.

A co do Tipa i Perry'ego, to Khassan wystawił ich na sprzedaż za ogromną cenę. Nazywa ich „wyjątkowymi” ze względu na skrzące oczy, a w całym mieście setki myśliwych przeszukują wszystkie drogi i kąty, w których, jak sądzą, mogą jeszcze kryć się skrzaty z iskrzącymi oczami.

Bo wiecie, Khassan wyznaczył wysoką nagrodę za dostarczenie jeszcze innych skrzacookich karzełków.

Dowiedziałem się o tym od dwóch pijaczków leżących w alejce, którym widziało się, że jestem wytworem ich przepitych umysłów. Aby psiajuchy puściły parę z gęby, musiałem oczywiście od czasu do czasu pociągnąć łyczek z ich butelczyny trzymanej w papierowej torbie.

Tak, zanimem się opamiętał, ululałem się tym tanim wińskim. By kupić go więcej, sprzedaliśmy moje srebrne klamerki, a potem ubranie. A kiedy już wszystko diabli wzięli, klamerki, ubranie, pieniądze i wino, złapałem ten pusty papierowy worek i w nim dałem dyla do domu.

W oczach Dando coś błysnęło.

— Gdzie jest ten Żółty Mak?

Rafferty wyciągnął rękę, jakby chciał wcisnąć go z powrotem w siedzenie.

— Hola! Hola! Chyba nie masz zamiaru wybrać się po Tipa i Perry'ego. Czy zapomniałeś, że za takich z błyszczącymi ślepkami tam płacą brzęczącą monetą? O nie, stary druhu, ty z pewnością nie wyściubisz nosa z tej latającej oberży i nie ma dyskusji.

Dando zacisnął zęby z wściekłością i wtedy właśnie zrozumiałem, dlaczego ten naród uważany jest za niebezpieczny, gdy coś ich rozzłości.

— Jeśli nie ja i moi bracia, Rafferty — zazgrzytał zębami — to kto? Kto ich uratuje?

Wtedy to właśnie Rafferty spojrzał na Fiz, Marleya, Tynvyr, Rufousa i... i na mnie.

I teraz, ciemną nocą, jesteśmy tu, potykając się w mrocznej alei, ślizgając w nieczystościach i mule, uwięzieni pomiędzy wysokimi budynkami, z nietoperzami, szczurami, a może nawet sowami poszukującymi nocą zdobyczy, a gdzieś w ciemnościach skrada się kot. Poluje na nas.

Świetnie. Po prostu świetnie.

Zwierzę tak duże i dzikie jak kot, głodny kot, kot bezpański, może jednym szarpnięciem pazurami rozerwać każdego z nas na drobne strzępy.

Miauuuu.

Fiz krzyknęła, Marley drgnął, Rafferty pochylił się, a ja podskoczyłem. Sądząc po odgłosach, kot był tuż za nami. Spojrzałem w górę. Właściwie był nad nami. Czarny na czarnym tle, ciemność wśród ciemności. Z trudem dostrzegłem sylwetkę kota idącego po murze, zarysowaną na tle hebanowego nieba.

Poruszyło się.

To był on.

— Spójrzcie tam w górę — krzyknąłem, gdy nagle skoczył, lądując w alejce tuż przed nami.

Gdzieś blisko. Nie mogliśmy go dostrzec, ale słyszałem, jak skrada się tuż obok. Nagle usłyszałem więcej kocich kroków. Do diabła, jest ich więcej.

Miauuu!

— Widzę go! — krzyknęła Fiz. Z nas wszystkich ona miała najlepszy magiczny wzrok. —

Szykuje się do skoku.

— Ratuj się, kochanie! — wrzasnąłem. — Użyj swoich skrzydeł! Leć!

Przerażony i zagubiony obróciłem się, nie wiedząc, w którą stronę uciekać.

Nagle ulicę wypełniło warczenie, miauczenie i odgłosy walczących zwierząt, walczących kotów i... Rufous — to musi być Rufous. Po chwili usłyszałem wołanie Tynvyr.

Rety! To był Rufous. Zostaliśmy uratowani przez lisa.

Wydając gniewne pomruki, koty wielkimi susami przesadziły mur i zniknęły w ciemnościach.

Rafferty zapalił zapalniczkę i zobaczyliśmy Tynvyr i Rufousa. Lis stał na tylnych nogach, a przednimi opierał się o mur, za którym zniknęły koty. Bez namysłu podbiegłem i uściskałem go.

Obrócił się ku mnie, spojrzał i zaczął się oblizywać. Odskoczyłem w tył i wpadłem na coś miękkiego. Obróciłem się i stwierdziłem, że była to Fiz wpatrująca się we mnie z uwielbieniem.

Oho — ho.

— Powiedziałeś: kochanie — przymilnie zwróciła się do mnie Fiz. — Kazałeś mi się ratować i

nazwałś mnie swoim kochaniem.

W następnej chwili poczułem, jak tuli się do mnie, ramionami obejmując mnie w pasie.

Zerkając pomiędzy górnymi koniuszkami jej skrzydeł, ujrzałem uśmiechającego się Rafferty'ego, za nim stał Gnom Marley, który w świetle płonącej zapalniczki spoglądał na otaczający nas brud ulicy. Na jego twarzy malował się szok i obrzydzenie. Wyglądał, jakby miał zemdleć, ale powstrzymywała go obawa przed upadkiem w ten brud: cuchnące śmieci, wyrzucone odpadki, rozgnieciona czarna masa, a o pozostałych rzeczach jak szlam i ekskrementy lepiej nie wspominać.

Po chwili zapalniczka zgasła i znów cała aleja pogrążyła się w ciemności. Czułem tylko gorący oddech Rufousa na mojej szyi i ślinę kapiącą mi za kołnierz.

— Jakieś trzysta metrów dalej — w ciemnościach rozległ się głos Tynvyr — skróćcie za róg i będzie już jaśniej. Świecą tam latarnie ustawione przed Żółtym Makiem. Cała posesja jest otoczona poręcznym płotem z kutego żelaza i patrolowana przez strażnika z takim dużym psem. Drugi strażnik stoi przy wejściu i wpuszcza gości. Wszyscy są ludźmi. Każdy z nas mógłby łatwo prześlizgnąć się pomiędzy prętami ogrodzenia, nawet Rufous, choć on musiałby się nieco przeciskać. Jednak w budzie na tyłach domu są jeszcze inne psy i z pewnością zaalarmują wartownika, gdy ktoś obcy wejdzie z tyłu. Gdyby nie krwiopijcze nietoperze, to Fiz mogłaby przefrunąć górą, i — nie, Bork, odpowiem, zanim zapytasz — nie latają tam żadne sowy.

Budynek Żółtego Maku jest dość duży, wznosi się na jakieś dwie i pół lub trzy kondygnacje takie jak u ludzi — od ziemi do szczytu dachu mierzy prawie dziewięć metrów. Szerokość oceniłem na jakieś osiemnaście, dwadzieścia metrów, a długość na trzydzieści metrów. Jakim cudem taki budynek znalazł się w bocznej alejce — nie mam pojęcia. Od frontu znajdują się drzwi, a od tyłu jeszcze jedne. Klamki umieszczone są na wysokości dogodnej dla ludzi.

Okna okratowano, ale wyglądają na zabite deskami. Moglibyśmy wejść z góry przez kominy, ale niestety, unosi się z nich dym. Według mnie, z tymi strażnikami, psami, deskami w oknach i ogniem płonącym w kominkach będzie ciężko, jeśli w ogóle możliwe, dostać się do środka.

Chodziło pewnie o to, by zabezpieczyć się przed kradzieżą narkotyków. Tak więc, Rafferty, wygląda na to, że w końcu będziemy musieli zastosować jeden z naszych zapasowych nów.

Rafferty zapalił kolejną zapalniczkę, a Tynvyr odciągnęła Rufous od mojej oślinionej szyi. Lis, choć winny, wcale nie wyglądał na skruszonego.

Fiz nadal obejmowała mnie ramionami i coraz bardziej się do mnie przymilała, ale cała moja uwaga była poświęcona naszej misji.

Który plan, mój czy Marleya? — spytałem. Według mojego udajemy trupę wędrownych aktorów, a w planie Marleya przedstawiamy się tym ludziom jako szukający zatrudnienia kopacze rowów, i dokładnie rzecz biorąc — mali kopacze rowów.

Może gdybyśmy na rękach mieli odciski — rzekł Marley, oglądając swoje dłonie w migającym

światle zapałki — to wybór i byłby oczywisty. A tak, to na dwoje babka wróżyła.

Spojrzeliliśmy wszyscy na Marleya, którego nieoficjalnie uważaliśmy za naszego przywódcę, i czekaliśmy na jego decyzję. Przez chwilę patrzył na płonąca zapałkę, po czym uniósł wzrok, szeroko rozłożył ramiona, a twarz rozjaśnił mu promienny uśmiech. Lekko potrząsnął głową i powiedział:

— Kukuryku, moi mili! Czas na przedstawienie.

Tak więc śpiewając na całe gardła, pomaszrowaliśmy w kierunku zapalonych latarni wprost do strażnika stojącego przed wejściem do Żółtego Maku. Ten gapił się na nas wytrzeszczonymi oczyma.

Wprowadzono nas do dużego holu, w którym unosiła się błękitna mgiełka, a powietrze nasycone było mdłym, słodkawym zapachem. Na szczęście niżej, bliżej podłogi, na wysokości naszych głów, ta mgiełka była nieco rzadsza.

Była tu czarnowłosa recepcjonistka, myślę, że człowiek, choć oczy miała skośne jak u Elfa.

Jej cera miała odcień ziemisty, czy też żółty — z powodu tych oparów trudno było rozstrzygnąć.

Na nasz widok szeroko otworzyła oczy. Rafferty wyjaśnił jej, że stanowimy Wędrowny Super —

Show Profesora Marvela (nigdy się nie dowiem, skąd wziął tę nazwę), a on sam jest profesorem Marvelem, i że przybyliśmy tu dać przedstawienie, hmm... za niewielką opłatą oczywiście, hmm...

Recepcjonistka poprowadziła nas po spiralnych schodach na pierwsze piętro.

Minęliśmy dwa lub trzy pomieszczenia, do niektórych drzwi były otwarte, i w środku ujrzeliliśmy — Fiz sapnęła — nagich ludzi leżących na małych satynowych prześcieradłach i jedwabnych poduszkach rozłożonych na podłodze, którą pokrywał gruby dywan utkany w geometryczne wzory. Ludzie ci wydawali się pogrążeni w transie, pochłonięci jakimiś wewnętrznymi wizjami. Minęliśmy te pokoje, przeszliśmy przez następne drzwi i stanęliśmy przed ostatnimi, które były zamknięte.

Recepcjonistka zapukała cicho.

— Czego chcesz? — usłyszeliśmy głos z dziwnym akcentem.

— Panie, powinieneś zobaczyć, kogo tu mamy.

Czekaliśmy przez chwilę, gdy nagle drzwi gwałtownie się otworzyły.

— Kto?

Pytający był mężczyzną, czarnowłosym, czarnookim, o śniadej cerze. Jego lewy policzek przecinała blizna. Jak na człowieka był bardzo szczupły, miał długie palce u rąk. Myślę, że liczył

sobie około metra osiemdziesięciu centymetrów wzrostu. Potwór, czterokrotnie wyższy ode mnie. To znaczy, jak na Skrzata mierzącego czterdzieści pięć centymetrów, to jestem całkiem duży, ale ten

facet był prawdziwym wielkoludem.

— Kto? — powtórzył.

Kiedy nasza recepcjonistka wskazała ręką w dół, cofnął się wyraźnie zaskoczony. Gdy Rafferty, hmm... profesor Marvel objaśnił kim jesteśmy, na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech. Zaprosił nas do swojego pokoju, by obejrzeć próbę przedstawienia i omówić wysokość naszego honorarium. Polecił strażniczce wezwać Draka i jego ludzi, aby stanowili publiczność.

Do diabła, to będzie łatwiejsze, niż się wydawało. W pełni udało nam się go podejść.

Piętnaście minut później ciągnęli nas po schodach w dół prosto do piwnicy i przez ukryte drzwi wrzucili do celi. Towarzyszyły temu przekleństwa Draka na „tego cholernego gryzącego lisa”.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nami drzwi, Marley obrócił się ku mnie i warknął:

— Widzisz? Mówiłem, że mój plan jest lepszy. Ale czyż jego wysokość pan Showbiznes w ogóle kieruje się logiką? Ależ skąd — powiada — oni nigdy nie uwierzą, że kopujemy rowy. A wędrowni artyści? — tak, w ten sposób zamydlimy im oczy. Wiesz co, Bork? Daliśmy im najlepsze przedstawienie, jakie kiedykolwiek widziało to miasto, i dokąd nas to doprowadziło?

Do celi. Właśnie tu. Do tej nędznej celi wypełnionej — po raz pierwszy rozejrzał się wokół i zbladł — zgniłym — pociągnął nosem — cuchnącym pleśnią brudnym sianem.

Marley zrobił kilka kroków, unosząc wysoko nogi, próbując w ten sposób uniknąć kontaktu z podłogą i zajrzał do jednego z dwóch kubłów umieszczonych po przeciwnych stronach celi.

Jeden z nich zawierał prawdopodobnie wodę do picia, a drugi pełnił funkcję toalety.

Marley zajrzał do jednego z nich i pisnął, zataczając się w tył, wyciągnął przed siebie rękę, jakby bronił się przed tym, co zobaczył. Po chwili zajrzał do drugiego kubła i znowu wrzasnął.

— W którym z nich jest chochla? — zapytałem. — W ten sposób odróżnimy, który do czego służy.

Marley zatkał dłonią usta, starając się powstrzymać przed torsjami, jakby wiedział, że tego widoku już nie zniesie.

Rufous przysiadł i zaczął energicznie drapać się za uchem.

— Musimy się stąd wydostać — odezwała się Tynvyr. W jej głosie słychać było rozpacz.

Teraz Rufous z wściekłością drapał się po szyi.

Fiz spojrzała na mnie z uwielbieniem, po czym zwróciła się do Tynvyr.

— Nie martw się. Już Bork coś wymyśli.

Całe to uwielbienie z powodu jednego chłapięcia językiem.

Rufous zaczął kasać się u nasady ogona, usiłując wyłapać coś w swojej sierści. Dzięki niebiosom za Rufousa, bez niego całe to robactwo wlaźłoby na nas.

— Sza! — uciszył nas Rafferty, przykładając ucho do ściany w celi. — Słyszę jakieś głosy.

Wszyscyśmy się tam rzucili, nadstawiając uszu.

— Heja, spójrz na tego robala, Perry, macha nogami do tyłu. Hej! Siano z tej strony cuchnie bardziej niż z tamtej. Rety! Widać słoje na deskach w drzwiach. Ten wygląda jak twój nos, a tamten jak twój...

— Zamknij się, Tip, po prostu się zamknij, do diabła. Pracuję teraz nad nowym planem ucieczki, a ty nie dajesz mi myśleć. Twoje gadanie doprowadza mnie do szału, więc zamknij się.

— Kurczę, Perry, pewnie że się zamknę. Nie znam nikogo, kto by się lepiej ode mnie zamykał. Tippy na imię mam i w zamykanie się dobrze gram. Nawet nie pisnę. Ani ciut, ciut. Ani trochę, proszę pana. Perry opracowuje plan ucieczki numer cztery tysiące pięćset pięćdziesiąt trzy i potrzebuje absolutnej ciszy, a ja z pewnością mu ją zapewnię. W końcu...

— Zamknij się!

Oderwałem ucho od ściany i spojrzałem dookoła, na naszą celę, na kamienne mury nie do pokonania, na zamknięte drzwi z grubego masywnego drewna, na gnijące, zarobaczywione i cuchnące siano i na kubły na wodę i odchody, których nie sposób odróżnić. Zostaliśmy schwytani przez handlarza żywym towarem i uwięzieni w sekretnym pomieszczeniu pod narkomańską meliną. Ale w celi przylegającej do naszej odnaleźliśmy tych, których przybyliśmy tu ratować.

Nareszcie sukces!

Rafferty chodził po celi tam i z powrotem.

— Juści trza by nam jaki plan ucieczki — powiedział — bo cosik mi się widzi, że tu będzie kiepsko.

Spojrzałem na niego.

— Poszedłbym na układy nawet z Demonami, byleby się wydostać.

Fiz przesłała mi promienny uśmiech.

— Och, Bork, ja wiedziałam, że ty opracujesz dobry plan.

— Hę? — To była cała moja inteligentna odpowiedź, bo usłyszeliśmy chrobot otwieranych drzwi.

To był Drak. Był wysoki jak wieża. Mierzył jakieś metr osiemdziesiąt wzrostu i spoglądał na nas z góry, ssąc swoją dłoń w miejscu, gdzie ugryzł go Rufous. Dark nie wyglądał jak typowy człowiek,

tak, jakby miał w sobie domieszkę krwi Goblina czy Trolla. To jest oczywiście niemożliwe, bo z Goblinami i Trollami zadają się tylko Gobliny i Trolle. Jednak mogłem się mylić, bo za Drakiem wtoczyli się niezgrabnie inni strażnicy, podobnie jak on goblinoidzi.

— Pilnuj swojego psa — warknął do Tynvyr, nie spuszczaający przy tym oczu z Rufousa, ale lis był zbyt zajęty drapaniem się i iskaniem własnej sierści, by nawet zauważyć Draka.

— Panie Drak... — zaczął Marley.

— Zamknij się! — warknął Drak, obrzucając wściekłym spojrzeniem najpierw jego, a potem wszystkich pozostałych. — Czas, cobyśta zarobili na swoje utrzymanie. Nie będziem karmić darmozjadów. Szef kce wiedzieć i jo tys, kaj sie zwiecie i w jakiej robocie żeśta wprawieni.

— Nazywam się Marley i jestem kopaczem rowów — powiedział Marley, spoglądając na mnie z tryumfem w oczach. Pokiwałem smętnie głową, wiedząc, że przyjdzie mu żałować tych słów.

— Kopacz rowów, taa? — parsknął Drak. — Właśnie mamy dla cie robotę.

Spojrzał groźnie na mnie.

— Następny!

— Bork. Łatacz obuwia — powiedziałem.

Jeden po drugim podawaliśmy swoje imiona i zawody: Fiz, duszek domowy; Rafferty, barman; Tynvyr i Rufous, łapacze szczurów.

Cały dzień spędziłem, naprawiając buty i łamiąc sobie głowę nad planem ucieczki. Jednak za każdym razem, gdy wpadłem na jakiś pomysł, jego realizacja wymagała umiejętności, których nie posiadamy, albo był do niczego, albo też przygotowania trwałyby całe lata, albo wreszcie któreś z nas mogłoby zginąć. Cóż mogę na to poradzić? Nie każdy jest mistrzem ucieczek.

Później, gdy wróciłem do celi, zastałem tam już Tynvyr i drapiącego się Rufousa. Jedną dobrą rzecz mogę powiedzieć o insektach. Odwracają całą uwagę Rufousa ode mnie. Ale mimo wszystko żal mi było lisa, który według mnie zaczynał wyglądać nieco parszywie.

Zanim zdołaliśmy zamienić z Tynvyr jedno czy dwa słowa, strażnik ze zgrzytem otworzył

drzwi i wleciała Fiz, prosto w moim kierunku i jeszcze przed wylądowaniem zdołała musnąć ustami mój policzek.

Gdy tylko zamknęły się drzwi, powiedziała:

— Byłam na górze, rozmawiałam z dywanami i przygotowywałam wszystko do przeprowadzenia twojego planu.

Mojego planu? Rozmawiała z dywanami? Tej Pixie naprawdę coś się pomieszało w głowie.



Spojrzałem na Tynvyr. Nieznacznie wzruszyła ramionami i przesłała mi spojrzenie mówiące: A niby skąd ja mam wiedzieć?

— Jak minął dzień, kochanie? — Fiz spytała jak żona, spoglądając na mnie.

— W wydziale ucieczek niezbyt produktywnie, chociaż udało mi się wykraść to... — Spod fartucha wyjąłem szewskie szydło.

Fiz pisnęła i wyrwała mi je z rąk.

— Och, jaki ty jesteś sprytny! — Jeszcze raz cmoknęła mnie w policzek. — To znakomicie nadaje się do rozplątywania węzłów na dywanach.

Znów usłyszeliśmy chrobot otwieranych drzwi, Fiz ukryła szydło i do celi wpadł Rafferty wrzucony przez strażników goblinoidów. Do diabła! Pijany, zwałił się na ziemię, śpiewając o Płasających Wrózkach, znowu.

Goblinoidy chciały już zamykać drzwi, gdy ktoś krzyknął i do celi wszedł skomlący Marley, od stóp do głów okryty ludzkimi odchodami. Zagonili go do opróżniania wychodków.

— Co za piekielna dziura — mruknąłem, zaciągając Rafferty'ego do kąta i ułożyłem go na miękkiej słomie.

— Gorsza, niż ci się wydaje — powiedziała Tynvyr. — Rufous i ja łowiliśmy szczury tam na górze. Na całym parterze stoją w rzędach jedno-, dwu- i trzypiętrowe łóżka. Leżą na nich ludzie palący narkotyki, nosami wciągają prochy, wbijają sobie w żyły igły i połykają jakieś tabletki.

Potem padają na swoje łóżka i uśmiechają się bez wyrazu, niewidzącymi oczyma wpatrują się w swoje wnętrza. Ich opuszczone dusze gubią się w niepamiętnych marzeniach o raj, a w tym czasie personel w spokoju i ciszy wędruje pomiędzy tymi nieszczęśnikami, przynosząc im jeszcze więcej opium, by podsycać ich nieugaszone pragnienia. Przez cały czas napływają nowi straceńcy rozglądający się za pustym łóżkiem. Tak, jakby nie widzieli, albo nie chcieli widzieć tych, którzy trzęsą się i drżą, żebrząc o więcej, tych, którzy oferują, że zrobią wszystko, byleby dostać działkę, tych, którzy wyniszczają się, wybierając narkotyki zamiast strawy, jakby woleli pogрузić się w narkotycznym śnie, niż zachować zdrowy umysł i ciało. Jakimiż głupcami są ci, którzy w ogóle zaczęli tego używać, i jakże ohydny jest Żółty Mak.

Słyszając opowieść Tynvyr, Fiz wzruszyła ramionami.

— To okropne, ale tam gdzie mnie wysłali, też było strasznie. Pracowałam na pierwszym piętrze w Pokojach Zakazanych Iluzji. Jest tam pięć pomieszczeń, każde wyłożone grubym dywanem, na którym porzucano jedwabne poduszki. Przychodzą tam ludzie, jeden za drugim i zrzucają całe swoje ubranie, zarówno kobiety jak i mężczyźni. Moja praca polegała na przydzielaniu im małych satynowych prześcieradeł, na których układali się na ziemi.

Każdy człowiek, który już się położył, powoli zaczyna tracić świadomość i wpada w pajęczynę czarów; jego oczy stają się bez wyrazu, a następnie zamykają się, powieki zaczynają drżeć, w miarę

jak gałki oczne uciekają to w lewo, to w prawo, z ust wypływa ślina, a oddech jest ciężki, urywany. Na skórę występuje pot, aż całe ciało staje się mokre i śliskie. Potem na ich twarzach pojawia się wyraz najwyższej ekstazy, całe ciało napina się, drży, by po chwili zwiotczeć, znieruchomieć i człowiek traci przytomność. Oj, Bork, niektórzy z nich zupełnie przestają kontrolować fizjologię swojego ciała, a ja z innymi pracownikami musiałam potem po nich sprzątać.

Ci, którzy pracują tu najdłużej, mówią, że amatorzy zakazanych iluzji kończą w ten sam sposób: powoli tracą zainteresowanie normalnym światem, stają się apatyczni i tracą motywację do życia. Rzeczywistość i radość znajdują jedynie pośród jedwabnych poduszek i satynowych prześcieradeł w tych pokojach wyłożonych grubymi dywanami na piętrze w Żółtym Maku.

I wiecie co? Oni nawet nie wiedzą, co tu się naprawdę dzieje. Myślę, że to dlatego, że nie mają Magicznego Wzroku. Bo wiecie, ich dusze są powoli zjadane. Po kawałku, w czasie każdej wizyty fragment duszy oddawany jest w zamian za iluzję. Kawałek po kawałku, każdy traci swoją duszę, aż w końcu nic nie pozostaje. Widzicie, Demony ukryte w każdym z dywanów, od których oni są uzależnieni, w końcu zjadają je całe i...

Rafferty zaczął wymiotować. Marley, z żalnym kwileniem przysunął się, ciągnąc za sobą jeden z kubłów i zamierzał właśnie gołymi rękami posprzątać to, co zwrócił Rafferty. Tynvyr i ja powstrzymaliśmy go, zawłókszy go z powrotem do kąta. Spoglądał na nas błędnym wzrokiem, cały czas szlochając. To, co właściciele Żółtego Maku uczynili biednemu gnomowi, było niewybaczalne.

Opowieści Tynvyr i Fiz o tym, co dzieje się w melinie na górze, przekonały mnie, że Khassann i jego pomagierzy muszą zapłacić za swoje zbrodnie. Ogarnął mnie niepohamowany gniew na czystą głupotę wszystkich tych, którzy uzależniają się od narkotyków, iluzji, alkoholu, palenia czy czegokolwiek. I dotyczy to nie tylko nałogów ludzi, ale wszystkich — Halflingów, Hobbitów, Warrowsów. To spotyka także Skrzaty, nawet... Leprechauny.

Spojrzałem na Gnoma Marleya. Siedział w kącie i trzęsąc się, łkał. Do diabła! Musimy się jakoś wydostać z tego piekła!

Następnego dnia nastąpił wielki przełom, gdy Fiz perfekcyjnie wykonała mój plan, choć omal wszyscy nie przypłaciliśmy tego życiem. O co chodzi? — zapytasz. Nie wiedziałeś, drogi czytelniku, że mam plan? Witaj więc w klubie, przyjacielu, bo ja też nie wiedziałem.

A było to tak.

Rozległ się skrzyp otwieranych drzwi i jak zwykle pojawił się Drak.

— Wyłazić, hołoto! — wrzasnął. — Czas zabrać się do łatania skóry, łapania szcurów, opieki nad amatorami dywanów i opróżniania wychodków. A ty, Rafferty, już nie będziesz stał za barem. Teraz też będziesz wygarniał gówna.

Wszyscy zerwaliśmy się na równe nogi, Marley już nieco wydobrażał, Rafferty wciąż trzymał się za głowę. Zaczęliśmy wychodzić. Fiz leciała górą.

— Oj, kapitanie! — krzyknął nagle jeden ze strażników goblinoidów i wskazał ręką na Fiz. —

Ona ma jakąś broń.

Spojrzałem na nią. Fiz trzymała szydło. Wtedy zrobiło się piekło.

Fiz jak strzała rzuciła się w kierunku otwartych drzwi, uchylając się przed uderzeniami strażników. Rufous warcząc, zaatakował Draka. Lisie zęby zatopiły się w udzie wrzeszczącego goblinoida, który upadł na ziemię, kurczowo ściskając mocno krwawiącą nogę. Tynvyr ruszyła do przodu i wskoczyła na szalejącego lisa jak na konia, a Marley trzasnął Draka kubłem w głowę, rozłupując ją jak zepsute jajo.

Razem z Raffertym pobiegłem ku sąsiedniej celi. Wdrapałem się na jego ramiona, podniosłem z haków sztabę zamykającą drzwi i spuściłem ją na podłogę. Razem otworzyliśmy drewniane odrzwia.

Ujrzałem dwóch wpatrujących się w nas Warrowów. Byli to Tip i Perry, choć nie wiedziałem, który jest który.

— Rafferty! — zawołali jednogłośnie.

— Co tak stoita kiejby dwie fujary? — wrzasnął Rafferty. — Nigdyśta włamu do więzienia nie widzieli?

Obaj wypadli z celi, Perry w biegu pochwycił z ziemi sztabę od drzwi i zadał nią miazdzący cios w kolano nadbiegającego goblinoida, który z wyciem zwałił się na podłogę, gdzie dopadł go Marley ze swoim śmiercionośnym kubłem.

— Bork! — usłyszałem krzyk i ujrzałem Tynvyr i Rufousa wpadających na mnie. — Wskakuj z tyłu! Musimy pomóc Fiz!

Wskoczyłem na Rufousa i ruszyliśmy ku wyjściu, lawirując pomiędzy tupiącymi i depczącymi nogami. Za nami Tip z mieczem Draka, Perry dzierżący sztabę, Rafferty z pałką odebraną powalonemu wrogowi, a Marley ze śmiercionośnym kubłem walczyli z pozostałymi strażnikami.

Ale dwóch goblinoidów, krzycząc na całe gardła, ruszyło w pościg za mną, Tynvyr i Rufousem.

Wpadliśmy na schody, Rufous pokonywał po trzy stopnie na raz, a goblinoidy tuż za nami.

Przemknęliśmy z piwnicy na parter, potem przez cały korytarz ku schodom wiodącym na piętro, wtórowały nam pokrzykiwania Tynvyr: Heja! Heja! Za nami dudniły kroki strażników wzywających posiłki, ale nawet nie zwolniliśmy, by sprawdzić, czy pomoc nadchodzi.

Drugie spiralne schody lis pokonywał już z większym trudem. W końcu dźwigał podwójny ciężar i nie był przyzwyczajony do jeźdźców o mojej masie. Mimo to udało nam się dotrzeć na piętro przed strażnikami, przy wtórze okrzyków Tynvyr i odgłosów ścigających nas goblinoidów.

Na uginających się nogach Rufous przemierzył całą długość korytarza i dotarł do Pokojów

Zakazanych Iluzji. Mijając kolejne drzwi, zaglądaliśmy do środka. Za trzecimi mignęła mi Fiz.

— Stop! — krzyknęła Tynvyr. Lis zapałł się przednimi łapami i przysiadł na zadzie, wpadł w poślizg i koziółkując, wyrzucił mnie w górę. Młóćąc powietrze rękami i nogami jak cepem, przeleciałem trzy metry i gruchnąłem o ścianę. Kręciło mi się w głowie, ale jakoś się pozbierałem. Goblinoidzi nadal nas ścigali. Rufous i Tynvyr — wciąż na jego grzbiecie —

cofnęli się ku drzwiom, za którymi widzieliśmy Fiz, a ja rzuciłem się za nimi. Wpadliśmy do pokoju tuż przed naszymi prześladowcami.

W środku była Fiz, a po przeciwnej stronie pokoju Khassan na klęczkach z płaczem błagał ją:

— Nie! Proszę, nie rób tego!

A Fiz, z moim sztyłem w ręku, pochylała się nad brzegiem dywanu.

Co się dzieje?

— Nie! — wrzasnął Khassan. — Pozwolę wam odejść! Uwolnię was wszystkich! Tylko, proszę, nie rób tego! On wyjdzie na zewnątrz!

Za nami zadudniły kroki goniących. Strażnicy!

— Nie, nieee! — krzyczał Khassan.

Spojrzałem na dywan. Z trudem udało mi się dojrzeć coś ukrytego głęboko za jego wzorami.

Mój kiepski Magiczny Wzrok, jakże słaby w porównaniu ze wzrokiem Fiz, pozwolił mi jedynie odróżnić wielką twarz wyglądającą zza geometrycznej faktury, ciemnoczerwoną twarz o oczach żółtych jak u węża, z chytrymi ustami, w których tkwiły lśniące kły, była to twarz...

Klik!

Ten ledwie słyszalny dźwięk rozległ się, gdy Fiz przerwała obszycie dywanu!

Rrruummm!

Jak eksplozja, z dywanu zaczęła wydobywać się gwałtownie pęczniejąca forma. Rosła w górę, przebiła sufit, otwierając Żółty Mak jak zgniłego melona i wystawiła całe to mroczne ohydztwo na słońce. Był to potężny Demon, który wyrósł jak góra, upiornie chichotał i krzyczał:

— Wolny! Wolny!

Wokół nas rozległ się huk walących się ścian, a spomiędzy szczątków, w górę wystrzeliły płomienie.

— Fiz! Uciekaj stąd! Użyj skrzydeł! Leć! — krzyknąłem, rzucając się ku najbliższym, choć zrujnowanym schodom, tym od frontu.

— Bork! — Kolejny raz Tynvyr z Rufousem przyszedli mi z pomocą. Od tyłu wskoczyłem na lisa, który pomknął jak wszyscy diabli. Uciekający Khassan i jego strażnicy wyrwali do przodu.

Wtedy to z góry pojawiła się ogromna dłoń, pochwyciła wrzeszczącego Khassana i uniosła go wysoko w powietrze. Usłyszeliśmy chrzęst jakby rozgniatanego robaka i krzyk Khassana nagle się urwał.

Pędziliśmy w dół. Rufous przeskakiwał z jednego fragmentu schodów na drugi, sadząc susy pomiędzy kupkami gruzów, przelatując nad wyrwami, aż zapierało mi dech w piersiach.

Wiedziałem, że ani ja, ani Tynvyr nie poradziłibyśmy sobie bez lisa. Frontowa ściana budynku była rozerwana i pomknęliśmy wprost na ulicę. Za nami buchnęły płomienie.

— Hej! — usłyszeliśmy wołanie i z ruin wyskoczyli Tip z Perrym, Rafferty i Gnom Marley, który nadal dzierżył swój śmiertcionośny kubeł. A z góry nadleciała Fiz.

Ponad wszystkim górował wielki, sięgający aż po niebo Demon. Z jego zaciśniętej ręki wyciekała czerwona maź. Śmiał się przeraźliwie, szaleńczo, a w jego żółtych zmijowatych oczach widać było obłęd. Sięgnął ręką w dół pomiędzy płomienie pochłaniające ruinę i unióśł

jakiś przedmiot. Był to kolejny dywan. Wyciągnął z niego nić i oto pojawił się następny gigantyczny Demon sięgający nieba. Wkrótce jeszcze trzy Demony zostały uwolnione i teraz było ich już razem pięć. Spojrzały jeden na drugiego i wybuchnęły szaleńczym śmiechem. Nagle, jak jeden mąż rozbiegły się na różne strony, po czym stanęły w pięciu równo oddalonych od siebie punktach na obwodzie miasta.

Rafferty spojrzał na nie i rzekł drżącym głosem:

— Święci pańscy, ratujcie, taż oni w pięciu punktach pentagramu.

W tym momencie wzdłuż pięciokątnej sieci pomiędzy Demonami z trzaskiem przepłynął

ładunek brunatnej energii. I my w tym byliśmy wraz z całym grzesznym miastem pod ciemnobrązowym słońcem, a na siarczanożółtym niebie właśnie wschodził czarny księżyc.

— Neddra, Neddra — zawyły Demony i wtedy zrozumiałem, że w jakiś sposób całe miasto zostało przeniesione do Królestwa Piekielnego. Przez bezkresne, pokryte pyłem obszary, mijając zbiorniki bulgocącej lawy, maszerowały wielkie, szalejące hordy: Legiony Żywych Trupów.

Trafiliśmy do Piekła.

Byliśmy w Piekle.

Otaczało nas Piekło.

I pędziliśmy z piekielną prędkością.

Tuż za nami podążały mamroczące trupy, oślinione ujadające zwłoki o czarnych kłach, wysokie, sztywno poruszające się kościotrupy, żółtookie i płetwonogie wyjce, hebanowoczarne widma i inne stwory zbyt ohydne, by je tu opisywać. Obok nas po ulicy przemknęły rydwany zaprzężone w piekielne rumaki. Wiozły one upiory, które wyjąć, wymachiwały wyszczerbionymi lancami, a do kół przymocowane były olbrzymie obracające się ostrza. Zmieniając gwałtownie kierunek jazdy, upiory próbowały nadziać nas i kogo się tylko dało na te wirujące narzędzia śmierci. Jednak nam udało się uskoczyć i pomknęliśmy do przodu, wyprzedziliśmy je i popędziliśmy na złamanie karku, byle tylko dotrzeć do Domu Halflingów.

Naszej ucieczce towarzyszyły olbrzymie eksplozje wstrząsające miastem, doprowadzające je do ruiny, budynki rozpadały się, a w kierunku żółtozielonego nieba strzelały rubinowe płomienie.

Tłumy ludzi biegały chaotycznie to tu, to tam. Wśród nich byli krzyżący narkomani i niewolnicy, ich sadystyczni strażnicy, stręczyciele, złodzieje, łotry, bandyci, rabusie, włamywacze, wszyscy mieszkańcy tego miasta, każdy nikczemny gatunek, cała jego populacja, a wśród nich i my uciekaliśmy przed drapieżnymi Hordami Piekielnymi.

Śmierć deptała nam po piętach, ale w końcu ujrzelśmy nasz cel: Dom Halflingów.

Mknąc jak strzały, pokonaliśmy ostatni kawałek kamienistej drogi, Fiz leciała górą, potem ganek i z hukiem wpadliśmy do środka, na końcu zostawiając Rafferty'ego, po czym wskoczyliśmy pod stół, krzyżąc:

— Dando! Startuj! Lećmy! Wróg! Uciekajmy!

Dando obrócił swój pierścień. Nic się nie wydarzyło.

— Drzwi, Rafferty — krzyknął. — Zamknij drzwi!

Ja byłem najbliżej, więc rzuciłem się ku nim, w chwili, gdy do wejścia zbliżył się olbrzymi wyjący potwór o trupiej głowie i szponiastych dłoniach, wyrzucając w górę fontanny ziemi.

— RRRRRUUUUUMMMM! — Już miał się wedrzeć, lecz wtedy właśnie zatrzasnąłem drzwi.

Tym razem, gdy dammany zapaliły świece i lampy, nawet nie próbowałem wyglądać przez iskrzące okna, wiedząc, co widok za nimi może uczynić z moimi oczami. Zamiast tego relaksowałem się na kanapie, delikatnie głaskając stopy Fiz, jej cudowne maleńkie stopy, a w moich łędźwiach pulsowała żądza.

Prawie wszyscy zebraliśmy się w dużej sali, zmęczeni, wyczerpani, z trudem łapiąc oddech.

Jedynie Marley, zabrawszy swój śmiercionośny kubeł, poszedł na górę do łazienki, skąd dobiegały odgłosy szaleńczego szorowania.

Molly i Dando ze łzami w oczach przeżywali odzyskanie Tipa i Perry'ego, a Rafferty cmokał

wargami nad dzbanem mocnego piwa. Fiz opowiadała wszystkim, jak to ona i ja ujrzelśmy Demony

ukryte w dywanach już pierwszego dnia, gdy mijaliśmy Pokoje Zakazanych Iluzji, idąc na spotkanie z Khassanem, i jak to w celi wymyśliłem sprytny sposób, by poradzić sobie z Demonem. W trakcie swojej opowieści Fiz wpatrywała się we mnie z uwielbieniem i przesyłała mi promienne uśmiechy.

Nie wiem, czy kiedykolwiek wyznam jej prawdę.

Gdy Marley powrócił na dół — skóra zdarta do kości, a kubeł nadal w ręku — Tynvyr pożyczyla skądś trochę płynu przeciw pchłom i poprowadziła Rufousa ku schodom. Lis stawał co chwila, by móc się podrapać. Pomyślałem, że po tej kąpieli znów zacznie na mnie zerkać i oblizywać się ze smakiem. No cóż, poradzę sobie z tym we właściwym czasie.

Siedziałem i pogrążony w myślach powoli zaczynałem się odprężyć. Pomyślałem, że jeśli ktoś mi powie: „Wolę już iść do piekła” — to mogę mu odpowiedzieć: „Byłem tam i wierz mi, że wcale tego nie chcesz”.

Moje myśli przerwał cichy dźwięk.

— Co to za grzechotanie?

Dando skoczył na nogi i obrócił się szybko ku mnie.

— Nic! Niczego tu nie ma. Żadnych sów, kotów, szcurów, nietoperzy, jastrzębi, łasic, kobr, mangust, mangęsi, czy czegokolwiek w tym rodzaju. I żadnych grzechotników. Nic! Nie ma mowy. I z pewnością żadnych myszy. Wszystkie zniknęły.

Nagle wylądowaliśmy z lekkim plaśnięciem. Iskrzenie okien ustało, a przez szyby wdarło się nieprzyjemne ciemnonawendowe światło. Rafferty spojrział na fioletową poświatę i zapytał:

— Dando chłopie, a kaj my tera som?

Dando chrząknął i wzruszył ramionami.

— Hm, jeśli o to chodzi, hm, to widzisz, nie jestem pewien. Ten olbrzym z trupią głową, który się zbliżał i to wszystko... nie było czasu na wybór celu podróży.

Wtedy właśnie na zewnątrz rozległ się ryk.

Dom Halflingów zatrzęsł się w posadach.

Frontowe drzwi otworzyły się z trzaskiem.

Do środka wdarło się fioletowe światło.

Ktoś krzyknął...

*Przełożyła Barbara Stachnik*

## **Srebro czy złoto**

### **(Silver or Gold)**

Sierp Księżycyca z brodą opartą na dłoniach siedziała przy kominku, jedynym miejscu w izbie, gdzie nie zawadzała. Chciałaby robić coś więcej, jednak przychodziły jej na myśl wyłącznie rzeczy nie przynoszące wielkiego pożytku i na ogół nie licujące z jej godnością. Obserwowała Sowę, która dreptała tu i tam po glinianej polepie, co chwila wchodziła do izby, po czym z niej wychodziła, by zniknąć w spiżarni lub komórce. Za każdym razem jej ręce były pełne: niosła czyste ubrania, ser, suszony szczaw, drewnianą szkatułkę, wełniany płaszcz. Jej okrągła, różowa twarz marszczyła się nieco i Księżyc wiedziała, że Sowa przebiega w myśli listę potrzebnych rzeczy.

— Nie zdołasz spakować tego wszystkiego — odezwała się Księżyc.

— Ty byś nie zdołała — odrzekła Sowa. — Ja jednak mam pięćdziesiąt lat więcej praktyki.

Pamiętaj, aby zaprawić dynie w słoikach, zanim je tu przyniesiesz, inaczej zimą nie będziesz miała do jedzenia nic oprócz cebuli. A jeśli wiewiórki znów zagnieżdżą się na dachu, jest zakłęcie...

— Mówiłaś mi — westchnęła Księżyc, przesuwając się nieco, by ogień ogrzewał teraz inną część jej pleców. — Jeśli je zapomnę, zawsze mogę odszukać w książce. Naprawdę niemądrze robisz, wyjeżdżając o tej porze. Za tydzień może spaść śnieg.

— W takim razie będę szła w śniegu. Ale to jeszcze za wcześnie. Jeszcze z miesiąc. — Sowa owinęła trzy kamienne słoiczki we flanelę i włożyła je do wiklinowego kosza.

Księżyc otworzyła usta i powiedziała to, od czego starała się powstrzymać przez ostatnie trzy dni:

— On zaginął przed nocą świętojańską. Dlaczego dopiero teraz idziesz go szukać? Dlaczego w ogóle idziesz?

Sowa wyprostowała się i spojrzała na nią surowo.

— Powinnaś wiedzieć, że mam obowiązki.

— Wobec niego?

— Jest księciem Królestwa Dębu.

Księżyc wstała. Była wyższa od Sowy, ale pod jej przenikliwym spojrzeniem czuła się mała i przysadzista. Nachmurzyła się, żeby to ukryć.

— A my mieszkamy w Królestwie Dębu. Jak setki, tysiące ludzi. Wielu z nich jest czarodziejami. Oni jednak nie ruszyli w świat, jak stado młodszych synów.



Kiedy Sowa się uśmiechała, zmarszczki na jej twarzy pogłębiały się. Teraz właśnie tak się stało.

— Po pierwsze, młodszy synowie nie wyruszają w świat stadami. Po drugie — wszystkie czarodziejki, które można nazwać tym mianem, już próbowały go odnaleźć dostępnymi im sposobami. Wszystkie oprócz mnie. Ja nie robiłam nic, gdyż chciałam najpierw się upewnić, że sobie beze mnie poradysz.

Księżyc stała przez chwilę nieruchomo, zastanawiając się nad tym, co usłyszała. W końcu energicznie usiadła i splotła palce wokół kolan.

— Och — powiedziała na pół z westchnieniem, na pół ze śmiechem. — To nieuczciwe.

Dostałaś mnie poprzez moją dumę!

— Tak, kotku, masz jej naprawdę dużo. Muszę iść, wiesz o tym. Nie utrudniaj mi.

— Chciałabym ci jakoś pomóc — odezwała się Księżyc po chwili.

— Oczekuję, że będziesz robić to, co trzeba — za siebie i za mnie. Czy to nie dosyć? — Sowa wygładziła materiał przykrywający kosz i mocno ścisnęła sznurek wokół niego.

— Wiesz, że nie. Czy nie mogę iść z tobą?

Sowa stopą wysunęła stołek spod stołu i usiadła na nim z rękami na kolanach.

— Kiedy podróżuję duchem, zanosząc Babci prośby, ty także nie możesz iść ze mną — powiedziała.

— Oczywiście, że nie. Inaczej kto uderzałby w bęben, aby pokazać ci drogę powrotną?

Sowa rozpromieniła się.

— Mądre dziecko. Otwórz szafkę nad kominkiem i przynieś mi to, co tam znajdziesz.

Księżyc znalazła bębenek. Nie był to szeroki, niski bęben podróżny z krowiej skóry, o dźwięku przenikającym do szpiku kości i pod palcami Księżycyca brzmiącym jak uderzenia serca, docierającym do miejsca, gdzie nie rozbrzmiewał żaden głos. Ten bębenek miał kształt cylindra nie większego od kwartowego garnka. Wykonano go z białego drewna i obciągnięto delikatną skórą, na której przy wiązaniach pozostawiono kępki miękkiej, jasnej sierści. Bębenek miał z boku rzemienną pętlę do trzymania i zatknietą za nią pałeczkę o główce obciągniętej skórą.

Księżyc potrząsnęła głową.

— Jego dźwięk jest za cichy, by sprowadzić cię do domu nawet spod pompy, nie mówiąc już o... dokąd ty właściwie idziesz?

— Tam, dokąd będą musiała. Podaj mi go.

Księżyc przyniosła bębenek. Sowa ujęła go za pętlę i raz uderzyła w skórę. Rozległ się ostry, dźwięczny głos, przypominający stukanie dzięcioła.

Drewno pochodzi z jesionu zasadzonego w godzinie mojego urodzenia, skóra zaś z owcy urodzonej tego samego dnia. Wychowałam owcę i podlewałam drzewo, a w dzień moich szesnastych urodzin zażądałam ich życia, one zaś oddały je chętnie. Nieważne, jak daleko odejdę, głos bębenka mnie dosięgnie. Jeśli nie będę mogła go usłyszeć, przestanie dźwięczeć.

— Wyjdę jutro o świcie — ciągnęła Sowa. — Jutro o zmierzchu, kiedy ostatnie promienie słońca sięgną linii Wzgórz Niezwyczajaj, i co wieczór o tej porze, uderz raz w bębenek, tak jak to zrobiłam przed chwilą.

Księżyc była nieco zaskoczona powagą Sowy, jednak opanowała się i powtórzyła:

— Każdego dnia o zachodzie. Raz. Będę pamiętać.

— Hm. Dobrze. — Sowa wyprostowała się, jakby powaga była szalem, który można z siebie zrzucić. — Jutro zawsze nadchodzi zbyt szybko. Czas uspić ogień.

— Przyniosę rzeczy z ogrodu — powiedziała Księżyc. Narzuciła na siebie płaszcz i wyszła z izby w noc.

Jej imiennik już był na niebie i świecił jasnym światłem. Jeśli Sowa będzie musiała podróżować nocą, będzie miała oświetloną drogę. Jednak będzie to zimna podróż; szron okrył

białym jak talk nalotem liście drzew, winorośl i wysypaną żwirem ścieżkę. Księżyc zadrżała i westchnęła.

— Jaki jest sens posiadania młodej, sprawnej uczennicy, jeśli nie wykorzystuje się jej zdolności? — wymruczała do lekkiego powiewu. Wiatr uniósł jej słowa w ciemność.

Zerwała żółty złocień i inne zioła rosnące na osłoniętej grządce. Kiedy wróciła do chaty, spostrzegła, iż Sowa już nakarmiła ogień i pogrzebaczem ułożyła polana. Księżyc nalała wody do miski i wrzuciła do niej kwiaty.

— Poczycielu, broń nas przed nocy ciemnością — powiedziała Sowa do ognia, jak zawsze, jakby zwracała się do starego przyjaciela. Mówiąc, mieszała palcami wodę. — Pomocniku, co duszę i serce karmisz radością, chroń i czuwaj, niech żadna iskra nie wstanie, dopóki słońce nie obejmie znów ziemi w posiadanie.

Odblask ognia zalśnił na pooranej zmarszczkami twarzy Sowy, odbił się żółtawo w jej ciemnych, przenikliwych oczach, a siwe włosy zabarwił na kolor kości słoniowej. „Jutro wieczorem — pomyślała Księżyc — już jej tu nie będzie. Będę tylko ja”. Wierzyła w to tylko połową umysłu — tą, w której przechowywała rzeczy jeszcze nie sprawdzone. Reszta jej osoby

— mózg, płuca i podeszwy stóp — zaprzeczała tej wiedzy.

Sowa strząsnęła krople wody na ognisko; podniosła się para. Podała miszkę Księżycowi, ta zaś nakarmiła kwiatami ogień.

Po chwili pełnej szacunku ciszy Księżyc przemówiła.

— To woda. — Był to dalszy ciąg starej dyskusji. — Polana pochodzą z drzew, które wyrosły z ziemi, karmione wodą; ogień zaś żywi się drewnem i powietrzem. To wszystkie cztery elementy. Nie można ich rozdzielić.

— To godzina ognia i jego teraz czcimy. O odpowiedniej porze oddamy cześć pozostałym elementom, a jeśli będziesz wygłaszać takie poglądy przy ludziach, nikt z odrobiną wykształcenia nie będzie chciał z tobą rozmawiać. — Sowa wzięła miszkę z rąk Księżycy i zacisnęła mokre palce na jej dłoniach. — Kwiatuśku, nie jesteś już dzieckiem. Kiedy odejdę, będziesz dorosłą kobietą — nawet jeśli sama nie będziesz tak uważać, inni będą cię tak widzieć.

To, co w ustach dziecka odbierane jest jako głupstwo, w ustach dorosłej kobiety staje się świętokradztwem, arogancją lub szaleństwem. Wykonuj swą pracę w sposób, jaki uznasz za stosowny, ale swoje przemyślenia zachowaj dla siebie. A ogień trzymaj z dala od wody, ziemię zaś daleko od powietrza.

— Ale...

— Wylej wodę z miski i idź do łóżka.

Księżyc wyszła do ogrodu i jednym chluśnięciem opróżniła miszkę — zwracała się przy tym na południe, gdyż ta część świata była poświęcona ogniovi. Potem stała jeszcze chwilę na zimnie, przepelniona uczuciem, które wykraczało daleko poza smutek i łzy. Oddychała głęboko, by je zamrozić, i wydychała powietrze, by pozbyć się go, ale ono było odporne na wiatr i chłód.

— Chciałabym być kobietą — wyszeptwała. — Ale wolę być dzieckiem przy tobie, niż kobietą bez ciebie. — Dźwięk słów, świadomość, że są prawdziwe, uczyniły to, czego nie zdołało uczy nic zimno. Okropne uczucie zaczęło się chwiać, topnieć, aż wreszcie spłynęło z pełnymi bólu łzami. Z wolna ład panujący wokół, grządki i klomby wytyczone przez Sowę zatrzymały strumień łez, a chłodne powietrze osuszyło wilgoć na twarzy.

O świcie, kiedy promienie słońca kładły się na spletanych szczytach drzew, Sowa zarzuciła tobolek na plecy i wyszła frontowymi drzwiami. Księżyc odprowadziła ją do furtki. W

niepewnym, mglistym świetle solidnie i wyraziście rysowała się postać Sowy, otulonej w wytarty fioletowy szal, ze szpakowatymi włosami wsuniętymi pod przechylony zielony kapelusz.

— Chyba nie powinnaś nakładać kapelusza — odezwała się Księżyc. — Wygląda jak oberżyna.

— Lubię go. Jestem starą kobietą, mogę nosić, co mi się podoba. Odchodziła. Co można powiedzieć oprócz „do widzenia”, czego akurat Księżyc bardzo nie chciała mówić?

— Kiedy wrócisz?

— Kiedy go znajdę. Albo kiedy przekonam się, że nie można go znaleźć.

— Zawsze mi mówisz, żebym nie udowadniała negatywów.

— Istnieją sposoby — odparła Sowa, patrząc w bok — aby udowodnić to zdanie.

Cienki Sierp Księżycza zadrzała w porannym chłodzie. Sowa skrzywiła się i lekko uszczypnęła ją w podbródek. Potem zamknęła furtkę i poszła w dół zbocza. Księżyc patrzyła za nią — zielono

— fioletową, nierozsądną i silną — aż jej sylwetka znikła za drzewami.

Włożyła dynie w słoiki, zanim schowała je do spiżarni. Czczyła każdy z czterech elementów o wyznaczonej do tego godzinie. Zrobiła ser i wino, schowała resztki ziół, wytrzepała dywany i nawoskowała podłogi na nadchodzącą zimę. Naprawiła strzechę i furtkę, przycięła jabłonki i uporządkowała grządki, czerpiąc pociechę z utrzymywania porządku ustalonego przez Sowę.

Przejęła także inne obowiązki. Zanim spadł pierwszy śnieg, sąsiedzi zaczęli przychodzić do niej ze swymi bólami i chorobami; prosili ją, by zajęła się gorączkującym dzieckiem, nastawiła złamaną nogę psa lub zszyła rozerwany koński bok. Pytali, jaki dzień jest najlepszy na podpisanie umowy, czy istnieje zakłęcie na utrzymanie kąkoli z dala od pól. W zamian przynosili jej jemiołę, korę wierzby, woreczek mąki lub faskę masła.

Nie przejmowała się nawałem pracy. Wychowano ją do niej; wydawała się tak naturalna, jak poranne wstawanie z łóżka. Jednak stwierdziła, że nie podoba jej się to, iż otrzymuje za nią zapłatę. Kiedy syn sąsiada, Fell, przydreptał pewnego dnia ze swym osiołkiem z przerzuconym przez grzbiet workiem mąki i podał jej z podziękowaniami, omal nie rzuciła w niego darem.

Sowa przekazała jej swe umiejętności i zostawiła, by służyła ludziom; to jej należała się zapłata.

Jednak nie wiadomo było, co pokaże się pierwsze, dno w worku czy Sowa.

— Wyglądasz śmiesznie — powiedział Fell.

— Ty jeszcze gorzej — odrzekła Księżyc; ponieważ nauczyła go wspinać się na drzewa i łowić ryby, zasłużyła na ten przywilej. — Znasz takie małe przedmioty zrobione z kości lub drewna, z rzędem zębów? Nazywają je grzebieniami.

— Cha, cha! — Chłopak wskazał na mąkę. — Mam nadzieję, że napieczesz z niej mnóstwo ciasta i będziesz gruba. — Uśmiechnął się i podszedł do osła. Ruszył w górę zbocza, wzbijając chmury śniegu; na szczycie odwrócił się i pomachał do niej.

Poczuła się lepiej. Sowa nigdy nie rozmawiałaaby w ten sposób.

Co wieczór o zachodzie słońca Księżyc wyjmowała z szafki nad kominkiem bębenek. Patrzyła na niego, dotykała go i myślała o swej nauczycielce. Usiłowała wyobrazić ją sobie w bezpiecznym,

ciepłym schronieniu, z gorącym posiłkiem przed sobą i miłym towarzystwem wokoło. W końcu, kiedy krawędź słońca sięgała linii dalekich wzgórz, uderzała pałeczką w delikatną skórę; bębenek wydawał swój dźwięk podobny do stukania dziecięcia.

Za każdym razem Księżyc zastanawiała się, czy Sowa naprawdę go słyszy. A jeśli tak, co by się stało, gdyby Księżyc uderzyła jeszcze raz? Czy gdyby uderzyła trzy razy, Sowa pomyślałaby, że coś się stało i wróciła do domu?

Nic się nie działo. Księżyc odkładała bębenek aż do następnego zachodu słońca.

Nadeszła Długa Noc; Księżyc odwiedziła wszystkich sąsiadów i oni odwiedzili ją. Zaniosiła im świerkowe gałązki przewiązane bluszczem, miodowe ciasto, wypowiedziała nad progiem dobroczynne zaklęcia. Patrzyła, jak śnieg topnieje, potem zamarza i znów topnieje. Nadszedł

Dzień Świec, poszła do wsi, ociekającej wodą i błotem w odwilży, która właśnie nadeszła; tam uczestniczyła w zapalaniu nowych lamp od światła starych. Wieśniacy mówili, że być może nikt nie odnajdzie księcia. Być może Kamienny Król zabrał go pod ziemię, gdzie leży bez oddechu, w ciszy, na zawsze. A czy Księżyc miała jakieś wieści od Sowy, przecież upłynęło tyle czasu, odkąd odeszła?

Tak, mówiła Księżyc, dużo czasu minęło.

Ogród niemal niezauważalnie zaczął się poruszać, jak kot śniący o śniadaniu. Dźwięk płynącej wody dochodził zewsząd, choć śnieg nadal wydawał się nietknięty, a lód nie stracił nic ze swej grubości. Nagle, jakby natura szeroko otworzyła bramę, zaczęła się wiosna i Księżyc miała pełne ręce roboty. Nadeszła pora cielenia się owiec, więc przemierzała błotniste ścieżki pomiędzy wzgórzami w drodze do okolicznych wsi i gospodarstw. Klacze również zaczęły się żrebić.

Księżyc dziękowała opatrności, że u ludzi nie istnieje pora godowa.

Od późnego poranka była u gniadej klaczy Tansy z Szerokiej Wody. Żrebak przekręcił się i zaplątał w pępownię; świadomość, że w jej rękach spoczywa życie dwóch istot, niemal paraliżowała Księżyc. Ubrudziła się we krwi po łokcie i zachrypla od nucenia zaklęć, jednak w końcu obie z Tansy spojrzały na siebie triumfalnie ponad grzbietem ssącego żrebaka.

— Chodź do domu na gorącą herbatę — powiedziała Tansy, kiedy Księżyc splukiwała mydło z rąk i ramion. — I tak nie ruszysz w drogę przed wschodem księżyca.

Zaskoczona Księżyc podniosła wzrok na wrota stajni. Słońce wisiało nisko nad wzgórzami Niezwyczajaju.

— Muszę iść — powiedziała. — Przykro mi. Nic mi się nie stanie.

Ruszyła biegiem.

Kamienie toczyły się spod jej butów, na wpół stopniały śnieg był śliski jak masło. Pod drzewami noc już niemal zapadła. Księżyc rzuciła się w dół stoku i pod górę na następne wzgórze, po czym znów zbiegła na dół, dysząc, potykając się, czasami na czworakach. Czuła, że jej zmęczone kości

grzechoczą jak suche drewno, a nogi się pod nią uginają. Bała się patrzeć na słońce.

Furtka — furtka na końcu ścieżki była już w zasięgu ręki. Załkała z ulgą. Tak blisko...

Pobiegła przez ogród; zimne powietrze parzyło ją w płuca. W panice zmagiała się z drzwiami do domu, po czym przypomniała sobie, że zaryglowała je od wewnątrz, a sama wyszła przez kuchnię. Przebiegła przez izbę, wprawiając w drżenie półki i to, co się na nich znajdowało. Do kominka, do szafki...

Bębenek znalazł się w jej rękach, gdy przez okno wpadały ostatnie promienie słońca, niemal całkowicie schowanego za wzgórzami. Zdążyła. Horyzont zamykał się nad kulą słońca jak powieka węża. Księżyc uderzyła w bębenek.

Nie wydobył się żaden dźwięk.

Księżyc spojrzała na instrument, na pałeczkę, na swoje dłonie. Nie trafiła, na pewno.

Ponownie podniosła pałeczkę. Równie dobrze mogła uderzać drewnem o drewno. Nie zabrzmiało stukanie dziecięcia ani ostre wołanie. Czowała, że pałeczka dotyka skóry, widziała to. Co zrobiła źle?

Powoli przypomniała sobie słowa Sowy. „Jeśli nie będę mogła go usłyszeć, bębenek wcale się nie odezwie”. Księżyc zawsze myślała, że wtedy będzie brzmiał cicho. Ale nigdy, że zupełnie umilknie. „Powiedz, jeśli nie słyszysz” — pomyślała z rozpaczą. Przed odejściem Sowy mówiły jeszcze o czymś, o udowadnianiu negatywów — istniały sposoby udowodnienia, że księcia nie można będzie odnaleźć.

Na przykład, jeśli zginął. Jeśli zostały z niego tylko kości pod ziemią.

A Sowa, skoro znalazła się poza zasięgiem bębenka, mogła za nim podążyć nawet tam — do królestwa Kamiennego Króla.

Księżyc wyobraziła sobie, że mogłaby próbować — walić w bębenek, aż odpowie dźwiękiem lub pęknie. Wyobraziła sobie rozpacz i łzy — mogłaby krzyczeć, szlochać i rzucać wszystkim, co znajdzie, a potem załamać się i paść z wyczerpania.

Zrobiła jednak inaczej: nadal siedziała przy stole z bębenkiem na kolanach, patrząc, jak zmrok wkrada się do izby i wypełnia ją. Rozpacz i żal tętniły w niej jak powolny rytm, jak dłuższe i krótsze dni. Kiedy zaś rozpacz sięgnęła zenitu, mogła wręcz płakać, szlochać i krzyczeć —

niemal odrzucić bębenek. Jednak wtedy powracał rozsądek, a z nim myśl: „Nie, potrafię to znieść”. Rozpacz zmniejszała się nieco.

Postanowiła nie robić nic, póki nie wymyśli czegoś pożytecznego. Jeśli będzie trzeba, poczeka, choćby miała pokryć się pajęczyną. Jednak zrobi coś lepszego od krzyku i płaczu czy niszczenia rzeczy.

Rzemyk bębenka wpił się jej w skórę. W słabym świetle gasnącego ogniska drewno i skóra

wydawały się tylko bezkształtną jasną masą na jej kolanach. Jak magia Sowy mogła upaść tak nisko — do głuchego bębna? Jaki głos mógłby ją teraz dosięgnąć?

Ku swemu zdziwieniu Księżyc sama znalazła odpowiedź: „Babcia”.

Nie mogła. Nigdy sama nie udawała się na spotkanie z Babcią. Jak mogła wyruszyć w podróż, skoro nie było nikogo, kto biciem w bęben wskazałby jej drogę powrotną? Mogłaby się zgubić pomiędzy splątanymi korzeniami drzew babci.

A jednak wstała i sztywno poszła do izby. Zebrała węgle, suszoną jemiołę i cedr. Do drewnianej miski naląła wina jabłkowego i wrzuciła do niego ziarno winorośli. To były znajome czynności. Wykonywała je dla Sowy. Ze ściany przy drzwiach zdjęła czarno lamowaną owczą skórę, rozłożyła ją na podłodze i postawiła na wschodniej krawędzi wino, na południowej —

węgle. Kolejna wędrownica do kuchni po sól i mały nożyk z kościaną rączką — ziemia dla północy, mały stożek usypany z soli i nóż na wschodzie — dla powietrza. („Sól także pochodzi z morza — wtrącił się buntowniczy umysł — a metal noża wydobyto z ziemi, po czym obrobiono z pomocą wody i żelaza”. Jednak teraz bała się herezji, bała się zwątpić w wiedzę, za którą stało doświadczenie wielu pokoleń. Zrobiła tak, jak ją uczono.)

W końcu z wiklinowego kosza wyjęła duży bęben podróżny i postawiła go na skórze. Bęben pomoże jej na początku drogi. Jednak kiedy przekroczy granicę, będzie musiała opuścić ciało, palce, zostawić bęben na rozstaju — wtedy on umilknie. Potrzebowała tak niewiele — po prostu bum, bum. Cóż, będzie musiało wystarczyć biciu jej serca.

Księżyc ze skrzyżowanymi nogami usiadła na skórze. Prawą ręką sięgnęła po nóż i nakreśliła nim krąg wokół siebie, jakby była kompasem. Za plecami przełożyła nóż do lewej dłoni tak gładko, że ostrze nie podniosło się z podłogi. Kiedyś nauczenie się od Sowy sposobu trzymania noża sprawiało jej trudności. Nakreśliła kolejny krąg, tym razem sypiąc sól, potem powtórzyła to samo z drzewem cedrowym i jemiołą, dymiącymi i syczącymi na podkładce z rozżarzonych węgli. Na końcu strząsnęła naokoło wino z palców i wypila resztę. Wtedy wzięła bęben.

Usiłowała dosłyszeć rytm własnego oddechu, bicia serca, rytm, który zawsze w niej istniał.

Dopiero wtedy, kiedy poczuła się pewnie, zaczęła zgodnie z nim uderzać w bęben. Zadrzał pod jej palcami i odezwał się dźwiękiem. Kiedy była pewna, że nie zmyli rytmu, zamknęła oczy.

Drzewo. To był początek podróży, tyle wiedziała; miała wyruszyć z konara wielkiego drzewa.

Ale co to za drzewo? Czy to noc, czy dzień? Czy miała wyobrazić sobie siebie jako ptaka, jako owada czy jako siebie samą? Jak miała myśleć o tym wszystkim i jednocześnie uderzać w bęben?

Szyja jej zeszywniała, a jedna noga ścierpła. „Za dużo myślisz” — skarciła samą siebie. Sowa nigdy nie miała takich kłopotów. Sowa nigdy też nie twierdziła, że istnieje takie zjawisko, jak zbyt dużo myślenia. Uważała, że gdyby ludzie myśleli nieco więcej, udałoby się rozwiązać znaczną część problemów.

W takim razie nie będzie się ograniczać. Uderzała równo w bęben, wyobrażając sobie, że dźwięk otula ją jak puchowa kołdra.

Drzewo zbyt wielkie, by dostrzec je na raz w całości, jak wiele innych w tym lesie. Drzewo z koroną liści szeroką jak czyste nocne niebo nad szczytem wzgórza. Zatem to noc. Dąb, zdecydowała, ale nadal zielony, choć lato minęło. Wyobraziła sobie otaczające ją srebrzyste, twarde liście i szorstką czarną korę, usianą kropelkami rosy błyszczącymi w świetle księżyca.

Światło napływało z końca gałęzi. Tam, wtulony w liście, wisiał srebrnobiały sierp księżyca, wykrojony z cienia starego. Oświeślał jej drogę.

Droga z nierównej kory rozszerzała się w miarę zbliżania do pnia. Księżyc wyobraziła sobie ptaka poruszającego się we śnie i szybki, zdziwiony pisk przebudzonej wiewiórki. Wiatr szeleścił

liśćmi, przemykając pomiędzy nimi. Księżyc słyszała swoje równe, odmierzone kroki na drzewie — głos bębna.

W dół pnia, w stronę płataniny korzeni, odbicia podobnej płataniny gałęzi na górze. Otaczały ją pnie pozostałych drzew; gałęzie przesłaniały światło księżyca. Ta droga w dół była trudniejsza, gdyż drzewo zawsze kierowało się w górę. Bicie jej serca odzywało się delikatnym, równym pogłosem w uszach.

Było zbyt ciemno, by stwierdzić, gdzie jest dół, zbyt ciemno, by się nawet zorientować.

Księżyc nie wiedziała, czy dotarła do korzeni, czy nie.

Chciała krzyknąć, wezwać Babcię, ale przecież ciało, a wraz z nim język zostawiła za sobą.

Przed nią pojawiło się małe światełko, które powoli rosnęło. Rozróżniała w nim kolory, wzory i kształty — mogła już dostrzec furtkę na końcu ogrodu i ścieżkę prowadzącą do lasu. Na ścieżce... czy to ktoś znajomy? Teraz brzegi ścieżki porastała szalwia. Księżyc zobaczyła postać ubraną w rozwiane czarne szaty i rozczochrane siwe włosy, odchodzącą coraz dalej. Myślała, że to ktoś obcy; usiłowała go dogonić, ale wydawało się, że w ogóle się nie przesuwa. Przy pierwszych drzewach postać odwróciła i skinęła dłonią, po czym zniknęła w lesie.

Duch Księżyca jak przestraszony ptak rzucił się przed siebie. Gdy otworzyła oczy, znajdowała się na środku chaty. Stała na niepewnych nogach na skórze owcy, bęben podrózny leżał u jej stóp. Serce waliło o żebra jak patyk przesuwany po sztachetach; czuła się zmęczona, podrapana i zgrzana. Zrobiła krok do tyłu, zachwiała się i usiadła.

— Cóż — powiedziała i aż podskoczyła na dźwięk własnego głosu. Oblizła suche wargi i dodała: — Nie tak powinno się to robić.

Drżąc, pozbierała przedmioty i odłożyła je, umyła miskę, złożyła skórę i odwróciła się, by powiesić ją na ścianie, kiedy znów zaskoczył ją własny głos.



— Ale przecież zadziałało, prawda?

Wyruszyła w podróż, zadała pytanie i otrzymała odpowiedź. Nawet jeśli nie miały one takiej formy, do jakiej przywykła, były to jednak pytanie i odpowiedź, czyli wszystko, czego potrzebowała.

Księżyc w pośpiechu powiesiła skórę. Nagle miała do zrobienia mnóstwo rzeczy.

Następnego ranka spakowała ubranie, jedzenie, drewnianą szkatułkę i lekarstwa, jak również mały jesionowy bębenek Sowy. Nałożyła najmocniejsze buty i wełniany płaszcz. Zgasiła ogień, pozamykała okiennice, zostawiła Tansy prośbę, by zadbała o dom.

W końcu zarzuciła tobolek na ramię i poszła ścieżką do furtki, w dół zbocza do lasu.

Księżyc wędrowała już przedtem z Sową. Umiała odnaleźć drogę, rozpalic ognisko i ugotować na nim posiłek; spała pod gołym niebem, w chatach chłopskich i gospodarach. Teraz wyglądało to tak samo. Nie powinna czuć żadnej różnicy, a jednak było jej nieswojo. Czuła się jak oszustka i oczekiwała, że każdy przypadkowy przechodzień może zapytać, czy jest dość dorosła, by przebywać samotnie na drodze.

Myślała, że w chacie była samotna; myślała, że poznała już samotność. Teraz wiedziała, że poznała jedynie jej cząstkę. Idąc, miała czas na myślenie i obserwację: pędy paproci strzelające z wilgotnej ziemi, żółte dzbanuszki krokusów łowiące promienie słońca, godowe pieśni kruków.

Jednak nie mogła wskazywać na to wszystko i krzyknąć: „Patrz!”, gdyż była jedyną obecną na drodze osobą mogącą to zobaczyć. Odosobnienie odbierało realność temu, co widziała. Co noc ciężiej było rozpalic ogień, coraz mniejszą ochotę miała na jedzenie. Jednak co wieczór o zachodzie słońca uderzała w bębenek Sowy. Co wieczór pozostawał cichy i Księżyc siedziała potem w milczeniu, znów przeżywając osamotnienie.

Sześć dni szła poprzez wsie, lasy i pola. Przez pięć dni było sucho, pogodnie i wiosennie, lecz szóstego Księżyc rozbiła obóz w coraz silniejszych podmuchach chłodnego wiatru. Droga była już szersza i bardziej równa; Księżyc miała też teraz towarzystwo: w obie strony podążały wozy, jeźdźcy i inni wędrowcy. W południe zatrzymała się w gospodzie, większej i bardziej zatłoczonej od wszystkich, które знаła.

Zabiegany chłopak, który postawił przed nią herbatę, miał jasną czuprynę i wesołą twarz.

— Pieczeń na zimno jest dobra — powiedział, zanim zdążyła zapytać. — To królicze mięso i grzyby. Pozą tym jest jeszcze zupa z dyni. Ale nie próbuj szynki — pochodzi chyba ze źle zabitego wieprzka. Jest okropna.

Księżyc nie wiedziała, czy śmiać się, czy dziwić.

— W takim razie poproszę pieczeń. Nie chciałabym wypaść na głupią, ale gdzie jestem?

— Mała Dąbrowa — odparł chłopak. — Ale nie rób sobie nadziei. Wielka Dąbrowa leży o tydzień drogi piechotą na zachód. Czy tam idziesz?

— Nie wiem, chyba tak. Szukam kogoś.

— W Wielkiej Dąbrowie? Hmm. Cóż, możesz znaleźć nawet mrówkę w mrowisku, jeśli nie zależy ci na określonej mrówce.

— Czy jest aż taka duża? — zapytała Księżyc.

Chłopak współczująco skinął głową.

— Chyba że szukasz króla albo królowej.

— Nie. To kobieta, starsza, z włosami bardziej siwymi niż czarnymi i różową okrągłą twarzą.

Niższa ode mnie. Pulchna. — Trudno było opisać Sowę; zbyt dobrze ją znała. — Miała na sobie kapelusz w kolorze bakłazana. Jest czarodziejką.

Twarz chłopca zmieniła się powoli.

— Czy jest z rodzaju tych, które rządzą tobą dla twego własnego dobra? Z wiklinowym koszem? Krosty na twarzy leczy leszczyną i chrzanem?

— To podobne do niej... Czego jeszcze używacie przeciwko krostom?

— Nie wiem, ale chrzan działa. Jeśli to ona, to była tutaj, ale wiele miesięcy temu.

— Zgadza się — powiedziała Księżyc.

— Zmierzała do Wielkiej Dąbrowy, więc jesteś na dobrej drodze. Powodzenia.

Kiedy wrócił z pieczenią, dodał:

— Za dwa dni powinnaś dotrzeć do Wysoczyzny Pogorzeli. Potem już blisko do końca równiny. Będziesz miała szczęście, jeśli zobaczysz słońce, zanim znajdziesz się w zasięgu głosu od Wielkiej Dąbrowy.

Księżyc połknęła trochę za duży kęs pieczeni naraz.

— Tak? Dlaczego?

— Przecież będziesz szła przez Morski Las.

— Naprawdę?

— Nie masz wielkiego pojęcia o geografii — powiedział smutno.

— Na pewno nigdy nie słyszałam, aby Morski Las był tak gęsty, iż nie przepuszcza światła słońca. Czy byłeś tam kiedyś?

— Nie. Ale ci, którzy tam byli, twierdzą, że to prawda. A pracując tutaj, mam okazję usłyszeć wiele opowieści od podróżnych.

Księżyc otworzyła usta, aby powiedzieć, że w gospodach można się nasłuchać więcej bzdur niż cały świat pomieści, kiedy z kuchni rozległ się głos kobiety.

— Wróbel! Czy ty tu pracujesz, czy wynajmujesz pokój?

Chłopiec uśmiechnął się.

— W każdym razie powodzenia — powiedział i pobiegł do kuchni.

Księżyc zjadła obiad i zapłaciła za niego monetą, na której wybito twarz księcia. Skrzywiła się, kiedy położyła ją na stole. „To wszystko przez ciebie” — pomyślała. Zawiązała tobolek i skierowała się ku drzwiom.

— Zaczyna padać! — zawołał za nią chłopak. — Za godzinę będzie ulewa!

— No to zmoknę — odpowiedziała. — Ale dziękuję.

Ślad już ostygł, ale przynajmniej go odnalazła. Nowina zachęciła ją do ruszenia w drogę.

Co do pogody chłopak się nie pomylił. Deszcz zaczął ze wszystkich stron, przenikał pod płaszcz, do kaptura i poprzez szwy butów. Zanim wdrapała się na krawędź płaskowyżu nad Małą Dąbrową, była przemarznięta i przemoczona, marzyła tylko o szczelnym dachu, wielkim ogniu i czystych, suchych ubraniach. Widok z grzbietu wzniesienia rozwiął jej nadzieje.

Spodziewała się kolejnej doliny. To nie była niecka, lecz talerz pełen długiej trawy w kolorze piasku, a Księżyc stała na jego krawędzi. Wyteżyła wzrok i rozejrzała się w poszukiwaniu przeciwległego końca, ale jak okiem sięgnąć rozciągała się trawiasta równina, z rzadka poprzerwana niskimi wzgórzami czy wklęsnięciami terenu. Księżyc miała wrażenie, że nie dostrzegłaby jej końca nawet przy ładnej pogodzie.

Tego wieczoru rozłożyła obóz w morzu traw, gdyż nie było nic innego. Nie miała drewna na ognisko. Zdawała sobie z tego sprawę już wcześniej, w czasie drogi przez las, ale mogłaby wtedy zebrać tylko mokry chrust. Zatem postawiła pochyłą ściankę z natłuszczonego płótna, zwróconą w stronę, skąd najmocniej zaczął deszcz, zebrała garść lśniącej, mokrej trawy i zabrała się do pracy. Zwracała również uwagę na położenie słońca; we właściwej chwili wzięła bębenek Sowy i uderzyła, kurcząc się pod płóciennym daszkiem, by nie zamoczyć instrumentu. Bębenek jednakże nie odezwał się.

Po półgodzinie miała już gruby wieniec z siana. Położyła go na kręgu oczyszczonej z trawy ziemi, wyjęła z torby szkatułkę i trzy jabłka, pomarszczone i słodkie. Były to resztki pożywienia przyniesionego z domu.

— Wszystko wzięte od ciebie — powiedziała Księżyc, kładąc jabłka wewnątrz wieńca i układając na nich stosik mokrej trawy. — Wzięłam oparcie i jedzenie, oddech i ogień, balsam na cierpienie. To ci oddaję z miłością i czcią, a w zamian proszę znów o pomoc. — Z tymi słowami podłożyła iskrę pod trawę.

Przez chwilę myślała, że nie przyjęto jej daru. Wezwała wszystkie elementy oprócz ognia i ogień się obraził. Potem jednak mały niebieski płomyk liznął źdźbła, po nim pojawił się drugi. Po kilku minutach miała maleńkie, tchnące otuchą ognisko płonące w wieńcu siana i podsycane całą noc jabłkami Sowy.

Siedziała tak dłuższy czas, skulona pod płótnem, owinięta płaszczem, z ognikiem pomiędzy stopami.

Zmierzała do Wielkiej Dąbrowy, gdyż myślała, że tam poszła Sowa. A przecież Sowa mogła obrać inny kierunek. Mogła pójść na południe, do Cystegond. Albo na północ, pomiędzy zimne, strzelające ku niebu szczyty Kości Ziemi. Mogła pójść dokądkolwiek i Księżyc nigdy by się o tym nie dowiedziała. Pytała, ale nie nalegała na to, by Sowa określiła jej swoją drogę lub zabrała ją ze sobą. Powiedziała jedynie „Do widzenia”. A teraz nigdy nie odnajdzie śladu.

— Co ja tu robię? — wyszeptała Księżyc. Nie było odpowiedzi oprócz nieustannego szelestu trawy na wietrze: „Ćśś, ćśś... ćśś...” W końcu rozgrzała się na tyle, by zasnąć.

Następnego dnia słońce znów się pokazało, choć nieśmiało i przymglone. W jego świetle po raz pierwszy dokładnie przyjrzała się otaczającemu ją morzu brązu i zieleni. Z tyłu dostrzegła krawędź, za którą leżała Mała Dąbrowa. Przed nią była trawiasta równina.

To był długi dzień, a do oglądania nic prócz trawy. Zatem Księżyc postanowiła poszukać czegoś więcej. Widziała świeże zielone pędy u stóp starych, o źdźbłach wciąż stulonych razem jak para kochanków. Oset rozkładał swoją rozetę ostrych liści, by zagarnąć jak najwięcej ziemi, lecz jeszcze nie osiągnął pełnej wysokości. Widziała także ślady końskich kopyt, zwierzęce odchody, a raz zobaczyła szeroki pas położonej pokotem trawy, przecinający jej szlak jak koryto strumienia; w tym miejscu ziemia była błotnista i zdeptana kopytami. W czasie drogi słońce wschodziło coraz wyżej, susząc mokry płaszcz wędrowniczki.

Przed wieczorem Księżyc dotarła do Wysoczyzny Pogorzeli. Tak, powiedział karczmarz, o kolejny dzień drogi zaczyna się Morski Las. Powinna być ostrożna, gdyż roi się w nim od zbójców, duchów i dzikich zwierząt.

— Cóż — powiedziała Księżyc. — Zbójcy nie będą się fatygowali, by mnie napaść, a ze zmarłymi nie mam żadnych zatargów. Skupię się na dzikich zwierzętach. Ale bardzo dziękuję za ostrzeżenie.

— To nie jest dobre miejsce, ten Morski Las — dodał karczmarz. Księżyc pomyślała, że ludzie żyjący w bezkresnych trawach zapewne boją się lasu. Jednak powiedziała tylko:

— Szukam kogoś, kto przed wieloma miesiącami mógł tędy przechodzić. Ma na imię Sowa i wyruszyła szukać księcia.

Kiedy Księżyc opisała Sowę, karczmarz zacisnął usta.

— Kogoś mi to przypomina. Być może tędy przechodziła w drodze na zachód. Ale, jak sama powiadasz, minęły miesiące, a od tamtej pory chyba jej nie widziałem.

„Nigdy jeszcze nie słyszałam tak zniechęcającej zachęty” — pomyślała Księżyc ze zmęczeniem i zajęła się kolacją.

Następnego popołudnia dotarła do Morskiego Lasu. Wszystko się zmieniło: zapachy, światło, temperatura. Pomimo ostrzeżeń karczmarza Księżyc nie mogła się powstrzymać przed uczuciem radosnej ulgi i otuchy. Wokół niej unosił się aromat sosnowej żywicy, a w ciemnej gęstwie liści trzepotały ptaki. Usłyszała niedaleki szum wody; poszła za dźwiękiem, aż dotarła do źródła i

strumyka, któremu dawało początek. Woda była zimna i miała kwaśny, sosnowy posmak; Księżyc napełniła bukłak i umyła twarz.

Przez chwilę stała nad wodą. Zrzuciła tobolek z pleców i zaczęła w nim grzebać, aż wydobyła mały lniany woreczek z najcenniejszymi rzeczami, jakie posiadała. Wytrząsnęła z niego srebrną szpilkę w kształcie skaczącej żaby. Nosiła ją w święta do zielonego szala. Był to prezent od Sowy — lecz ostatecznie wszystko było prezentem. Wrzuciła szpilkę do strumienia.

Czy dobrze zrobiła? Tak, żaba to wodne stworzenie, chociaż oddycha powietrzem. Srebro to metal wody, mimo że wydobywa się go z ziemi i kształtuje przy pomocy ognia i mimo że równie szybko czernieje w wodzie, jak i na powietrzu. Jak magia mogła się opierać na rozumieniu prawdziwej istoty rzeczy, skoro lekceważyła tak wiele?

Na powierzchni pokazała się bańka powietrza i pękła głośno; Księżyc roześmiała się.

— Na zdrowie, nawzajem — powiedziała i ruszyła dalej.

Morski Las ofiarował jej ogromną ilość szpilek sosnowych, płaskich i suchych, z których mogła ułożyć posłanie, i mnóstwo suchego drewna na podsycenie ognia. Pod konarami było zimno, ale na to można było coś zaradzić. Księżyc podtrzymywała spory płomień nie tylko po to, by się ogrzać, ale także, by odpędzić drapieżniki, zimą zbyt słabe, by polować na konie na Wysoczyźnie Pogorzeli.

Kolejny dzień wędrówki i jeszcze jeden. Gdyby miała wspiąć się na najwyższe drzewo, czy Morski Las wyglądałby jak trawiasta równina: bezkres, prawie nieskończoność? Trzeciego dnia, kiedy promienie słońca docierające do ziemi stały się skośne i blade, zerwał się wiatr. Księżyc słyszała trzeszczenie pni nad głową i szum gałęzi wyciągających się jak gniewne dłonie; zdecydowała się rozbić obóz.

W Morskim Lesie nie można było dojrzeć, kiedy słońce kryje się za horyzontem. Pod drzewami było już ciemno. Księżyc rozpała ogień i postawiła wodę do zagotowania, a dopiero potem wyjęła z torby bębenek Sowy.

Drzewa szumiały w górze, ale u ich stóp czuła jedynie porywisty wiatr. Otuliła się płaszczem i uderzyła w bębenek.

Nie odezwał się, ale z góry dosłyszła stuknięcie i łomot, a w twarz smagnął ją strumień powietrza. Odkoczyła do tyłu. Bębenek wypadł jej z rąk.

Za ogniskiem, na niskiej gałęzi siedziała jasna postać. Światło odbijało się w olbrzymich złotych oczach, kępie wysokich piór wieńczących głowę i jasnej piersi. Sowa.

— Uhu... — zahuczała głośniej od wiatru. — Uhu...

Księżyc sięgnęła po bębenek.

Sowa zatrzepotała skrzydłami i szeroko otworzyła dziób.

— Uhu... — zakrzyczała. — Uhhu... kotku...

Księżyc poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Sowa rzuciła się w dół z gałęzi nagle i szybko jak spadający kamień. Jej pazury zbliżyły się do rzemieni bębenka. Wielkie skrzydła uderzyły raz, drugi — i ptak zniknął w ciemności.

Księżyc, łapiąc oddech, upadła na kolana. W uszach wciąż brzmiał jej głos sowy, przywołując na myśl inny głos. „Ziółko. Kotku... Kotku...”

Gorące łzy spłynęły po jej twarzy.

— Ziółko... — powtórzyła szeptem. — Wróć! — krzyknęła w ciemność. Jediną odpowiedzią był szum wiatru. Przycisnęła puste dłonie do twarzy i płakała, dopóki nie usnęła.

Rankiem drzewa Morskiego Lasu tłoczyły się wokół niej jak przedtem, pełne śpiewu ptaków, ciche, zdradliwe i nie skruszone. Przynajmniej w jednym jej nastrój odpowiadał jego atmosferze.

Światło pod koronami było szare, a z góry dochodził szum deszczu. Księżyc poruszyła zimny popiół ogniska i czekała, aż zelżeje chłód w jej sercu. Pójdzie do Wielkiej Dąbrowy Jeśli będzie musiała. Może jeszcze jest nadzieja. Jeśli nie, pozostaje rozsądek.

Cały dzień ścieżka prowadziła w dół i Księżyc szła, póki nogi nie odmówiły jej posłuszeństwa i żołądek nie skurczył się z głodu. Deszcz padał coraz gęstszy, bezlitośnie chłoscząc ją zimnym biczem, kiedy wiatr potrzasał konarami. Księżyc zamierzała przed następnym noclegiem opuścić Morski Las, choćby oznaczało to całonocny marsz. Jednak już po południu drzewa zaczęły rzednąć i wkrótce ujrzała przed sobą nagie wzgórze. Weszła na nie i spojrzała w dół.

Dolinę wypełniała snująca się niskimi pasmami mgła, przecinana strugami deszczu. Z niej wyłaniało się największe miasto, jakie kiedykolwiek widziała. Otaczały je kamienne mury z dębowymi, nabijanymi żelazem bramami, a w ich obrębie widziała domy kryte łupkiem i dachówką — oznaka zamożności mieszkańców. Na każdej wieży powiewał proporzec w kolorach zamazanych przez deszcz i niepewne światło. W sercu miasta stał wysoki, biały budynek o czerwonym dachu, z okrągłymi wieżami w rogach, podobnie jak miejskie mury.

Chłopiec miał rację. W takim miejscu nigdy nie zdoła dowiedzieć się czegokolwiek o kimś, kto nie był królem lub królową. Księżyc przygięła się pod kolejnym uderzeniem fali deszczu.

Ale właściwie dlaczego nie? Sowa wyruszyła na poszukiwanie księcia. Dlaczego nie miałyby pójść wprost do pałacu, powiedzieć, o co jej chodzi, i zacząć poszukiwania właśnie tam?

Dlaczego Księżyc nie miałyby zrobić tego samego?

Strząsnęła wodę z płaszcza i ruszyła w dół. Do bram pozostała jej godzina drogi, a chciała dotrzeć do miasta przed zachodem słońca.

W końcu wyrosły przed nią złowrogie, wysokie mury, ciemne i błyszczące od deszczu.

Olbrzymie wrota były otwarte; w obie strony przelewał się przez nie strumień pieszych, konnych i wozów. Stała onieśmielona. Nikt nie zwrócił uwagi, kiedy wtopiła się w tłum i weszła; mimo że rozglądała się bacznie, nie dostrzegła nikogo wyglądającego bardziej oficjalnie od reszty.

Każdy wydawał się ważny i bardzo zajęty. „A więc to jest miejskie życie” — pomyślała Księżyc i stanęła z boku, by lepiej się przyjrzeć otoczeniu. Teraz, kiedy znalazła się w samym mieście, wiedziała, że tylko przypadkiem zdołałaby odnaleźć drogę do pałacu. Zapytała zatem o drogę kobietę i mężczyznę zdejmujących bele siana z wyładowanego wozu.

Spojrzeli na nią i zamrugali, jakby zbyt zmęczeni, by myśleć; byli przemoczeni niemal tak samo jak Księżyc i wydawało się, że mieli jeszcze mniejszą nadzieję na znalezienie tego, czego szukali. Ich twarze przybrały prawie jednakowy wyraz zaskoczenia; Księżyc zastanawiała się, czy nie są spokrewnieni — rzeczywiście, mieli bardzo podobne oczy, szarozielone jak szałwia.

Mężczyzna miał na sobie brązową kurtkę, przetartą na łokciu, a kobieta długi, wystrzępiony czarny szal zarzucony na siwe włosy.

— Tędy, pod murami — odezwał się w końcu mężczyzna. — Póki nie dotrzesz do szerokiej ulicy wyłożonej brukiem. Idź nią w górę, a zobaczysz pałac.

— Dziękuję. — Księżyc zmierzyła wzrokiem niemal pełny wóz. Praca to lekarstwo dla serca, mawiała Sowa. — Czy mogę pomóc? Wejdę na wóz i będę zrzucać siano.

— Nie trzeba — powiedziała kobieta. — Damy sobie radę.

Księżyc potrząsnęła głową.

— Mówisz jak moi sąsiedzi. Z nimi musiałabym dyskutować piętnaście minut, zanim doszlibyśmy do porozumienia. Zamiast tego od razu zabiorę się do roboty. — Wdrapała się na wóz i chwyciła belę. Kiedy odwróciła się, by rzucić ją na dół, zobaczyła, że mężczyzna i kobieta patrzą na siebie nawzajem; po chwili mężczyzna wziął od niej siano.

Księżyc zgrzała się, pokłuła i zmoczyła od siana, ale praca nie trwała długo. Kiedy wóz był

już pusty, wymienili uprzejmości i dziewczyna poszła w stronę pałacu. Po drodze patrzyła na słońce zniżające się ku linii wzgórz.

Brukowana ulica biegła zakosami jak stare koryto rzeki. Księżyc nie widziała pałacu, póki nie doszła do ostatniego zakrętu; wtedy znalazła się przed białymi murami i kolejną bramą. Ta była ozdobiona rzeźbami i rysunkiem stada lecących ptaków, w dodatku głucho zamknięta.

Po bokach bramy stało dwóch mężczyzn. Byli młodzi, wysocy i barczyści, z rodzaju tych, przy których wiejskie dziewczęta zaczynają się jąkać. Stali wyprostowani, ubrani w zielone czapki i płaszcze ozdobione, jak osądziła Księżyc, nadmierną ilością złota. Podeszła do bliższego ze strażników.

— Przepraszam — zagadnęła. — Chciałabym rozmawiać z królem i królową.



Strażnik zamrugał, jeszcze bardziej zaskoczony niż para przy wozie. Nic dziwnego; Księżyc zdała sobie sprawę, że teraz jest nie tylko przemoczona i pokryta kurzem drogi, ale także przyprószona sianem. Westchnęła, co jeszcze pogłębiło zmieszanie mężczyzny.

— Może zacznę od początku — powiedziała. — Przyszłam w poszukiwaniu mojej nauczycielki, która zeszłej jesieni wyruszyła szukać księcia. Czy pamiętasz czarodziejkę zwaną Sową, pochodzącą ze wsi leżącej dwa tygodnie drogi stąd? Myślałam, że mogła tu trafić, żeby porozmawiać z królem i królową.

Strażnik uśmiechnął się. Księżyc pomyślała, że nie gardziłaby dziewczyną, która zaczęłaby się jąkać w jego obecności.

— Chyba mogę przesłać ich wysokościom wiadomość — odezwał się wreszcie. — Ktoś w pałacu mógł spotkać twoją nauczycielkę. Hej, Chyży! — zawołał do kolegi po drugiej stronie bramy. — Ta kobieta szuka swojej nauczycielki, czarodziejki, która szukała księcia. Kogo powinna o nią pytać?

Chyży podszedł bliżej. Podniósł brwi na widok Księżycy.

— Wcześniej czy później każda czarodziejka w Królestwie Dębu wyruszyła na poszukiwania księcia. Kto zapamiętałby jedną wśród całej gromady?

Księżyc wyprostowała się i stwierdziła, że niemal dorównuje mu wzrostem. Podniosła tylko jedną brew — na syna sąsiadów zawsze to działało.

— Przykro mi, że twoja pamięć nie jest taka, jakiej mógłbyś sobie życzyć. Czy pomoże, jeśli dodam, że ta czarodziejka dotychczas nie wróciła?

— Nie ma takiej. Wszystkie wróciły z czapkami w rękach i przestępując z nogi na nogę, mówiły: „Proszę o wybaczenie, najjaśniejszy panie”, „Bardzo mi przykro, najjaśniejsza pani”.

Całe ich gadanie nie było warte brązu z pochwy mojego miecza.

— Nie na wiele się przydałeś — powiedziała mu Księżyc surowo.

— Na więcej niż każdy, kto go dotąd szukał. Gdyby tylko wysłali mój oddział...

Spojrzała na jego młodą, twardą twarz.

— Kochałeś go, prawda?

Zacisnął usta; ból w jego oczach sprawił, że przez chwilę wydawał się równie młody jak Fell.

Był odbiciem jej własnego cierpienia.

— Wszyscy go kochali. On był... jest... sercem tej ziemi.

— Tak jak moja nauczycielka dla mnie. Proszę, czy mogłabym z kimś porozmawiać?

Zaniepokojony pierwszy strażnik spoglądał to na jedno, to na drugie. Chyży odwrócił się do niego i zmarszczył czoło.

— Zabierz ją do... na niebiosa, nie wiem. Spróbuj u marszałka. Wydaje mu się, że wie wszystko.

I tak bramy pałacu otworzyły się przed Księżycem. Szła za uprzejmym strażnikiem przez brukowane podwórze otoczone szerokimi, długimi skrzydłami budynku, podpieranymi przez kolumny i pokrytymi rzeźbami zwierząt i kwiatów. Na każdej kolumnie w żelaznym uchwycie wisiała płonąca pochodnia, sycząc w deszczu i oświetlając podwórze jak scenę. Był to piękny, choć nieco ponury widok.

Strażnik skinieniem ręki kazał jej wejść przez małe, obite żelazem drzwi do schludnej komnaty. Na ceglany kominku płonął ogień; w jego świetle Księżyc dojrzała gobeliny i kotary wiszące na poczerńniętych ze starości ścianach. Strażnik pociągnął za ozdobną taśmę wiszącą przy drzwiach i zwrócił się do niej.

— Muszę wracać do bramy. Powiedz marszałkowi, lordowi Leyanowi, co wiesz o swojej nauczycielce. Jeśli ktokolwiek może ci pomóc, on dopilnuje, by tak się stało.

Kiedy odszedł, Księżyc zebrała swój przemoczony płaszcz i zastanawiała się, czy powinna usiąść. Wtedy usłyszała kroki i w ścianie otworzyły się drzwi, których poprzednio nie zauważyła.

Wszedł przez nie bardzo wysoki, wyprostowany mężczyzna. Miał białe, gęste włosy spadające na ramiona, na aksamitny, lamowany atłasem płaszcz. Nie zaskoczył go jej widok, co Księżyc przyjęła za dobry znak.

— W czym mogę pomóc? — zapytał.

— Lord Leyan?

Kiwnął głową.

— Nazywam się Sierp Księżyca. Przyszłam ze wschodu, szukam mojej nauczycielki, czarodziejki Sowy, która zeszłej jesieni wyruszyła na poszukiwanie księcia. Myślę teraz... że jej nie znajdę. Ale muszę spróbować... — Ku swemu przerażeniu poczuła łzy napływające do oczu.

Lord Leyan w kilku krokach przemierzył komnatę i chwycił ją za rękę.

— Nie płacz, kochanie. Pamiętam twoją nauczycielkę. Była niezwykłą kobietą, a to dało nam nadzieję. Zatem do ciebie także nie wróciła?

Księżyc ze ściśniętym gardłem pokręciła głową.

— Masz za sobą długą podróż. Wykąpiesz się, zjesz coś i zmienisz ubranie, a ja sprawdzę, czy ktoś może powiedzieć ci więcej o twojej nauczycielce.

Zanim Księżyc zdołała się zorientować, znalazła się w ciemnej, ładnie urządzonej komnacie z łóżem osłoniętym aksamitną kotarą i ogniem na kominku większym niż w poprzedniej izbie.

Kobieta o czerwonej twarzy i rozwianych włosach nalewała wiaderem wodę do wanny wyrzeźbionej i pomalowanej na kształt łabędzia.

— To najgłupsza rzecz, jaką widziałam — odezwała się Księżyc.

Kobieta uśmiechnęła się niespodziewanie.

— Masz rację. Być może lordowie i damy też tak myślą, ale boją się to głośno powiedzieć.

— Kiedyś ktoś musiał za to zapłacić.

— Owszem. Cóż, nikt nie rodzi się z poczuciem smaku. Wykap się, a ja przyniosę świeże suknie.

— Nie trzeba. Mam czyste rzeczy w tobołku.

— A czy są ozdobione koronką i haftowane w kwiaty wokół szwów? Jeśli nie, lepiej przyniosę tutejsze ubrania; podobno masz jeść z królem i królową.

— Naprawdę? — Księżyc zachłysnęła się z przerażenia. — Dlaczego?

Lord Leyan do nich poszedł, a oni kazali mu cię przyprowadzić. Nie patrz tak na mnie, nie można nic na to poradzić.

Księżyc szorowała się, aż jej skóra poczerwieniała i pachniała mydłem fiołkowym. Trzy razy myła włosy, wyczyściła swe krótkie paznokcie i z rozpaczą spojrzała na odbicie w lustrze. Nie sądziła, by jej widok odebrał komukolwiek ochotę na kolację, lecz nie ulegało wątpliwości, iż stała tu tylko Sierp Księżycyca, wysoka, śniada i bardzo bezpośrednia.

— Już jestem — odezwała się od drzwi kobieta o czerwonej twarzy. — Pomyślałam, że w tym będziesz ładnie wyglądać i nie będziesz się czuć głupio. Co powiesz?

Przez ramię miała przewieszoną prostą suknię bez dekoltu, uszytą z płótna o barwie bursztynu oraz wierzchnią tunikę o nieco ciemniejszym odcieniu. Obrębek sukni i kołnierz ozdabiała wyhaftowane złotem ziele krwawnika. Księżyc spojrzała na nie i szybko przeniosła wzrok na twarz kobiety. Nie znalazła na niej nic niezwykłego.

— Jest... jest bardzo ładna. Trochę za bogata, ale...

— Akurat na tyle, by wystarczyło na kolację w wielkiej sali. Do dzieła.

Kobieta pomogła jej się ubrać, przerzucając jej przez głowę zwoje pachnącego lawendą materiału. Potem uczesała włosy, zaplotła je w warkocze i spięła złotą spinką.

— Dobrze — powiedziała. — Widać, że to ty, ale ładnie ubrana, a tak powinno być.

Zaprowadzę cię do sali.

Księżyc ostatni raz spojrzała na swoje odbicie. Wcale nie uważała, że jest do siebie podobna.

Oszołomiona poszła za kobietą.

Już z daleka wiedziała, że zbliżają się do celu. Płynące z sali zapachy przypomniały jej, że opuściła ostatnie trzy posiłki. Przy drzwiach kobieta zatrzymała ją.

— Chyba dasz sobie radę. Pamiętaj — nie mów kłamstw, choć inni mogą ci je mówić. Patrz wszystkim w oczy, choć niektórym może się to nie spodobać. I bierz prawą ręką wszystko, czy m cię będą częstować. Wtedy nic ci się nie stanie.

Z tymi słowami kobieta o czerwonej twarzy odwróciła się i zniknęła w labiryncie korytarza.

Księżyc wyprostowała się i ze ściśniętym z głodu i zdenerwowania żołądkiem wkroczyła do sali.

Zaskoczona, mimo woli otworzyła usta, choć obiecała sobie, że tego nie zrobi. Sala była dwa razy wyższa niż pozostałe komnaty i wielka jak pole pszenicy. Znajdowały się w niej dwa kominki na tyle duże, by upiec w nich wołu. Ze ścian zwieszały się chorągwie wyszywane w zwierzęta, ptaki i inne stworzenia, których nie potrafiła nazwać. W całym Królestwie Dębu nie znalazłoby się tyle świec, by oświetlić całą salę od sklepienia do podłogi, i drzewo z całego Morskiego Lasu nie wystarczyłoby do jej ogrzania, więc, niczym dziedziniec, sala była piękna i ponura.

Stoły ustawiono w podkowę, pośrodku której umieszczono wysoki stół. Oszołomionej dziewczynie wydawało się, że wszystkie miejsca są zajęte. Posiłek z królem i królową był

wystarczającym przeżyciem; jak mogła nie zdawać sobie sprawy, że będzie obecny także cały dwór?

Zza wysokiego stołu podniósł się z uśmiechem król.

— Nasz gość! — wykrzyknął. — Podejdz, twoje miejsce jest obok mojej pani i mnie.

Idąc do stołu, Księżyc czuła, jak jej twarz płonie. Dworzanie patrzyli na nią, jednak nie słyhać było szeptów ani nie widać dłoni uniesionych dla zasłonięcia ust. Była im za to wdzięczna, tym niemniej było to dziwne.

Jej krzesło rzeczywiście stało obok króla i królowej. Król miał siwe włosy i szerokie ramiona oraz szczerą, uśmiechniętą twarz. Włosy królowej skrzyły się srebrem i złotem, jej oczy były duże i szare jak burzowe chmury. Ona także się uśmiechała, lecz jakby ze smutkiem, którego nie chciała pokazać.

— Lord Leyan opowiedział nam twoją historię — odezwała się królowa. — Pamiętam twą nauczycielkę. Czy długo z nią byłaś?

— Całe życie — odrzekła Księżyc. Postawiono przed nią pół miski, więc zaczęła sobie nakładać pieczone mięsa, sałatki, chleb, jarzyny, sery i owoce. Mogła ograniczyć się do jednego kęsa każdej potrawy, a i tak wyszłaby z sali z przepełnionym żołądkiem. Lewą dłoń trzymała ściśniętą między kolanami w obawie, że się zapomni i weźmie nią jedzenie. Potrawy były smaczne, choć nie tak dobre, jak się spodziewała na początku.

— Zatem ty także jesteś czarodziejką? — zapytał król.

— Nie wiem. Uczyła mnie czarodziejka, posiadałam wiedzę czarodziejską. Ale uczyła mnie także ogrodnictwa i ciesielstwa.

— Masz nadzieję ją odnaleźć?

Księżyc spojrzała na niego i po raz pierwszy od czasu wejścia w Morski Las zastanowiła się głęboko nad odpowiedzią.

— Mam nadzieję dowiedzieć się, że została zaczarowana, i przywrócić jej własną postać. Ale chyba ją spotkałam zeszłej nocy w lesie; teraz trudno mi zachować nadzieję.

— Jednak chcesz iść? — naciskała królowa. — Co zamierzasz zrobić?

— Jedyna rzecz, jaka przychodzi mi do głowy, to zrobić to, co zamierzała ona, czyli odnaleźć waszego syna.

Księżyc nie wiedziała, dlaczego królowa zbladła.

— Nie rób tego, dziecko — odezwał się król. — Nasz syn zginął, twoja nauczycielka zginęła

— co komu przyjdzie z tego, że i ty pójdiesz ich śladem? Odpocznij tu, a potem wracaj do domu. Nasz syn nie wróci.

— Jak księżę wyglądał?

Król zachmurzył się. To królowa wyjęła spod sukni medalion, zdjęła go z szyi i podała dziewczynie. W medalion wprawiono nie kosztowną miniaturę, jakiej oczekiwała Księżyc, lecz szkic ołówkiem. Po raz pierwszy zobaczyła w pałacu coś, co nie miało nic wspólnego z majestatem i dworską pompą.

— Nie usiedziałyby spokojnie tak długo, by go namalować — powiedziała z żalem królowa. —

Jeden z naszych przyjaciół lubi rysować. Dał mi to po tym... po tym, jak nasz syn odszedł.

Może czytał, kiedy przyjaciel skorzystał z chwili i naszkicował portret. Głowę o wysokim czole oparł na dłoni; patrzył w dół, więc oczy były przysłonięte powiekami. Miał prosty nos, duże, poważne usta. Włosy ledwie zaznaczono; nie było nawet widać, czy są jasne, czy ciemne.

Spadały w nieładzie na podpierającą głowę rękę. Nawet biorąc poprawkę na to, że rysunek był

dziełem przyjaciela, który mógł księcia upiększyć, Księżyc zrozumiałaby dziewczęta tracące dla niego głowę. Zamknęła medalion i oddała go królowej.

— Nie wiecie, co się z nim stało. Jak możecie się z tym pogodzić?

— Na świecie jest wiele rzeczy, których nigdy nie poznam — odpowiedział ostro król.

— Przy bramie spotkałam mężczyznę wciąż oplakującego księcia. Nazwał go sercem kraju.

Nic nie może przeżyć pozbawione serca.

Królowa wciągnęła powietrze i zwróciła twarz ku talerzowi, ale nie odezwała się.

— Wystarczy — powiedział król. — Jeśli musisz szukać, zrobisz, co zechcesz. Ale przy stole chcę mieć spokój. Czy możesz mi to obiecać?

Położył dłoń na prawej dłoni Księżycy leżącej na stole i przepił do niej swym pucharem.

Księżyc siedziała nieruchomo, wpatrzona w lśniące srebro i swoje własne w nim odbicie. W

końcu podniosła wzrok i powiedziała:

— Nie.

W sali zapadła głucha cisza.

— Nie wypijesz ze mną?

— Nie... nie obiecuję ci spokoju. Nie ma go tutaj, choć wszyscy bardzo starają się to ukryć.

Przykro mi. — Kiedy to rzekła, wiedziała, że to prawda. — Przepraszam — dodała i wycofała dłoń spod ręki króla, dużej, lecz miękkiej. — Idę spać. Jutro chcę wcześniej ruszyć w drogę.

Wstała i znów przeszła przez całą salę, odprowadzana ciszą innego rodzaju niż przedtem.

W korytarzu znalazła ją służąca i powiodła do komnaty. Tam Księżyc znalazła swoje rzeczy czyste, suche i poskładane, rozpalony ogień i przygotowane łóżko. Kobiety o czerwonej twarzy nie było. Dziewczyna zdjęła piękne szaty, ułożyła je na krześle i ubrała swą starą koszulę nocną.

Potem podeszła do zwierciadła, żeby rozczesać włosy.

Wyjęła szpilkę i już miała ją odłożyć, kiedy zobaczyła, jak wygląda. Skacząca żaba. Jednakże teraz była złota.

To była jej szpilka. Wyprostowane w skoku nogi, wyłupiaste oczy, wszystkie szczegóły — to jej szpilka. Księżyc rzuciła się do drzwi i po chwili znalazła taśmę dzwonka upodobnioną wzorem do kotary.

Po kilku minutach przysła ciemnowłosa, jasnooka dziewczyna.

— Tak, proszę pani?

Kobieta, która mi pomagała, zrobiła kąpiel i przyniosła ubranie. Czy jeszcze tutaj jest?

Dziewczyna wyglądała na zaskoczoną.

— Przykro mi, proszę pani, nie wiem, kto wam służył. Jak wyglądała?

— Mojego wzrostu, z czerwoną twarzą i potarganymi włosami.

Służąca popatrzyła na nią.

— Czy jesteście pewni, pani? Nie przypomina to nikogo, kto tu służy.

Księżyc ciężko opadła na krzesło.

— Dlaczego mnie to nie dziwi? Dziękuję bardzo. Nie chciałam ci przeszkadzać.

Dziewczyna skinęła głową i zamknęła drzwi. Księżyc zgasiła świece, położyła się i bardzo długo leżała w ciemności.

Szarym, mokrym świtem ubrała się i zarzuciła na plecy tobołek, po czym schodząc w dół

każdymi schodami, na jakie trafiła, znalazła wyjście. Były to małe drzwiczki wychodzące na kuchenny ogródek i podwórko ogrodzone kamiennym murkiem. Obok ścieżki mężczyzna schylony nad wózkiem naprawiał koło.

— Hej, panienko! — zawołał głosem dźwięczącym jak łopata na kamieniu. — Czy możesz potrzymać oś?

Księżyc westchnęła. Chciała iść, chciała się ruszać, gdyż ruch oznaczał już robienie czegoś. I chciała znaleźć się jak najdalej od pięknego miejsca, które straciło serce. Przekroczyła pędy rabarbaru, uklękła i podniosła drążek.

Cokolwiek uszkodziło koło, rozszczepiło również oś; długa drzazga uklęła Księżyc w dłoń.

Dziewczyna krzyknęła i cofnęła rękę. Z ranki pociekła krew — kilka kropel upadło pomiędzy pędy rabarbaru, po czym krew przestała płynąć.

Przestraszona Księżyc spojrzała na mężczyznę.

Był to ten sam człowiek, którego spotkała przy wozie z sianem, siwowłosa, o oczach szarzielonych jak szalwia. Miał ponurą, czerwoną twarz. Twarz czerwoną jak kobieta, która...

Kobieta, która poprzedniego wieczoru usługiwała Księżycowi, była tą samą, którą poznała przy wozie z sianem. Dlaczego wcześniej tego nie spostrzegła? Teraz jednak przypomniała sobie i zielone oczy, i nawet źdźbła siana wplątane we włosy. Księżyc skoczyła na równe nogi.

Mężczyzna chwycił ją za rękę

— Rabarbar oczyszcza i oznacza dobrą radę. Odwróć się. Twój cel jest tam. — Wskazał

szorstkim, czerwonym palcem pałac, szczyt narożnej wieży. Potem wstał, otrzepał spodnie z piasku i

odszedł ścieżką.

Księżyc otworzyła usta; do tej pory nie była w stanie tego zrobić. Wciąż czuła uścisk jego spracowanej, ciepłej dłoni. Spojrzała w dół. Trzymała w ręce kłaczę hyzopu, janowiec i skręconą spiralnie łodygę powoju.

Pobiegła z powrotem ku drzwiom i w górę pierwszymi schodami, jakie napotkała. Kiedy dobiegła do końca, zatrzymała się i zaczęła gwałtownie rzucać się od drzwi do drzwi. W którą stronę do przeklętej wieży? Wyrzała oknem korytarza. To pewnie te drzwi. Spróbowała otworzyć; nie udało się.

„Mógł zatrzymać sobie bukiet, a mnie dać klucz” — pomyślała z furią. I po chwili: „Przecież dał!”

Wzięła powój i włożyła go w dziurkę od klucza ze słowami:

— Obracaj się, obracaj, na czas uwagi nie zwracaj. Co żelazo zamknęło, z powrotem otworzy zioło.

Metal zazgrzytał o metal i klamka ustąpiła pod jej dłonią.

Komnata młodego mężczyzny, zastygła w czasie. Na krześle tunika z barwionej skóry, biblioteczka z rzędami książek, drewniany flet i para skórzanych rękawic na inkrustowanej cedrowej skrzyni; nie pościelone łóżko, z którego zsunęła się kołdra i częściowo leżała na podłodze.

Co więcej, komnata zastygła w zgrozie i oskarżeniu. Księżyc czuła, co się tu stało, co działo się nadal, gdyż komnata się nie zmieniła. Ciernie, pokrzyk wilcza jagoda i wawrzynek wilcze łyko oraz paprocie rosły blade i zduszone pod kamieniem. Księżyc rozpoznała ich zapachy i ich zgubną siłę, dzieło, jakiego dokonały, i wstyd, który trzymał je w ukryciu.

Na progu drzwi, na parapetach i na kotarach łoża leżał pył z suchych liści i kwiatów. Księżyc zacisnęła dłonie na ziołach, czując wzbierający gniew.

Hyzopem i janowcem strząsnęła pył z okien, drzwi i kotary.

— Radosny czy smutny, ostatni lub pierwszy — nuciła przy tym, wyrzucając z furią każde słowo — znikaj na zawsze albo bądź przeklęty!

— Co robisz? — rozległ się głos spod drzwi. Księżyc obróciła się i podniosła wiązkę ziela jak sztylet.

Stał tam król w krzywo narzuconym płaszczu i z potarganymi włosami. Miał trupio bladą twarz, a oczy szeroko otwarte jak ktoś, kto widzi szubienicę i wie, że pętla zaciśnie się na jego szyi.

— Ty to zrobiłeś — wyszeptała Księżyc i dodała głośniejszym głosem: — Własną ręką oddałeś go Kamiennemu Królowi.

— Musiałem — szepnął. — On zrobił ze mnie żebraka. Mój syn był ceną, jaką musiałem zapłacić.



— Wysłałeś go pod ziemię i pozwoliłeś mojej nauczycielce iść za nim... po śmierć, żeby zapłacić tę cenę.

— Chodziło o moje życie!

— Czy twoja pani wie, co zrobiłeś?

— Jego pani mu w tym pomogła — odezwała się królowa, wyłaniając się z ciemności korytarza. Stała wysoka i spokojna, jakby z ulgą witała pętlę szubienicy. — Ponieważ król jest jej miłością, a to był tylko syn. Ponieważ bała się stracić władzę. Ponieważ była głupia i słaba.

Potem dochowała tajemnicy, gdyż jej serce było złamane i pełne ciemności; myślała, że nie może się stać nic gorszego niż to, co już się stało.

Księżyc zwróciła się do króla.

— Opowiedz — rozkazała.

— Polowałem w pojedynkę — zaczął król drżącym głosem. — Trafiłem na niedźwiedzia.

Miałem w sobie młodzieńczą dumę, ale moje ramię było już stare i niedźwiedź okazał się zbyt trudnym przeciwnikiem. Leżałem w kałuży krwi, niemal już nic nie widziałem, kiedy usłyszałem kroki. Zawołałem o pomoc. „Umierasz” — powiedział, a ja z płaczem temu zaprzeczyłem. „Nie chcę umrzeć” — powtarzałem. Obiecałem mu wszystko, co zechce, jeśli ocali mi życie — głos króla załamał się i ucichł.

— Gdzie? — zapytała Księżyc. — Gdzie to się stało?

— W lesie pod Skarpą Starszych. Niedaleko wodospadu, z którego wypływa strumień zwany Roześmianą Dziewczyną.

— Pokaż mi drogę — rozkazała.

Niebo było białe od mgły, powietrze ciche i gorące. Idąc, Księżyc ocierała pot z czoła. Mogła zażądać konia, ale po całej drodze, jaką dotąd przebyła pieszo, ten kawałek wydawał się krótki.

Miała nadzieję, że pod drzewami znajdzie trochę chłodu.

Nie znalazła; za to komary i muchy cięły jeszcze bardziej. Księżyc odpędzała je, wspinając się powoli po kamieniach. Minęło wiele czasu, zanim usłyszała, a potem zobaczyła wodospad.

Rozejrzała się w poszukiwaniu polany, zastanawiając się, czy było ich wiele. A może tylko jedna i tak mała, że minie ją, nie zauważywszy? Spadająca woda pluskała równym rytmem, jak bęben, jak bicie serca.

W smudze słonecznego światła dojrzała plamę mlecznej bieli — kwiat, okrągły i płaski jak talerz, skarłały od przedwczesnego kwitnienia. Spojrzała w górę i stwierdziła, że stoi na skraju polanki i nie

jest sama.

Miał na sobie zbroję z matowych szarych płyt o fantastycznych ornamentach i lśniąco czarnych krawędziach. Na zbroję zarzucił szary płaszcz, odrzucony do tyłu, lecz z kapturem nasuniętym głęboko na oczy. Księżyc nie zdołała dojrzeć jego twarzy.

— Normalną koleją rzeczy — odezwał się spokojnym, dźwięcznym głosem — to ja szukam tych, których chcę widzieć. Nie jestem przyzwyczajony do nieproszonych gości.

Zbroję zrobiono z łupku i obsydianu, gdyż był to Kamienny Król.

Nie była w stanie wymówić słowa. Mogła rozkazywać królowi w Dąbrowie, ale ten nie zawdzięczał władzy starożytności krwi ani poparciu istot śmiertelnych. Była to ucieleśniona moc, milcząca siła strachu i przerażenia.

— Przyszłam po człowieka i jego duszę — wyszeptwała. — Zabrano je nieprawnie.

— Nic nie biorę nieprawnie. Czy jesteś pewna?

Poczuła na twarzy gorąco, potem zimno na myśl o tym, co powiedziała: oskarżyła go.

— Nie — przyznała głosem ochryłym ze strachu. — Ale nieprawnie ci go oddano. Nie należał do nich, nie mieli prawa go oddać.

— Mówisz o księciu Królestwa Dębu. To byli jego rodzice. Czy pozwoliłabyś, by ktokolwiek zakazał ci oddać coś, co jest twoim dziełem?

Księżyc otworzyła usta, ale zamknęła je przerażona. Jej umysł był bezsilny na taką logikę, podążył za pytaniem aż do jego korzeni. Głośno wypowiedział to, co ona pomyślała.

— Byłaś świadkiem uśmiercenia dziecka w łonie matki po to, by ocalić jej życie. Jaka to różnica?

— To jest różnica! — zawołała. — Był dorosłym mężczyzną, ukształtowanym przez to, co czynił, i wybory, jakich dokonywał.

— Miał uśmiech matki i nos dziadka. Jego ojciec uczył go jeździć konno. Jaka jego część nie pochodziła od kogoś innego? Powiedz mi, a może oddam ci tę część.

Księżyc podniosła dłoń do ust, jakby chciała zmusić się do zastanowienia, zanim przemówi.

— Jego ojciec nauczył go jeździć konno — powtórzyła. — Jeśli koń odmawia przejścia przez rów, co sprawia, że ojciec używa ostróg, a syn zsiada i przeprowadza wierzchowca? Ma uśmiech matki — ale dlaczego inne rzeczy rozśmieszają ją niż jego?

— Właśnie, dlaczego? — zapytał Kamienny Król. — No dobrze, jeśli chodzi o argumenty, przyznaję, że mogę mieć wątpliwości co do jego umysłu i serca. Co z ciałem?

— Ciało rozwija się dzięki pożywieniu i ćwiczeniom — odparła Księżyc. Przynajmniej na tym gruncie czuła się pewnie. — Czy uważasz, że król i królowa robili to za niego?

Kamienny Król odrzucił do tyłu zakapturzoną głowę i roześmiał się dźwięcznym, zimnym śmiechem. Śmiech ten zmniejszył przerażenie Księżycy do niemal normalnego poziomu.

Odstąpiła krok do tyłu i oparła się o drzewo.

— A jego dusza? — zapytał w końcu Kamienny Król.

— Nie należała ani do jego matki, ani do ojca — odparła Księżyc ledwie słyszalnym głosem.

— Jeśli należała do kogokolwiek poza nim samym, na pewno nie dostałeś jej od Niej.

Przez długi czas na polance panowała cisza. W końcu przerwał ją Król.

— Dostałem nauczkę. Ale zawarłem umowę i dotrzymałem słowa. Obie strony wiedziały, co obiecują i co to oznacza. Zgodnie z literą prawa umowa została wypełniona.

— To nieprawda. Ze strachu król obiecał ci wszystko, ale nigdy nie miał na myśli życia swego syna!

— W takim razie mógł mi odmówić i umrzeć. Powiedział „wszystko” i to miał na myśli: życie syna, królowej i całe królestwo.

Zamilkła pokonana. Jednak, choć brakło jej słów, wciąż czuła gniew na to, co się stało, a co, jak wiedziała, było złe. Odezwała się więc głośno:

— To jest złe. Nie wolno zawierać takiej umowy ani tym bar dziej dotrzymywać jej. Jestem tego pewna.

— Skąd to wiesz? — zapytał Kamienny Król.

— Mówi mi to mój rozsądek. Mój umysł. — Księżyc chrząknęła. — Moje serce.

— Aha. A co ja mogę wiedzieć o twoim rozsądku? Czy warto mu zaufać?

Przeciągnęła palcami po twarzy. Mówił lekkim tonem, ale Księżyc wiedziała, iż pytanie wcale nie było łatwe. Musiała odpowiedzieć prawdę; musiała zdecydować, czym była prawda.

— Nie jest doskonały — odrzekła niechętnie. — Ale tak, myślę, że nie ustępuje rozsądkowi większości ludzi.

— Czy ufasz mu na tyle, by poddać go próbie?

Księżyc uniosła głowę i zaskoczona spojrzała na niego.

— Co?

— Poddam próbie twoją mądrość. Jeśli ją przejdzie, pozwolę ci uwolnić księcia. Jeśli nie, zabierzesz do domu gniew, złość i świadomość klęski, by pielęgnować je jak dzieci do końca życia.

— Czy to przepowiednia? — zapytała Księżyc ochryple.

— Jeśli chcesz, możesz tak uważać. Czy poddasz się próbie?

Drżąc, wzięła głęboki oddech.

— Tak.

— Zatem podejdź bliżej.

Pod kapturem i hełmem nie było kamienia ani głowy potwora. Była twarz o jasnej skórze, sucha i żylasta, bez śladu miękkości, oraz czarne długie włosy wymykające się spod kaptura.

Oczy kryły się w cieniu, chociaż światło padające na polanę powinno uczynić widoczną całą twarz. Księżyc spojrzała na niego, przestraszona bardziej, niż gdyby zobaczyła potwora, gdyż wiedziała, że nic w jego wyglądzie nie odpowiadało jego prawdziwej postaci.

— Zanim zaczniemy — powiedział cichym, zimnym głosem. — Jest jeszcze jedno życie, o które mnie nie prosiłaś, chociaż myślałem, że najbardziej będzie ci zależało właśnie na nim.

Serce dziewczyny podskoczyło; zamknęła oczy.

— Sowa.

— Nie możesz jej odzyskać. Tutaj nie było oszustwa. Ją przynajmniej wzięłem uczciwie, ponieważ powitała mnie moim imieniem i powiedziała, że cieszy się z naszego spotkania.

— Nie! — zawołała Księżyc.

— Była chora, nieuleczalnie, już wtedy, kiedy odchodziła od ciebie. Jednak poprosiła mnie, bym na jedną noc użyczył jej skrzydeł, by mogła cię powiadomić. A ja z chęcią spełniłem tę prośbę.

Myślała, że wypłakała już wszystkie łzy. Ale ta ostatnia śmierć, śmierć głupiutkiej, dziecinnej nadziei sprawiła, że do oczu znów napłynęły jej ciche łzy — z żalu zarówno po niej, jak i po Sowie.

— Zatem próba. — Wyciągnął ręce z zaciśniętymi pięściami. — Masz tylko wybrać —

powiedział. Otworzył dłonie i pokazał jej dwa pierścienie, złoty i srebrny.

Spojrzała na pierścienie, potem na niego; wyraz jej twarzy musiał być łatwy do odczytania.

— Jesteś czarodziejką — wyjaśnił Kamienny Król z lekką drwiną. — Srebro czy złoto? Lewy czy prawy? Noc czy dzień, księżyc... — znów drwina zabrzmiała w jego głosie — czy słońce, woda czy ogień, wzrastanie czy zmniejszanie się, kobieta czy mężczyzna. Zapomniałem o czymś?

Księżyc wytarła łzy z policzków i w skupieniu przyjrzała się pierścieniom. Były to zwykłe, polerowane krążki metalu, na pewno nie mające służyć do noszenia na palcach. Nieskazitelne, bez śladu rys czy plam.

Srebro czy złoto. Wydobywane z ziemi, przekuwane w ogniu, chłodzone w wodzie, poddane wpływom powietrza. Złoto było rzadsze, srebro twardsze, ale oba to czyste metale. Czy powinna wybrać rzadziej spotykany? Czy twardszy? Jaśniejszy kolor? Ale oba były jasne i błyszczące.

Kolor księżycyca? Przecież widziała księżyc nisko na niebie, żółty jak brzoskwinia. A światło księżycyca było odbitym światłem słońca, które jest żółte, chociaż na niebie widać je jako oślepiającą plamę bieli, a jego metalem jest złoto. To nie był żaden wybór.

Krew napłynęła jej do twarzy; dłonie w rękawicach i leżące na nich pierścienie zamazały się.

To prawda. Zawsze tak myślała.

Podniosła wzrok na Kamiennego Króla.

— To nieprawdziwy wybór. Oba są równe.

Kiedy powiedziała te słowa, serce podskoczyło jej raz, z przerażeniem. Została pokonana, została głupcem. Kamienny Król znów zacisnął dłonie, kryjąc pierścienie.

— W dół ścieżką do granitowego głazu, a potem pomiędzy dwiema leszczynami — powiedział. — Tam go znajdziesz.

Została sama na polanie.

Księżyc poszła ścieżką, oszołomiona ulgą po tak silnym napięciu. Znalazła kamień i dwie młode leszczyny, smukłe i pokryte delikatną zielenią. Przeszła między nimi.

Natychmiast znalazła się w pełnym świetle słońca i dziwnym otoczeniu. Kolejna polana porośnięta wysoką trawą i wiosennymi kwiatami, otoczona kwitnącymi drzewami — ale na kwitnących drzewach nie powinno być jednocześnie owoców; to tak, jakby próżne dziecko włożyło naraz wszystkie swoje najlepsze ubrania. Księżyc spostrzegła jabłka, wiśnie i gruszki pod delikatną okrywą liści — były dojrzałe i bez skazy. Po przeciwnej stronie polany z trawy wyrastała kamienna półka. Na niej, jak gdyby śpiąc, leżał młody, bogato ubrany mężczyzna.

„Złote włosy” — pomyślała. „To dlatego tak lekko zaznaczono je na rysunku. Jak bursztyn albo miód”.

Obok kamienia czarne konary nagle podniosły się, odsunęły od reszty, a pień... to nie drzewo.

Na polanę wkroczył jeleni, wielkim porożem strząsając kwiaty z jabłoni. Był czarny jak węgiel, miał lśniące czernią poroże z co najmniej tuzinem odgałęzień i duże, czerwone oczy.

Parsknął i pochylił głowę; teraz widziała go poprzez las gładkich czarnych sztyletów.

Wierzgnął rozszczępionym kopytem, wyrywając nieco darni.

„Przeszłam próbę!” — krzyknęła w myśli. Czyż nie zwyciężyła? Dlaczego jeszcze to?

„Znajdziesz go tutaj” — powiedział Kamienny Król. Po chwili jej gniew wzrósł, kiedy przypomniała sobie, co jeszcze powiedział król: „Pozwolę ci uwolnić księcia Królestwa Dębu”.

Co, na niebiosa, miała zrobić? Gołymi rękami pokonać jelenia? Odstraszyć go groźną miną?

Zamienić w...

Na tę myśl krzyknęła lekko, co sprowokowało jelenia do ataku.

Uskoczyła za pień wiśni. Rozległ się trzask dartej tkaniny, kiedy jeleni zahaczył o jej płaszcz.

Postać na kamiennej półce nie poruszyła się. Obserwowała ją, szukając śladu oddechu, choć wiedziała, że powinna skupić uwagę na jeleniu.

— Och, co za głupia sztuczka! — powiedziała w powietrze, po czym krzyknęła na jelenia: —

Kwiat, łodyga, liść dla ciebie, niechaj wróci on do siebie. Ciało i umysł znów człowieka, a jeleni czy łania niechaj ucieka! — Po namyśle uznała, że to niemądre słowa, gdyż z pewnością nie miała przed sobą łani.

Leżał na wznak na trawie, nagi, z rozrzuconymi miodowymi włosami. Miał zamknięte oczy, ale brwi zmarszczone, jakby usiłował się obudzić. Opalona ręka zgięła się i znów wyprostowała.

Powieki uniosły się nagle, odsłaniając przymglone oczy; palce drgnęły — w końcu na nie spojrzął, zmuszając się do tego i bojąc się, co zobaczy. Księżyc usłyszała gwałtowne wciągnięcie powietrza. Na kamiennej półce nie było nic.

Poruszenie po przeciwnej stronie polany skłoniło Księżyc do podniesienia wzroku. Pomiędzy drzewami stał Kamienny Król w szarej zbroi. Blask słońca odbijał się od niej i oświetlał poważną twarz, przenikając cień, w którym kryły się jego oczy. Zobaczyła, że oczy miał zielone jak szalwia.

Księżę podniósł się na łokciach. Księżyc zauważyła, że dreszcze przebiegają po jego ramionach i plecach. Zdjęła podarty płaszcz i otuliła go nim.

— Możesz mówić? — zapytała, znów spoglądając w górę. Na polance nie było nikogo oprócz nich.

— Nie... tak — zakrakał ochryple i zaśmiał się słabo. Wyciągnął przed siebie drżącą rękę. —

Powiedz: nie widzisz kopyt, prawda?

— Nie, ale miałeś je aż cztery. W tej postaci nie wywołujesz tak mocnego wrażenia.

Znów się zaśmiał, tym razem z głębi piersi.

— Nie widziałaś mnie w atlasach, obwieszzonego biżuterią jak tańczący słoń.

— Całe szczęście. Możesz wstać? Jeśli chcesz, oprzyj się na mnie. Musimy stąd odejść.

Chwycił jej ramię — długie palce uczonego były bardzo silne — i z wysiłkiem podniósł się na nogi, po czym ciasniej owinął się płaszczem.

— Którędy?

Droga przez las była dla niej trudna, gdyż widziała, jak mu ciężko — bosy, zdezorientowany, wyrwany ze swego czasu i miejsca. Po kolejnym potknięciu oparł się ciężko o drzewo.

— Mam nadzieję, że to minie. Chwilami wydaje mi się, że pamiętam ten las, ale widzę go tak, jakbym miał oczy po obu stronach głowy.

— Wspomnienia bledną — pocieszyła go. — Nie martw się.

Z bólem na twarzy spojrział na nią szybko.

— Na pewno? — potrząsnął głową. — Przepraszam... czy powiedziałaś mi swoje imię?

— Nie. Nazywam się Sierp Księżyca.

— Rosnący czy malejący? — zapytał poważnie.

— Zależy od chwili.

— To ma sens. Możesz mnie nazywać Robin?

— Jeśli chcesz.

— Chcę. Chyba bardzo podoba mi się to, że znów mam imię.

Wreszcie drzewa skończyły się i na zielonym stoku pagórka trafili na gospodarstwo. W

drzwiach domu stał mężczyzna, obserwując ich. Kiedy podeszli na tyle blisko, by dojrzeć jego łysą głowę i wełniany płaszcz, poruszył się, zrobił trzy niepewne kroki, po czym krzyknął i pobiegł w ich stronę. W drzwiach pojawiła się wysoka, pulchna kobieta, poprawiająca fartuch.

Ona też zaczęła biec.

Mężczyzna zatrzymał się tuż przed nimi; miał otwarte usta, na twarzy wyraźnie widoczną nadzieję — i strach, że okaże się fałszywa.

— Wasza Wysokość?

Kobieta podeszła do mężczyzny; po jej twarzy spływały łzy.

— Grępel, nie trzymaj ich na podwórku — powiedziała spokojnie. — Wyglądają, jakby przeciągnięto ich przez kępę głogu; pewnie są głodni jak wilki. — Jednak podeszła bliżej i niepewnie dotknęła jego policzka. — Wróciłeś — wyszeptała.

— Wróciłem.

Nakarmili ich porządnie, a Robina ubrali w przyzwoite płótno i skórę należące do najstarszego syna Grępla.

— Musimy iść — powiedział w końcu z żalem książę.

— Oczywiście — zgodził się Grępel. — Oj, w pałacu ucieszą się na wasz widok.

Księżyc znów ujrzała cień bólu przemykający po twarzy Robina. Szli przez młode paprocie; za ich plecami zachodziło słońce.

— Wolałbym... — zająknął się Robin i zaczął jeszcze raz: — Wolałbym nie iść jeszcze dzisiaj do pałacu. Czy ci to przeszkadza?

Księżyc poszukała wzrokiem jego twarzy.

— Czy chcesz zostać sam?

— Nie! Byłem sam... jak długo? Rok? Wystarczy. Chyba że nie chcesz nocować pod gołym niebem.

— Byłoby głupotą skończyć z tym teraz, kiedy właśnie zaczęłam nabierać wprawy —

odrzekła Księżyc rażno.

Rozłożyli się na nocleg pod osłoną wzgórza nad potokiem; niebo ciemniało i gwiazdy iskrzyły się jak kryształki lodu. Nie musieli szykować strawy, ale Księżyc mimo to rozpałała ognisko.

Była świadoma jego spojrzenia; wiedziała, kiedy na nią patrzył, i dziwiła się, że tak to odczuwa.

Kiedy zapadła całkowita ciemność i Robin leżał wpatrzony w płomień, odezwała się:

— Zatem wiesz?

— Jak zostałem...? Tak, tuż przedtem, zanim... była chwila, kiedy wiedziałem, co zrobiono i kto to zrobił. — Przyłożył opalone palce do ust i milczał przez chwilę, po czym podjął: — Czy byłoby lepiej, gdybym nie wracał?

— Zrobiłbyś to?

— Gdyby tak było lepiej.



— I czym byś się zajął?

Westchnął.

— Odszedłbym gdzieś i uprawiał jabłka.

— Nie byłoby lepiej — odpowiedziała Księżyc z rozpaczą.

— Musisz wrócić. Niestety nie wiem, co zastaniesz po powrocie. Nałożyłam na twoich rodziców klątwę i banicję i naprawdę nie wiem, co z tym zrobili.

Spojrzał na nią; w jego oczach odbijał się blask ognia.

— Zrobiłaś to? Królowi i królowej Królestwa Dębu?

— Sądzisz, że na to nie zasłużyli?

— Chciałbym, żeby nie zasłużyli. — Zamknął oczy i opuścił głowę na złożone ramiona.

— Myślę, że naprawdę jesteś sercem tej ziemi — stwierdziła zaskoczona Księżyc.

Otworzył szybko oczy.

— Kto tak powiedział?

— Strażnik przy bramie pałacu. Zapewne na twój widok padnie na kolana.

— Wielki żal i popioły — powiedział książę. — Może uda mi się przemknąć tylnymi drzwiami.

Rozstali się następnego dnia, kiedy w zasięgu wzroku mieli mury Wielkiej Dąbrowy.

— Nie możesz zostawić mnie z tym samego — zaprotestował Robin.

— Jak mogłabym ci pomóc? Wiem o tym mniej od ciebie, chociaż miałeś rok przerwy.

— W ciągu roku wiele się zdarzyło — odrzekł cicho.

— I wiele nie zdarzyło. Poradzisz sobie. Pamiętaj, że wszyscy cię kochają i potrzebują.

Pomyśl o nich i nie będziesz się o siebie martwił.

— Mówisz z doświadczenia?

— Trochę tak. — Księżyc poczuła ucisk w gardle. — Ale ja jestem wiejską czarodziejką i moje miejsce jest na wsi. Dwa tygodnie piechotą na wschód, tuż za Rzeką Kowala. Jeśli kiedykolwiek będziesz robił objazd włości, wpadnij na herbatę.

Odwróciła się i odeszła, by nie zdołał powiedzieć nic głupiego — i żeby samej nic takiego nie

powiedzieć.

W ciągu następnych tygodni Księżyc zastanawiała się, jak podróż mogła się jej wydawać tak dziwna. Nawet jeśli Morski Las zdawał się pełen duchów, nie należały one do niej. Trawiasta równina robiła wrażenie, ale była to tylko równina, męcząca do przejścia z powodu gorąca. W

Małej Dąbrowie zatrzymała się na noc. Jasnowłosy chłopak rozpoznał ją.

— Znalazłaś swoją nauczycielkę? — zapytał.

— Nie. Umarła. Ale musiałam się o tym dowiedzieć. Podróż nie poszła na marne.

Wiedział, że księżę wrócił; wszyscy to wiedzieli, jakby nowina płynęła przez królestwo jak niesione wiatrem nasiona dmuchawca. Nie wspominała o tym.

Wróciła do domu i zaczęła porządkować swoje sprawy. Nie zajęło to wiele czasu. Ogród nie na wiele się przyda w tym roku, ale wystarczy tego, co jest; przepelniały go samosiejki z zeszłorocznych nasion. Rzuciła się do pracy; to balsam dla serca. Skupiała się na potrzebach sąsiadów, by nie myśleć o własnych. Teraz wiedziała, że miała rację: ziemia, powietrze, ogień i woda przenikały się wzajemnie i łączyły, jak srebro i złoto. Jak radość i cierpienie.

— Wyrosłaś — powiedziała jej Tansy z Szerokiej Wody, ale z wahaniem, jakby miała na myśli coś innego niż wzrost, co mogłoby być nieskazoną radością.

Rok płynął, zbliżała się noc świętojańska i jej huczne obchody. W wieczór sobótkowy Księżyc poszła na tańce do wsi i przez godzinę przypatrywała się zabawom, po czym znów znalazła się na ścieżce prowadzącej na wzgórze. Czuła się bardzo stara. Następnego dnia założyła fartuch i zabrała się do wykopywania chwastów spomiędzy kamieni ścieżki w ogródku.

Poczuła dudnienie w ziemi, jeszcze zanim je usłyszała. Tętent kopyt zdążających pod górę.

Wstała.

Koń był kasztanowy, a jeździec miał miodowe włosy. Przy furtce ściągnął wodze, zsunął się z siodła i spojrzał na nią z pytaniem w oczach. Nie była pewna, o co chodzi, ale wiedziała, że to pytanie.

Odzyskała głos.

— Objazd włości?

— Wcale nie. — Głos brzmiał tak, jakim go pamiętała w chwilach, kiedy nie starczało jej rozsądku, by hałasem przyćmić wspomnienia. — Czy mimo to dostanę herbaty? Ręce miała zimne i zawinięte w fartuch.

— Mięta?

— Chętnie. — Przywiązał wodze konia do furtki i wszedł.

— Jak potoczyły się sprawy? — odetchnęła głęboko i przekłęła swoje usta za to, że były tak suche.

— Źle tam, gdzie nie można było nic poradzić. Rodzice wybrali wygnanie. Tęsknię za nimi —

to znaczy tęsknię za tym, jacy byli kiedyś. Reszta ułożyła się całkiem dobrze. To zawsze było miłe, rozsądne królestwo.

Teraz, kiedy był bliżej, Księżyc widziała, jak przy przełykaniu porusza mu się skóra na szyi, jak kciukiem wciąż obraca pierścień na środkowym palcu.

— Księżycu — rzekł wreszcie cicho, jakby było to pierwsze słowo, jakie wypowiedział.

Wyciągnął coś zza pazuchy i podał jej. — To dla ciebie — dodał lżejszym tonem. —

Zdziwiłabyś się, jak trudno je znaleźć, kiedy ich szukasz. Pomyślałem, że lepiej zerwę je po drodze, skoro już znalazłem, i dam ci zgniecione i suche, niż gdybym miał przyjechać z pustymi rękami.

Podskoczyła, widząc zieloną łądźkę, kępkę atramentowych, jeszcze nie zblakłych kwiatów, i czując delikatny, słodki zapach wanilii. Zacisnęła dłonie na fartuchu.

— To heliotrop — udało jej się wykrztusić.

— Wiem.

— Czy... wiesz, co on oznacza?

— Wiem.

— Oznacza oddanie.

— Wiem — powiedział Robin. Spojrzał jej w oczy, jak wtedy, kiedy wypowiedział jej imię, ale jego twarz lekko przygasła. — Trochę zgnieciony i przywędły, ale twój, jeśli zechcesz go przyjąć.

— Jestem wiejską czarodziejką — powiedziała Księżyc z większą siłą, niż zamierzała. — I nie zamierzam przestać nią być.

Robin uśmiechnął się dziwnym, smutnym uśmiechem.

— Nie powiedziałem, że powinnaś. Ale kwiat jest twój, czy go chcesz, czy nie. A chciałbym, byś go wzięła, bo ręka mi cierpnie.

— Och! — Księżyc gwałtownie podniosła dłonie z fartucha. — Czy w tym przeklętym ogrodzie znajdzie się roślina, która oznacza „ja też cię kocham”? Do licha!

Rzuciła mu się w ramiona, a on objął ją mocno.

Dawno, dawno temu w Królestwie Dębu rządził młody, piękny, dobry i mądry król, który

wyhodował nie mniej niż sześć nowych odmian jabłek. Dawno temu, w tym samym czasie w Królestwie Dębu była królowa, która zrozumiała zagadkę pierścieni ze złota i srebra: wszystko jest połączone bez początku i końca, niczego nie da się zrozumieć, póki wszystko to, co rozdzielono, nie zostanie znów połączone. Nie żyli wiecznie, gdyż nic nie trwa wiecznie; jednak żyli tak długo, jak trzeba, a potem przeszli razem do kraju, w którym drzewa pokryte są równocześnie kwiatami i owocami, a wiosenne kwiaty nigdy nie więdną.

*Przełożyła Katarzyna Krawczyk*

*Karen Haber*

## **Pofruniemy**

### **(Up the Side of the Air)**

W wysoko sklepionej komnacie domu maga Nestora było zimno. Ogień przygasł do ponurego żaru, a lodowaty wiatr gwizdał przez dziurę w oknie i igrał między krokwiemi.

Czarodziej studiował księgę z zaklęciami, zagłębiając się w wyblakłe runy, zanim ciepło ogniska nie ukołysało go do snu. Na jego kolanach leżała otwarta księga o złoconych brzegach.

Nagle, obudzony przez zimny podmuch, usiadł gwałtownie, wydając wpół urwane chrapnięcie, i rozejrzał się po pokoju.

Drżąc z zimna, otulił się ciasno swą białą futrzaną szatą, zamknął z trzaskiem książkę i podniósł się. Jego znoszone czarne buty skrzypiały: były stare i już dawno powinny zostać natłuszczone.

Mag Nestor był zylastym, siwym mężczyzną o głowie otoczonej chmurą włosów, z długą, spiczastą białą brodą i jasnymi, szarymi oczami skrywającymi głęboko błękit. Jego skóra była pomarszczona jak brązowa kora. Tak naprawdę to był o wiele starszy od najstarszych drzew rosnących w Górach Fennetowych. Nestor poruszał się jednak z energią kogoś co najmniej o połowę młodszego.

— Ogień — zamruczał. — Zakłęcie ognia. No dalej, znasz je jak swoje prawdziwe imię. —

Zwrócił się z podniesionymi ramionami ku ciemnemu palenisku i wykrzyknął głosem wielkiego drapieżnego ptaka trzy krótkie, szorstkie sylaby, a później wydał z siebie miękki gwizdzący dźwięk. Płomienie natychmiast znów się pojawiły, kąpiąc twarz maga w pomarańczowym świetle. Pokiwał z satysfakcją głową, aż biała broda podskakiwała na piersi, po czym wyciągnął

długie, sękate palce ku trzaskającemu ciepłu. — Zaraza na Joteya! — powiedział — Zaufaj temu chłopcu, a źle wypowie zakłęcie i sam zniknie. No cóż, stało się i teraz ja muszę wszystko robić sam. — Nestor wyciągnął rękę po czarny żelazny czajnik, napełnił go w wiadrze stojącym przy palenisku i zawiesił nad ogniem.

Woda jeszcze się nie zagotowała, gdy drzwi domu zaskrzypiały na starożytnych zawiasach i powoli się otworzyły. Renno, służący maga o długoletnim stażu, stanął na progu odziany w szare futro. Był małym, silnym mężczyzną o smoliście czarnych włosach, zaplecionych w gruby warkocz spływający

do połowy pleców. Miał oczy czarne jak węgiel, rumiane policzki i bulwiasty, błyszczący nos, zdradzający teraz poczucie winy. Był podobny do lalek sprzedawanych przez handlarzy talizmanów podczas festynu na Rondyjskim rynku. U jego boku stała, trochę niepewnie, osoba niemal całkowicie zakryta przez szorstki czarny płaszcz pasujący raczej na większą figurę. Nowy uczeń — zdał sobie sprawę Nestor.

— Dobrze — powiedział. — Przyprowadziłeś go. Renno podniósł ręce — Och, mędrze...

— Nie stój w drzwiach, Renno. W środku jest wystarczająco zimno. Wejdz i zamknij drzwi.

Im wcześniej się ogrzejecie, tym prędzej będziemy mogli wyznaczyć chłopcu obowiązki.

— O wielki i potężny czarodzieju...

— Dość paplaniny, człowieku! I przestań tam dreptać. Chodź. Wejdzcie obaj i ogrzejcie się przy ogniu. — Mag postawił jeszcze dwie miseczki obok własnej i nalał z czajnika aromatycznego naparu, znad którego unosiła się złota mgiełka.

Służący jeszcze raz otworzył usta, jak gdyby chciał coś rzec. Później wzruszył ramionami i przysunął się do ognia. Mała postać w płaszczu zatrzymała się, by zamknąć drzwi, po czym podążyła ku ciepłu za Renno.

— Płomienna herbata — powiedział mag. — Masz. Wypij. W noc taką jak ta ogrzewa ciało i duszę.

Mała rączka wysunęła się spod płaszcza, by wziąć miseczkę.

— Wypij, póki gorące — rzekł mag uprzejmie. Najlepiej wykazać się odrobiną uprzejmości, gdy poznaje się nowego ucznia.

Miseczka została uniesiona ku kapturowi, przechylona i natychmiast opróżniona. Przybysz odstawił puste naczynie.

— Dobry apetyt — powiedział mag do Renno. — Urośnie jak na drożdżach.

Mała rączka odrzuciła teraz kaptur. Ukazała się splątana masa kręconych rudych włosów błyszczących w świetle ognia. Jasnoniebieskie oczy mrugnęły do maga, a różowe usta skrzywiły się w nieśmiałym uśmiechu.

— Nazywam się Dora — miękko powiedział nowy uczeń. — Czy teraz będę tutaj mieszkać?

Nestor huknął miseczką tak mocno, że żelazo zadzwoniło, uderzając o zielone kamienie paleniska. Odwrócił się do Renno i odkrył, że służący nagle znalazł coś pilnego do zrobienia przy pojemniku z drewnem.

— Co to jest? — zapytał mag.

— Co jest co, mistrzu? — spytał Renno, wciąż odwrócony.

— To.

Mag wskazał na dziecko.

— Nie jestem pewien, ja...

Mag głęboko westchnął.

— Nie rób ze mnie głupca, Renno. Możesz być głupi, ale nie sądziłem, że jesteś aż tak tępy.

Przyprowadziłeś dziewczynę. Poleciałem przyprowadzić chłopca, czyż nie?

Renno patrzył potulnie.

— Tak, panie.

— Więc dlaczego widzę tutaj dziewczynę?

Głos Renno stał się jeszcze potulniejszy. — Panie, nie było chłopców.

Ani jednego?

— Turniej organizowany przez księcia odciągnął wszystkich młodych mężczyzn do Brabancji.

— powiedział Renno. — Nie mogłem znaleźć na rynku nic innego oprócz znużonych staruszków i ledwo odstawionych od piersi dzieci. A nawet oni byli niewyobrażalnie drodzy.

Nestor patrzył na niego gniewnie. — Lepszy staruszek niż głupia dziewczyna! Co ja mam z nią zrobić, Renno? Powiedz mi, jaki mag bierze dziewczynę za ucznia? Co powiedzą na zgromadzeniu, które odbędzie się za pół miesiąca? — Mag wściekle potrząsnął głową. — Musisz ją zabrać z powrotem.

— Z powrotem? — Czarne oczy Renno zachmurzyły się. — Nie, panie, nie możesz tak zrobić! Targ jest już zamknięty. A ona nie ma dokąd pójść. Jest sierotą. Nie ma nikogo. Nie możemy jej wyrzucić na mróz.

— Ba, masz miękkie serce i miękki mózg — powiedział zrzęd liwie Nestor. — Zawsze tak mówiłem. I dokładnie taki jesteś.

Wzrok Renno wyrażał głęboką skruchę. — To prawda. Nigdy bym nie śmiał temu zaprzeczyć.

— Nie pogarszaj sytuacji swoim głupawym potakiwaniem — zagrmiał mag. — Jak możemy ją zatrzymać? Jaki z niej pożytek? Pytam się, co dobrego może tu działać?

— Cóż, możesz nauczyć ją paru rzeczy...

Oczy maga były lodowato zimne. — Jakich na przykład?

— Rzeczy. — Służący utkwiał oczy w podłogę z szerokich desek. — Może się uczyć.

Przynajmniej troszeczkę.

Nestor nie był pewny, czyjego twarz wyrażała prawdziwy smutek czy czystą przebiegłość.

— Mógłbyś zatrzymać ją chociaż do następnego targu — kontynuował Renno. — Odbędzie się pod koniec miesiąca. Zabiorę ją wtedy i sprzedam.

— Ale to będzie już po zebraniu! — powiedział Nestor. — Co ja mam zrobić z wielkim zgromadzeniem? Powitać braci bez pomagającego mi ucznia?

— Możesz ją wyszkolić.

— W czarodziejstwie?

— O tym właśnie myślałem, panie. Nie należy udawać się na spotkanie bez ucznia. — Reno przestał na chwilę mówić. — Zwłaszcza że Dalbaeth na ciebie tam czeka.

Nestor skrzywił się. — Zostaw martwienie się Dalbaethem mnie. Ten nędznik nigdy mi nie wybaczył, że kiedyś pokonałem jego ojca. Ale nie przejmuj się. Mogę sobie z nim poradzić, z uczniem do pomocy, jak i bez. — Nestor skierował wzrok na Dorę. Potrząsnął głową. — Poza tym popatrz, jaka ona mała. I te drobniutkie rączki. Nie nadają się do zaklęć.

Najprawdopodobniej do prac domowych też nie.

— To nie tak — wtrąciła się Dora. — Umiem sprzątać. I gotować. Zobaczycie.

Mag popatrzył na nią z namysłem, a jego szare oczy zabłyszczały niebiesko. Dzikie zawrodożenie wiatru wydawało się wzmagać i cichnąć. Dziecko czekało, przypatrując mu się bez lęku.

— Och, no dobrze — powiedział. — Przypuszczam, że nie mogę odesłać cię w środku nocy, nieprawdaż? Możesz spać na sienniku przy palenisku, dziewczynko. I postaraj się poskromić swą ciekawość. Mam jeszcze ważne rzeczy do zrobienia i nie chcę, żeby mi przeszkadzała jakaś mała gadulińska papla.

— Nie jestem ani paplą, ani gadułą, ani niczym takim — po wiedziała. Po czym zwinnie, potrząsając błyszczącą główką, zebrała miseczki i zanurzyła je w misce z białego kamienia stojącej na mocnym drewnianym stojaku. Zajęła się szorowaniem i wycieraniem ich. Gdy już skończyła, miseczki błyszczały w świetle świec czystsze niż kiedykolwiek. Bez słowa dziewczynka wspięła się na słomiany siennik, skuliła pod płaszczem i zapadła w sen, zanim mag zdążył rzucić na nią jakiegokolwiek zaklęcie snu.

— Na noc — zamruczał Nestor, potrząsając stanowczo głową. — Ale tylko na noc. —

Odchylił się w swoim dużym fotelu przy ogniu, otworzył książkę z zaklęciami i zapadł w sen, nim zdążył przeczytać pierwsze zaklęcie przywoływania miłych snów.

Rano Nestor obudził się, czując zapach piekących się owsianych ciasteczek i podgrzewanego mleka. Książka leżała na jego kolanach promieniujących starym i dobrze znanym bólem.

— Herbata gotowa. — powiedział obcy głos. Był wysoki i śpiewny, odrobinę sepleniący.

Mała rączka wyciągnęła miseczkę z parującą herbatą.

— Ee? — Nestor spojrział z zakłopotaniem na niebieskie oczy i zadarty nos. — Dziewczyno, co ty tutaj robisz?

Zniecierpliwienie przemknęło przez jej twarz. — Pozwoliłeś mi zostać. Pamiętasz?

Ostatnie cienie snu odpłynęły i mag zaczął sobie przypominać zdarzenia z poprzedniego wieczoru. Nowy uczeń, no tak. .Malutki, Chudy. No i przede wszystkim dziewczyna!

— Renno! Renno, gdzie jesteś?

— Tutaj, panie. — Mały człowieczek wpadł do pokoju, trzymając w ramionach naręczce drewna do ogniska.

— Musisz natychmiast zabrać tę dziewczynę.

— Nie mogę, panie.

— Dlaczego nie?

— Bo nie mogę. Dokąd ją zabiorę? Targ nie odbędzie się aż do końca miesiąca. Mówiłem ci to zeszłej nocy.

Czarodziej zamknął usta zirytowany. — Hmmm. No tak, to i prawda. Oczywiście. — Bawił

się brodą. — Cóż, dziewczyno, będziesz musiała okazać się tu przydatna. Nie sadzę, żebyś знаła jakieś czary do sprzątnięcia, prawda?

— Czary? — Niebieskie oczy dziewczynki były duże i naiwne.

— Nigdy nie czarowałam, panie. I wcale nie chcę. — Jasne brwi zmarszczyły się, a ona wzruszyła ramionami. Niskim głosem dodała:

— To jest złe.

Renno wydał dźwięk, który mógł być zduszonym chichotem. Nestor skrzywił się. Ale zanim cokolwiek powiedział, jego służący wypadł przez drzwi i zniknął na dworze.

— No cóż, przypuszczam, że może to być złe — przyznał ] Nestor i pogłaskał z namysłem brodę. — W złych rękach. To dobrze, że nie chcesz uprawiać magii. Dziewczynki nie nadają się na magów. A ja nie mam cierpliwości do kształcenia wiedźmy. Nie w moim wieku.



Posłała mu przebiegłe spojrzenie. — A ile masz lat?

— Nie twoja sprawa, panienko. — Nestor podniósł palec. — Przydałoby się wyczyścić to palenisko. A półki, odkurzyć.

— Cały dom jest brudny — powiedziała radośnie, potakując.

— Nigdy jeszcze nie widziałam takiego bałaganu. Dobrze zrobiłeś, że mnie kupiłeś, żebym mogła się tobą zaopiekować.

Nestora kusiło, by zastosować zakłęcie ciszy, gdy nagle wpadł do pokoju rozgorączkowany Renno.

— Fougasse! — krzyknął. — Jest w górze!

Nestor zamrugął. — Smok? Na pewno nie. — Mag ruszył ku drzwiom i osłaniając oczy, niepewnie spojrzął na bladoniebieskie niebo. — To nie pora rojenia. Nie może być. Smoki nigdy nie latają, gdy jest zimno.

Zdawało im się, że widzą na horyzoncie ptaka leniwie machającego błyszczącymi w słońcu skrzydłami. Nestor zmrużył oczy. Ptak okazał się mieć długie, wijące się ciało. Gdy się zbliżał, mag mógł dojrzeć gadzią głowę i złowrogie czerwone oczy.

— Nie, nie ptak. Z pewnością nie ptak.

Czarodziej westchnął. — To rzeczywiście Fougasse. Uważam, że powinien mieć więcej rozsądku i nie niepokoić mnie przed śniadaniem.

— Czy to naprawdę smok? — zapytała Dora. Jej oczy były wielkie ze zdziwienia. — Nigdy żadnego jeszcze nie widziałam.

— Więc nie stój tutaj, dziecko, i nie gap się tak. Wracaj do środka. On może zjeść taki kuszący kąsek jak ty.

Z piskiem strachu Dora schowała się spiesznie za czarodzieja, przywierając do tyłu jego białej szaty.

Smok z błyszczącymi oczami zatoczył nad nimi koło, a jego łuskowata szyja połyskiwała w słońcu.

— Pozdrowienia, Nestorze — zawołał. Smok mówił w starym języku.

— Fougasse — powiedział mag. — Co sprowadza cię w taką pogodę?

— Czerwone światło na wschodnich wzgórzach. I teraz widzę, co to jest. Trzy drzewa stoją w ogniu.

— Co? Jak?

— Elfie psoty. Drzewa się spalą.

— Nie, jeśli ja mam tu coś do powiedzenia.

Smok wypuścił strumień pary, co mogło być oznaką aprobaty. Czerwone oczy raz mrugnęły, a łuskowate skrzydła biły wściekle zimne powietrze, gdy istota zawróciła i poszybowała z powrotem. Chwilę później była już tylko złotym pyłkiem na zadymionym horyzoncie.

— Głupie elfy zajmują się głupotami w środku zimy — powiedział Nestor. —

Prawdopodobnie bawią się zaklęciami. Ostrzegałem je wcześniej. Renno, osiodłaj muła — ciepłym zimowym siodłem, słyszysz? Z dwoma — nie, trzema kocami.

— Jedziesz sam? — służący utkwiał w czarodzieju swe oczy jak guziki.

— A pojedziesz ze mną?

Renno wyglądał na speszonego. — Muszę dbać o dobro swojej rodziny, wasza mądrości.

Mag uśmiechnął się. — Tak też myślałem. Zostań zatem. — Spojrzał na dziewczynkę. —

Gdybym miał odpowiedniego ucznia, zabrałbym go. Ale nie to dziecko.

Dora wyduła dolną wargę. — Powinieneś mnie wziąć — powiedziała nadąsanym głosem. —

Potrzebujesz kogoś, kto by się tobą opiekował.

Nestor cofnął się jak rażony. — Doprawdy potrzebuję?

— Tak. Co się stanie, jeśli muł upadnie i złamie nogę? Albo jeśli zgubisz się w lesie? Kto będzie ci gotował? Kto ci będzie usługiwał w nocy? Kto będzie prowadził muła, gdy się zmęczysz? Kto...

— Z pewnością nie ty.

— Tak? To zapamiętaj: jeśli zgubisz się, zmęczysz i zgłodniejesz, nie będzie to moja wina —

powiedziała, po czym odwróciła się i wpadła do domu.

Nestor rzucił przekleństwo w zimnym wietrze. — Renno, zapomnij o mule. Odbędę powietrzną podróż. — Mag uniósł ramiona, aż wygięły się w łuk jak skrzydła. Wydał dziwny, płynny okrzyk. I po chwili tam, gdzie stał Nestor, pojawił się wielki, szaropióry ptak ze złotymi oczami o ostrym spojrzeniu. Bezgłośnie uderzał skrzydłami, aż uniósł się wysoko nad dom i ruszył na zachód.

Sługa i dziecko stali razem na progu i patrzyli, jak szary ptak maleje w oddali, stając się bezkształtną drobiną o nieokreślonym kolorze. Renno obrócił się do Dory i skinął głową.

— Dobra sztuczka jak na starego czarodzieja — powiedział z namysłem. Poklepał Dorę po ramieniu. — Najlepiej zajmij się sprzątaniami, dziecko. Muszę naciąć drewna, bo z pewnością mag będzie

cierpiał na odmrożenia, gdy wróci. — Gwiżdżąc ponurą melodyjkę, Renno zarzucił

na ramię czarną metalową siekierę i zniknął między szaropiennymi drzewami otaczającymi polanę.

Dora stała w drzwiach jeszcze chwilę, zaczerpnęła w płuca zimnego powietrza i weszła do domu. Widziała dzisiaj cuda. Smoka! Czarodzieja zamienionego w wielkiego ptaka! Stała i rozejrzała się po pokoju.

Poranne słońce schowało się za chmurą i wpadające przez okno blade światło wyglądało niezdrowo.

Z krokwi zwieszały się pajęczyny. Parapety pokryte były grubą warstwą brudu, okna zaś nosiły ślady wielu burz i porannej rosy.

— Odrobina magii nie byłaby takim złym pomysłem — powiedziała. — Ten dom nie był sprzątny od czasów młodości czarodzieja.

Wyciągnęła miotłę z kąta i zajęła się zmiataniem, cmokając od czasu do czasu na tak okropny bałagan. Grube obłoki kurzu podniosły się w całym pomieszczeniu, tak że kichnęła, raz, drugi, trzeci.

— Życzenia zdrowia od arcymaga — powiedział głęboki, przyjemny głos.

Dora okręciła się. — Kto tu jest? Pokój był pusty.

— Powiedziałem: na zdrowie.

— Renno, czy to ty sobie ze mnie żartujesz?

— Zapomniałem — rzekł wesoło. — Nie możesz mnie zobaczyć, prawda?

Wtedy rozległ się odgłos rozdzieranego materiału. Pojawił się Felak o lśniącym, błękitnym futerku, zwinięty na grubym, tkanym siedzeniu trójnoga. Mrugnął do niej jasnymi oczami. — Ja

— powiedział. — Jesteś raczej mała jak na człowieka, prawda?

— Kto cię nauczył mówić? — spytała Dora. Jej głos był wysoki i piskliwy.

— Czarnoksiężnik, a jak myślisz? — Felak wyciągnął długą szyję i zaczął drapać się w brodę środkową lewą łapą. W trakcie szczególnie gwałtownego ruchu przerwał i skierował ku niej głowę.

— Dlaczego używasz miotły? W ten sposób jest trudniej, czyż nie? Nie znasz właściwych zaklęć na sprzątnie?

Dora patrzyła na niego gniewnie, opierając dłonie na biodrach.

— Oczywiście, że nie.

— Dlaczego? Co z ciebie za uczeń?

— Nie jestem żadnym uczniem.

— Nestor się starzeje — powiedział Felak. — Zaczyna zapominać, jakie podstawowe szkolenie powinien odbyć uczeń. No cóż, nieważne. Mogę pomóc. A zatem... czy widzisz tamtą biało–złotą, oprawioną w skórę książkę na górnej półce? Zdejmij ją.

Dora wyciągnęła szyję. — Za wysoko. Nie dosięgnę.

— No to stań na czymś — powiedział głosem, w którym pobrzmiwała ostra nuta zniecierpliwienia.

Dora ostrożnie wspięła się na poręcz fotela, złapała książkę i zgramoliła się w dół. Okładka była miękka i aż błyszcząca od plam, jak gdyby wiele dłoni dotykało cienkiej skóry, powoli ją ścierając.

— Odwróć na trzecią stronę i przeczytaj na głos zaklęcie.

— Nie umiem czytać. A zwłaszcza nie umiem czytać runów.

Felak przestał muskać sierść i gapił się na nią z niekłamanym niesmakiem. — Nie umiesz czytać? Chyba zaczynam nie rozumieć Nestora. Po co kupować niepiśmiennego ucznia? A skoro już przy tym jesteśmy, to po co kupować dziewczynę?

— Nie on kupił. To Renno.

— Ach. Więc to tak. — Felak ziewnął, ukazując dwa bliźniacze rzędy ostrych, trójkątnych zębów okalających wewnątrz zielonego dzioba. Wstał na tylne łapy, skoczył na poręcz fotela Dory i przy cupnął tam, zaglądając przez ramię w książkę, która leżała na jej kolanach. Wyblakłe runy księgi z zaklęciami migotały złotym atramentem. — A teraz słuchaj uważnie i patrz, co się stanie.

Powiedział coś szeleszczącym szeptem. Dora nie mogła dokładnie zrozumieć słów, choć bardzo się starała. Nagle zobaczyła, że czerwona gliniana forma do pieczenia leżąca na palenisku wzbiła się w powietrze, przeleciała przez pokój i zaczęła zanurzać się w misce z wodą, rozpryskując ją wesoło.

Dziewczynka patrzyła się, wytrzeszczając oczy. — Ale wspaniale!

— No dobrze. Teraz ty spróbuj — powiedział Felak. — Z tymi miseczkami. Powtórz razem te sylaby: Re. Osum. Emosum. Tem.

Dora z wahaniem powtórzyła nie znane słowa, zająkując się przy ostatnim. Czekwała, ale miseczki na palenisku nadal leżały nieruchomo. Nagle poczuła mrowienie w stopach, jakby miały zdrętwieć. Tupnęła, spojrzała w dół i wstrzymała oddech. Wspaniałe purpurowe futerko kielkowało jak świeża trawa na jej palcach i stopach.

— Co zrobiłam źle?! — krzyknęła.

Felak wydał z siebie głos brzmiący podobnie do ludzkiego chichotu. — Ostatnie słowo to Tem. Jedna sylaba. Tylko jedna. Ty dodałaś jeszcze jedną. Tak się składa, że jest to zaklęcie na porost włosów. — Felak zaśmiał się ponownie. — Jaki śliczny odcień purpury ma to futerko. —

Zapiał. — Podoba mi się, w jaki sposób podkreśla kolor twoich włosów.

— Spraw, by zniknęło! — zajęczała Dora.

— Nie podoba ci się? — Felak potrząsnął głową. — Myślę, że wygląda wspaniale. — Skinął głową z widocznym zadowoleniem, okręcił się kilka razy na poduszce, usiadł i zamknął oczy.

Dora z przerażeniem patrzyła na stopy.

— Poczekaj. Nie możesz iść spać! — krzyknęła. — Pomóż mi, proszę! Nie chcę mieć włochatych stóp!

Felak delikatnie zachrapał.

Renno otworzył drzwi i wszedł, niosąc wiadro wody. O mało go nie upuścił, gdy zobaczył purpurowe futro na stopach Dory.

— Dziecko — wysapał. — Coś ty zrobiła?

Łzy strumieniem płynęły po policzkach Dory. — To nie ja. To Felak.

— Co za Felak?

— Czarodzieja.

Sługa zmarszczył brwi i podrapał się w głowę. — Ale on nie ma takiego zwierza.

— Przecież śpi na krześle. — Dora pokazała na trójnog. Poduszka była jednak pusta, Felak zniknął.

Oczy Renno zwęziły się podejrzliwie. — Dziecko. Myślałem, że nie umiesz czytać runów.

— Bo to prawda. Nie wiem nic o czarowaniu. — Dora patrzyła z niechęcią na futrzaste palce.

— I nie obchodzi mnie, co zobaczyłam. Ale co ja teraz zrobię?

Renno wzruszył ramionami. — Poczekasz na powrót czarnoksiężnika. Posprzątaj i czekaj.

Dora spojrzała na trójnog. Z pustej poduszki nie nadchodziła pomoc. Ani ze strony Renno.

W głębi serca była praktycznym dzieckiem. Westchnęła, podniosła miotłę i zajęła się pracą, powtarzając sobie, że pusty brzuch jest jeszcze gorszy od odrobiny purpurowego futerka.

Nestor powrócił, gdy pierwsze gwiazdy zaczęły mrugać lodowato o zmroku. Kulał, miał przypaloną brodę, a jego brwi zniknęły.

— Panie! — Renno podparł ramieniem maga i prawie wniósł go na fotel. Skinął na Dorę. —

Dziecko, przynieś herbaty. Szybko.

Nestor pozwolił zdjąć sobie płaszcz, buty i zaprowadzić na wyściełany fotel. — Głupie elfy —

powiedział. Miał szorstki głos. — Najpierw podpalili las. Później wysuszyli koryto rzeki. A gdy ja zajmowałem się tłumieniem płomieni, czy mi pomogli? Ani trochę. Stali tam, chichocząc i pokazując palcami, jak stado głupich ptaków. Nawet kiedy ich nocne legowiska były zagrożone spłonieniem. Ci głupcy zbyt byli zajęci zapalaniem ognia za mną, by zatroszczyć się o swoje domy. — Nestor przestał na chwilę mówić i pociągnął głęboki łyk z parującej miseczki. — O, jakie dobre. No i to byłoby na tyle. A teraz... — Przerwał w środku zdania, zauważywszy stopy Dory. Jego czoło się zmarszczyło. — Dziewczyno, co to ma znaczyć?

Dora z zakłopotaniem schowała jedną nogę za drugą. — To nie ja, panie. Felak to zrobił.

— Felak? Nie bądź śmieszna. Nie miałem Felaka od czasów przed urodzeniem Renno.

Ich spojrzenia zetknęły się. — Jeśli on jest przez większość czasu niewidzialny, to skąd możesz wiedzieć, kiedy tu jest, a kiedy go nie ma?

— Ee? — Nestor potrząsnął głową i zaśmiał się. — Chyba masz rację. No cóż, prawdopodobnie był to Felak. A co właściwie próbowałaś zrobić?

— Użyć zaklęcia do sprzątnięcia domu.

Nestor szybko rozejrzał się wokół. Pajęczyny zniknęły. Okna błyszcząły jak nigdy przedtem.

— Wygląda na to, że odkryłaś swoje własne zaklęcie. A może nawet jedno lub dwa więcej.

Nie sądzę, żebyś chciała mieć to futro, prawda?

— Nie, panie.

— Tak też myślałem. — Mag wskazał na stopy dziewczynki i wypowiedział trzy szorstkie słowa, które brzmiały jak: Ak–Sum–Re.

Uczucie mrowienia przemknęło przez stopy Dory. Futro zniknęło bez śladu. Dziewczynka uśmiechnęła się promiennie do maga.

— Na przyszłość uważaj bardziej z zaklęciami — powiedział Nestor poważnie. Ziewnął, zamknął oczy i zanim Dora zdążyła mu podziękować, już spał.

Gdy nadszedł ranek, plecy i nogi maga były sztywne jak stare podłogowe klepki. Nestor chrząknął, jęknął, spróbował wstać z łoża i w końcu skinął na Dorę, by mu pomogła.

— Bogowie, starzenie się to nie zabawa — zamruczał. — Nie rób tego, dziewczyno, jeśli tylko

możesz tego jakoś uniknąć.

Grzał się przy ogniu, podczas gdy Dora przygotowywała mu śniadanie. Ostrożnie spożył

świeże owsiane ciasteczka i parujące mleko. Po posiłku poczuł się już znacznie lepiej. Miał pracę do wykonania. Czary do przeczytania. Mag postawił stopy na podłodze i powoli się podnosił, prostując. Ból przeszył obie nogi i pełznął wzdłuż pleców. Dysząc, Nestor opadł na siedzenie.

— Co się stało? — zapytała Dora.

— Reumatyzm — powiedział Nestor.

— Czy mogę przygotować maść. Rozgrzeje ci nogi.

Czarnoksiężnik utkwiał w niej sceptyczne spojrzenie. — Maść? — Jak przypuszczam, smok nauczył cię medycyny?

Dziewczynka popatrzyła na niego buntowniczo. — W gruncie rzeczy, nie. Byłam pomocą kuchenną u aptekarza w Physte. Nauczyłam się trochę tego i owego.

— Hmm. No dobrze, chętnie spróbuję wszystkiego, co by mogło wygnać skurcze z mięśni i usmierzyć ból. Przygotuj swój środek, dziecko.

Jej twarz wyrażała zaniepokojenie. — Potrzebuję czarnego korzenia, ziela mannisy i wyciągu z cytryny.

Znajdziesz trochę w słoikach przy oknie kuchennym. Tylko uważnie czytaj etykiety. Jeśli w ogóle potrafisz czytać.

Wiem, jak wyglądają zioła, to wystarczy — powiedziała Dora.

— Nie muszę czytać. Ale jak je dosięgnę? Są tak wysoko na półce.

— Ściągnę ci je — odrzekł Nestor i szybko wyskandował dwa słowa. Trzy kamienne, nakrapiane pojemniki przyfrunęły i spoczęły u stóp Dory.

Utarła uważnie zioła tłuczkiem w moździerzu czarodzieja, później wymieszała je z miodem i gorącą parafiną, tak że utworzyły kojący balsam.

— A—a—ach — westchnął Nestor, czując, jak jego nogi się rozgrzewają, a bóle znikają. —

Lepsze niż czary.

— Mógłbyś stosować gorące okłady — powiedziała Dora.

— Później, dziecko. Później. Mam pracę. Muszę zmienić pogodę. Wygonić szczury z magazynu piekarza... — Słowa czarodzieja cichły, gdy patrzył, jak Dora zmaga się z ciężkimi, kamiennymi pojemnikami, próbując ustawić je przy oknie. — Nie, tak nie można — powiedział.

— Tak nie. Dziewczyno, mogłabyś nauczyć się paru zaklęć przydatnych dla gospodarstwa domowego, tak bym nie musiał za każdym razem zajmować się przenoszeniem wszystkich ciężkich rzeczy.

— Nie wiem...

— No cóż, ale ja tak. — Oczy Nestora jarzyły się. — Usiądź tu i uważaj.

Dora wgramoliła się na stołek obok niego.

— A teraz powtarzaj uważnie: Cana Ferem Asturem.

Dora wypowiedziała słowa powoli, prawie szepcząc. Nic się nie stało.

— Głośniej i wyraźniej, dziewczyno. I przedłużaj pierwszą sylabę.

— Caa-na. Fe-er-em. A-a-s-turem...

Ku zdziwieniu Dory pojemniki wskoczyły na swoje miejsce na półce przy oknie.

— Cudownie! — Klasnęła w dłonie. — To jak wyśpiewanie im drogi!

Nestor skinął głową, aż broda zatańczyła mu na piersi. — W pewien sposób, myślę, że tak właśnie jest. — Uśmiechnął się, gdy Dora nakazała misce mleka ustawić się w szafce. Prawie się roześmiał, gdy uczyniła to samo z moździerzem i tłuczkiem. Ale kiedy wyścielany fotel prawie go zwałił na podłogę w magicznym zapale, by ustawić się na właściwym miejscu przy ogniu, Nestor podniósł rękę.

— Dostyc, dziecko! To poważna praca, nie zabawa. A teraz przysuń się, a ja cię nauczę, jak sprzątać dom bez poświęcania temu całej energii oraz nie stwarzając zagrożenia.

Czarodziej i dziewczynka spędzili razem resztę dnia na ćwiczeniu wymowy dziwnych słów i starożytnych zwrotów. Ponieważ Dora nie umiała czytać, została zmuszona do uczenia się zaklęć ze słuchu. Po tym jak Nestor je wypowiadał, Dora miała powtarzać uważnie, dopóki nie zapadły jej w pamięć. I tym sposobem nauczyła się zaklęcia zmywania, mielenia, suszenia, a nawet pieczenia.

— Nie dbaj o to ostatnie — powiedziała. — Spalę nim owsiane ciasteczka.

— Praktyka — wyjaśnił Nestor. — Praktyka czyni wiele rzeczy łatwiejszymi.

W następnych dniach Dora odkryła, że w słowach maga kryło się wiele prawdy. Wkrótce opanowała magię domową i całkiem swobodnie nakazywała ciastu, by się samo wyrobiło i upiekło, płomiennej herbacie, by się zaparzyła, a siennikom, by się wietrzyły na żerdzi przed domem.

Renno obserwując jej pracę pewnego ranka, uśmiechnął się tak szeroko, że jego twarz zamieniła się w masę zmarszczek. — Muszę stwierdzić, że jesteś pojętnym uczniem, dziewczyno



— rzekł. — Nie takim złym uczniem czarodzieja mimo wszystko.

Nestor wyłonił się za nim ze skrzywioną twarzą. — Uczeń? Jaki uczeń? — powiedział. — Jest gosposią, Renno. Wciąż potrzebuję ucznia.

— Ale ona sobie tak dobrze radzi.

— O tak, przyznaję, że dom jest czysty. Pościel wysuszona. Ciasteczka świetne. Ale każda wiedźma w pierwszym roku nauki potrafiłaby to zrobić. Nie, ja potrzebuję prawdziwego ucznia.

Wysokiego chłopca, który nosiłby księgę z zaklęciami, reprezentował mnie na zebraniach miejskich, taszczył moje rzeczy. Renno, musisz iść na jarmark w Sporvan.

Sługa potrząsnął głową. — Nie ma czasu, panie. Targ w Sporvan nie odbędzie się aż minie Dzień Mszy. A do tego czasu będzie za późno. Zebranie zaczyna się tego samego ranka.

Nestor miał skwaszoną minę. — Masz rację. Na gwiazdy, dziewczyno, przypuszczalnie będziesz musiała wystarczyć aż do zebrania. Czy sądzisz, — że możesz nauczyć się paru innych zaklęć do Dnia Mszy?

— Nie wiem — powiedziała Dora. Popatrzyła na maga z rozpaczą. — Nie sądzę, że moja biedna głowa będzie mogła pomieścić ich więcej.

— Spróbuj — rzekł Nestor. — Próbuj mocno. Albo zdecyduję się na sprezentowanie ci nowej głowy z odrobiną więcej miejsca — i zielonymi włosami.

Dora złapała za rude loki — Nie zrobiłbyś tego.

— Nie prowokuj czarodzieja, gdy jest w złym humorze, dziewczyno. A teraz chodź tu, bądź cicho i ucz się!

W ciągu następnych sześciu poranków po skończeniu obowiązków Dora siadała posłusznie u boku maga i uczyła się runów podstawowej magii. Początkowo jej próby chybiały.

Niejednokrotnie Nestor był zmuszony do przerwania w połowie zaklęcia w celu uniknięcia spalenia domu lub zamienienia każdego kawałka drewna w żelazo. Ale w końcu Dora mogła przemieszczać w powietrzu laskę czarodzieja zrobioną z kości słoniowej, gasić ogień, wywołując z ziemi wodę, zamieniać łyżki i widelce w małe srebrzyste gryzonie i sprawiać, by puste buty spacerowały po podłodze.

— Jest przygotowana tak dobrze, jak to tylko możliwe — po wiedział Renno.

— Tak, i przypuszczam, że jest lepsza niż nic. Ale musi mieć porządną płaszcz, Renno.

— O tak, panie. To jest właśnie to — przytaknął mężczyzna.

— Moja dobra żona może jej uszyć taki ze skóry.

— Sądzę, że powinno wystarczyć — rzekł Nestor. — I niech będzie niebieski.

Służący odwrócił się i spojrzał na czarodzieja. — Niebieski? — spytał. — Dlaczego niebieski?

Wszyscy inni uczniowie noszą czarne.

— Żaden z nich nie jest dziewczyną, czyż nie? Nie z niebieskimi oczami — zaśmiał się Nestor. — Niechaj będzie niebieski, Renno. I ani słowa więcej o czerni.

Pan i sługa uśmiechnęli się do siebie.

— A więc ruszam — rzekł Renno. — Miłego dnia. — Gwiżdżąc radosną melodię, pospieszył do domu.

Poranek w dniu zebrania wstał zimny i suchy, z ciemnymi, niskimi chmurami zwiastującymi śnieg.

Nestor zmrużył oczy, przypatrując się niebu. — Śnieg, he? — zamruczał. — No cóż, zobaczymy. — Zrzucił swój biały, futrzany płaszcz i wysoko uniósł ramiona. W prawej dłoni ścisnął osmaloną łaskę z kości słoniowej. Żarzyła się bursztynowym światłem jak miód w słońcu.

Mag ostrożnie zakreślił łaską koła. Potem mocno oparł koniec na ziemi. Wolną ręką szeroko gestykulował, jakby obejmował w uścisku całe szare niebo.

— Qua–Sachem–Moree! — krzyknął, a jego głos brzmiał jak grzmot letniej burzy. — Sheft–

Kazem–Bansin!

Oślepiający promień słońca rozciął mrok jak złoty nóż. Później następny. Światło słoneczne rozerwało chmury na strzępy. Rozproszyły się szybko i słońce zaświeciło wesoło na jasnoniebieskim niebie. Zimorodek napełnił powietrze melodyjnym śpiewem. To będzie jasny, piękny dzień.

— Tak lepiej — powiedział Nestor. Z namysłem podrapał się po brzuchu. Dobiegł go zapach świeżo upieczonych owsianych ciasteczek, ściągając z powrotem do środka.

— Najpierw śniadanie — powiedział. — Potem zobaczymy, co ze spotkaniem czarodziejów.

— Czy będzie tam każdy wielki czarodziej z czterech stron świata? — chciała wiedzieć Dora.

— Z czterech stron i jeszcze dalej — powiedział Nestor. — Więc bądź bystra. I uważaj na ten swój język. Uczniów powinno się widzieć, nie słyszeć. — Żuł z zadowoleniem. Gdy już skończył, jego kubek i talerz błyskawicznie odleciały. Dora i Renno jedli już kilka godzin wcześniej.

Dora pojawiła się w płaszczu o kolorze nieba. Uśmiechnęła się wesoło i zakręciła przed magiem.

— Ślicznie — powiedział Renno.

— Nie pochlebiaj, bo jej spuchnie głowa — rzekł Nestor. Dora zaśmiała się. — Ale wtedy miałabym więcej miejsca na zakłęcia, prawda?

Nestor chrząknął, choć brzmiało to bardziej jak stłumiony śmiech. — Ruszajmy —

powiedział. — Renno, pilnuj domu do naszego powrotu. Dziecko, weź mnie za rękę.

Ciche wiatry wydawały się zbiegać do nich ze wszystkich kątów, wydymając ubrania i rozwiewając włosy. Ściany domu blakły, blakły, i przez moment znaleźli się w dziwnej, białej przestrzeni. Później wokół nich pojawiły się ciemne ściany obciążone starym drewnem, okopcone dymem. Nestor i Dora znaleźli się pośrodku dużej sali bankietowej. A wszędzie wokół

nich byli czarodzieje w płaszczach we wszystkich kolorach tęczy.

— Nestor! — zawołał jeden z nich. — Miło cię widzieć.

— Annesh — powiedział Nestor — i Rovard.

Niski czarodziej, którego bezwłosa głowa świeciła w świetle ognia mrugnął do nich. —

Piękny dzień, dzięki tobie.

Wszyscy trzymali laski i rozmawiali hałaśliwie. Dwaj młodzi magowie unosili się w powietrzu, zonglując kulami niebieskiego światła wysoko nad głowami zebranych. W rogu wysoki czarodziej w zielonym płaszczu zaczął zmieniać kształt: stał się złotym smokiem, którego oczy błyszczały czerwonym ogniem, później białym skrzydlatym koniem ze srebrną uprzężą, a później dziwną bestią ze szponiastymi łapami i zielonym futrem.

Dora przyglądała się wszystkiemu z szeroko otwartymi oczami. W takim hałasie ledwo mogła usłyszeć swe myśli. Nieśmiało patrzyła na innych uczniów. Byli to górujący nad nią chłopcy odziani w ciemne szaty — wydawali się być o wiele starszymi, o wiele mądrzejszymi młodymi gigantami. Szli za swoimi mistrzami z wielkopańską pewnością siebie, wymieniając skinienia i od czasu do czasu żarty. Dora niechętnie odrzuciła kaptur. Jej czerwonozłote włosy zarzyły się w świetle świec.

Rozmowy ucichły. Czarodzieje i uczniowie, magowie i służący zebrani w sali gapili się na Dorę, jakby nigdy wcześniej nie widzieli nic podobnego.

— Ho, ho, Nestorze — zawołał bezwłosy czarodziej o imieniu Rovard. Jego twarz rozświetlił

szeroki uśmiech. — Cóż to? Dziewczyna–uczeń? Żartujesz.

Nestor zwrócił się ku niemu z wielką godnością — To nie żart. Dlaczego nie dziewczyna? Jest szybka i bystra.

— Ale takie małe rączki — powiedział Rovard.

Anesh pokiwał głową, aż jego ruda broda zakołysała się z boku na bok. — Następny razem ujrzymy Felaki i sfinksy.

Wszyscy się zaśmiali. Lecz nad wesołym gwarem rozbrzmiał inny głos, sarkastyczny i głośny.

— A więc, siwobrody, widzę, że nadal jesteś głupi! Nie mogę uwierzyć, że czułeś się na tyle pewny siebie, by przyjść na to spotkanie. Powinieneś siedzieć w domu, przy kominku.

W komnacie ponownie zapadła cisza.

Nestor odwrócił się, szare oczy gniewnie błyszczały błękitem.

Mówiącym był mężczyzna średniej budowy, z czarnymi włosami, wąsami, bródką i lodowatymi oczami. Nosił szary płaszcz z obszernym kapturem obramowanym ciemnym futrem.

— Dalbaeth — powiedział Nestor. — Miałem nadzieję, że się nie spotkamy.

— I tak też powtarzałeś od dnia, gdy oszukałeś mojego ojca i ogłosiłeś swe zwycięstwo —

odrzekł Dalbaeth. Jego lodowaty głos był pełen pogardy. — Boisz się, że cię pokonam.

— Nie obawiam się czegoś, co nie jest możliwe — powiedział Nestor i odwrócił się, by odejść.

Dalbaeth zastąpił mu drogę i mocno uderzył czarną laską w podłogę. — Wyzywam cię.

Nestor zamarł. Jego oczy świeciły niebieskim ogniem.

— Nie bądź głupi — wtrącił Anesh ciepło. — Dalbaeth, współzawodnictwo między twoim ojcem a Nestorem zakończyło się lata temu. Nie pozwól dłużej trwać urazie.

— Od lat czekałem na okazję przywrócenia honoru rodzinie — powiedział Dalbaeth. Ani na chwilę nie spuścił zimnego spojrzenia z twarzy Nestora.

Nestor skinął ostro głową. — Jak chcesz. Najlepiej, jeśli załatwimy tę sprawę natychmiast.

Wszyscy zaczęli mówić jednocześnie. Komnata wypełniła się głosami wykrzykującymi zarówno protest, jak i aprobatę.

Ponad hałasem dało się słyszeć jedynie głos Rovalda. — Nie tutaj! — ryknął. — Musicie rozwiązać swój spór z dala od tego zgromadzenia w odosobnionym miejscu. Nikt nie może być zagrożony, nikt nie może się przyglądać, nikt nie może pomagać!

— Oczywiście — powiedział Nestor. — Proponuję dolinę Ganz za wzgórzem przy rzece.

— Zgadza się — rzekł Dalbaeth. — Kiedy? Nestor odważnie spojrzał mu w oczy. — Teraz.

Z oczami wciąż utkwionymi w Dalbaethu Nestor wypowiedział bardzo szybko pięć słów.

Pokój zawirował wokół nich, ściany zamgliły się, następnie zniknęły, a dwaj czarodzieje stanęli pośrodku szerokiej łąki otoczonej wysokimi, nagimi drzewami. Zimny wiatr szeptał nad nimi, przynosząc mroźny oddech zimy.

— Co tu robi to dziecko? — zażądał odpowiedzi Dalbaeth.

Nestor obrócił się i zobaczył Dorę siedzącą za nim na ziemi.

— Dziewczyno! Nie miałaś iść ze mną. Dlaczego nie zostałaś w sali?

— Przepraszam — powiedziała. — Ale przemieściłaś się tak szybko, że nie miałam czasu się uwolnić. Nic nie mogłam poradzić, jedynie trzymać się twojej szaty i frunąć wraz z tobą.

— Odeślę cię — powiedział.

— Proszę, nie — rzekła Dora. — Chcę zostać.

Brwi Nestora zbiegły się. — To nie miejsce dla dzieci.

— Jestem twoim uczniem. — Założyła ręce na piersi. — Tak powiedziałaś.

Dalbaeth ryknął śmiechem. — Dziewczyna uczniem, Nestorze. Jakie to dla ciebie typowe. A następnym razem, jak przypuszczam, będziesz uczył czarów muła?

Oczy Nestora błysnęły. — Niech będzie, jak chcesz, dziewczyno. Ale trzymaj się z dala i dbaj o siebie. — Wskazał na stos zielonych skał znajdujący się na skraju łąki. — I usuń się z drogi.

Dora wyglądała zza śliskiego głazu. Pod jej palcami wydawał się on zielonym lodem.

Dwaj czarodzieje wyciągnęli przed siebie pięści. Przez moment zdawało się, że czas się zatrzymał. Obaj mężczyźni stali w bezruchu, każdy z nich obserwował drugiego. Słysząc jedynie było śpiew wiatru w suchej, żółtej trawie.

Jak gdyby usłyszeli sygnał, dwaj mężczyźni nachylili się ku sobie.

Dalbaeth wyrzucił ręce nad głowę, a z jego palców wystrzeliła błyskawica.

Nestor wykrzyczał zakłęcie zmieniające błyskawicę w rój świetlików, które błyskały i migotały, zanim nie rozproszył ich wiatr.

Bez chwili wahania Dalbaeth wypowiedział następne zakłęcie i zanim jeszcze jego głos przebrzmiał, w odpowiedzi rozległ się grzmot. Z nieopisanie rozdzierającym dźwiękiem pod stopami Nestora rozwarła się ziemia.

Nestor runął w dół, rozpaczliwie chwytając nierówną krawędź rozpadliny, by spowolnić upadek. Podczas tego wygwizdywał czar. Jego szata załopotiała dziko. Dwa szerokie, białe skrzydła wyrosły z jego pleców. Z wysiłkiem mag wzbił się w powietrze, z dala od zagrożenia.

Gardłowe skandowanie wyczarowało olbrzymią głowę gryfa. Nestor wciągnął powietrze i zaczął wypluwać na przeciwnika kule ognia.

Dalbaeth uniósł ręce, by się chronić, ale jego broda została osmolona przez pierwszy strzał.

Przeklinając, wyczarował ze źdźbeł trawy olbrzymie lustro i trzymał je przed sobą pod takim kątem, że skrzydlate odbicie Nestora pojawiło się w jego srebrno-zielonej głębi. I teraz każda śmiertelna kula ognia wystrzeliwana przez Nestora uderzała w lustro i odbijała się, trafiając z powrotem do źródła.

Gwałtowny rykoszet uderzył w lewe skrzydło Nestora. W jednej chwili pióra obróciły się w popiół. Słabo machając prawym skrzydłem, mag runął na ziemię. Uderzył w nią ciężko i leżał

nieruchomo na zimnej, sztywnej trawie. Skrzydło i głowa gryfa zniknęły.

Obserwująca wszystko Dora krzyknęła ze strachu.

Skinąwszy z satysfakcją głową, Dalbaeth wyrzucił lustro daleko w powietrze, gdzie po chwili zniknęło. Pospieszył ku leżącemu magowi i stał nad nim, rozpościerając szeroko ramiona.

— Przybądźcie, duchy ziemi — krzyknął. — Przywalcie tego nędznika głazami! Uwięźcie go na zawsze!

— Nie! — zawołała Dora. — Nie!

Musiała go powstrzymać. Ale jak? Był przecież wszechmocnym czarodziejem mającym władzę nad wszystkimi żywiołami. Jedyne co umiała, to parę zaklęć gospodarstwa domowego.

No i sztuczkę Felaka. Na tę myśl jej serce zabiło szybciej. Zaklęcie Felaka, no tak.

Dysząc, wyszeptała szybko sylaby.

Nic się nie stało.

Dora powtórzyła zaklęcie. A później jeszcze raz.

Dalbaeth zakaszlał. Kichnął. Purpurowa sierść kielkowała z jego brody, rąk, nawet z czubków butów. Pokryty był futrem od stóp do głów. Było na jego oczach, w nosie, nawet w ustach. Nie mógł patrzeć ani oddychać. Dławiąc się, upadł na ziemię, miotając stłumione klątwy.

Nestor podniósł się na rękach, zobaczył, co się działo, i zamachał laską.

Wokół Dalbaetha uformowała się wielka żelazna skrzynia, świecąca nieziemskim ogniem.

Pokryty futrem czarodziej w ogóle tego nie zauważył.

Po chwili Nestor opadł na ziemię.

— Panie — zawołała Dora. — Wygrałeś. Musimy iść. Kiwając słabo głową, Nestor zagestykułował i przyciągnął do siebie Dorę. Po następnym dziwnym ruchu oboje przenieśli się z zimnej polany do hałaśliwej, zadymionej komnaty w Małej Zatoce, w której odbywało się spotkanie.

— Nestor! — krzyknął Annesh. — Wróciłeś! Tak szybko. Gdzie jest Dalbaeth?

Nestor otworzył usta, by przemówić. Ale nie wydobył się z nich żaden głos.

Stary mag zaczerpnął powietrza i opadł w tył. Gdyby nie silne ramiona Annesha i jego szybki refleks, Nestor bez zmysłów osunąłby się na błyszczącą posadzkę sali.

— Powietrza! Staruszek zemdlął! — wrzasnął Annesh. — Wy nieście go na powietrze! I wezwijcie zielarza!

Wysoki, chudy mężczyzna z dwoma siwymi warkoczami zbliżył się pospiesznie. Szybko ukląkł nad Nestorem i dokładnie zbadał leżącego maga. Wstał, potrząsając głową.

— Nestor jest stary. Bardzo stary — powiedział zielarz. — Nadwerężył siły i teraz zabrakło mu ich. Jest niemy.

Dora w rozpaczach zagryzła wargi — Na zawsze? — zapytała.

— Nie wiem — odrzekł zielarz smutno. — Pewnie wyzdrowieje z czasem.

Annesh pogłodził Dorę po głowie. — Dziecko, byłoby nie w porządku, żebyś była uczniem maga bez sił. Znajdę ci bardziej odpowiedniego mistrza. A może chciałabyś mieć mistrzynię wiedźmę?

Mistrzynię wiedźmę! Dora zawahała się zmieszana. — Nie wiem. Jeszcze o tym nie myślałam. Mówisz wiedźma? To może być miłe. Ale co się stanie z Nestorem?

— Zostaw go nam. A teraz biegnij i zjedz coś — powiedział Annesh. — Potem zaaranżujemy spotkanie. — Wypchnął ją za drzwi do zatłoczonej jadalni wypełnionej odzianymi ciemno uczniami.

Dora napełniła talerz pieczonym mięsem i słodkim pomarańczowym chlebem i zajęła miejsce na dalekim końcu najdłuższego stołu. Nikt z nią nie rozmawiał. Patrzyła najedzenie. Przeżuła kęs chleba, nie czując jego smaku.

Odłożyła nóż. Wstała, porzuciła stojący na stole talerz i wypadła z pokoju.

Wielka sala była pusta. Przebiegła przez nią, a jej kroki rozbrzmiewały echem. Obok głównego wejścia znalazła mniejszą komnatę.

Nestor leżał sztywno przy ogniu, cicho i ponuro wpatrując się w płomienie. Usłyszawszy odgłos kroków, podniósł wzrok. Jego oczy miały kolor niebieskiego lodu.

Nie mogła go zostawić. Nie zostawi. Anness to zrozumie.

Nestor usiadł, krzywiąc się.

— Chcesz do domu? — zapytała Dora. Skinął ochoczo głową.

— No to chodźmy. — Zagestykulowała niecierpliwie. Nestor potrząsnął głową. Usta poruszyły się, ale nie dobiegł z nich żaden głos.

— No tak, zapomniałam. Nie możesz mówić, prawda? — Rzuciła czarodziejowi na wpół

zrozpaczony, na wpół czuły uśmiech. — I nie nauczyłeś mnie żadnego zaklęcia przemieszczania się, prawda?

Jedyną odpowiedzią było spojrzenie pełne wyrzutu.

Westchnąwszy, Dora zawiązała na swych jasnych włosach niebieski kaptur i szczelnie otuliła się płaszczem. — Chodźmy więc. Zobaczmy, co da się zrobić w sprawie wynajęcia konia. I to byłoby na tyle, jeśli chodzi o wielką moc czarodziejów.

Nestor powoli wstał i otulił się płaszczem.

Dora wyciągnęła do niego rękę. Przez chwilę mag wahał się, błyskając oczyma. Potem wzruszył ramionami.

I razem, ramię w ramię, czarodziej i jego uczeń wyruszyli w drogę do domu.

*Przełożyła Ewa Helińska*

*Peter S. Beagle*

**Naga**

**(The Naga)**

Od autora: Opowieść ta jest fragmentem odkrytego niedawno rzymskiego manuskryptu z I wieku, przypisywanego Gajuszowi Pliniuszowi Secundusowi, znanemu jako Pliniusz Starszy. Jest to prawdopodobnie dodatek do jego Encyklopedii Historii Naturalnej, napisany na krótko przed jego śmiercią w 79 r. n.e. podczas wybuchu Wezuwiusza. Jak ten manuskrypt trafił w ręce autora, jest już zupełnie inną historią i wyłączną sprawą niżej podpisanego. P.S.B.

Zacznijmy od opowieści o stworze, o którym relacje dotarły do nas jedynie z na wpół

mitycznych krain rozciągających się za rzeką Indus, gdzie żyje wiele smoków i jednoroźców.

Naga opisywana jest przez podróżujących pomiędzy Indiami a rzymskimi prowincjami w Mezopotamii jako wielki wąż o siedmiu głowach, podobny do znanej nam potwornej hydry.



Pomijając historię zwycięstwa Herkulesa nad hydrą lernejską, należy wspomnieć o licznych spotkaniach z tymi stworzeniami u wybrzeży Grecji i Brytanii. Hydra ma od siedmiu do dziesięciu głów, z których każda przypomina łeb psa. Na wizerunkach tych potworów z reguły umiejscowione są one na końcach mocno umięśnionych szyj lub ramion. Nie pożerają one porwanej zdobyczy, lecz przyciągają ją do największej paszczy znajdującej się pośrodku, która rozdziera ją wielkim dziobem, podobnym do dzioba ogromnej afrykańskiej papugi. Powiadają, że głowy te i szyje odcięte, wyrastają ponownie, i jak twierdzą greccy autorzy, dzieje się to natychmiast, lecz ich zdolność do kłamstwa i łatwowierność przekraczają wszelkie granice.

Pomimo to nie ma wątpliwości, co do istnienia hydry. Ja sam rozmawiałem z żeglarzami, którym żarłoczność tych potworów zabrała towarzyszy i którzy wiedzeni żądzą odwetu, gotowali potwory żywcem i zjadali je, gdy tylko udało im się jakiegoś złapać. Dowiedziałem się, że mięso hydry smakiem przypomina buty, w których żołnierze gotują zupę w trudnych pustynnych warunkach. Niełatwo jest zapomnieć ten smak.

Jednak bez względu na zewnętrzne podobieństwo natura nagi jest odmienna. Opowieści, których wysłuchałem, wskazują na to, że ludy Indii oraz krain rozciągających się jeszcze dalej darzą te stworzenia wielkim szacunkiem. Widzą w nich niemal istoty boskie, lecz jednocześnie uważają je za niższe statusem od ludzi. To jeszcze nie koniec sprzeczności. Choć ukąszenie nagi jest uważane za trujące dla wszystkich żywych stworzeń, tylko niektóre z nich uważane są za niebezpieczne dla człowieka (źródła, z których korzystałem, różnią się w ocenie stworzeń, na które polują nagi; niektóre z nich sugerują nawet, że bestie nie jedzą nic, a żywią się jedynie mlekiem dzikich słoń, które hodują, tak jak my hodujemy bydło). Żywiołem nagi jest woda: panuje powszechne przekonanie, że potrafią sprowadzać deszcz lub go wstrzymywać i w związku z tym trzeba je obłaskawiać ofiarami i traktować z najwyższym szacunkiem. Podobnie jak smoki, nagi strzegą nieprzebranych skarbów w głębokich pieczarach, lecz w przeciwieństwie do znanych nam smoków wnoszą podziemne piękne pałace, gdzie mieszkają niczym królowie i królowe naszego świata. Wiadomo jednak, że są bardzo niespokojne i tęsknią za czymś, czego nie mogą mieć. Wtedy opuszczają swe siedziby i przenoszą się do rzek i strumieni w Indiach.

Filozofowie zamieszkujący te części świata twierdzą, że nagi poszukują wiedzy i natchnienia —

pewne sekty w Rzymie są nawet przekonane, że bestie pragną posiadać ludzką duszę. Ja osobiście nie mam zdania w tej kwestii.

Osobom, które służyły cesarzowi w Brytanii, interesująca może wydać się wieść, że na odległych północnych bagnach tej wyspy żyje ponoć stwór podobny do nagi. Oddaje mu się tam cześć jako bogini płodności, być może dlatego, że przesypia pod ziemią miesiące zimowe, a na powierzchnię wychodzi w pierwszym dniu wiosny. Nie wiem jednak, czy węże te gromadzą skarby, tak samo jak nagi, i ile mają głów.

Wszystkie nagi posiadają rzekomo bezcenny klejnot, umiejscowiony na czole lub w gardle, który jest źródłem ich wielkiej mocy. Tak jak słońce, nagi są bardzo religijne i pełne czci; często wnoszą świątynie poświęcone bogom Indii, gdzie składają bogate ofiary podobne tym, które same otrzymują. Co więcej, istnieją relacje głoszące, że królowie nag ofiarowują swe ciała jako posłania dla bogów, swoimi głowami chroniąc ich przed deszczem i słońcem. Bez względu na to, ile prawdy kryje się w

tych opowieściach, są one dowodem wielkiego szacunku, jakim cieszą się nagi w tych krajach.

Kolejną sprzecznością związaną z nagami jest powszechne przekonanie, że samice węży —

zwane naginiami — w przeciwieństwie do samców potrafią przybierać ludzką postać. Tak przeobrażona nagini często cieszy oko niezwykłą pięknnością; znane są nawet doniesienia o rodzinach królewskich, które wywodzą początek swego rodu od małżeństwa księcia —

śmiertelnika z naginią. Wiąże się z tym poniższa opowieść, którą poznałem z ust handlarza jedwabiu i barwników. Człowiek ów wiele podróżował po Indiach i sąsiadującym z nimi na wschodzie królestwem, nazywanym przez mieszkańców Kambudżą. Przekażę ją wiernie, najlepiej jak będę umiał.

W Kambudży, niedaleko od pałacu królewskiego po dziś dzień stoi wieża, która — jak to często bywa w zwyczaju rodów panujących w tej części świata — cała pokryta jest złotem.

Wieżę zbudował dawno temu młody król, gdy tylko zasiadł na tronie, by zamieszkać w niej ze swą przysłą nowo poślubioną królową. Jednak, co jest właściwe młodemu wiekowi, król był

bardzo niecierpliwy i niełatwo było go zadowolić: ta panna była za brzydka, tamta zbyt nudna; ta ładna, ale zbyt pyskata, tamta znów z powodów rodzinnych stanowiła nieodpowiednią partię i śmierdziała suszonymi rybami. I tak pierwsza młodość króla minęła w samotności władzy, która

— jak słyszałem — w żadnym stopniu nie może zastąpić towarzystwa i pełnej uczucia mądrości dobrej żony, obojętnie, czy jest ona królową czy tylko niewolnicą. Król — choć się do tego nie przyznawał — coraz bardziej odczuwał swą samotność. Z tego też powodu często wpadał w złość i choć nie był okrutny czy kapryśny, rządził swym państwem apatycznie, nie wyrządzając zła ani też nie czyniąc dobra, gdyż ani do jednego, ani do drugiego nie miał serca. Mijał rok za rokiem, a złota wieża pozostała nie zamieszkana, z wyjątkiem pajaków i małych sów, które w najwyższej iglicy zakładały własne rodziny.

Z czasem król — ciągnął dalej handlarz — nabrał zwyczaju przechadzania się w przebraniu o ciepłym zmierzchu wśród swego ludu po ulicach i targowisku. Wyobraził sobie, że dowie się w ten sposób czegoś więcej o codziennym życiu swych poddanych. Nie było to jednak zgodne z prawdą. Po pierwsze, wszyscy — od małego urwisa począwszy — natychmiast go rozpoznawali, bez względu na to, jak wymyślne zakładał przebranie; a po drugie, dlatego że w głębi serca wcale nie pragnął posiadać takiej wiedzy. Pomimo wszystko nie zaprzestawał swych spacerów. Pewnego wieczoru podeszła do niego żebraczka. Wyraz jej brudnej twarzy zdradzał, że jest osobą prostą i niedouczoną. „Wybacz mi, panie garniarzu (gdyż takie nosił w ów wieczór przebranie) —

powiedziała w prymitywnym dialekcie — chciałabym się dowiedzieć, co to za lśniaca budowla wznosi się nieopodal?” Mówiąc to, wskazała na złotą wieżę, którą król przed wielu laty wznosił na siedzibę swego szczęścia.

Król nie był pozbawiony poczucia humoru, choć było ono raczej wisielcze i mało radosne.

Odpowiedział grzecznie żebraczkę tymi słowami: „To mauzoleum wzniesione na cześć kogoś, kto nigdy nie żył, a ja nie jestem garncarzem, lecz jego strażnikiem. Czy chciałabyś zaspokoić swoją ciekawość? Razem z wieżą radujemy się obecnością gości”. Żebraczka szybko wyraziła zgodę.

Król wziął ją za rękę i poprowadził najpierw przez ogrody, które zakładał własnymi rękami, a potem przez wielką lśniącą bramę, do której klucz miał zawsze przy sobie, choć aż do tego dnia nigdy nie włożył go do zamka.

Król prowadził żebraczkę od komnaty do komnaty, od wieżyczki do wieżyczki, przez cały czas kpiącym tonem wspominając swe dawne marzenia. „Tutaj ten człowiek, który nigdy nie istniał, miał jadać wieczerze, w tej zaś komnacie miał siadywać z małżonką i przyjaciółmi, by słuchać muzyki. Ta komnata była przeznaczona dla służby królowej, a w tej miały spać dzieci —

tak jakby człowiek, który nigdy nie istniał, mógł zostać ojcem”. Kiedy jednak zbliżyli się do królewskiej sypialni, król odsunął się od drzwi. Nie chciał wejść do środka i rzucił chrapliwie:

„Tam są tylko węże i zaraza, chodź stąd”.

Jednak żebraczka minęła go odważnie i weszła do środka jak ktoś, kto choć dawno nie odwiedzał jakiegoś miejsca, to dobrze je pamięta. Rozgniewany król zawołał ją, a gdy się odwróciła (opowiadał handlarz), dojrzał, że nie jest ubogą żebraczką, lecz wielką królową, odzianą w szaty i klejnoty o wiele bogatsze, niż on sam posiadał. Powiedziała: „Jestem naginią, a przybyłam z mego pałacu ukrytego głęboko pod ziemią, wiedziona miłością i współczuciem dla ciebie. Od dzisiejszego wieczoru ty i ja będziemy sypiać tylko w tej wieży”. Król wziął ją w ramiona, gdyż nie mógł się oprzeć jej królewskiemu urokowi i zbyt dobrze poznał, czym jest samotność.

Kiedy ich uniesienie nieco opadło, król zaczął mówić o ślubie, o mających trwać miesiącami uroczystościach, o tym, jak razem będą panować i stać na czele dworu. Nagini powiedziała jednak: „Ukochany, już dwa razy zawarliśmy ślub: raz, gdy ujrzałam twoją twarz, a drugi, gdy padliśmy sobie w ramiona. Doradcy, armie i dekrety to twój świat istniejący za dnia, lecz nie jest moim światem. Moje własne królestwo, moi poddani potrzebują mej troski i przewodnictwa tak samo jak twoi. Noce jednak będziemy spędzać tutaj razem, a myśl o wspólnych chwilach osłodzi pełne obowiązków dni”.

Król nie był zadowolony, słysząc te słowa, gdyż bardzo chciał przedstawić poddanym długo oczekiwaną królową i mieć ją przy swoim boku w każdej chwili każdego dnia. Odparł więc:

„Widzę, że nie dojdziemy do porozumienia. Ty wkrótce zmęczysz się nieustannymi wędrówkami pomiędzy jednym światem a drugim i porzucisz mnie dla jakiegoś lorda z rodu nagów, w porównaniu z którym wydam ci się zwykłym zamiataczem ulic lub sprzedawcą daktyli. A ja w moim smutku rzucę się w ramiona jakiejś ulicznej śpiewaczki, kurtyzany lub — co gorsza —

damy dworu i stanę się jeszcze bardziej samotny i zdziwaczały, gdyż miałem możliwość poznać i pokochać ciebie. Czy przybyłaś z tak daleka, by ofiarować mi taki właśnie dar?” Na te słowa wielkie piękne oczy nagini zaślniły, a ona sama chwyciła króla za rękę i rzekła:

„Nigdy nie mów do mnie o zazdrości i zdradzie, nawet w żartach. Moi poddani są wierni przez całe

życie — czy możesz to samo powiedzieć o swoich? Posłuchaj, mój panie, mój jedyny —

jeśli kiedykolwiek nad tą wieżą zapadnie noc i nie przyniesie tu ciebie, następnego ranka na twoje królestwo spadnie straszliwa katastrofa. Jeśli choć raz nie przybędziesz mi na spotkanie, nic nie ocali Kambudży przed moim gniewem. My, nagi, takie właśnie jesteśmy”.

„A jeśli ty choć raz nie przybędziesz do mnie — odparł król — umrę”. Oczy nagini napełniły się łzami. Objęła króla, mówiąc: „Dlaczego dręczymy się opowieściami o tym, co nigdy się nie stanie? Nareszcie jesteśmy razem w domu, mój przyjacielu, mój mężu”. Nie ma potrzeby opowiadać dalej o szczęściu, jakie zapanowało w złotej wieży. Trzeba jedynie dodać, że przed nastaniem świtu wyniosły się z niej wszystkie pająki, węże i sowy.

I tak król Kambudży uznał naginię za swoją królową, choć przychodziła do niego tylko w ciemnościach i zjawiała się tylko w złotej wieży. Tak jak mu nakazała, nikomu o tym nie opowiedział. Jednak, jako że porzucał wszystkie sprawy państwowe, wszystkie przedstawienia i ceremonie, by o zachodzie słońca samotnie spieszyć do wieży, w całym kraju szybko rozniosły się pogłoski, że spotyka się tam z kobietą. Ciekawscy szli jego śladem tak daleko, na ile starczało im odwagi; byli nawet tacy, którzy czekali u stóp wieży przez całą noc w nadziei, że uda im się dojrzeć wchodzącą lub wychodzącą tajemniczą kochankę króla. Nikomu nie udało się jednak zobaczyć choćby cienia nagini — widzieli tylko króla, milczącego i zamyślonego, który wracał

do świata dnia z twarzą rozjaśnioną ostatnim blaskiem księżyca.

Wraz z upływem czasu pogłoski te i zaciekawienie ustąpiły miejsca zdumieniu z powodu zmian, jakie zaszły w charakterze króla. Rządził teraz, dostrzegając z pełną pasją świadomością istnienie swoich poddanych, jak gdyby przebudził się i zobaczył ich po raz pierwszy — całą ich ludzką niewinność, nikczemność i cierpienie. Wcześniej przejmował się tylko swą przepelnioną goryczą samotnością, teraz zaczął pracować nad poprawą ich losu z takim samym zapałem, z jakim oni sami walczyli o przetrwanie. Nie było w całym królestwie osoby, która nie mogłaby się zobaczyć z królem i otwarcie z nim porozmawiać; każdy — od skazanego przestępcy, obciążonego nadmiernymi podatkami kupca, pobitego służącego, po córkę sprzedaną mężowi —

mógł poprosić o posłuchanie u króla i zostać wysłuchanym. Tak wielka troska dziwiła ludzi, którzy przywykli do zupełnie innych rządów, a w kraju można było usłyszeć wypowiedane na wpół kpiącym tonem słowa: „Nocą mamy królową, lecz za dnia mamy co najmniej pięciu królów”. Jednak powoli poddani nauczyli się darzyć króla miłością, nawet jeśli nie rozumieli przyczyn jego uczuć. Mówiono też, że jeśli w całym wszechświecie nigdy nie znano sprawiedliwości, to na pewno jej narodziny zawdzięczamy Kambudży.

Powody tych zmian, znane doskonale samemu królowi, były dwoistej natury: otóż, po raz pierwszy w życiu był szczęśliwy i pragnął, by inni również zaznali szczęścia; a poza tym, wydawało mu się, że im ciężiej pracował, tym szybciej mijał dzień, prowadząc go prosto w zmierzch i ramiona królowej — nagini. Z kolei radość, którą czerpał z miłości — tak jak powiedziała mu nagini — sprawiała, że nawet godziny spędzane bez niej, promieniały odbitym światłem radości, tak jak słońce, jeszcze długo po zachodzie, rozjaśnia nasze noce za łaskawym pośrednictwem księżyca. I tak uczymy się cenić — bynajmniej ich nie myląc — dzień, noc i zmierzch, ze wszystkim, co nam ze sobą przynoszą.

Lata zapisywane upływem dni i nocy mijały szybko. Król nie spędził ani jednej nocy poza złotą wieżą — co oznaczało, oprócz wielu innych spraw, że w czasie jego panowania Kambudża nigdy nie brała udziału w wojnie — a nagini zawsze czekała, by przywitać go tajemniczym imieniem, które kapłani nadali mu w dzieciństwie, imieniem, którego nikt nie znał. Ona zaś wyjawiała mu swe imię w języku nag (i śmiała się czule z jego prób wymówienia go poprawnie), lecz nigdy nie pozwoliła mu oglądać się w swej prawdziwej postaci, takiej jaką nosiła wśród swoich. „Z tobą jestem naprawdę sobą”, wyznała (zaklinał się handlarz). „My, nagi, nieustannie podróżujemy pomiędzy wodą i ziemią, ziemią i powietrzem, między jedną postacią a drugą, jednym światem a drugim, pomiędzy pragnieniami i marzeniami. Tutaj, w naszej wieży, jestem taka, jaką mnie znasz, i tylko taka. Nie chcę też oglądać postaci, którą przybierasz, gdy zasiadasz na tronie, by rozsądzać pomiędzy życiem i śmiercią. Tutaj jesteśmy wolni, tak jakbyś ty nie był

królem, a ja naginią. Niech tak pozostanie, mój najdroższy”.

Król odparł: „Niech będzie tak, jak mówisz, lecz powinnaś wiedzieć, że tu i tam słychać szepty, że królowa nocy jest naginią. Ziemia przynosi zbyt obfite plony, deszcze padają regularnie — ktoś oprócz nagi mógłby nam zapewnić tak pomyślny los? Większość moich poddanych wierzy od lat, że to ty — obojętnie kim jesteś — tak naprawdę sprawujesz rządy w Kambudży. I prawdę mówiąc, ciężko mi jest z tym się nie zgodzić”.

„Nigdy nie mówiłam ci, jak rządzić krajem”, odpowiedziała nagini. „Nie potrzebowałeś moich rad, by być królem”.

„Myślisz, że nie?”, zapytał. „Zanim cię spotkałem, nie byłem prawdziwym królem. Moi poddani wiedzą o tym równie dobrze jak ja. Być może nie uczyłaś mnie, jak budować drogi czy wznosić spichlerze, jak ustalać sprawiedliwe podatki czy utrzymywać wrogów z dala od granic mego kraju. Bez ciebie jednak nigdy nie dbałbym o to, czy potrafię robić takie rzeczy. Dawniej tolerowałem moje królestwo jedynie dlatego, że stała w nim nasza złota wieża. Teraz, krok po kroku, wieża zamknęła w sobie całą Kambudżę, a moi poddani zamieszkali tu z nami, równie drodzy nam jak my sami. To twoja zasługa i właśnie dlatego to ty sprawujesz tu rządy, zarówno dniem, jaki nocą”.

Czasami zwracał się do niej tymi słowami: „Dawno temu, gdy powiedziałem ci, że umrę, jeśli nie przyjdiesz na spotkanie ze mną, zmieniłaś się gwałtownie na twarzy, a ja wiedziałem, że w moich słowach jest więcej prawdy, niż zamierzałem w nich zawrzeć. Wiem teraz — a miłość napełniła mnie mądrością — że w noc, w którą nie przybędziesz, ja naprawdę umrę. Nie dbam jednak o to. Poznałem cię. I żyłem naprawdę”. Nagini nigdy nie pozwalała mu mówić więcej, szlochając i obiecując, że taka noc nigdy nie nadejdzie. Wówczas król tulił ją i uspokajał aż do rana. Byli wciąż razem, a lata mijały.

Król zestarzał się przy swojej nagini tak, jak cieszył się przy niej młodością — radośnie i bez strachu. Jednak najbliżsi mu ludzie także uginali się już pod brzemieniem lat, pomarli lub odeszli z dworu. Pojawiła się za to hałaśliwa grupa młodych żołnierzy i dworaków, którzy coraz głośniej narzekali, iż król nie postarał się o dziedzica tronu i że po jego śmierci królestwo zostanie rozdarte przez jego walczących o władzę kuzynów. Narzekali też, że władca jest pod tak wielkim urokiem nagini, czarodziejki czy też kobiety — lamparta (wiara w istoty zmieniające swą postać jest bardzo powszechna w Kambudży), że nie troszczy się już o chwałę i sławę swego królestwa.

Przez to dla innych narodów Kambudża stała się symbolem bojaźni. Jeśli nawet nie było to zgodne z prawdą, to wiadomym jest, że okres długiego pokoju wywołuje u wielu zniecierpliwienie, przez co gotowi są pójść za każdym, kto obiecuje dokonanie burzliwych zmian dla samej tylko odmiany. Tak przecież stało się nawet w Rzymie.

Kilku próbowało ostrzec króla przed zaistniałą na dworze sytuacją, lecz nie zwracał uwagi na ich słowa, gdyż wołał wierzyć, że wszyscy wokół dorównują mu roztropnością. Kiedy więc senne południe spłynęło nagle krwią, rozbrzmiało gniewnymi okrzykami i szczękiem oręża, nawet kiedy sam król oparty plecami o drzwi do sali tronowej walczył o swe życie, nie mógł w to uwierzyć. Gdyby jedna trzecia jego armii, złożona z najbardziej walecznych weteranów, nie pozostała lojalna, bitwa zakończyłaby się w przeciągu kilku pierwszych minut i opowieść handlarza dobiegłaby końca.

Siły stojące po stronie króla trzymały się jednak dzielnie, rozproszone zebrały się, a wczesnym popołudniem przystąpiły do ataku. Kiedy słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, powstanie było już tylko walką kilku oddziałów zdesperowanych buntowników, którzy walczyli jak szaleni, wiedząc, że nie będą mogli się poddać i skorzystać z prawa łaski. To właśnie w walce z jednym z nich król Kambudży odniósł śmiertelną ranę.

Nie zdawał sobie wcale sprawy, że rana jest aż tak groźna. Wiedział tylko, że zapada noc i że między nim a złotą wieżą znajduje się jeszcze wielu mężczyzn, którzy przez całe popołudnie krzyczeli, że najpierw zabiją jego, a potem jego kobietę — lamparta, kobietę — węża, potwora, który od tak dawna niszczy królestwo. Powalił ich resztkami sił, a potem na wpół nagi i zlany krwią odwrócił się i porzucając zgiełk bitwy, ruszył ciężko w stronę wieży. Jeśli któryś z mężczyzn zastępował mu drogę, zabijał go, lecz sam wiele razy upadał i za każdym razem podnosił się z coraz większym trudem, co doprowadzało go do gniewu. Zdawało mu się, że wieża nie przybliżyła się ani o krok, a on powinien już być ze swą naginią.

Nigdy nie udało mu się dojść do złotej wieży, gdyby nie odwaga bardzo młodego oficera, o wiele młodszego niż chłopcy w Rzymie, którzy wstępują na służbę cesarza. Kiedy dowódca, który osobiście strzegł bezpieczeństwa króla, został zabity w czasie rebelii, chłopak sam wyznaczył siebie na jego następcę. Towarzyszył królowi w zgiełku bitwy i cały czas walczył u jego boku lub za jego plecami. Teraz podbiegł, by podnieść króla, i podtrzymując go, pomógł mu dojść do znajdujących się jeszcze daleko drzwi, przez które dawno temu władca — żartując —

przeprowadził starą żebraczkę. Żaden z żołnierzy walczących w zapadającym zmierzchu nie zbliżył się do nich; żaden nie miał na to dość odwagi.

Kiedy udało im się dotrzeć do drzwi, chłopiec wiedział już, że król umiera. Nie miał dość siły, by przekręcić klucz w drzwiach, nie mógł nawet wymówić słowa. Spojrzeniem nakazał chłopcu, by to zrobił. Gdy jednak znaleźli się w środku, stanął na nogach i wszedł na schody jak młodzieniec spieszący na spotkanie z ukochaną. Chłopiec podążał za nim, przerażony opowieściami o tym miejscu, które słyszał w dzieciństwie z ust rodziców; miejscu, w którym w ciemności rozlegał się szelest królowych — demonów. Jednak troska o władcę pozwoliła mu pokonać strach i raz jeszcze znalazł się przy boku króla, gdy stanęli razem na progu sypialni, a drzwi otworzyły się przed nimi.

Nagini nie było. Chłopiec pospiesznie zapalił pochodnie na ścianach i dostrzegł, że w sypialni nie ma nic oprócz cieni; cieni i ulotnego zapachu jaśminu i drewna sandałowego.

Za sobą usłyszał wyraźne słowa króla: „Nie przyszła”. Podskoczył, by podtrzymać osuwającego się na ziemię władcę. Jego oczy były otwarte. Chłopiec ujął go pod ramiona, a król bez słowa wskazał na łożo. Kiedy chłopiec położył go tam i opatrzył jego rany najlepiej jak potrafił, król przywołał go i szepnął: „Obserwuj noc. Obserwuj razem ze mną”. Nie była to prośba, lecz rozkaz.

I tak chłopiec przesiedział całą noc na wielkim łożu, na którym król i królowa Kambudży przez wiele lat spali w szczęściu i miłości. Nie zauważył nawet, kiedy król umarł. Walczył z sennością tak dzielnie, jak dzielnie walczył z wrogami króla za dnia, lecz sam był ranny i zmęczony. Drzemał, budził się i znów drzemał. Ostatni raz obudził się, gdyż zgasły naraz wszystkie pochodnie, wydając przy tym odgłos podobny do trzepotu żagli powiewających na wietrze. Usłyszał też inny dźwięk,

ciężki i głuchy, jakby ktoś ciągnął po zimnej kamiennej posadzce wielki ciężar. W ostatnim blasku księżycy dostrzegł ją: olbrzymie cielsko wypełniało komnatę jak zielono-czarny dym, a siedem węzowych głów kołysało się w jednym rytmie.

Otaczał ją drżący blask, jakby przemierzała odległość dzielącą dwa światy z prędkością, za którą nie nadążał jego wzrok. Znalazła się na tyle blisko łoża, że mógł dostrzec, iż ona także odniosła świeże rany (powiedział później, że jej krew była jasna jak słońce i od jej widoku bolały go oczy). Kiedy odskoczył do tyłu i zwinął się w kacie, nagini nawet na niego nie spojrzała.

Pochyliła siedem głów nad leżącym na łożu królem, a płynąca z jej ran krew mieszała się z jego krwią.

„Moi poddani próbowali mnie powstrzymać przed przybyciem do ciebie”, rzekła. Chłopiec nie wiedział, czy mówiły wszystkie głowy, czy tylko jedna. Jej głos brzmiał jak chór głosów, jak muzyczny akord. Nagini mówiła dalej: „Powiedzieli mi, że dziś nadszedł dzień twojej śmierci, wyznaczony w atomach wszechświata od początku czasu. Podobnie jak ty, zawsze o tym wiedziałam. Ale nie mogłam pozwolić, by tak się stało, nawet jeśli los tak chciał. Walczyłam z nimi i przybyłam tu. Ten, który ukrywa się w cieniu, da świadectwo, że ty i ja nigdy nie sprawiliśmy sobie zawodu ani za życia, ani po śmierci”.

Nazwała potem króla imieniem, którego chłopiec nie znał, i położyła jego ciało na węzowych splotach własnego. Ludy zamieszkujące te krainy wierzą, że nagini o imieniu Muchalinda podtrzymuje w ten sposób nasz świat i te mające dopiero nadejść. Nagini nie opuściła komnaty przez drzwi. Rozpłynęła się powoli w ciemności, a znikając, pozostawiła po sobie jedynie ulotny zapach jaśminu i drewna sandałowego oraz cichnącą melodię swego głosu. Nie wiadomo, co stało się z nią i ciałem króla Kambudży.

Historia ta pozostawia pewne kwestie bez odpowiedzi — istnieje więcej dowodów przemawiających za istnieniem nag, niż dowodów stwierdzających, że na pewno nie istnieją.

Wiele wątpliwości budzi jednak kwestia ich kontaktów z ludźmi. Mimo wszystko postanowiłem spisać tę historię, by oddać cześć chłopcu, który czekał w złotej wieży aż do wschodu słońca.

Dopiero wtedy odważył się wyjść pomiędzy wrzask drapieżnych ptaków i jęki ludzi oplakujących poległych, by ogłosić mieszkańcom Kambudży, że król nie żyje i odszedł na zawsze. Handlarz, który opowiedział mi tę historię, zaklinał się, że jest jednym z potomków dzielnego chłopca.

Jeśli w tej historii kryje się jakieś przesłanie lub alegoria, to być może głoszą one, że smutek i głód, współczucie i miłość zakorzenione są w naszym świecie głębiej, niż sobie wyobrażamy. Są podziemnymi rzekami, które od wieków przemierzają nagi; są deszczem, który odradza nas, gdy złożymy najwyższą ofiarę, obojętnie czy składamy ją nagom czy sobie nawzajem. A jeśli nie ma żadnych bogów ani żadnego innego świata poza naszym, jeśli nie istnieje objawienie ani dusza, te cztery rzeki — smutek i głód, współczucie i miłość trwają bez końca. My ludzie możemy przeżyć bardzo długo bez jedzenia, schronienia, ubrania czy lekarstw. Bez deszczu czeka nas jednak tylko śmierć.



## **Bunt Śliwkośłodkich Elfów**

### **(Revolt of the Sugar Plum Fairies)**

Artur Crumm nie wierzył w krasnoludki.

Nie wierzył także w centaury.

Nie wierzył również w gryfy ani w gobliny, ani w gorgony, ani w nic innego zaczynającego się na G. Ach, a do tej listy można też dodać H, bo nie wierzył ponadto w harpie ani hobbity.

Tak naprawdę to można by napisać opasłą księgę o tym, w co nie wierzył. Jedynym rozdziałem, który trzeba by pominąć, byłby ten o Śliwkośłodkich Elfach.

O tak, w elfy wierzył.

Naturalnie nie miał wyboru. W jego piwnicy było ich pełno. Mienili się różnymi odcieniami niebieskiego, żaden nie był wyższy niż osiemnaście cali, a każdy miał wysoki, piskliwy głosik mogący doprowadzić kota do szaleństwa, gdyby tylko jakiś kot mieszkał w tym domu. Ich oczy były duże i okrągłe, jakby narysowane przez kogoś wprawionego w malowaniu dzieci na czarnym aksamicie, ich nosy małe i perkate. Każdy z nich miał pękaty brzusek, a ponadto byli ubrani tak, jakby za chwilę mieli zostać przedstawieni królowej Elżbiecie. Wyglądali przesadnie słodko, w porównaniu z nimi Myszka Miki mówiła barytonem — ale w ich główkach gościły mordercze myśli.

Przebywali w piwnicy Artura mniej niż godzinę, a już umiał ich rozróżniać, co nie było takie łatwe, jeśli chodzi o gromadkę małych niebieskich elfów. Otóż był tam Niebieski Dzwoneczek, który wydał się Arturowi studenckim radykałem. Był tam Indygo ze swoim hiszpańskim akcentem i stary Srebrny Cierń, arcykonserwatysta; i Ton Purpury, polityk; i Kleks, który mówił z takim zaangażowaniem, jakby właśnie po to się urodził. Błękit Paryski wydawał

się ich przywódcą. Był tam także stojący samotnie z boku St Looie Blues, któremu udawało się wydobyć żalosne tony z małego saksofonu.

— Cóż, chłopaki, wciąż nie wiem, jak się tutaj dostaliście — mówił Artur.

Obecnie większość mężczyzn naprawdę nie jest skłonna do siedzenia na schodach do piwnicy i konwersowania z gromadką Śliwkośłodkich Elfów, ale Artur był pragmatykiem. Ich obecność mogła oznaczać jedną z dwóch możliwości: albo on zwariował, albo jego dom nawiedziły elfy. A ponieważ nie czuł się ani trochę szalony, założył, że stało się to drugie.

— Powtarzam ci i powtarzam: przybyliśmy przez międzywymiarową kwadraturę — warknął

Niebieski Dzwoneczek. — Umyj uszy, durniu!

— Nie powinieneś mówić w ten sposób do kogoś, kto udziela nam gościny — powiedział Ton Purpury uspokajająco.

— Gościna, srościna! — warknął Niebieski Dzwoneczek. — Gdyby nas tu gościł, to by nas uwolnił. To więzienie.

— Wcale was nie uwięziłem — zauważył Artur delikatnie. — Zszedłem na dół i zobaczyłem was wszystkich przyklejonych do podłogi.

— Bo część pepsi przechowywanej przez ciebie wyciekła na podłogę — powiedział Niebieski Dzwoneczek. — A tak w ogóle, to co za okrutnik przechowuje w piwnicy wadliwe butelki z napojami gazowanymi?

— Mogłeś chociaż położyć tu dywan — dodał Srebrny Cierń. — Podłoga jest nie tylko lepka, ale i zimna.

— A teraz uwolnij nas, abyśmy mogli wyrzucić naszą srogą i straszliwą zemstę — kontynuował Niebieski Dzwoneczek.

— Na mnie? — zapytał Artur.

— Jesteś mało znaczącym halabardnikiem w spektaklu naszego życia — wyjaśnił Błękit Paryski. — Zostaliśmy powołani do wyższych celów.

— Zgadza się, koleś — wtrącił Kleks. — Jak nas uwolnisz, to może nie pogmatwamy ci życia, ćwoku.

— Wydaje się, że jeśli was nie uwolnię, to też nie pogmatwacie mi życia — powiedział Artur.

— Widzita? — zapienił się Indy go. — Żem wam mówił i mówił, nie można ufać tym gringos!

— Jeśli nie lubicie gringos, to dlaczego wybraliście moją piwnicę? — zapytał Artur.

— No cóż, hm, nie całkiem myśmy ją wybrali — rzekł Błękit Paryski ze skrzępowaniem.

— A więc jak się tutaj dostaliście?

— Przez międzywymiarową kwadraturę, głąbie! — powiedział Niebieski Dzwoneczek, któremu w końcu udało się wydobyć stopy z butów tylko po to, by za chwilę przykleiły się do podłogi tuż obok.

— Tak też wciąż powtarzacie — odpowiedział Artur. — Ale to nic mi nie mówi.

— A więc to moja wina, że jesteś analfabetą w dziedzinie nauki? — dopytywał się Niebieski Dzwoneczek, chwytając lewą nogę i ciągnąc ją mocno a bezskutecznie.

— Spróbuj wyjaśnić to w inny sposób — zaproponował Artur, podczas gdy Niebieski Dzwoneczek

ponowił nieudaną próbę uwolnienia lewej nogi.

— Daj mi spróbować — powiedział Srebrny Cierń. Przekręcił głowę tak, by patrzeć na Artura. — Zaktywowaliśmy twierdzenie McLennona/Whitakera o przemieszczaniu czasoprzestrzennym, ale nie uwzględniliśmy zmiennych Helmishera ani zasady nieoznaczoności Kobernykova. — Na chwilę przestał mówić. — To by było na tyle. Pomogło?

— Nie bardzo — przyznał Artur.

— A co za różnica? — rzucił Błękit Paryski. — Jesteśmy tutaj i tylko to się liczy.

— Wciąż niezupełnie rozumiem, dlaczego tu jesteście — upierał się Artur.

— To kwestia dumy rodowej — odparł Błękit Paryski z pewną dozą godności.

Artur poskrobał się w głowę. — Jesteście dumni z tego, że przykleiliście się do podłogi mojej piwnicy?

— Nie, oczywiście, że nie — powiedział stary Srebrny Cierń z irytacją. — Jesteśmy tu, aby bronić naszego honoru.

— Jak?

— Opracowaliśmy kampanię grabieży i zniszczenia, i zemsty — wyjaśnił Błękit Paryski. —

Cały świat będzie drżał przed nami. Potężni mężowie będą mdleć, kobiety i dzieci będą ukrywać się za zaryglowanymi drzwiami i nawet zwierzęta będą uciekać w popłochu z naszej ścieżki.

— Przed gromadką Śliwkosłodkich Elfów, które nie potrafią odkleić nóg od podłogi? — spytał Artur, chichocząc.

— Nie popełniaj błędu niedoceniania nas — rzekł Niebieski Dzwoneczek falsetem. —

Twardzi goście z nas, Śliwkosłodkich Elfów. Możemy terroryzować całe społeczności. —

Skrzywił się. — Albo moglibyśmy, gdybyś tylko nas uwolnił.

— I was siedmiu to straż przednia?

— Jaka straż przednia? Jesteśmy całymi siłami inwazyjnymi.

— Siły inwazyjne w sile zaledwie siedmiu Śliwkosłodkich Elfów? — powtórzył Artur.

— Nigdy nie widziałeś *Siedmiu wspaniałych!* — zapytał Błękit Paryski. — Yul Brynner nie potrzebował więcej niż siedmiu rewolwerowców, by opanować tamto meksykańskie miasteczko.

— A Toshiro Mifune potrzebował tylko siedmiu wojowników w *Siedmiu samurajach* —

wtrącił Niebieski Dzwoneczek.

— Siedem jest bez wątpienia mistyczną liczbą o wielkiej mocy duchowej — rzekł Ton Purpury

— A oprócz tego nikt więcej nie chciał iść — dodał Srebrny Cierń.

— Czy ktokolwiek z was pomyślał o zwróceniu uwagi na fakt, że nie jesteście ani siedmioma wojownikami, ani siedmioma rewolwerowcami? — zapytał Artur. — Tak się składa, że jesteście siedmio ma kurdupłowatymi, brzuchatymi i całkowicie bezradnymi elfami.

— Hej, złotko — powiedział Kleks — może jesteście mali, ale za to twardzi.

— Taa — dodał Indygo. — Podrzynamy parę gardeł, oglądamy parę sprośnych filmów, a potem idziemy do domciu.

— Jeśli tylko potrafimy ustalić, jak się tam dostać — dodał Srebrny Cierń.

— Próbowaliśmy podbić świat twoim sposobem i zobacz, do czego doszliśmy — rzekł

zirytowany Niebieski Dzwoneczek. — Gdy będziemy wracać do domu, wybierzemy drugą gwiazdę na prawo.

— To bujda — zaprotestował Ton Purpury.

— Taa? — odparował Niebieski Dzwoneczek. — Więc jak ty byś to zrobił?

— Po prostu. Zamykasz oczy, trzy razy wycinasz hołubca i mówisz: „Nie ma jak w domu” —

odpowiedział Ton Purpury. — Każdy głupek to wie.

— Kogo nazywasz głupkiem? — dopytywał się Niebieski Dzwoneczek.

— Eee... Nie chcę przeszkadzać w dyskusji — wtrącił się Artur — ale mam wrażenie, że obaj padliście ofiarą fałszywej doktryny.

— Dobra, mądralo! — zapiszczał Niebieski Dzwoneczek. — Jak ty byś to zrobił?

Artur wzruszył ramionami. — Nie mam zielonego pojęcia, skąd przybyliście.

— Naturalnie, że z Krainy Śliwkoślodkich Elfów! Jak możesz być tak tępy?

Och, czasami jestem rzeczywiście tępy — przyznał Artur.

— Ale nigdy nie byłem tępy do tego stopnia, by przykleić się do podłogi piwnicy w obcym świecie, nie mając pojęcia, jak wrócić do domu.

— No dobrze — przyznał niechętnie Niebieski Dzwoneczek. — W takim razie mamy mały problem. Nie rób z tego od razu ogólnie krajowej afery.

— Pamiętajcie o powiadomieniu mnie, gdy będziecie mieli duży problem — powiedział

Artur. — Aż boję się o tym myśleć.

— Przestańta się z nas naśmiewać — rzekł Indygo — albo dodamy cię do listy.

— Listy ludzi, których zamierzacie zabić?

— Żeś zgadł, hombre.

— Tak tylko z ciekawości, jak długa jest ta lista? — zapytał Artur.

— No cóż — powiedział Błękit Paryski — jak dotąd, licząc z grubsza, szacunkowo, żeby tak powiedzieć, lista liczy sobie trzy punkty

— Kim oni są? — zapytał z ciekawością Artur.

— Numer jeden na naszej Odstrzałowej Liście to Walt Disney — rzekł Błękit Paryski zdecydowanie.

— A pozostali dwaj?

— Ten choreograf — jak mu tam — a, tak: Balanchine. I rosyjski kompozytor, Czajkowski.

— Co oni wam zrobili? — zapytał Artur.

— Zrobili z nas pośmiewisko — rzekł Niebieski Dzwoneczek.

— Disney pokazał w *Fantazji*, że jesteśmy słodcy i milusi, a sprawką Balanchine’a jest, że elfy tańczą na czubkach palców w *Dziadku do orzechów*. Jak przy takim wyobrażeniu o nas mamy wymagać od naszych dzieci posłuszeństwa? Nasze kobiety chichoczą na nasz widok, a powinny mdleć. Nasze dzieci nam pyskują. Wrogowie nie zwracają na nas żadnej uwagi, gdy oblegamy ich miasta. — Elfik przestał mówić na chwilę, by wziąć oddech. — Ostrzegaliśmy tego Ruska przed tym, co się stanie, jeśli nie zmieni tańca na *Marsz Śliwkostodkiego Elfa*. A teraz za to zapłaci!

— Nie wiem, jak ci to powiedzieć — rzekł Artur — ale wszyscy trzej już nie żyją.

St Looie Blues natychmiast zaczął grać na saksofonie jazzową wersję *Znów nadeszły szczęśliwe dni*.

— Przestań! — zapiszczał wściekle Niebieski Dzwoneczek.

— O co chodzi, koleś? — zapytał St Looie Blues.

— Nie ma co świętować! Ograbiono nas z naszej słusznej i straszliwej zemsty!

Jeśli oni wszyscy byli wzrostu tego tam gościa — rzekł St Looie Blues, pokazując na Artura

— to i tak nie mógłbyś zrobić nic więcej, niż ugryźć każdego w duży paluch u nogi. — I wrócił

do grania na swoim instrumencie.

— No to co mamy robić? — zajęczał żałośnie Niebieski Dzwoneczek. — Nie mogliśmy przecież przebyć takiej drogi na próżno!

— Może moglibyśmy zabić każdego z ich pierworodnych synów — zasugerował Ton Purpury. — To dodaje całej sprawie miłego religijnego smaczku.

— Może powinniśmy po prostu wrócić do domu — rzekł Błękit Paryski.

— Nigdy! — powiedział Niebieski Dzwoneczek. — Wciąż wystawiają balet, wciąż słuchają symfonii, wciąż pokazują film!

— Obecnie na taśmie 70 mm — służył pomocą Artur.

— Ale jak ich powstrzymać? — zapytał Błękit Paryski.

— Przypuszczam, że będziemy musieli zabić wszystkich muzyków i tancerzy na świecie i zniszczyć wszystkie kopie filmu — powiedział Srebrny Cierń.

— Zgoda! — rzekł Niebieski Dzwoneczek. — Chodźmy! Nikt się nie ruszył.

— Arturze, mój przyjacielu — powiedział Ton Purpury. — Zastanawiam się, czy możemy zwrócić się do ciebie, jako do jednego z potencjalnych ocalałych z nadciągającej krwawej wojny o podbój świata, o odklejenie nas?

Artur westchnął. — Nie sędzę.

— Dlaczego? — zapytał Błękit Paryski. — Powiedzieliśmy ci wszystko, co chciałeś wiedzieć, i nie jesteś na naszej Odstrzałowej Liście.

— To by było morderstwo.

— Określenia zmieniają się, gdy następuje stan wojny — odparł Ton Purpury. — Nie uważamy siebie za morderców.

Artur potrząsnął głową. — Nie rozumiecie. To oni by was zamordowali.

— Absurdalne! — zapiszczał Niebieski Dzwoneczek.

— Idiotyczne — dodał Srebrny Cierń.

— Czy macie broń? — zapytał Artur.

— Nie — przyznał Niebieski Dzwoneczek. — Ale mamy za to dużo sprytu. Nie boimy się absolutnie niczego.

— Cóż, nie jest to całkowita prawda — powiedział Ton Purpury po chwili zastanowienia. —

Osobiście śmiertelnie boję się zjaw banshee, potworów żyjących w fosach i wysokich poziomów cholesterolu.

— Ja mam lęk wysokości — dodał Błękit Paryski. — I nie bardzo lubię ciemność.

Wkrótce wszystkie Sliwkosłodkie Elfy układały długie listy rzeczy, które ich przerażały.

— No cóż, niektórzy z nas strasznie boją się, z małymi tylko wyjątkami, wszystkiego —

poprawił się słabo Niebieski Dzwoneczek. — A reszta może być śmiała i odważna w ściśle określonych warunkach.

— Gdybym był wami, to spakowałbym zabawki i poszedł do domu — rzekł Artur.

— Nie możemy! — powiedział Niebieski Dzwoneczek. — Nawet gdybyśmy wiedzieli, jak się tam dostać, nie możemy spojrzeć naszym ludziom w twarz i powiedzieć, że nasz misja była klapą, że nawet nie zdołaliśmy wyrzeć poza twoją piwnicę.

— Wiem, Arturze, że leży ci na sercu nasze dobro — dodał Srebrny Cierń. — Ale mamy swoją dumę.

— Więc teraz — podsumował Błękit Paryski — gdybyś tylko pomógł nam się uwolnić, to poszlibyśmy swoją drogą, pozostawiając za sobą skromny ślad śmierci i zniszczenia.

Artur potrząsnął głową. — Zupełnie niewłaściwie się do tego zabieracie.

— A co ty wiesz o kataklizmatycznych wojnach zemsty? — zażądał odpowiedzi Niebieski Dzwoneczek.

— Nic — przyznał Artur.

— A więc?

— Ale wiem, że zabijanie gromady ludzi, nawet jeśli potrafili byście tego dokonać, nie powstrzymałoby kręcenia co kilka lat nowych wersji *Fantazji*.

— To tylko ty tak mówisz — odpowiedział Niebieski Dzwoneczek z większym przekonaniem, niż naprawdę czuł.

— Ja to wiem — powiedział Artur. A po chwili dodał: — Słuchajcie, nie wiem, dlaczego powinienem chcieć wam pomóc, oprócz tego, że wyglądacie słodko jako nalepki. — Wszyscy siedmioro, słysząc te słowa, wydali z siebie falsetem jęk. — I mimo wszystko sędzę, że nie całkiem w was wierzę. Ale gdybym to ja planował tę operację — mówił dalej — włamałbym się do głównego komputera Disneya i wykasowałbym wszystkie kopie *Fantazji* — Sędzę, że odwiedzenie wszystkich kin na świecie i odszukanie wszystkich kopii filmu zajęłoby cholernie dużo czasu.

— To wspaniały pomysł! — powiedział rozentuzjasmowany Błękit Paryski. — Chłopaki, czyż nie jest to wspaniały pomysł? Po prostu cudowny! — Na chwilę przerwał. — A tak przy okazji, Arturze, co to jest komputer?

Artur wyjaśnił.

— No to pięknie i wspaniale — rzekł Srebrny Cierń, gdy Artur już skończył — ale w jaki sposób wstrzymane przez to zostanie wystawianie baletu?

— Wyobrażam sobie, że zapiski Balanchine’a — sztuka—do—sztuki, jeśli można to tak określić

— zostały także wprowadzone do komputera — odpowiedział Artur. — Wystarczy znaleźć właściwy komputer i je wykasować.

— I muzykę Czajkowskiego?

Artur wzruszył ramionami. — To będzie trochę trudniejsze.

— No cóż, dwa punkty z trzech to całkiem nieźle — powiedział Kleks. — Porządny z ciebie gość, Arturze, jak na kogoś, kto nie jest nawet niebieski.

— Racja, gringo — dodał Indygo. — Chylę przed tobą sombrero. A raczej bym uchylił, gdybym mógł dostać sombrero w moim rozmiarze.

— Dobrze, Arturze — rzekł Błękit Paryski. — Jesteśmy przy gotowani. Uwolnij nas tylko i wskaż właściwy kierunek.

— Jesteśmy daleko od Kalifornii — rzekł Artur, uwalniając każdego elfa po kolei. — W jaki sposób zamierzacie się tam dostać?

— Tak samo, jak dostaliśmy się tutaj — odpowiedział Srebrny Cierń.

— W takim razie skończy się pewnie na tym, że znajdziecie się w Buenos Aires — powiedział Artur.

— Trafiłeś w sedno — zgodził się Ton Purpury.

— Moglibyśmy polecieć — zasugerował Srebrny Cierń.

— Wspaniały pomysł! — entuzjasmował się Ton Purpury. Potem przerwał na chwilę i zmarszczył brwi. — A czy my umiemy latać?

— Ja nie, koleś — powiedział Kleks, machając rękami. — A jeśli umiemy, to ja chyba nie pamiętam jak.

— I tak mam lęk wysokości — rzekł Błękit Paryski. — Musimy znaleźć inny sposób.



— Może powinniśmy rozłożyć nasze ciała na części podstawowe — protony i elektrony — i przesłać je tam przez kable telefoniczne — zaproponował Niebieski Dzwoneczek.

— Ty pierwszy — rzekł Ton Purpury.

— Ja? — zapytał Niebieski Dzwoneczek.

— A dlaczego nie? To twój pomysł, nieprawdaż?

— Cóż, ja to wymyśliłem, więc byłoby sprawiedliwie, gdyby ktoś inny wypróbował — rzekł rozdrażniony Niebieski Dzwoneczek.

— Może moglibyśmy dojechać tam autostopem — zaproponował Indygo.

— Co o tym sądzisz, Arturze? — spytał Błękit Paryski. Rozejrzał się wokół. — Hej, dokąd poszedł Artur?

— Jeśli donosi na nas władzom, to zamierzam dać mu takiego kopa w goleń... — powiedział Niebieski Dzwoneczek.

Nagle Artur pojawił się na szczycie schodów z dużym pudłem w dłoniach.

— Znudziłem się słuchaniem waszych kłótni — powiedział, znosząc pudło do piwnicy.

— A to po co? — zapytał Błękit Paryski, nerwowo pokazując na pudełko.

— Wskakujcie — powiedział Artur, zaczynając podnosić ich z podłogi.

— Wszyscy?

Artur skinął głową.

— Dlaczego?

— Wysłałam was do biur w siedzibie Disneya — odrzekł Artur.

— Jak już tam będziecie, radźcie sobie sami.

— Wspaniale! — krzyknął Błękit Paryski. — Teraz możemy siać spustoszenie w szeregach wroga i przywrócić honor naszemu rodowi.

— Albo chociaż załapać się na parę koncertów w Disneylandzie — dodał St Looie Blues.

Dwa tygodnie później Artur Crumm wrócił z pracy, dzierżąc w ramionach torbę zakupów i zobaczył siedmiu Śliwkosłodkich Elfów usadowionych na różnych meblach w pokoju gościnnym.

Niebieski Dzwoneczek miał na sobie okulary przeciwsłoneczne i zestaw złotych łańcuchów.

Indygo palił cygaro przynajmniej tak długie jak on sam. Srebrny Cierń miał ucho przekłute malutką diamentową szpilką do krawata. St Looie Blues zamienił swój saksofon na mały syntezator. Pozostali także obnosili się z przedmiotami, które nabyli podczas niedawnej wyprawy na Zachodnie Wybrzeże.

— Jak, do cholery, tu się dostaliście? — spytał Artur.

— United Parcels dostarczył nas pod drzwi wejściowe — odpowiedział Błękit Paryski. — My zajęliśmy się resztą. Mam nadzieję, że nie masz nam tego za złe.

— Nie sędzę — powiedział Artur, stawiając torbę. — Wygląda cie... ee... świetnie.

— Świetnie sobie radzimy — rzekł Błękit Paryski. — I zawdzięczamy to tobie, Arturze.

— A więc, naprawdę udało się wam wstrzymać dystrybucję Fantazji”?

— A, to... — powiedział Niebieski Dzwoneczek, pogardliwie wznosząc ramiona. —

Odkryliśmy, że jesteśmy stworzeni do lepszych rzeczy.

— O? Sądziłem, że waszym celem jest doszczętne zniszczenie wszystkich kopii filmu.

— Tak było, zanim nauczyliśmy się obsługiwać ich komputer — odrzekł Niebieski Dzwoneczek. — Arturze, czy wiesz, ile pieniędzy ten film zarabia każdego roku?

— Sporo — zgadywał Artur.

— „Sporo” to niedomówienie — powiedział Błękit Paryski. — Ten przeklęty film to kopalnia złota, Arturze — i co kilka lat pojawia się nowe pokolenie kinomanów.

— No dobrze, więc nie zniszczyliście kopii — powiedział Artur.

— Co zatem zrobiliście?

— Kupiliśmy pakiet kontrolny w Disneyu! — powiedział dumnie Niebieski Dzwoneczek.

— Co takiego?

— Disney — powtórzył Niebieski Dzwoneczek. — Mamy go teraz na własność. Zamierzamy rozpocząć produkcję lalek Śliwkosłodkie Elfy, koszulki ze Sliwkosłodkimi Elfami, płatki śniadaniowe Śliwkosłodkie Elfy...

— Rzeź i grabież są właściwe w odpowiednim miejscu — wyjaśnił Ton Purpury — ale marketing, Arturze — to właśnie tu ukryta jest prawdziwa moc!

— Jak wam się udało tego dokonać? — zaciekawiał się Artur.

— Nie jesteśmy za dobrzy w między wymiarowej kwadraturze — wyjaśnił Błękit Paryski — ale odkryliśmy, że mamy prawdziwy dryg do komputerów. Po prostu zmanipulowaliśmy giełdę

— kupując New York City Ballet i jednocześnie wszystkie prawa do zapisków Balanchine'a — a gdy mieliśmy wystarczająco dużo pieniędzy, zblankowaliśmy Xerox, wzięliśmy opcję z podwójną premią na Polaroida i z nadwyżki kupiliśmy Disneya. — Wyglądał na niesamowicie zadowolonego z siebie. — Nic więcej.

— A co z Czajkowskim?

— Nie możemy powstrzymać ludzi od słuchania — odrzekł Niebieski Dzwoneczek — ale teraz jesteśmy właścicielami części każdego większego studia nagraniowego w Ameryce, Anglii i Związku Radzieckim. Gdybyśmy chcieli, to możemy zamrozić kanały dystrybucyjne w ciągu trzech tygodni — przerwał. — Komputery to dopiero zabawa.

— Więc teraz wracacie do Krainy Śliwkosłodkich Elfów? — zapytał Artur.

— Na pewno nie! — powiedział Błękit Paryski. — Każdy może być Śliwkosłodkim Elfem.

Natomiast bycie odnoszącym sukcesy zdobywcą spółek, prawidłowe odczytywanie wskaźników cena — zysk, znajdowanie ukrytych zasobów, uderzanie we właściwym momencie i powalanie wrogów na ich finansowe kolana wymaga wrodzonych zdolności i pewnej dozy szlachetności.

— Z pewnością.

— Zwłaszcza gdy masz tak nierówne szansę jak my — ciągnął Błękit Paryski. — Nie bardzo możemy przemawiać na posiedzeniach zarządu, nie możemy posługiwać się telefonem znajdującym się wyżej niż dwadzieścia cali od podłogi i możemy podróżować tylko w paczkach UPS...

— Nie mamy nawet adresu korespondencyjnego — dodał Ton Purpury.

— Ale mimo wszystko największym problemem jest to — po wiedział Niebieski Dzwoneczek

— że żaden z nas nie ma numeru ubezpieczenia społecznego ani numeru identyfikacyjnego podatnika. A to oznacza, że Urząd Skarbowy będzie próbował na koniec roku budżetowego zająć nasze aktywa.

— Nie mówiąc o tym, co zrobi SEC\* — wtrącił żałośnie Srebrny Cierń.

— Nie mówcie — zadumał się Artur.

— O tak — odpowiedział Niebieski Dzwoneczek. — Tak na prawdę to już powiedzieliśmy.

\* SEC (Securities and Exchange Commission) — komisja nadzorująca działalność giełdy papierów wartościowych.

— Więc może będziecie skłonni wysłuchać propozycji... Trzy dni później Artur Crumm i Spółka wykupiło miejsce na giełdzie nowojorskiej i następnie w ciągu miesiąca miejsce na giełdzie amerykańskiej.

Do dziś niewiele o nich wiadomo, oprócz tego, że jest to mała, ściśle kontrolowana spółka inwestycyjna przynosząca naprawdę pokaźny roczny dochód, która ostatnio rozszerzyła działalność o parki rozrywki Śliwkosłodkich Elfów i filmy pełnometrażowe. A ponadto krążą plotki, że zaangażowała Sylvestra Stallone'a, Arnolda Schwarzeneggera i Madonnę do zagrania w *Fantazji II*.

*Przełożyła Ewa Helińska*

*Jane Yolen*

## **Król Zimy**

### **(Winter's King)**

Nie urodził się jako król, lecz jako dziecko wędrownych aktorów. Był lodowato niebieski, kiedy wyskoczył na świat podczas najsroźszej zimy, gdy wiatr zawodził na zewnątrz małego, zielonego wozu. Akuszerka oznajmiła, że jest martwy, głosem gładko skrywającym satysfakcję.

Nie chciała być wzywana do porodu w taką noc.

Lecz ojciec, który śpiewał za grosze i uśmiechy obcych, odebrał jej dziecko i zanurzył je w miednicy pełnej letniej wody, cały czas śpiewając dziwną, dziką pieśń w języku, którego tak naprawdę nie znał.

Powoli dziecko zrobiło się różowe, jak gdyby oddech został mu użyczony zarówno przez wodę, jak i pieśń. Kaszlnęło raz, wypłuło trochę różowej krwi, a potem zaczęło zawodzić na nutę, która była o pięć minorowych tonów wyższa niż ostatni dźwięk wydany przez zdziwionego ojca.

Nie poświęcając czasu na owijanie go w becik, ojciec położył ociekające i wierzgające dziecko w łóżku obok żony. Podnosząc je do piersi, kobieta uśmiechnęła się do męża ze spojrzeniem, które obejmowało dziecko i mężczyznę, lecz pozostawiało z boku akuszerkę.

Starucha wymamrotała coś, co było na wpół klątwą, na wpół lękiem, a później znacznie głośniej powiedziała:

— Nic dobrego nie będzie z tego martwego, zimnego dziecka. Będzie rósł dobrze zimą, ale cierpiał latem i będzie mało dbał o ten świat. Słyszałam już o takich. Nazywają ich Królami Zimy.

Matka podniosła się na łóżku, uważając, by nie przeszkodzić dziecku spoczywającemu u jej boku.

— Więc będzie Królem Zimy, bardziej niż ktokolwiek mu podobny — powiedziała. — Lecz nie martw się, stara kobieto, zapłacimy ci zarówno za martwe, jak i za żywe dziecko. — Skinęła mężowi, który zapłacił akuszerce ze swej chudej kieszeni sześć miedziaków.

Akuszerka nie okazała najmniejszego nawet zakłopotania, zatrzymała pieniądze i otulając swe krępe ciało peleryną, a głowę szalem, wyszła w szalejącą burzę. Nie uszła dwudziestu kroków od wozu, gdy wiatr zdarł z niej pelerynę i zacisnął szal wokół szyi. Zamarznięta gałąź oderwała się od drzewa i roztrzaskała jej głowę. Gdy znaleziono ją rankiem, była zamarznięta na kość.

Pieniądze, które ścisnęła w dłoni, zniknęły.

Aktor został powieszony za morderstwo, a żona wyruszyła, by go opłakiwać, pomimo że wciąż była w połogu. A później szybko wyszła za mąż, by mieć schronienie i pożywienie. Jej nowy mąż nie lubił zimowego dziecka.

— Jest zimne — mówił mąż. — Słyszysz głosy na wietrze. — Chociaż to właśnie on był zimny i to on słyszał, gdy alkohol szumiał mu w głowie, mroczne rady bezimiennych bogów, rozkazujące bić żonę i napastować jej syna. Kobieta nigdy się nie skarżyła, gdyż bała się o swe dziecko. Dziwne było jednak to, że dziecko wydawało się o nic nie dbać. Więcej uwagi poświęcało głosowi wiatru niż krzykom ojczyma, używając swego głosiku zawodzeniom, które tylko ono słyszało — jednak brzmiącym zawsze o trzy tony minorowe niżej.

Tak jak przepowiedziała akuszerka, zimą dziecko o jasnych oczach było aktywne, skore do śmiechu. Lecz gdy nadchodziła wiosna, pączki policzków bladły, choć pączki na drzewach dopiero kwitły. Latem i jesienią ożywiało się jedynie, kiedy matka opowiadała mu historie o Rodzie Zimy, o śnieżnobiałych koniach i ich grzywach o barwie kości. I chociaż wymyślała wszystkie te opowieści, jak to tylko aktor potrafi, ono wiedziało, że były prawdziwe.

Gdy zimowe dziecko miało dziesięć lat, matka umarła, nie wytrzymawszy brutalności męża.

Chłopiec uciekł w zawodzącą burzę, bez płaszcza i kapelusza, które chroniłyby ciało przed zimnem. Jego pijany ojciec nie widział, jak odchodzi, ani też o to nie dbał. Chłopiec nie uciekł, aby uniknąć bicia — odszedł do Zimowego Rodu, wzywającego go wśród wiatru. Bosy i z gołą głową przedzierał się przez śnieg, próbując dotrzymać kroku jeźdźcom w burzy. Wyraźnie ich widział. Byli odziani w wielkie białe peleryny, z kapturami podszytymi gronostajami, a gdy obrócili się, by na niego popatrzeć, ujrzał, że ich niebieskie oczy mają kolor wiatru, kości twarzy zaś są drobne i szlachetne.

Długo, długo szedł ich śladem, aż zamarzły mu łzy. Nie płakał za swoją zmarłą matką, chociaż tylko ona łączyła go ze światem. Płakał nad sobą i swoimi stopami, które były zbyt małe, by podążać za szybko pędzącym Zimowym Rodem.

Tej nocy znalazł go drwal i zaniósł do domu. Zanurzył go w wannie pełnej letniej wody i mówił w dziwnym języku, którego nawet on podczas długich wędrówek nigdy nie słyszał.

Chłopiec zrobił się różowy w wodzie, jak gdyby przywrócono mu życie zarówno przez kąpiel, jak i modlitwę, lecz nie podziękował staruszkowi, gdy już się przebudził. Zamiast tego odwrócił

twarz ku oknu i zaszlochał, tym razem jak każde dziecko, łzami spływającymi po policzkach jak miękki deszcz.

— Dlaczego płaczesz? — zapytał staruszek.

— Płacę za moją matką i wiatrem — odparł chłopiec. — I za tym, czego nie mogę mieć.

Zimowe dziecko zostało ze starym drwalem przez pięć lat, wychodząc z nim każdego dnia, by przyciągnąć do domu drewno na opał. Zawsze szli do lasu południowego: rzadkiego, pokracznego zagajnika pełnego młodych drzewek. Nigdy do lasu na północy.

— To wielki Zakazany Bór — powiedział staruszek. — Wszystko, co tam się znajduje, należy do króla.

— Króla — powiedział chłopiec, przypominając sobie matczyne opowieści. — Ja jestem królem.

— Tak jak my wszyscy w niebie — rzekł staruszek z czułym uśmiechem. — Lecz tu na ziemi ja jestem drwalem, a ty porzuconym dzieckiem. Naszym niech pozostanie las na południu.

Choć chłopiec uważnie słuchał słów starego człowieka wiosną, latem i jesienią i pomagał mu w pracy, kiedy tylko przyszła zima, słuchał jedynie głosów w wietrze. Często staruszek znajdował go stojącego prawie nago w drzwiach i musiał sprowadzać go do ognia, gdzie chłopiec zapadał w osłupienie i nic nie mówił.

Stary człowiek próbował go wtedy rozweselać i opowiadał różne historie, podczas gdy chłopiec ogrzewał się przy palenisku. Mówił o Matce Holle i jej puchowym łożu, o Ojcu Chrzestnym Śmierć i o Śpiewającej Kości. Mówił o Niebiańskim Cepie i o kapłanie, którego laska wypuściła kwiaty, bo Wodna Driada miała duszę. Ale chłopiec nadstawiał ucha tylko głosom wśród wiatru, a jakie one opowiadały mu historie, o tym nie mówił.

Staruszek umarł pod sam koniec ich piątej wspólnej zimy i chłopiec odszedł, nawet nie splatając trupowi rąk. Poszedł do południowego zagajnika, gdyż była to droga znana jego stopom. Ale nie było tam Zimowego Rodu.

Wiatry dmuchały łagodnie, wiosna zaś zdążyła zmiękczyć gorzkie brązowe gałęzie, aż zaróżowiły się lekko. Żółtozielona mgiełka otaczała je w powietrzu, a błotnista gleba pod stopami pachniała wilgocią, zielenią i nowością.

Chłopiec opadł na ziemię i zapłakał — nie nad śmiercią drwala ani za matką, lecz za jeszcze jedną utratą Zimowego Rodu. Wiedział, że upłynie dużo czasu, zanim znów przyjdzie zima.

A wtedy z oddali dobiegł go odgłos ostatniego dzikiego wybuchu muzyki. Zabłąkany podmuch zimnego wiatru uderzył go w nos silnie jak sole trzeźwiące. Jego oczy otworzyły się szeroko i niewiele myśląc, wstał.

Idąc za śladem pieśni, tak wyraźnym dla niego, jak ślad na ulicznym bruku, ruszył ku wielkiemu Zakazanemu Borowi, gdzie ciężkie drzewa wciąż rzucały cień na zimowy śnieg.

Przedzierając się przez świeży janowiec rosnący w przerwie między lasami, wszedł do ciemnej puszczy i kręcił się pomiędzy wysokimi, czarnymi drzewami, wchodząc i wychodząc z cienia.

Kierował się tak dokładnie na północ, jak metalowa igła pływająca na powierzchni wypełnionej wodą miski. Na ścieżce było coraz zimniej i początkowo błotnista ziemia ustąpiła teraz miejsca zmarzlinie.

Na razie widział jedynie mgłę, białą, jak gdyby końskie kopyta wzbily pył z krystalicznie czystego lodu. Lecz gdy raz i drugi zamrugał, zobaczył, że ku niemu zbliża się wielka liczba bladych ludzi, niektórzy na rumakach barwy obłoków, niektórzy na rumakach barwy śniegu. I w jednej chwili wszystko zrozumiał: że to, co widział, to nie była mgła, lecz oddech tych wielkich ogierów.

— Moi ludzie! — krzyknął w końcu. — Moja krew. Mój rodzie!

— I zdarł z siebie najpierw buty, później spodnie, a na koniec koszulę, tak że był wolny od świata i jego marności i mógł wybiec naprzeciw Zimowemu Rodowi nagi i nieulękły.

Na pierwszym koniu siedziała kobieta nieziemskiej piękności. Jej włosy splecione były w setki białych warkoczyków, na głowie zaś miała koronę z diamentów i księżycowych kamieni.

Jej niebieskie oczy miały kolor wiatru, a na piersi krył się mróz. Powoli zsiadła z konia i nakazała mu zostać w miejscu. Wtedy zdjęła gronostajowy płaszcz przewieszony przez siodło, rozpościerając go, by otulić chłopca.

— Mój królu — zaśpiewała — moja prawdziwa miłości. — A później otuliła go płaszczem w kolorze śnieżnej chmury.

Odpowiedział jej głosem o trzy tony minorowe niższym niż jej:

— Moja królowo, moja prawdziwa miłości. Przybyłem do domu.

Gdy leśniczy króla dotarli do niego, pierzasta strzała tkwiła mocno w jego piersi, lecz, o dziwo, nie było wcale krwi. Leżał z rozpostartymi rękoma, jak anioł na śniegu.

— To tylko dziki chłopiec — ten, który przynosił drewno na opał staruszkowi — powiedział jeden z nich.

— Pomimo to był w królewskim lesie — odparł drugi. — Wiedział o tym bardzo dobrze.

— Nagi jak nowo narodzony — rzekł pierwszy. — Ale popatrz!

W lewej dłoni chłopca były trzy miedziaki, a w jego prawej zobaczyli jeszcze trzy.

— Dwakroć tyle, ile płaci się za odebranie porodu — powiedział pierwszy.

— Wystarczy — rzekł jego towarzysz — by kupić drewnianą skrzynię i wynająć grabarza do wykopania grobu.

I wynieśli zimne ciało z lasu, nie podążając ani za muzyką, ani za głosami wyśpiewującymi dzikie i

obce hosanny na wietrze.

*Przełożyła Ewa Helińska*

*Barry N. Malzberg*

## **Götterdämmerung**

### **Götterdämmerung**

Właściwie to mówimy o potrzebie zachowania nastroju magii i tajemniczości. Wyrazistość jest wrogiem rozumu, nie jego pomocnikiem. Czarodziejstwo jest szlachetnym zawodem, lecz wymaga nie mniej, niż na przykład kowalstwo, ciężkiej pracy i samodyscypliny. Wystarczająco długo parąłem się tą profesją, by rozmyślać nad tym bez ironii, lecz z pewną pogardą. Nie można powiedzieć, że jest to wstęp do dalszych zdarzeń, to tylko forma medytacji.

Mówię o siedzeniu na wysokim, żółtym, nagim wzgórzu, dymie unoszącym się wysoko z mojej małej chaty, słońcu rzucającym swe ponętne promienie na ten krajobraz, o żółci na żółtym.

Późna, sucha pora. Dwa elfy, karzeł i olbrzymka wspinali się ku mnie z trudem, wyciągając w hołdzie ręce. Bez darów — moja zazdrość i kaprysy są znane; składanie całopalnych ofiar z pewnością nie zaspokaja mnie — lecz z wyraźnym, sprawiającym mi przyjemność niepokojem.

Stanęli przede mną, zachowując pełną szacunku odległość, a następnie starszy elf wystąpił naprzód.

— Pozdrowienia — rzekł. — Przybywamy w pokoju i pokorze. Czy to właściwa formuła?

— Nie wiem — odrzekłem. — Kiedy pojawiły się formuły? Czy mówisz w imieniu wszystkich?

— Tak byśmy woleli — powiedział karzeł. Miał miły wygląd, bez uderzających zniekształceń, które są cechą gatunkową. Ten sam opis pasował do nich wszystkich, choć pewna agresywność w postawie olbrzymki mogłaby przerażać w innych okolicznościach. Oczywiście, żaden czarodziej nie doświadcza „innych okoliczności”. Żyjemy w sposób ustalony, otoczeni przez posłuszeństwo, jeśli nawet nie przez otwarte nadszkanie.

— Oczywiście — kontynuował karzeł — możemy mówić pojedynczo. Ale zajęłoby to zbyt dużo czasu.

— Czas jest cenny — zgodziłem się. — Jest naszą jedyną monetą. Nie wolno nam nim szastać.

— A więc zgadzamy się w każdym punkcie — powiedział karzeł. — Zatem zostawimy sprawę Meyerowi, jeśli nie masz nic przeciwko.

— Ja jestem Meyer — powiedział większy elf. — Mój towarzysz to Sigmund. Ten mały obok, to Zygryd karzeł, żeby się nie mylić, oraz Barbara. Barbara nie zawsze była z nami. Spotkaliśmy się



dopiero ostatnio.

— W dolinie — dodała Barbara. — Mówiliśmy o naszym po chodzeniu i historii, a skoro mamy ten sam cel, zdecydowaliśmy się połączyć siły.

— Naturalnie — rzekłem. — Ale wybraliście tylko jednego przedstawiciela.

Ślad nagany zawisł w żółtym powietrzu, żar w zachodzącym słońcu. Meyer poprawił pelerynę, zerkając nerwowo na pozostałych.

— Oczywiście — powiedział. — Powinieneś był nas przywołać do porządku. Nasz czas jest ograniczony, a potrzeby wielkie. Przybyliśmy prosić o pomoc.

— Pomoc — powtórzyłem. — Wszyscy potrzebują pomocy. Siedzę tu w świetle i ciemności, obserwując zgiełk przemijających pór roku i nic, absolutnie nic się nie dzieje, oprócz petentów takich jak wy, przychodzących w poszukiwaniu pomocy. To, oczywiście, moje przeznaczenie — dodałem. — Nie mam zamiaru okazywać, że mnie uraziliście. Ale doprawdy po chwili zaczyna się to przykrzyć.

— Cóż, mogę to zrozumieć — powiedział Meyer. — Mogę zrozumieć, dlaczego tak się stało.

Zatem być może powinniśmy po prostu odejść.

— Zapytaj go, Meyer — nie ustępowała olbrzymka. — Nie daj się zastraszyć. On może żyć w dymie i ogniu, ale musi wrzucać coś do garnka, tak jak i my. I sędzę, że on też drży, gdy rozlega się dźwięk grzmotu.

— Czyż nie pięknie przemawia? — powiedział Sigmund elf.

— Od razu w dolinie wiedzieliśmy, gdy tylko zaczęła z nami rozmowę, że jej sposób wysławiania się jest czarujący. Doprawdy, cóż uczynilibyśmy bez języka? Tak bardzo podziwiam tych, którzy umieją się nim posługiwać.

Olbrzymka rzuciła mu uważne spojrzenie i odwróciła się. Karzeł Zygfyrd potrząsnął głową, powodując, że jego twarz zadrgała niebezpiecznie, i kopnął kamyk.

— Wiedziałem, że się nie powiedzie — rzekł. — Ruszajmy w drogę. Może spotkamy na dole jednego z Alberichtów. Sędzę, że za szybko się poddaliśmy, za wcześnie tu weszliśmy.

Meyer wpatrywał się we mnie. — Czy widzisz, jakie mamy problemy? — spytał. — To nie tak, jakbyśmy mieli plan albo co. Po prostu jakoś staramy się sobie radzić.

— Albo i nie — powiedział Zygfyrd. — Spotkaliśmy się z właściwym czarodziejem i nie pozwalamy mu mówić. Przedzieraliśmy się całą tę drogę w górę...

— Nie mogę odnaleźć dla ciebie pierścienia — rzekłem. Patrzyli na mnie, gwałtownie skupiwszy uwagę, ciesząc tym mojego ducha. Jest coś w zdaniu wypowiedzianym w odpowiedniej chwili, które jak właściwie rzucone zaklęcie, wzbudza uczucie ciepła. Być wziętym za kogoś innego, a później pokazać, że jest się jeszcze kimś zupełnie innym, to przyjemność, której długo sobie odmawiałem, niemniej jednak czasami ta arogancka potrzeba wypływa na zewnątrz.

— Ten pierścień spoczywa na dnie rzeki — powiedziałem.

— Został tam wrzucony wiele pór roku temu i nie może zostać odnaleziony. Nie potrafię przywrócić go powierzchni, tak jak nie potrafię przywrócić życia zmarłym. Ani nawet zmieniać ich kształtów. Tak więc obawiam się, że jest to koniec naszej rozmowy. Naprawdę, nic więcej nie można zrobić.

— Mówiłam wam — rzekła pogardliwie olbrzymka Barbara. Podniosła stopę, by kopnąć Meyera, lecz pod moim surowym spojrzeniem postanowiła zmienić swój zamiar. — Cóż, mówiłam — powiedziała ponuro. — Mówiłam im, że nie znajdziemy tu rozwiązania naszego problemu.

— Słuchaj — powiedział Sigmund. — Jeśli jesteś tego tak pewna, jeśli już wszystko rozumiesz, to dlaczego nie wrócisz przez dolinę do swojego zamku? Nie przyszliśmy tu za tobą, lecz ty za nami.

Zygfyrd przygwoździł mnie swym przenikliwym, charakterystycznym dla karłów spojrzeniem. — Czy wiesz, jaki mamy problem? — powiedział. — Oto on: zwróciliśmy się ku sprzeczkom, obrazom i wrogości. Z pewnością gdybyśmy odzyskali pierścień, stan ten przeminąłby i wszyscy żylibyśmy w przywróconym nam pokoju i harmonii. Jakże dusza pragnie harmonii! Ale ty mówisz nam, że nasza wyprawa jest bezowocna. Jest to w najwyższym stopniu zniechęcające.

— Wiem, że to beznadziejne — powiedziałem. — Alberichci byli tu nie dalej jak dwa zachody słońca temu. Długo dyskutowaliśmy, ja i Alberichci, przy ognisku. Obwieścili ostateczną utratę pierścienia.

— Takie też krążyły plotki — rzekł Meyer.

— Czyniono starania, by go odzyskać — dodałem. — Kilkunastu Alberichtów zorganizowało nurkowanie i zanurzyło się w rzece, nie zważając na straszne wrzaski i drwiny Panien Renu.

Rozpaczliwie próbowali odzyskać pierścień, doświadczony gorzkiego żalu po jego utracie.

— Oczywiście, bez skutku — powiedziała Barbara.

— Żadnego — odparłem. — Utonęli. To znaczy, czterej Alberichci utonęli, piątego zaś przyciągnęli nieprzytomnego do brzegu jego bracia. Jak mi powiedziano, ma on powrócić do zdrowia, chociaż cały czas błaga o zwrócenie pierścienia. Alberichci są tak samo bezradni jak my wszyscy — rzekłem. — Obawiam się, że ich moc również zatoneła w rzece.

— Wszystko to ci powiedzieli? — odezwał się Zygfryd. — Tak chętnie przyznali się, że są bezradni?

— Nie ma tajemnic dla czarodzieja — wyjaśniłem. — Nawet w obecnej sytuacji, gdy czas ma się ku końcowi, a pierścień jest głęboko zatopiony, Alberichci organizują rozpaczliwe wyprawy, a grupki,

takie jak wy, poszukują daremnie tego, co i tak zostało uznane za zaginione. Ale dosyć tego — rzuciłem. — Przekomarzam się z wami bez widocznego celu. Nic nie można zrobić.

Obawiam się, że musicie odejść.

— Ostrzegałam was — rzekła Barbara. — Mówiłam wam, że to głupie i bezsensowne. —

Kopnęła Zygryda w nogę. — Ale ty mówiłeś: „Nie. Idźcie do góry i zobaczcie się ze starcem, on zna wiele sekretów”. Dzień i noc na tym wzgórzu, wspinając się ku drwinom, oto rezultat.

— A miałaś lepszy pomysł? — spytał Zygryd, masując kostkę, lecz nie czyniąc żadnych, jak dobrze widziałem, groźnych ruchów, by się zemścić. — Ty poprosiłaś o pozwolenie towarzyszenia nam w naszej misji.

— Rozumiesz nasz problem — rzekł do mnie Meyer. — Nie ma porozumienia, nie ma harmonii. Jesteśmy zgorzkniali i niezadowoleni. W oczywisty sposób do tego doprowadziła nas utrata pierścienia, lecz nic nie można poradzić.

— Nie — zgodziłem się. — Nic nie można poradzić. — Chciałem powiedzieć: „Wy głupcy i maruderzy, nie można było nic zrobić na długo zanim się urodziliście, wypełnia się na naszych oczach klątwa, a my odgrywamy tylko takie role, jakie były nam wcześniej zapisane”. Ale to doprowadziłoby jedynie do wykładów na temat przeznaczenia i śmiertelności, które byłyby stanowczo za trudne dla ich umysłów.

— Tak więc widzicie — powiedziałem, porzucając pełną poufności przykucniętą pozycję, unosząc szatę i płynnie oddalając się od nich. — Doprawdy nie można nic zrobić. Może jacyś Alberichtowie wędrują w okolicy. Może moglibyście z nimi porozmawiać, zobaczyć, czy mają jakieś pomysły. Ale wątpię, czy w ogóle będzie to możliwe.

— On ma rację — rzekła Barbara. — Nie możemy zrobić nic więcej, niż sobie pójść. Ja w każdym razie idę — dodała, odwróciła się i odeszła, kulejąc. Zwrócona do nas tyłem, wyglądała jeszcze bardziej imponująco, okazując wciąż pewną pokorę — wada w jej postaci, która trochę mnie poruszyła, chociaż oczywiście nigdy bym tego nie okazał ani jej, ani pozostałym. Wszyscy z zainteresowaniem przyglądaliśmy się jej, gdy schodziła w dół wzgórza, stając się, szybciej niż mógłbym przewidzieć, małym, a później ledwo widocznym punktem. Setka Alberichtów nie mogłaby zniknąć tak szybko lub z większą pogardą.

— Sądzę, że wszyscy już pójdziemy — powiedział Meyer. — Wiesz, byłeś naszą ostatnią nadzieją. Nie mamy innych pomysłów.

— No i była to bardzo długa podróż — dodał Zygryd. — Możesz sobie wyobrazić, jakie trudne były warunki. Spójrz na tego oto Sigmunda, możesz myśleć, że jego karzełkowatość chroni go przed cierpieniem lub prawdziwą pasją, ale tak nie jest. Miałby wiele do opowiedzenia...

— Chodźmy — przerwał Meyer. — Nie sądzą, żeby czarodziej był tym zainteresowany. W

każdym razie ja nie jestem. Słuchałem tego już wystarczająco długo, a poza tym mamy daleką drogę

przed sobą, jeśli chcemy tej nocy spać daleko od ognia. — Skierował ku mnie głowę. —

Dzięki, że się tym zająłeś — powiedział.

— Nie ma za co — rzekłem. — Gdyby moja moc była większa, mogłoby być inaczej, ale oczywiście ulega ona skutkom utraty pierścienia. Destrukcji, chciałem powiedzieć. Wiele mocy zniknęło z tego świata, odkąd pierścień został zgubiony.

— Cóż, tak — westchnął Sigmund — ale nie chcemy już o tym rozmawiać, prawda? —

Przećwiczył ziewnięcie, odwrócił się i wy ciągnął rękę. — Pozwól nam odejść — powiedział. —

Najprawdopodobniej ona i tak czeka na nas na dole.

— Oczywiście, że czeka — rzekł Meyer. — I tak nie ma dokąd pójść.

— Żadne z nas nie ma — odparł Zygfyrd, nie kierując swej wypowiedzi do nikogo. Wzięli się za rękę, wykazując w jakiś sposób więcej zgodności, niż kiedy kierowali się ku mnie — ale mogło to być jedynie świadectwo na nowo złamanego ducha — i kołysząc się, odeszli. Gdy zanurzyli się w otulającym świetle, pomyślałem, że poddali tym myśl o fali, ale było to za trudne, by im powiedzieć, a później już ich nie było. Zresztą i tak się to nie liczyło.

Wzruszyłem ramionami — minęło kolejne spotkanie — i wróciłem do swej siedziby.

Wewnątrz dym zaczynał się rozwiewać — wkrótce nadejdzie czas, by dorzucić do ognia patyk lub dwa. Pod ścianą siedziało i milcząco wpatrywało się we mnie sześciu Alberichtów. Mieli małe błyszczące oczka i przypominali ropuchy.

— Pozbyłem się ich — powiedziałem.

Alberichtowie mrugnęli, zamruczeli i otarli się o siebie.

— Po prostu — odrzekłem. — Nawet już się nie pytają. Zajęli mi połowę czasu mniej niż poprzednia grupa. Wkrótce nawet nie będą się wcale pytać. Zamacham tylko do nich ręką, potrząsnę głową i pójdą.

Alberichtowie wydawali się rechotać. Jeden wyświergotał pytanie.

— Jeszcze nie — odparłem. — Jeszcze nie czas. Wpatrywał się we mnie. Rozmyślałem nad kwestią utraty języka i przez moment rozważałem możliwość przywrócenia mu go, ale postanowiłem, że jeszcze nie czas. Było o wiele łatwiej, o wiele mniej nieprzyjemnie, gdy Alberichtowie pozbawieni byli języka i niezdolni do rozmowy.

— Wkrótce odejdą — powiedziałem. — Ale sądzę, że jeszcze parę grup się zjawi. To kwestia pokuty, to wszystko.

Alberichtowie patrzyli na mnie pytająco. Przeszedłem na bok, podniosłem parę drewnianych i rzuciłem je

w kierunku ogniska.

— Wkrótce — rzekłem — zejdziemy do rzeki. Przygotujemy nasz własny plan i zejdziemy razem do rzeki.

Alberichtowie przytaknęli wyczekująco i z przyjemnością. Utrata języka nie oznacza utraty zdolności rozumienia. Przeciwnie, zwiększają, co wie każdy dobry czarownik. W tym momencie wydawało się, że Alberichtowie, tak jak ja, rozumieli wszystko.

— Moje — powiedziałem cichutko. — Wszystko będzie moje.

Alberichtowie przytaknęli.

— Wszystko moje — powiedziałem.

— Nie — rozległ się za mną stanowczy głos. A później w drzwiach, w postawie pełnej groźby i zdecydowania, pojawiła się cała ich czwórka, a ich elfie, karzełkowate, olbrzymie rysy przepełnione były satysfakcją i przebiegłością.

— Nie całkiem — dodała Barbara.

Podniosłem dłoń, udając zaklęcie.

Podeszła do stosu w kącie i podniosła drewno.

— Widzisz — powiedziała. — Mamy swoją magię, stary czarodzieju.

Alberichtowie zachichotali zdradziecko.

Stwierdziłem, że chyba sytuacja wymknęła mi się spod kontroli.

*Przełożyła Ewa Helińska*

*Gregory Benford*

**Rzeczna droga**

**(Down the River Road)**

Baśń to elementarz, z którego dziecko uczy się myśleć obrazami.

Bruno Bettelheim, *Zastosowania zachwyty*

**1. Schodząc na brzeg**

Chłopiec podążał srebrną rzeką w poszukiwaniu swego ojca.

Siedział przykucnięty w swym skiffie, kołysany wartkim nurtem, i obserwował włók. Nie jadł

od dwóch dni. Tłusta żółta ryba zamigotała w oddali w przejrzystej wodzie, lecz nie zaatakowała przynęty.

Ciekawość wzięła górę nad głodem i przechylił się przez burtę, patrząc, czy ryby obszturchują linkę. Zamiast pulchnej zdobyczy ujrzał siebie, odbitego w aluminiowoszarym, metalowym nurcie. Lecz odbicie trzymało laskę, którą wczoraj upuścił za burtę. Zatopił wzrok w zastygłym nurcie czasu, który dotrzymywał biegu skiffowi w podróży w dół czasu, i przyjrzał się swemu wczorajszemu optymistycznemu spojrzeniu oraz zabrudzonemu czołu i kosmykom tłustych włosów sterczącym wokół wielkich uszu.

Ostrożnie cofnął się znad krawędzi płaskodenego skiffu. Strumień płynnego metalu wzbierał pod warstwą wody. Mógł zatopić go jednym przypadkowym muśnięciem. Niebezpieczeństwo wysuszyło chłopcu wargi, ciasną obręczą objęło gardło.

W głębinie mrocznej wody dostrzegł powolne zawirowanie białawej poświaty, rtęci, kształtującej i mącącej szeroki, posmużony błotem strumień. Ten metaliczny wybój był zdradliwy — krył bowiem obłe wielonogi, elektryczne żmije, zębate istoty śmigające przez strumienie metalu niczym szerokoskrzydłe ptaki.

Leżał nieruchomo na dnie skiffu, mając nadzieję, że ciek zgęstniałego czasu opadnie.

Wywołujący mdłości przybój temporalny przesączył się przez jego wymizerowane ciało, więc by oderwać uwagę od nudności, chłopiec spojrzał w stronę górującego nad rzeką wielkiego, rozległego lasu.

Migotały tam połacie nagiej ściany świata, obficie pokryte tłącymi się, ognistymi plamami.

Świat miał kształt tuby, jego jedyna, wielka rzeka była lśniącym węzem przemykającym przez skarpy i lasy. W dole rzeki olbrzymia średnica zamkniętego wszechświata ginęła za mgłą. Na migotliwym łuku rzeki dostrzegał okazałe miasto. Za nim, w górze czasu, zdołał rozróżnić masywny łuk świata i jego bogatych wzgórz tak daleko, dopóki perspektywa nie zatarła i zniekształciła kontury. Kusiło go, by wyciągnąć lornetkę i się przyjrzeć...

Uderzenie o dno skiffu. Coś ciężkiego, ruchomego.

Wstrzymał oddech. Zazwyczaj skiff poruszał się z lekkością pióra, reagując na sam napór ciśnienia atmosfery za jego plecami w trakcie podróży w dół srebrnej rzeki i z wzrastającą szybkością mknął przez czas.

Nieregularne plamy nagiej skorupy nad jego głową wydzielały rażące promienie światła.

Zapragnął, by choć na chwilę zapadła ciemność i pozwoliła mu się ukryć. Nie było tu słońca, chłopiec nigdy nie widział gwiazd, więc nie mógł nawet wiedzieć, co oznacza to słowo. Światło pochodziło z plam na skorupie, przypominających opalizujące wulkany rozsiane po ziemi na przeciwległej krzywiźnie świata. Znał prawdę, lecz tylko dlatego, że wytłumaczył mu to jego ojciec;

owe zmienne kolory były przemienionym blaskiem monstrualnych kolizji zachodzących między skupiskami nieznanych energii, odległymi rozbłyskami, olbrzymimi i wymykającymi się poznaniu, rozwijającym się dziedzictwem bezmyślnych sił nieogarnionych ludzkim umysłem.

Coś zmaćło powierzchnię wody.

Usiadł i sięgnął po wiosło, a wtedy cienki przedmiot wystrzelił z wody i przemknął obok jego głowy. Chłopak zrobił unik i uderzył mackę wiosłem. Guzowaty łeb ze zmrużonymi żółtymi ślepiami dzwignął się z pofalowanej wody. Poza metalicznym żywiołem wydzielał gryzący, zielony dym. Zaatakował ponownie. Chłopiec zamachnął się wiosłem. Uderzyło w mackę i rozcięło ją.

Rtęciowa bestia zabeczwała, chlapnęła i zniknęła. Zanurzył wiosło w wodę — połowa jego pióra została gładko odcięta — i pchnął mocno. Chlupot za jego plecami.

Z mozołem wypłynął na głębszą wodę. Zielone opary pozostały w tyle. Gdy nurt się uspokoił, chłopiec skierował się do brzegu. Drapieżnik o wielkiej paszczy mógł w jednej chwili zmieść go z powierzchni, połamać skiff na kawałki, gdyby tylko mógł dosięgnąć go z płynących głęboko strumieni srebrzystoszarej rtęci i rudego bromu. Wzburzony nurt raz już uniósł je ku powierzchni i mógł zrobić to ponownie.

Ramiona paliły go, a oddech zamienił się w rżenie, na długo zanim dziób osiadł na płyciźnie. Pośpiesznie wyszedł na brzeg, ciągnąc za sobą postrzępioną linę. Wyciągnął skiff na błotnistą plażę i dalej, do zagajnika, a potem wepchnął go głęboko, by ukryć wśród liściastych gałęzi.

Zadumany i osłabiony sięgnął po kawałek żyłastego, suszonego błękitnego mięsa, by uciszyć pomrukujący żołądek.

Zerknął w górę, ku zakrzywionemu baldachimowi odległego lasu i pstrych, błotnistych równin. Nie powiedziały mu, czego mógł się tu spodziewać, oczywiście poza rzeką, postanowił

więc trochę się rozejrzeć. Znajdował się daleko w dole rzeki. Ostatniej nocy ponownie zasnął, zachęcony do drzemki ściemnieniem ruroświata, i z wielką szybkością mógł minąć Bóg jeden wie ile raf i miast. Milczący ogrom rzeki izolował samotną łódkę od rytmów lądu i sprawiał, że dryfowanie z prądem i z czasem stawało się naturalne, jedwabiście nieuniknione.

Idąc w głąb lądu, natrafił na bezdźwięczny napór czasu, który początkowo przypominał

łagodną letnią bryzę, lecz stopniowo wyciskał energię z każdego, kto próbował postępować wbrew niemu. W trakcie marszu przypatrywał się obfitości łądy, pni i skupisk błękitno-zielonej masy, przycupniętych w bliskości brzegu. Żadnego śladu ludzi. Dlatego też zaskoczył go widok męzczyzny z płaskodziobą rusznicą w dłoni, który wysunął się zza masywnego pnia i tylko uśmiechnął się nieprzyjemnie.

— Jak cię zwą? — zapytał mężczyzna, splunąwszy.

— John.

— Wędrujesz w górę rzeki?

Lepiej ominąć to pytanie, niżli skłamać.

— Szukam jedzenia.

— Znalazłeś coś?

— Nie miałem okazji.

— Daleko byś nie zalażł. W dole rzeki wielki sztorm, niedaleko. — Mężczyzna uśmiechnął się szeroko, ukazując brązowe zęby pod wąskimi i bezkrwistymi wargami. — Widziałem, jak urwał jednemu gościowi rękę.

A więc wiedział, że John nie mógł tu przyjść z dołu rzeki. John powiedział niedbale:

— Idę w dół od cypla, tego z wielkim uschniętym drzewem.

— Znam to miejsce, byłem tam raz. Kupa jagód i jadalnych pnączy. Po co szukać tutaj?

— Słyszałem, że niedaleko jest wielkie miasto.

— Raczej osada, dzieciaku. Ja se myślę, że powinieneś zostać tu, w lesie, z nami.

— Z jakimi „nami”?

— Jest tu paru koleśków... — Uśmiech przyklejony do warg mężczyzny zwarzył się w kącikach ust.

— Muszę już iść, proszę pana.

— To maleństwo twierdzi, że masz coś nowego do załatwienia. — Pokazał mu rusznicę tak, jakby sam ją wynalazł.

— Nie mam pieniędzy.

— Nie chcę ani nie potrzebuję pieniędzy, mały. Fajny jesteś, moi przyjaciele się ucieszą.

Machnął rusznicą, nakazując Johnowi, iść ze sobą. Johnowi nie przychodził do głowy żaden łatwy sposób wymknięcia się spod lufy wielkiej broni, więc ruszył we wskazanym kierunku, a mężczyzna podążał za nim w bezpiecznej odległości.

Rusznicę tak naprawdę stanowiła wyszukany owoc drzewa, które John widział już kiedyś.

Broń rosła na pokrytych śliską korą drzewach w wielkich kokonach, które trzeba było odpilowywać, gdy dojrzały. Ten egzemplarz miał kryzę, która przekształcała się w sękatą kulę, a dalej rozdymała w kolbę — w całości żywa broń, która zatknięta kolbą w żyzną glebę, mając pod dostatkiem wody i dziennego światła, rodziła amunicję do strzelby. Z rozmiarów kolby zgadywał, że ten egzemplarz był



w pełni dojrzały i mięsili mnóstwo nabożów.

Potykając się, przebrnął przez płataninę szablotraw, słysząc za plecami pogardliwy chichot wywołany jego niezdarnością, a potem wyszedł na różową, gliniastą ścieżkę. Najwyraźniej mężczyzna zamierzał zaprowadzić go do jakiejś podłej kompanii, a chłopiec nie miał pojęcia, co to mogło oznaczać. Zwykły rabunek albo odrobina pederastii — o tym słyszał, a nawet był

świadkiem.

Lecz napięte, rozpalone spojrzenie mężczyzny zapowiadało coś więcej. Coś spoza świata chłopca, z nieznanego bagniska dorosłości.

Co powinien zrobić? Jego umysł mozolił się bezowocnie.

Oddech Johna stał się urywany i przyspieszony, gdy niezbyt szybko piął się stromą ścieżką.

Jak większość szlaków i ten biegł niemalże prosto od rzeki, tak więc wędrowiec nie odczuwał ani lodowatego nacisku z góry czasu, ani też mdlącego ssania z dołu czasu. John szacował, że ścieżka prawdopodobnie poprowadzi w głąb suchego, brązowego pogórza, rozciągającego się wprost przed nimi. Owady unosiły się i bzycały w bezruchu sennych, leniwych chwil. Parę z nich ucięło go dotkliwie.

Zastanawiał się gorączkowo. Minęli soczyście zieloną, pagórkowatą łąkę, a potem, za ostrym zakrętem, chłopiec ujrzał parę kroków przed sobą głęboki, lśniący, stalowoszary strumień, płynący z gulgotem ku rzece, oraz martwego nietoperza piźmowego leżącego na kleistej, gliniastej ścieżce.

Nietoperze piźmowe nigdy nie pachną zachwycająco, a ten, martwy przynajmniej od dwudziestu czterech godzin, wypełniał powietrze zjadliwym smrodem.

John nie dał niczego po sobie poznać, jedynie wstrzymał oddech. Z boku szemrał strumień.

Jego słaba temporalna kipiel odrobinę przeszkadzała mu w marszu. Ułamana gałąź i śmieci przyniesione burzą leżały tuż za popękaną i gnijącą sinawą skórą nietoperza.

Bez chwili zawahania przeszedł nad nietoperzem i postąpił jeszcze trzy kroki do przodu.

Wychodząc zza zakrętu, mężczyzna wciągnął do płuc odrażający zapach i jego śniada twarz wykrzywiła się. Cofnął się z nogą w powietrzu, lufa rusznicy zatoczyła niepewne półkole.

John porwał z ziemi gałąź. Nieopatrznie zachłysnął się oparami zgnilizny i musiał mocno zacisnąć gardło, by żołądek nie pokrzyżował mu planów. Skoczył na mężczyznę. W locie zamachnął się gałęzią, drewnem mierząc w drewno, i poczuł ostry wstrząs, gdy trafił.

— Aaa! — mężczyzna aż krzyknął z bólu. Rusznica wyskoczyła w powietrze i koziółkując, wpadła do strumienia...

...który rozpuścił broń z przenikliwym sykiem i wśród erupcji wonnej, pomarańczowej pary.

Mężczyzna wlepił wzrok w strumień, w Johna — i cofnął się o krok.

— Teraz twoja kolej — powiedział John, jako że nic innego nie przyszło mu do głowy.

Wymówił te słowa najgłębszym basem, na jaki było go stać. W pobliżu niszczycielskiego metalowego strumyka jakiegokolwiek zmagania oznaczać mogły śmierć i unicestwienie w mgnieniu oka. John poczuł, jak miękną mu kolana, a serce podchodzi do gardła.

Mężczyzna uciekł. Krzyknął cicho i pierzchnął czym prędzej.

Zaskoczony John zamrugał raptownie, a potem również się wycofał, umykając przed jadowitymi oparami rozkładu. Zatrzymał się na skraju splątanych pnączy i obejrzał się na strumień.

Jego pierś przepełniła nagła duma. Stawił czoło dorosłemu mężczyźnie. On!

Dopiero później zrozumiał, że mężczyzna miał pełne prawo być bardziej przerażony od niego

— miał bowiem przed sobą chłopaka o dzikim spojrzeniu, nie najgorzej zbudowanego, niezbyt może zgrabnego, lecz uzbrojonego w pokaźnych rozmiarów maczugę. Tak więc mężczyzna roztropnie uciekł, trzepocząc polami brudnej koszuli, jak gdyby były to ścigające go wyrzuty.

## ***2. Wichry chaosu***

John ominął pogórze szerokim łukiem, na wypadek gdyby śniady mężczyzna i jego przyjaciele próbowali go szukać. Podążał wzdłuż biegu strumienia, dopóki nie pokonała go senność. Trzymając się z dala od rzeki, miał nadzieję ominąć burzę czasową, o której wspominał

mężczyzna — zakładając, że nie było to kłamstwo.

Z każdego większego wzniesienia można było dostrzec rzekę, gdyż ziemia pięła się łukiem ku wyżej położonym terenom. Blask czystej wody mieszał się z tej odległości z rdzą błotnistych nizin, tak więc John ledwie zauważał błyski srebra i szarości, przypominające o zgubnych głębinowych prądach.

Kiedy wstał, zebrał na śniadanie kilka mączystych owoców zerwanych z przydrożnych krzewów. Maszerował dalej, gdy wtem poczuł drapanie na karku. Ogarnęła go drobna fala.

Wywołała klucie w piersi i pieczenie oczu. Głuche dudnienie przetoczyło się przez powarstwione powietrze.

Podniósł wzrok. Ponad zamgloną przestrzenią widział przeciwległą stronę świata, zlepek wzgórz i zapadniętych dolin, gęsto pokryty tęczowymi cudami roślinnego życia, cętkowanych jezior, węzowych strumieni — dopływów jednej i tej samej rzeki. Gdy tak patrzył, łuk nad jego głową skurczył się niczym akordeon, na którym grała spotkana kiedyś staruszka — a potem skurcz dopadł i jego. Zgniółł zebra, szarpnął za szyję i kostki, jak gdyby usiłował go rozerwać.

Drzewa zaskrzypiały, zachwiały się, a jedno z nich, stare i szerniałe, runęło na ziemię nieopodal niego. Leżał tam, gdzie upadł, wtulony w wilgotną, pachnącą glebę, i patrzył, jak olbrzymi skurcz

całego świata sunie w dół rzeki, sprężona fala nadchodzi i odpływa, niczym trawienny skurcz wielkiej bestii. Warstwy jęczały, kruszyły się kamienie. Końcowy grzmot niczym cios gigantycznego młota przetoczył się ponad liściastym baldachimem.

W swym życiu widział zaledwie pięć zmarszczeń powierzchni, a to było bardziej niepokojące od innych, gdyż kiedy śledził jego bieg, w lornetce ujrzał po raz pierwszy wieże miasta, z których jedna runęła w mgnieniu oka, gdy mijała ją wielka fala. Zawsze myślał o miastach — osadach, jak powiedział tamten mężczyzna, używając obcego Johnowi słowa — jako o okazałych miejscach osłoniętych przed naporem natury, wręcz niezniszczalnych.

Posuwał się w szybkim tempie. Wśród dojrzałego lasu migotała purpurowa poświata, bijąca z wielkiej połaci nagiej ściany świata, rozciągającej się wzdłuż lśniącego jeziora po drugiej stronie.

Zawładnęły nim myśli o mieście, pomysły na odnalezienie ojca, i zapomniał o burzy czasowej.

Najpierw poczuł ucisk w żołądku. Potem wilgotne powietrze wypaczyło się, zniekształcając perspektywę, i z wiatrem przybył chaos.

Stopy z uporem nie trafiały tam, gdzie sobie tego życzył, jeśli nie uważał na to bezustannie, nie spuszczać spojrzeń zmrużonych oczu z błędzących kończyn. Ciężkie niczym objuczone sęki drewna ramiona, kołysząc się, przybierały i traciły na wadze. Każdy nieprzemyślany obrót głowy mógł zakończyć się upadkiem. Parł naprzód, dysząc ciężko. Godziny sączyły się powoli. Jadł, drzemał, szedł dalej. Powietrze wysysało siłę z mięśni i tworzyło na skórze swędzące ślimacznice.

Rozszeptane macki oszołomienia opuściły go, gdy zakreślił ostro w stronę miasta. Przygarbił

się ze zmęczenia. Przed sobą miał trzy wieże, najwspanialsze miejsce, jakie kiedykolwiek widział. Domy z jasnego, wypolerowanego drewna stały w równych szeregach wzdłuż kamiennych ulic biegnących prosto jak strzała, nawet kamienne płyty brukowe wycięte były w równe kwadraty.

Ulice roiły się od tak wielkiej masy ludzi, że John nie mógłby ich zliczyć. Wystrojone damy ostrożnie omijające końskie łajno, prostacy żartownisie podpierający ściany, słoniowaci i zażywni kupcy, wulgarni kłótnicy, fantastyczni łgarze, rumianolicy handlarze wszelkim towarem

— od słodyczy po piły do drewna. Wszyscy krzatali się niczym zapracowane owady wśród wszechobecnego zgiełku rozmów.

John czuł się tak, jakby próbował zaczerpnąć wody z wodospadu. Wędrował krzyżującymi się ulicami, nie zwracając na siebie uwagi, boleśnie świadom swego poszarpanego odzienia i zagiętego kapelusza. Poszukiwał jedynej znajomej rzeczy, rzeki.

Na wielkim kamiennym nabrzeżu ludzie odpoczywali w narastającym, pełnym owadów upale.

Wylegiwali się w krzesłach o dwudzielnych siedzeniach wychylonych do tyłu tak bardzo, że wydawało się to wprost niemożliwe, opierając podbródki na piersiach, osłaniając senne oczy kapeluszami. Sześciomaciora i jej potomstwo pochrząkiwały w pobliżu, znajdując obfite dobra wśród resztek wysypanych z połamanych skrzyń.

Tłem dla tej leniwej sceny była rzeka, częściowo zacieniona nierównym blaskiem trzech plam ściany świata nad ich głowami, lśniąca obficie, gdy padało na nią mocne światło. John położył

swój tobołek i usiadł na balustradzie nadbrzeża, patrząc na nieustanne falowanie rzeki, zakłócanie okruchami czystego srebra, które wyskakiwały na powierzchnię, obracały się w parę i znikaly bez śladu.

— Szukasz pracy?

Głos zabrzmiał ochryple. Należał do chłopaka niewiele starszego od Johna, lecz większego, a szerokie ramiona rozsadały jego kraciatą koszulę. Jednak oczy miał rozmarzone i ciepłe.

— Być może. — W tym miejscu potrzebne mu będą pieniądze.

— Jest trochę towaru do rozładowania. Nigdy dosyć rąk do pracy. — Młodzieniec wyciągnął ku niemu szeroką dłoń. Uścisnął ją. — Mam na imię Stan.

— A ja John. Coś ciężkiego?

— Przeciętnie. Mamy trutki do pomocy.

Stan skinął kciukiem w stronę pięciu przygarbionych postaci czekających przy nadbrzeżu.

John widywał już im podobnych, tyle że w górze rzeki nazywano ich zombasami. Wszyscy siedzieli jednakowo, z wyciągniętymi przed siebie nogami, opuszczonymi bezwładnie ramionami, cały ciężar ciała opierając na dolnym odcinku kręgosłupa wygiętym pod ostrym kątem. Żaden człowiek nie wytrzymałby długo w tej pozycji. Zombasom to najwyraźniej nie przeszkadzało. Wszystko wydawało się lepsze od bycia martwym.

— Jesteś nowy? — zapytał Stan, kucając obok Johna i gryzmołąc coś na podkładce ogryzkiem ołówka.

— Dopiero co przybyłem.

— Tratwą?

— Skiffem. Wylądowałem powyżej burzy.

Stan zagwizdał.

— I obszedłeś ją? Długa droga. Zmarszczka cię nie rozsmarowała?

— Próbowала.

— Ciężko ci będzie wrócić do skiffa.

— Może po prostu pójde dalej pieszo.

— Naprawdę? — Stan rozpromienił się. — Z jak daleka jesteś?

— Nie wiem.

— Anielski Cypel? Rockport?

— Słyszałem o nich. Widziałem Alberts, ale tylko przez mgłę.

— Jesteś sponad Rockport? Taki dzieciak?

— Wyglądam na młodszego, niż jestem — odparł sztywno John.

— Masz śmieszny akcent.

John zacisnął zęby.

— Ty dla mnie też.

— Myślałem, że jeśli zejdzie się tak daleko w dół czasu, można się pochorować, ześwirować albo co. — Stan był wyraźnie pod dużym wrażeniem, patrzył na niego szeroko otwartymi oczyma.

— Nie zrobiłem tego za jednym zamachem. — Popełnił głupi błąd, nawet chłopiec by to spostrzegł.  
— Trochę się zatrzymywałem, by... się rozejrzeć.

— Za czym?

John poruszył się niespokojnie. Nie powinien był niczego mówić. Im mniej ludzie o tobie wiedzą, tym mniej mogą przeciw tobie wykorzystać.

— Za skarbami.

— Jak wodór? Duży tutaj popyt na bryły wodoru.

— Nie, raczej... — John wysilał się, by wymyślić coś sensownego. — Klejnoty. Starożytne rubiny i inne takie.

— Bez jaj? Nigdy czegoś takiego nie widziałem.

— Są rzadkie. Pozostały po dawnych władcach i ich damach.

Stan otworzył szeroko usta i przycisnął język do górnych zębów, co stanowiło niewątpliwą oznakę głębokiego zamyślenia.

— Eee... A co to za jedni?

— Prymitywny lud. Z krain daleeeko w górze czasu. Byli wtedy bardzo bogaci, bo było ich tak

niewielu, że szafiry i złoto po prostu skąpy wały im z nadgarstków i szyj.

— Serio? — Oczy jak obwarzanki.

— Mieli tego tyle, że były dla nich jak kurz na drodze. Czasami, kiedy im się nudziło, damy urywały sobie całą bryłę klejnotów, same najlepsze, błyszczące i dojrzałe, i zatykały w takie wielkie kapelusze, jakie wtedy nosili. Przychodziła powódź, ludzie się topili, a te ociekające od klejnotów kapelusze spływały z prądem czasu.

— Kapelusze. — Uosobienie rozwartogętego zadziwienia. Lekceważące machnięcie ręką.

— Nie te filcówki, jakie tu nosimy. Mówimy o wielkich odlotowych kapeluszach zrobionych z samego wodoru.

— Wo... — Stan przerwał, zmieszanie odmalowało się na jego twarzy i John zorientował się, że musi uprawdopodobnić tę historię.

— Widzisz, w tych prehistorycznych czasach wodór był jeszcze lżejszy, niż jest teraz. Więc robili z niego ubrania. Najświetniejsi z nich wplatali je w fantastyczne kamizele, krezy i kapelusze.

Podejrzliwe łypnięcie.

— Nigdy nie widziałem, by ktoś...

— I właśnie o to chodzi. Ci dawni ludzie zużyli cały wodór. Dlatego teraz tyle kosztuje.

Usta Stana ułożyły się w przepelnioną podziwem literę O.

— To cudne, po prostu cudne. Rozumiesz, wiedziałem, że wodór jest najlżejszym z metali. I najtwardszym. Nic dziwnego, że szuka go każdy wielki przedsiębiorca budowlany i mechanik, tyle że nie sposób go dostać. Ale... — spojrzał uważnie na Johna — ale skąd ty to wiesz?

— Jakim cudem dzieciak to wie? — Czemu by nie podetknąć mu pod nos jego własnej uwagi.

— Ponieważ w górze czasu jesteśmy bliżej tamtego archaicznego okresu. Polujemy na te wodorowe kapelusze, które spłynęły w dół rzeki i osiadły na brzegu.

Stan zmarszczył brwi.

— To po co przypląnąłeś aż tutaj?

Przez mgnienie oka John poczuł panikę na myśl, że został przyłapany. Jego bajeczka miała prysnąć niczym mydlana bańka. Zaraz straci tę pracę i pójdzie spać głodny.

Potem zamrugął i odparł:

— Ludzie z góry czasu już wyzbierali te kapelusze, które tam się zatrzymały. Ja szukam tych, które

popłynęły dalej.

— Aaach... — Stan kupił to i natychmiast zaczął wyrzucać z siebie pytania o wspaniałe kapelusze, poszukiwanie skarbów, jak John to robił, co znalazł i tak dalej. Prawdziwą ulgę przyniósł więc czyjś okrzyk „Statek indukcyjny!”, po którym ospałe nadbrzeże zbudziło się do życia.

### **3. Zombas**

Wielki, biały statek jak gdyby zmaterializował się z nicości, smukły i wyraźny, sunąc w ich stronę. Pruł powierzchnię rzeki, burząc wodę na kształt spienionej tarczy, wzbijając przed sobą kropelki stalowoszarego płynnego metalu.

Był to trójpokładowiec o imbirowej balustradzie i gnieździe pilota w kształcie piramidy.

Najbardziej charakterystycznymi elementami konstrukcyjnymi obu burt były wielkie grube dyski, szumiące głośno, gdy statek zwalniał powoli. Jedyne te dyski indukcyjne, które roztaczać musiały linie wzbudzanego przez siebie pola daleko w głąb rzeki i w ten sposób popychać wielką łódź do przodu, uchroniły się przed odwiecznym zwyczajem pokrywania wszystkiego ozdobami.

Wzdłuż każdej podpory pokładowej wiły się zakrętasy. Słupy zwieńczono starożytnymi ślimacznicami, mostek zaopatrzony był w rzeźby opiekuńczych aniołów, a dawisy, borny i szczyty masztów dźwigały przysadziste złote hełmy.

Pasażerowie przysunęli się do ozdobnych balustrad, podczas gdy łódź zwalniała biegu, piana pryskała w powietrze, a ślad torowy statku chlupał o kamienne nadbrzeże. Gwizdek zapisał

przeraźliwie i załoga pokładowa przerzuciła na brzeg grube cumy.

Stan złapał jedną z nich i wprawnie owinął ją wokół pachołka.

— Chodź!

Nie wiadomo skąd pojawił się tłum ludzi, jakby materializując się w przesyconym wilgocią powietrzu na falochronie i nabrzeżu. Wrzawa zalała statek indukcyjny. Skrzynie i bele opuszczały się na linach dźwigów. Podjechały gotowe do załadunku wozy i John znalazł się w zespole zombasów, szarpiących się i mocujących z nieporęcznymi ciężarami. Wszędzie wokół

nich ludzie paplali, wykrzykiwali powitania i targowali się z energią godną rzeczno-wir.

Zombasy z ociąganiem wykonywały polecenia Stana, otwierając z wysiłku usta, aż ślina skapywała im na piersi. Te ciała zostały zbudzone na powrót do życia całkiem niedawno, a więc nadal były silne, choć zdradzały już pierwsze oznaki apatii. Zombasy były zwykle mężczyznami, jako że hodowano ich z przeznaczeniem do ciężkiej pracy fizycznej. Jednak obok Johna pracowała muskularna kobieta i między załadunkami położyła mu dłoń na nodze, prosto i bezpośrednio, a potem przesunęła palce, by objąć jego jądra. John odskoczył w tył, czując w nozdrzach jej odór. Zombasy były wygłodniałe życia. Być może wiedziały, że za parę miesięcy uschną, zapadając w odrętwiałe oglupienie. Ciężka kobieta zmierzyła go pożądliwym spojrzeniem i ścisnęła mu pośladki. Odsunął się

od niej, dygocząc.

I wpadł na wynędzniałego zombasa, który obrócił się powoli i wymamrotał:

— John. John.

Chłopiec spojrzał w zasnute mgłą oczy i obwisłe wargi. Przypominająca pergamin skóra opinała wyostrome rysy wyniszczonej twarzy. Zaatakowały go wspomnienia. Jakież odległe echa widoczne w kościach policzkowych? W ostrym nosie?

— John... Ojciec...

— Nie! — krzyknął John.

— John... przyszedł tu... czas... — Zombas sięgnął niepewnie ku ramieniu chłopca. Był w ostatniej, rozchwianej fazie swego drugiego życia, energia mrocznych misteriów uchodziła już z niego.

— Nie jesteś moim ojcem! Odejdź.

Zombas otworzył szeroko usta, zamrugnął, ponownie wyciągnął rękę.

— Nie! — John silnie odepchnął zombasa, przewracając go. Ten nawet nie próbował

zachować równowagi i upadł ze splątanymi kończynami. Leżał nieruchomo, zmętniałe oczy spoglądały na zamgloną drugą stronę świata.

— Hej, naprzykrza ci się ten tam? — zapytał Stan.

— Tylko... po prostu działają mi na nerwy, to wszystko.

John przypatrzył się twarzy o obwisłej szczęce i doszedł do wniosku, że ten zombas w żadnym wypadku nie mógł być jego ojcem. Nie zauważał najmniejszego podobieństwa, kiedy przyjrzał

się uważnie i obiektywnie.

— Zostaw go tak, jak jest — powiedział niedbale Stan. — Praca czeka.

John pomagał przez resztę rozładunku, ani razu nie spojrzawszy w stronę połamanej postaci.

Panie ostrożnie przekraczały leżącego zombasa, a jakiś przechodzień kopnął go, nie wywołując żadnej reakcji.

Praca była szybka i ciężka, gdyż statek indukcyjny już przyjmował nowych pasażerów. Gdy John wrócił z pobliskiego magazynu, do którego trafił ładunek pierwszego wozu, jedynie zmarszczki na zmętniałej wodzie przypominały o tym, że statek w ogóle tam zabawił.

#### ***4. Pan Preston***



Dzień był długi i męczący, wypełniło go odwiązywanie, sortowanie i ustawianie mnóstwa beczek, baryłek i drewnianych klatek w magazynie z kruszącego się kamienia. Stan był

subagentem jednego z wielkich przedsiębiorstw importowych i zlecenia napływały do niego wartkim strumieniem, tak więc John miał zajęcie na resztę dnia. Zombasy z nadbrzeża szybko się zmęczyły i Stan sprowadził następną brygadę. John więcej nie zobaczył tego, który się wywrócił, nie szukał go też na zatęchłym zapleczu magazynu, gdzie ich przetrzymywano.

Mozolny dzień dobiegł końca, gdy przygasła wielka naga plama ściany świata nad ich głowami. Był to szczęśliwy wypadek, jako że ludzie nadal woleli spać po ciemku, i choć w tym miejscu nie następowały zmiany dnia i nocy, kilka godzin cienia wystarczyło, by zachęcić większość z nich do drzemki, której tak potrzebowali. John widział noc trwającą kilka dni, kiedy to ludzie zaczęli otwarcie się zastanawiać, czy światło w ogóle powróci jeszcze kiedyś na ścianę świata. Gdy siarczany blask powrócił, rozjarzył się w duszący upał i porażającą oczy jasność tak niemiłosiernie, że wszyscy żalowali swej wcześniejszej niecierpliwości.

Stan zabrał Johna do swego pensjonatu i zorganizował mu nocleg, zostawiając mu przed kolacją zaledwie trochę czasu na kąpiel w zimnej rzecznej wodzie. Przy stole Johna zdumiało tempo, z jakim pochłaniane były wiktuały i prowadzone rozmowy, jak gdyby ludzkie usta zaprojektowane zostały z myślą o jednoczesnym przeżuwaniu i gadaniu. Dzikie ptaki upieczone na złocisty brąz wjechały na olbrzymiej tacy i zostały rozchwyte i pochłonięte, zanim zdążyły do niego dotrzeć, a mimo to Stanowi udało się dopaść dwóch i podzielił się z nim. Chudzielec z kozią bródką siedzący naprzeciw Johna interesował się tylko tym, by jego usta miały zajęcie, na przemian gryząc, żartując i niezbyt celnie spluwając do brązowej spluwaczki. Stan przy jedzeniu używał tylko noża, od czasu do czasu nonszalancko wsuwając go na całą długość do ust. Johnowi udało się zagarnąć widelcem kilka porcji gumiatej fasoli i grubych plastrów skruszonego mięsa, zanim pojawił się deser, produkt składający się z wyspy twardych orzechów pływającej w morzu śmietany, który stanął w ogniu, gdy jakiś mężczyzna przytknął do niego cygaro. Stan zjadł jedną porcję, a potem z zadowoleniem rozsiadł się na swym wiklinowym krześle, dłubiąc w zębach lśniącym scyzorykiem, co w oczach Johna stanowiło przejaw niezwyklej odwagi.

Po posiłku John najbardziej pragnął snu, lecz Stan wywabił go na tętniące wrzawą ulice.

Wylądowali w barze sterroryzowanym chwilowo przez masywną, solidnie zalaną kobietę, której język ani na moment nie zatrzymywał się w swym łożysku, gdy wywracając oczyma, śpiewała balladę, której sensu John nie potrafił zgłębić. W finale zwała się z hukiem na podłogę i trzeba było trzech ludzi, by wynieść ją na dwór. John nie był pewien, czy stanowiło to część przedstawienia, ale spodobało mu się znacznie bardziej od samego śpiewu.

Stan wmusił w niego nieco ciemnego piwa i z dużą wprawą wybrał ten właśnie moment na wypłacenie Johnowi jego dniówki, co oczywiście dowiodłoby, jakie to z niego skąpiradło, gdyby nie postawił następnej kolejki, która zmaterializowała się z niepojętą szybkością. Rozprawił się już z połową zawartości kufła i wieczór wydawał się przyjemniejszy niż na początku, podobnie jak i to wielkie skomplikowane miasto, jego nowy przyjaciel Stan i w ogóle cały świat, gdy przypomniał sobie, jak jego własny ojciec powiedział kiedyś, że w ich rodzinie wyrzucało się korek wyciągnięty z butelki, mając niezachwianą pewność, że nie będzie już potrzebny.

Ten związek zaniepokoił go, lecz Stan przegnał marsa z czoła Johna, rozprostowując nogi i demonstrując odzianą w skarpetkę stopę. Na skarpetkę naszyta była twarz, tak że Stan mógł wyrazić nią gniew, uśmiech, a nawet zamrużyć, przebierając palcami. Jednocześnie Stan wiódł zabawną rozmowę z artystycznie utalentowaną stopą. Lecz to przywiodło Johnowi wspomnienie jego pierwszego dnia w sierocińcu, zimnego i ponurego, gdy jakiś wysoki chłopak wysunął spod koców stopę w szarej skarpetce. John wziął ją za szczura i rzucił w nią nożem, przebijając na wylot. Przez jakiś czas nie był szczególnie lubianą postacią w tamtym miejscu.

Uśmiechnął się na to wspomnienie i pociągnął kolejny łyk piwa. Twarz Stana pobladła. John poczuł za plecami czyjąś obecność.

Obracając się, ujrzał wysokiego mężczyznę w skórzanej kurtce i czarnych spodniach, dumnie obnoszącego swą radośnie niebieską czapkę. Jedynie pilotom wolno było nosić takie czapki z daszkiem przetykanym złotem.

— Pan... pan Preston — wydukał Stan.

— Panowie wyszli na wieczór na miasto? Nie jesteście aby zbyt zajęci, by rozmawiać o interesach?

Pan Preston uśmiechnął się skromnie i pogodnie, jak przystało na przedstawiciela jedyne nieskrępowanego i prawdziwie niezależnego zawodu znanego Johnowi. Władcom utrudniały życie parlamenty, pastorowie znali ograniczenia narzucane im przez parafian, nawet nauczyciele mimo swej przerażającej władzy koniec końców pracowali dla miast.

Ale pilot ze srebrnej rzeki nie znał żadnej zwierzchności. Kapitan statku mógł wydać z pół tuzina rozkazów w trakcie przygotowywania silników indukcyjnych i powolnego wyprowadzania łodzi w nurt rzeki, lecz skoro tylko silniki budziły się do życia, władza kapitana dobiegała końca.

Pilot mógł prowadzić statek wedle swego uznania, wywarkując rozkazy bez konsultacji i nie dbając o słowa krytyki ze strony zwykłych śmiertelników.

Pan Preston bez pytania zabrał krzesło od innego stolika z nie heblowanego twardego drewna, jakie wypełniały wnętrze baru, i postawił je przy stoliku chłopaków.

— Słyszałem, że przybywasz z góry czasu, z daleka — powiedział do Johna.

— Eee, Stan panu powiedział? — zapytał John, starając się zyskać trochę czasu do namysłu.

— Wspominał o tym, owszem. Mylił się? — Pan Preston wpatrywał się w Johna uważnie, wykrzywiając ukośnie usta pod szorstkim brązowym wąsem.

— Nie, proszę pana. Ale może, eee, przesadził.

— Mówił, że byłeś powyżej Rockport.

— Widziałem je przez mgłę. Taką ohydną, perłową...

— Jak daleko powyżej Rockport?

— Nie bardzo.

— Kair?

— Ja... tak. Ominąłem go z daleka.

— Opisz.

— Wielkie miejsce, wspanialsze niż to miasto.

— Widziałeś cypel? Z piaszczystą rafą?

— Nie widziałem żadnej rafy.

— I słusznie... niema żadnej rafy. A jak wygląda cypel o dwóch ostrogach?

— Piana strzela nad nim w powietrze.

— I co się z nią dzieje?

— Unosi się z rzeki i biegnie łukiem ku drugiej ostrodze.

— Przepląnąłeś pod tym łukiem?

— Nie, proszę pana. Trzymałem się spokojnej wody przy drugim brzegu.

— Rozsądnie. Ten łuk był tam już wtedy, gdy byłem chłopcem, i nie przeżył nikt, kto próbował płynąć pod nim z prądem.

— Też o tym słyszałem.

— Od kogo?

— Od takiego jednego, w górze rzeki.

— Jak daleko?

Nikt nie mógł okłamać pilota, ale prawdę można było nieco dopasować do okoliczności. John łyknął ciemnego piwa, tak gęstego, że nadałoby się na drugą kolację — co najwyraźniej nie uszło uwagi niektórych co głośniejszych klientów baru — i odparł ostrożnie:

— Zakole powyżej Kairu. Tam rozpocząłem podróż.

Pan Preston pochylił się do przodu i przenikliwie wysunął do przodu swą długą szczękę.

— Ciągnie się tam wielka ława, trzeba omijać ją ostrożnie. Piasek, prawda?

— Nie, proszę pana, magnetyt.

Pan Preston oparł się wygodnie i dał znak gospodarzowi — który krążył w pobliżu, wykręcając brudną szmatę — by przyniósł jeszcze jedną kolejkę.

— Zgadza się. Szpunt czegoś, co wytrysnęło z dna rzeki wskutek jakiegoś przerażającego zjawiska. Według ksiązek, gejzer płynnego metalu — żaden zimny strumień w rodzaju tych, jakie płyną pod rzeką — ten gejzer wystrzelił przez samą ścianę świata.

— Jak to możliwe? Co jest poza światem?

— Nie nam to wiedzieć, synu.

— Proszę nie mówić do mnie „synu”.

Krzaczaste brwi pana Prestona zbiegły się na moment w wyrazie zdumienia wywołanego nagłą twardą nutą w głosie Johna, lecz zaraz machnął zamasyżycie ręką i powiedział:

— Cóż, panie John, jestem gotów wynająć pańskie usługi. Stan z wytrzeszczonymi oczyma przysłuchiwał się tej wymianie zdań. Dla dwóch prostych ładowaczy picie z pilotem było równie nieprawdopodobne, jak wizyta na przyjęciu u burmistrza dla starego szczura rzeczno. A obecny rozwój wydarzeń...

— Usługi? — wtrącił Stan, nie potrafiąc dłużej się powstrzymać.

— Nawigacyjne. Ostatni raz płynąłem do Kairu, pięć wielkich szkwałów czasowych temu.

Teraz otrzymałem zlecenie na zaprowadzenie „Natcheza” w tamtą stronę i nie mam pewności co do stanu rzeki.

— Nie jestem pewien, czy aż tak dobrze znam rzekę — sprzeciwił się John, podczas gdy w jego umyśle wciąż kłębiły się chaotyczne myśli.

— Widziałeś któryś z tych sztormów?

— Tak, dwa z nich, proszę pana. Ale z odległości.

— Wedle mnie to jedyny sposób na przyjrzenie się im — stwierdził Stan z wymuszoną żartobliwością. Wciąż nie doszedł jeszcze do siebie po usłyszeniu oferty.

Pilot skrzywił się przytakująco, jego mina wymownie świadczyła o wielu trudnych chwilach i utraconych przyjaciółach.

— Prowadziłeś swój skiff z dala od nich?

— Wiosłowałem i używałem żerdzi, jedno i drugie. Prawdę mówiąc, pewnie miałem szczęście z prądami.

— Burza czasowa przyciąga statki z siłą proporcjonalną do ich masy. Twoje wiosłowanie najpewniej cię uratowało — powiedział pilot. — Statek indukcyjny, mimo swej mocy, musi postępować przebieglej. Jego masa jest dla niego zgubą.

John łyknął swego mocnego piwa i odparł:

— Nie wiem, czy chcę tam wracać, proszę pana.

— Sprawię, że ci się to opłaci. — Pilot zmrużył oczy, jakby chciał wypatrzeć w twarzy Johna coś, czego nie zamierzał wyjawić. — Miałem nadzieję, że może będziesz miał tam coś do załatwienia.

Coś do załatwienia. W wyobraźni Johna od razu zamajaczyła twarz zombasa i poczuł, jak ściany baru przygniatają go, przesycone dymem cygar powietrze dławi go w piersi. Chmury błękitnych oparów wirowały w żółtym blasku sączącym się z wyrastających ze ścian żarówek wielkości ludzkiej głowy odzianej w kapelusz. Do tej chwili Johnowi udało się nie wracać myślami do tego wspomnienia, lecz teraz brzemień niepewności na powrót zaciążyło mu niemiłosiernie. Nie będzie wiedział, czy ten zombas był jego ojcem, dopóki ponownie go nie odnajdzie i nie wypyta.

— Proszę pana, dam panu odpowiedź jutro. Teraz muszę się zająć pewną sprawą.

Zdumienie na twarzach Stana i pana Prestona było prawie zabawne. Zwiększyło się jeszcze bardziej, gdy John wstał, łomocząc głośno butami na drewnianej podłodze wskutek wypitego trunku. Skinął z powagą głową i bez słowa zanurzył się w panującą na zewnątrz ciemność.

## *5. Zatopiona dziewczyna*

Atramentowe kształty wciąż wirowały w jego umyśle, gdy stukał do drzwi domu pana Prestona. John nadal czuł się pogrążony w otchłaniach nocy.

Pogoda tego poranka była zmienna, szare światło przebijało mgłę i kreśliło pajęczyny na dachach wzdłuż uspiętej rzeki. John ledwie widział białe ogrodzenie otaczające podwórze pana Prestona. Perłowe pasma mgły przesłaniały wszelkie szczegóły, widoczna była tylko ceglana ścieżka wiodąca do domu. Siedziba prezentowała się okazale, musiał to przyznać, nawet przy tak słabym oświetleniu. Portyk nakreślony był jasnym sosnowym drzewem, kwieciste kapitele wieńczyły masywne kolumny. Ponownie zastukał kołatką do żelaznych drzwi i natychmiast obróciła się gałka z brązu, jak gdyby była z nią połączona. Drzwi otworzył karzeł, niemy sługa, który powiódł Johna wyłożonym dywanami korytarzem.

Nie był przygotowany na przepych siedziby pilota, z podziwem przypatrywał się mahoniowym meblom, nowej elektrycznej lampie z żółtym papierowym kloszem, półce zapełnionej dźwiękorzeźbami. Karzeł oddalił się, wskazawszy na swe puste, pozbawione języka usta i pokazawszy czerwony służebny tatuaż na ramieniu, by usprawiedliwić swe milczenie.

Ściany obwieszane były obfitością obrazów przywiezionych z podróży — „Ponad wodospadami Abrahama”, „Wulkaniczna wędrówka”, „Jądro jasności”, „Walka z przeznaczeniem” — było tam też wiele książek, niektóre bardzo niezwykle. John pragnął

przesunąć dłonią po ich stronach i tak zbudzić je do światłości, lecz kiedy sięgał po Opary czasu i wrak świata, usłyszał ciężkie, dudniące kroki i obracając się, ujrzał pilota w kompletnym niebiesko — złotym mundurze.

— Ufam, że rozwiązałeś swój problem — powiedział surowo pan Preston.

Dopiero teraz John przypomniał sobie o swym nagłym pożegnaniu ostatniej nocy. Miasto rozciągające się na zewnątrz tamtego krzykliwego pomieszczenia pochłonęło wspomnienia.

Przeciskał się wąskimi ulicami między odrapanymi budynkami, które zdawały się pochylać ku ulicy, przesłaniając bladą poświatę nieba. Wilgotne alejki w pobliżu rzeki były zapchane i nie sposób było nimi przejść, nie potykając się i nie deptając porozkładanych na ziemi postaci, jakby szmacianych kłębków oczekujących na przybycie śmieciarzy. Właściciele zombasów pozostawili ich tam, gdzie się położyli, pewni, że nie będą w stanie nigdzie pójść bez dalszego karmienia.

Johnowi kilka godzin zajęło odszukanie twarzy o obwisłej szczęce, którą widział na nadbrzeżu, a potem stracił jeszcze więcej czasu, zanim nie upewnił się, że zombas nie znajdował się jedynie w bezwładnym stanie odpočzynku. Istota okazała się martwa, z ramionami przyciśniętymi do boków, zastygająca w zeszywniałą parodię figury tanecznej.

Rano zjawił się tęgi właściciel, skwitował widok trupa wzruszeniem ramion i wrzucił go na furę z zamiarem późniejszego pozbycia się go. Potężny mężczyzna zbył pytania Johna dotyczące zombasa — nie znał ich imion ani też skąd się brali, ani z której części rzeki pochodzili. Ostatnie spojrzenie na tę twarz jedynie wzmogło niepokój Johna, jak gdyby w chwili ostatecznej śmierci zombas wyjawiał swój ostatni sekret. Istniało wyraźne podobieństwo do jego ojca, choć wspomnienia Johna z wczesnego dzieciństwa okryte były całunem gniewu, cierpienia i biedy lat późniejszych.

Tak oto, odczuwając w kościach zmęczenie, lecz z nowym, twardym niczym stal, postanowieniem John zmusił się do wyprostowania się przy dębowym kominku i rzekł do pana Prestona:

— Popłynę z panem.

— Cholernie świetnie! Hej, jadłeś śniadanie?

Owsiane naleśniki i placki na oleju z owocami wniesione przez gospodynię szybko zaprzątnęły uwagę Johna, podczas gdy pilot raczył go opowieściami i wskazówkami. Johnowi udało się solidnie zamącić szczegóły swej długiej podróży w dół rzeki, lecz od tego zadania ustawicznie odrywał go widok kolekcji osobliwości pana Prestona, umieszczonej na ścianach.

Były tam kryształ, dziwacznie zabarwione kamienie noszące ślady wulkanicznej furii, splot rodowych włosów, pięć krzemienych grotów z bajecznej przeszłości oraz wytwory rzemieślnicze, jakich John widział już całe tuziny. Obok nich stały oprawne w brąz sztywne portrety niezbyt mądrze

wyglądających dzieci, postarzałych wujów i innych krewnych, co do jednego ustawionych w niezręcznych pozach i ubranych w najlepsze rzeczy na spotkanie z nieśmiertelnością.

Jednakże osobliwości te nie mogły się równać z dużym, przezroczystym sześcianem, który zapełniał stół jadalni. Powietrze wokół niego było zimne i John początkowo sądził, że jest zrobiony z lodu, lecz w trakcie jedzenia spostrzegł, że na gładkich, prostych bokach nie widać najmniejszej nawet kropli. W jego błękitnobiałej poświacie zawieszono były drobne kunsztownie wykonane przedmioty — złoty filigran, zębata okrycha kwarcu, dwa duże owady o szczeciniastych czułkach oraz miniaturowa statuetka ślicznej młodej dziewczyny o rudych włosach, odzianej w powłóczytą białą szatę.

Rozprawiał się już z okraszonymi melasą naleśnikami i dzbankiem kawy, gdy przypadkiem dostrzegł, że skrzydło jednego z owadów obniżyło się odrobinę. Uważnie przysłuchując się pilotowi, który najwyraźniej zaczął produkować pierwszą wersję czterotomowej ustnej autobiografii, John ujrzał, jak dziewczyna obraca się wolno na palcach prawej stopy, a szata okleja się wokół lewej nogi, by elegancko rozwinąć się w wirujący dysk aksamitnej delikatności.

W tym czasie oba owady zdążyły wykonać swymi przezroczystymi, pajęczynowatymi skrzydłami niemalże ćwierć uderzenia. Oba kierowały się ku dziewczynie. Ich fasetowe oczy rozbłyskiwały i poruszały się z rozgorączkowanym, z ich perspektywy, wigorem, który dla Johna stanowił nieruchawą, złowieszczą arabeskę.

— A, łowy — pilot przerwał swój monolog. — Śliczny, nie? Przyglądałem mu się wystarczająco długo, by zapuścić ze trzy brody.

— Ta dziewczyna jest żywa.

— Na to wygląda. Ale nie potrafię powiedzieć, dlaczego jest taka niewielka.

— Gdzie pan to zdobył?

— Daleko w dole rzeki.

— Nigdy czegoś podobnego nie widziałem.

— Ani ja. W rzeczy samej, podejrzewam, sądząc po jakości wykonania, że ta dziewczyna jest prawdziwa.

— Prawdziwa? Ale jest nie większa od paznokcia.

— Myślę, że tylko się nam tak wydaje wskutek jakiegoś złudzenia optycznego.

— A te owady...

— Są niemalże jej rozmiarów, to prawda. Może są powiększone, jakimś przeciwieństwem złudzenia dziewczyny.

— A jeżeli nie?

— W takim razie, gdy ją dogonią, będą miały używanie. — Pilot uśmiechnął się nieprzyjemnie. — Tygodniowa zapłata... oddałem ją całą, by to kupić. To złote świecidełko się obraca — widzisz?

Przerażony John poczuł nową falę przenikliwie zimnego powietrza napływającą od sześcianu bezgłośnego, powolnego czasu. Poczuł nagłe pragnienie rozbicia tego kleistego jak melasa, błękitnobiałego kawałka rytmu, uwolnienia jego poskręcanych epok i więzących, skurczonych perspektyw. Lecz przedmiot należał do pilota, a tacy ludzie lepiej od innych pojmowali zawilosci czasu. Może słuszne było, by takie rzeczy należały do nich.

A jednak poczuł ulgę, gdy wydostał się z jadalni i zanurzył w gęstą mgłę ulicy.

## **6. Pod prąd czasu**

Mieli wyjść z doku jeszcze tego samego dnia. John nigdy dotąd nie odczuwał takiego lęku jak ten, który wzbudziła w nim ta pierwsza chwila, gdy wspiął się po trapie i postawił stopę na już wibrującym pokładzie.

Do tej pory zaledwie spoglądał z szacunkiem i poczuciem dogłębnej znikomości na statki indukcyjne tnące rzekę ostrymi jak brzytwa dziobami. Teraz pan Preston pozdrowił go lakonicznym skinieniem głowy, całkiem oszczędnym w porównaniu z gadatliwą wylewnością przy śniadaniu. Bez zbędnych ceregieli wręczono mu kartę pracy. Reszta załogi przywitała go z serdecznością, odmienną od chłodnej obojętności, jaką darzyli wszystkich bez wyjątku pasażerów. Klienci, którzy pokrywali koszty eksploatacji statku, cieszyli się, ma się rozumieć, najmniejszym szacunkiem u całej załogi, włączając w to nawet czyścicieli maszyn w czeluściach statku. John poznawał po odrobinę nieobecnych, szklistych spojrzeniach marynarzy, że przynajmniej na okres próbny uznano go za członka rasy ludzkiej.

— Byłeś przy tamtym małym zawiroowaniu przed nami? — zapytał go pan Preston po drodze do gniazda pilota, trzy kondygnacje zewnętrznych schodów wyżej.

— Nie, proszę pana. Zszedłem na brzeg, ukryłem mój skiff i obszedłem go bokiem.

— Hmm. Szkoda. Myślę sobie, że przejdę na drugą stronę nurtu i będę się trzymał od niego z daleka.

— Tak, proszę pana.

Załadunek dobiegał końca, ledwie powstrzymywane pragnienie rzeki sprawiało, że statek wypełniał powietrze intensywnym brzęczeniem. Towary wylewały się z wozów i lądowały na pokładzie w objęciach krzątających się ekip roboczych, złożonych przeważnie z zombasów.

Spóźnieni pasażerowie gnali, klucząc wśród skrzyń i baryłek oczekujących na załadunek.

Małżonki z pudłami na kapelusze i koszykami z prowiantem poganiały spoconych mężów, wlekących walizy i rozwrzeszczane dzieci. Ciężkie dwukołowe wozy i trzykołowe wózki bagażowe łomotały na kocich łbach, zajeżdżając sobie wzajemnie drogę znacznie częściej, niż dopuszczały to prawa



prawdopodobieństwa, rozsiewając torby i słoje po bruku. Powietrze gęstniało od przekleństw. Na dziobie i na rufie ożyły windy kotwiczne.

John był zachwycony tym chaosem i wrzawą, zgiełkiem i zamieszaniem celowych działań.

Oficer trapowy krzyknął: „Wszyscy odprowadzający, proszę zejść na ląd!” i zabrzmiał ostatni dzwonek. Zapchane pokłady „Natcheza” wypłyły swą jazgotliwą zawartość na trap —

wzburzony przybój, z którym walczyło kilku ostatnich spóźnionych pasażerów. Wsunęto pomost, jakiś wysoki mężczyzna podbiegł i spróbował przeskoczyć na pokład. Udało mu się chwycić spiżowej burty i jeden z marynarzy wciągnął go na statek, lecz jego portfel wysunął się z tylnej kieszeni i chlupnął do wody. Zebrany na brzegu tłum wybuchnął śmiechem, a jakaś kobieta musiała powstrzymać właściciela przed skoczeniem w ślad za nim.

Wszystko to John obserwował z wyniosłego sanktuarium gniazda pilota. Było to eleganckie miejsce, tak bardzo przeszkłone, że musiał policzyć przezroczyste ściany, by upewnić się, że jest ich tylko cztery. Kapitan stanął obok pilota, obaj odziani w ciemne, błękitno–złote mundury, i rozległ się upiorny gwizd. Pomarańczowa flaga strzeliła w górę drzewca dziobowego i statek zaprzestał dryfu.

Impet szarpnął pokładem, oleisty dym wytrysnął z trzech wyniosłych kominów wznoszących się na śródkręciu;

Tłum na nadbrzeżu wykrzykiwał ostatnie pożegnania, a potem zaczął wiwatować, gdy statek pomknął od brzegu, zdając się nabierać pędu, kiedy ogarnął polami indukcyjnymi skryty pod wodą głęboki przybój metalu. Miasto skurczyło się z oszałamiającą prędkością, ludzie na nadbrzeżu na oczach Johna zamienili się w ożywione lalki, różowiejące i cętkowane.

— Nurt czasu — wyjaśnił pan Preston, widząc zmarszczone czoło Johna. — Od razu wprowadziłem nas w jego bieg. Ich obrazy postrzegamy ściśnięte i zdeformowane.

Brzeg poplamiły odcienie czerwieni i błękitu, gdy czas zmiennym strumieniem falował wokół statku, a uderzenia i przechyły odzywały się niskimi, basowymi dźwiękami, które John wyczuwał przez grube podeszwy swych butów.

Przemknąć przez samo trwanie, wyrwać się z nieuniknioności cierpliwego, jednostajnego czasu — John poczuł w gardle gorycz mdłości. Uczucie dezorientacji zaćmiło jego umysł, podczas gdy jego żołądek zareagował na narastające przyspieszenie statku — przyspieszenie dotyczące nie jedynie szybkości, lecz i wielkości władającej światem, niewyczuwalnej ludzkimi zmysłami, siły sprzęgającej w jedno przestrzeń i czas. Twardy pokład pod stopami stał się śliski niczym skóra węża, zgęstniałe powietrze szumiało i rozwidlało się przed jego twarzą, cały świat nabrał cętkowanej barwy. Jego ciało przez długie, bolesne chwile opierało się natarczywym szarpnięciom i szturchnięciom, z napięciem w piersi, zdradliwą lekkością w kiszkiach i miękkimi kolanami — a potem jakimś cudem wszystkie ścięgna odnalazły nową równowagę, bez świadomego wysiłku z jego strony. Wziął łapczywy oddech i przekonał się, że powietrze jest wilgotne i aromatyczne.

— Spokojnie... — Teraz zorientował się, że pan Preston nie spuszczał z niego oczu. — Tak myślałem, że dasz sobie radę, ale pewność można mieć dopiero po fakcie.

— A gdyby mi się nie udało?

Pilot wzruszył ramionami.

— Wysadziłbym cię na brzeg w najbliższym porcie, to wszystko.

— A co z pasażerami?

— Pod pokładem jest lżej. Tu, w górze, pływy są gorsze.

— Pływy? — Przyjrzał się rzecznej tafli, która z tej perspektywy wydawała się płaska jak stół.

— Nie rzeczne — czasowe. Pasażerowie z zabełtanymi głowami i żołądkami mogą przeleżeć całą podróż, dopóki nie dopłyniemy do ich portu przeznaczenia. Przynajmniej większość z nich.

John zawsze sądził, że zadaniem pilota było utrzymywanie statku na rzece, co, zważywszy na jej szerokość, nie było szczególnym osiągnięciem. W milczeniu obserwując, jak pan Preston lawiruje i prześlizguje się wśród wybojów gęstego, brązowego błota, a potem z płynną gracją przemyka wzdłuż ciemnozłocistej rafy metalicznego bromu, ujrzał zwinność tancerza i lekkość, płynące z wirującego koła sterowego wykonanego z dębowego drewna, harmonijnego, zwierzęcego pomruku silników indukcyjnych, geometrycznego kunsztu steru i dzioba.

Przerywanie tego eleganckiego gawota było nie tylko kłopotliwe i niebezpieczne, ale i stanowiło barbarzyństwo z estetycznego punktu widzenia.

Przekonał się o tym, gdy handlowa krypa, mknąca wzburzonym teraz głównym nurtem, wpłynęła w drogę „Natchezowi”. Zamiast zaburzyć swój elegancki kurs, pan Preston przejechał

po obu rufowych wiosłach sterowych krypy. Ledwie ucichły trzaski i zgrzyty, chmura sążnistych przekleństw poniosła się po wodzie od grupki ludzi o zaczerwienionych twarzach skupionych na sterburcie. Oblicze pana Prestona rozjaśniła najczystsza radość, gdyż oto znalazły się pełnowymiarowe cele, które, w przeciwieństwie do załogi „Natcheza”, mogły się odgryzać.

Radości nad radościami! Otworzył okno, wystawił przez nie głowę i bluznął w kierunku krypy. Podczas gdy statki oddalały się od siebie i złorzeczenia załogi krypy cichły wraz z odległością, pan Preston wyrzucał z siebie przekleństwa z niebywałą siłą i zawziętością, przywołując bogów i czynności, o których John nigdy nawet nie słyszał. Gdy pan Preston z powrotem zatrzasnął okno, zniknęła cała jego złośliwość i napięcie towarzyszące wyjściu z portu.

— Oj, proszę pana, ale im pan dał — odezwał się głos tuż obok Johna. Stał tam Stan z rozpromienioną miną konesera ciętych obelg.

Tyle że zjawił się w nieodpowiednim momencie. Pan Preston przeszył go jadowitym spojrzeniem.

— A kogo interesują opinie majtków? Nosem po pokładzie, patałachu!

Tak więc minęło wiele godzin, zanim John dowiedział się, dlaczego Stan znalazł się na

„Natchezie”, gdyż Stan cały czas spędzał na pielęgnacji i tak nieskazitelnie prezentującego się gniazda pilota, potem zaś zajął się sąsiadującymi z nim żelaznymi stopniami i sosnowymi schodniami. Gdy John odnalazł go chlepczącego czarną kawę z parującego kubka, Stan doznał nagłego ataku elokwencji.

— Skarby, to dla nich się zamustrowałem. Majtkom płacą tyle co nic, a prąd czasu zemdlili mnie na sekundę czy dwie, ale zagryzę zęby i wytrzymam.

— Skarby, he?

— Już rozglądam się za tymi wodorowymi kapeluszami. Nikt nigdy nie widział ich tak daleko w dole rzeki, więc myślę, że za bardzo się zapędziłeś, John, spływając aż do nas. Muszą być wyżej, bez dwóch zdań.

John kiwał głową i słuchał gadaniny Stana o czekających na nich gwiazdzistych szafirach i pękatych rubinach, z trudem tłumiąc śmiech, który niechybnie by go zdradził. Z drugiej strony jednak, dzięki tej bajce znalazł przyjaciela w miejscu, które go onieśmiało.

Tylko szkoda, że musiałeś zaprzestać poszukiwań — powie dział chytrze Stan.

— Co takiego? — John, by dać swym szczekom zajęcie, zainteresował się miską fasoli i ta dziwna uwaga sprawiła, że wyprostował się szybko.

Przesadziłeś i pod tym względem. Tamten zombas był tym, którego chciałeś znaleźć. Tyle że chciałeś spotkać go w jego pierwszym życiu, a ono leży w górze rzeki.

To, że Stan mógł kupić opowieść o wodorowych kapeluszach, a jednocześnie poskładać z drobnych kawałków prawdę o ojcu Johna, było dla niego powodem zdumienia. John przytaknął

chrząknięciem i niechętnym ruchem głowy, lecz zaraz zakończył tę rozmowę. Podczas swej podróży w dół nurtu wcześniej nauczył się nie dawać innym okazji do wzruszania się jeszcze jedną sentymentalną opowieścią o biednym chłopcu pozbawionym matczynej miłości i ojcowskiej silnej ręki, porzuconym bez przyjaciół na niełaskę surowego świata. Prawda wyglądała zupełnie inaczej, a gdyby ją poznali, uciekliby, wytrzeszczając przerażone oczy.

## ***7. Zaburzenie czasowe***

Spokojne wody rzeki ciągnęły się wzdłuż brzegów. Tam głęboko biegnące strumienie bromu i rtęci dawały solidne oparcie polom indukcyjnym, podczas gdy prąd wody sunął najszybciej w środku nurtu. Żadne obracające się w obłok pary, rozzierające kadłub strumienie bromu nie wybijały na powierzchnię, więc wachta przebiegała w miarę spokojnie.

Pan Preston wyjaśnił, że „Natchez” musiał trzymać się brzegu, z dala od płynących z prądem statków, które wlokły się leniwie pośrodku rzeki, zbierając swój plon w głównym nurcie. John poznał kilka zręcznych sposobów na omijanie cypli, zakol, mielizn, wysp i ławic, które utrudniały żeglugę. Szybko zdecydował, że jeśli kiedykolwiek zostanie pilotem, zajmie się spływaniem z nurtem czasu, podróże pod prąd pozostawiając ludziom głuchym na głos rozsądku.

Lecz burze temporalne zagrażały obu rodzajom statków.

Rozhuczana ciemność zapadła, gdy przeszli pod drugi brzeg poniżej oczekującego na nich zawirowania czasu. Unosiło się niczym syfon pośrodku rzeki, podczas gdy krążące po mieście wiadomości — nie starsze niż jeden dzień — umieszczały je przy brzegu przeciwległym do tego, wzdłuż którego „Natchez” obrał teraz swój kurs.

— Szybko się porusza — powiedział surowo pan Preston od koła sterowego.

Wirująca, pieniście biała kolumna marszczyła i skrwawiała czerwienią obrazy lasu i równiny powyżej niej. John przesunął się w kąt gniazda pilota i wkrótce wyczerpał zasób swych wspomnień o burzy sprzed kilku dni, które i tak okazały się bezużyteczne, gdyż burza zwiększyła swój zasięg i uformowała się w powykrzywianą ósemkę wypluwającą z siebie fontanny czarnej wody i szarego metalu.

Deszcz uderzył o szyby gniazda pilota. Powietrze cyklonu zasysało światło wokół nich.

Sinoczarne wyładowania utworzyły nad ich głowami fantastyczną mozaikową plataninę. John ujrzał, jak na brzegu drzewa przemieniają się w pajęczaste cienie. Wiatry smagały i biły

„Natcheza”, przyginając drzewa i odwracając blade spody ich liści, tak że przez las przesuwwały się fale barw. Drzewa miały ramionami niczym w panice, z przeraźliwym zgrzytem jeden z kominów „Natcheza” skręcił się i rozszczepił, jego górna część z głuchym odgłosem runęła na pokład dziobowy. Członkowie załogi podbiegli do niej, podcinali mocowania i zepchnęli ją za burtę. John dostrzegł wśród nich Stana, piłującego zawzięcie, podczas gdy wiatr niemalże zwał

z nóg. Wiązki przekleństw wykwitwały na ich ustach, byli tak blisko, że John mógł czytać z ruchu ich warg, lecz podmuchy wichru porywały słowa.

Nie był to zwyczajny wiatr. Szarpał i rozdzierał powietrze, deformując kształty, tak że mozolący się na pokładzie ludzie wydawali się poruszać na przemian boleśnie wolno i szaleńczo pospiesznie, przez cały czas wyginani, szarpani i zniekształceni niewidzialnymi mocami.

Wtedy — *ssst!* — syk próżni cisnął w niebo rozbłyskującą, przepyszną poświatę. Nieziemski blask zalał pokład. A jednak brzeg okrywały ciemności. Czubki drzew gięły się i mocowały z wyimaginowanymi przeciwnikami. W głównym nurcie rzeki chlustała piana.

Kolejne *ssst!*, trzask i statek opadł o pełną wysokość człowieka, zanurzając się w kąpieli z ognistych burzowin. W ułamku sekundy niebo stało się czarne jak smoła, grom przetoczył się przez nie niczym puste beczki po kamiennych schodach.

I nagle wynurzyli się po drugiej stronie, wichura ponownie była jedynie efektowną protuberancją pośród spokojnych wód rzeki, a pilot rzekł:

— Tym razem turbulencja czasowa należała do łagodnych.

John odniósł odmienne wrażenie, lecz tylko przysiadł na stołku i opanował oddech.

Kiedy później ujrzał Stana, młodzieniec rzekł ze zdumieniem:

— Wygięcie? Zniekształcone kończyny? Nic podobnego nie czułem.

John pojął, że przemieszczenia i zakłócenia zarówno czasu, jak i przestrzeni stanowiły domenę obserwatora. Lecz ścięty komin, teraz pospiesznie odbudowywany w pocie czoła przez Stana i pozostałych, dobitnie dowodził realności zniekształceń czasu.

Raz jeszcze przeszli na drugą stronę rzeki, omijając rozległą ławicę aluminium, połyskującą matowo i mogącą w mgnieniu oka zerwać kadłub mijającego ją statku indukcyjnego. To przybliżyło „Natcheza” do brzegu, na którym John pozostawił swój skiff. Korzystając z lornetki pana Prestona, przepatrzył niebiesko–zielone zarośla, lecz nie znalazł nawet najmniejszego śladu łodzi.

— Ktoś go ukradł — powiedział wzburzony.

— Albo pożarł — odparł uśmiechnięty pilot.

— Nie wyhodowałem tego skiffa, nie jest żywy. Ukształtowałem go piłą i młotkiem.

— Może czas go pożarł — było jedyną odpowiedzią pilota.

Brzeg robił wrażenie rozmytego i nieokreślonego, zamienił się w niebiesko–zieloną zawiesinę.

Gdy brnęli w górę rzeki, jego szacunek dla pilota wzrastał. Żaden element terenu nie zachowywał

swego kształtu wystarczająco długo, by John mógł wyraźnie go określić. Wzgórza rozplywały się niczym maślane góry pozostawione na stole w słoneczne niedzielne popołudnie.

A jednak pan Preston jakimś sposobem potrafił przetoczyć „Natcheza” na sterburtę w ściśle określonym miejscu, w przeciwnym razie — jak wyjaśnił — statek miałby poważny konflikt interesów z karpą, która rozprułaby go od dziobu do rufy szybciej, niż człowiekowi zajmuje ziewnięcie. Mroczne bezmiary wód i powolnego metalu zakładały pułapki na czasożeglarzy niezależnie od zanurzenia i wielkości kilu.

Pan Preston zmusił statek do otarcia się o cypel wyspy, gdzie niewielki wir czasowy dopiero co wynurzył się spod mglistego naskórka rzeki, przechodząc tak blisko, że drzewa łomotały i zgrzytały po rufie, niemalże zagarniając zbyt ciekawskiego pasażera — który pospiesznie wyokrętował się natyjbliższym postoju, zostawiając na pokładzie swą torbę podróżną. Bełkotał

coś o upiornych wizjach bezgłowych kobiet, jakie widział w powietrzu. Załoga rechotała i robiła

głupie miny. John dołączył do nich.

## 8. *Żarłoczny lód*

Kaprysy statków indukcyjnych stanowiły obiekt przerażających legend. Mieszkańcy nadrzecznych okolic — a wielu, jeśli nie większość ludzi wolała osiedlić się w głębi lądu —

opowiadali o statkach, które wylaniały się z nicości przy nadbrzeżu, wyladowywały ludzi i bagaże w zawrotnym pośpiechu i odbijały przy wtórze wycia silników, by zniknąć w kilka chwil później, najpierw zwężając się, potem stając się wąskim klinem, który niekiedy wzbijał się w górę, zanim rozmył się w powietrzu.

Ludzie, którzy próbowali dotrzymać kroku statkowi, odczuwali napór jakby masywnej, niewidzialnej dłoni. Męczyli się, zwłaszcza idąc w górę rzeki. Dlatego też większość z nich nie oddalała się bardziej niż o dzień marszu od miejsca, w którym przychodzili na świat. Przy dużym wysiłku silny człowiek mógł zawędrować pieszo lub konno do odległego miasta w poszukiwaniu lepszej ceny na plony czy też atrakcyjnych towarów. Większość wolała, by statki indukcyjne parały się handlem za nich, na przykład przewożąc bele delikatnych tkanin i powracając z zakupionymi w sklepach cudeńkami, zamówionymi ze zbytkownego katalogu.

Niektórzy wszakże wykupywali miejsca na statkach, zarówno ze względu na punkt docelowy, co i dla samej podróży. Pomieszczenia wypoczynkowe „Natcheza” były wyposażone w bogate fotele i wyściełane tapczany, drzwi zdobione kościstobiałymi, drewnianymi, filigranowymi mozaikami układającymi się w wymyślne wzory i słynne sceny zniekształceń czasowych. W

głównym salonie znajdował się symboliczny jaskrawy fresk przedstawiający wielkich pilotów, a w kabinach pierwszej klasy porcelanowe gałki w drzwiach i zajmujące całe ściany obrazopłyty, które pod dotykiem ludzkiej dłoni ukazywały artystyczne pejzaże. Jadalnie szczyły się łukowatymi sufitami muśniętymi najdelikatniejszym ze złocień i żyrandolami w kształcie wodospadów z rozmigotanych kropli szkła. Jednodniowi pasażerowie mogli zrzucić z siebie marynarki i skorzystać z długiego rzędu mis u fryzjera, gdzie znajdowały się też ogólnodostępne ręczniki, sztywne grzebienie i pachnące mydło.

Wszystko to wywarło na Johnie wielkie wrażenie. Nigdy przedtem, nawet w domu pilota, nie widział takiego przepychu i elegancji. Pasażerowie wchodzący na pokład w małych, nędznych osadach złożonych z kilku z rzadka rozsianych domostw mieli w oczach podobny niemy podziw.

Trzy dni żeglugi sprawiły jednak, że poczuł coś na kształt oszołomionej pewności siebie, tak więc spoglądał na tych wybrudzonych podróżników w luźnych ubraniach z taką samą wyniosłą pogardą jak starsi członkowie załogi.

Nie żeby zamieszkiwał te same niebiańskie sfery, co sam pilot. Twarz pana Prestona porysowana była zmarszczkami nabytymi podczas obserwacji odwiecznych starc przeciwstawnych potencjałów temporalnych. Jego mowa zależnie od sytuacji przechodziła od znamionujących wykształcenie eleganckich melodii z dołu rzeki do niewyraźnego ludowego dialektu. Piloci żeglowali po oceanie wieczności i wiedzieli o tym.

John zabrał się z nim dzięki swej w miarę użytecznej wiedzy, nie zaś umiejętnościom. Tak więc gdy zamrzły cewki indukcyjne, pognał na dół po pierwszym ostro wywarkniętym rozkazie kapitana, tak jak Stan i reszta. Pan Preston oczywiście pozostał na swej wyniosłości.

Olbrzymią maszynownię wypełniała plątanina gorączkowo wykrzykiwanych poleceń i przepychających się ciał. Moc, która pchała ich w górę czasu, płynęła z wielkiego miedzianego twornika, obracającego się, gdy pracował jak należy, między mamucimi magnesami z czarnego żelaza.

Zazwyczaj pogrążanie się w przeszłości rzeki wysysało gigantyczne potoki energii z wirującego metalu. Jednak zygzakując od brzegu do brzegu, przeciskając się między rafami i wybojami bromu, czasami pilot zmuszony był poprowadzić statek pod prąd, tak więc przez jakiś czas posuwali się w górę względem strumienia wody, lecz w dół, a więc i w głąb czasu, w odniesieniu do zniekształceń czasowych.

Nie było żadnych zauważalnych objawów tego zjawiska, choć Johnowi zdało się, że zobaczył w oddali na rzece wielki widmowy statek, który zamajaczył mgliście przez ułamek sekundy. Jego grube kominy wypluwały czarny dym, iluminatory promieniowały fioletowym światłem. Statek zawisł w powietrzu niczym gargantuiczny owad, mieląc śrubami mgłę, jakby był rozdętym drapieżnym komarem szykującym się do zaatakowania metalowego wieloryba.

Wtedy — *ssst!* — wiatr dmuchnął tam, gdzie unosił się majak, a krzyk spod pokładu obwieścił alarm generalny.

Stan wskazał mu oblepione rury i kable, już pokryte grubym na dłoń, twardym, mlecznobiałym lodem. Pobliskie kotły wypromieniowywały do pomieszczenia wielkie ilości ciepła, lecz przepływ czasu w rurach i kablach wysysał z nich energię tak szybko, że lód się nie topił.

John wraz z resztą załogi rzucił się do odłupywania, podważania i obtłukiwania lodu. Był zmarznięty na głaz. Jego okruch wpadł Johnowi w dłoń, na moment odsłaniając powierzchnię rury wiodącej wprost do wnętrza silników indukcyjnych. Zamiast lśniącej miedzi ujrzał niesamowitą czerń.

Przysunął nos bliżej do szczeliny, by lepiej widzieć, i usłyszał skrzypienie powietrza przymarzającego do metalu.

— Hej, odsuń się! — wrzasnął jakiś marynarz, odciągając go do tyłu na mgnienie oka przed tym, jak skruszona przezeń szczelina zatrasnęła się z impetem — przy wtórze syku powietrza wypełniającego utworzoną w ten sposób próżnię, momentalnie zamarzającego i zasysającego kolejną porcję powietrza.

Inny z mężczyzn nie miał tyle szczęścia i zamroził sobie trzy palce w chwilowej szparze powstałej w pokrywającym rurę lodzie. Jego wrzaski spotkały się z prawie całkowitym brakiem reakcji, jako że wszyscy trudzili się nad odłupywaniem i roztapianiem szybko narastającej białej pokrywy.

Jeden z kabli wygiął się pod rosnącym ciężarem lodu i pękł. Wysoki skowyt krążącej w urządzeniach energii elektrycznej przycichł i wtedy John poczuł prawdziwy strach.

Słyszał opowieści o statkach indukcyjnych kompletnie zamrożonych w ten sposób, gdy nieskończony chłód przeciwczasu wyssał z nich ciepło, życie, powietrze i duszę. Znajdowano ofiary zmarzliny, przesunięte czasowo o lata i mile od ich przewidywanego położenia, wieczne lodowce z kości słoniowej dryfujące pozornie uśpioną rzeką.

John łupał i podważał, w końcu uciekając się do pomocy oburęcznego młota. Zmarzlina postękiwała, dygotała i pękała, zwiększając swą objętość, niczym żywa istota jęcząca w bólu wzrastania.

Po drugiej stronie maszynowni rozległ się kolejny wrzask, gdy jakaś kobieta straciła stopę uwięzioną przez skradający się lód. Wichry wpadały z wyciem do pomieszczenia, by zastąpić kondensujące się powietrze. W głosach załogi zaczęła brzmieć panika.

Ponad tym wszystkim górował ryk kapitana wydającego rozkazy:

— Zawiaż to! Podważ, człowieku, zaprzyj się tym łodem! Thomson, pędź tam! Rozbij to, synu!

Niespodziewanie wyjący wiatr ucichł, lód przestał narastać.

— Uff — westchnął kapitan. — Pilot nareszcie raczył poprowadzić nas jak należy.

John poczuł się nieco urażony tym stwierdzeniem, jako że żaden pilot nie był w stanie odczytać prawdziwego wektora strumienia czasu. Pan Preston wyprowadził ich z tego, i to powinno im wystarczyć.

Krążyły straszne opowieści o naprawdę źle poprowadzonych statkach. O łajbach indukcyjnych pędzących na oślep w górę czasu — statkach z litego lodu o zamrożonej załodze, gnających pod prąd ku początkowi czasu. O pozbawionych sterowności okrętach niesionych w dół rzeki, rozżarzonych do białości smugach, które eksplodowały, na długo zanim mogły dotrzeć do legendarnego wodospadu na końcu wieczności.

Lecz kapitan nie wziął pod uwagę żadnej z tych ewentualności. John dowiedział się, że wysoka pozycja pilota pociąga za sobą ową krytykę przy najdrobniejszym nawet cieniu niedoskonałości.

## **9. Kair**

Beczki, beczułki i baryłki zapełniały nadbrzeże, lecz nie były mogły przesłonić obserwatorom w gnieździe pilota rozłożystego zielonego piękna miasta.

Nawet kwartały składów towarowych wynurzały się z ziemi zielone wiosenną świeżością.

Kair do perfekcji opanował upowszechniającą się szybko sztukę hodowania swych budynków w żyznej gliniastej glebie. Sztuka ta była o wiele łatwiejsza od sadzenia i hodowania drzew po to, by je zrąbać, rozkawałkować piłami taśmowymi, oheblować i uczynić z nich deski, belki, legary, ankrzy,



dźwigary, zastrzały i kołki, a wszystko to, aby wybudować sobie dach nad głową.

Podobnie lekka gracia wymagała oczywiście głębokiej wiedzy. Mieszkańcy Kairu zgłębili zawile sekrety istot żywych.

„Natchez” podczas dokowania wybił trzy szklanki. Czołoglarze nierzadko miewali kochankę w każdym nadrzecznym porcie i dzwon oznajmiał tożsamość kapitana, tak by właściwa dama przybyła go powitać — w jego kabinie, w czasie postoju trwającego niekiedy zaledwie godzinę czy dwie, przed wyjściem z portu ku kolejnej przystani w górze czasu. Kaprysy i dziwactwa prądów czasowych były przyczyną niejednego pospiesznego przydziału. Lecz kapitan już wkrótce mógł skosztować kolejnego soczystego flirtu — jeśli dał radę.

Zarumieniona dama precyzyjnie się na trapie obok Johna, gdy schodził na brzeg. Nie zwrócił na nią uwagi, mając w perspektywie noc w największym mieście nad rzeką.

Głowę wypełniała mu wiedza zdobyta w gnieździe pilota, połączona ze świadomością, że teraz nadchodziła jego kolej. Niezwłocznie udał się do ratusza Kairu i zajrzał do księgi obywateli. Nie było tam żadnej wzmianki dotyczącej jego ojca, lecz i tak nie żywił wielkiej nadziei na powodzenie. Ojciec nigdy nie lubił pozostawiać za sobą papierów niczym psów, które mogły go jeszcze pokąsać. John przełknął gorycz rozczarowania i zaczerpnął nowych sił z tłącego się w nim od dawna gniewu.

Stan dogonił go i wspólnie wędrowali ulicami. Stan gadał jak nakręcony, John zaś kroczył zamaszyście z dłońmi w kieszeniach, oczarowany widokami.

Żywe domy wynurzały się nieskazitelnie z żyznej gleby. Ziarnomistrze reklamowali się krzykliwymi tablicami, niektóre z nich wykonane były z najmodniejszych, neonowych rurek, które ostrym, nachalnym blaskiem układały się w całe słowa — „Hodowla domów”, „Uprawa mieszkań”, nawet „Domy kwiaty na zamówienie”.

Snuli się przez hałaśliwe bary, wysoko sklepione domy towarowe, pnące dzielnice fabryczne, których płynna elegancja wydawała się osiągnięta pozornie bez najmniejszego wysiłku, powietrze zaś wypełniały zapachy wydobywające się z aksamitnego drewna. Kobiety pracowały przy warsztatach tkackich wyrastających wprost z wilgotnej ziemi. Stan zapytał jedną z nich, dlaczego po prostu nie wyhodują ubrań na krzakach, ona zaś roześmiała się, odpowiadając: „Moda zmienia się o wiele za szybko na coś takiego, proszę pana!”, a potem stłumiła chichot, spojrzawszy na wyciągnięte spodnie i zbyt obszerną kurtkę Stana.

To nastroiło ich rozrywkowo i wkrótce znaleźli się w słabo oświetlonej alejce, która pachniała, według słów Stana, „używanym piwem”.

Kobiety wyczekujące w bramach wyglądały niechlujnie w swych szkarłatnych stanikach i czarnych jak smoła gorsetach na fiszbinach. John poczuł, że się czerwieni, i przypomniał sobie pewne zdarzenie sprzed wielu lat, z lokalnej szkoły, do której musiał uczęszczać. Wszyscy prześmiewali się z niego tylko dlatego, że był z sierocińca. Nauczyciel gimnastyki rozdał

wszystkim chłopcom po kartce specjalnego papieru i piórze wypełnionym niewidzialnym atramentem, polecając im narysować kółko za każdym razem, gdy się będą onanizować —

„wymieniać uścisk ze swym najlepszym przyjacielem”, jak to określił. Niewidzialny atrament miał zapobiec wykryciu i kompromitacji.

Po miesiącu wszyscy przynieśli do klasy swoje kartki. Trener powiesił je w kilku rzędach, zaciemnił salę i zapalił specjalną lampę. Jej fioletowy blask ukazał nagle zamikłym chłopcom wszystkie kółka, całe ich ciągi.

— Tak — powiedział trener — widzi was Bóg. Wasze życie duchowe.

Celem tego pokazu grzechu było nakłonienie chłopców do zmniejszenia jego częstotliwości, gdyż samotne uleganie pokusom osłabiało potencjał intelektualny — przynajmniej według wyznawanej przez trenera teorii. Zamiast tego pokaz zaowocował nie kończącymi się przechwałkami, gdy tylko powrócili na światło dzienne, i każdy znał liczbę swoich kółek, a jednocześnie mógł przypisywać sobie najwyższy wynik, liczący równe sto i siedem.

John osiągnął zaledwie osiemdziesiąt sześć, odrobinę przytłoczony samym zadaniem, i czuł, że gdyby wiedział, jaki jest jego cel, bez trudu przekroczyłby setkę.

Teraz w Kairze, po raz pierwszy w życiu mając chętne kobiety na wyciągnięcie ręki, nie wątpił w swe umiejętności i odczuwał jedynie lekkie napięcie, lecz kobiety przywołujące go lakierowanymi uśmiezkami, pomalowanymi paznokciami i łukowatymi, niebieskimi brwiami jakoś go nie pociągały. Miał wrażenie, że nie byłoby słuszne zajmowanie się tym, podczas gdy ma na głowie ważniejsze sprawy. Stan spróbował zakpić z niego i John zareagował gburowatymi wyzwiskami, w większości świeżo poznanymi z ust pana Prestona.

Złość drapała go w żołądku. Zostawił Stana targującego się z kobietą o mlecznej cerze, wystawiającej na spojrzenia klienta swe czerwone włosy i biodra szerokie jak sama rzeka, i ruszył na oślep w mroczniejsze miasto.

## ***9. Pasterz zombasów***

Pochłonęły go labirynty atramentowej geometrii. Rozmowy mijających go ludzi docierały do niego stłumione i miękko nieharmonijne, gdy przeciskał się wśród wielkich budynków handlowych w pobliżu doków. Tu znajdował się główny rynek pracy dorywczej, a także odlewnie, warsztaty, tłocznie oleju, przedzarnie lnu i wyniosłe elewatory mieszczące najprzeróżniejsze płody rolne, wszystkie wyrastające z najbardziej popularnych w Kairze misternie przekonstruowanych ziaren.

Oczywiście sztuka ta nie tworzyła produktów idealnych. Lepki żółty grzyb pokrywał

brukowane ulice, a kleiste wydzieliny przywierały do podeszew butów Johna, pragnąc go strawić. Podobne korytom rynsztoki wypełniała cuchnąca ciecz, po części stojąca i pokryta brązową szumowiną, po części płynąca szybko i równo z przysadzistymi brukowcami.

Każdy budynek zaopatrzony był w wielki zbiornik, wysoki na kilka pięter, wyrastający z samego budynku i podpierający się długimi szczudłopodobnymi korzeniami, by utrzymać pokaźny ciężar przechowywanej w jego wnętrzu deszczówki. W pobliżu rzeki warstwa uprawnej gleby nigdy nie była dostatecznie gruba, by umożliwić czerpanie wody ze studni. Kair mógł

liczyć wyłącznie na fale ulewnego deszczu, i jakby dla unaocznienia tego, w zasnuwającej niebo mgłę zaczęły się tworzyć kropelki, mocząc nie przerywającego poszukiwań Johna.

Zstąpił do niżej położonej części miasta, gdzie na ulicach nie było żywego ducha, co nadawało im niedzielny charakter. Lecz symbolika znaków z kutego żelaza na podupadłych budynkach wyjawiała przyczynę tego stanu. Tworzyły one ciężkie, kanciaste kody i monogramy, wypełniane delikatnymi pajęczynami zaskakująco skomplikowanych splotów. W narastających ciemnościach John rozpoznał symbole handlu zombasami, ornamenty złożone z czaszek i stylizowanych kości.

Oczywiście towarzyszący mu pech zadbał o to, by ściana świata właśnie w tym momencie zaczęła przygasać. Deszcz ustał stopniowo, pozostawiając po sobie wilgotny chłód. Zadarł głowę do góry i spostrzegł, że wysoko nad nim rozciągała się rozległa połać piaskowego pustkowia, przerywająca ciągłość powierzchni ściany świata i całkowicie pogrążająca tę część miasta w półmroku. A więc umieszczenie przemysłu zajmującego się zombasami w wiecznym cieniu było świadomą decyzją.

Staął pod murem, by sobie ulżyć, rozumując, że przyczyni się tym do jego wzrostu, choć dla przyzwoitości zaszył się w bocznej alejce. Nie stał więc na ulicy, gdy nadeszła grupa zombasek.

Wlokły się, umęczone chłodem i pożółkłe na twarzach, strzelając oczyma na boki, jak gdyby w otumanionym zdumieniu, i jedna z nich zauważyła Johna. Uśmiechnęła się potwornym, stężalym grymasem, oblizwała wargi i jedną dłonią zadarła spódnicę, z uniesionymi brwiami kiwając na niego palcem wskazującym drugiej dłoni. John osłupiał i przestał oddawać mocz, stojąc nieruchomo jak sparaliżowany, dopóki zombaska nie wzruszyła ramionami i nie podążyła w ślad za resztą nieszczęśniczek. Po jakimś czasie jego serce zaczęło ponownie bić i zapakował

swój skarb na powrót w spodnie.

Zombasów akceptowano, gdyż byli niezbędni do ciężkiej pracy fizycznej, zapewnił sam siebie, lecz mimo to nadal oddychał pospiesznie, odczuwał trzepotliwe napięcie mięśni klatki piersiowej. Instynktownie uniósł dłonie ku górze i wyszeptał słowa swego rytuału w łagodne, spokojne powietrze.

Przez długą chwilę nic. Potem poczuł uspokajający uchwyt niewidzialnej ręki obejmującej jego dłoń, ściskającej ją mocno dla dodania otuchy. Była to pokryta zgrubieniami, spracowana ręka robotnika. Czuł ją w chwilach niepokoju, już jako małe dziecko, odkąd jego ojciec odszedł

we krwi i ogniu i jego świat dobiegł kresu. Zaczęło się to właśnie tamtej nocy. Skądś wiedział, że królestwo duchów zrozumie ów ogień i rozżarzoną wściekłość, więc po prostu uniósł ręce w wypełnione iskrami, kłujące powietrze płonącego domu i poczuł napiętą pięść, która wyczuwając go, rozwarła się w powitalnym geście.

Lata później, podczas następnego kryzysu, spojrzął w górę, by zobaczyć, co go pochwyciło, lecz ręka ta była niewidzialna, choć wyraźnie ją wyczuwał. Powietrze wypełniło się krystalicznymi płatkami przypominającymi nitki babiego lata — niewątpliwa manifestacja czyjejś mocy. O wiele pewniejsza od demonów czy many.

Duch dodał mu siły. Z dawną śmiałością poszedł ulicą oświetloną roztańczonymi lampami naftowymi i odszukał wskrzesiciela zombasów.

Był to wysoki mężczyzna w wąskim jak komin, grafitowym garniturze. Siedział pogrążony w pracy w obszernym pomieszczeniu, za starożytnym kamiennym biurkiem, skrobiąc coś na pergaminie. Wzdłuż ścian biegły skryte w cieniu głębokie wnęki.

— Szukam, eee, mojego ojca. Pomyślałem, że może...

— Tak, tak — odparł mężczyzna. — Jak zwykle. Proszę bardzo, rozejrzyj się.

Jego zdawkowość zbiła Johna z tropu, tak więc dopiero po paru chwilach w pełni pojął, na co patrzy.

Tłuste lampy naftowe zalewały słabym, żółtym blaskiem długie rzędy nachylonych ukośnie stołów, na których spoczywały ciała dorosłych ludzi. Nie były przykryte, lecz odziane w robocze stroje, niektóre z nich solidnie ubłocone. John zagłębił się między stoły, spoglądając w bezkrwiste, zakrzepłe twarze. We wnękach leżały dzieci, spowite białym płótnem.

Wszystkie ciała zamknięte były nieodzownymi żebrowatymi klatkami z żelaza. Blade ożywcze płyny wlewały się rurkami w ich nozdrza, pompowane przez oddzielne serca —

rozdęte, szkarłatne mięśnie przymocowane do prętów klatek, pulsujące nieprzerwanie. Płyny przepływały przez ciało, spełniając swe zadanie, wzbudzając nieruchawe fale przesuwające się od unoszącej się niemrawo piersi, przez zgęstniałe wnętrzości, do dygoczących nóg.

Pozbawione swego ładunku, płyny wypływały głęboką zielenią spomiędzy pośladków i wylewały się do wąskich rynien wyżłobionych w twardej podłodze.

Przy wtórze niosących się echem kapnięć i chlupotów powrócił do kamiennego biurka, wyspy światła wśród chłodnej, wilgotnie lepkiej ciszy.

— Tu go nie ma.

— Nic dziwnego. Przerabiamy ich szybko. — W głęboko osadzonych oczach mężczyzny niczego nie dawało się wyczytać.

— Hodowałeś kogoś podobnego do mnie?

— A masz jego nazwisko?

John podał je. Dźwięk nazwiska ojca wystarczył, by odruchowo zacisnąć szczęki. Mężczyzna przejrzał oprawiony w skórę rejestr i odparł:

— Tu go nie ma. Ale wiesz co, coś sobie przypominam...

John schwycił wskrzeszacza zombasów za ramiona.

— Co?

— Puszczaj. Puszczaj, mówię ci. — Starał się odsunąć i gdy tylko John zwolnił uchwyt, pospiesznie ogarnął się niczym poprawiający pióra kurczak. — Cholerni durnie, ładujecie się tutaj nieproszeni, zawsze...

— Powiedz mi.

Coś w głosie Johna sprawiło, że mężczyzna zamilkł i przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

— Staralem się sobie przypomnieć. Mylisz się, szukając go w kartotece. To nazwisko w jakiś sposób wiąże się z interesami.

— Z handlem zombasami?

— Tak myślę. To dostawca, jeśli dobrze pamiętam.

John poczuł, jak obręcz wspomnień ściska mu gardło. Ojciec pracował jedynie okazjonalnie, zawsze miał się zająć łatwych do znalezienia i równie łatwo je porzucił. I nieodmiennie jego praca prowadziła w cieniste sfery ludzkiego życia.

— To by się zgadzało.

— Przychodzi tu z brygadą lub dwoma, co tydzień albo dwa.

— Skąd?

— Mówi, że zbiera ich na wsi.

— To by pasowało.

Mężczyzna wziął do ręki pióro, przewracając nim strony w małym notatniku. John spostrzegł, że ma on tylko jedną rękę.

— Tak, jest tutaj. Pasterz zombasów, licencja i wszystko inne. Jeśli chcesz, możesz sobie obejrzeć, co ostatnio zebrał — dodał, nie podnosząc wzroku.

— Mogę? Jak?

— Ma tutaj miejsce, w którym trzyma ich, dopóki nie uzbiera odpowiedniej liczby. Potem przyprowadza wszystkich tutaj, by ich odświeżyć.

— Gdzie?

— Ostatnio jakieś siedem przecznic stąd.

— W którą stronę?

— Annunciation i Poydras. Duży, długi barak, blaszany dach.

John szedł śliskimi po deszczu ulicami, gubiąc się dwukrotnie z pośpiechu i wywracając się na czymś lepkiem, czego nawet nie chciał oglądać. Dotarł do przysadzistego budynku, gdy jakaś postać wyłoniła się z drzwi po jego drugiej stronie, i coś kazało mu wyjść z powrotem na ulicę i odprowadzić spojrzeniem oddalającego się spiesznie człowieka. Wszedł do środka i znalazł tam jedynie pięciu zombasów leżących na półkach regałów, wystudzonych i z twarzami przykrytymi amuletami z brązu. W ustach poczuł narastający posmak zdrady i pobiegł truchtem pustymi przejściami, gdzie zombasy mozoliły się za dnia, a ukośne szare światło nadawało każdemu przedmiotowi upiorny i groźny wygląd.

Zanim jeszcze dotarł do końca, wiedział, że wskrzeszacz zombasów przez cały czas wodził go za nos, być może nawet jakoś go rozpoznał. Podczas gdy John szukał drogi do tego miejsca, mężczyzna zdołał wysłać ostrzeżenie i jego ojciec się wymknął.

Zaraz wszakże powiedział sobie, że choć może nie jest sprytniejszy, lecz na pewno młodszy z nich dwóch. Biegł przez kilka minut zamglonymi ulicami i w końcu dostrzegł cień tej samej postaci — teraz również w pełnym biegu, trzepoczącej rozwianymi połami płaszcza — która dotarła do rozległego rynku rolnego.

Stragany ziały pustką, a uciekający przemykał wśród nich, lepiej się orientując i zwiększając dzielący ich dystans. John był zdecydowany postawić na zmęczenie ściganego, kiedy wypadli na ulicę Galvez i pobiegli nią do rozłożystych doków. Mężczyzna pędził ile tchu w piersiach. Zbiegł

kamiennymi schodami na brzeg rzeki i skoczył do przycumowanej tam motorówki. Łódź miała dziwaczny kształt, mężczyzna rozpaczliwie starał się ją uruchomić.

Kiedy John usłyszał prychanie i zaraz po tym miarowy pomruk silników, ostatnim wysiłkiem zmusił się do jeszcze szybszego biegu, lecz motorówka wystrzeliła z doków, zanim dopadł

schodów.

Popłynęła w górę rzeki i John z kwaśnym posmakiem w ustach spostrzegł, co zamontowane było na śródpokładzie, nadając jej dziwny kształt: cewki indukcyjne.

Mężczyzna nie obejrzał się za siebie.

## 10. *Przeszłość jest labiryntem*

Trzy głębokie, miękkie uderzenia dzwonu poniosły się ponad majestatyczną powierzchnią rzeki i parę chwil później powróciły niesione wiatrem, podwyższone do sopranu i znacznie szybsze.

Czyli zbliżamy się do łuku — stwierdził pan Preston. John zmrużył oczy, przepatrując ciemność przed dziobem.

Niczego nie widzę.

— Dźwięki dzwonu są zgniatane przez wiatr czasu, potem od bijają się z powrotem ku nam.

Lepiej kierować się nimi niż widokiem łuków, czasami. One zakrzywiają światło, widzi się takie spaghetti.

John wolałby obserwować zdradzieckie krzywizny spiętrzonej, spienionej wody na własne oczy, gdyż w drodze w dół rzeki widział, jak jedna z nich strzaskała płaskodenną łódź na drzazgi.

Głęboka cisza zaległa nad rzeką. Odczuwał niesamowite wrażenie izolacji, oddalenia od krzątający Kairu, choć od miasta dzieliło ich jedynie parę godzin parcia pod prąd.

Od strony sterburty dostrzegał litą ścianę zmroczniałego lasu, stonowaną do posępnej szarości.

Pan Preston ponownie uderzył w dzwon i przesunięte echa tym razem nadbiegły szybciej i ostrzej. Wtedy rzeka jak gdyby rozwarła się, odsłaniając najpierw spienione podnóża, potem zaś fantastyczną, niebotyczną arkadę samych łuków. Bezgłośnie miały wodę u swych stóp, wzbudzając fale, obwieszczające ich potęgę. A jednak gdy „Natchez” się zbliżał, tuląc się do przeciwległego brzegu, woda była gładka jak szkło, jedynie rtęć wybijała pośrodku nurtu, posyłając widmowe kotary migoczącej mgły w niesamowicie nieruchome powietrze.

Spokój prysł w mgnieniu oka. Ściana grzmotu wstrząsnęła szklanymi oknami gniazda pilota.

— No, no! — wykrzyknął pan Preston i zwiększył prędkość. Silniki indukcyjne szarpnęły nadbudówkami.

Wyglądały tak samo, kiedy je widziałeś? — Pan Preston nie odrywał oczu od łuków błyszczących teraz różowo i niebiesko.

— Tak, proszę pana, tylko ten wyższy miał większą podstawę.

— Przeskoczyłeś tędy?

— Nie, proszę pana, trzymałem się głębszej wody, przy tamtej piaszczystej ławicy.

— I cholernie mądrze zrobiłeś.

John nie miał wtedy większego wyboru, miotany i zalewany wodą, lecz niczego nie powiedział,

jedynie trzymał się mocno ściany. Pokład wierzgnął, podskoczył, zajęczał.

— Tu wzdłuż brzegu jest wir, sięga aż za cypel — powiedział pan Preston, wbrew samemu sobie okazując niejaki podniecenie. — Może przenieść nas na drugą stronę tak gładko, że nawet nie będzie trzeba sprzątać.

Gnali wzdłuż brzegu tak blisko, że gałęzie łamały się na kominach. Rozbełtana mgła zabarwiała powietrze na gorący róż, basowe werble rozbrzmiewały pod podeszwami butów Johna.

— Szykuj się na szarpnięcie! — krzyknął pan Preston, jak gdyby wszyscy nie byli od dawna gotowi, i wtedy ich uderzyło.

„Natchez” wpadł dziobem w skręt wiru nieopodal cypla. Tym razem rozciągał się w poprzek rzeki, olbrzymia paszcza rtęci i bromu wrząca mieszaniną brązu i srebra na rozmazanych zakolach. Statek kręcił się niczym ulubiony bąk podarowany przez matkę — pomyślał John, gdy żołądek podjechał mu do gardła — który posiadał tajemniczą własność utrzymywania pionu tak długo, dopóki wirował.

To oderwane wspomnienie trwało przez jeden oddech, a potem woda zalała gniazdo pilota, wybijając tylne okno. Statek przechylił się na lewą burtę. Sploty czasowe przełamywały jęczące belki. Zawirowanie porwało statek i zgmiotło jeden z kominów w żaloszny strzęp blachy. Wstrząs trzepnął Johna po uszach, aż zadzwoniło mu w głowie. Szybkie jak błyskawica rozbłyski rubinowej poświaty strzelały widłaście z rzeki i przebiegały pieszczotliwie po górnych pokładach. Krzyki. Wrzaski.

W poprzek nurtu, potem wraz z nim, „Natchez” wyrwał się z wyjącego wiru. W następnej chwili zatrzymali się dziobem w lesie porastającym brzeg na następnym zakolu. Normalnie byłaby to kompromitacja dla pilota, lecz jako że spowodowało ją przejście pod czas obok łuków, należało odebrać ją jak wybawienie, karę, kiepski napiwek po sutym bankiecie.

Potem zapanował spokój i bez przeszkód klekotali pod prąd, a John wypatrywał na brzegu zapamiętanych elementów krajobrazu, lecz przede wszystkim starał się znaleźć motorówkę wiozącą ciemno odzianą postać.

Nikommu tego nie powiedział, lecz pan Preston od czasu do czasu posyłał mu kątem oka badawcze spojrzenia. Stan, odbębniwszy obowiązkową porcję kpin z Johna za rejteradę przed kobietami lekkich obyczajów, uporzeczywie marudził mu o poszukiwaniach wodorowych kapeluszy. Tak więc John spędzał długie godziny, udając i z zapuchniętymi oczyma odprowadzając wzrokiem gęsto porastającą brzeg, nie tkniętą siekierą drwala puszcę.

W jego oczach przepych tej krainy był większy niż w dole rzeki, intensywniejszy i tak tajemniczy, że wymykał się słowom. Nie miał ani dość rozsądku, ani tym bardziej doświadczenia, by w pełni go docenić; smak przychodzi z wiekiem i jest być może jego jedyną zaletą, choć niektórzy tę samą rzecz nazywają mądrością.

Widział na rzece wspaniałe, wolno działające łańcuchy przyczyn i skutków — siły, które, choć trudne do uchwycenia wśród aromatycznego bogactwa natury, w rzeczywistości stanowiły opokę



podtrzymującą wszystkie te rozległe panoramy, olbrzymie królestwa przestworzy oraz nieskończenie małe mechanizmy drzew i liści. Młodzi muszą odnajdywać swą drogę w świecie będącym gigantyczną zagadką, więc z błyszczącymi oczyma obserwował zmiany barw, badacz spraw niezmiennie zmiennych, wiedząc, że srebrna rzeka może spienić się nagle, by wessać go pod swą powierzchnię, albo też, wręcz przeciwnie, wypluć go w powietrze pienistym gejzerem

— podejrzewał, że zjawiska te byłyby zachwycające z estetycznego punktu widzenia, niemniej jednak przyniosłyby mu pewną śmierć.

John z zapalem doradzał panu Prestonowi przy omijaniu raf i ławic. Przepatrywał mijane akry spławianego drewna, rozległe szare platformy tratw, za którymi motorówka mogłaby znaleźć kryjówkę. Podobnie każdą pękatą barcę i handlową płaskodenkę, krążącą od farmy do farmy, podczas gdy rodzina domokrądcy rozwieszała na pokładzie pranie, a dzieci wykrzykiwały pozdrowienia. Tak więc gdy Stan wrzasnął z pokładu pasażerskiego: „Patrz! To musi być to!

Musi!” , John poczuł ukłucie rozdrażnienia towarzyszące zakłóceniu rytmu pracy.

Stan pognał na rufę i wyciągnął bosakiem na pokład trochę pływającego śmiecia, a potem miał śmiałość zanieść je na dziób do gniazda pilota.

Pan Preston spojrział spode łba i wyglądał tak, jakby miał przygryźć sobie węża na widok wchodzącego bez zaproszenia zwykłego majtka, lecz zanim John zdążył przepędzić Stana, spostrzegł niesioną przez niego podobną do kwiatu szarą rzecz.

— To kapelusz! Niewątpliwie kapelusz! — bełkotał Stan. — Czysty wodór... sam w sobie wart krocie, mogę się założyć... a spójrzcie tutaj.

Z dumą pokazał brosze i szpile przymocowane do szarego jak spiż przedmiotu, który, ku wielkiemu zdumieniu Johna, rzeczywiście przypominał kapelusz. Był prawie zupełnie pozbawiony ciężaru, a jednak twardy, klejnoty zaś lśniły wewnętrznym blaskiem.

— A ty zaprowadziłeś mnie prosto do niego, John, nie zapomnę o tym — powiedział Stan. —

Podzielę się z tobą zyskiem, panie szanowny.

— Eee, jasne.

Zachmurzona twarz pana Prestona łagodniała, w miarę jak badał kapelusz.

— Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Mówisz, że jak daleko w górze rzeki zacząłeś podróż? — Zerknął w stronę Johna.

— Ładny kawał drogi stąd — powiedział John i była to jedyna odpowiedź, jakiej mógł

udzielić, gdyż tamten brzeg stał się już obcy i zniekształcony, jak gdyby pamięć o nim się wichrowała.

Jednak było to niczym w porównaniu z konsternacją, jaką odczuwał, lecz której nie mógł dać po sobie poznać, ponieważ historia z kapeluszami była kompletną bujdą — a oto miał przed sobą prawdziwy, rzeczywiście ozdobiony klejnotami wodorowy kapelusz, wart wiele miesięcy pracy.

Oszołomienie szybko zostało przegnane pokrętnymi wymaganiami stawianymi przez rzekę.

Pod nadzorem pana Prestona zaczynał dostrzegać, że płaszczyzna wody ożenionej z metalem była cudowną księgą, niegdyś spisana w martwym dla niego języku, lecz teraz wyjawiającą swe zazdrośnie strzeżone sekrety. Każdy mijany cypel miał coś nowego do opowiedzenia. Żadna strona nie była pusta. Pasażera mogła zauroczyć wzburzona zmarszczka na jej powierzchni, lecz dla prawdziwego szczura rzeczno był to zapisany kursywą okrzyk, ogłaszający wrak, rafę lub skręcony wir czasoprzestrzenny, gotów w każdej chwili wyrwać się ze skorupy ściany świata.

Pasażerowie achami i ochami witali piękne widoki odmalowywane przed ich oczyma przez srebrną rzekę, nie potrafiąc odczytać ani jednego słowa mrocznego tekstu, jakim w istocie były.

Samotna kłoda przepływająca przed dziobem mogła okazać się bestią o mocnych jak imadła szczękach, planującą ucztę ze smakowitego, drewnianego kadłuba. Grupa wrzących, nieruchomych kręgow informowała o zawirowaniu zdolnym pożreć cały dysk indukcyjny.

Pan Preston czasami zastanawiał się głośno, gdy okrążali kolejny cypel i roztaczał się przed nimi kolejny widok.

— Ta ukośna brązowa smuga — co o niej sądzisz? Powiedziałbym, że to łacha zmielonego metalu, roztopiająca się w strumieniu bromu. Widzisz to oleiste miejsce? Robi się coraz płytsze, w drodze powrotnej będzie gorzej. Tam rzeka poluje na statki indukcyjne, zapamiętaj to sobie.

Lecz zazwyczaj pan Preston zadawał Johnowi pytania, gdyż rzeka wiecznie ścierała swe oblicze, przeskakiwała przez własne brzegi, kpiła ze wspomnień. Widzieli, jak farmer, zabezpieczając się, wkopał w ziemię pale, rozciągnął nawet skomplikowane mozaikowe ogrodzenie, lecz radosny potok zdarł, podważył i przykrył jego więzy, zerwał kajdany i śmiał się serdecznie, podczas gdy nieokiełznane nurty — jakby rozwścieczone tym uwięzieniem —

porywały jego ziemskie królestwo.

Pan Preston sprowadził na pokład miejscowego strażnika wspomnień, by pomógł im pokonać serię przyprawiających o zawrót głowy zawirowań, a człowiek ów zdradzał objawy choroby, o której John słyszał, lecz nigdy nie doświadczył osobiście. Pamiętanie wszystkiego oznaczało, że wszystkie wydarzenia były równie ważne.

Niski, śniady mężczyzna zasiadł w gnieździe pilota i przeprowadził ich w miarę wprawnie przez dwa pierwsze siodła, lecz przy trzecim zaczął opowiadać historię rosochatego drzewa, które wpadło do rzeki przy zawietrznym brzegu i uniemożliwiło im przejście płytką wodą, a od drzewa przeszedł do słynnego upalnego lata, które osmaliło to drzewo, od lata do wysiłków farmera Finna, który uratował swe plony, budując zamknięty służą kanał zmieniający bieg rzeki, i do żony Finna, która uciekła z karnodzieją, tyle że ludzie później odkryli, że wcale nie był

kaznodzieją tylko przestępcą zbiegłym z więzienia w górze czasu, co przypomniało mu, jak bardzo prawa musiały zostać przekształcone, by uwzględnić wędrówki w czasie krewnych, żon i mężów, co znów przywiodło mu na myśl skandal damy w czerwonym stroju, która pewnego razu obsłużyła wszystkich mężczyzn podczas potańcówki, zadzierając swe spódnice po kolei przed każdym z nich, na oczach wszystkich, pod ścianą tancbudy, stamtąd zaś był już tylko krok do zawiłej dyskusji kroków tanecznych, jakich nauczył się strażnik wspomnień (jako że wystarczała mu do tego jedynie obserwacja), łącznie z demonstracją, tak że pan Preston musiał gwałtownym szarpnięciem skierować jego uwagę na powrót na zakręcającą ostro rzekę, zanim wypatroszyła ich na rafie aluminium.

Po paru minutach wszakże strażnik wspomnień znów zapuszczał się w jeszcze bardziej nużącą gadaninę o tym, co akurat zamajaczyło na horyzoncie jego panoramicznego umysłu. Pan Preston znosił to ze względu na kaprysy i narowy owych zakoli, a potem wysadził go na brzeg z pełną zapłata. Mężczyźnie wydawało się to nie robić różnicy i oszedł, dalej mamrocząc o wielkich katastrofach z przeszłości, ludziach, którzy je przeżyli, gdzie teraz mieszkali i co robili.

John wszakże zazdrościł mu w milczeniu, ponieważ on znał przynajmniej ten krótki fragment rzeki, podczas gdy pamięć Johna zdradzała go za każdym kolejnym zakrętem. Wyspy i ławice wynurzały się z wody tam, gdzie według niego nigdy ich nie było. Rzeka przelewała się w nowe równoległe koryta i najwyraźniej przerywała się przez przylądki, tworząc nowe gardziele, odrzucając na bok monumentalne zbocza wzgórz i uporczywym podmywaniem rozwiązując swe nieporozumienia z gąbczastym, zgodliwym lasem. — Ani chybi mamy przed sobą podkowę.

Pamiętasz ją? — pytał pan Preston, a John spoglądał przez mgliste całuny gęsto spowijające rzekę i kręcił przecząco głową.

W tym szczególnym przypadku przybili do brzegu, ponieważ jeden z pasażerów sądził, że mieszka w tej okolicy, choć on także nie potrafił zlokalizować żadnego punktu orientacyjnego, lecz zamierzał zaryzykować. John zszedł na brzeg i przedarł się przez jeżyny i gliniasty piach u podstawy podkowy, docierając na drugą stronę na długo przed „Natchezem”, który z sapaniem wyłonił się w końcu zza zakrętu.

Te odgałęzienia i zatoczki spoczywały w jego przeszłości, lecz mimo obecnej materialności oblekły się w nowe kształty, dziwaczne narośla, nawet kompletne dworki o nowiutkich portykach. Powoli do Johna dotarło, że żadna z tych rzeczy nie dziwiła pana Prestona.

— Za każdym razem gdy płyniemy w górę rzeki, rzeczy przybierają inny układ — powiedział pan Preston, obracając w ustach wykałaczkę, co było jedynym zauważalnym objawem ekscytacji.

Ognie piekielne — burknął John, używając nowego prze kleństwa, którego się świeżo nauczył i którym bardzo chciał się popisać. — To jaki pożytek ze strażnika wspomnień?

— Lepszy on niż nic, to wszystko.

Byli o włos od ugrzęźnięcia na dnie kanału, gdyż dziwny przyptyw zassał smugi pary ku górze, w

chmury nad ich głowami. Kadłub zahaczył raz, uwolnił się i zaraz osiadł ponownie, tak że pan Preston musiał rozkazać, by motory indukcyjne zostały rozkręcone do pełnej mocy, odrywając statek od łożyska ściany świata na dnie rzeki samym wściekłym oddziaływaniem pola magnetycznego.

— Na to wygląda — odparł John. — W takim razie, po co było wynajmować mnie jako przewodnika?

— Twoja wiedza jest na pewno najświeższa z dostępnych. I jesteś odpowiednio młody, nie myślisz, że wiesz wszystko.

Pokład szumiał, posuwali się wolno, jadąc na magnetycznych poduszkach, które John wyobrażał sobie jako splątane stalowe sprężyny. Pan Preston powiedział, że nie jest to dalekie od prawdy, tyle że drutu nie sposób było zmacać ani zobaczyć. Bardziej przypominały szarpiące się widma ze stali rodem z krainy duchów, zauważył.

— Czasami nadejdzie fala czasu i wyrwie niewielką rynnę w poprzek półwyspu — ciągnął

pan Preston. — Widziałem raz taką, kiedy płynąłem w dół rzeki, nie większą od ogrodowej ścieżki. Błyszczała, wiła się i buchała żółtym ogniem. Wzdłuż tamtego brzegu rozciągały się piękne posiadłości. Lecz w głębi ładu była tylko bezwartościowa stara farma. Kiedy wracałem w górę czasu na starym „Reubenie”, ten maleńki zakrętas czasowy wyłobił szerokie koryto.

Zmienił kierunek całej cholernej rzeki. Wciąż miotał karmazynowe iskry. Tamta stara farma stała teraz prawie nad rzeką, ziemia pierwszej klasy, warta dziesięć razy więcej niż kiedyś. A dawne nadrzeczne majątki leżały już w głębi ładu. Żaden statek nie mógł do nich dotrzeć.

— Szczęściarze — przyznał John. Pan Preston uśmiechnął się.

Czyżby? Wielu ludzi się wściekło, oskarżało rodzinę mieszkającą na tamtej starej farmie o wywołanie zmarszczki czasu.

Jak mogliby to zrobić?

A kto może powiedzieć? Czy jest na to jakiś sposób? Doprawdy, przeszłość jest labiryntem.

Może tu szturchnąć czas, a tam go popchnąć? Jeśli ktoś to umie, na pewno o tym nie rozpowiada.

## ***11. Wir***

John czuł się zagubiony w gęstym, nieprzeniknionym labiryncie rzecznych nawyków. Podróż w górę rzeki, walka z naporem czasu załamywała teraz samo powietrze.

Majestatyczna, posmużona błotem przestrzeń wydawała mu się gładka i spokojna, gdy nieświadom niczego dryfował z prądem w swym skiffie. Teraz brzeg wypełniały bagniska, bambusowe gaje, nawet wielkie plantacje ze swymi okazałymi budynkami podpartymi kolumnami barwy kości słoniowej. Często spoglądał w górę, na świat wiszący nad jego głową, krainy zamglonych tajemnic. Przebiegła przezeń zmarszczka, fałdując całą ścianę świata, i John poczuł się nagle tak, jakby

wszyscy żyli we wnętrznościach wielkiej bestii, niepoznawalnej istoty, która sprowadzała najpotworniejsze z nieszczęść na maluczkih ludzi jednym skurczem jelit.

Wir dopadł ich bez ostrzeżenia. Wybił się przez strumień bromu, skręcając się w rozmigotanym powietrzu niczym niebiesko–zielony wąż. Grzmot uderzył w gniazdo pilota, rozbijając dwie szyby.

John ujrzał go ze śródokręcia, gdzie pomagał Stanowi i dwóm innym marynarzom przy czerpaniu wody. Spiralne okno zostało strzaskane, lecz odłamki nie poraniły twarzy pana Prestona, więc gdy John przybiegł na swe stanowisko, pilot już zawracał „Natcheza”, powoli gramoląc się byle dalej od nabrzmiewającej niszczycielskiej chmury.

Wir wzbijał się coraz wyżej, smugi odrywały się od niego, rozszczepiając niebo żółtymi błyskawicami. John ujrzał, jak zatrzymuje się w pół drogi, jakby zastanawiając się, czy przeskoczyć na drugą stronę świata i zagrzebać się w ścianie lasu wiszącej daleko w górze.

Potem zadygotał, rześki siłą nowo narodzonego, i wystrzelił ku rzece.

Srebrna rzeka wydawała się pożądać takiego spełnienia, gdyż wezbrała z wydętym zapalem i pocałowała obniżającą się kolumnę. Natychmiast piana błotnistej wody i metalowa mgła wystrzeliły w głąb wiru czasowego, kreśląc wielkie, odwrócone U, które bulgotało, pieniało się i parowało z sykiem przy wtórze kolejnych grzmotów.

— Psiakrew! — krzyknął pan Preston. — To nas dopiero zablokuje.

John trzymał się kurczowo podpory.

— Nie możemy się prześlizgnąć... Jeśli spróbujemy, pływy rozedrą nas na strzępy.

Potworna zawierucha rozpętała się nad „Natchezem”.

— Myśli pan, że długo pociągnie?

— To kawał bydlaka, możesz być tego pewien.

„Natchez” miarowo oddalał się od wiru, który wił się i drobił swymi wodnymi stopami po powierzchni rzeki. Błoto i kłody drewna zassane do jego wnętrza koziółkowały, pozornie rozpadając się i łącząc na powrót w całość. Pośrodku czegoś, co wyglądało jak fala wody, John ujrzał, jak jedna z kłód eksploduje pomarańczowym płomieniem. Obróciła się w zwolnionym tempie, ciągnąc za sobą czarny dym, i z impetem uderzyła w powierzchnię rzeki.

Wtedy zobaczył motorówkę. Musiała cumować po drugiej stronie, zapewne ukryta wśród wierzb. Wyskoczyła z ukrycia, gdy wir szarpnął się w bok, i John spostrzegł ciemną sylwetkę za sterem.

— Zaczekaj! Zostańmy trochę, zobaczymy, czy...

— Zamknij się, chłopcze. Uciekamy w dół czasu.

Nawet kapitan nie mógł odwołać rozkazu pilota zawracającego statek ze względów bezpieczeństwa. John stał jak wmurowany, podczas gdy motorówka przecinała główny nurt rzeki. Potem bez zastanowienia po prostu rzucił się do biegu po żelaznych stopniach i sosnową schodnią, a moment później był już w wodzie, przez chwilę miotając się rozpaczliwie, a potem wiosłując ramionami do brzegu. Stan krzyczał coś do niego, lecz John się nie obejrzał. Brzeg był

dosyć blisko i niewielka odległość dzieliła go od miejsca, w którym według jego szacunków przybić musiała motorówka. Lecz wtedy usłyszał ogłuszający huk, niczym oddech giganta, i lejkowaty wylot wiru pomknął po pofalowanej srebrzystej wodzie. Ze zdolną rozbijać pociągi złośliwością spadł na „Natchez” i poderwał go do góry, rozciągając pokłady niczym napięte do granic wytrzymałości gumki, a potem rozrywając je — załamując czas z dudniącym grzmiotem.

Jakiś majtek wyskoczył za burtę i jego ciało rozciągnęło się do przezroczystości.

„Natchez” skręcał się i zgniatał, usłuchawszy zewu zniekształcających sił. Wystrzelił wprost w paszczę wiru. Fale czasu zmiażdżyły i strzaskały go, a wtedy zginął w ostatnim, jaskrawoperłowym rozbłysku. Ogień sparzył twarz Johna.

Nie miał czasu na zastanowienie czy rozpacz. Wylot wiru kołysał się, trzaskał, wił i w końcu zaczął sunąć ku niemu. Miał jedynie chwilę, by zaczerpnąć powietrza. Zalała go paląca pomarańczowa piana. Nogi i ręce wydłużyły się bezwiednie, jak gdyby jakiś bóg bawił się swymi sznurkami — a jednak stał się nieważki. Wiedział, że na pewno unosi się w głąb wiru, lecz doświadczał mdlącej, nicującej żołądek pustki nie kończącego się spadania. Walczył z pokusą nabrania powietrza do płuc, podczas gdy piana pokrywała jego skórę, zapychała nozdrza, napierała na powieki. „Nie oddychaj!”, powtarzał sobie nieustannie, szykując się na sprężone czasem uderzenie, jakiego instynktownie oczekiwał u kresu tak przedłużającego się upadku.

Rąbnął solidnie. Wyskoczył na powierzchnię. Bił ramionami wodę, dysząc ciężko. Ignorował wzburzoną wodę. Dotarł do brzegu i wygrzebał się nań.

## ***12. Pościg***

Idąc wzdłuż strumienia, natknął się na motorówkę, zaciągniętą w głąb zagajnika. Była ukryta dokładnie tak samo jak jego skiff, i uśmiechnął się posępnie na jej widok.

Słodki pył czasu wiał wysoko nad rzeką i nie było już żadnego śladu wiru. Ani „Natchez”.

John poszedł tropem prowadzącym od motorówki. Wiódł w głąb łądu, więc nie musiał

zмагаć się z ciśnieniem czasu. Jego ubranie wyschło podczas marszu pod błyszczącą połacią ciemnozłocistej ściany świata, kryjącej się nieubłaganie za wzburzonymi chmurami.

W głębi łądu bujny las przeszedł w porośniętą suchymi krzewami pustynię. Zdał sobie sprawę, że jego ojciec mógł prowadzić go do punktu wyjścia, tak więc cofnął się i zatarł ślady wyjścia z wody, przechodząc na gwarantujące bezpieczeństwo kamienie. Gdzie tylko się dało, unikał

roślinności i przeciskał się przez krzewy, wyginając łodygi, lecz ich nie łamiąc. Było to istotne, gdyż złamanej łodygi nie sposób naprawić bez starannego przycinania, a i tak wprawny tropiciel by to odczytał. Pozostawianie łodyg czy gałęzi zagiętych w kierunku marszu również nie było wskazane. Należało łagodnie porozginać je z powrotem w przypadkowe strony. Połamał

zadrażnięty krzak i drzewo tak, że wyglądały jak dzieło zwierzęcia pasącego się bądź też drapiącego się o nie. Bezpieczeństwo płynęło z ukradkowości.

Pod czaszką pulsował mu dziwny ból, wędrujący aż do oczu. Tyle się wydarzyło, lecz nie zaprzętał tym sobie głowy, nie myślał o panu Prestonie czy Stanie, pracując uparcie naprzód. Grunt stał się bardziej suchy, a jakieś zębate stworzenie o wielkich skrzydłach zatrzepotało nad nim, wyraźnie oceniając swe szansę. Rzucił w jego kierunku kamieniem.

Marzył o drzewie rusznicowym, przypomniał sobie człowieka, który wygrażał mu egzemplarzem tej nieporęcznej broni. Musiała jednak wystarczyć mu odłamana gruba gałąź, służąca jako maczuga, skoro tylko obdarł ją z kory.

Ślady butów biegły równomiernie przed siebie, pięty nie były szczególnie wyraźnie odcisnięte, co znamionowałoby pośpiech. Dorastał znacznie dalej w górze rzeki, lecz na pustych terenach znał się o wiele lepiej niż na bogatych ziemiach nadrzecznych, dał się więc prowadzić swym zmysłem. Raz sięgnął w górę i dłoń czekała tam na niego, ściskając jego rękę ze spokojną stanowczością.

Wszystko w tej krainie uciekało na dźwięk jego kroków. Jaszczurki zmykały do najbliższej szczeliny w skale. Czteroskrzydłe przepiórki kryły się w cieniu, w nadziei, że zostaną wzięte za kamienie, lecz w ostatniej chwili nie wytrzymały nerwowo i przekształcały się w rozpaczliwie roztrzepotane ptaki. Węże znikwały, gołębie, skrzecząc, wzbijały się pod chmury, króliki pryskały na złamanie karku, nie bacząc na zabójczy upał. Lisy, karłowate górskie kozły, kojoty —

wszystkie stawały się stworzeniami z legend, pozostawiając po sobie jedynie ślady i odchody.

Szary piach pokrywał serce pustyni, równinę, której pustka odsłaniała prawdziwą naturę życia, wywołanego z nicości i zmierzającego ku niej. Pustynne rośliny egzystowały niczym wygnancy, z dala od siebie, strzegąc swych wodonośnych okręgów eksploatowanych bezszelestnie pod piaskiem przez uparte korzenie. Pustka stanowiła istotę życia. Nauczył się myśleć w ten sposób, odkąd jego ojciec porzucił ich płonący dom.

Wychwycił zapach, zgniły i chorobliwy, i od razu wiedział, że smród ten musiał przyciągnąć uwagę również jego ojca. Wybój — obszedł go dookoła, kierując się wyłącznie węchem. Lecz gdy spojrzał w dół, na wgłębienie w kształcie misy, dostrzegł jedynie nieruchome trupy.

Ostrożnie zapuścił się głębiej. Ludzie w zbrojach rozkładali się powoli, ich twarze były napuchnięte, usta nabrzmiałe. Większość z nich była wybebeszona, jak gdyby urodzili własne wnętrza.

Wiry czasowe niekiedy powodowały coś takiego, wypływając ludzi czy materię z czasów i miejsc nie znanych nikomu. To, co statki indukcyjne osiągały, mozoląc się w górę rzeki, trzepotanie czasoprzestrzeni dokonywało w mgnieniu oka. Czasami taka padlina wciąż jeszcze nadawała się na

surowiec do produkcji zombasów.

John odwrócił się, by na powrót wtopić się w zarośla, i tam go znalazł.

Twarz — kanciasta, o zapadniętych oczach, znajomy zarys szczęki, wygięte ku dołowi usta.

John porównał ją z ostatnim wyraźnym wspomnieniem, portretem oprawionym w płomień i noszonym w umyśle przez tuzin minionych lat, dobywanym i oglądanym każdego dnia. Tak.

Miał pewność. Ojciec.

— Czego chcesz? — Jego głos był cichy i napięty.

— Sprawiedliwości.

— Kim jesteś? — W jego oczach rozpryskiwał się lęk.

— Znasz mnie.

— W tym miejscu? Sam nie wiem, co właściwie wiem. Nic nie jest takie jak zwykle.

Zapędziłeś mnie daleko w górę czasu. Rozwaliłem swoją łódź. Nie wiem nawet, co to za cholerne miejsce. Ja...

— Uciekłeś z domu.

— Co takiego? — Twarz skurczyła się, jak gdyby napały na nią wspomnienia mroczne niczym wilcze legowisko. Potem rozluźniła się. — Ognie piekielne! Masz na myśli tamtą dawną sprawę?

— Wiesz, że tak. Ona tam zginęła.

Długie milczenie. Mężczyzna przypatrywał się mu, jakby szukając jakiejś przewagi, słabego punktu. A może ujrzał coś znajomego?

— Tak. Tak. Ale to już przeszłość. Posłuchaj, ta rodzina już od dawna była fikcją.

— Stanie się nią, gdy to się dokona.

Mężczyzna zmrużył oczy, kiedy chmury nad nimi rozdzieliły się i spłynął na nich złocisty blask. John wyczuł jego niezdecydowanie i zrozumiał, że nadeszła odpowiednia chwila, ruszył

więc szybko do przodu, nie zastanawiając się więcej. Zastanawiał się przez ponad dziesięć lat i był już tym zmęczony.

Na twarzy mężczyzny zamigotało nagle zrozumienie i jego usta ułożyły się do krzyku, którego John miał nigdy nie usłyszeć. Uniósł rękę i ku zdumieniu syna nie było w niej broni. John wahał

się jedynie przez moment. Zawinął konarem jak maczugą, uderzając raz, drugi, trzeci — i czaszka



mężczyzny pękła jak skorupka jajka. Bez słów.

### **13. Burdel**

Usiadł, wynurzając się z mgły snu, i nabrał w płuca sycącego, wilgotnego powietrza, zapach pomieszczenia na stałe naznaczonego perfumami. Kompletny mrok, co było niezwykle. Przez długą chwilę pamiętał jedynie wir czasowy i „Natcheza”, a potem przypomniał sobie resztę.

Cały dzień pochłonęło mu sklecenie tratwy z powalonych przez wiatr drzew nad rzeką —

spuścizna wiru, jak przypuszczał — i staranne jej związanie. Wiele dni leżał na tratwie zmożony zmęczeniem, którego nie potrafił wytłumaczyć. W zawiniątku miał ze sobą rzeczy tamtego mężczyzny i używał ich jako poduszki, lecz nie mógł na nie spojrzeć. Ryby nie brały i kiedy wreszcie ujrzał łuki powyżej Kairu, był chudy jak szkielet. Był już wtedy na tyle mądry, by skierować tratwę na brzeg, ledwie wymykając się ostremu, usianemu rafami nurtowi. Następnie spędził dwa dni, maszerując w dół rzeki, nękany mdłościami wywołanymi naporem czasu. Żywił

się liśćmi, gdy wreszcie ujrzał odległe wieżycy kościelne Kairu.

Znalezienie jakiegokolwiek pracy było trudne, lecz gdy już napełnił brzuch, oddał się jej zapamiętanie, odbębniając dwie zmiany jako ładowacz w dokach, przez resztę czasu śpiąc i jedząc, nie myśląc zbyt wiele. Oszczędzał pieniądze i po trzech tygodniach przyszedł tu i kupił

to.

Usiadł i przesunął dłońmi po ciele kobiety. W ciemności była atrakcyjniejsza, niż kiedy na nią patrzył, w aksamitnym czarnym gorsecie, pasie i pończochach, które sprawiały, że śmietankowe ciało wydawało się dojrzałe aż do zepsucia. Lecz coś przyciągnęło go do niej w wielkim salonie na dole. Opierała się o pianino i spoglądała na niego figlarnymi, pierwotnymi oczyma. Odmówił

drinka i rozrywek zwykle oferowanych odwiedzającym lokal dżentelmenom, pragnąc tylko pójść na górę i zapłacić ekstra za całą noc. Pierwszy raz powinien być naprawdę szczególny.

I rzeczywiście było dobrze. Jak gdyby porwało go jakieś wielkie stworzenie, które przez cały ten czas żyło w tajemnicy w jego wnętrzu, a teraz, wyzwolone, już nigdy nie dałoby się zapędzić tam z powrotem.

Wyśliznął się spod grubego koca i zapalił starą lampę naftową z brązu. Kobieta spała hałaśliwie, z odrzuconą do tyłu głową i otwartymi ustami, pokazując dwie dziury po zębach, przez które wyświstywała swe lepkie westchnienia. Dziwnie nagła potrzeba zmusiła go do podniesienia brudnego plecaka i otwarcia jego wewnętrznej przegródki. Od pierwszego dnia w Kairze nosił w niej wszystkie swoje cenne drobiazgi, zmuszony do tego przenikliwym, nie dającym się sprecyzować poczuciem braku bezpieczeństwa. Zwykle pracował z plecakiem na grzbiecie, bojąc się choćby odłożyć go na bok.

Papiery nadal tam były. Ich kojąca, urzędowa grubość sprawiała mu przyjemność. Mimo pewnego

rozmazania, będącego skutkiem kąpieli Johna w rzece, wyraźne pismo pana Prestona w wystawionym na niego kontrakcie członka załogi „Natcheza” rzucało się w oczy, królewski błękit w roztańczonym, płynnym blasku lampy. Ludzie powiadali, że „Natchez” nie powrócił ze swej podróży w górę czasu... jeszcze nie. Kair znajdował się tak blisko wielkich łuków burzy czasowej, że jego mieszkańcy zawsze wypowiadali się bardzo ostrożnie, kończąc swe wypowiedzi dotyczące wszelkich wydarzeń zwrotami takimi jak „wydaje się”, „jak na razie”, „w przyszłości” czy „zobaczymy”.

John przekartkował papiery, rozkoszując się ich realnością. Wczoraj wracał z placu przeładunkowego po dniu wypełnionym pracą przy przewozie towarów i na chodniku z gołych desek wpadł na Stana. A przynajmniej ów młody człowiek wyglądał pod wszystkimi względami jak Stan, miał rudawe włosy i nieco nieobecne oczy. Zmierzył Johna pustym spojrzeniem i wyparł się bytności na pokładzie „Natcheza” i jakiegokolwiek żeglugi w górę czasu. Gdy John zaczął opowiadać o tym, co się wydarzyło, młody człowiek odparł z rozdrażnieniem: „W takim razie nie powinieneś być z nimi płynąć!” i precisnął się obok niego, odpychając go.

John schował papiery i głęboko w kieszeni wyczuł plik dokumentów zabrany ojcu. Pewnie już czas je obejrzeć, uznał. Skoro tylko jego krew bryzgnęła na piasek, John poczuł kompletną i głęboką ulgę, uwolnienie od ciężaru ponad dekady, i z ciała ofiary zabrał jedynie te papiery i skórzany pasek.

Było tam niewiele, głównie pokwitowania i spisy wydatków. Lecz zeszyt składek ze Stowarzyszenia Pilotów był inny, gruby jak karton i znaczący. Proste kolumny ukazywały ciąg płaconych na czas składek, potwierdzonych nagryzmołonymi przez sekretarza inicjałami. John przerzucił parę kartek i na pierwszej stronie, w jednym, porażającym mgnieniu oka, ujrzał nie imię swego ojca, lecz swoje własne.

Wstrząs wywołany tym odkryciem poraził go nagłą sztywnością, podczas gdy samo nazwisko, czarny atrament nakreślony pewną dłonią — pismo staranne i niezaprzeczone — rosło i falowało pod jego spojrzeniem. A jednak było całkowicie realne, przywołując wyraźne wspomnienia tamtej twarzy na pustyni, rysów wyostrzonych i naznaczonych strachem, lecz teraz wreszcie całkowicie znajomych.

Kobieta poruszyła się i ziewnęła, otworzyła swe wielkie oczy. Powoli uśmiechnęła się do znieruchomiałego mężczyzny, który trzymał w dłoni kawałki papieru i wpatrywał się w pustkę.

Ze starym jak świat uśmiechem na grubych wargach powiedziała z rozmarzeniem:

— Została nam jeszcze fajna chwileńka, kotku. Całe jej mnóstwo. Kotku? Czego szukasz w powietrzu? Kotku?—

*Przełożył Marcin Krygier*

*Judith Tarr*

**Śmierć i dama**

**(Death and the Lady)**

Rok po Wielkiej Śmierci zniwa były najlepsze od niepamiętnych czasów. Najlepsze i zarazem najgorsze, ponieważ było nas tak niewielu na czas zbiorów. Wszyscy mężczyźni zaś, którzy przeżyli zarazę, nawet wyrostki, poszli na nie kończące się szlacheckie wojny. Nieliczni, którzy pozostali, byli starcami, kulawymi, głupimi bądź kobietami. Tego roku wymyślił się dowcip o tym, jak to Anioł Śmierci zabrał swoją część mężczyzn, a hrabia i baron resztę.

Robiliśmy, co mogliśmy, my w Sency-w-Lasach. Straciłam tego lata dziecko i prawie sama umarłam. Nadal byłam trochę osłabiona, a mimo to zbierałabym wraz z siostrami jęczmień, gdyby Mère Adele nie przyłapała mnie, jak wychodziłam z kosą w ręku. Miała cięty języczek, ta nasza Mère Adele, a czarny habit Świętego Benedykta nie ukrócił go ani trochę. Wzięła kosę, podkasała habit i poszła ścinać długie rzędy, a ja zrobiłam to, co mi kazała, czyli zajęłam się dziećmi.

Jeśli opowieści wędrowców mówiły prawdę było u nas więcej ludzi niż w innych wioskach.

Każdy dom dał swoją ofiarę czarnej zarazie, a we dworze nad rzeczką Czarny Anioł zabrał

wszystkich prócz niewielu mądrych, którzy uciekli. Tak więc byliśmy folwarkiem bez pana i bez mężczyzn, miastem kobiet, jak nazwała nas jedna z zakonnicek z klasztoru (czytała książki i nie wszystkie z nich były pobożne).

Jeśli spojrzeć z miejsca, gdzie siedziałam pod majowym drzewem, można było zobaczyć ją na polu, wiążącą snopki za kosiarzami. Były tam z nią dzieci. Moja Celine, wystarczająco duża, by pracować, miała swoje snopki do zbierania i wiązania. Ja opiekowałam się najmłodszymi. Przez chwilę trzymałam je na swym łonie, a one tłoczyły się naokoło, podczas gdy snułam opowieść.

Były to najmniejsze dzieciątka, dopiero co odstawione od piersi, trzymane w kojcu jak dziwne owce. Opowieść była bardzo stara. Nie musiałam uważać, a jedynie pozwolić językowi się obracać. Patrzyłam na zniwiarzy i zdecydowałam pójść i upomnieć się o moją kosę. Niech Mère Adele opiekuje się dziećmi. Byłam od niej większa i silniejsza.

Wzrastał we mnie coraz większy gniew, podczas gdy uśmiechałam się do dzieci i rozbawiałam je. Nawet Francha, która nigdy nie wydała z siebie głosu, a przynajmniej odkąd osierociła ją rodzina, miała błysk wesołości w oczach, choć szybko je opuściła. Wyciągnęłam ręce, by posadzić ją sobie na kolanach. Była spięta, bardzo chuda i drżała jak dzikie zwierzątko, ale nie uciekła jak poprzednio. Po chwili przyłożyła głowę do mej piersi.

To uśmierzyło mój gniew. Skończyłam opowieść. Gdy otwierałam usta, by zacząć następną, Francha zeszywniała w moich ramionach. Próbowałam uspokoić ją głaskaniem i głosem.

Drapiąc, utorowała sobie drogę, ale nie po to, by uciec, lecz by zobaczyć co się za mną działo.

Sency nazwane zostało Sency-w-Lasach nie dlatego, że kiedyś była tu puszcza, choć mogłoby być i tak, ani dlatego, że otaczają je lasy, zbiegając się przy drodze do Sency-le-

Champs i dalej do Normandii. Powodem były drzewa tworzące jego ścianę zachodnią. Ludzie przejeżdżają przez Sency z północy na południe i z powrotem. Czasami idą od południa lub północy we wschodnim kierunku do Maine lub Anjou. Nigdy nie idą na zachód. Na wschodzie, południu i północy jest las, w części należący do pana de Ciency (jeśli tylko Śmierć pozostawiłaby mu do niego prawo), w części gminny, w którym można łowić, ścinać drzewa i wypasać świnie. Na zachodzie jest Las. Przeklęty — powiedział kapłan, zanim się zląkł i uciekł

do Avranches. Zaklęty — mawiały staruszki przy ogniskach. Zaczarowany — mówili młodzieńcy, zanim odeszli. Czasami młody człowiek przeklinał: „Bodajbym polował w Lesie”, a młoda kobieta mogła zakląć: „Bodajbym wywołała sobie ukochanego ze studni przy zrujnowanej kaplicy”. Jeśli ktokolwiek tak robił, nigdy o tym nie mówił, ludzie też o nic nie pytali. Najlepiej było nie mówić o Lesie.

Siedziałam z przytuloną, spiętą Francha w ramionach i gapiłam się tam gdzie ona, w zielony mrok, jakim był las. Na jego granicy ktoś stał. Mógłby to być podróżny z południa lub wschodu, kierujący się na zachód po zboczeniu z głównej drogi lub po prostu zauroczony drzewami. Nasze miasto było już wtedy obrotne, otoczone murami wybudowanymi przez milorda Arnauda, zanim zmarł, z jedyną otwartą, północną bramą.

Francha wyrwała się z mych ramion. Mój Perrin, zawsze gotowy do skwapliwego rzucenia się ku wszystkiemu co nowe, radośnie popędził za Francha. W mgnieniu oka pobiegły wszystkie, a maleństwa w kojcu zaczęły zawodzić. Najbliżsi żniwiarze przerwali pracę i kilku z nich wyprostowało się, by popatrzeć.

Jeśli jakaś myśl przyszła mi do głowy, to stało się to znacznie później. Że Śmierć odeszła zupełnie niedawno. Że drogi były pełne wilków, w większości dwunogich i śmiertelnie niebezpiecznych. Że Las skrywa rzeczy groźniejsze niż jakikolwiek wilk, nawet jeśli tylko dziesiąta część opowieści o nim była prawdziwa.

Gdy biegłam, myślałam o Perrinie i o Franchy. Mogłabym je łatwo złapać, gdyby działo się to jedną porę roku wcześniej. Teraz kolka złapała mnie, zanim przebiegłam parę jardów i zgięła w pół, aż zaczęłam kląć. Mimo to nadal biegłam, ale z trudem. Dobrze widziałam. Na skraju lasu stała tylko jedna postać, zwrócona twarzą ku nadbiegającym dzieciom. To była kobieta. Nie wiem, skąd to wiedziałam. Cała w bezkształtnym brzoju, zakapturzona i bez twarzy. Wcale nie przerażała dzieci. Widziały Śmierć. To była tylko ciekawość — wędrowiec na drodze, którą nikt nie wędrował; nowość, ku której trzeba biec, piszcząc i kłócąc się.

Gdy dzieci podbiegły jak stadko owiec i obieżyły ją, figura zgięła się, po czym wyprostowała, trzymając jedno z dzieci w ramionach. Francha, blada i cicha Francha, która nigdy nie mówiła i uciekała nawet od znajomych twarzy, przytuliła się teraz do nieznajomej, jakby nigdy nie miała już jej puścić.

Żniwiarze porzucili zbieranie. Kilkoro z nich zbliżało się powoli, znużeni lub ostrożni. Inni pędzili tak szybko, jak tylko mogli. Nie ufaliśmy wówczas niczemu, ale Sency było od wiosny spokojne — od czasu, gdy człowiek hrabiego przyszedł zabrać naszych mężczyzn. Chroniły nas nasze lasy, a także nasze modlitwy.

Nadal byłam pierwsza za dziećmi w drodze ku nieznanemu. Jej kaptur był obszerny, lecz padało na nią światło. Ujrzałam bladą twarz, a w niej ogromne, wpatrzone we mnie oczy.

Powiedziałam pierwszą rzecz, jaka mi przyszła do głowy.

— Pozdrowienia, nieznaną, i niech Bóg cię błogosławi. Wydała dźwięk, który mógł być śmiechem lub łkaniem. Ale odpowiedziała wystarczająco wyraźnie:

— Pozdrowienia i błogosławieństwa w imię Boże. — Miała głos i akcent damy, głos o melodyjnej tonacji przywodzącej na myśl śpiew ptaków.

— Skąd przybywasz? Czy niesiesz chorobę?

Dama w ogóle się nie poruszyła. To ja zaczęłam i to ja powinnam kontynuować.

Mère Adele także była szlachetnie urodzona, choć nigdy o to nie dbała. Przemawiała tak otwarcie do pana biskupa, jak i do każdego z nas. Stała teraz za mną, z rękoma na obfitych biodrach i ciężkim spojrzeniem utkwionym w nieznaną.

— Więc? Jesteś zatem niema?

— Nie — powiedziała dama swym miękkim głosem. — Ani nie jestem wrogiem. Nie przynoszę też choroby.

— A skąd możemy mieć pewność?

Wciągnęłam powietrze.

Dama odezwała się, zanim mogłam wydobyć z siebie głos, słodko jak do tej pory, cierpliwie, z głową Franchy spoczywającą w zagłębieniu ramienia. Myślałam, że jest zakonnica, która uciekła ze swego klasztoru. Jeśli rzeczywiście tak było, to wiedziałam dlaczego. Żadna oblubienica Chrystusa nie nosiłaby człowieczego dziecka w brzuchu, pozwalając mu rosnąć pod szorstką brązową szatą.

Nigdy nie możesz być pewna — powiedziała do Mère Adele. — Nie w przypadku nieznanego, nie w obecnych czasach. Wezmę od was jedynie bochenek chleba, jałmużnę i błogosławieństwo, jeśli mi je dacie.

Możesz dostać bochenek chleba — rzekła Mère Adele. — Co do błogosławieństwa, będę musiała to przemyśleć. Jeśli masz ochotę na nocleg, jest mnóstwo słomy na posłanie, a także poczęstujemy cię obiadem zniwiarzy, jeżeli uznasz za stosowne na niego zarobić.

— Nawet — zapytała dama — bez błogosławieństwa? Mère Adele dobrze się bawiła: zauważyłam błysk w jej oku.

— Zasłuż wpierw na obiad — powiedziała — a otrzymasz wraz z nim błogosławieństwo.

Dama skłoniła głowę z wdziękiem królowej z opowieści. Zamruczała w ucho Franchy. Uścisk

Franchy na jej szyi zelżał. Postawiła dziecko przede mną — Franczę o wielkich oczach wyrażającą niechęć całą swoją postacią — i podążyła za Mère Adele przez pole. Żadne dziecko nie poszło w jej ślady, nawet Perrin. Były cichsze i potulniejsze niż kiedykolwiek, chociaż wystarczająco szybko doszły do siebie, gdy tylko znów zebrałam je pod majowym drzewem.

Jej imię, jak powiedziała, brzmiało Lys. Nie powiedziała o sobie nic więcej tej nocy, siedząc przy ognisku na skoszonym polu, jedząc chleb i ser, pijąc ale\* — wszystko, co mieliśmy. Pod wpływem gorąca dnia zdjęła kaptur i wierzchnie okrycie i pracowała tak jak pozostali. Odziana była w prawie nową koszulę z przedniego lnu. Z pewnością była ciężarna, od dwóch pór roku —

jak oceniłam, a jej brzuch wydawał się jeszcze większy, ponieważ ona sama była bardzo chuda.

Miała kosteczki jak ptaszek, jej skóra zaś była tak biała, że widać było pod nią ślady żył. Jej włosy były tak czarne, jak skóra była biała, obcięte krótko jak u zakonnicy.

Ale nią nie była. Przysięgła, skrywając pod opuszczonymi powiekami wielkie, szare oczy.

Czy mówiłam, że była piękna? O tak, piękna jak biała lilia, o słodkim, niskim głosie i długich, białych dłoniach. Francha przywierała do jej łona, ilekroć ktokolwiek się zbliżał, Perrin był

zauroczony, podobnie jak Celine i reszta dzieci, których matki nie zagoniły do domu.

— Nie jestem zakonnica — powiedziała — lecz wielką grzesznicą pokutującą za swe grzechy swoją długą wędrówką.

Pokiwałyśmy głowami, siedząc wokół ogniska. Pielgrzymi wiele rozumieli, nawet ci szlachetnie urodzeni, samotni i z tonsurami, odmierzający krokami ligi\* dzielące ich od zbawienia. Guillemette, śliczna i głupia, westchnęła i przycisnęła dłonie do piersi.

— Jakie to smutne — rzekła. — I jakie odważne, opuścić swego pana i zamek — bo na pewno miałaś zamek; jesteś za piękna by być żoną zwykłego człowieka — i wyruszyć w długą drogę.

— Mój pan umarł — powiedziała dama.

Guillemette mrugnęła. Jej oczy były pełne łez.

— Och, jakie to okropne! Czy to wojna?

\* Ale — rodzaj piwa. (Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza.)

\* Liga — jednostka długości równa ok. 3 m.

— To była zaraza — odparła dama. — Minęło już sześć miesięcy, odkąd noszę jego córkę w brzuchu, a ty możesz płakać, jeśli chcesz, bo ja już nie mam łez.

Powiedziała to sucho i cicho, bez gniewu ale i bez delikatności. Wstała w ciszy.

— Jeśli znajdzie się dla mnie łóżko, położę się. Rano odejdę.

— Dokąd? — To była Mère Adele, obcesowa jak zwykle, docierająca do samego sedna.

Lys wciąż stała. Była wysoka, a wydawała się wyższa w świetle ogniska.

— Moje postanowienie wiedzie mnie na zachód — powiedziała.

— Ale na zachodzie nic nie ma. — odrzekła Mère Adele.

— Ależ jest całe królestwo, ciągnące się na długie ligi od tej granicy aż do morza —

powiedziała Lys.

— Ach — odparła Mère Adele, krótko i ostro. — To nie zachód, to Armoryk [a\\*](#). Na zachodzie nie ma nic, w co stworzenie ludzkie powinno się mieszać. Jeśli kierujesz się ku Armoryce, najlepiej uczynisz, jeśli pójdziesz wpierw na południe, a później na zachód, królewską drogą.

— My inaczej nazywamy to królestwo — odparła Lys. — Tam, gdzie się urodziłam. —

Wzdrygnęła się, westchnęła. — Wyruszę rankiem.

Spała w domu, do którego przybyłam, poślubiając Claudela. W moim łóżu obok mnie, wraz z dziećmi w ciepłym gnieździe: Celine, Perrinem i Franchą oraz kotami leżącymi tam, gdzie znalazły miejsce. Francha trzymała ją w uścisku mocnym jak śmierć, a ona miała już sobie umościć leże w klasztornej stodole, gdy język przemówił wbrew mojej woli i zaoferował moje progi.

Nie spałam długo. Ona, jak myślę, także. Całą noc leżała nieruchomo zwinięta na boku, z Franchą spoczywającą w zagłębieniu jej ciała. Dzieci wydawały z siebie zwykle nocne dźwięki, koty mruczały, Mamere Mondine chrapała w łóżu przy ogniu. Przysłuchiwałam się im i cichemu oddechowi damy. Nieobecność Claudela wciąż sprawiała mi ból. Tej nocy był on nawet silniejszy z powodu nieznamomej. Moja ręka wciąż próbowała pełznąć w kierunku jej ciepła i odgłosu jej oddechu, jak gdyby dotyk mógł zmienić ją w człowieka, którego chciałam tu mieć. W

końcu zwinęłam ją w pięść i włożyłam pod głowę, zacisnęłam oczy i przyzywałam świt.

Świt nadszedł i minął, i następny świt, a Lys została. Niebo, dotychczas tak czyste, stawało się szare. Potrzebowaliśmy każdej pary rąk, by zebrać zboże, zanim się rozpada. Nawet mojej —

Mère Adele skrzywiła się, gdy zajęłam jej miejsce, ale ustąpiła pod moim spojrzeniem. Lys zajęła rząd obok mnie. Nikt nic nie mówił. Byliśmy wszyscy cicho, tego dnia i następnego, ścigając się z deszczem.

Ostatni snop jęczmienia znalazł się w stodole, gdy spadły pierwsze krople. Stałyśmy w deszczu, zbyt zmęczone i zaszokowane końcem wyścigu, w którym tak długo uczestniczyłyśmy, by móc zrobić coś innego. Wtedy ktoś się uśmiechnął. Później ktoś jeszcze. Później już wszystkie. Dokonałyśmy tego, my, kobiety i dzieci, i mężczyźni zbyt starzy lub słabi, by walczyć. Zebraliśmy zniwa w Sency-w-

Lasach.

Tej nocy mieliśmy ucztę. Kucharz Mère Adele zarządził wołu, a reszta przyniosła, co miała, lub co mogła zebrać. Było mięso dla wszystkich i ciasto z miodem, jabłka z sadów, a nawet trochę wina. Siedzieliśmy w refektarzu, słuchaliśmy deszczu uderzającego o dach i jedliśmy do syta.

Niemowa Bertrand miał fujarkę, Raymonde swój bębenek, a Guillemette głos jak słowik. Kilkoro młodszych poderwało się do tańca. Widziałam, jak Pierre Allard patrzył na Guillemette, sam wystarczająco dorosły, by doglądać swych owiec. Jeszcze wiosną był za młody i za mały, by zostać zabranym przez ludzi hrabiego, ale urósł przez lato i rzucał okiem na naszą śliczną idiotkę,

\* Armoryka — dawna nazwa Bretanii.

jak gdyby był już prawdziwym mężczyzną.

Wypiłam może więcej wina, niż powinnam. Tańczyłam, a dzieci zachęcały mnie. Miałam nawet wtedy zwinne stopy, a Pierre Allard był wystarczająco lekki i szybki, by za mną nadążyć.

To Claudel powinien tam tańczyć. Nie był zbyt piękny, ten mój Claudel, ani o wiele ode mnie wyższy, ale potrafił tańczyć jak listek w Lesie, a także śpiewać i śmiać się ze mną, gdy kręciłam się w tańcu oszołomiona i pozbawiona oddechu. Nie było nikogo, kto mógłby złapać mnie i zanieść na łożo pod gołym niebem, albo co bardziej prawdopodobne w noc taką jak ta — do stodoły pomiędzy krowy, z dala od dzieci, pytań i wścibskich oczu.

Opuściłam salę, mimo że tańce dopiero rozkręcały się w najlepsze. Deszcz padał jednostajnie i nie był za zimny. Wkrótce byłam cała przemoczona, ale było to bardziej przyjemne niż przykre.

Moje stopy знаły drogę w ciemnościach, wzdłuż ścieżki przy ścianie klasztoru, w dół do rzeki, a później znów w górę do cienia i zapachu chaty, która była moja, niczyja inna. Przez szczelinę w drzwiach przebijało światło ogniska, przechylonego, lecz wciąż nie zakrytego. Mamere Mondine kiwała się, siedząc przy nim. Była ślepa i prawie głucha, ale uśmiechnęła się, gdy pocałowałam ją w czoło.

— Jeanette — powiedziała. — Śliczna Jeanette. — Poklepała moją dłoń spoczywającą na jej ramieniu i wróciła do swych marzeń.

Dzieci leżały w łóżkach, spały. Nie było wśród nich nikogo większego. Oczy Franchy błyszczały w świetle lampy. Były zapuchnięte i czerwone, a na policzkach miała ślady łez.

Zaczęłam ją uspokajać. Mówiłam, że Lys już nadchodzi, że wkrótce tu będzie i że jest wciąż w klasztorze. Ale nie mogłam znaleźć słów. Jadła z nami. Była, gdy dzieci wyszły tłumnie, głośno protestując. Kiedy rozpoczęły się tańce, już jej nie widziałam. Myślałam, jeśli w ogóle jakaś myśl przyszła mi do głowy, że wróciła do domu przede mną.

W ciemności i deszczu nieznajoma mogła łatwo się zagubić. Do klasztoru nie było daleko, może mila, ale było to jednak parę kroków. Wystarczająco dużo, by się zgubić.



Co skłoniło mnie do pomyślenia o Lesie, nigdy się nie dowiem. Może jej słowa do Mère Adele, gdy ujrzałam ją po raz pierwszy na skraju Lasu. Może jej obcość, gdy siedząc na łóżku i próbując pocieszyć Franchę, ujrzałam w ciemności wspomnienie jej twarzy. Mieliśmy opowieści, tu w Sency, o tym co żyło w Lesie. Zwierzęta, zarówno te znajome, jak i obce, i cienie nie rzucane przez żadne z żywych stworzeń, i ścieżki wijące się coraz to głębiej, kończące się tam, gdzie się zaczęły. A gdzieś tam daleko, za ścianą mgły i strachu, królestwo rządzone przez króla nie należącego do świata śmiertelnych.

Otrząsnęłam się gwałtownie. Czy to moja sprawa, że przybyła chimeryczna obca, pomogła zebrać żniwa i znów odeszła? Dla Franchy było to jednak zbyt wiele, a tego nie mogłam wybaczyć. Cokolwiek sprawiło, że nasze biedne, nieme dziecko tak głęboko zakochało się w damie, nie było dobre, a najprawdopodobniej wielce Franchę krzywdzące. Nie pozwoliła mi się teraz dotykać, wcisnęła się w daleki kąt łóżka, gdy się kładłam i próbowałam ją ściągnąć z powrotem. Tkwiła tam, podczas gdy ja próbowałam zrobić to bez budzenia pozostałych. W

końcu przestałam i zamknęłam oczy. Leżałam na krawędzi łóżka. Francha przyciskała się do ściany. Musiałaby przejść nade mną, by uciec.

Wydawało się, że przez jedną krótką chwilę trapię się Franchę, a w następnej już piał

czerwony kogut i zwlekałam się z łóżka, z trudem podążając ku porannym obowiązkom. Nie było śladu po Lys. Nie miała nic prócz ubrań na sobie, a i te zniknęły. Równie dobrze mogłoby jej tu wcale nie być.

Odkryłam ogień, szturchnęłam żar pogrzebaczem i ostrożnie dorzuciłam drew. Nappełniłam garnek i zawiesiłam go nad płomieniem. Wydoiłam krowę i znalazłam dwa jajka w gnieździe, o którym czarna kura myślała, że je dobrze ukryła. Nakarmiłam świnię, podrapałam po boku starą lochę i obiecałam jej dzień w Lesie, jeśli tylko zdołam nakłonić Bertranda do zabrania jej ze swoim stadem. Nakarmiłam Mamere Mondine miską owsianki z kroplą miodu dla niej i z odrobiną więcej dla dzieci. Perrin i Celine pochłonęli swoje porcje i chcieli więcej. Francha nie jadła. Gdy próbowałam ją nakarmić w taki sam sposób, jak w dniu, gdy po raz pierwszy przyjęłam ją pod dach, wytrąciła mi łyżkę z ręki. Inne dzieci były wniebowzięte. A także koty, które natychmiast dopadły do owsianki i zlizywały ją ze ściany, podłogi i stołu.

Westchnęłam i zabrałam łyżkę. Twarz Franchy nic nie wyrażała. Nie można jej było przemówić dziś do rozsądku, jak również — jak przypuszczałam — przez kilka następnych dni.

W środku przeklełam ową kobietę, która przyszła, zauroczyła biedne, zranione dziecko i odeszła bez słowa. A jeśli Francha zachorowałaby z tęsknoty, zmarniała i umarła — co było możliwe, gdyż prawie tak się stało zanim ją przygarnełam...

Wlałam owsiankę z powrotem do garnka. Wytarłam dziecięce twarze i ręce Franchy.

Uczyliłam, co do mnie należało. A w trakcie tych czynności mój gniew rósł.

Wraz z końcem nocy deszcz przeminął. Ostatnie chmury odpłynęły na wschód i wyjrzało słońce,

ogrzewając mokrą ziemię, podnosząc zasłony mgły. Wkrótce przyjdą młocarze. Czas i na mnie.

Stałam jednak w ogrodzie przed kuchnią, patrząc ponad żywopłotem i ujrzałam ścianę szarości i zieleni, którą był las. Jeden z kotów kręcił się wokół moich kostek. Podniosłam go.

Zamruczał.

— Wiem, dokąd poszła dama — powiedziałam. — Poszła na zachód, tak jak powiedziała.

Niech Bóg ją chroni na jej drodze, bo nic innego już nie pozostało.

Mruczenie kota ustało. Zadrapał moją rękę pazurami, aż się wyswobodził, prychnął na mnie i uciekł za chatę.

Possałam piekącą rękę. Celine wypadła z domu, piszcząc tonem, który tak starałam się z niej wykorzenić:

— Francha znowu płacze, mamó! Francha nie przestaje płakać! To, o czym myślałam, było zupełnie szalone. Powinłam wejść do środka — oczywiście, że tak — i zrobić co tylko możliwe, by uspokoić Franchę, zebrać razem dzieci i pójść do młocarni.

Uklękałam w brudzie między rzędami fasoli i chwyciłam ramiona Celine. Przestała skrzeczeć i popatrzyła na mnie.

— Czy jesteś dużą dziewczynką? — zapytałam.

Przysunęła się.

— Jestem dorosła — powiedziała. — Wiesz o tym, mamó.

— Czy wobec tego możesz zaopiekować się Franchą? I Perrinem? I zabrać ich do Mère Adele?

Zmarszczyła brwi.

— A ty nie pójdziesz?

O połowę za mądra była ta moja Celine.

— Muszę zrobić coś innego — powiedziałam. — Czy poradzisz sobie, Celine? I czy możesz powiedzieć Mère Adele, że wrócę tak szybko jak tylko możliwe?

Celine zastanawiała się. Wstrzymałam oddech. W końcu skinęła głową.

— Zabiorę Perrina i Franchę do Mère Adele. I powiem jej, że wrócisz. A czy później mogę pójść pobawić się z Jeannot?

— Nie — powiedziałam. Dodałam jednak: — Tak. Baw się z Jeannot. Zostań z nim, aż wrócę.

Możesz to zrobić?

Popatrzyła na mnie zde gustowana.

— Oczywiście, że tak. Jestem już dorosła.

Zagryzłam usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Pocałowałam ją w oba policzki za każde z dzieci i w czoło za nią samą.

— Idź — powiedziałam. — Szybko.

Odeszła. Stałam tam, a po chwili usłyszałam, jak odchodzą. Perrin zapowiadał, że zamierza zjeść ciasteczka miodowe z Mère Adele. Weszłam do kuchni i położyłam na stół chleb, ser i jabłka, a także ułożyłam otulony dokładnie materiałem nóż, po czym zawinęłam wszystko w chustę. Mamere Mondine spała. Obudzi się dopiero wieczorem. Jeśli nie wróciłabym do tego czasu, Mère Adele będzie wiedzieć, że trzeba kogoś wysłać. Pocałowałam ją i przytuliłam policzek do jej suchej, starej skóry. Westchnęła, ale nie obudziła się. Podniosłam się i wyszłam przez kuchenny ogródek.

Nasz dom stoi na końcu wsi. Ściana ogrodu jest częścią muru pana Amaud, choć uprawiamy pod nią groszek, a ja mam prawie owocującą winorośl. Claudel wyburzył jej fragment pod furtkę, co mogłoby wpędzić nas w kłopoty, gdyby tylko pan Amaud żył wystarczająco długo, by to odkryć. Lecz milord był martwy, jego spadkobiercy daleko, a nasza furtka była głęboko ukryta w winorośli i osłonięta jeżynami.

Udało mi się przedostać z zaledwie sześcioma zadrapaniami i nienaruszoną godnością. Byłam pewna, że pomogły mi jeszcze szumiące w głowie resztki wina, gniew na Franchę i może odrobina zmartwienia. Lys była gościem w mym domu. Jeśli została zraniona, byłaby to moja wina.

Poza tym nie wychodziłam za mury, odkąd odszedł Claudel, nie licząc wyprawy na pola.

Chciałam mieć słońce na twarzy, wędrować przed siebie bez dzieci ciągnących za spódnicę, bez myślenia o śmierci. Bałam się tam iść — oczywiście, że tak. Las był przerażający od niepamiętnych czasów. Jednak ciężko było się naprawdę bać, idąc ścieżką pod pierwszymi drzewami — zwiadowcami, gdzie słońce ścieliło się na ziemi dużymi, jasnymi plamami, wiatr mruczał w liściach, a ptaszki śpiewały słodko i bez lęku. Ścieżka pod moimi stopami była grubo zasłana błotem. Powietrze miało zapach roślinności, wzmocniony przez deszcz, z głęboko ukrytą w ziemi obietnicą grzybów. Znalazłam ich małą gromadkę i zebrałam w fartuch, ile tylko mogłam unieść, nie zatrzymując się jednak i nie ociągając.

Sency było już wtedy daleko za mną i las zaczął gęstnieć. Ścieżka wiła się między drzewami, nie szersza i nie węższa niż wcześniej. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie lepiej było wziąć ze sobą psa Allarda. Miałam towarzysza, to prawda: pręgowany kot podążał za mną. Był bardziej zadowolony, niż mogłam się spodziewać.

Nasza para szła dalej. Zapach grzybów otaczał mnie jak zaklęcie odpędzające diabły. Śmiałam się z tego. Dźwięk miękko wpadł między drzewa. Buki złocące się jesienią, zbrązowiałe dęby, jesiony o

pierzastych liściach, ciernie skupiające się w zaroślach. Ptaki śpiewały wciąż, ale za nimi była rozległa cisza.

Kot podążał teraz przodem, z zadartym i elegancko zawiniętym ogonem. Ktoś mógłby pomyśleć, że już wtedy wcześniej szedł.

Ja byłam tu dawniej, niż chciałam myśleć. Szłam tak jak teraz, ale bez czuwających wokół grzybów, przecinających mi drogę — jak się wydawało — za każdym zakrętem ścieżki.

Podeszłam pod ostatnie, niespodziewanie strome wzgórze i okrążyłam cierniste zarośla — jakby żywopłot, i wyszłam na otwartą, rozjaśnioną przestrzeń. Oślepiła mnie wtedy, tak jak i oślepiła mnie teraz — tyle światła po zielonym mroku. Mrugnęłam, by oczyścić oczy.

Kaplica wyglądała tak, jak ostatnim razem, gdy tu przyszłam. Stały dwie zaledwie ściany — a i tak jedna z nich była na wpół zburzona. Pozostałość ganku, łuk bramy z widoczną wciąż na nim płaskorzeźbą, wyblakłą od deszczów i ze starości. Górna część krzyża złamała się. Pani siedząca poniżej straciła uniesione ku górze ramię, ale Dziecię jak zawsze spało na jej łonie, a jej uśmiech, nawet tak zniszczony, był nadal słodki.

Minęłam ją. Żadne demony, skrzecząc, nie wypadły przez zrujnowany dach. Nic się nie poruszyło, oprócz kota, który delikatnie przeszedł przez ganek i zniknął w kaplicy.

Moje ręce były zimne. Mocniej ścisnęłam zawiniątko. Nagle zrobiłam się głodna, co sprawiło, że chciało mi się śmiać — a może płakać. Mój żołądek miał swój własny czas i ani strach, ani gniew nic dla niego nie znaczyły.

Wkrótce go nakarmię. Zebrałam odwagę i przeszłam pod łukiem, pochylając głowę, choć było tam wystarczająco wysoko. Było to święte miejsce, chociaż być może nie poświęcone Bogu, którego znałam.

Posadzka była kiedyś piękna. Teraz popękała i pokryła się brudem. Ołtarz był zniszczony.

Chrzcielnica ocalała, lecz jej powierzchnia była starta jak płaskorzeźby na bramie. Wiosenna roślinność zapuściła się do jej wnętrza i wypuszczała pędy pomiędzy szczelinami w ściankach.

Sama w sobie była już dziwna: pień wielkiego drzewa — dębu, jak mówiły opowieści — pokryty długimi, ołowianymi pasmami odartymi z pozłoty i poznaczony krzyżami. Tutaj dach był prawie nietknięty, dając osłonę przed deszczem, w przeciwnym wypadku starożytne drewno już dawno obróciłoby się w pył.

Kłęcząca na krawędzi chrzcielnicy, opuszczając nad nią swą ciemną głowę, zaciskając na obramowaniu białe dłonie. Nie widziałam wody. I wcale nie chciałam zobaczyć. Mogłam ją słyszeć, lecz mówiła w nie znanym mi języku. Ton głosu był wystarczająco przygnębiony: czysta, głęboka rozpacz, tak bardzo przepełniona żalnością, że ruszyłam naprzód z wyciągniętymi ramionami. Zatrzymałam się, zanim ją dotknęłam. Jeśli zaklinała ukochanego, to próbowała wezwać go ze świata zmarłych.

Zadrżałam. Nie wydałam żadnego dźwięku, lecz ona zerwała się i obróciła. Jej twarz była biała jak śmierć. Jej oczy...

Zakryła je powiekami. Jej ciało stopniowo się rozluźniało. Nie wydawała się zaskoczona ani rozgniewana, nic w tym rodzaju — jedynie zmęczona.

— Jeanette — powiedziała.

— Odeszłaś — powiedziałam. — Francha płakała całą noc.

Jej twarz ściągnęła się.

— Musiałam.

— Tutaj?

Rozejrzała się wokół. Mogła się rozeźmiać, jeśli miałyby się.

— To tutaj stało się to pierwszy raz — rzekła. — Teraz wydaje się, że to tutaj będzie po raz ostatni, i zawsze. I nigdy.

Popatrzyłam na nią. Potrząsnęła głową.

— Nie rozumiesz. Jak mogłabyś?

— Postaram się — powiedziałam. — Nie jestem damą, zapewniam cię, ale mam wystarczająco rozumu, jak na chłopskie dziecko.

— Oczywiście, że masz. — Wydawała się zaskoczona. Jak gdybym to ja wątpiła, nie ona. —

No dobrze. Powiem ci. On nie pozwoli mi wrócić.

— On — powiedziała Lys, wskazując na chrzcielnicę. Nie było tam nic prócz wody. Żadnej twarzy. Żadnego obrazu ukochanego. — Mój pan — Lasu. Zimny król.

Wzdrygnęłam się.

— Nie nadajemy mu imion.

— Mądrze — powiedziała Lys.

— Nie pozwoli ci przejść? — zapytałam. — Więc idź naokoło. Idź na południe, jak powiedziała ci Mère Adele. To daleka droga, ale bezpieczniejsza i w końcu zaprowadzi cię na zachód.

— Nie chcę iść naokoło — powiedziała Lys. — Chcę wejść do środka.

— Jesteś szalona — powiedziałam.

— Tak — odparła. — Nie pozwoli mi wejść. Szłam, jak widzisz. Minęłam to miejsce.

Poszłam tam, gdzie drzewa są tak strasznie stare i gdzie rzadko zagląda słońce, nawet w samo południe. Powoli zamknęły się przede mną. I w końcu nie mogłam iść dalej. „Wracaj”, mówiły do mnie drzewa. „Wracaj i pozwól nam tu stać”.

— Byłaś wystarczająco rozsądna, by to zrobić — powiedziałam.

— Szalona — odparła. — I rozsądna. — Krzywy uśmiech pojawił się na jej twarzy. — O tak.

Więc wróciłam do tego miejsca będącego bramą i strażnikiem. A on przemówił do mnie w wodzie. „Wracaj”, powiedział tak jak drzewa. Wyśmiałam go. Nic więcej nie miał mi do powiedzenia? „Tylko to”, powiedział. „Droga jest zamknięta. Jeśli zdołasz ją otworzyć, wtedy przyjdź. To nie moje zadanie”.

Popatrzyłam na nią. Była jeszcze bardziej wychudła niż poprzednio, a ciężar jej brzucha ciągnął ją w dół.

— Dlaczego? — zapytałam. — Dlaczego chcesz się tam dostać? Tam czyha szaleństwo.

Każda opowieść tak mówi.

— I tak jest — powiedziała Lys. — Dlatego odeszłam.

Zapadła dzwoniąca w uszach cisza.

— Nie wyglądasz na diabła — powiedziałam. — Ani na jego sługę.

Zaśmiała się. To był słodki, okropny dźwięk.

— Ale, moja dobra kobieto, ja nim jestem. Jestem wszystkim, co czarne i straszliwe.

— Za chwilę upadniesz, tam gdzie stoisz. — Otoczyłam ją ramieniem, zanim zdążyła osunąć się na ziemię, i posadziłam na obramowaniu chrzcielnicy. Nie mogłam powstrzymać się od spojrzenia w wodę. Nadal była to jedynie woda.

— Odpoczniemy — powiedziałam — ponieważ tego potrzebuję. I zjemy, bo jestem głodna. A później wrócimy do Sency.

— Nie ja — powiedziała Lys.

Nie zwracałam na nią uwagi. Rozwiązałam chustę, wyłożyłam wszystko, co miałam, i położyłam też garść grzybów, obiecując sobie, że gdy będę wracać, zatrzymam się i ponownie napełnię fartuch. Nie było nic do picia oprócz wody, ale wystarczyło i to. Lys nie piła z chrzcielnicy, lecz ze strumyczka nad nią. Ja robiłam tak jak ona, by dotrzymać towarzystwa.

Przyszedł kot, by podzielić się z nim serem i jednym lub dwoma kęsami chleba. Kręcił nosem na

grzyby.

— Więcej dla nas — powiedziałam do niego.

Zadarł ogon i odszedł w poszukiwaniu lepszej zdobyczy.

Jadłyśmy bez słowa. Lys była głodna: jadła delikatnie, ale gwałtownie jak kot. I kot przychodził mi na myśl, gdy na nią patrzyłam: biała kocica, która nie patrzyła mi w oczy.

Gdy skończyłyśmy, zgarnęłam okruchy w rąbek spódnicy, wyszłam na ganek i rozsypałam je dla ptaków. Spojrzałam na słońce. Minęło południe. Myślałam, że jest później.

Lys zbliżyła się do mnie. Jej kroki były bezgłośne, ale jej zimny cień padł na mnie, aż zadrżałam.

— Jest też inny powód — powiedziała — dla którego ja powinnam pozostać, a ty powinnaś iść. Mój zmarły pan: on miał brata. I on żyje i ściga mnie.

Zwróciłam ku niej twarz.

— Chce mnie dlatego, że jestem, czym jestem — powiedziała. — I ponieważ myśli o tym, co mogę mu dać. Dla mnie samej może też. Trochę. Wyprowadziłam go w pole w Rouen: obciąłam włosy, założyłam habit zakonnicy i odeszłam nie niepokojona w orszaku przeoryszy. Wkrótce się o tym dowie i zacznie za mną podążać.

Wzruszyłam ramionami.

— Czymże jest jeden mężczyzna w całej Normandii — lub jedna kobieta? Jest szansa, że nigdy cię nie znajdzie.

— Znajdzie — rzekła Lys ze stłumioną pewnością.

— Więc niech znajdzie — potrząsnęłam ostatni raz spódnicą i zesłam z ganku.

Wcale nie byłam pewna, że za mną podąży. Ale gdy osiągnęłam linię drzew, była za mną.

— Nie wiesz, kim on jest. Przybędzie uzbrojony, Jeanette, i w towarzystwie swoich ludzi.

To mnie zaniepokoiło, choć nie miałam zamiaru jej tego zdradzić.

— Mamy mury — powiedziałam. — Jeśli się zjawi, lepiej, żeby znalazł cię u nas niż w zburzonej kaplicy, walącą w zamknięte na głucho drzwi.

— Mury można zburzyć — powiedziała Lys.

— A drzwi?

Nie odpowiedziała mi na to. Ani mnie nie opuściła. Po chwili zapytała:

— Dlaczego?

— Jesteś moim gościem — powiedziałam.

— Niejeden raz cię opuszczałam.

— A co to ma do rzeczy?

Zaczęła mówić. Przestała. Znow zaczęła. Jedno słowo.

— Francha.

— Francha. — Pozwoliłam sobie na pokazanie części gniewu. — Bóg wie dlaczego, Bóg wie w jaki sposób, ale to ona zdecydowała, że należy do ciebie. A ty odeszłaś i zostawiłaś ją. Jej matka nie żyje, jej ojciec umarł, leżąc na niej. Tak ich znaleźliśmy — Franchę niemą tak jak teraz, a ojciec zaczął już gnić. — Nie mogłam jej zobaczyć i stwierdzić, czy się wzdrygnęła.

Miałam nadzieję, że tak. — Zabrałam ją do siebie. Namówiłam do jedzenia, do stawienia czoła światu, do życia. A później przyszedł ty. Skupiła na tobie całą swą uwagę. A ty ją opuściłaś.

— Nie miałam wyboru.

— Oczywiście, że miałaś — powiedziałam. — Musiałaś wiedzieć, że droga jest zamknięta.

Wygnał cię, ten twój zimny król, nieprawdaż.

— Sama siebie wygnałam.

Jej głos był pełen dumy. Prychnęłam pogardliwie.

— Wiesz, wierzę ci. Że jesteś jedną z Nich. Nikt oprócz stworzenia bez duszy nie zrobiłby takiej rzeczy, jaką ty zrobiłaś Franchy.

— Czy stworzenie bez duszy wróciłoby? Czy przyznałoby się do popełnienia błędu?

— A czy ty tak zrobiłaś?

Chwyciła mnie za rękaw i obróciła. Była silna. Jej palce okrutne, zatapiały się w moje ramię.

Gniewnie patrzyła w moją twarz.

Odpowiedziałam takim samym spojrzeniem. Nie bałam się, wcale. Nawet gdy zobaczyłam ją taką, jaka jest naprawdę. Kot, myślałam, znow w kaplicy? Kot, tak, o kocich oczach, i nic w niej nie było ludzkiego.

Oprócz jej głosu, surowego i szorstkiego od gniewu.

— Teraz widzisz. Teraz wiesz.



Przeżegnałam się, by się ochronić. Nie wzniosła się w obłoku dymu. I szczerze mówiąc, wcale się tego po niej nie spodziewałam. Na szyi nosiła krzyż, błyszczący pod szatą.

— A więc są prawdziwe — powiedziałam. — Te opowieści.

— Niektóre. — Puściła mnie. — On tego chce, mój pan Giscard. Chce dziecka, które noszę, bo myśli, że przyniesie powodzenie jego rodowi.

— Więc może powinnaś stawić mu czoło — rzekłam — i pro wadzić na niego błyskawice.

Była tak zaszokowana, jak gdybym ja sama to przed chwilą zrobiła.

— To grzech! Jak możesz o tym tak lekko mówić?

— Grzech? — zapytałam. — Między leśnymi stworzeniami bez duszy?

— Jesteśmy chrześcijanami jak i wy — odrzekła.

Było to tak nieprawdopodobne, że musiało być prawdziwe. Odwróciłam się do niej plecami

— czując ukłucia strachu w karku — i podążyłam dalej ścieżką. Po chwili ruszyła za mną.

## II

Gdy młocka się już skończyła, a spichlerze zostały napełnione, jabłka wytłoczone na cydr, moja samotna winorośl oberwana z owoców wysuszonych na słońcu, a całe Sency przygotowane na zimę, która jeszcze nie nadeszła — podjechała do naszej bramy grupka mężczyzn.

Spodziewaliśmy się ich: ja, Lys i Mère Adele, odkąd zaczęły opadać liście z drzew. Przy bramie przez większość dni czuwał chłopiec, a na noc była ona zamykana i ryglowana. Nie mieliśmy żadnej broni oprócz kos, sierpów i starożytnego, zardzewiałego miecza, który wydobyla z kuźni żona kowala.

Pierre Allard był przy bramie w dniu przybycia milorda Giscarda, a Celine towarzyszyła mu, jak często zdarzało się to przedtem. To właśnie ona przybiegła, by mnie odnaleźć.

Już prawie tam byłam. Cały dzień Lys była drażliwa jak kot. Nagle, w środku pracy, przy naprawianiu koszuli Franchy, zerwała się i pobiegła przed siebie. O mało jej nie potraçałam przy studni, gdzie stała sztywno i milcząco, mając wciąż w jednym ręku igłę, a w drugim zwisającą koszulę. Potrząsnęłam nią mocno.

Przysła do siebie, przynajmniej odrobinę.

— Jeśli mnie zobaczy — powiedziała. — Jeśli wie, że tu jestem...

— Więc — powiedziałam — jesteś zatem tchórzem.

— Nie! — Popatrzyła na mnie gniewnie, ponownie cała Lys, tak dumna i drażliwa jak zawsze.

— Boję się o was. Spali wieś za to, że daliście mi schronienie.

— Nie — powiedziałam. — Jeśli my mamy jeszcze coś do powiedzenia.

Zakasałam spódnicę i wspierałam się na bramę. Pierre już tam był, a Mère Adele przybyła nie wiadomo skąd. Kawał drogi dzielił nas od klasztoru, a ona nawet się nie zadyszała. Miała na sobie najlepszy welon, jak zauważyłam, i wysadzany klejnotami krzyż. Słońce rzucało oślepiające błyski na klejnoty: białe, czerwone i nawet zielone jak świeża trawa. Powitała mnie chrząknięciem, a Lys skinieniem głowy, lecz oczy miała skierowane na mężczyzn stojących niżej.

Byli piękną grupą. Podobną do tej, która zabrała Claudela: mężczyźni w szarych kolczugach z jasnymi tunikami, a jeden nawet z chorągwią — czerwoną jak krew, ze złotym haftem.

— Stojący lew — powiedziała Lys. Wciąż stała na schodku poniżej gzymsu. Ledwo mogła zobaczyć chorągiew. Ale wiedziała, co przedstawia. — Herb Montsalvat.

Milord był w kolczudze jak jego ludzie. Za nim podążał muł z czymś na grzbiecie, co, jak przypuszczałam, było bronią. Mężczyzna dosiadał wysokiego, czerwonego wierzchowca, a sam też był, jak mogłam dostrzec, wysoki. Nie znajdowałam się o wiele wyżej od niego, stojąc na bramie. Zwrócił ku mnie twarz. Była to zdumiewająca twarz, po tym wszystkim, co słyszałam. O

wiele młodsza niż ta, której się spodziewałam — i gładko ogolona. Nie dlatego, że miałby gęstą brodę, jak myślałam. Jego włosy były pszenicznie jasne.

Uśmiechnął się do mnie. Zęby były białe i prawie równe. Prostoduszne oczy miały kolor błękitu.

— A oto piękny wartownik! — powiedział, śmiejąc się i kłaniając w wysokim siodle. —

Piękna pani, czy będziesz miała miłosierdzie nad biednymi podróżnymi i wpuścisz nas do swej sielskiej wsi?

Mère Adele prychnęła pogardliwie.

— Prędzej wpuściłabym byka do zagrody z krowami. Przybyliście tu, by wziąć to, co należy się naszym mężczyznom? A może myślicie, że jesteśmy strasznie spragnione?

— To nie było zbyt mądre — powiedziała Lys zza pleców, wciąż stojąc na schodku.

— Pozwól, że ja to ocenię — odrzekła Mère Adele, nie odwracając się. Oparła się na łokciach o gzyms i wychyliła, jak gospodyni z okna swojej chałupy. — Ta rzecz nie pochodzi z najbliższych okolic — powiedziała, wskazując brodą na chorągiew. — Jaki interes ma do załatwienia Montsalvat w biednym Sency?

— Żaden — powiedział milord, wciąż się uśmiechając. — Nie z twoimi ludźmi, doprawdy, czcigodna pani. Szukamy jednej ze swoich, którą zgubiliśmy. Może ją widziałaś? Wygląda, jakby

była na pielgrzymce.

— Widzimy pielgrzymów od czasu do czasu — powiedziała Mère Adele. — Zatem była to stara kobieta? Z małym chłopcem do pomocy, małym pieskiem i tłustym białym mułem?

Próbowałam się nie roześmiać. Mój pan Giscard — bo to bez wątpienia był on — mrugnął wielkimi, niebieskimi oczami, wyglądając jak zupełny głupiec.

— Nie, pani, nic tak zapadającego w pamięć. Nasza kuzynka jest młoda i samotna. — Zniżył głos. — I niezupełnie... nie całkiem, jeśli wiesz, co mam na myśli. Była kobietą mojego brata, rozumiesz. Umarł, a ona zwariowała z rozpacz i uciekła.

— Biedactwo — powiedziała Mère Adele. Jej głosowi jednak brakowało współczucia.

— Och — powiedział i nawet jeśli nie uronił łzy; to całkiem odpowiednio załamał mu się głos. — O, biedna Alys! Miała mnóstwo strasznych pomysłów. Musieliśmy ją wiązać, inaczej zrobiłaby sobie krzywdę, ale to tylko pogorszyło sprawę. Gdy tylko ją uwolniliśmy, zaraz uciekła.

— Godne to pochwały — rzekła Mère Adele — by tak dbać o kobietę brata, żeby przejechać całą Normandię, aby ją znaleźć. Chyba że wzięła jakieś rodzinne klejnoty?

Lys zasyczała za mną. Mère Adele wydawała się tego nie zauważać. Milord Giscard potrząsnął głową.

— Nie. Oczywiście, że nie. Jej rozum to wszystko, co straciliśmy, a nawet to było jej własnością.

— Więc — powiedziała Mère Adele — dlaczego chcecie ją odnaleźć?

Jego oczy zwęziły się. Nie wyglądał już ani pięknie, ani głupio.

— Zatem tam jest?

— Tak, jestem tu. — Lys stanęła u mego boku. Pozbyła się trochę ze swojej chudości, żyjąc z nami. Ciężar dziecka nie umniejszył jej wdzięku. Położyła na brzuchu dłonie, jak zauważyłam, ukrywając je pod gzymsem, tam gdzie nie mógł ich widzieć. Spoglądała w dół, prosto w jego twarz. Przez chwilę myślałam, że splunie. — Gdzie byłeś? Szukałam cię w Świętego Michała, a tu jest już prawie Wszystkich Świętych.

Wyglądał na zakłopotanego, ale wystarczająco szybko odpowiedział.

— Były trudności na drogach — odpowiedział. — Przejeżdżający Anglicy i Normandowie.

— Wygrałeś — powiedziała.

Nie było to pytanie.

— Jakoś się wykręciliśmy. — Badał ją wzrokiem. — Dobrze wyglądasz.

— Dobrze się czuję — odparła.

— Dziecko?

— Dobrze.

Dostrzegalam w nim głód. Ciemną, zgłodniałą rzecz, stojącą w takiej sprzeczności z jego twarzą, że zamknęłam oczy, by jej nie widzieć. Gdy je ponownie otworzyłam, zniknęła.

Uśmiechał się.

— Dobre wiadomości, moja pani. Doprawdy, dobre wiadomości.

— Ona nie jest dla ciebie — powiedziała Lys, twardo, zimno i sztywno.

— Jeśli to syn, jest dziedzicem Montsalvat.

— To córka — odpowiedziała Lys. — Wiesz, skąd to wiem.

Nie poruszył się, lecz jego ludzie przeżegnali się.

— Nawet jeśli — powiedział — kochałem też swojego brata. Nie podzielisz się ze mną pamiątką po nim?

— Masz jego kości — powiedziała Lys — i jego grobowiec w Montsalvat.

— Sądzę — rzekła Mère Adele, przerywając tę łagodną, a jednak śmiertelną pogawędkę — że najlepiej będzie porozmawiać o tym w czterech ścianach. I nie w Sency — dodała, gdy nadzieja pojawiła się na twarzy milorda. — Klasztor Świętej Agnieszki może udzielić gościny szlachetnie urodzonemu. Jedź tam, a my podążymy za tobą.

Skłonił się i usłuchał. Zeszliśmy z bramy. Jednak Mère Adele nie ruszyła natychmiast do klasztoru. Ludzie zjawili się, by zobaczyć, co się dzieje. Wysłała ich do uprzednio wyznaczonych obowiązków: umacniania murów, przyprowadzenia zwierząt, które były wciąż na zewnątrz, zamykania Sency, by — jeśli zajdzie potrzeba — wytrzymać oblężenie.

— Nie takiej spodziewam się walki — rzekła. — Ale z tą szlachtą nigdy nie możesz być pewna. — Obróciła się ku mnie. — Chodź. — Nie potrzebowała obracać się ku Lys. Dama poszłaby niezależnie, czy by ją zaproszono czy nie: widać było zdeterminowanie w całej jej postaci.

Widać to także było po Franchy, która nigdy się od niej nie oddalała. Dama ujęła jej twarz w swoje długie białe dłonie i powiedziała:

— Idź i czekaj na mnie. Wrócę.

Nikt nie spodziewałby się, że Francha jej zaufa, a mimo to dziecko posłuchało. Pokiwała ponuro głową bez cienia sprzeciwu. Tylko zgoda i uwielbienie.

— Nie to, co Celine. W końcu przekupiłam ją Pierrem, a jego obietnicą tortu rodzynekowego, jeśli tylko zabierze ją do domu i tam zatrzyma.

Mère Adele narzuciła szybki krok w drodze do klasztoru, taki, który nie dał mi czasu na myślenie o wystrzępionej chuście, poplamionej na brzegu spódnicy i bosych stopach. Oczywiście milord przyjechał właśnie wtedy, gdy wybierałam się czyścić chlewik.

Lys zatrzymała się w bramie klasztoru, obróciła się twarzą do nas. Mężczyźni weszli do środka. Słyszałyśmy ich, prychające i stukoczące kopytami konie, głębokie głosy zmienione w klasztornym krużganku. Lys powiedziała miękko, lecz wystarczająco głośno, by nie być przez nie zagłuszona, z siłą okazaną uprzednio milordowi Giscardowi:

— Dlaczego?

Mère Adele uniosła brwi.

Lys wyglądała, jakby miała za chwilę nią potrząsnąć.

— Dlaczego tak wiele dla mnie robicie?

— Jesteś naszym gościem — odrzekła Mère Adele.

Lys odrzuciła głowę do tyłu. Myślałam, że się roześmieje albo rozplacze. Nic takiego nie zrobiła.

— To wykracza poza zwykłą gościnność. To daje mi szansę wojny.

— Nie będzie wojny — odparła Mère Adele. — Chyba że jesteś na tyle głupia, by ją zacząć.

— Położyła rękę na ramieniu damy i ostrożnie odsunęła ją na bok. Potem skinęła na siostrę Portress, która o mało nie pękła z przejęcia całą sytuacją, i weszła do środka.

Milord Giscard miał czas na wszystko: na jedzenie, odpoczynek i na umycie się, jeśli tylko chciał. Skorzystał ze wszystkich trzech możliwości, podczas gdy my czekałyśmy, a ja pragnęłam bardziej niż kiedykolwiek mieć czas na zmianę sukni. Staralam się oczyścić tę, którą miałam na sobie, a jedna z siostr pożyczyla mi czystą chustę. Gdy go wprowadzono, wyglądałam tak reprezentacyjnie, jak to było możliwe.

Gabinet Mère Adele był imponujący: długi i szeroki, o sklepionym suficie, pomalowany, złożony i ozdobiony płaskorzeźbami, z wielkim kominkiem na końcu. Nie było to jej ulubione miejsce pracy; tamto znajdowało się w małej alkowie przy jej celi. Było nagie i skromne, tak wolne od pretensjonalności, jak sama przeorysza. Ten pokój służył do onieśmiania nieznanomych, a także — jeśli zaszła konieczność — także przyjaciół. Ledwo wiedziałam, co zrobić z krzesłem, w którym mnie usadziła, wielkim, rzeźbionym, wyściełanym czymś, co na pewno było jedwabiem — niezwykle miękkim, jak uszko kociątka. Przynajmniej pozwoliło mi to na schowanie stóp, czego żałowałam, gdy

tylko służący wprowadził milorda i musiałam wyplątać się i wstać, próbując się uklonić i nie przewrócić przy tym. Lys i Mère Adele usiadły, kiedy usiadł milord, co oznaczało, że ja też mogę, więc usiadłam, tym razem sztywno wyprostowana.

On nie był skrepowany. Znał krzesła i złocone sufity. Uśmiechnął się do mnie — nie mogłam się pomylić: siedziałam z boku, więc musiał się trochę obrócić. Czułam gorąco na policzkach.

— Tę panią znam — powiedział, odwracając ode mnie wzrok i kierując go na Lys. — Tyś kto, czcigodna przeoryszo? I ta urocza ptaszyna?

No cóż, pomyślałam. Uleczyło to mój rumieniec. Nie byłam urocza, jakkolwiek by mnie zwać.

— Jestem Mère Adele — powiedziała Mère Adele. — A to jest Jeanette Lacos z Sency. Tyś jest Giscard de Montsalvant z odległej części Normandii i mówisz, że masz prawo do naszego gościa?

To go odpowiednio zaskoczyło. Być może nie był przyzwyczajony do takiej bezpośredniości na dworach, skąd pochodził. Ale miał bystry umysł i towarzyszący mu gładki język.

— Nie bardziej jest to moim prawem, niż rzekłem. Była kochanką mojego brata. Nosi w sobie jego dziecko. Chciał je uznać, zobowiązał mnie, zanim umarł, do uczynienia dla dobra dziecka wszystkiego, co będę mógł.

— Dla bękarta? — zapytała Mère Adele. — Myślę, że powinieneś być zadowolony z tego, że jej więcej nie zobaczysz. Czyż twój brat nie był od ciebie starszy? I czyż dziecko nie byłoby jego dziedzicem, jeśli byłby to chłopiec, a ona była żoną?

— Nigdy go nie poślubiła — powiedział milord Giscard. — Była wystarczająco szlachetnie urodzona, jak mówiła, lecz została wygnana i nie miała żadnego posagu.

— Zatem jest to jeszcze jeden powód, by pozwolić jej odejść. Dlaczego ją ścigasz? Jak mówisz, nie jest złodziejką. Cóż takiego ona ma, czego tak bardzo pragniesz?

Spojrzał w dół na swoje stopy w pięknych, miękkich butach. Może się przeliczył. Mój brzuch napiął się, gdy na niego popatrzyłam. Tacy mężczyźni jak on — wielkie piękne zwierzęta, które nie zaznały nawet chwili pragnienia lub głodu oprócz tego, który sobie sami wybrali w wojnie lub w pościgu; którym nigdy nie pokrzyżowano szyków i którzy nie wiedzieliby, co zrobić, gdyby tak się stało — tacy mężczyźni byli niebezpieczni. Jeden z nich spotkał mnie w Lesie, zanim poślubiłam Claudela. I dlatego Celine była jasnowłosym dzieckiem, tak jak Norman, który ją spłodził. Norman bardzo podobny do tego tutaj, tylko nie tak przystojny. Na swój sposób był

delikatny. Ale chciał mnie, a jeśli czegoś chciał, to zawsze to osiągał. Nigdy nie zapytał mnie o imię. Ja o jego też nie.

Ten tutaj zapytał. Zmiękczyło to moje serce, bardziej, niż chciałam przyznać. Oczywiście, nie dbałam o to. Chciał poznać swoich przeciwników, to wszystko. Jeśli nas dwoje znalazłoby się wśród drzew, a w nim zagotowałyby się krew, imiona nie znaczyłyby nic.

Lys przemówiła, aż się wzdrygnęłam. Pogrążyłam się w myślach.

— On chce mnie — powiedziała. — W jakiś sposób dla mojego piękna. Więcej z powodu tego, co myśli, że mu dam.

Milord Giscard uśmiechnął się swoim spokojnym uśmiechem.

— Zatem kusisz mnie. Nie zgrzeszyłem jak dotąd pożądaniem kobiety mojego brata. To kazirodztwo zakazane przez święty Kościół. — Przeżegnał się pobożnie. — Nie, Mère Adele, może być piękna, lecz przysięgłem bratu.

— Przysięgłeś, że pozwolisz mi odejść — powiedziała Lys.

— Biedna pani — powiedział. — Odchodziłaś od zmysłów z żalu. Cóż mogłem zrobić, jak nie potakiwać wszystkiemu, co powiedziałaś? Błagam o wybaczenie tego kłamstwa, naprawdę sądziłem, że było ono konieczne. Nigdy nie chciałem cię wyrzucać.

— Nigdy nie chciałeś mnie uwolnić.

— Czy aż tak go nienawidzisz? — spytała Mère Adele.

Lys spojrzała na nią, potem na niego. Wciąż się uśmiechał. Piękny, ach, jakże piękny, ze słońcem igrającym w jasnych włosach i o białych, jaśniejszych zębach.

— Aymeric nigdy nie był tak piękny — powiedziała Lys. — Całe piękno zostało dane bratu.

On zaś był małym, zabioustym, krzywonogim mężczyzną, smagłym jak Saracen. Miał słabe oczy i zęby i nic w nim nie było pięknego. Oprócz — dodała — jego samego. Mógł wejść do pokoju i ktoś pomyślałby: „Co za brzydki, mały człowieczek!” A wtedy on się uśmiechał i nic więcej na świecie się nie liczyło oprócz tego, że był szczęśliwy. Wszyscy go kochali. Nawet wrogowie —

nienawidzili go ze szczerym szacunkiem i głęboko podziwiali. Ja byłam jego wrogiem, na początku. Byłam trudną i okrutną istotą, dobrowolnie wygnaną z mojego kraju, z przysięgą złożoną samej sobie, że poradzę sobie w tym świecie, całkiem sama i bez towarzysza. On — on chciał mnie chronić. „Jesteś kobietą” — mówił. Jak gdyby był to jedyny ważny powód.

Nienawidziłam go za to. Był taki pewny, taki nieznośny, zwykleszy śmiertelnik, niż ja kiedykolwiek byłam. Lecz nie wykorzystał tego, co mogłabym zrobić, a ja w końcu tak jak reszta znalazłam się pod jego urokiem.

— Albo on pod twoim — powiedział milord Giscard. — Od chwili, gdy cię ujrzał, był jak zaczarowany.

To moja twarz — odrzekła Lys — i nic więcej. Reszta przyszła wtedy, gdy mu się opierałam.

Kochał walkę, o tak, ten Aymeric. Nigdy się nie poddaliśmy, żadne z nas. Do dnia jego śmierci on był zdecydowany mnie chronić, a ja mu się opierać.

Milord Giscard uśmiechnął się triumfalnie.

— Widzicie! — powiedział do Mère Adele. — Dotąd się opiera. A czyż nie jestem teraz jej jedynym krewnym? Czyż mój brat powierzył jej mojej pieczy? Czyż nie powinienem wypełnić obietnicy złożonej, gdy umierał?

— Ona nie chce, byś ją wypełniał — powiedziała Mère Adele.

— Ach — powiedział milord Giscard. — Kobiety — wiesz, jakie one są. Oszalała z żalu. I tak naprawdę, to powinna. Ale powinna też myśleć o dziecku i o woli jej kochanka. On nigdy by nie pozwolił na to, by się włóczyła pieszo wzdłuż i wszerz Normandii, szukając Bóg wie czego.

— Szukając moich ludzi — odparła Lys. — Mam takich, Giscardzie. Jeden z nich jest nawet królem.

— Jakim, z bajki? — Giscard potrząsnął głową. — Mère Adele, jeśli w to uwierzysz... ona opowiada, że jest córką króla elfów.

— Jestem córką jego brata — powiedziała Lys. I wyglądała na nią, ze swoją białą, dziką twarzą. — Nie możesz ich zaszokować tym, Giscardzie, ani udowodnić, że jestem szalona. Oni wiedzą. Żyją na skraju Lasu.

Pochylił się ku niej na krześle. Cała jasność zniknęła, cała pozorna, fałszywa słodycz. Był teraz twardy, zimny i okrutny jak ona.

— Więc — powiedział. — Więc, Alys, powiedz im resztę. Powiedz, co zrobiłaś, że mój brat tak cię pokochał.

— Co takiego, że byłam jego dziwką?

Popatrzyłam na nią i zadrżałam. Nie, nie mogła być aż tak twarda ani tak zimna, ani tak okrutna. Był człowiekiem. Ona...

Zaśmiała się. — Powinno być to oczywiste, nawet dla ślepego. One nie są przecież ani ślepcami, ani mężczyznami, ani głupcami.

— Czy wiedzą, czym jeszcze jesteś? — Stał prawie nad nią. — Czy wiedzą to?

— Nie mogły tego uniknąć, wiedząc, czyją jestem krewną — odrzekła.

— Jeśli ci wierzą. Jeśli tylko nie pobłazają szalonej kobiecie.

— Wierzmy jej — powiedziała Mère Adele. — Czy tego chcesz? Spalić ją jako wiedźmę?

— Przeżegnał się. — Święci Pańscy, nie!

— Nie — powiedziała Lys. — Chce mnie wykorzystać. Z powodu tego, czym, jak myśli, jestem. Z



powodu tego, co, jak wierzy, mogę uczynić.

— Z powodu tego, co możesz zrobić — powiedział. — Widziałem cię. Na wzgórzu, nocą, z gwiazdami we włosach. Tańczyłaś, a księżyc zszedł i tańczył wraz z tobą. A on patrzył i klaskał w dłonie jak dziecko. — Jego twarz skrzywiła się. — Ja nigdy nie byłbym tak ufny. Władałbym tobą jak mieczem.

Lys nie mogła wyrzec ani słowa. Mère Adele przemówiła sucho w ciszy.

— Rozumiem — powiedziała — dlaczego ona nie chce wyrazić zgody. Kobiety są wystarczająco przekłete przez naturę, słabe i wątle, jak mówią wszyscy mędrcy, i uczynione, jak się mówi, dla pożytku mężczyzny — i prawie niczego więcej. Czasami niezbyt chcą się z tym pogodzić. To ich wada, jestem tego pewna.

— Ale wada, którą można usunąć — odparł milord Giscard. — Silna ręka trzymająca wodze, bodzenie ostrogą, ale też odrobina delikatności. Tego właśnie potrzebuje taka kobieta.

— To dobre dla klaczy — powiedziała Mère Adele. Wstała. Nigdy jeszcze nie widziałam jej takiej jak wtedy, zarówno mniejszej, jak i większej, niż była w rzeczywistości. Mniejszej, bo przecież była tak potężnej postury. Większej, bo zdołała, w taki lub inny sposób, stanąć tak, by nad nim górować. — Przemyślmy to, co nam powie działaś. Tymczasem zapraszamy do skorzystania z gościnności naszego klasztoru. Prosimy, jeśli łaska, o powstrzymanie się od wizyt w mieście. Panowała tam choroba i nie całkiem jeszcze odeszła.

Zgodził się ochoczo — tak ochoczo, że niemal się roześmiałam. Nie musiał wiedzieć, że była to jesienna gorączka trapiąca dzieci, nic co by mogło zagrozić komukolwiek prócz najsłabszych.

Tego roku „choroba” oznaczała zbyt wyraźnie „Śmierć”.

— To go powstrzyma na jakiś czas — powiedziała Mère Adele, gdy byliśmy znów bezpieczne wewnątrz murów Sency, w moim domu pokrytym nową strzechą. Ludzie tłumnie idący za nami, podnosili jego brzeg i zaglądali do środka, ale nie obawiałam się tego. Większość z nich była teraz w domach, jedząc obiad, albo w karczmie go wypijając.

Skończyliśmy jeść nasz posiłek, który był obfity dzięki kawałkowi baraniny z klasztoru.

Twarcz Perrina błyszczała od tłuszczu. Nawet Francha zjadła nieco, ilość, która utrzymałaby przy życiu ptaszka. Zwinęła się na łonie swej damy z kciukiem w ustach i zdrzemnęła się, podczas gdy my rozważaliśmy, co dalej zrobić.

— Nie przyjdzie tam, gdzie panuje choroba — rzekła Mère Adele. — Ale wątpię, że odejdzie.

Strasznie chce cię dostać.

Usta Lys skrzywiły się.

— Chce mojej magii. Nic więcej i nic mniej. Jeśli do tego byłoby dołączone moje ciało — nie sprzeciwiałby się. Głównie jednak chce mojej mocy lub też moc jest tym, co mu się we mnie podoba.

— Dlaczego? — zapytałam — Żeby stać się panem Normandii?

— O nie — powiedziała Lys. — Nigdy nie sięgnąłby tak wysoko. Żeby być lepszym panem w Montsalvant. Tylko to. Gdyby później zechciał więcej — jeśli jego anioł stróż powołałby go ku większej chwale — to wtedy, cóż, czy byłoby mądrze odmawiać?

— Spłonąłby za to — powiedziała Mère Adele. — A ty wraz z nim. Niezbyt delikatnie obchodzą się teraz z wiedźmami.

— A czy kiedykolwiek tak było? — Lys czesała włosy Franchy palcami, wygładzając splątane pasma. — Jeszcze gorzej jest na południu, w Provence, gdzie Inkwizycja wciąż poluje na heretyków. Ale północ jest niewiele bardziej gościnna dla takich jak ja.

— My jesteśmy mieszkańcami północy — powiedziałam. Zerknęła na mnie: dotknięcie ostrza noża.

— Mieszkacie na skraju Lasu. To was zmienia.

Wzruszyłam ramionami.

— Nie czuję się inna. Czy opowieści są prawdziwe? Czy to prawda, że twój król był kiedyś śmiertelny, w zachodnim królestwie?

— Nigdy nie był śmiertelnikiem — odparła. — Był królem śmiertelników, o tak, przez sto lat i więcej. Ale w końcu odszedł. Nie było to miłosierne wobec jego ludzi, być rządzonym przez kogoś, kto nie może się ani zestarzeć, ani umrzeć.

— Wobec niego też — dodała Mère Adele — patrzeć, jak starzeją się i umierają. — A gdy Lys na nią popatrzyła szeroko otwartymi, zdumionymi oczami wyjaśniła: — Nie jestem mądrzejsza, niż powinnam. Czytałam księgę, to wszystko. Chciałam wiedzieć, jakie to były opowieści. Przysiągł, jak powiadają, że pójdzie między drzewa i nigdy nie wyjdzie; nie w tej epoce.

— Ani on — gorzko powiedziała Lys — ani nikt, kto wszedł wraz z nim, ani nikt, kto się później urodził. To szersze królestwo, niż możecie sobie wyobrazić, a ten świat jest jedynie jego rąbkiem, i wciąż jest więzieniem. Chciałam zakosztować tutejszego powietrza, słońca, ziemi.

Jego przysięga — złożona zanim się urodziłam — zakazała mi nawet o tym myśleć.

— A więc, oczywiście, o tym myślałaś — westchnęła Mère Adele. — Młodzi nigdy się nie zmieniają.

— Tak właśnie powiedział — rzekła Lys tak spięta z gniewu, że ledwo ją słyszałam. —

Dokładnie te słowa.

— Pozwolił ci odejść.

— Jakże by mógł mnie powstrzymać? Wiedział, co się stanie. Że ściany zamkną się, gdy tylko je otworzę. Że nie będzie powrotu.

— Chciałaś wrócić?

— Wtedy nie. Teraz... — Jej palce zacisnęły się na lokach Franchy. Ostrożnie je rozprostowała. — To nie jest świat dla takich jak ja. Ten świat mnie nienawidzi lub się mnie boi, albo wszystko razem. Nie widzi we mnie nic prócz czegoś nadającego się jedynie do spalenia.

Nawet wy, którzy mnie przyjęliście i ośmieliliście się mnie polubić — wiecie, jak za to możecie cierpieć. I będziecie cierpieć, choć jesteście wystarczająco odważni. Ale w końcu mnie znienawidzicie.

— Może — powiedziała Mère Adele. — Najprawdopodobniej nie. Wątpię, żebyś była tu na tyle długo.

— Nie wrócę do Montsalvant — rzekła Lys, a każde słowo było twarde jak kamień.

— Możesz nie mieć wyboru — odparła Mère Adele. — Jeśli nie wymyślisz, jak się pozbyć milorda. Możemy go trochę przetrzymać, ale ma zbrojnych i konie. A my nie.

Lys pochyliła głowę.

— Wiem — powiedziała. — Och, wiem.

— Wiesz za dużo — powiedziałam. Nagle wpadłam w gniew; miałam dosyć tej rozmowy. —

Dlaczego nie przestaniesz „wiedzieć” i czegoś nie zrobisz? Tam jest dwudziestu mężczyzn, a przewodzi im mężczyzna, który chce trzymać wiedźmę jak zwierzątko domowe. Albo mu się teraz poddaj, zanim kogoś zabije, albo wymyśl coś, żeby sobie poszedł. Możesz, jak powiedział, sprowadzić na ziemię księżyc. Dlaczego nie błyskawicę?

— Nie mogę zabić — powiedziała Lys tak przerażona, że musiała to być prawda. — Nie mogę zabić.

— Mówiłaś to już wcześniej — odparłam. — Tyle jest zatem warta cała ta twoja magia?

Podnieść ręce i poddać się, i dziękować Bogu, że nie użyjesz tego, co On ci dał?

— Jeśli to On to dał — rzekła. — Nie ten Inny.

— To herezja — powiedziała Mère Adele, ale tak, jakby o to nie dbała. — Sądzę, że powinnaś teraz trochę pomyśleć. Odgrywanie dobrej chrześcijanki doprowadziło cię do obecnej sytuacji.

Zabierze ciebie i dziecko. Bądź tego pewna. A my drogo zapłacimy za gościnę.

Lys wstała z Franchą śpiącą mocno w jej ramionach. Położyła dziecko na łóżku, starannie je przykryła i pocałowała. Potem się obróciła.

— Bardzo dobrze — powiedziała. — Poddam się. Pozwolę mu się zabrać do Montsalvant.

Mère Adele wstała tak szybko i tak nagle ruszyła, że nie widziałam, co zrobiła, zanim nie usłyszałam kłaśnięcia.

Lys stała z ręką przy policzku. Widziałam wykwitający na białej skórze czerwony ślad.

Wyglądała na całkowicie zszokowaną.

— Czy tylko to potrafisz? — warknęła na nią Mère Adele. — Chować się, kulić i jęczeć, hałaśliwie zapewniać o odwecie i poddawać się, gdy tylko pojawi się zagrożenie?

— Co więcej mogę zrobić? — odwarknęła Lys.

— Pomyśl — powiedziała Mère Adele. I wyszła.

To była bardzo cicha noc. Zaskoczyłam samą siebie: zasnęłam. Byłam jeszcze bardziej zdziwiona, gdy obudziłam się rano i zobaczyłam, że Lys wciąż tu jest. Siedziała przy ogniu, gdy poszłam spać. Wciąż tam siedziała, lecz ogień był teraz przykryty, a jej kolana przyciśnięte do boków wielkiego brzucha. Kołysała się w tył i w przód, w tył i w przód.

Przyszła do siebie wystarczająco szybko, jak tylko podeszłam, by odkryć ogień. Wypełniła poranne obowiązki, których sama się podjęła, i wydawała się taka sama jak zwykle. Jednak widziałam przez chwilę ślady łez na jej twarzy, zanim wstała, by przygotować posiłek.

Gdy się rozprostowała, trzymając ręce na krzyżu, jak każda ciężarna kobieta, poczynając od matki Ewy, usłyszałam, jak mówi:

— Idę do klasztoru.

Poszłam z nią. To był szary poranek, zimne powietrze kąsało. Tym razem miałam na sobie odświętną suknię, najlepszą chustę i wełniany płaszcz Claudela. Była to w pewien sposób broń.

Lys miała swoje piękno i moją niebieską opończę, którą utkałam na swój ślub. Potrafiła w pewien sposób wyglądać prawie zwyczajnie — jak jedna z nas. Miała blask — jak mówiła Mère Adele. Ale nie dzisiejszego poranka. Wyglądała nie bardziej ludzko niż anioł na ołtarzu.

Milord Giscard spotkał nas w pewnym oddaleniu od klasztoru. Siedział na swym wielkim wierzchowcu, a za nim stała grupka jego ludzi. Uśmiechnął się do nas.

— Piękny dzień pięknym paniom. — powiedział.

Nie uśmiechnęłyśmy się w odpowiedzi. Lys szła dalej, jak gdyby go tam nie było. Ja byłam bardziej nieufna i to było głupie: zobaczył, że na niego patrzę i skierował na mnie cały swój urok.

— Czy pojedziesz ze mną, Jeanette Laclos? To niedaleko, wiem, ale Flambard będzie zadowolony, że może cię nieść.

Utkwiłam oczy w Lys i przyspieszyłam kroku. Czerwony koń szedł u mojego boku. Nie spoglądałam w górę, choć bolał mnie kark. W jedną chwilę — tylko jedną chwilę — mógłby mnie podnieść i przerzucić przez siodło.

— Och, nie bądź taka uparta — powiedział swym lekkim, książęcym głosem. — Nie jestem aż taki zły. Jeśli mi się podobasz, a jesteś godna zainteresowania, cóż mogę ci innego zrobić, niż być dla ciebie dobrym? Czyż nie chciałabyś mieszkać w pięknym domu i okrywać się jedwabiem?

— I rodzić twoje bękarty? — zapytałam, wciąż nie patrząc. — Dziękuję, nie. Pozostawiłam to sześć lat temu Lent.

— Zaśmiał się. — Piękna, a jaka bystra! Jesteś klejnotem w tej kupie gnoju.

Zatrzymałam się.

— Sency nie jest kupą gnoju!

Byłam wystarczająco wściekła, by ośmielić się spojrzeć. On nie był wcale rozgniewany.

Uśmiechał się szeroko.

— Lubię kobiety z charakterem — powiedział.

Jego koń, właśnie wtedy, wyciągnął szyję i próbował mnie ugryźć. Uderzyłam go tak mocno, jak tylko mogłam. Obrócił się, spłoszony, a jego pan zaklął. Pozwoliłam sobie na śmiech, zanim powitałam siostrę Portress.

— Wrócę z tobą — powiedziała Lys.

Byliśmy w gabinecie Mère Adele, cała nasza czwórka. Tym razem milordowi towarzyszył

jego giermek, czy w celu strzeżenia go, czy też bycia świadkiem, nie wiem. Mężczyzna stał za krzesłem swego pana i obserwował nas milcząco, ale widać było, co o nas myślał. Byłyśmy zwykłymi słabymi kobietami. Nigdy nie sprzeciwiłybyśmy się jego panu.

Lys siedziała z rękami pod wystającym brzuchem, splatając je i rozplatając.

— Przemyślałam to — powiedziała. — Nic więcej nie mogę zrobić. Dam ci to, co chcesz.

Wrócę do Montsalvat.

Otworzyłam usta. Ale nie było tu miejsca na moje słowa. Milord Giscard był wyraźnie zadowolony. Mère Adele miała twarz bez wyrazu.

— Czy naprawdę tego chcesz? — zapytała.

— Tak — odparła Lys.

Milord Giscard przywdział najcieplejszą, najśłodszą twarz.

— Zobaczę, czy nie będziesz tego żałować — powiedział.

Lys podniosła na niego oczy. Swe prawdziwe oczy, nie te, które chcieli widzieć ludzie.

Słyszałam, jak Giscard z sykiem wciąga powietrze.

— Tak, wrócę z tobą — powiedziała. — Będę twoją wiedźmą. Może też twoją kochanicą, gdy już urodzi się moja córka, jeśli będziesz mnie miał. Jestem w końcu banitką i nędzarką i nie mam żadnego krewnego na tym świecie.

Jego radość szybko blakła. Moja jeszcze się nie wzbudziła. Ale Lys nie poddała się.

Widziałam to w jej twarzy, w dzikim uśmiechu.

— Lecz zanim odejdę — mówiła — lub zanim mnie przyjmiesz, powinieneś wiedzieć, co sobie bierzesz.

— Wiem — powiedział odrobinę ostro. — Jesteś wiedźmą. Nie zestarzejesz się ani nie utracisz swego piękna. Ogień jest twoim sługą. Gwiazdy upadają, gdy je wezwiesz.

— Mężczyźni także — odparła — jeśli tego sobie zażyczę. Przez chwilę widziałam nagą chciwość. Ukrył ją tak jak dzieci uczone są ją ukrywać.

— Zobaczę, co będzie.

Aymeric powiedział mi to.

— Naprawdę? — Lys uniosła brew. — Obiecał mi, że nie powie.

— Wyciągnąłem to z niego — powiedział milord Giscard. — Resztę odgadłem po usłyszeniu paru rzeczy.

— Nigdy nie był dobry w ukrywaniu niczego — powiedziała Lys. — Tak, mam ten dar.

— Wielki — rzekł — i straszny.

— Masz wystarczająco dużo rozumu, by to pojąć — odparła Lys. — Albo tylko tak sobie wyobrażasz. — Podniosła się. Giermek wzdrygnął się. Milord Giscard siedział nieruchomo, ale jego oczy zwęziły się. Lys podeszła i stanęła przed nim. Jej dłonie spoczywały na wypukłości brzucha, jak gdyby go chroniąc. — Dobijmy targu, mój panie. Zgodziłam się dostosować do twojej woli. Ale zanim mnie zabierzesz, pozwól odczytać mi swą przyszłość. Wtedy, jeśli wciąż będziesz pewien, że zapewnię ci dobrobyt, możesz mnie mieć i zrobić ze mną, co zechcesz.

Ujrzał w tym pułapkę. Ja też, a nie byłam szlachecką córką.

— Doskonały targ — rzekł — gdy wszystko, czego chcesz, to przepowiedzieć moją śmierć i tym sposobem pozbyć się mnie.

— Nie — odparła. — To nie twoją śmierć widzę. Powiem ci prawdę, Giscardzie. Przysięgam.

— Na krzyż — powiedział.

Położyła rękę na krzyżu Mère Adele i przysięgła. Mère Adele nie powiedziała nic. Czekwała, tak jak ja, co zrobi Lys.

Ona zaś przeżegnała się. Jej usta poruszały się, szepcząc coś, co mogło być jedynie modlitwą.

Później uklękła przed Giscardem i wzięła jego dłoń w swoje. Ujrzałam, jak przez chwilę zeszywniał, jak gdyby miał się wyrwać. Przytrzymała jego dłoń. Rozluźnił się. Spojrzała mu w oczy. Ponownie drgnął, jakby się wzbraniał, ale ona nie puściła.

Moje ręce zacisnęły się w pięści. Serce mi waliło. Nie było błyskawic ani obłoków siarki.

Tylko szczupła postać z wielkim brzuchem w mojej błękitnej opończy i miękkiej, niski głos.

Odczytała jego przyszłość. Jak odjedzie z Sency, a ona za nim. Jak wrócą do Rouen. Jak szaleje tam wojna i jak szaleć będzie przez niezliczone lata. Jak powróci Śmierć, a później powróci jeszcze raz. Jak będzie walczył w wojnie, przeżyje Śmierć i okryje się wielką chwałą, mając ją u swego boku: zawsze młodą, zawsze piękną, zawsze czuwającą dla jego dobra.

— Zawsze — powiedziała. — Zawsze będę z tobą, czuwając bez snu, w wojnie i w pokoju, w twym sercu i umyśle, dusza twej duszy, nierozzerwalna część ciebie. Każdy twój oddech, każda myśl, każdy widok ujrany twoimi oczami — wszystko to będzie moje. Będiesz cnotliwy, Giscardzie, oprócz chwil spędzonych ze mną. Bezgrzeszny, oprócz miłości ze mną. Tacy byliśmy, Aymeric i ja, doskonali w miłości i przyjaźni. I tacy będziemy my dwoje.

Przez dłuższy czas po tym, jak przestała mówić, nikt z nas się nie poruszył. Usta milorda Giscarda były otwarte. Gapił się, mogłabym tak powiedzieć, gdyby był to mniej urodziwy mężczyzna.

Lys uśmiechnęła się z przerażającą łagodnością.

— Czy weźmiesz mnie, Giscardzie? Czy przyjmiesz chwałę, którą mogę ci dać?

Szarpnął się, by uwolnić od jej dłoni. Machnięcie jego ramion sprawiło, że rozciągnęła się na podłodze jak długi.

Skoczyłam ku niemu, okręciłam się i opadłam przy niej. Zgięła się wpół i niemal zwinęła w supeł.

Śmiała się. Śmiała się jak szalona. Śmiała się, aż zaczęła łkać.

Gdy przestała, jego już nie było. Leżała wyczerpana w moich ramionach. Moja suknia była przemoczona jej łzami.

— Czy mogłabyś naprawdę to zrobić?

Skinęła głową. Usiadła z wysiłkiem. Pomogłam jej, podałam swoją chustę, żeby wytarła sobie twarz.

— Mogę to zrobić także tobie — powiedziała. Jej głos brzmiał surowo. — Słyszę wszystko, widzę, czuję każdą myśl w każdej głowie. Każdą nadzieję, marzenie, miłość, nienawiść, strach, szaleństwo — wszystko. — Złapała się za głowę. — Wszystko!

Trzymałam ją i kołysałam. Nie wiem dlaczego, ale nie bałam się. Przypuszczam, że za daleko wszystko zaszło. A ona mieszkała z nami od Świętego Michała. Jeśli cokolwiek byłoby jeszcze przed nią do ukrycia, to było to ukryte tak głęboko, że nie sposób tego odnaleźć.

Znów płakała, głębokim, rozdzierającym szlochem.

— Byłam najlepsza, tak mówił ojciec. Ze wszystkich w Lesie najsilniej się broniłam, najwyraźniej widziałam, w jaki sposób zostały wzniesione ściany i jak je zburzyć. Nikt z nas nie był lepiej stworzony do towarzyszenia ludziom. Więc przeciwstawiłam się im wszystkim, obaliłam zakaz i wyszłam z Lasu. I potrafiłam to zrobić. Mogłam żyć jak ludzie. Ale nie mogłam umrzeć jak oni. Nie mogłam. — Jej głos zamienił się w zawodzenie. — Chciałam umrzeć z Aymericem. A nawet nie mogłam się zarazić!

— Och, cicho już. — Mère Adele stała nad nami z rękoma na biodrach. Wyszła, gdy uciekł

Giscard, teraz wróciła, schludna jak zwykle i bez cienia respektu wobec kobiety z Lasu. — Jeśli chciałaś rzucić się do grobu za kochankiem, to znalazłabyś na to sposób. W zabijaniu siebie, tak jak w zabijaniu innych, nie ma żadnego „nie mogę”. Tylko „nie zrobię tego” i potem „pożałujcie mnie”.

Lys mogła ją wtedy zabić. O, z łatwością. Ale byłam wdzięczna temu, co ją powstrzymało, cokolwiek to było: „nie mogę”, „nie zrobię” czy też zwykłe zdumienie.

Wstała, po raz pierwszy odkąd ją poznałam, prawie bez wdzięku. Nawet jej piękno zbladło i prawie zniknęło. Była zbyt chuda, zbyt surowa i zbyt dziwna.

Mère Adele obserwowała ją z całkowitym brakiem współczucia.

— Odrzuciłaś jego majątek i szlachectwo — powiedziała — i zrobiłaś to naprawdę zrećźnie.

Prędzej zajrzy do piekła, niż wróci do Sency. Wiesz, jak przypuszczam, czy poprzysiągł sprowadzić na nas Inkwizycję i spalić nas za to, co mu zrobiłaś?

— Nie — odparła Lys. — Nie robi tego. Zapewniłam to.

— Ty — zapewniłaś to?

Nawet Lys bladła w obliczu gniewu Mère Adele. Uniosła dłonie ku twarzy, potem pozwoliła im opaść.



— Sprawiałam, że nie zrobi nic więcej ponad to, do czego został najlepiej stworzony.

— Sprawiałaś.

— Wolałabyś, żeby wrócił ze swoim mieczem i ogniem?

Przez chwilę mierzyły się wzrokiem, same jak ogień i miecz.

Mère Adele potrząsnęła głową i westchnęła.

— Stało się. Nie mogę powiedzieć, że chcę, by się odstało. Za tę niedoskonałość drogo zapłacę, pokutując. Ty... może już zapłaci łaś. Nigdy nie powinnaś opuszczać Lasu.

— Nie — powiedziała Lys. — Wcale tak nie myślę. Ale za długo tu pozostałam — o tak. —

Mère Adele odrobinę drgnęła. Lys uśmiechnęła się wąskim, zimnym uśmiechem. — Nie, nie jestem w twoim umyśle. Wypisane masz to na twarzy. Chcesz, żebym odeszła.

— Nie, żebyś stąd odeszła — odparła Mère Adele. — Chcę, żebyś wróciła do domu.

Lys zamknęła oczy.

— Święci Pańscy, być w domu, żyć znowu w otoczeniu tych ścian, być tym, czym jestem, wszystkim, czym jestem — tam, gdzie są moi ludzie. — Jej oddech drżał, gdy wdychała powietrze. — Myślisz, że nie próbowałam? Dlatego tu przyszłam. Żeby znaleźć drzwi. Zburzyć je. Wrócić.

— Nie próbowałaś wystarczająco mocno — powiedziała Mère Adele. — Znów „nie zrobię”.

Zawsze „nie zrobię”.

— To nie moje „nie zrobię” — odrzekła Lys. — To mojego króla.

— Twoje — odparła Mère Adele nieporuszona. — Też umiem czytać w twarzach. Wszyscy są tacy uparci, tam skąd pochodzisz?

— Nie — powiedziała Lys. Otworzyła oczy i wyprostowała się. — Niektórzy są jeszcze gorsi.

— Wątpię — odrzekła Mère Adele. — Jesteś tu mile widziana. Nigdy nie myśl, że jest inaczej. Ale to nie twój świat. Nie jesteśmy twoimi ziomkami. Sama tak powiedziałaś. Kochasz nas, a my umiemy rami na twoich oczach.

— Nic nie możecie na to poradzić.

Mère Adele zaśmiała się, co zdumiało Lys.

— Idź, dziecko. Idź do domu. Nie jesteśmy dla ciebie lepsi, niż ty jesteś dla nas.

Lys została śmiertelnie obrażona. Może była starsza od Mère Adele i szlachetniej urodzona, ale

trzymała język za zębami. Skłoniła głowę w głębokim szacunku, jeśli nawet niezbyt się z nią zgadzała.

### *III*

Las był chłodny w szarym, wieczornym świetle. Nie śpiewał żaden ptak i żaden podmuch nie poruszał gałęziami drzew.

Lys próbowała się wymknąć samotnie. Powinna lepiej wiedzieć. Tym razem to nie była moja wina, a przynajmniej nie całkowicie: poszłam za Franchą. Stałyśmy na ganku zrujnowanej kaplicy, Francha obejmując ją w talii, ja patrząc w jej twarz.

— Jeśli tylko ściany w ogóle mogą się otworzyć — powiedziała Lys, ostrożnie i zimno — to obecność was, śmiertelników, sprawi, że pozostaną zamknięte.

Słyszałam ją, ale nie słuchałam.

— Znów zostawisz Franchę?

Lys zmarszczyła brwi i spojrzała w dół na przytulone do niej dziecko.

— Nie może iść, nawet jeśli ja zdołam tam się dostać.

— Dlaczego nie?

— Jest człowiekiem.

— Nie może żyć na tym świecie — powiedziałam. — Ledwo żyła, gdy ty się zjawiałaś. Gdy odejdziesz, ona umrze.

— Nie wolno nam...

— Nie wolno wam odchodzić z lasu. Ale ty to zrobiłaś.

Lys otoczyła ramionami Franchę, jakby nie mogła się od tego powstrzymać. Wzięła ją na ręce i trzymała.

— O Boże! Gdybym tylko potrafiła być tą zimną istotą, którą udaję!

— Jesteś wystarczająco zimna — odparłam — i bez serca, jak kot. Ale nawet kot ma swoje słabe punkty.

Lys popatrzyła na mnie.

— Powinnaś być jedną z nas.

Zadrzałam. — Bogu dzięki, że mi tego oszczędził. — Zerknęłam na niebo. — Najlepiej będzie, jeśli

pójdiesz już teraz. Zanim się ściemni.

Lys mogła się spierać, ale nawet ona nie potrafiła powstrzymać słońca przed zejściem.

Myślałam, że wejdzie do kaplicy, ale nie zrobiła tego. Stała na zewnątrz, zwrócona w stronę lasu, wciąż trzymając Franchę. Między drzewami było już ciemno, podniosła się tam szara mgła, snując się między gałęziami.

Oczy Lys otworzyły się szeroko.

— Otworzyło się — powiedziała. — Ściany zniknęły. Ale...

— Przestań gadać — powiedziałam. Bolało mnie gardło. — Idź.

Pozostała ze mną.

— To pułapka. Albo oszustwo. Zakaz jest wyraźny, wie, po co został stworzony.

Francha zaczęła się wiercić w jej ramionach. Lys ją puściła. Francha ześliznęła się w dół, wciąż trzymając ją za rękę i ciągnąc ją ku Lasowi.

Popatrzyła w wielkie oczy, tak bardzo ludzkie, jak jej nigdy nie były.

— Nie, Francha. To pułapka.

Francha opuściła brodę, zgięła się i włożyła w wysiłek wypowiedzenia tego jednego, znaczącego słowa cały swój ciężar. Ten gest był głośny jak krzyk.

— Chodź!

— Idź — powiedziałam. — Skąd będziesz wiedzieć, że to nie pułapka, jeśli sama się o tym nie przekonasz? Idź!

Lys patrzyła na mnie z gniewem.

— Skąd ludzie mogą wiedzieć...

Wypowiedziałam słowo, które ją tak zaszokowało, że umilkła. Gdy drżała, ja ją pchałam, a Francha ciągnęła. Kierując ją ku temu, czego pragnęła najbardziej na świecie.

— Później będzie boleć. Teraz chciałam, żeby poszła. Zanim się poddam. Zanim pozwolę jej zostać.

Teraz już szła z własnej woli, chociaż bardzo wolno. Drzewa były już blisko. Czulałam zapach mgły: zimny i wilgotny, jak oddech zmarłego.

— Nie! — krzyknęła Lys, wyrywając rękę.

Wypląnęło z niej światło. Mgła zadrżała i uciekła. Drzewa wznosiły się nad nami wyżej niż zwykle,

śmiertelne drzewa: wielkie kolumny podtrzymujące złoty dach.

Światło skurczyło się. Drzewa były znów drzewami, ale ich liście nadal były bladozłote w świetle wieczoru. Wśród nich wiła się ledwo żarząca się ścieżka prowadząca w mrok. Nie pozostanie tu długo, czułam to. Zebrałam siły, by pociągnąć Lys wzdłuż dróżki. Bałam się nawet pomyśleć, co by się stało, jeśli zostałaby zamknięta, gdy wciąż na niej byłam.

Lys z własnej woli postawiła na ścieżce stopę. Zrobiła jeden krok, drugi, trzeci.

Obróciła się.

Wyciągnęła rękę. Odchodziła. Wygrałam. Teraz sama zaproponowała mi to, do wzięcia czego ją zmusiłam. Piękny kraj. Ludzi, którzy nie znali starzenia się, choroby ani śmierci. Ucieczkę.

Wolność.

Od czego? Zapytałam ją w głębi duszy. Zestarzałabym się niezależnie od miejsca pobytu.

— Niech Francha idzie — powiedziałam. — Może będziesz mogła ją uleczyć, może odzyska głos. Może nauczy się śpiewać.

Lys nie opuściła dłoni. Wiedziała, do diaska, wiedziała. Jak łatwo, z jaką przyjemnością mogłam to przyjąć. Zacisnęłam pięści na spódnicy.

— Urodziłam się na tym świecie. I tutaj umrę.

Francha puściła rękę Lys. Podbiegła do mnie i przytuliła się mocno. Ale nie po to, by się mnie trzymać. Nie po to, by zostać. Dokonała wyboru już w czasie żniw, na innym skraju Lasu.

Lys popatrzyła, jakby miała zamiar coś powiedzieć. Nie chciałam tego. Może mnie usłyszała albo po prostu zrozumiała, tak jak zwykli ludzie, gdy popatrzyła na moją twarz. Nie powiedziała nic. Tylko długo, długo patrzyła.

Ścieżka szybko blakła. Nagle odwróciła się, podniosła Franchę i zaczęła biec. W głąb Lasu, ku światłu, które prawie mogłam zobaczyć. Byli tam ludzie. Błazi książęta, blade królowe. Błady król, który wcale nie był zimny. Prawie... prawie widziałam jego szare oczy, śmiejące się do cudownie wracającej do domu, ale także do mnie, zwykłej śmiertelniczki samotnie stojącej obok zrujnowanej kaplicy.

Zaśmiałam się boleśnie. Lys miała na sobie moją ślubną opończę. Co powie Claudel, gdy wróci...

Jeśli wróci.

„Kiedy wróci”, zaszepotało w Lesie. Dar. Obietnica.

Odwróciłam się plecami do cieni i drzew i zwróciłam twarz ku domowi: ciepłu i światłu, głosom moich dzieci i Mamere Mondine śpiącej przy ogniu. Gdy szłam, nade mną, niby strażnik lub

przewodnik, czuwała pojedyncza biała gwiazda.

*Przełożyła Ewa Helińska*

## **O autorach**

### **Poul i Karen Anderson**

#### **Czas miary**

Poul i Karen Anderson wspólnie napisali kilka książek, między innymi *The Unicom Trade* i czteroczęściową sagę „*King of Ys*”. Sam Poul Anderson jest autorem ponad osiemdziesięciu powieści fantasy i science fiction, m.in. *Brain Wave*, *A Midsummer's Tempest* i *The Boat of Million Years*. Został siedmiokrotnie wyróżniony nagrodą Hugo, trzy razy — Nebulą, otrzymał

również nagrodę Gandalfa dla Mistrza Fantasy.

### **Peter S.Beagle**

#### **Naga**

Jeden z najbardziej cenionych współczesnych autorów powieści fantastycznych, autor romansu o duchach *A Fine and Private Place* oraz powieści przygodowej *Ostatni jednorożec*, które razem z opowiadaniem zostały włączone do tomu *The Fantasy Worlds of Peter S. Beagle*.

Jego najbardziej znane ostatnio książki to *Kryształy czasu* oraz *Pieśń oberżysty*. Jest również autorem scenariusza animowanej adaptacji filmowej *Władcy Pierścieni* zrealizowanej przez Ralpha Bakshi.

### **Gregory Benford**

#### **Rzeczna droga**

Astrofizyk Gregory Benford jest najbardziej znany ze swoich „twardych” książek sf, jak *Across the Sea of Stars* oraz nominowanej do nagrody Nebula *The Great Sky River*. W 1981 roku otrzymał nagrodę Johna W. Campbella, w tym samym roku został też nagrodzony Nebulą za powieść *Timescape*. Wraz z Davidem Brinem jest współtwórcą *The Heart of the Comet*, a ostatnio we współpracy z Arthurem C. Clarkiem napisał *Against the Fall of Night*.

### **John Brunner**

#### **W porze majenia studni**

Od 1959 roku John Brunner jest znany jako jeden z najbardziej proroczych autorów sf. W

swych książkach porusza takie problemy, jak przeludnienie (*Stand on Zanzibar*), katastrofy ekologiczne (*The Sheep Look Up*) oraz skutki upowszechnienia komputerów (*The Shockwave*

Rider). Zdobywca Hugo, British Fantasy Award i Prix Apollo. Jego opowiadania zebrano w książkach *Not Before Time*, *Foreign Constellations* oraz pięciotomowej serii „*The Compleat Traveller in Black*”.

## **Emma Bull**

### **Srebro czy złoto**

Jest współzałożycielką Minnesota Science Fiction Society, współwłaścicielką Steeldragon Press oraz — wspólnie z mężem, Willem Shetterleyem, wydawcą *Liavek*: — antologii sf. Sama napisała *War for the Oaks*, *Falcon* i ostatnio *Bone Dance*. Jej opowiadania ukazywały się w zbiorach *The Year's Best Fantasy and Horror* oraz *Bordertown*.

## **Charles de Lint**

### **Czarodziej**

Kanadyjczyk, który w 1984 roku otrzymał nagrodę Williama C. Crawforda jako najlepszy nowy pisarz fantasy; później wydał wysoko oceniane książki *Greenmantle*, *Svaha*, *Yarrow*, *Jack the Giant Killer* i jej kontynuację *Drink Down the Moon* oraz *The Linie Country* — powieść nawiązującą do jego zainteresowań muzyką celtycką. Jest autorem wielu opowiadań oraz stałym recenzentem w „*Mystery Scene*”; był również członkiem jury oceniających utwory nominowane do nagród World Fantasy, Bram Stoker oraz Nebula.

## **Stephen R. Donaldson**

### **Reave Sprawiedliwy**

Po czterdziestu siedmiu odmowach wydawców w 1977 roku Stephen R. Donaldson wydał

przełamującą schematy sagę „*Kroniki Thomasa Covenanta Niedowiarka*”, która zrewolucjonizowała rynek współczesnej powieści fantasy. Od tego czasu napisał trzy kolejne powieści o Thomasie Covenantie, dwutomową *Morant's Need*, opowiadania wydane w zbiorach *The Daughter of Regals and Other Tales* oraz pierwsze dwa tomy cyklu sf „*Skok w konflikt*” (*Skok w konflikt: Prawdziwa historia i Skok w wizję: Zakazana wiedza*). Donaldson otrzymał

nagrodę Johna W. Campbella. Obecnie pod pseudonimem Reed Stephens pisze powieści grozy.

## **Martin H. Greenberg**

### **redaktor**

Znany z wielu bestsellerowych antologii opowiadań sf i fantasy.

## **Karen Haber**

### **Pofruniemy**

Początkowo była podróżniczką i pisała książki dokumentalne. Później jej opowiadania ukazały się w zbiorach *Women of Darkness*, *Women of Darkness II* i *Full Spectrum 2*. Wraz z mężem Robertem Silverbergiem wydaje antologię *Universe* oraz napisała *The Mutant Season*, pierwszą część cyklu sf „*Fire in Winter*”.

## **Barry Malzberg**

### **Götterdämmerung**

Jeden z największych satyryków w sf, zdobywca pierwszej nagrody Johna W. Campbella za wydaną w 1972 roku powieść *Beyond Apollo*. Napisał 25 powieści i ponad 300 opowiadań, między innymi *Herovit's World*, *Gather in the Hall of Planets*, *Galaxies*, które razem ze zbiorem esejów i recenzji *The Engines of the Night* zawierają bardzo wnikliwą krytykę współczesnej sf.

## **Dennis L. McKiernan**

### **Dom Halflingów**

Inżynier elektryk, zatrudniony przez prywatną firmę badawczo–rozwojową, zaczął pisać w roku 1977 w czasie rekonwalescencji po wypadku samochodowym. Napisał m.in. trylogię *Iron Tower*, dwutomową powieść *The Silver Call*, a ostatnio *Dragon Doom*.

## **Patricia A. McKillip**

### **Bractwo smoka**

Swe pierwsze spotkanie z twórczością J.R.R. Tolkiena określiła jako „objawienie”. Za powieść *The Forgotten Beasts of Eld* zdobyła po raz pierwszy przyznaną nagrodę World Fantasy dla najlepszej powieści 1975 roku. Wkrótce potem powstała trylogia „*Mistrz zagadek*” (w skład której wchodzi nominowany do nagrody Hugo *Harpist in the Wind*), powieść sf *Fool's Run* oraz *Stepping from the Shadows*. Ostatnio wydała powieść *The Sorceress and the Cygnet*.

## **Andre Norton**

### **Dziewięć złotych nici**

Andre Norton, nagrodzona Nebulą dla Mistrza Fantasy, jest autorką ponad stu powieści łączących cechy sf i fantasy. Seria „Świat czarownic” wypełniła lukę pomiędzy fantastyką dla młodzieży i fantastyką dla dorosłych, a jej książki wywarły na literaturę fantastyczną największy wpływ od czasu Tolkiena. Jest autorką znanych powieści *Świt 2250*, *Prekursorka*, *Night of Masks*, serii „Janus” (m.in. *Zwycięstwo na Janusie*), „Dane Thorson”/»Królowa Słońca«, ( *Sargassowa planeta*, *Statek plag*, *Ostemplowane gwiazdy*, *Planeta Voodoo*) oraz

„*Holsteen Storm*” ( *Mistrz zwierząt*, *Władca gromu*), a także współautorką — z Robertem Blochem — *The Jekyll Legacy*.

## **Terry Pratchett**

### **Trollowy most**

Kiedy po sukcesie — zarówno wśród czytelników, jak i krytyków — serii o świecie Dysku Terry Pratchett mógł zrezygnować z pracy jako urzędnik, strata administracji okazała się zyskiem dla literatury fantazy. Powszechnie uznawany za jednego z najzabawniejszych autorów fantazy swymi powieściami ( *Kolor magii*, *Równoumagicznienie*, *Mort*, *Piramidy*, *Czarodzieielstwo*) oczarował czytelników na całym świecie. Z Neilem Gaimanem napisał *Dobry omen*, zabawną historię, która wydarzyła się na drodze do apokalipsy.

## **Mike Resnick**

### **Bunt Śliwkosłodkich Elfów**

W latach 1964–1976 Mikę Resnick napisał ponad 250 książek, z których większości teraz się wyrzeka. Jeden z najbardziej chwalonych autorów fantastyki ostatnich lat jest autorem powieści: *Santiago*, *Mroczna pani*, *Kły*, *Paradise* i doskonałej alternatywnej historii *Bully*. Jego nowela *Kirinyaga* zdobyła nagrodę Hugo w 1989 roku.

## **Elizabeth Ann Scarborough**

### **Smok z Tollin**

Swoje doświadczenia z wojny w Wietnamie, gdzie służyła jako pielęgniarka, zawarła w powieści *The Healer's War*, nagrodzonej Nebulą. Napisała również czteroczęściową komiczną fantazy „*The Songs from the Seashells Archives*” oraz *Phantom Banjo*, pierwszą część projektowanego cyklu „Songkiller”.

## **Robert Silverberg**

### **Nocne czuwanie w świątyni**

Robert Silverberg zdobył nagrodę Nebula pięć razy, co jest rekordem wśród autorów. Jego dorobek obejmuje takie cenione powieści, jak *Umierając żyjemy*, *Czas przemian*, *Sailing to Byzantium*, trylogię *Lord Valentine* ( *Zamek Lorda Valentine'a*, *Kroniki Majipooru*, *Valentine Pontifex*) oraz wykorzystującą wątki z mitologii sumeryjskiej *Gilgamesh the King*. Ostatnio wspólnie z Isaakiem Asimovem napisał książkę *Nastanie nocy*.

## **Judith Tarr**

### **Śmierć i dama**

Judith Tarr skończyła filologię klasyczną na Uniwersytecie Cambridge oraz zrobiła doktorat ze studiów średniowiecznych w Yale, co widać wyraźnie w trylogiach *Hound and the Falcon* oraz *Avaryan Rising*, bogatych w szczegóły historyczne. Swój talent do oddania atmosfery czasu i miejsca



wykorzystała w powieściach *A Wind in Cairo* — o Egipcie, średniowiecznej *Ars Magica* i książkach opowiadających o czasach krucjat *Alamut* oraz *The Dagger and the Cross*.

## **Harry Turtledove**

### **Przynęta**

Profesor historii, od 1979 roku zajmuje się pisaniem powieści sf i fantasy pod swoim własnym nazwiskiem oraz pseudonimem Eric Iverson. Najbardziej znany jest z czteroczęściowego cyklu

„*Videssos*” i jego kontynuacji — „*Opowieści o Krisposie*”, w skład której wchodzi *Droga do tronu*, *Krispos z Videssos* i *Krispos Imperator*. W serii „Kaleidoscope” znaleźć można opowieści stanowiące przekrój całej jego twórczości.

## **Jane Yolen**

### **Król Zimy**

Nauczycielka i folklorystka, autorka ponad stu książek dla dzieci, m.in. *The Devil's Arithmetic* (nominowanej do Nebuli), powieści dla dorosłych, np. *Cards of Grief*, *Sister Light*, *Sister Dark*, *White Jenna*, oraz doskonałego zbioru *Tales of Wonder*. Otrzymała World Fantasy Award, Daedalus Award oraz Christophre Medal. Prowadzi własne wydawnictwo — Jane Yolen Books, działające we współpracy z Harcourt Brace Jovanovich.

# Document Outline

- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
  - ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
- ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
  - ??
- ??Z
  - ??
  - ??
  - ??
- ??
  - ??
  - ??

○ ??

○ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

■ ??

# Table of Contents

\*1.  
C\* — w  
\*  
a\*  
??  
??Z